

*Mazurski pejzaż z dwojgiem dojrzałych
do ucieczki od zgiełku miasta*

JANUSZ MAJEWSKI

Siedlisko

NA PODSTAWIE SCENARIUSZA SERIALU
POD TYM SAMYM TYTUŁEM



Dla Zosi, gdziekolwiek jest...



1.

Lotnia krążyła po niebie wolno, cicho i majestatycznie, jak drapieżny ptak nieubłaganie wypatrujący gryzoni na zaoranym polu. Widziany z góry piękny krajobraz mazurski w słoneczny, jesienny dzień na przełomie września i października zachwycał lotniarza tak, że ponawiał on spirale lotu, kontemplując wszystkie odcienie gasnącej zieleni, żółci, czerwieni i złota na koronach drzew, błękit i srebro na taflach jezior, w przejrzystym jak kryształ, zimnym powietrzu. Rozmyślał w uniesieniu, że z tego dystansu wszystko zyskuje wyraz odwieczny, że gdyby zawisł nad tą ziemią na wieki, pod jego stopami przesuwalyby się ludzkie pokolenia, narody staczałyby między sobą wojny, ludzie rodziliby się, mierzyliby z losem, umierali i rozsypywali w proch, a te wzgórza, jeziora i lasy trwałyby niewzruszone, obojętne na wszystko, wyniosłe i pewne siebie.

Drogą drugiej czy nawet trzeciej klasy jechał mały biały samochód, ostatni model przestarzałej marki 126p, zbyt pieścizotliwie nazywany maluchem. Lotniarz prowadził go przez chwilę wzrokiem, aż pojazd zniknął za zakrętem.

Auto zatrzymało się na poboczu.

Od strony kierowcy wysiadł Krzysztof i szybko oddalił się w krzaki. Marianna wygramoliła się z siedzenia pasażera. Była niestara jeszcze i niebrzydka kobietą, lecz dość pulchną i trochę zaniedbaną. Rozłożyła na masce mapę, pochyliła się nad nią i poszukiwała czegoś uważnie, nie zwracając uwagi na szalejące w lesie hałaśliwe rozmowy ptaków. Nagle oderwała się od mapy. Z trudem wyprostowała obolały grzbiet. Spojrzała w stronę lasu.

– O Boże! – wzdrygnęła się przestraszona.

Przed nią stał stary biednie ubrany mężczyzna. Spod zniszczonego kapelusza wyłaniała się nieogolona i pomarszczona twarz bez wyrazu. Dłonie opierał o kij.

– Pochwalony – odezwał się, nie uchylając kapelusza.

– Przestraszył mnie pan... – powiedziała naiwnie Marianna i rzuciła szybkie spojrzenie w kierunku drzew po drugiej stronie szosy, gdzie zniknął mąż. Starzec milczał w bezruchu, co ją deprymowało. Uśmiechała się, nadrabiając miną.

– Pan tutejszy?

– A ona kto? – zapytał stary.

– Szukam drogi do Panistrugi. Trochę się zgubiłam... – Zaśmiała się niepewnie. – Ostatni raz byłam tu na wakacjach prawie czterdzieści lat temu. Wszystko się pozmieniało, Takie wielkie lasy teraz...

Nieruchoma dotąd twarz starego człowieka ożywiła się nagle, tak jakby dostrzegł coś, co go poruszyło. Marianna przyjrzała się baczniej staremu.

– Drzewa nie stoją w miejscu – powiedział wolno, ale bardziej do siebie niż do niej.

Popatrzyła na niego z uśmiechem, spodobało jej się to zdanie.

– Idą w górę i w siebie – dodał stary i lekko odchylił głowę, patrząc na przeciwległą ścianę lasu.

Podążyła za jego wzrokiem i z ulgą stwierdziła, że nadchodzi mąż, nie spiesząc się, niosąc jakieś grzyby.

– Krzysiu... właśnie rozmawiamy sobie z panem, bo może mógłby nam...

– Dzień dobry – Krzysztof rzucił nieufnie.

– Dzień dobry, ale one niedobre. – Stary wskazał grzyby wyciągniętą laską. – Niezjadliwe. I nie ta pora.

Krzysztof niedbale wyrzucił grzyby do rowu i odparł nieco wyniośle:

– Oczywiście. Wiem.

– Śliczne – rzuciła Marianna, patrząc na kępkę poskręcanych marnych grzybków. – Ale szkoda. Takie też potrzebne ściółce...

Krzysztof skrzywił się, wsiadając do samochodu.

– Szkoda jest taka, droga Marianno, że nie wiesz, jak trafić do tej cholерnej pani jakiejś tam...

– Panistrugi... – uzupełniła i niepewnie uśmiechnęła się do siebie. Zebrała mapę z maski samochodu, słysząc niecierpliwie pukanie w szybę i ponaglanie.

– Panistruga?! Pani struga sobie ze mnie wariata i to od momentu, kiedy wsiedliśmy do tego grata w Warszawie – ironizował. – Wie pan – wychylił się przez okienko, mówiąc do starego człowieka – niektórzy uważają, że to jest samochód! Da pan wiarę? Poważnie twierdzą, że to jest samochód!

– Daj spokój, Krzysiu... – Marianna usiłowała zbagatelizować i zatuszować niestosowność tych żarcików, gdyż wydawało się jej, że stary człowiek przyjmuje je jako arogancję wymierzoną w siebie. Wstydziła się głupkowatej zgryźliwości męża i tego całego pokazu pychy.

Ale stary puścił wszystko mimo uszu.

– Jedźcie prosto, za przejazdem w prawo – rzekł spokojnie, wręcz flegmatycznie.

– Dziękuję panu – Marianna uśmiechnęła się z wdzięcznością – bardzo dziękuję.

– A to do kogo? – spytał stary beznamietnie.

– Do Róży Kapli... – zaczęła Marianna, ale zaraz poprawiła: – Do gospodarstwa Róży Kapli...

– Aha – stary schylił się po wiązkę chrustu – zmarło się jej...

Odwrócił się i ruszył w głąb lasu. Patrzyła za nim przez chwilę.

– Wiem... – szepnęła i wsiadła do samochodu.

Krzysztof zazgrzytał skrzynią biegów i ruszył.

– Głodny jestem – rzucił niechętnie.

– Dam ci kanapkę – powiedziała gorliwie, tonem świadczącym, że już to proponowała, i to pewnie niejedną raz.

– Nie będę tu kruszył – warknął – może trafimy wreszcie na jakiś cholerny zajazd. Kapitalizm na to zadupie nie dotarł?

Marianna nie podjęła tematu, co tym bardziej sprowokowało go do następnej gderliwej wypowiedzi:

– Mogliśmy zjeść w Ełku. Mówiłem: notariusz, obiad, potem znaleźlibyśmy jakąś agencję, zgłosilibyśmy to całe gospodarstwo do sprzedaży i wrócilibyśmy do Warszawy. Ale ty się uparłaś i teraz tłuczemy się jak głupcy. Pchać się w tę głuszę, przez jakieś babskie sentymenty... Po diabła mi to było... Mam tyle roboty: muszę napisać recenzję do przewodu jednego barana, który postanowił powiększyć stado doktorantów, prace z kolokwium leżą nieprzeczytane...

– Proszę cię... – powiedziała cicho i nagle krzyknęła: – Jest! Jest przejazd. I za nim w prawo. No!

– Czego się spodziewasz? – zapytał chłodno po chwili.

– Nie wiem... Może siebie sprzed lat... – uśmiechnęła się niepewnie.

– O, Boże... – westchnął, a właściwie jęknął, ironicznie dystansując się od jej sentymentalnego nastroju.

Wjechał w drogę do lasu i zwolnił, starając się omijać wyboje i dziury.

– Cholera jasna, jak nic rozwalę tego pieprzonego grata. Pójdą amortyzatory... – mamrotał wściekle. Ona nie odzywała się, obrzuciła go tylko smutnym, zrezygnowanym spojrzeniem, a w duchu pomyślała: Andropauza, ohyda...

Droga skończyła się na brzegu jeziora, w lewo i w prawo prowadziły już tylko

odnogi węższe i nieutwardzone. Samochód stanął. Rozejrzeli się niepewnie, ale nie widać było żywego ducha, nie mieli kogo zapytać.

– Ja bym pojechała w prawo...

– Można wiedzieć, dlaczego w prawo? W lewo też jest droga.

– Nie wiem dokładnie dlaczego, ale po prostu coś mi szepcze do ucha, że w prawo.

– Do prawego ucha? – zaszydził.

– Nie, do lewego – odparła z naiwną prostotą.

Krzysztof udał, że zamarł. Odegrał starannie parodię: chwilę patrzył przed siebie, potem wolno odwrócił się do Marianny i rzekł cicho, przesadnie akcentując podziw:

– Przekonałaś mnie, wyobraź sobie...

Auto, posłuszne kierowcy, jakby świadomie brało udział w tej demonstracji, ruszyło w prawo i wjechało w wąską drogę prowadzącą wzdłuż brzegu jeziora, mocno ocienioną drzewami tworzącymi malowniczą aleję. Po prawej stronie drogi, za zaniedbanymi płotami lub nadwerżonymi murami z kamieni polnych, ciągnęły się gospodarstwa. Same domy były raczej biedne i brzydkie, zwracała natomiast uwagę wyjątkowa uroda budynków gospodarskich: stajen, obór i stodół. Przeważnie murowane z czerwonej fugowanej cegły, miały pięknie sklepione otwory małych, jakby strzelniczych okienek i szerokich wrót. Inne postawiono z kamienia, łączonego z grubymi balami drewna. Krzysztof przyglądał się im z zachwytem, zapominając na chwilę o swoim rozdrażnieniu.

– Spójrz, z jaką starannością, dbałością o piękny detal, wręcz z widoczną miłością oni to kiedyś budowali!

– Właśnie. Po prostu z miłością – zgodziła się Marianna.

– To natomiast chyba dziecko nienawiści. – Wskazał na nieukończoną jeszcze obórkę z bloczków cementowych, niechlujnie, krzywo ułożonych, zachlapanych zaprawą z gliny. – Rozpaczliwej nienawiści do parszywego, zapijaczonego, obmierzłego i beznadziejnego życia...

– A może raczej wyrosło to z biedy i zacofania?

– Co ich, rzecz oczywista, w twoich miłosiernych, wyrozumiałych oczach rozgrzesza, prawda? – zapytał zaczepnie Krzysztof.

Nie dała się sprowokować, dostrzegła tabliczkę nad bramą mijanego domu: „Panistruga 5”.

– To siedem będzie następny.

Tymczasem następny dom jeszcze się nie pokazał. Droga najpierw wznosiła się

lekką w górę, pojawił się na niej bruk, a potem zaczęła dość stromo opadać w dół, zamieniła się w polną, wyboistą, z głębokimi koleinami. Po prawej stronie zobaczyli nasyp kolejowy z jednym tylko torem, zakręcający łagodnym łukiem wzdłuż brzegu jeziora, które wrzynało się tu, tworząc małą zatokę, a budowniczych kolei zmusiło kiedyś do postawienia kamiennego wiaduktu. Prawie tuż przy nim stał dom, całkowicie odizolowany od sąsiadów, wręcz od całego świata. Robiło to wrażenie zaciszności i przytulności, chociaż sam budynek wydawał się zaniedbany i opuszczony, a przede wszystkim nieszczerólnie piękny. Jedynie cztery wysokie, wysmukłe tuje okalające frontowy ganeczek, a raczej jego resztki, dodawały domowi szlachetności. Brama wjazdowa wisiała na jednym zawiasie, ale była bardzo szeroko, gościnnie otwarta.

Wjechali na podwórze za domem otoczone sporymi budynkami gospodarczymi i zatrzymali się na środku w wysokiej, suchej, dawno niekoszonej trawie, potęgującej wrażenie opuszczenia. Marianna powoli otworzyła drzwiczki i wysiadła pierwsza. Od razu wdepnęła w krowi placek.

– To na szczęście – szepnęła, starając się oczyścić podeszwę.

Rozejrzała się – nigdzie nie było widać nikogo, ale zauważyła, że z komina domu idzie dym.

– Trzeba zajrzeć do środka – powiedziała do Krzysztofa, który też wysiadł.

On jednak stał bez ruchu, oparty o drzwi samochodu, i sceptycznie przypatrywał się otoczeniu. Marnie widział szansę sprzedania takiego domu, a jeśli już, to za niewielką cenę. Na dobrą sprawę należałoby go zburzyć i postawić nowy, bo samo położenie nieruchomości było bezsprzecznie atrakcyjne. Trochę podniesiony na duchu postanowił zwrócić na to uwagę agencji.

Nagle z obórki wyszedł młody drobny chłopak z wiadrem mleka. Zaskoczony ich obecnością postawił je na ziemi i patrzył wyczekująco.

– Dzień dobry. – Marianna ruszyła w jego kierunku. Wyciągnęła rękę na powitanie. On szybko wytarł dłoń o sweter, podał ją niezręcznie, uśmiechając się sympatycznie i przeprasząc.

– O, przepraszam... ręka brudna z roboty. A to z Warszawy przyjechali. Pani to siostrzenica pani Róży. Czekaliśmy. Ja z mamą to najbliżsi sąsiedzi. Cały czas pomagaliśmy pani nauczycielce... jeszcze jak żył świętej pamięci nieboszczyk mąż. A potem to już jej samej... niech jej ziemia lekką będzie. Amen.

Przywitał się z Krzysztofem.

– To mój mąż – uśmiechnęła się Marianna.

– A ja jestem Józek. Dobrze, że są. Czekaliśmy. Ja żem właśnie krowinę pani Róży przyprowadził dla państwa, bo tak to u nas stała.

– Zupełnie niepotrzebnie, bo przecież my tylko na jeden dzień – rzucił Krzysztof, ale tonem uprzejmym, konwersacyjnym.

– Tak? A czy to warto tak na jeden dzień gdzieś jeździć? – zdziwił się dobrodusznie chłopak. – Proszę do domu, proszę...

Ruszył, wskazując drogę. U stóp schodków prowadzących do drzwi wejściowych zawołał:

– Mamusia?! – i zaraz obrócił się do nich: – Niech wchodzą, bo mamusia źle słyszy.

Marianna ruszyła pierwsza, Krzysztof za nią. Zanim nacisnęła klamkę, odwróciła się do męża, bez słowa skierowała palec na siebie, a potem dłonią pokazała, jakiego była wzrostu. Wzruszyło ją to wyraźnie – on wzruszył ramionami. Położył jej rękę na plecach i lekko popchnął, robiąc cierpiętniczą minę.

Starsza, zażywna kobieta, w ciasno zawiązanej na głowie chustce, odwróciła się od kuchni i spojrzała na wchodzących z uśmiechem:

– To ja telefonowałam – oznajmiła. – A panią to bym nawet na ulicy poznała, taka pani podobna...

– Zawsze wszyscy mi to mówili, że bardziej w ciocię niż w mamusię się wdałam... – powiedziała Marianna tonem trochę nazbyt familiarnym i wyciągnęła rękę.

Kobieta szybko wytarła dłoń o fartuch i trochę niezręcznie ją podała.

– Helena jestem.

Krzysztof zawahał się na ułamek sekundy, czy ma się przywitać, czy tylko skłonić, ale w końcu też podał jej rękę.

– Kalinowski – mruknął.

– Państwo pewnie głodni, z drogi? Ja tu właśnie kończę... – Zakręciła się i z wprawą coś przestawiła na rozgrzanym blacie kaflowej kuchni.

Krzysztof się ożywił.

– Nie ukrywam, że jestem głodny. Bo moja żona to ukrywa!

Helena roześmiała się z sympatią, mrugnęła okiem i powiedziała do Krzysztofa konfidencko:

– Zaraz się przyzna! Może państwo obejrzą sobie dom, a ja za chwilę zawołam na posiłek...

W domu było czysto i schludnie. Krzysztof siedział oparty wygodnie na starej pluszowej kanapie, Marianna przycupnęła na rozchwierutany krzeselku przy komodzie, na której stały fotografie, bukiet suchych kwiatów, drobiazgi świadczące o dobrym smaku zmarłej. Stare ładne meble, na ścianach parę pociemniałych obrazów, oprawiony rysunek zrobiony ręką dziecka. Marianna patrzyła na trzymaną w rękę fotografię.

– Mama... była starsza od Róży – mówiła cicho. – A tu... jaki zabawny... wuj Bronek.

Odstawiła fotografię, sięgnęła po inną w ozdobnej ramce. Przyglądała się jej w milczeniu. Zachodzące słońce wspaniale oświetlało wnętrze przez sprane, nieco podarte koronkowe firanki.

Marianna spojrzała na męża.

– To ja. Nie pamiętam, kiedy coś takiego... – Odwróciła się w stronę okna i znieruchomiała.

– Słyszysz? – zapytała po chwili.

– Co?

– Jaka cisza...

W głębi domu skrzypnęły drzwi, usłyszeli kroki i ciche niewyraźne głosy. Krzysztof ziewnął, starając się to ukryć.

– To przez to powietrze... – usprawiedliwił się.

– Zanocujmy tu – poprosiła. – Do mecenasa pójdziemy jutro rano i szybko wyjedziemy. Przecież teraz zaśniesz za kierownicą.

– Może masz rację... – mruknął zrezygnowany, a w gruncie rzeczy zadowolony. Powieki mu się kleiły.

Marianna siadła obok męża, podając mu fotografię, on parsknął śmiechkiem.

– Wstrząsające! – wykrzyknęła nagle.

Zatrzymała się przed oprawionym, wiszącym na ścianie rysunkiem. Roześmiała się.

– Jak myślisz, czyje to dzieło?

– Twoje? – zapytał Krzysztof i podszedł bliżej.

– Tak.

– Poznaję twoją kreskę – zażartował – niebywałe.

– To znaczy, że w ogóle się nie rozwinęłam od tamtego czasu...

– Powinnaś to dołączyć do swojej jesiennej wystawy.

Roześmiali się oboje, chyba pierwszy raz od dłuższego czasu zrobili coś w zgodzie. Marianna spojrzała jeszcze raz na rysunek i powiodła wzrokiem po pokoju: piękne małżeńskie łóż z górą poduszek i kapą, szafka, na niej okulary, stara książka do nabożeństwa, jakieś proszki, buteleczki lekarstw. Na stole sprana serweta, szklany flakon, w nim suchy bukiet. Obok antyczny zegarek, „cebula” z łańcuszkiem, i porcelanowy talerzyk z nożykiem do owoców. Coś, czego można dotknąć delikatnie, końcami palców. Na ścianie rzeźbiony, drewniany zegar. Nieruchomy, a wyglądał, jakby tykał cichutko. Na oparciu fotela przerzucona, ręcznie robiona szydełkiem chusta. Marianna popatrzyła na pękatą starą szafę, ale nie otworzyła jej. Dotknęła rzeźbionego drewna.

Krzysztof stanął przy oknie i patrzył w zarośnięty, zdziczały sad. Marianna podeszła do niego.

– Sad jak z Czechowa... – szepnęła. – I ten nastrój... Zostańmy tu nie tylko na noc. Na zawsze...

Krzysztof odpowiedział cicho, ale spokojnie i rzeczowo:

– Pani zwariowała w Panistrudze, Marianno Filipowna.

– Chyba tak – przyznała nadal szeptem.

Zapukano do drzwi.

– Proszę... proszę... otwarte – rzuciła Marianna.

W progu ukazała się Helena, teraz gładko uczesana, w czystym fartuchu. Na brzuchu spłotła bardzo zniszczone dłonie. To odwieczny gest – pomyślał Krzysztof – te Indianki w Kansas też tak zaplatały...

– Prosimy na kolację – odezwała się Helena.

– Już idziemy... – Marianna uśmiechnęła się, nie bardzo chciała opuścić pokój, żal jej było zerwanego nastroju.

– Tak tu jest... – zaczęła szukać określenia, słowo „pięknie” wydawało się jej banalne, nieoddające tego, co odczuwa.

Helena wychyliła się w jej kierunku, jak osoba źle słyszająca.

– Niczego tu nie ruszaliśmy. Odkurzyłam teraz tylko. Wszystko jest tak, jak zostawiła pani Różyczka. Co to był za człowiek... Wszyscyśmy ją... wszyscy okoliczni i dzieciaki...

Głos jej ucichł, nie umiała wydobyć słowa ze ściśniętego gardła. Bezradnie pocierała ręce.

Marianna szybko podeszła do Heleny, objęła ją serdecznie, a potem

spontanicznie pocałowała w policzek.

– Dziękuję, pani Heleno, wiem. Krzysiu, idziemy. Mąż jest okropnie głodny – dodała.

Usiedli w kuchni, przy stole zastawionym specjalnie na tę okazję, ale jednak skromnie. Była jakaś kiełbasa, „swój” biały ser, kiszzone ogórki, masło, jajecznica i piękny bochen chleba. Herbata w szklankach, stały też butelka najtańszej wódki i rozstawione kieliszki. W piecu kaflowym buzował ogień, na nim wielki czajnik, jakieś garnki. Pani Helena przecedziła mleko z wieczornego udoju, pomagał jej syn przebrany w inną koszulę, z przeczesanymi na mokro włosami. We wnęce nad piecem spał kot w poczuciu bezpieczeństwa, czasem tylko otwierał jedno oko i przyglądał się gościom z wyraźną pogardą. Krzysztof jadł z wielkim apetytem.

– Myślałem, że już nie ma na świecie takiego masła... Ta kiełbasa też własnej roboty? I chleb?

Młody się roześmiał.

– Musi być. Do sklepu to tylko przy okazji. Proszę... pani się częstuje... na zdrowie niech idzie.

– Mogłeś napalić w jadalni – zaproponowała pani Helena.

– Nie. Tu jest tak dobrze, domowo... – Marianna nie ukrywała zachwytu.

– Już nocami przymrozki – przyznał młody – ale każda pora roku tu u nas jednakowo piękna. Jutro pójdą na spacer, to zobaczą okolicę i wszystko, co do nich należy. Pani Róża zawsze mówiła, że tu jest raj. – Znów się zaśmiał.

– O, to moja żona oszaleje – podjął Krzysztof i wyjaśnił: – Jest malarką.

– No... – powiedział z podziwem młody.

– Dom muszą sprawdzić dokładniej – odezwała się pani Helena – piwnicę i strych, i pokoje. Wszystko jest, co było.

– Ale trzeba się za remont wziąć – ożywił się młody. – W paru chłopa zrobimy. Tu nigdzie nie ma żadnej pracy... ciężko. Ziemia marna, a żyć trzeba. Zrobimy! – zapewnił. – No, to może... – Podniósł kieliszek.

Krzysztof przełknął, chrząknął, Marianna sięgnęła po kieliszek, rzucając ukradkowe spojrzenie na męża.

– Jeszcze herbaty? – zapytała pani Helena.

Nalała słabej esencji i wrzątku z wielkiego czajnika. Młody otarł usta i sięgnął po papierosa, ale wepchnął go z powrotem do paczki i wyciągnął rękę w kierunku Marianny.

– Dziękuję, nie palę. A mąż tylko fajkę.

– To tak jak nasz proboszcz – pochwalił się młody.

– Nie kurz tu, Józek. – Kobieta zmarszczyła czoło. – Kopci jak z komina.

– No, to chociaż ja – wesoło odpowiedział młody. – Bo w naszej chałupie... – wychylił się ku oknu – nie, już za ciemno, nie widać, komin się zawalił i robimy ze zdunem Okońskim Ignacem. To i dobrze się złożyło, że akurat matka dziś tu musiała przyjść, bobym gotowanego dzisiaj nie jadł. – Śmiał się rubasznie, chociaż z wdziękiem, i dodał: – Ale my nie będziemy przeszkadzać, wieczorem pójdziemy na swoje...

– Spokojnie, panie Józefie – powiedział Krzysztof – jak już wspomniałem, myśmy chcieli wpaść tylko na dzień, po tym telegramie notariusza. Jutro to już na pewno musimy wracać... obowiązki... praca...

– Pan to ma pracę! – pokiwał głową młody z zazdrością w głosie.

– Mąż pracuje w domu, ale ma stałe wykłady na uniwersytecie, dwa razy w tygodniu. Skończył medycynę, tyle że nie praktykował, a zajął się pracą naukową – wyjaśniła Marianna.

Młody kiwnął głową z szacunkiem.

– Doktor to jest piękny zawód.

Krzysztof chciał coś powiedzieć, ale Józek ciągnął dalej:

– Mnie to się marzyło iść na jakąś mechanikę. Lubię ja majstrować, zawsze jak co trzeba takiego naprawić, to wszyscy do Józka. Pani Róża to ciągle mamusi mówiła, skończy Józek szkołę, to trzeba go dać dalej na naukę. Do Ełku albo gdzieś. Chwaliła mnie. Dobrze się uczyłem. No, ale cóż... nie było mi dane. – Zaśmiał się smutno.

– Już nie jedzą? – zatroskała się pani Helena.

– Dziękujemy. Strasznie się objedliśmy. – Marianna uśmiechnęła się i zaczęła zbierać talerze.

– Wszystko było takie smaczne – dorzucił Krzysztof.

Młody zerwał się od stołu.

– Proszę zostawić.

Krzysztof ziewnął dyskretnie.

– Pójdą spać, bo zmęczone – powiedziała pani Helena. – Tutaj... – uniosła pokrywę garnka – nagrzałam wodę na mycie. Jutro raniutko przyjdę i wszystko uprzątnę. Tylko to zaniosę do spiżarki, tam chłodniej i much nie ma. – Zabrała masło i wędlinę.

– To była wspaniała kolacja, ale rzeczywiście lecę z nóg. – Krzysztof chwycił Mariannę i wstał od stołu.

– Pomogę rano – powiedziała Marianna.

– Nie trzeba. Nie trzeba. Ja sama – zapewniła pani Helena, zdejmując fartuch. – O, tu jest klucz, trzeba zawrzeć drzwi. – Podała klucz wyjęty z kredensu.

– Okolica spokojna, ale zamknąć się należy – zaśmiał się Józek. – Tylko pani wyjmie, bo ja mam drugi u siebie, a nie mógłbym się rano dostać.

– Dobrze. Dzięki. No, to dobranoc, pani Heleno, dobranoc panu.

– Dobranoc – Krzysztof uklonił się uprzejmie.

– Spokojnej nocy – powiedziała pani Helena i Józek dorzucił swoje:

– Dobranoc.

Leżeli oboje w pięknym, starym małżeńskim łóżu, na wysoko ułożonych poduszkach, przykryci pierzyną.

– Pościel pachnie łąką... skoszoną trawą...

– Ooo, jak dobrze – mruczał Krzysztof.

Słychać było dalekie szczekanie psa. Jeszcze dalej odpowiadały inne.

– Nocne psy... – uśmiechnęła się Marianna. Słuchała chwilę. – Krzysiu... a gdybyśmy tak tu zamieszkali?

– Śpij już.

– Wreszcie mielibyśmy dom... własny... prawdziwy. Porównaj go z naszym mieszkaniem... Ogród... sad... postawilibyśmy ule, posialibyśmy te kwiaty, które lubią pszczoły...

– Już rzucam wydział i zostaję pszczelarzem... Albo lepiej pszczołą... Matką... To znaczy: ojcem... – mamrotał sennie Krzysztof.

– Zostajesz pszczelarzem, ale nie rzucasz uczelni – zapaliła się. – Możesz jeździć, a tu... tu urządzimy ci gabinet do pracy, nawet laboratorium... Krzysiu, wstań! Zwiedzimy cały dom!

– Oszałałaś?! Leż!

– To pójdę sama. – Odrzuciła pierzynę.

– Nie! Śpij, na Boga! Przykryj się! Jesteś szalona.

Ułożyła się niechętnie i podjęła z naiwną tęsknotą:

– Czy wiesz, jak przedłużylibyśmy sobie życie?

– „I żyli długo i szczęśliwie”. „Był sobie dziad i baba...”.

– Krzysiu... Krzysiu! Drugiej takiej okazji już los nam nie ofiaruje.
– No i dobrze, a ty nie proś go o to. – Krzysztof wtulił się mocniej w poduszkę.
– Nie proszę o drugą. Chciałabym być wdzięczna za tę... Tu odbywałyby się zjazdy rodzinne, przyjaciele spędzaliby wolne chwile...

– Sprzedawałabyś na jarmarkach ser, jaja, kury...
– Czyste powietrze... czysta woda...
– Czyste szaleństwo – dorzucił coraz bardziej senny Krzysztof.
– To nie szaleństwo. To ma racjonalne podstawy. Proszę cię... proszę cię... proszę...
– przytuliła się do jego pleców.

– Przestań już bredzić. Zlituj się nade mną i śpij! Marianna, chcesz, żebym poszedł spać do samochodu?

– Nie. Dobranoc. – Szepnęła, ale leżała z szeroko otwartymi oczami.
Światło księżycy delikatnie rozświetlało pokój przez koronkowe podarte firanki, wyławiało drobiazgi na półce z książkami, suchy bukiet z ziół, fotografie na komodzie. Wciąż słychać było szczekanie psów. Trzasnęła rozsychająca się szafa. Krzysztof zaczął chrapać.

Może już było trochę jaśniej, ale wciąż jeszcze trwała noc. Wtuleni w poduszki oboje spali głęboko, gdy nagle rozległo się pukanie do okna, i to coraz bardziej natarczywe. Krzysztof siadł na łóżku i zapytał bez sensu:

– Która godzina?
– Co? Co się stało? – Poderwała się Marianna.
Krzysztof oprzytomniał.
– Zachowaj spokój! – rozkazał szeptem. – Chyba napad!
Szyby dźwięczały od natarczywego pukania, jakby miały się rozpaść.
– Dlaczego napad?
– A dlaczego są napady? Cicho bądź! Nie ruszaj się albo włącz pod łóżko! Idę do kuchni po nóż!

Rzuciła się, by go zatrzymać.
– Krzysiek! Nie! Boże! Jakby to był napad, to by nie walili w okna, tylko wybiliby szyby albo wyważyli drzwi!

Wyrwał się jej.
– A więc ukradli nam samochód!
– Skąd wiesz?
– A ten dureń Piotrowski zapewniał, że nasz parking taki bezpieczny!

– Boże, Krzysiu, co ty mówisz?!

Wciągał nerwowo spodnie, szurając stopami, szukał butów.

– Jak mogłem nie wziąć rewolweru na gaz?! Nie podchodź do okna! Zgaś światło!

Marianna zgaszyła natychmiast w panice i krzyknęła, chcąc, żeby oprzytomniał:

– Krzysiu! Ktoś coś woła!

Zamarli oboje. Niewyraźny głos powtarzał między uderzeniami:

– Panie doktorze! Panie doktorze!

– Wołają cię!

Zerwała się z łóżka i podbiegła do okna.

– Odsuń się, Marianno. – Krzysztof ją odepchnął.

Dzielnie otworzył okno, pchnął okiennice.

– Kto tam? – zapytał.

Zobaczył dwóch mężczyzn, którzy zadzierali ku niemu głowy. Jeden powtarzał nerwowo:

– Panie doktorze! Panie doktorze!

Drugi mu przerwał:

– To ja. Józek! A to sąsiad z Bałamutowa, Kowal Henryk, jego żona Kowalicha urodzić nie może!

– Panie doktorze! – zajęczał Kowal. – Pomóc jej trzeba! Ratuj pan!

– Ludzie! Ja nie jestem lekarzem!

– Zapłacę, co mogę! Panie doktorze!!!

– Człowieku, zrozum, ja się zajmuję...

– Będzie po niej – wtrącił się Józek. – Wykrwawi się.

– O Jezu! Ratuj pan, doktorze! Osieroci tamtych sześcioro, nie dam rady... Taka dobra żona...

Zaczął płakać.

– Tu trzeba prawdziwego lekarza! Panowie... – Krzysztof złapał się za głowę:

– Skąd go wziąć? Ośrodek w Starych Juchach to tylko w dzień. Karetkę z Ełku to zanim się sołtys dodzwoni, a zanim tu dojadą... – mówił gorączkowo Józek.

– Zawsze rodziła z krzykiem, jak Pan Bóg przykazał, a teraz cichnie, oddech traci. Ratuj, doktorze! – rozpaczliwie krzyknął kowal.

Marianna, już ubrana, dopchnęła się do okna.

– Kto jest tam przy żonie?

– Sąsiadki i moja siostra, ale dzieciak nie chce wyjść. Tyle godzin się męczy. Kończy się ona jak nic... Boże...

– Pojadę pomóc.

– Ty?! – spytał Krzysztof oszołomiony. – A co ty możesz? Zwariowałaś?!

– Jeżeli ty nie chcesz... – odparła ostro. – Wolisz stać jak słup soli...

– Kretynko, czy ty wiesz, jaka to odpowiedzialność?! Ja nigdy nie odbierałem porodu!!! Tylko asystowałem na praktyce! Rozumiesz?

– A jeśli ta kobieta umrze...

– Ale co ty umiesz?! Co ty umiesz?! Jak ty jej możesz...?

Marianna otworzyła komodę, potem szafę i znalazła czyste złożone prześcieradła. Wyciągnęła kilka i szybko ruszyła do drzwi.

– Napatrzyłaś się w telewizji i myślisz, że to tak łatwo... – krzyknął w rozpacz Krzysztof.

Marianna odwróciła się i rzuciła mężowi twarde, nieustępliwe spojrzenie. On stał zrozpaczony. Otworzyła drzwi i wyszła przed dom. Podała prześcieradła Józkowi.

– Potrzymaj. Wezmę kluczyki od samochodu.

– Nie da rady. Woda stoi tam na drodze. Grząsko.

– Pobiegniemy przez las i polem, na skróty! – krzyknął Kowal.

– W porządku.

Ruszyli szybko. Już zanurzali się w las, więc nie widzieli biegnącego za nimi Krzysztofa, wkładającego kurtkę w biegu.

– Samochodem!!! – krzyknął do nich.

Marianna niewidoczna odkrzyknęła:

– Nie da rady! Grząsko!

W kuchni zagraconej i biednej chaty siedziały dwie wiejskie baby, szóstka dzieciaków, z czego część spała, gdzie popadło, był też kot i małe kurczęta na odgradzonej części podłogi koło pieca. Marianna dołożyła do niego drewek, a zamykając, oparzyła się o drzwiczki, ale nie zrobiło to na niej wrażenia. Na płycie parowały garnki z wodą. Obie kobiety monotonnie odmawiały modlitwę.

Marianna odwróciła się do nich zniecierpliwiona i powiedziała półgłosem:

– Proszę pań, ona jeszcze żyje! Tak nie można.

Kobiety zamilkły i popatrzyły na nią wzrokiem bez wyrazu.

– Trzeba wierzyć, że się uda. Zawsze!

Kobiety najpierw cicho, potem półgłosem powróciły do mamrotania tej samej modlitwy. Jedno z dzieci zbudziło się i zaczęło płakać. Marianna wzięła je na ręce i zapytała dość wrogo:

– Gdzie jest sypial... gdzie one śpią?

Jedna z bab, nie przerywając modlitwy, wskazała głową. Marianna otworzyła drzwi i niepewnie weszła do ciemnego wnętrza. Za nią ruszyło dwoje starszych, które nie spały. Z izby rodzącej wyszła silna młoda kobieta, spocone włosy przylepiały się do jej urodzivej twarzy. Była w obcisłych dżinsach i mocno wyciętej białej koszulce gimnastycznej, pod którą rysowały się śmiało sterczące piersi. Nalała sobie kubek wody z wiadra i wypła duszkiem. Marianna przyglądała się jej z ciemnego pokoju, sama nie będąc widoczna. Poczwała ukłucie zazdrości, że Krzysztof jest z nią tam, za zamkniętymi drzwiami, i może nawet ona, pomagając mu, dotyka jego ramienia taką twardą, jędrną pierś.

Modlące się umilkły i patrzyły pytająco na młodą, ona machnęła ręką i wróciła do rodzącej. Marianna odpędziła głupie myśli, wyszła z ciemnego pokoju i przysiadła na stołku. Patrzyła na otaczającą ją biedę. W kuchni zamiast podłogi było klepisko, ściany, kiedyś bielone, poszarzały od dymu i brudu, wiadro z wodą nie miało żadnego zakrycia. Kobiety znów mamrotały monotonna. Nagle rozległ się niespodziewany odgłos kłaśnięcia i krzyk niemowlaka.

Marianna wstała i przyłożyła dłonie do ust. Nie czuła napływających do oczu łez. Kobiety umilkły. Noworodek zaczął płakać, słychać teraz było niewyraźne głosy i krzatanie. W drzwiach za Marianną stanęła dwójka starszych dzieci. Odwróciła się do nich i powiedziała cicho przez łyż:

– Jest.

– A mama? – zapytała dziewczynka.

Marianna uśmiechnęła się niepewnie. Powoli otworzyły się drzwi i stanął w nich Krzysztof; wycierał umyte ręce w ścierkę, był rozczochrany, spocony i miał rozpiętą koszulę. Szukał wzrokiem żony. Popatrzyli na siebie. On świadom, że gra główną rolę, wytrzymał chwilę, nim obwieścił:

– Chłopak! Pchał się do życia bokiem, ale już wszystko dobrze.

– A mama? – znowu zapytała dziewczynka.

Krzysztof uśmiechnął się do niej.

– Śpi. Bardzo słaba. Nie wchodźcie tam. A najlepiej jazda spać.

Marianna sięgnęła po marynarkę męża, rzuconą na oparcie krzesła, on, patrząc na nią z zadowolonym uśmiechem, przeczesał dłonią włosy, a potem zaczął odwijać

rękawy. W oczach jawiło się oczekiwanie na potwierdzenie jego wspaniałości. Podając mu marynarkę, Marianna szepnęła bardzo serio:

– Jesteś wspaniała.

– A jak myślałaś? – starał się obrócić to w żart, ale w gruncie rzeczy rozpierała go duma.

Roześmiała się, przytuliła do niego i powiedziała cichutko z policzkiem przy jego piersi:

– Jak mocno bije ci serce.

Bez słowa przygarnął ją na chwilę.

– Gdzie twoja kurtka? – spytała.

Sięgnął i zdjął ją z gwoźdźca. Z pokoju położnicy wyszła młoda kobieta.

– Namordował się pan, doktorze... – powiedziała.

– No, ale gdyby nie pani...

– I Bóg Najwyższy – skrzekliwie odezwała się jedna z bab.

Krzysztof rzucił na nią przelotne spojrzenie.

– Gdzie szczęśliwy ojciec? Niech wie, że ma syna.

Dziewczynka wybiegła z chaty.

– Tato! Tato!

Marianna westchnęła z ulgą:

– *Come on, doc.*

– Zejdź ze mnie, kochanie.

– Nie bardzo jest czym ugościć... – zaaferowała się młoda kobieta.

– Nie, nie, nie trzeba – zapewnił Krzysztof i na pożegnanie obrzucił ją spojrzeniem pełnym męskiego uznania. – Do widzenia. I bardzo proszę, aby ojciec dziecka pojechał rano do ośrodka zdrowia.

– Przypilnuję brata. Bardzo dziękujemy. I pani niech Bóg da wszystko, co najlepsze.

Marianna podziękowała jej skinieniem głowy i szybko wyszła pierwsza.

Wracali przez las. Było już jasno, nad horyzontem od wschodu różowiło. Szli skuleni pod kurtkami, bo po nieprzespanej nocy chłód poranka dawał się we znaki. Krzysztof mówił bardziej do siebie niż do Marianny:

– To bardzo dziwne uczucie. Bardzo...

Marianna wzięła głęboki oddech, ale powstrzymała się od zabrania głosu. Szła za

nim, uśmiechając się tylko.

– Jak się dowiedzą nasze dzieci, to padną ze śmiechu! – starał się obrócić wszystko w żart.

– Nie. Będą z ciebie dumne. One też... – dodała znacząco.

Przyjrzał się jej podejrzliwie, ale w gruncie rzeczy był zadowolony. Na wszelki wypadek postanowił zerwać budujący się sentymentalny nastrój.

– No dobra. Będzie tego. Ależ jestem głodny... I napiłbym się dobrej kawy.

– To już w Warszawie, doktorze. Nie wzięłam, niestety. A śniadanie robi nam pani Helena – Marianna szybko dostosowała się do jego tonu.

Weszli na wzgórze i stanęli olśnieni wspaniałą panoramą okolicy. Widać było jezioro, smugę lasu, rozrzucone dachy gospodarstw i jesienne mgły snujące się nad łąkami. Mały kościółek bielił się wśród drzew, a niżej, na niestromym stoku leżał cmentarzyk. Stali w milczeniu, aż Krzysztof przerwał je pierwszy:

– Spójrz na te wzgórki: wyglądają jak grzbiety jakichś płowych zwierząt, które ułożyły się tu do snu.

– Może to wielbłądy? Przecież te strony nazywają się Mazury Garbate.

– Tak, to wielbłądy. Turecka karawana wiezie rodzynki do Gdańska, żeby je wymienić na bursztyny. Naturalnie po drodze zatrzymali się we Lwowie... Tak, tak, w moim Lwowie! – nie dał jej dojść do głosu, wiedząc, co chce powiedzieć.

– Wielbłądy, a śpią jak susły, lenie! Wstawać, lenie! – krzyknęła z całej siły.

Popatrzył na nią jak na wariatkę.

– Wiesz co? Ty masz kuku na muniu!

– Co?! – parsknęła śmiechem.

– Tak w moim Lwowie mówiono na kogoś, kto był walnięty.

Powoli zza horyzontu zaczęło wyłaniać się słońce. Patrzyli zafascynowani.

– Niebywałe... – mruknął Krzysztof.

– A namalujesz... kicz! – powiedziała cichutko Marianna i nagle dodała: – Krzysiu, spędźmy tu przynajmniej jeszcze przysze lato, zanim...

– Lato? – Odwrócił się do żony. – Przecież zaplanowaliśmy Hiszpanię. Tak się na nią cieszyłaś. Zorganizowani już są i Staszkanie, i Darscy, Jasio Żurek z nową flamą... cała kawalkada...

Patrzyła na niego przez chwilę błagalnie.

– Ofiaruj mi to lato tutaj. Pożegnalne... – Zatoczyła rękami krąg.

Krzysztof pokręcił głową.

– Ktoś tu jest melodramatyczny. Albo właśnie walnięty.

– Ja. Ale to ty dałeś się nabrać przed trzydziestu pięciu laty...

Wysoko, na jasnym już, lekko zaciągniętym bladym błękitem niebie pojawiła się biała smuga ciągnięta przez malutki jak zabawka samolocik lecący na wschód. Dopiero po chwili usłyszeli stłumiony warkot potężnych silników przelatującego samolotu. Marianna zadarła głowę i zaczęła machać.

– Zawsze tak robiliśmy, przychodząc na tę górkę. Byliśmy pewni, że lotnik to widzi i nie czuje się taki samotny. Tam w górze. A może być ten sam lotnik.

– Niewątpliwie – zapewnił ją Krzysztof – stary pierdziel dobrze się trzyma. Ale i tak go wyleją niedługo! Zostanie emerytem i będzie sklejał modele.

– Jesteś podły – Marianna udała zgrozę.

– Patrz.

Słońce oświetlało teraz już całe siedlisko Róży Kapli i ich mały samochód na podwórzu. Z komina ulatywała smużka dymu. Helena stała przed domem, za nią jakiś mężczyzna. Józek wszedł do obórki, pies też. Po chwili wyprowadzili krowę, kierując się na łąkę, na której pasł się koń. Mężczyzna postawił jakieś pudło na progu domu i oddalił się ku drodze, Helena zniknęła w środku. Drzewa w sadzie, stare i zaniedbane, zakołysały się lekko, jakby to one wywoływały wiatr, a nie on nimi kołysał.

– Pamiętasz, jak Jacek, kiedy był mały, nie lubił wiatru? Twierdził, że to ruch drzew go wywołuje. Zresztą miał mocne argumenty, pokazywał je na wachlarzu ciotki... Miał receptę, jak wyeliminować wiatry: wyciąć drzewa!

Marianna się zamyśliła.

– Ciotka Róża, dzielna nosicielka kaganka oświaty – powiedziała w zadumie. – Zostawiła miasto, zdębiała z wrażenia familię i wyjechała na wieś. Czuła się tu potrzebna i szczęśliwa. Nie była ładna, ale dobra, uczynna i miała zniewalający urok. Bili się o nią młodzi gospodarze, a wygrał weterynarz Bronisław Kapla. Wzięli ślub, nasza rodzina uznała to za dyshonor i mezalians i prawie się jej wyrzekła. Co nie przeszkadzało przyjmować od niej tłustej gąski na święta, grzybów, koszy czarnych przesłodkich czereśni, czy podsyłać jej dzieci na wakacje. Kochana ciotka Róża. A potem wuj Bronuś utopił się w słabo zamarznętym jeziorze, a ona dzielnie nadal prowadziła szkołę i gospodarstwo.

– A dlaczego wszystko zapisała tobie?

– Sama nie wiem. Nie mieli dzieci... a tak naprawdę to z wszystkich dzieci z naszej rodziny ja jedna kochałam to miejsce. Nawet nieźle pracowałam w polu...

– Jednym słowem od dziecka byłaś robotna. – Krzysztof, zgodnie ze swoją naturą, czujnie zniszczył w zarodku rzewne nuty Marianny.

– A potem studia, ty, dzieci, i zdradziłam ją. A ona... Tak. Czasem nieodwracalnie przegapiamy coś w życiu. Chodźmy.

Dotarli do obejścia i weszli na podwórze. Krzysztof zegnał kurę z dachu samochodu. Uciekła w popłochu, zostawiając na masce dowód swego przerażenia. W drzwiach stanęła pani Helena, uśmiechając się bardzo serdecznie.

– Te króle to od Kowala Henryka. – Wskazała na pudło na progu domu. – Za chłopczyka i za żonę. Dla pana doktora – powiedziała ciepło i z uznaniem.

– O Boże... – jęknął Krzysztof. – No nic. Dziękuję.

Marianna nachyliła się nad parą białych królików.

– Piękne. Ale muszą tu zostać.

– Pewnie. Co tu wozić w tę i z powrotem – zgodziła się pani Helena. – No, proszę. Śniadanie czeka. Lubią miód z gryki?

Ruszyła w głąb domu, a oni za nią.

Przy kościele Krzysztof skręcił w lewo i zatrzymał samochód.

– Chyba możemy tu wszystko zostawić?

Na tylnym siedzeniu leżały ich walizka, a obok bochen chleba, wysoka butelka ze śmietaną, jaja i coś zawinięte w białą serwetę.

– Jasne – mruknął Krzysztof i wysiadł. Zamknął samochód i dołączył do stojącej, patrzącej na kościół Marianny.

– Podoba mi się – powiedziała. – Skromny, ma swój styl. W środku pewno cicho, łagodnie... Jesienią kobiety znoszą floksy i astry i swoją pokorą sprawiają przyjemność Panu Bogu.

– Dla mnie pokora kobiet zawsze pachnie wyrachowaniem. Poczciwym, naiwnym, ale wyrachowaniem.

– Co ty wygadujesz! – Marianna udała zgorzienie.

– No tak: przyniosę kwiatki, przypodobam się Jezusickowi, to może kury będą się lepiej niosły i Krasuli minie wzdęcie... Zajrzyjmy do środka, mamy jeszcze trochę czasu – zaproponował Krzysztof, ubiegając wybuch protestu Marianny. – Może ksiądz zaprosi nas na nalewkę z czarnej porzeczki. Chociaż ty wyobrażasz go sobie jako żarliwego misjonarza. Będzie miał przetartą, wierną sutannę, płomienne spojrzenie Savonaroli i niezbyt oskrzeli... – Krzysztof niezbyt delikatnie parodiował egzaltację Marianny, naciskając ciężką, ozdobną klamkę u drzwi.

Ale były zamknięte.

– Wykrakałeś niezbyt oskrzeli i ksiądz pewno leży – powiedziała Marianna. –
Idziemy.

Ruszyła w stronę cmentarza.

– Niezbyt oskrzeli jest uleczalny... – zauważył, idąc w ślad za Marianną.

Przeszli przez skrzypiącą furtkę. Wśród starych drzew ciągnęły się alejki biednych i bogatych grobów z lastryka, ozdobionych paskudnymi sztucznymi kwiatami i niedopalonymi lampkami. To niewątpliwie był już nowy, powojenny cmentarz, bo nie dostrzegli żadnych starych nagrobków czy niemieckich napisów, no i straszyl brzydota niczym socjalistyczne blokowisko. Marianna zatrzymywała się, odczytując półgłosem jakąś sentencję czy wiek zmarłego.

– Jak tu długo żyją ludzie, chyba że odchodzą w jakichś dramatycznych okolicznościach. O, jest stara brzoza, to za nią w drugim rzędzie z brzegu...

– Z brzegu – poprawił ją zdziwiony Krzysztof.

– Pani Helena powiedziała z brzegu. To ładniej.

– Początki chłopomanii! – ironizował.

– Chłopomanką to ja byłam zawsze, chociaż w trochę innym sensie – odgryzła mu się.

– Jako były baboman rozumiem cię – odparował.

– Były? Czyżby? – Zmrużyła oczy. – A ta doktorantka Basia?

Westchnął ciężko, na pokaz.

– Znowu?

Stanęli nad skromnym grobem Róży: data urodzin, śmierci, dużo wypalonych świeczek, suche wianki, a w słoiczku pęczek zielonych gałązek i kilka dawno zwiędłych kwiatków.

– Chciałabym posadzić tu pnącą czerwoną różę. Może kiedyś...

– Wracajmy – powiedział Krzysztof.

Znała ten ton, więc bez ociągania się poszła za nim. Z naprzeciwka pojawił się grubutki księżuło w puchatej kurtce na odprasowanej i nieprzetartej sutannie. Uśmiechał się promiennie.

– Niech będzie pochwalony. Czy to państwo Kalinowscy, krewni pani Róży?

– To była moja ciotka – odpowiedziała Marianna.

– Witam serdecznie. Zaprosiłbym na plebanię, tylko że tam wielkie odnawianie...

– Dziękujemy bardzo – uśmiechnął się Krzysztof – ale spieszymy się do Ełku, a

potem czeka nas droga do Warszawy.

– A, no tak – ucieszył się ksiądz i nagle posmutniał. – Pani Róża... światły, pracowity człowiek. Dobra chrześcijanka. Cóż... wszyscy jesteśmy śmiertelni, a najszybciej odchodzą najlepsi... – Przymknął oczy, otworzył i ożywił się. – A więc do Ełku... czy nie dla załatwienia formalności w związku... – wskazał palcem w stronę grobu ciotki.

– Tak – podchwyciła Marianna – właśnie tak.

– Moi drodzy państwo... przepraszam, że pozwolę sobie tak wprost. Czy państwo nie będą sprzedawać... proszę wybaczyć, to nie grzeszna interesowność – zaśmiał się nieszczerze – bo mój siostrzeniec marzy o zbudowaniu pensjonatu na Mazurach. Miejsce piękne... oczywiście konieczne są kolosalne nakłady na budowanie od podstaw, ale między nami mówiąc, siostrzeniec ma swoje hurtownie i jakoś, prawda, prosperuje. Z zawodu inżynier chemik, ale cóż... – Boleśnie zagryzł usta i rozłożył ręce.

– I chciałby ksiądz, żeby – uprzejmie powiedział Krzysztof – u notariusza...

– Dużego – podrzucił łagodnie ksiądz. – Jego nazwisko: Duży.

– Duży? – Krzysztof się uśmiechnął – ...żeby u niego zasugerować prawo pierwszeństwa dla inżyniera...

– Gwidona Massalskiego – uzupełnił ksiądz gorliwie. – Mecenas Duży jest zorientowany.

– Rozumiem. – Krzysztof rzucił przelotne spojrzenie na Mariannę, ale ona patrzyła w stronę grobu ciotki Róży, wciąż tkwiąc w nastroju wspomnień.

– No, to pięknie, moje dzieci – ksiądz złożył dłonie w geście modlitewnym – bardzo pięknie.

– To ksiądz był łaskaw chować ciotkę Różę? – zapytała nagle Marianna.

– Ja – odrzekł ksiądz z dumą, różowy i uśmiechnięty.

– Bardzo dziękuję. A kto płacił za pochówek? Chciałabym...

– Wszyscy. Wszyscy się złożyli, moje dziecko. I dodało kuratorium.

– Chcielibyśmy zwrócić... – zaczęła Marianna.

– Nie ma komu... A i nikt by nie przyjął. Ona była nasza.

– Ale przyjmie ksiądz datek na kościół, dobrze? – wtrącił się Krzysztof.

– Ale symboliczny, moi drodzy... symboliczny. – Ksiądz skromnie spuścił oczy.

Zaparkowali na ciągnącej się wzdłuż jeziora ulicy zabudowanej szeregiem nowych,

schludnych domów jednorodzinnych. Krzysztof popatrzył na zegarek.

– Jeszcze mamy trochę czasu.

– Poczekamy...

Siedzieli bez słowa. Zza chmury wyszło słońce i zapaliło jak lampiony złote liście na szpalerze lip i klonów. Wędkarz na małej łódce zamachnął się spinningiem. Krzysztofowi podobało się to miasto. Rozciągnięte nad brzegiem dużego jeziora, kameralne w nastroju, a jednak czuło się w nim dynamizm i wolę zmian. Stare domy pieczęłowicie odnawiano, ulice taktownie modernizowano.

– Wiesz, jak się nazywał po niemiecku Ełk? Lyck, czyta się jak angielskie *lick*, znaczy lizać.

– Świnia!

– Dlaczego świnia? Lizać, na przykład loda. Przepraszam: lody.

– Świnia, świnia, świnia! To tak sobie rozmawiacie na waszych radach wydziału, co?! Może jeszcze w togach?!!

– W togach wyłącznie tak.

Znowu zamilkli, ale nie na skutek tej niepoważnej sprzeczki, która najwyraźniej należała do ich małżeńskich rytuałów, już bliskich stanowi nudy. Mariannę cały czas zaprzątała jakaś myśl, powodując jej roztargnienie i zapadanie w nieobecne milczenia. Krzysztof obserwował ją kątem oka, wciąż jeszcze miała dla niego wiele powabu, chociaż rysy jej twarzy zaczęły się już trochę rozmywać. Nigdy zresztą nie należała do piękności. Krzysztof, w młodości zawsze otoczony rojem pięknych dziewcząt, nabrał doświadczenia, że ich miłość własna i nieustający zachwyt swoją urodą nie dają szansy na trwałość poważniejszego związku. Zresztą nie przepadał za typami, które uchodzą za urodziwe. Zawsze drażniły go zbyt duże oczy, bo uważał je za „krowie” lub wylupiaсте, zbyt wydatne usta, bo były dla niego „murzyńskie” albo „mineciarskie”, zbyt bujne włosy wróżyły w przyszłości wyraźny cień nad górną wargą, jeśli nie wręcz wąsy. Myśl, że można się związać z kobietą, która na starość będzie miała wąsy, śmieszyła go w odniesieniu do każdego, tylko nie do siebie, tu przenikał go dreszcz grozy i obrzydzenia. Kiedyś, w Zakopanem, stał w aptece w kolejce do okienka, przed nim stała mała staruszka, której twarzy nie widział, zresztą odwracał głowę, aby nie czuć silnego, zalatującego od niej zapachu piżma. Dopiero kiedy dotarła do okienka, zobaczył z profilu jej twarz. Pochyliła się i przez otwór w szybie wyszeptała: „Pani magister, może pani da mi coś na to?” – Wskazała dyskretnie palcem na miejsce pod nosem. „Na wąsy?” – zapytała głośno farmaceutka. Biedna staruszka zmieszała się i jakby skuliła pod uderzeniem tych słów. Krzysztof

dopiero wtedy zobaczył wąsy staruszki, rzeczywiście zadziwiająco bujne. Kiedyś mogłaby wręcz występować w cyrku jako „Kobieta z wąsami”. Postępowanie farmaceutki uznał za ohydne i okrutne, ale scena była tak nieodparcie śmieszna, że Krzysztof dostał małego rozumu, zaczął się dusić, próbując pohamować śmiech, który dobiłby staruszkę, i aż musiał wyjść z apteki, aby się nie skompromitować. Zrezygnował przez to z kupna maści na odmrożenia, więc ucho spuchło mu jak bania i potem przez lata piekło na zmianę pogody.

A uroda Marianny była superzwyczajna: włosy w młodości jasne, potem ściemniałe z nutą rudości, usta średnie, oczy nie za małe, nie za duże, typ mazowiecko-nadwiślański, klasyczna dziewczyna z sąsiedztwa. Tylko figurę miała świetną, ale ta najszybciej uległa erozji, po dwóch ciążach i dzięki niepohamowanej skłonności do słodyczy. Wprawdzie Marianna umiejętnie tuszowała swoją nadwagę, ubierała się w luźne, przeważnie czarne stroje, jakieś długie spódnice, powyciągane swetry, jej status „plastyczki” to usprawiedliwiał i odciągał uwagę od prawdziwych przyczyn, ale też niestety źle to działało na libido Krzysztofa. Typ, na jaki się uporczywie stylizowała, zawsze kojarzył mu się z zaniedbaniem, niedomyciem, niedopranie, a przecież w rzeczywistości Marianna była maniaczką higieny i doprowadziła się do tego, że była całkowicie „bezwonna”, co też niezbyt podobało się Krzysztofowi. Docinał jej zawsze, mówiąc: „wizyta pani higienistki”, kiedy przychodziła do niego do łóżka, ale w końcu potrafiła w nim wzniecać jakie takie zapaly. A może pora na jakieś zmiany...? Stop! Opędził się od tych myśli i wrócił do tego, co dziś rano, gdy szli od porodu przez pola, zakiełkowało mu w głowie: a może to jest pomysł?! Może wariacki, spontaniczny wybuch entuzjazmu Marianny, jej naiwny, sentymentalny, nieobliczalny wybryk wyobraźni: marzenie, żeby tu zamieszkać, może to wcale nie jest takie głupie...?

Marianna nagle się ocknęła. Zaczęła mówić szybko, jakby bała się dopuścić Krzysztofa do głosu:

– Krzysiu, wolałabym jednak, abyśmy to zgłosili do agencji z pierwszeństwem dla miejscowych. Zrozum mnie dobrze...

Nie odwracając się, patrząc przed siebie, przerwał jej spokojnie:

– Słuchaj, a po co ten pośpiech?

– Jak to?

– No... z tą sprzedażą... – wycedził leniwie.

Popatrzyła na niego z nadzieją.

– No, co ty?

– Chyba że nie podoba ci się to miejsce...

Marianna osłupiała.

– Rany boskie... Krzysiu!

– Co? – zapytał spokojnie, świadomie prowadząc grę.

– To znaczy... to znaczy, że... Łotrze! Draniu! Kiedy podjąłeś tę decyzję?!

Krzysztof!!!

– Tylko nie becz! – Krzysztof podniósł palec do góry. – Myślałem o tym cały czas, szczerze mówiąc, ale dojrzało już tu. No, może wcześniej, ale nie mogłem ci mówić w czasie jazdy, bo doszłoby do jakiejś kraksy.

Marianna schowała twarz w dłoniach, całkowicie osłabiona.

– Nie umiem ci powiedzieć...

– Pomilczmy chwilę, moja droga. – Krzysztof sparodiował patetyczny ton.

– Do diabła z Hiszpanią, ale... chciałeś kupić dobry samochód.

– A ten jest zły? – zdziwił się Krzysztof. – Wygodny, cichy, elegancki...

Podjechała świetna czarna limuzyna japońskiej marki, z której wysiadł mały mężczyzna w dość długim płaszczu, z typową czarną walizką. Popatrzył na zegarek i skierował się w stronę bramy z tabliczką kancelarii notariusza. Krzysztof sięgnął po kluczyki.

– „Podjechała pusta dorożka i wysiadł z niej poeta Leśmian”, jak powiedział Franc Fiszer. Pani dziedziczko: notariusz Duży oczekuje na pani podpis.

Pół godziny później, po otwarciu i odczytaniu testamentu, po podpisaniu przez Mariannę dokumentów o przyjęciu spadku, mecenas Duży nie wytrzymał i zapytał wprost:

– Podobno chcą państwo zgłosić obiekt do agencji, bo ja miałbym...

– Nie – przerwał mu Krzysztof – zdecydowaliśmy się na razie nie sprzedawać posiadłości. Na razie – powtórzył z naciskiem, patrząc wymownie na Mariannę. – Będziemy ją trzymali jako dom weekendowy, wakacyjny.

– No, tak, ale takie domy generują koszty cały rok, nie wiem, czy...

– Jeszcze jesteśmy w wieku produkcyjnym, panie mecenasie, mamy też zamożne, a w każdym razie zaradne dzieci, damy sobie radę. Przynajmniej do końca przyszłego sezonu, a potem zobaczymy. Miło było pana poznać, panie mecenasie.

Krzysztof pańskim gestem podał rękę notariuszowi, ten przełknął upokorzenie z zawodową wprawą i odprowadził klientów do wyjścia. Czuli się tak

dowartościowani, że na dobrą sprawę powinni byli wsiąść do luksusowej limuzyny mecenasa, a nie do swego żalostnego malucha, który postanowił nie robić im wstydu i odpalił za pierwszym przekręceniem kluczyka. Kolebiąc się na wybojach jak kaczką, ruszył ku szosie wyjazdowej z miasta.





2.

Lotniarz zacisnął rzepy kasku, założył okulary, poklepał się po kieszeni na suwak, sprawdzając, czy ma dokumenty. Po co mi dokumenty? – pomyślał. – Jeśli spadnę, wszyscy mnie tutaj znajdą. A jeśli wzbiję się w kosmos?... Uśmiechnął się, ale tylko do siebie, bo pod tym kaskiem i okularami nikt by tego nie zobaczył. W tym stroju wyglądał absolutnie anonimowo, a więc tak jak powinien wyglądać obiektywny, bezstronny świadek rzeczywistości, beznamiętny obserwator, który przygląda się światu z pewnego oddalenia, notuje spostrzeżenia, ale nie ocenia, nie wymierza sprawiedliwości. Patrzy.

Podszedł do motolotni i uruchomił silnik, swoją dumę i nadzieję. Pracował nad zmotoryzowaniem lotni przez ostatnie tygodnie i wreszcie nadszedł dzień próby. Usadowił się na siodełku, zapiął pasy i lekko wbił się w powietrze. Zachwyciła go łatwość, z jaką wystartował i nabierał wysokości, a widok odwieczny, tak dobrze mu znany, znowu zaparł mu dech. Było przedwiośnie, przełom marca i kwietnia, jeszcze gdzieś tam widniały łąki brudnego śniegu, ale spod brunatnych plam gliniastej ziemi zaczęła przezierać nieśmiała zieleń. Tylko tafle jezior lśniły już wiosennie, odbijając błękitne niebo i białe, optymistyczne obłoki.

Lotniarz zatoczył koło i zaczął wzbijać się coraz wyżej i wyżej, jakby chciał, aby te mikroby, które oblaży ziemię, stały się dla niego niewidoczne, aby ich domy, wieże kościołów natarczywie celujące w niebo, ich samochody pełnące bezrozumnie drogami, aby to wszystko zniknęło wobec ogromu pól, lasów i jezior, wobec majestatu ziemi.

A na ziemi pani Helenka pędziła, zasapana wskutek swojej tuszy, przez niemiłosiernie zagracone podwórko sołtysa, rozpryskując gumiakami soczyste błoto.

– Już lecę, lecę! Nie odkładajcie słuchawki, sołtysie!

– Dobra, dobra. Nie odkładam... – usłyszała głos sołtysa z głębi chałupy.

Pani Helenka wpadła do kuchni, sołtys z petem w kąciku ust flegmatycznie podał jej słuchawkę.

– Józek?! Matko Boska, co się stało?

– To nie Józek – powiedział sołtys z pobłażliwym politowaniem i umościł się wygodnie na ławie, najwyraźniej zamierzając bezceremonialnie przysłuchiwać się rozmowie – z Warszawy dzwoniło...

Do chałupy wbiegł dziesięcioletni grubasek, wnuk sołtysa, ze swoim wściekle rozszczekany małym kundelkiem o głowie charta i krzywych nogach jamnika.

– Pani Misztalowa to ma biegi! – wysapał mały.

– Taran, wypier...! – sołtys zaczął rugać swojego psa, ale zmitygował się ze względu na panią Helenkę i złagodził wersję: – Taran, wyjdź po dobroci z chałupy, bo ci jaja urwę!

Ale do pani Helenki i tak nie docierało, co się dookoła niej dzieje; słuchała, niespokojnie poruszając wybałuszonymi z wysiłku i emocji oczyma, po czym nagle rozpoznała się promiennie.

– A, to pani Marianna! Jużem się przeraziła, że to Józkowi coś się stało, bo do Ełku pojechał, a to pani... – Ale ulga, że to nie Józek, trwała krótko, bo pani Helena znów się zaniepokoiła: – Ale co się stało?

– Nic się nie stało, pani Helenko – usłyszała uspokajający głos Marianny. – A właściwie to się stało, małe nieszczęście się stało: mieliśmy jutro przyjechać na dwa, trzy dni, tak jak pisałam, bo chociaż w Warszawie spływają strugi deszczu po szybach i jest obrzydliwie chłodno, nieprzyjemnie, chciałam się zabrać za porządki, może już w ogrodzie coś da się zrobić, a tu mąż musi być w instytucie, a ja znów w poniedziałek mam...

– A to nie szkodzi, nie szkodzi... To później przyjadą, za tydzień albo dwa. Przecie się nie pali, a porządki to już my sami zaczęli trochę robić... – odpowiedziała dobrodusznie pani Helena, już całkiem uspokojona.

– Misztalowa, zapytajcie, czyby gdzie kasety do aparatu na rolfilm nie dostali, to im zwrócę, jak przywiezo... – wciął się sołtys, ale pani Helena wzruszyła tylko ramionami i spiorunowała go wzrokiem, wcale nie zamierzając powtórzyć tej prośby Mariannie. Kończyła rozmowę, a przekazując pozdrowienia, kłaniała się i uśmiechała, jakby Marianna mogła to zobaczyć.

– Do widzenia, do widzenia. A proszę i pana profesora od nas pozdrowić.

Odłożyła słuchawkę i powiedziała ostro do sołtysa:

– Co wy znów z tą kasetą wyjeżdżacie! Przeciem o niej słyszała jeszcze, jak mój świętej pamięci nieboszczyk Wiktor na dożynki do Warszawy jeździł, gdzie go do podawania chleba Gomułce wybrali, bo te wąsiska jego starodawne im się spodobały...

– Ale mi jej nie przywiózł! Ile mi ludzi obiecywało bez te lata i nikt nigdy nie przywiózł, to może ci wasi by przywieźli – wyjaśnił sołtys z markotną miną.

– To ich sami poprosicie, jak będą, a nie przez osły-posty... – sztorcowała go pani Helena.

Marianna siedziała zasmucona przy telefonie, skulona z zimna w fotelu, drobnymi łyżkami pijąc gorącą, parującą herbatę. Ich niewielkie mieszkanie na trzecim piętrze przedwojennej ogromnej kamienicy na żoliborskim placu Inwalidów, choć przytulnie urządzone, zionęło teraz wilgotnym chłodem, co usprawiedliwiało kilka nałożonych na siebie swetrów, w żadnej mierze niewyszczuplających jej sylwetki, i kraciasty, babciny w wyrazie pled, którym owinęła kolana. Zwykle pilnowała się, żeby w obecności Krzysztofa nie wyglądać jak babcia, toteż kiedy usłyszała zgrzyt klucza w zamku, zerwała się i pobiegła do przedpokoju, po drodze zostawiając pled na kanapie. Na płaszczu męża lśniły kropelki wody, z ronda całkiem przemoczonego kapelusza kapały już krople.

– Z nieba leją się pomyje, ohyda!

– Nie rozbieraj się – powiedziała na powitanie Marianna – jedziemy do Jacków...

– Co się stało?

– Musimy pobejbisiterować przy Jaśku, oni idą na premierę tego filmu, przy którym Jacek pracował. Chcieli przywieźć Jaśka do nas, ale powiedziałam, jaka u nas zimnica...

– Co, nadal nie grzeją? Dzwoniłaś do administracji?

– Dzwoniłam. Już nawet nic nie obiecują. Całe osiedle nie ma ciepła.

– Cholera by ich wzięła! Miałem dziś pisać koreferat dla tej, jak jej tam...

– Musiałbyś mieć rękawiczki bez palców – podsunęła Marianna, wkładając płaszcz.

– Ty się śmiejesz! Panufnik pokazywał mojemu ojcu takie właśnie rękawiczki, dzięki którym mogli z Lutosławskim grywać na cztery ręce w czasie okupacji, jak nie było czym palić – powiedział Krzysztof, podtrzymując jej płaszcz. – W płaszczech i nausznikach grali w domu generałowej Ponieckiej, tu, na Żoliborzu Oficerskim...

– A ona, ta generałowa?

– Co generałowa?

– Też w nausznikach słuchała? – W oczach Marianny zapaliły się iskiereki uśmiechu.

– Nie żartuj sobie z martyrologii narodu. – Krzysztof pogroził jej palcem.

- Zadzwoniłam do pani Heleny, że nie przyjedziemy.
- Co powiedziała?
- Pocieszała mnie, że przyjedziemy za tydzień.
- Skąd ona może wiedzieć, co będzie za tydzień... – zrzędził Krzysztof, wychodząc.

Zdjęli mokre okrycia i przywitali się w przedpokoju ze swoim synem Jackiem i synową Izą. Młodzi, odświętnie ubrani, podnieceni czekającymi ich tego wieczoru przyjemnościami, wyglądali przystojnie i uroczo. Jacek, bardzo podobny do ojca, ale o pół głowy wyższy, ciemny i smukły, miał prezencję amanta filmowego, jego żona Iza, też ciemna i szczupła, obdarzona była wyjątkowo bujnym biustem, którego jednak wydawała się wstydić i zawsze maskowała go jakimś wymyślnym ubiorem. Krzysztof, który jak zwykle pilnował się, aby omijać wzrokiem figurę synowej, uchylił drzwiczki szafki licznikowej i powiedział surowo:

- Widzę, że pan gospodarz nadal nic nie zrobił w sprawie przeniesienia licznika gazu na zewnątrz.
- Dzwoni tam raz na tydzień, zawsze mówią, że w przyszłym tygodniu – odrzekła Iza.
- Wylecicie kiedyś w powietrze, zobaczycie!
- Mielibyśmy piękny *pi-ou-wi*: z lotu ptaka – zaśmiał się Jacek.
- Och, jak ja nie lubię takich żartów – skrzywiła się Marianna. – Co za *pi-ou-wi*?
- Nie lubisz takich żartów, bo jesteś zabobonna. *Pi-ou-vi to point of view*, czyli punkt widzenia, tak się mówi w filmie.
- Snobujecie się na Hollywood?! – warknął Krzysztof, ale Jacek już nie mógł na to odpowiedzieć, bo do przedpokoju wpadł Jasiek, pięcioletni wnuk Marianny i Krzysztofa, i rzucił się babci na szyję.
- Babciu: na koń! Poczytasz mi Conana?

Marianna przytuliła go z miłością i pocałowała, aż oczy jej się zwęziły z rozkoszy. Podała Jasia do ucałowania Krzysztofowi, który też dostał maślanych oczu na widok wnuka.

- Dziadek, twoja broda kłuje, ale ładnie pachnie! – krzyczał malec.
- Krzysztof schylił się i laskotał swoją brodą bosą, wystającą z piżamki stópkę Jasia. Ten zaśmiewał się i kulił nogi, ściskając Mariannę za szyję.
- Przestań, bo on mnie udusi! – krzyczała Marianna, ale była zachwycona.
- Jasiek, uspokój się, wariacie – Jacek starał się być groźny.

– To dziadek jest wariat i niech się uspokoi! – chichotał Jasek.
– No, no! Nie pozwalaj sobie! – skarciła chłopca mama.
– Trochę więcej szacunku dla siwej brody! – Krzysztof wpadł w jej quasi-poważny ton.

– O której wrócić? – zapytała Marianna, oddając Jasia Izie, która postanowiła zanieść syna do łóżeczka.

Wszyscy weszli za nią do dzieciennego pokoju.

– No właśnie, mam: czy moglibyście tak do dwunastej, góra pół do pierwszej? – zapytał błagalnie Jacek.

– Taki długi film? – zdziwiła się naiwnie Marianna.

– Bankiecik, moja droga, bankiecik – zaśmiał się Krzysztof – to ważniejsze od premiery!

– Zdziwicie się: moja siostrunia i Robert idą z nami – powiedział Jacek.

– Co się stało, przecież to tylko polski film, a nie Pavarotti?! – ironizował Krzysztof.

– Polski, ale w koprodukcji z Francuzami. Przyjechała cała delegacja żabojadów. Jest Annie Girardot i Depardieu, a bankiet będzie w Mariotcie...

– No, a już się przestraszyłem, że Kaśce coś się stało... – Odetchnął z przesadną ulgą Krzysztof.

Marianna skrzywiła się i zgromiła go spojrzeniem, ale zmilczała. Iza ułożyła Jasia w łóżeczku i powiedziała surowo:

– Ale jak się dowiem, że o ósmej godzinie światło nie było zgaszone...

– ...to za karę już nigdy nie pójdziecie do kina – skończył Jasek, chichocząc szelmowsko.

– No, nie: co z niego wyrośnie? – Iza pokręciła głową.

– Szkoła dziadka – rzuciła Marianna, ale bez złośliwości, przeciwnie, z dumą, która odnosiła się do wnuka, i do męża.

– Chodź już, bo się spóźnimy – ponaglił Izę Jacek i wychodząc z pokoju, puścił jeszcze szelmowskie, porozumiewawcze oko do swego syna. Jasek odwzajemnił mu się tym samym.

W pokoju dzieciennym, większym niż całe ich żoliborskie mieszkanie, światło było przytłumione, paliła się tylko mała punktowa lampka nad fotelem, na którym siedział Krzysztof pochłonięty lekturą gazety. Marianna, skulona na małym taboreciku przy białym łóżeczku Jasia, przyciszonym głosem opowiadała mu bajkę:

– ...i wtedy ten chłopczyk wypuścił wróbelka z pudełka, przybiegł do babci i powiedział: „Wiesz, babciu, obiecuję ci, że już nigdy nie będę łapał ptaszków, jak przyjadę do ciebie...”.

– Tylko będę łapał jaszczurki i żaby – odezwał się Jasiak nagle przytomnym głosem, chociaż chwilę wcześniej oczy mu się kleiły.

Marianna jednak nie dała się wciągnąć w dyskusję z małym i spokojnie kontynuowała:

– Tymczasem wakacje już się skończyły i chłopiec musiał wrócić do miasta, do swoich rodziców, ale obiecał babci i dziadkowi, że przyjedzie do nich na wieś na Boże Narodzenie. Tylko że do Bożego Narodzenia było jeszcze daleko. Najpierw przyszła jesień i wszystkie listki pożółkły i poczerwieniały, a potem zaczęły spadać. Spadł jeden listek, a potem drugi listek, a potem trzeci listek, a potem czwarty listek...

Jasiowi powieki zaczynały opadać, ale zawzięcie z tym walczył. Marianna mówiła coraz ciszej, coraz monotonnaiej:

– ...a potem piąty listek... i szósty listek... i siódmy listek... i ósmy listek... dziadek nie szeleść gazetą... i dziewiąty listek...

– Co?! – Jasiak siadł na łóżku z oczami jak talerzyki. – Dziadek spadł z drzewa?!

– Nie, nie, śpij, to listki z drzewa spadają: dziesiąty listek... jedenasty listek...

Krzysztof zasnął smacznie w fotelu, gazeta wypadła mu z ręki, okulary przekrzywiły się na nosie. Marianna, z zamkniętymi oczami, umęczonym głosem recytowała:

– Sześćdziesiąty siódmy listek... sześćdziesiąty ósmy listek...

Jasiak podniósł się na łokciu, szarpnął Mariannę za rękaw i szepnął:

– Babciu, babciu! Dziadek zasnął.

Pół godziny później Marianna siedziała w kuchni Jacków, w zamyśleniu jedząc kanapkę i pijąc herbatę. Wszedł Krzysztof.

– Wreszcie zasnął – powiedział.

– Jak to zrobiłeś?

– Dałem mu kielicha.

– Głupi.

– Ale nie wiesz, co mi jeszcze powiedział. Że nie lubi, jak mu tata czyta na dobranoc, bo od pewnego miejsca zaczyna tak czytać, że on już nic nie rozumie, a po chwili tata zasypia i tak chrapie, że nie można zasnąć...

– A to szelma. Ale ty tak samo natychmiast zasypiałeś, usypiając Jacka, pamiętasz? Zrobić ci kanapkę?

– Zrób.

Marianna wstała i zaczęła się krzątać po kuchni.

– Wiesz, ucieszyłam się, że Kasia i Robert poszli z nimi. Kasia i Jacek nie powinni tracić ze sobą kontaktu...

– Chociażby po to, żeby drzeć ze sobą koty.

– To tylko taka maniera. Zawsze kłócili się zęb za zęb, a jak przyszło co do czego, to w ogień by za sobą wskoczyli. Pamiętasz, jak Jacek wziął na siebie zbiecie tej miśni, a Kaśka dopiero po maturze się do tego przyznała.

– Ale jak się przyznała: powiedziała, że go przekupiła tym, co uzbierała na rower.

– Bujała. Zawsze musi być jej na wierzchu. Ona się strasznie męczy z tym swoim charakterkiem...

– Też tak myślę – powiedział Krzysztof i rzeczywiście się zamyślił. Przebiegł w pamięci przez kilka wydarzeń w historii ich rodziny: mała Pusia (tak nazywali córeczkę w dzieciństwie) w długiej do kostek koszulce nocnej schodzi po schodach w willi dziadków do jadalni, ma złowróżbną minę, trze piąstką oko i mówi ostrzegawczo: „Tylko niech mi nikt nie mówi dzieńdoberek!”. Dziadkowi z wrażenia okulary spadły do talerza z owsianką. Albo parę lat później, jest już na świecie Jacek, po pierwszych latach matkowania braciszкови, który wygrywa z każdą lalką, bo przecież naprawdę płacze i sika, przychodzi epoka konfliktów i zazdrości. „Jemu wszystko wolno...”, „On zawsze jest na pierwszym miejscu...”. Irracjonalne pytania ciotek: „Kogo bardziej kochasz, tatusia czy mamusię? A mamusia kogo? Ciebie czy Jacusia?”. Pojawia się konieczność wyboru, wartościowania. Krzysztof wypatrzył w „Życiu Warszawy” ogłoszenie: „Ogary polskie z góralskiej hodowli...” – snobizmy i sentymy literackie, a przede wszystkim uroda tej ginącej rasy spowodowała, że nawiązał kontakt, a potem pojechał do Zakopanego. Zdecydowali, że ma być suczka, wrócił z parką: „Nie miałem serca ich rozłączać” – usprawiedliwiał się słabo. Kasia – nie była już Pusią, szła po wakacjach do szkoły – powiedziała z politowaniem: „Rodzeństwa? Przecież to nie małżeństwo!”. Popatrzyli po sobie z Marianną: „No, no!”. W jakąś niedzielę pojechali z pieskami na wycieczkę do Młocin. Szura i Goofy – tak je nazwali – biegały na miękkich łapach wzdłuż brzegu małej zatoczki i czekały na wodę, piasek się obsunął i wpadły na głębinę. Szura natychmiast zaczęła młócić wodę łapkami, prac jak parowiec do brzegu, a Goofy poszedł na dno, jak kamień. „Utopi się, utopi!” – krzyczał Jacek, zalewając się łzami. „Głupszi bracia

nie umieją pływać...” – odpowiedziała mu Kasia i pomogła Szurze wyleźć na piasek. Krzysztof wskoczył do wody w ubraniu i wyciągnął Goofy’ego za kark.

– Już przestań się tym zadrećcać – powiedziała domyślnie Marianna – lepiej zagrajmy w scrabble.

Spojrzał na nią i kiwnął porozumiewawczo głową. Pomyślał z uznaniem, że Marianna zawsze potrafi odgadnąć, co go trapi, i jak cień przemknęła obawa: a jeśli ona umie czytać wszystkie moje myśli?

Krzysztof ziewał jak hipopotam, ale bohatercko dotrzymywał towarzystwa Mariannie, chociaż grał coraz bardziej nieuważnie.

– Wiesz, zawsze się zastanawiam – mówił – jak to jest: ty, jak każdy plastyk, jesteś trochę niedouczona: nie przeczytałaś za dużo książek, czasami nawet robisz błędy ortograficzne, a prawie zawsze ze mną wygrywasz...

– Bo tak już jest na świecie: głupota zawsze wygrywa z mądrością, a już szczególnie z profesorską – zaśmiała się Marianna i przerwała, bo usłyszała otwarcie drzwi wejściowych i głosy w przedpokoju.

W drzwiach kuchni stanęło rozbawione towarzystwo: Iza, Jacek, jego siostra Katarzyna i Robert, jej mąż. Jacek trzymał w uniesionej triumfalnie ręce butelkę szampana.

– Veuve Clicquot z autografem Gérarda Depardieu! Iza, dawaj kieliszki!

– Chcecie nas przekupić, to jest ta wasza dwunasta?

– To moja wina, mam – odezwał się Robert, wiedząc, że teściowa ma do niego słabość. – Wyrwaliśmy tych Francuzów z Mariotta, żeby zobaczyli trochę miasta. Dlatego przyszliśmy przeprosić...

– Ci idioci zawieźli ich do pubu transwestytów na Ursynów – skarżyła na brata i męża Katarzyna.

– I bardzo im się podobało! – odciął się Jacek.

– Zwłaszcza zakończenie rajdu Monte Carlo – dodała Iza, podając kieliszki.

– Jakiego znowu rajdu? – zapytał trochę nieprzytomnie Krzysztof.

– Jacek, Robert i ten Depardieu stali na dachu samochodu i sikali z butelek szampana, jak rajdowcy na mecie.

– To było piwo – sprostował Jacek.

– Oczywiście pomysł Jacusia – dodała Katarzyna zjadliwie.

– Staliście we trójkę na dachu twojego porsza? – zapytał z niedowierzaniem Krzysztof Roberta – bo chyba nie na garbusie Jacka.

– Na polonezie kierownika kina, który się do nas przyczepił. Był zachwycony... – zaśmiał się Jacek.

– Widziałeś, jakie chamy! – kiwała głową Kasia, ale już z uśmiechem aprobaty.

Strzelił korek, szampan zaczął lać się do kieliszków, unieśli je w górę, stuknęli się i wychylili toast.

– Usiądźmy jeszcze na chwilę – zaproponowała Iza – może ktoś jest głodny. Słuchajcie, mam bób!

– Idealny do szampana! – zawołał Jacek, aby uprzedzić siostrę, która pewnie już ostrzyła sobie snobistyczny języzek.

– Ja chętnie! – Robert podniósł palce.

Iza ruszyła do lodówki. Marianna siadła pod ścianą w trzcinowym fotelu i z widoczną przyjemnością przyglądała się dzieciom i ich małżonkom: Jacek – przystojniak, trochę jeszcze niepoważny, może za sprawą chłopięcego wyglądu; Iza, jego żona – ujmująca dojrzałą urodą, budzi sympatię i zaufanie; Kasia – uderzająco piękna, ale głównie dzięki umiejętnej oprawie, makijażowi i bardzo wystylizowanemu strojowi, z pewną jednak skazą: nieodłącznym wyrazem niezadowolenia ze wszystkiego, co ją otacza, wreszcie Robert, poważny, bardzo skupiony i dojrzały, od razu widać, że trzyma mocno cugle swego losu, jej faworyt w rodzinie.

Iza postawiła na stole miskę z bobem i od razu wyciągnęły się wszystkie ręce. Nawet pięknie utrzymana, ozdobiona drogą biżuterią ręka Kasi.

Pojechali na wieś w ostatnich dniach kwietnia, wykorzystując ulubioną okazję wszystkich rodaków: przedłużony niemal do tygodnia świąteczny weekend. Krzysztof pomstował na niefrasobliwość ziomków, którzy robią wszystko, aby nie pracować, obwiniał o to kulturę katolicką, przeciwstawiając jej protestancką, oburzał się na lekkomyślną jazdę kierowców, urządzających sobie wyścigi na wąskich, dziurawych drogach, ale parł do przodu swoim słabiutkim autkiem, wyciskając z niego siódme poty i wpędzając tym Mariannę do grobu. Nie leżała tam jeszcze tylko dzięki temu, że w głębi duszy go rozumiała: ona też nie mogła się doczekać, kiedy dotrą na miejsce.

– Przecież to jest niesłychane! Publiczne radio w godzinach pracy nadaje rozleniwiające piosenki i cały czas „pociesza” swoich słuchaczy, że już tylko dwa, jeden, pół dnia do weekendu, dając im do zrozumienia, że praca to jeden koszmar, a celem życia jest nieustająca balanga! – perorował zajądło.

– Na razie ty spełnij swój obowiązek: dowiedz mnie bezpiecznie do domu i tam złap się natychmiast za grabie. Zobaczymy, czy nie zatęsknisz za leżakiem?!

– Wiesz co? – zdenerwował się Krzysztof. – Znasz piosenkę „Jedna baba, drugiej babie wsadziła do dupy grabie”?

Marianna wzięła głęboki oddech i bardzo spokojnym głosem powiedziała:

– Zawsze się zastanawiam, jak to się stało. Nigdy nie byłeś w wojsku, koszar nawet nie powąchałeś, a twój ulubiony rodzaj humoru to koszarowy? Czy twój świętej pamięci ojciec, doktor honoris causa pięciu uniwersytetów europejskich, odezwałby się tak kiedykolwiek do twojej subtelnej matki, wiolonczelistki Filharmonii Krakowskiej?

– Widzisz, na tym polega ewolucja homo sapiens. Mój wielki ojciec nie miał w ogóle poczucia humoru, moja biedna matka bała się przy nim śmiać, żeby nie wyjść na głupią, ja zaś do tego stopnia cenię humor, że uznałem wszelkie jego gatunki: głupi, wulgarny, ordynarny, obsceniczny, za kwintesencję, za sublimację, za najwyższą formę rozwoju. Jeśli trafię na żart powalająco idiotyczny, bez sensu, ale w swej głupocie śmieszny, tarzam się ze śmiechu, bo bawi mnie nie tyle on, ile wyobrażenie kretynów, którzy go wymyślili i których on śmieszy wprost. Ja śmieję się z jego kontekstów i podtekstów, śmieję się z jego niezdarność, śmieję się, że tak powiem, na jego piętrze albo w jego podziemi!

– Bardzo mętna teoria i mało śmieszna – skwitowała Marianna.

– Ba, trzeba do tego dorosnąć, dziecko – odparł z pobłażaniem Krzysztof. – Ty może masz jeszcze szansę, ale wszystkie twoje ukochane kumy, stare prukwy, nigdy!

– One są z mojego rocznika! – zaprzyła się Marianna.

– Ja tego nie powiedziałem – odrzekł uprzejmym tonem i uśmiechnął się czarująco.

Trafili na piękne, słoneczne dni. W gospodarstwie Róży Kapli dwóch ludzi naprawiało płot, leżały przygotowane paliki i poprzeczki, sterta sztachetek. Pracowali Józek i jednak Krzysztof. Ten ostatni miał na sobie stare spodnie, koszulę w kratę, wyciągnięty, sprany sweter i zdefasonowany filcowy kapelusz. Z daleka wyglądał jak Indiana Jones. Przy nich kręcił się pies Józka i uzupełniał ten kojący obraz kontemplowany przez Mariannę z okna kuchni. Jej serce przepełniała błogość znana wszystkim kobietom świata: czy może być coś bardziej rozkosznego od widoku ukochanego mężczyzny wykonującego jakąś pożyteczną, konkretną pracę domową? Marianna uwielbiała skłaniać męża do jakiegokolwiek pomocy w domu, a

kiedy naprawił żelazko albo wymienił żarówkę w ubikacji, czuła dumę o wiele większą niż z obrony doktoratu lub z mianowania go dziekanem wydziału. Patrzyła roziskrzonymi oczyma, jak Krzysztof mówi coś do pomocnika, wskazując ręką na zabudowania gospodarcze, po czym idzie dużymi krokami, wymierzając teren wzdłuż starego płotu, który ciągnie się w wielu miejscach powalony aż do łąki. Właśnie odwróciła się od okna, kiedy Krzysztof, krocząc tak przez łąkę, nagle znikł, jakby się pod ziemię zapadł. Józek też nie zauważył tego zdumiewającego faktu, wbił w pieniek siekierę i ruszył w stronę komórki. Pies pobiegł za nim. Marianna spokojnie wróciła do swoich zajęć w kuchni, wybielonej już i skromnie urządzonej w guście nowych gospodarzy, obejrzała ciasto wyrośnięte w formach, po czym wsadziła je do pieca. Zabrała się do przygotowywania sałatki, i to większej ilości. Na stole stały puszki z fasolą, słoiki z majonezem, leżały ugotowane jajka, kiszzone ogórki i parę pomidorów. Z radia leciała jakaś cicha muzyka. Marianna wykonywała wszystkie czynności sprawnie i z widoczną przyjemnością.

– Życie upływa ci na spaniu i polowaniu – powiedziała z wyrazem dezaprobaty do kota. – Nie sądzisz, że to program minimum? Chyba od ciebie mam prawo wymagać więcej... Milczysz? No, oczywiście... typowo męska taktyka. Filozof! Znowu śpisz, łajzo jedna, kiedy mówię do ciebie!

Szarobury kot otworzył jedno oko, spojrzał z pogardą na otoczenie i za chwilę już znowu spał.

Otworzyły się drzwi i zajrzał Józek.

– Jest tu gospodarz? – zapytał.

Marianna odwróciła się zdziwiona.

– Przecież razem stawiacie płot? – odpowiedziała pytaniem.

– Ale go nie ma. Może poszedł za potrzebą – stwierdził ze zrozumieniem i zamknął za sobą drzwi.

Marianna zrobiła dwie spore kanapki z wędliną i postanowiła je zanieść pracującym. Zastała Józka samego.

– No i co? – zapytała zdziwiona.

– Nie wraca, musi co, jeszcze nie gotów – spokojnie poinformował ją Józek.

Postawiła talerzyk na ścietym pniaku.

– Macie tu po kromce chleba. Na razie.

– Dziękuję – ożywił się Józek.

Marianna ruszyła do sławjki stojącej przy stodole.

– Krzysiu, jakieś kłopoty? – zawołała półgłosem w kierunku wyciętego w drzwiach serduszka. Podeszła blisko i zobaczyła założony z zewnątrz skobelek. Nic nie rozumiejąc, powiedziała jednak do drzwi:

– Krzys?

Ze zdziwioną miną wróciła do Józka.

– A nie poszedł do komórki z narzędziami?

– Mnie tam wysłał, a sam mierzył, ile nam tu jeszcze wyjdzie. – Wskazał płot.

– Zniknął czy co? – zaśmiała się niepewnie.

– Pani wie, to może być... – Józek obejrzał się ze strachem. – Któregoś lata to podobnież takie zielone ganiały za jednym zza jeziora. Chrzestny tam mieszka, to mówił.

– Nie!

– Tak!

– I co, dogoniły go?

Józek zupełnie poważnie przyciszył głos.

– No! Obuwie mu zdjęli, pasek od spodni, o, tak w garści chłop portki trzymał, jak dotarł do chałupy. Włosy mu w schodki przystrzygli, napój jakiś dali, bo mu na długo pamięć wytrącili. Potem nigdy nie chciał o tym gadać, ale na początku to tylko tak stękał... o... o... o...

Nagle uszu ich dobiegło, jak echo, podobne stękanie:

– O... o... o...

Zamarli.

– Co to było? – zapytała cicho Marianna.

Stękanie rozległo się ponownie.

– Zielone... – szepnął Józek, gotów uciekać.

– Uspokój się! Cicho! – Marianna złapała go za rękę.

Nasłuchiwali.

– Cholera jasna! Jóóózek... – usłyszeli niewyraźny głos z oddali.

– Krzysiu! – zawołała głośno Marianna.

– Mariannaaa...

Ruszyli bezradni wzdłuż płotu.

– Krzysiu, gdzie jesteś?

– Tuuutaj... – odezwał się jękliwy, zduszony głos, dochodzący jakby spod ziemi.

– O rany! – jęknął Józek, gdy stanęli nad głębokim dołem, gdzie na dnie, pod

zmruszałymi deskami, przysypany nieco ziemią i darniną siedział Krzysztof.

– Co ty tam robisz? – zapytała głupio Marianna, przyklękając nad dołem.

– Recytuję listy Seneki – wystękał Krzysztof.

– Ani chybi, dół po bimbrze – powiedział Józek, kładąc się na ziemi. – Pan da rękę, pomogę.

Krzysztof zaczął się gramolić.

– Nie dam rady. Leć po drabinę.

– Nic ci się nie stało, kochany? – zapytała Marianna z głęboką troską. Zobaczyła jednak, że mąż stoi. Tyle że dół jest głęboki.

– Chyba jestem doszczętnie połamany – stękał dość teatralnie Krzysztof. – Niech to diabli... Niech to wszyscy diabli... Au... moja noga!

– Złamana?

– Chyba w kilku miejscach – ze złością odparł Krzysztof.

Usłyszeli wesołe trąbienie samochodu.

– Nasi! – poderwała się Marianna.

– Nie odchodź! – krzyknął jej mąż rozdzierająco. Wydawało się, że jeszcze chwila, a odśpiewa tragiczną arię z jakiejś włoskiej opery. – Najpierw mnie ratujcie! Oni żyją, a ja mogę tu skonać!

– Przestań! Nie mów tak! Już... już, Krzysiu... już idzie Józek.

Wstawili drabinę, Krzysztof powoli, z ich pomocą, wyszedł na powierzchnię z miną odkopanego po trzęsieniu ziemi. Marianna zobaczyła, że w gruncie rzeczy mocno stawia obie nogi. Był brudny, miał otartą do krwi dłoń, rozdartą nogawkę, a na rondzie kapelusza pełno ziemi. Stał, chwiejąc się lekko.

– Niebywałe... niebywałe... – mówił, ciężko oddychając.

Marianna robiła wszystko, żeby mąż nie zobaczył, jak powstrzymuje z trudem śmiech. Od samochodu nadchodził Jacek z Izą. Obok biegł Jasio.

– Babcia! Dziadek! – wołał.

Krzysztof zamarł z cierpiętniczym wyrazem twarzy. Marianna otworzyła ramiona i złapała malca.

– Cześć, tata – powiedział syn. – Co ty? To taka moda ekologiczna tutaj?

– Co się stało? – zapytała Iza, całując Mariannę. – Jasiu, nie wieszaj się na babci.

– Ja chcę się wieszać!

– Nic się nie stało – odrzekł Krzysztof, lekko dotknięty. – Oszczędzamy wodę.

– To co, należy ją przywozić w baniakach z Warszawy? – zaśmiał się Jacek i

klepnął ojca w plecy.

– Uważaj! – syknął Krzysztof. – Jestem obolały po wypadku.

– Tata wpadł do dołu po bimbrie – wyjaśniła Marianna i dodała ciepło: – Ale był bardzo dzielny.

– A co z bimbrem? – spytał Jacek. – Przydałby się dzisiaj.

– Właśnie, zdezynfekowalibyśmy otarcie i wróciłbym do łopaty – mruknął zgryźliwie Krzysztof.

– Jest jakaś woda utleniona czy mam wziąć z samochodu? – zapytała Iza.

– Mam wszystko, co potrzeba. – Obecność synowej obudziła w Krzysztofie szeryfa. Musiał pokazać, kto tu rządzi. – Marianno, pokaż im, jak tu żyjemy, a ja się opatrzę i zaraz do was dołączę.

Ruszył w stronę domu krokiem Johna Wayne’a.

Marianna, Iza, Jacek i mały Jasio weszli na wzgórze – młodzi wszyscy zasapani, Marianna w znakomitej formie, podekscytowana, zachowywała się jak przewodnik wycieczki.

– Jesteśmy tu na cyplu między dwoma jeziorami: większe nazywa się Szelmy, mniejsze Szelmaki. Razem mają półtora tysiąca hektarów powierzchni. Największa głębia czterdzieści metrów...

Młodzi rozglądali się dookoła z zachwytem. Rzeczywiście krajobraz w ostrym, majowym słońcu wyglądał wspaniale – woda lśniła błękitem, łąki porośnięte świeżą trawą były soczyście zielone, jak okiem sięgnąć, nic nie zakłócało natury.

– Jak tu jest cudownie pusto – zauważyła Iza.

– I cicho – dodał Jacek.

– I okrągło – wtrącił Jasio, okręcając się dookoła własnej osi.

– Jak to „okrągło”? – Marianna przykucnęła z uśmiechem przed wnukiem. – Co przez to rozumiesz, Jasiu?

– Ja nic nie muszę rozumieć, tu jest okrągło – odrzekł z powagą malec, a widząc, że dorośli nie wiedzą, o co mu chodzi, wyjaśnił: – Bo jak się kręć w koło, to nic mi nie przeszkadza, a jakby stały domy, to by było kwadratowo.

Dorośli roześmiali się, a Marianna złapała chłopca w objęcia i zapytała:

– A to ci się podoba?

– Może być – rzucił Jasio z lekceważeniem.

– Zatruty sceptycyzmem – westchnęła Iza. – Ale to nie nasza wina!

- Przedszkole, koledzy, telewizja – dorzucił Jacek.
 - Nie martwcie się, tu mu przejdzie – powiedziała Marianna.
 - Przez jeden weekend? – spytał Jacek z powątpiewaniem.
 - A kto mówi, że jeden? Przyjedzie tu na wakacje.
 - Babcia ma plany – stęknął Krzysztof, z trudem wchodząc na wzgórze. Zmienił spodnie i umył twarz, ale krzywił się, może trochę na pokaz, z bólu.
 - Zajodynowałaś otarcia? – zapytała Marianna.
 - Chciałabyś, żeby mnie piekło? Nic z tego: użyłem siły woli.
 - Nie wygłupiaj się, dostaniesz tężca.
 - Dobrze, dobrze. Przemyłem wodą utlenioną.
 - Po co się tu wspinałeś, tato? – spytał Jacek. – Trzeba było sobie odpocząć, przywieźliśmy dzisiejszą prasę.
 - Chciałem zobaczyć wasze miny na widok krajobrazu. No, jak?
 - Rewelacja! – powiedziała zrównoważonym tonem Iza.
 - Super! – zawtórował jej Jacek z przekonaniem.
 - Superrewelacja! – wykrzyknął Jasio.
- Zaczęli schodzić w dół. Mariannę rozpieierała duma, Krzysztof też był zadowolony, ale na wszelki wypadek owijał to ironią.
- Popatrz, Jasiu. To babcia wszystko namalowała!
 - Tylko dlaczego tak daleko? Nie mogłaś tego namalować w Warszawie? – spytał, śmiejąc się, Jacek.
 - Babciu, ja mam pomysł: namaluj to w naszym przedszkolu, na ścianie. Nam wolno malować po ścianach – oznajmił Jasio z dumą.
 - Jezus Maria! – krzyknęła nagle Marianna. – Ciasto w piecu!!!
- Chciała biec, ale Krzysztof oznajmił:
- Wyjąłem. W ostatniej chwili. Żebyś ty tak rozpaczliwie krzyknęła, jak ja byłem bliski śmierci! – dodał.
 - Nie słyszałaś huku mego serca? – odpowiedziała Marianna ze śmiechem. – Nie jesteście głodni? – zatroskała się.
 - Mieliśmy kanapki na drogę – wyjaśnił Jacek – ale...
 - Może najpierw trochę popracujmy – zaproponowała Iza. – Będzie nam lepiej smakowało.
 - I na Zarzyckich wypadła zaczekać – dodał Krzysztof.

Marianna i jej syn Jacek, uzbrojeni w grabie, zajęli się trawnikiem przed domem. Obok grasował Jasio, staczając potyczki szermiercze z wymagowanym wrogiem. Jacek ze zrezygnowaną miną opowiadał:

– ...przedłużył nam do końca września. Natychmiast mu zapłaciłem, żeby się nie rozmyślił, ale pierwszego października już nas tam ma nie być...

– Po co mu mieszkanie? Już się znudził willą w Konstancinie? A może chce wynająć to wasze na jakieś biuro czy agencję towarzyską, pewnie lepiej płacą – mówiła zatroskana Marianna.

– Skąd! Mówi, że dwaj bratankowie z Cieszyna przyjadą do Warszawy na studia. W tym roku zdali maturę.

– Bliźniacy?

– Chyba tak. Albo jeden był opóźnionym osłem, ale czy to ważne? Ważne jest to, że nie będziemy mieli gdzie mieszkać po wakacjach, jeżeli nie znajdziemy czegoś możliwego za pieniądze, które jesteśmy w stanie płacić – mówił rozgoryczony Jacek.

Z domu wyszła Iza, przegryzając coś.

– A co Iza na to?

– Lepiej o tym więcej nie mówmy: zepsujemy jej weekend – szepnął Jacek i zaraz, ożywiony na wynos, dodał: – Wiesz, bardzo liczę, że powiększę swoje zbiory o jakieś ciekawe okazy dzięki temu miejscu...

– Nie chciałabym, żebyś tu wyłapywał moje motyle. Jestem gotowa ostrzegać je przed tobą – obróciła wszystko w żart, widząc wyraz twarzy syna.

– Jak, babciu? – zapytał Jasio rzeczowo.

– Może rozwieszę transparenty: „Uwaga, motyle, teren skażony szalonym entomologiem”, albo zbuduję stracha na motyle.

– To ja ci pomogę – zaproponował małeć.

Jacek przyłożył mu po pupie grabiami, ale leciutko.

– I ty, Brutusie?!

– Jestem Jasiek, a nie Brutusie! – zawołał mały.

Iza podeszła do nich i przyłączyła się do sprzątnia.

– Tata się trochę położył. Myślę, że bardziej przeżył sam wypadek niż otarcie skóry. Zachowajcie to dla siebie, ale powiedział, że zląkł się, że złamał kręgosłup, wpadając do jamy, i że matka będzie musiała się zajmować kaleką do końca życia.

Marianna oparła się o grabie i zagryzła usta.

– Boże drogi, a ja się z niego śmiałam... Zawsze mam wrażenie, że on tak

wyolbrzymia najmniejszy ból... jestem okropna. Czy wstyd może zmazać moją winę?
– zapytała ze skruchą.

Iza sięgnęła po miotłę i zabrała się do roboty.

– Może – zgodził się wielkodusznie Jasio.

– Bo wy nie wiecie, że my naprawdę jesteśmy słabsi... – zaczął Jacek.

– Oho, zaczyna się... wiesz, co ja o tym sędzę, prawda? – powiedziała Iza.

– Tata wali z grubej rury – skwitował nagle Jasio.

– Rany boskie, co z niego wyrośnie? – zawołał Jacek. – Już cię tu nie ma! Leć do psa!

Mały odszedł wolno, z komiczną godnością, a wszyscy zajęli się sprzątaniami.

Od drogi dobiegł narastający turkot nadjeżdżającej furmanki. Po chwili wóz się zatrzymał. Marianna podniosła dłoń w powitalnym geście. Przez dziurę w płocie wyszła na drogę. Na wozie siedziała para jak z obrazu Dudy-Gracza: on z gębą wystruganą z kartofla, niechlujnie obrośniętą, poobijaną, podpuchniętą, z petem w zębach, in bejsbolówce z napisem Chicago Lakers, ona w chusteczce w róże, spod której wystawały rozwichrzone włosy, źle ufarbowane na brązowo, z całym frontem złotych zębów w sztucznym uśmiechu.

– Dzień dobry, pani Kotulowa.

– Dzień dobry – odpowiedziała baba. Chłop kiwnął głową, nie zdejmując kapelusza, i przyglądał się badawczo pracującym.

– Są? – zapytała Marianna, opierając się o wóz.

– Dwa tuziny, jak chciała. – Kotulowa podała jej kobiałkę z jajami.

– Dziękuję, pani Aleksandro. Coś dopłacam?

– Nic. Jest jak trzeba. – Baba nie spuszczała oczu ze sprzątających. – Sprzątają?

– Ano trzeba – uśmiechnęła się Marianna.

– Chcą wziąć nagrodę, czy jak?

– A od kogo? – zdziwiła się Marianna.

– A od naszej pani wójt – odrzekła Kotulowa z dziwnie złośliwym naciskiem, a Kotula dodał:

– Nie wiedzą, że znów szumi w gminie? Porządki robi. Konkurs ogłosiła.

Baba zachichotała i machnęła ręką. Chłop zachowywał powagę i obojętność.

– Naprawdę? Jaki konkurs? – zapytała Marianna.

– Ano czystości – beznamiętnie odparł Kotula.

– Słyszeliście? – zawołała Marianna do swoich. Jacek podszedł do płotu. – Może

wygramy samochód.

– Aha, już! – zaśmiał się chłop. – Albo helikopter.

Wszyscy poza nim wybuchli śmiechem.

– To się chwali, że ktoś dba o gminę – odezwała się Iza w tonacji dydaktycznej. – A państwo oczywiście biorą udział w konkursie?

– Staj... – rzucił Kotuła do konia, ignorując jej zapytanie. Baba poczuła się odpowiedzialna za podtrzymanie konwersacji.

– Pani, a czy to się opłaca... – Wzruszyła ramionami. – Tylko się człowiek narobi... Choć w zeszłym roku to nawet Parnicki wygrał.

– Parnicki? Ten pisarz? – zainteresował się Jacek.

– Co ty, Jacek?! Parnicki dawno nie żyje! – wtrąciła się Iza.

– Żyje, żyje! – powiedział chłop z żalem, patrząc na koński zad. – Magnetofon wygrał. A potem nagle trącił babę, mówiąc ostro: – Jadziem! Suszy mnie! Wio! – Szarpnął lejce.

Ruszyli. Kotułowia odwróciła się jeszcze i zawołała radośnie:

– Ale i tak mu dzieciaki zepsuli, jak tylko przyniósł!

Marianna precyzyjnie się z powrotem przez dziurę w płocie.

– Co może zmienić sposób myślenia tych ludzi – westchnęła. – Dlaczego dla samych siebie nie warto im chcieć czegoś więcej od łążenia w gumiakach po błocie i gnojówce na podwórzu? Krowa to jest tak brudna, że nie widać jej koloru, a gospodarza ino suszy cały boży dzień... – Zabrała się energicznie do sprzątanania.

– Iza jest psychologiem, niech ci odpowie. Gdzie są nożyce do trawy, mamu? – spytał Jacek.

– Nie ma. W komórce jest sierp, ale lepiej podkopać te pokrzywy i wyrwać z korzeniami. Na półce są rękawice, Jacusiu.

– Nie migam się od odpowiedzi, choć bliższe mi są problemy najtrudniejszej nawet dzieciarni – odezwała się Iza. – Obawiam się, że liczyć można tylko na młode pokolenie na wsi, jeżeli naprawdę nasze państwo zechce zauważyć potrzeby i możliwości młodego rolnika, który jeszcze nie uciekł do miasta. Oglądają telewizję... Chcą też innego życia, uczą się, myślą...

– Byle tylko świat nie ofiarował im najgorszych wzorców, kochanie. To cwaniactwo, tandeta i bylejakość... i pieniądze za każdą cenę – wdychała Marianna.

– Marianno! – zawołał Krzysztof. Był przebrany, kapelusz już miał oczyszczony, stał oparty o ścianę domu.

– Tak, Krzysiu? – gorliwie zapytała Marianna.

– Dlaczego... – zaczął Krzysztof. – Już nic. Jadą.

– Nasi? – Marianna odstawiła grabie.

– Siostrunia musiała się wyspać – zaszydził Jacek.

– Przestań... – poprosiła Marianna i ruszyła gościom naprzeciw. W bramę siedliska wjechał luksusowy samochód prowadzony przez kobietę.

– To Zarzyccy – powiedział Jacek. – Siostra jeszcze przewraca się na drugi bok w Warszawie.

– Co to za ludzie? – zapytała półgłosem Iza.

– Przyjaciele rodziny, odkąd pamiętam. On zawsze był na jakichś placówkach handlowo-dyplomatycznych, teraz ma własny duży biznes. Eksport, import, komfort. Ona pieprznęta, nawiedzona: joga, kosmos, astrologia, te rzeczy, czyli to, co się dzieje z babami, jak już dzieci wyfruną z gniazda.

– Proszę, proszę! Znaczący psycholog kobiet się znalazł! To ja też stanę się nawiedzona, jak nasz Jasiek wyfrunie z gniazda?

– Ty? Ty możesz wcześniej... – Jacek ze śmiechem uchylił się przed ciosem.

Z samochodu wysiadł wesoły przyjaciel rodziny, Piotr Zarzycki, i wziął Mariannę w ramiona.

– Pani gospodyni, kochana, witaj!

– Piotrze, nareszcie... – Ucałowała go Marianna.

Trzaskając drzwiami, z samochodu wysiadła Danuta, żona Zarzyckiego, i otworzyła tylne drzwi, z których wyskoczył siedmioletni chłopiec. Witali się wszyscy głośno i wesoło.

– Grupa warszawskich darmozjadów gotowa odpokutować swoje nieróbstwo! – huczał głośno Zarzycki. – Terapia pracą!

– Co tak późno, pracusie? – zawołał Krzysztof. – Czekaliśmy od świtu.

– Ale roboty jest dosyć – dorzuciła Marianna.

– Przepraszamy, ale młodzi prosili, żeby zabrać wnuka, bo coś tam mają, więc zanim dojechaliśmy na drugi koniec miasta...

– Ważne, że już jesteście, Danusiu. Cześć, Kuba... – cieszyła się Marianna.

– Na nas możesz zawsze polegać jak na... – Zarzycki zawiesił głos i patrzył wyczekująco na wnuka.

– Jak na placu Zawiszy... – podrzucił znudzony siedmiolatek.

Dziadek zamierzył się na niego z udaną złością.

– Jak droga? – zagaił Jacek.

– Spokojniutko raczej – odpowiedziała Zarzycka, rozglądając się. – Jak tu pięknie, Piotrusiu! Czy widzisz, jak tu pięknie?

Popatrzyła na męża, który spokojnie skinął głową, że się z nią zgadza, i z miejsca zapytał:

– A nie ma tu czegoś takiego do kupienia?

– Nie, nie! – zawołała Zarzycka. – Tu jest pięknie obiektywnie, ale mieszkać można tylko w mieście.

– Danusiu, nie wtrącaj się, kiedy dorośli rozmawiają. Wyciągnij prezenty z kufra. Kuba, pomóż babci. Krzysiu, jakby tak ładne jakieś gospodarstwo z miejscem na ładowisko dla mojej awionetki... Gdzie idziesz, Marianno? – pytał tryskający energią Zarzycki.

– Na troszkę do kuchni – odrzyknęła Marianna.

– Pomogę jej. – Iza ruszyła w stronę domu.

– Poczekajcie – zawołał Zarzycki, widząc, że jego żona wyciąga z samochodu prezenty.

– No, co wy... – Krzysztof podszedł do nich, kulejąc.

– Co ty? Kulejesz? – spytał zdziwiony Zarzycki.

– Pierwsza ofiara porządków – wyjaśnił Jacek.

– Ty będziesz drugą, jak przydepniesz leżące grabie – ostrzegł Krzysztof, nie bardzo zadowolony, że syn obraca zdarzenie w żart.

Zarzycka wyciągnęła z auta górę prezentów: plastikowe wiadra, zwinięty hamak, dwie łopaty, grabie do liści i ogromny, kolorowy parasol ogrodowy.

– Na nowe siedlisko! – zawołała.

– Ostrożnie! – ostrzegł wesoło Zarzycki i podał jedno z wiader Krzysztofowi. W środku stała wielka, kilkilitrowa, butelka wina.

Powoli, cicho sunął przez pole czarny terenowy samochód modnej marki Porsche Cayenne. Wjechał przez bramę i zatrzymał się na podwórzu. Z bocznego tylnego okna wystawały gałęzie jakichś krzewów i drzewek. Z samochodu wysiadła Katarzyna, a za nią Robert. Krzysztof, już nie kulejąc, wyszedł im naprzeciw. Katarzyna zdjęła ciemne okulary. Była leciutko zdegustowana, ale miło uśmiechnęła się do ojca i nadstawiła policzek do pocałunku.

– Nareszcie – ucieszył się Krzysztof – niepokoiłiśmy się.

- To przez Roberta – skrzywiła się dziewczyna.
- Wszystko zawsze jest przez Roberta. – Zięć mocno ścisnął dłoń Krzysztofa i przywitał się z obecnymi. – A to winne są interesy i obowiązki.
- Jesteście! – Z domu wybiegła Marianna. – Już się...
- ...niepokoiłam – dopełniła ironicznie Katarzyna. Znała odzywki matki.
- No tak, mieliście być przeszło dwie godziny temu. – Marianna pocałowała też w policzek zięcia. – Jak zawsze masz świetną wodę, Robercie.
- Musiałaś się wyspać? – spytał Jacek.
- Żebyś wiedział – broniła się Katarzyna – wczoraj za długo trwało wielkie bankiecie w Belvedere.
- A ten bankiet był obowiązkowy? – zażartowała Zarzycka.
- Tak – serio odpowiedział Robert. – W pewnym sensie tak.
- Robert, jako główny sponsor, musiał być, choć szczerze mówiąc, nieomal zapuścił korzenie, a już zakwitł dosłownie, pocieszając biedne sierotki. Osiemnastoletnie... – wyjaśniała uszczypliwie Katarzyna.
- Kasiu... – jęknął Robert, ale widać było, że ta wypowiedź nie wydała mu się niesympatyczna. Patrząc na otoczenie, dodał z uznaniem. – Nie sądziłem, że tak tu będzie.
- Tak pięknie? – podsunęła Marianna.
- Dokładnie – przytaknął Robert.
- To słówko już mi wychodzi nosem – skrzywiła się Katarzyna. – Każdy mówi: „dokładnie”! Czy nie ma innego określenia w twoim słowniku?
- Poszukam – pogodnie odparł Robert i odwrócił się do Marianny. – Zrealizowałem zamówienie, gdzie wyładować? – Wskazał samochód, z którego wystawały krzewy.
- Jesteście wspaniali! – ucieszyła się gospodyni. – Proponuję przerwę w pracy i spacer całego towarzystwa, żeby obejrzeć włości i okolicę, a my z Jackiem posadzimy krzewy.
- Trzeba też wmurować tablicę pamiątkową: „Tu pierwszy raz w życiu Kaśka nie przeszkodziła Robertowi zrealizować prośby rodziców” – powiedział Jacek.
- Kretyn – mruknęła Katarzyna.
- A gdzie jest Jasiek? – zapytał Robert.
- Marianna spojrzała na niego z ukosa. Wiedziała, jak bardzo zięć lubi małego, zawsze przynosi mu jakiś prezent, poświęca wiele uwagi i ma ogromną cierpliwość.

To naturalnie z tęsknoty za własnym synem, co Marianna dobrze rozumiała, zauważała też nierzadkie tarcia między młodymi i cierpiała z tego powodu. Byli piękną parą, ale czy doskonale pasowali do siebie? Miała pewne wątpliwości...

Obiad przy długim stole wyniesionym na podwórko dobiegał końca, dopijano herbatę, dojadano drożdżowe ciasto. Kasia wyciągnęła z samochodu świetny profesjonalny sprzęt fotograficzny i teraz, przymierzając się i robiąc zdjęcia, jakby się zmieniła. Marianna i Krzysztof dostrzegli to i w którymś momencie ich spojrzenia się spotkały.

– Czy możesz zrobić zdjęcie, jak my z ojcem tu... – zaczęła w pewnej chwili Marianna, ale córka przerwała jej niechętnie:

– Wiesz, jak nie lubię takich propozycji.

– Przepraszam, kochanie – odparła pozornie lekko Marianna i szybko odwróciła się, mówiąc do kogoś o czymś innym.

– Snobka – mruknął Jacek do siostry. Zaczęli pokazywać sobie miny, jak małe dzieci. Była w ich stosunkach cała gama uczuć: i złośliwy krytycyzm, i rywalizacja o uczucia rodziców, i rodzinna solidarność, i gotowość wybaczenia błędów – wszystko to z korzeniami we wspólnym dziecięcym pokoju.

Ale temat prośby Marianny powrócił po jakimś czasie, jakby coś w Katarzynie musiało się uporządkować, odłożyć na trochę i pozwolić jej przejąć inicjatywę. Coś narzuconego, nawet nieistotnego, zaraz naruszało jakieś tam obszary jej samotnej szorstkości. Zobaczyła, że rodzice przysiedli na schodkach – ojciec w starych spodniach i ukochanym zdefasonowanym kapeluszu, matka zmęczona, ale promieniejąca szczęściem, i przytulony do niej Jasiiek głaskający psa, któremu z błogości zamykają się oczy – podniosła do oka aparat i błyskawicznie zrobiła serię zdjęć.

– Pewno się poruszyłam – zaśmiała się Marianna, chcąc obronić się przed wzruszeniem, że córeczka spełniła w końcu jej prośbę.

– Grunt, że jeszcze się ruszasz, staruszko – rzucił rubasznie Krzysztof, doznając takiego samego uczucia.

– Mamo, dlaczego babcia się rusza? – zapytał sennie Jasiiek przechodzącą Izę.

– Zbieraj się, synku, podrzemiemy troszkę w domku. – Iza wyciągnęła ręce, żeby podnieść syna.

– Daj mi go na barana – wtrącił się Robert, już windując sobie chłopca na plecy.

Iza otworzyła drzwi i wpuściła ich do domu. Przeszli przez sień, Robert bardzo uważał, żeby Jasiek nie uderzył głową o framugę drzwi.

– U nas czy u babci? – spytała Iza synka.

– U ba... – mruczał zasypiający Jasiek.

Położyli go na małżeńskim łożu Marianny i Krzysztofa. Jasiek przelewał się przez ręce i potulnie poddawał zabiegom zmierzającym do zapewnienia mu komfortu.

Robert patrzył na zasypiającego Jaśka z jakimś bezbronnym, ale pełnym napięcia wyrazem.

– Kaśka nie chce dziecka – powiedział nagle.

Iza podniosła oczy i odpowiedziała uśmiechem na jego strapioną minę.

– Może jeszcze do tego nie dojrzała...

Robert uśmiechnął się blade.

– Mam już trzydzieści dziewięć lat... Chciałbym zdążyć wychować swoje dzieci, zaprzyjaźnić się z nimi.

– Zdązysz – Iza siliła się na przekonujący ton. – Może potrzebuje jeszcze trochę czasu. Daj jej...

– Wszystko jej daję, co tylko chce, ale dla niej najważniejsze to kręcić się po świecie, błyszczeć na przyjęciach, choć udaje, że to ją nudzi... I zabawa w pstrykanie.

– Ona pięknie fotografuje z wielką wrażliwością, nie lekceważ tego, Robercie, ona to traktuje serio.

– Tak, oczywiście, a jednocześnie nie chce, żebym jej zrobił wernisaż. Nie, to malarze chyba. Jednym słowem chodzi o wystawę. Może to dlatego, że ja proponuję, a może... nie jest siebie pewna. Ale dziecka kategorycznie nie chce. Czasem w ogóle nie wiem, czego ona chce... od życia... od siebie... ode mnie... – skończył cicho.

Iza poczuła się trochę niezręcznie, nigdy nie była z nimi na tyle blisko, żeby podejmować taką rozmowę, a jednocześnie lubiła ich i martwił ją brak głębszego porozumienia u tych dwojga trochę różnych ludzi. Zobaczyła teraz bezradną samotność mężczyzny, który nagle się przed nią otworzył. Popatrzyła na niego uważnie.

– Okropnie zazdrościsz wam Jaśka – powiedział z powagą i odwrócił się do okna.

– Okropnie.

– Nie wiem, co ci poradzić... – szepnęła Iza, naprawdę bezradna.

Robert wzruszył ramionami.

– Byle nie którąś tam rozmowę z moją żoną. Mam tego na lata... – A potem dodał innym tonem: – Zdaje się, że powinniśmy pójść im pomóc, chyba zabierają się do rozpalania ogniska. A Jasiak śpi.

– Zanim wszystko będzie gotowe, zdąży się wyspać – zaśmiała się cicho Iza i dodała nagle: – Może pogadaj z Marianną, ona jest mądra.

Robert pokręcił głową.

– Na skargę do teściowej? Nie...

Dzień już gasł. Niebo, wciąż czyste i bezchmurne, zaczynało barwić się purpurą słońca zachodzącego za dalekim brzegiem jeziora, walcząc jeszcze o pierwszeństwo z płomieniami rozpalonego na plaży ogniska. Wszyscy piekli kiełbaski na patykach, krążyło wino. Krzysztof dbał o dokładanie drewna i gałęzi.

– Czy wiecie, moi drodzy, skąd nazwa naszej wioski Panistruga? Nie wiecie, a ja wiem. Otóż żona niegdysiejszego tutejszego dziedzica, pani o duszy wielce artystycznej i wielce wrażliwej... – zaczęła Marianna.

– Skąd my to znamy... – wtrącił Krzysztof. Marianna zaśmiała się z innymi.

– ...pani Korczyńska na Płaskich Błotach wtedy jeszcze chciała, żeby chłopci tkali dla niej, wypalali w glinie garnki i rzeźbili w drewnie. Oczywiście...

– Po godzinach pracy – wtrącił Robert.

– Oczywiście – zgodziła się Marianna. – I był taki jeden chłopina, który naprawdę miał talent, ale ciągle był czymś innym zajęty.

– Skąd my to znamy? – powtórzył znacząco Krzysztof.

Znów rozległy się śmiechy, więc Marianna złożyła ręce prosząco:

– Przezań... otóż chłop okowitę lubił nad wyraz.

– To zostało wszystkim chłopom do dziś – zawołał Zarzycki, pękając ze śmiechu.

– Cicho! I co dziedziczka zajdzie pod jego chałupę i pyta, czy gospodarz rzeźbi obiecane figurki, to baba drzwi sobą zastawia, bo chłopina chrapie „napity”, i gorliwie zapewnia: „Struga, pani, struga!”. I tak czas mijał, aż się pani zmarło na suchoty, pan się przeniósł do stolicy, a chłop po pijaku puścił wioskę z dymem. A nowa, co się pobudowała, to już nazwana została Panistrugą.

– *Non è vero, è bene trovato*... – powiedział ironicznie Krzysztof. – Pani struga sobie z nas wariata, pani Kalinowsko! Niestety znam inną wersję, prawdziwą. Był sobie pewien pan na włościach, co miał wszystko: pola, lasy, jeziora i nawet rzekę, a raczej rzeczkę, czyli po prostu strugę. Niestety miał też niepohamowany pociąg do hazardu i rychło przegrał wszystko w kasynach Zopott i Baden-Baden. Tylko strugi nikt nie

chciał kupić, więc został sobie zgrany pan i struga. Panistruga. Że jest to, albo przynajmniej mogła być, prawda, świadczy niemiecka nazwa naszej wsi: Herrnbach, Pańska Struga, strumień, którą to zresztą nazwę nadali jej Niemcy dopiero w tysiąc dziewięćset dwudziestym siódmym roku, bo przedtem nazywała się prawie jak dziś: Panistrugga.

Marianna popatrzyła na Krzysztofa wielkimi oczyma.

– A skąd ty znasz takie szczegóły?!

– A stąd! – Krzysztof triumfalnie wyciągnął książkę oprawioną w błękitne płótno. – Od pana Reinholda Webera, autora tego dzieła, zaprawionego wprawdzie zapiekłym żalem wypędzonych, ale nieocenionego w zakresie najdrobniejszych szczegółów: *Die Landgemeinden des Kreises Lyck. Gminy wiejskie powiatu Elk*.

Wszyscy z zainteresowaniem pochylili się nad książką.

– Będę wam tłumaczył – powiedział Krzysztof, otwierając wolumin. – Herrnbach, do tysiąc dziewięćset dwudziestego siódmego Panistrugga, przedtem Freidorf. Urząd, parafia i poczta Fliessdorf (Jucha), dziś Stare Juchy, jednaście gospodarstw. Najmniejsze poniżej pięciu hektarów, największe trzysta pięćdziesiąt dziewięć. Mieszkańców w tysiąc osiemset osiemdziesiątym piątym roku było stu jeden, w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku siedemdziesięciu ośmiu. Plebiscyt w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku: osiemdziesiąt trzy głosy za Niemcami, za Polską żaden... A zwróćcie uwagę na nazwiska: Otto Jeglinski, Daniel von Glinski, Klara Dudek, Gustaw Dzierma, Ludwíg Stankewitz, Christoph Maczeyczik...

– A jest tu jeszcze ktoś o takim nazwisku? – zapytał Robert.

– Nie. Tu jest trochę biedaków z sąsiednich Kurpiów, a reszta repatrianci z za Buga – wyjaśniła Marianna.

– No, i w ten sposób rachunek krzywd się zgadza: wypędzeni zastąpili wypędzonych – podsumowała Kasia.

– Niemniej jednak ja rozumiem tego Webera: może i jest stronnicy, ale dlatego, że jego serce płacze za utraconym rajem... – powiedział z nieoczekiwaną powagą Krzysztof.

– A twoje serce płacze za utraconym rajem Lwowa? – zapytała Marianna.

– Płacze, ale bardzo cicho i w tajemnicy – odrzekł Krzysztof niby żartem, aby ukryć prawdziwe uczucie.

Marianna posłała mu czułe spojrzenie. Jacek i Katarzyna popatrzyli na siebie porozumiewawczo: niby wyśmiewają się z takich sentymentów, ale w gruncie rzeczy udzieliło się im wzruszenie rodziców.

– Jestem zachwycony waszymi opowieściami i tym miejscem – zawołał znów ożywiony Zarzycki. – Odkupiłbym je, słowo daję! Ile byście chcieli? Może nie mam przy sobie całej sumy, ale... – żartował.

– Na razie chcemy tu spędzić wakacje. To jedyne, co jest pewne... – Marianna uśmiechnęła się do męża.

– Ja też chcę – zawołał Jasiek.

– Masz to jak w banku – powiedział Krzysztof.

– Jeśliby chodziło o bank... – zaczął nagle Robert.

– Przestań mówić o interesach – ucięła Kasia. – Nalej mi wina.

– Ale właśnie – zastanawiał się Zarzycki – dlaczego nie mielibyście zamieszkać tu na stałe? Z waszymi zawodami to całkiem realne.

– I z naszymi możliwościami finansowymi też? – zaśmiała się Marianna.

– Czekajcie – powiedział Jacek – ale gdybyście trochę ruszyli amerykańskie oszczędności taty, zarobione na uniwersytecie w Kansas?

– Ruszyli? Trochę? Synu... Musielibyśmy wydać całe, a i tak byłoby mało – wyjaśnił Krzysztof z powagą. – Tu trzeba zbyt dużo zainwestować. O czym my w ogóle mówimy – uciął – bądźmy realistami.

– Ja też chcę być – zawołał Jasiek.

– O, właśnie! – zgodził się z wnukiem Krzysztof. – Masz głowę na karku.

– Mam – zgodził się mały z dziadkiem.

Zarzycki rozlewał wino, Danuta nuciła coś wysokim głosem.

– Nie zimno ci? – zapytała Iza, nachylając się nad synem, ale ten pokręcił głową.

– A tobie nie zimno? – odwróciła się do siedzącego obok męża, który pocałował ją w policzek.

Wszyscy zamilkli, aby kontemplować serię żywych obrazów, które zaczęła tworzyć natura. Światło z pomarańczowego nabrało barwy indygo, jakby w operze przygaszono już widownię przed podniesieniem kurtyny. Ta zawisła nad horyzontem w barwach królewskiej purpury podmalowanej złotem. Zapanowała cisza, zamilkły ptaki, przestały szumieć szuware, zupełnie tak jak cichnie publiczność przed spektaklem, zniżając podniecone rozmowy do szeptów. I wtedy purpurowa kurtyna rozwarła się, a raczej rozplynęła, i nad horyzontem zaczęły gromadzić się granatowe chmury. Po chwili bezładu i zamieszania powstawały z nich iluzjonistyczne obrazy łańcuchów górskich, okrytych wiecznym śniegiem, aby następnie zamienić się w panoramy tajemniczych grodów otoczonych murami i

wieżami, ułożyć się w formy geometryczne, do złudzenia przypominające twory inżynierskie.

– Fatamorgana! – powiedział zafascynowany tym widokiem Zarzycki.

– Gdzie? – zapytała trzeźwo Danka, jego żona.

– Tam, nad horyzontem – wskazał ręką.

– A, to dobrze, bo już myślałam, że rozważasz swoje interesy!

Wszyscy roześmiali się łagodnie, pobłaźliwie, nawet Zarzycki. Marianna też czuła się odprężona i szczęśliwa. Patrzyła na swoją rodzinę, na przyjaciół, była pewna, że wszystkim udziela się dobry nastrój tego miejsca. Rzuciła przelotne spojrzenie na córkę, nie chcąc spłoszyć tej wyjątkowej sytuacji, gdy zobaczyła, że Katarzyna siedzi oparta – bo tak jest jej wygodniej w gruncie rzeczy – o Roberta. On nachylił się do niej i coś mówił cicho.

Katarzyna oderwała się od niego zaskoczona.

– Wiecie, co on powiedział? Że może byśmy się dorzucili i wyremontowali jedną część domu dla nas.

Wszyscy popatrzyli na nich zaskoczeni.

– Co tata na to? – zapytał Robert.

– Tata na to jak na lato! – zawołał Zarzycki.

– Piotr... – mitygowała go Zarzycka.

Krzysztof miał zdziwioną minę, milczał chwilę.

– Noo... hm... no... możemy o tym pogadać...

– W porządku – odrzekł rzeczowo Robert – jak tylko będziecie w Warszawie, czekam na telefon. Chciałbym też rozejrzeć się w dokumentach, dobrze?

– Niesłychane... – Katarzyna popatrzyła na męża z uśmiechem zaskoczenia.

– Może ktoś jest głodny? – zapytała zdławionym głosem Marianna. – Mogę przynieść...

– Siedź! – polecił Krzysztof. – Będą chcieli, to sami sobie wezmą. – I nagle mocno objął ją ramieniem.

Zapadła noc, słychać było jeszcze zasypiające, rozleniwione ptaki i samotne poszczekiwanie psów gdzieś daleko. Marianna w szlafroku zamknęła wrota wejściowe. Nachyliła się do budy psa i coś do niego cicho powiedziała.

Z okienka na górze domu wychyliła się Zarzycka w papilotach.

– Było tak cudownie... Jeszcze raz dobranoc, Marianno.

– Śpijcie dobrze, kochani. Koce zapasowe w skrzyni. – Pomachała jej dłonią i weszła do domu. Zamknęła drzwi w sionce i ruszyła do swojej sypialni.

Krzysztof był już w łóżku, czytał gazetę.

– Gdzie się włoczyłaś? – burknął.

– Zamykałam wrota, sprawdzałam wszystko w obejściu.

– Mówisz już miejscowym językiem – mruknął, nie odrywając się od lektury.

– Na razie nie jestem miejscowa, ale może kiedyś będę. – Siadła przed staroświeckim tremem ciotki Róży i zaczęła rozczesywać włosy. Patrzyła na odbicie Krzysztofa w lustrze, nie wiedząc, jak zacząć rozmowę. Wreszcie zaryzykowała najprościej:

– Wiesz, mówił mi Jacek, że muszą się wyprowadzić z tego mieszkania na Mokotowie.

– Tak? Kiedy? – wymamrotał z roztargnieniem Krzysztof.

– Zaraz po wakacjach. Od pierwszego października nie mają się gdzie podziać.

– A co? Facet doszedł do wniosku, że założy tam hurtownię zabawek? To dobrze, może będzie trzymał też takie dla dorosłych – pokazał gestem wędkarskim wielkość wyimaginowanego przedmiotu i udał wibracje – będziemy mieli zniżkę, po znajomości...

– Przestań! Twoje dzieci znajdują się na bruku, a ciebie trzymają się żarty. Głupie, zresztą.

– Na bruku?! Jacek na bruku?! Z jego profesjonalnym doświadczeniem organizatorskim?! Czy ty sobie zdajesz sprawę z tego, czym jest znalezienie nowego mieszkania wobec organizacji produkcji filmowej! – Krzysztof aż podniósł się na łokciu w zapalczywości.

Marianna uśmiechnęła się, podobała się jej jego ojcowska, choć jakaś chłopięca duma, ale równocześnie obudziła się w niej mała zazdrość o jego wiedzę o zawodzie syna, więc powiedziała uszczypliwie:

– Proszę, proszę: nie wiedziałam, że tak się orientujesz w tym, o czym dotąd wyrażałeś się z lekceważeniem.

– Nigdy nie wyrażałem się z lekceważeniem o czyjejś pracy, a zwłaszcza o pracy mego syna. Najwyżej mogłem tak mówić o jej rezultatach, na co zresztą on ma ograniczony wpływ.

– W porządku: cofam zarzut co do Jacka, ale podtrzymuję co do lekceważenia, jak mówisz, „rezultatów”, czyli po prostu filmów, w których Jacek pracował, a których

nawet nie widziałeś.

– Nie widziałem, bo Jacek mówił, że nie warto.

– No tak, bo on ma po mnie zbyt rozwinięty autokrytycyzm – odwróciła na swoje Marianna. – Ja też się nie chwalebę, kiedy ciasto ma zakalec.

– Nie chwalisz się, ale ja je zjadam – postawił na swoim Krzysztof, uśmiechając się z ironią.

– E, daj mi spokój! Obaj jesteście siebie warci, zawsze umiecie wykręcić na swoje! Nic mnie to nie obchodzi: możecie sobie obaj mieszkać na bruku i chodzić do agencji towarzyskiej tych bliźniaków z Cieszyna!

Krzysztof zrobił wielkie oczy.

– Co?! Jakiej agencji, jakich bliźniaków z Cieszyna?!

To szczerze zdumienie, które aż poderwało Krzysztofa, tak że siadł na łóżku i podniósł okulary na czoło, teraz rozbawiło Mariannę.

– Ten ich gospodarz potrzebuje mieszkania dla bratanków, bliźniaków z Cieszyna. Dostali się na studia w Warszawie, ale tak naprawdę pewnie tam założą agencję – mówiła, śmiejąc się.

– Może na medycynę?! Już ja im dam agencję! Takie piękne mieszkanie, prawie takie jak to Kedllisów na Manhattanie, agencja!!! – Krzysztof dopasował się momentalnie do jej nastroju, marszcząc groźnie brwi. Śmiali się oboje jak dzieci.

Marianna zrzuciła szlafrok i położyła się obok męża. Krzysztof odłożył gazetę i okulary. Marianna przypomniała sobie o zegarku, zdjęła go, nakręciła i powiesiła na ścianie. Systematyczna i uporządkowana. Zgasiła lampę. Przytuliła się do pleców Krzysztofa.

– To był taki dobry dzień... – powiedziała, a potem cicho westchnęła: – W ogóle nie maluję... zupełnie nie mam kiedy.

– No właśnie... – zamruczał Krzysztof z zamkniętymi oczami. – To co będzie, jak zdecydujemy się na remont? Swoją drogą Robert mnie zaskoczył, a jeszcze bardziej Kasia, że ją to ucieszyło.

– Wiesz, ja myślę, że on może już wcześniej myślał o tym, że mógłby nam pomóc, może nawet rozmawiali o tym z Kasią, ale jej ambicja by na to nie pozwoliła...

– Ale dzisiaj to chyba ją także zaskoczył.

– Też mi się tak zdawało.

Marianna umilkła, leżała z otwartymi oczami i rozmyślała już o tym, jak przy okazji remontu przebuduje kuchnię i połączy ją z jadalnią. Krzysztof teraz dopiero

na dobre przejął się problemem Jacka i zastanawiał się nad jego rozwiązaniem. Przyszło mu na myśl, aby część pieniędzy od Roberta przeznaczyć na pomoc Jackowi. Nie, to zły pomysł! To na pewno nie spodobałoby się Kasi, chociaż Robert by go może rozumiał. A gdyby ruszyć te dolarowe oszczędności? Ale co to za sumy! Lepiej mieć coś na czarną godzinę. Było pewne rozwiązanie, ale blokował je, nie dopuszczał do głowy, unikał, jakby bał się, że jeśli zacznie je rozważać, nie potrafi go odrzucić. Odwrócił się ku Mariannie, udając zawiedzionego.

– Myślałem, że się ucieszyłaś...

– Ucieszyłam się i cieszę, ale wiem, że chcesz mi jeszcze coś powiedzieć.

– Jak zwykle zgadłaś... – powiedział Krzysztof, ale z wahaniem, jakby szukał odpowiednich słów, a tak naprawdę jeszcze zwlekał, jeszcze bał się ujawnić swój pomysł żonie. – Wiesz, pomyślałem sobie, że... gdybyśmy to porządnie wyremontowali... moglibyśmy przenieść się tu i oddać Jackom nasze mieszkanie... Przynajmniej na parę lat, dopóki nie kupią sobie własnego...

Marianna milczała. Krzysztof uniósł głowę i zapytał zaniepokojony:

– Dlaczego nic nie mówisz? Zasnęłaś?

– Odjęło mi mowę... bo przeszedłeś samego siebie. Wiesz, ja chciałam ci to dawno podsunąć, a zwłaszcza jak Jacek mi dziś powiedział o kłopotach, które ich czekają – mówiła pospiesznie, rozentuzjasmowana – ale nie chciałam cię denerwować, bo przecież to stworzy ci problemy, twoje wykłady i wszystko... kontakty zawodowe i nasze towarzyskie...

– Tylko nie zaczynaj z tą agencją... – Krzysztof żartem bronił się przed wzruszeniem.

– I będę malować. Cały dom! Wszystko pomaluję, nawet pisanki pomaluję, jeśli mi naturalnie użyjesz swoich... – Marianna zaczęła się śmiać jak wariatka.

– Ależ ty jesteś pieprznięta, przecież Wielkanoc jest dopiero w przyszłym roku!

Krzysztof zaczął jej wtórować, śmiali się oboje i turlali po łóżku jak dzieci, które dostały głupawki. Marianna wtuliła się w obejmujące ją ramiona męża. Byli w tej chwili bardzo sobie bliscy i wiedzieli o tym.





3.

Lotniarz zatoczył jeszcze jedno koło i zaczął wzbijać się w górę, jakby rozczarowany, że nikt nie zwraca na niego uwagi, a może zdruzgotany tym, co widział na ziemi, gdyż z góry mogło mu się wydawać, że tam nic się nie dzieje.

A tymczasem w dawnym gospodarstwie Róży Kapli nastąpiły zauważalne zmiany: zadbane otoczenie, przycięte drzewa owocowe, porządną płot otaczający siedlisko, kwitły kwiaty siane już i zasadzone przez Mariannę. Dom w generalnym, dobrze zaawansowanym remoncie i rozbudowie. To samo dotyczyło budynków gospodarczych. Zbudowano tak zwaną letnią kuchnię, przy której stał długi wygodny stół z ławami z obu stron. Powstały nawet dwie budy dla psów opatrzone wizytówkami Lolka i Berta. Historia tych dwóch nowych rezydentek siedliska była całkiem zwyczajna: najpierw przygarnięto młodą sukę w typie niemieckiego owczarka, ale o złagodzonych kształtach i zmienionych proporcjach. Nie była smukła, uszy nie stały jej na baczność, pysk nie był czujnie wydłużony. Raczej należało powiedzieć, że jest zaokrąglona, poczciwie kłapoucha, swojsko łagodna. Kiedy ją przyprowadzono z prośbą o przygarnięcie, Krzysztof siedział w swoim aucie na podwórku i przeglądał mapę okolic, a w radiu szła stara piosenka Marleny Dietrich, *Lola*. Krzysztof pogwizdywał skoczną melodyjkę i przypominał sobie słowa usłyszane jeszcze za czasów okupacji we Lwowie, natrętnie dochodzące przez całe miesiące z kina Uciecha w Pasażu Mikolascha, przy którym mieszkali:

Ich bin die fesche Lola, der Liebling der Saison

Ich hab' ein Pianola zu Haus in mein' Salon

*Ich bin die fesche Lola, mich liebt ein jeder Mann...**

Kiedy Krzysztof ujrzał sympatyczną suczkę patrzącą na niego brązowymi i jakby podkrążonymi na czarno oczyma zalotnej fordanserki, powiedział do niej machinalnie po niemiecku:

*– O! Bist du Lola? Die fesche Lola? Ja, natürlich! ***

I wiejska, poczciwa suczka została Lolą, potem bardziej swojsko Lolką. Historia Berty prezentowała się jeszcze prościej: z Warszawy przywiozła ją znajoma i

zalewając się łzami, wyblągała u nich azyl dla zwierzaka, bo okazało się, że ich ukochana papuga ma alergię na psy i zaczęły jej wypadać pióra. Na dowód pokazała żółte pióro z ogona biedaczki.

– Gdybyś przywiozła papugę, a na dowód alergii odgryziony ogon Berty, odmówiłbym. A tak: Berta: *Willkommen zu Hause! **** Pasujesz do tej niemieckiej żdziry, Lolki. Artystki ze spalonej niemieckiej tancbudy, psiakrew! – Z tymi słowy Krzysztof wpiął sobie papuzie pióro w kapelus.

Józek pracował przy małej betoniarce, majster na dachu. Na łące pasła się krowa, obok, w kwiatkach, siedziała Danuta Zarzycka, medytując i otwartymi dłońmi wspartymi na kolanach czerpiąc energię z kosmosu.

Pani Helena wyszła z domu, ucierając krem w makutrze. Powiedziała coś do Józka, ale ten nie zrozumiał, więc zatrzymał betoniarkę. Przez podwórze przejechał na rowerku Jasiek i skręcił w stronę rozpiętego ogrodowego parasola, pod którym stał stołek, stolik turystyczny z bukietem kwiatów w dzbanku i owocami. Obok sztaluga, a na niej płótno: Marianna malowała martwą naturę. Marszczyła czoło z namysłem, przechylała głowę, odchodziła, przybliżała się, mieszała farby na palecie i co pewien czas odganiała się od os, które, brzęcząc, kręciły się koło niej i dojrzałych owoców na stole.

Marianna była pochłonięta pracą, ale z transu wytrąciła ją cisza, która zapadła po wyłączeniu betoniarki. Cisza dłuższa niż konieczna dla dołożenia piasku i cementu. Wytarła pędzel i patrzyła na płótno, krzywiąc się krytycznie. Nagle usłyszała dzwonek i na rowerku podjechał Jasiek.

– Babciu... czy mogę zjeść martwą naturę?

Marianna rozjaśniła się w uśmiechu.

– Całą? Kwiaty i dzbanek też?

Mały wybuchł śmiechem.

– Chcę tylko gruchę.

Marianna dobrze udała cierpienie.

– Już możesz wziąć, ale jedź do pani Heleny, niech ci ją obierze.

Mały stanął przed obrazem, patrzył przez chwilę, a potem sięgnął po najdojrzałą gruszkę na stole.

– Twoja jest smaczniejsza.

Marianna złapała go w objęcia i powiedziała straszonym, ale miłosnym głosem:

– A ja zjem ciebie, bez obierania skórki... – I zaczęła go łaskotać pocałunkami w

szyję. Mały zaniósł się śmiechem, wyrwał i pobiegł do roweru.

– Jasiu – zawołała Marianna – a co tak cicho? Dlaczego betoniarka nie pracuje?

– Nie moja broszka – odrzekł z powagą mały, ładując się na rower.

– Hej! Czyje to powiedzonko? – zawołała Marianna zdziwiona.

– Było pana majstra, a teraz jest moje. – Mały ruszył przed siebie.

– Czekaj no! – krzyknęła Marianna. – Dlaczego tak powiedział?!

Ale mały popedałował, nie odwracając się już. Marianna wytarła ręce w szmatę, rzuciła jeszcze jedno niechętnie spojrzenie na płótno i ruszyła w kierunku domu.

Józek siedział na pieńku i osadzał grabie w nowe stylisko. Obok leżały jakieś inne narzędzia wymagające naprawy. Majster Bugała wyciągnięty pod drzewem palił papierosa.

– Cementu nam nie stało – oznajmił.

– To jeszcze Kotula nie przywiózł?! – spoważniała Marianna.

– Może geesiak zamknięty... – Majster uniósł czapkę i podrapał się z rozkoszą w łysinę.

– No, co pan, panie Bugała, o tej godzinie? – Marianna popatrzyła na zegarek.

– Ta ruda Biernacka z geesu miała rodzić jakoś teraz, to pewnikiem zamkła magazyn i zabrała się za swoją robotę – zaśmiał się leniwie majster.

Marianna opanowała rozdrażnienie.

– No, dobra, jeśli chodzi o robotę, to zabierajmy się za to, co można zrobić. Niezdrowo jest tak wylegiwać się w samo południe.

– Moglibyśmy okienko w obórcie... – zaczął Józek.

– Pani gospodyni to śrubuje... – starał się zażartować majster, ale podciągnął nogi, zabierając się do wstawiania. – My tak zapier... zapieprzamy – złagodził – od świtu. A tu gorąc...

– Dobrze – złagodniała Marianna – jeszcze kilka minut łap pan oddech, ale lepiej bez papierosa, a zaraz dostaniecie coś do picia.

– A co z tym okienkiem? Można je wreszcie osadzić? Co? – spytał Józek.

– Tak. Zaraz zrobimy. I okno się osadzi, i drzwi zamontujemy – zgodził się majster.

– Moja radość nie ma granic. – Marianna ruszyła do domu.

W kuchni krzątała się pani Helena.

– Oj, dobrze, że pani jest – ucieszyła się – można już przybrać.

Na stole stał tort, obok leżały specjały do przybrania i szpryca do wyciskania

kremu.

– Piękny jak marzenie – ucieszyła się Marianna. Sięgnęła po nóż i czekoladowy krem, który rozsmarowała na torcie. Zaczęła go dekorować, napisała: „Robert” i „39”.

– Nigdy bym panu Robertowi nie dała trzydziestu dziewięciu lat – Helena pokręciła z podziwem głową – myślałam, że jest w wieku mojego Józka, a on ma dwadzieścia pięć. Państwo to też na swoje lata nie wyglądają, widać w mieście ludzie starzeją się wolniej.

– Myślę, że starzeją się nawet szybciej, tylko lepiej z tym walczą, bardziej dbają o siebie, nie jedzą tak tłusto, mniej piją...

– Pani znowu do mnie o tę śmietanę w zupie – obraziła się Helena. – A z tym piciem to bym nie powiedziała: wciąż a to wino, a to piwko do jedzenia...

Marianna uśmiechnęła się pojednawczo.

– Przecież sama pani powiedziała, pani Helenko, że zupa bez śmietany czy zasmażki nawet lepsza, a z alkoholem to jak ze wszystkim, trzeba zachować umiar. Co innego pić wino do obiadu, a co innego urznąć się i leżeć pod płótem.

– Co prawda, to prawda. Tych pijaków to ja bym do jakich robót przymusowych posłała, albo najlepiej na księżyc wystrzeliła. Teraz to już przecież nie stanowi problemu – zapaliła się gniewem Helena.

– Co nie stanowi problemu: roboty przymusowe czy podróże międzyplanetarne? – zapytała podchwytliwie Marianna.

– Jedno i drugie.

– No, wątpię, czy ludzkość stać by było na zbudowanie takiej rakiety, która by wyniosła wszystkich pijaków w kosmos, a co do robót przymusowych, to pamięta chyba pani, jak kończą się takie pomysły... – zaśmiała się Marianna.

– To dlatego, że wszystkim chłopcy rządzą. Jaki chłop drugiego skarże za pijaństwo, skoro sam też pije? – podsumowała retorycznie Helena.

– Skoro już o chłopach i piciu mowa, to może pani zanieś naszym budowlańcom kompotu. Obiecałam... – zaczęła Marianna trochę nieśmiało.

Helena tylko machnęła ręką na znak, że sprawa jest beznadziejna, i z westchnieniem zaczęła wyciągać szklanki z kredensu. Nalała kompotu i ruszyła z tacą na podwórze. Marianna wyniosła udekorowany tort do lodówki w spiżarni. Przecedziła zioła ze stojącego na brzegu płyty kuchennej garnuszka do kubeczka, sięgnęła do wiszącej apteczki po pigułki. Poruszała się ostrożnie, bo kot ocierał się o jej nogi.

– Głodny jesteś, Filozofie? A zapolować na nornice to nie łaska? Idź, zobacz, jakie korytarze porobiły te ścierwa w warzywniku! Dać mleczka? Tak? Dać.

Nalała jeszcze kotu mleka do miseczki i wyszła z kuchni. Udała się na taras, gdzie w fotelu, przed komputerem siedział opatulony w pled Krzysztof. Przyłapany, usiłował natychmiast zlikwidować pasjansa, ale oczywiście Marianna to zauważyła.

– Krzysiu – powiedziała z wyrzutem i postawiła przed nim na stole ziola i pigułki. – Bawisz się, tak? A za trzy dni masz wysłać pracę.

– Zdążę – mruknął Krzysztof, chociaż w jego duszy z czarnego nieba strzelił grom, a on, stojąc na skale, o którą wściekle biły fale rozszalałego morza, rozerwał sobie szatę na piersiach i krzyknął straszonym głosem: „Babo, nie denerwuj mnie! Moja praca, mój termin, moja udręka!”.

– Zachowujesz się jak dziecko. Już pomijam twoje ambicje zawodowe, obowiązujące terminy, ale przecież mamy płatności! Wiszę u robotników i jest mi cholernie głupio. W galerii pewno zastój... Aż się boję, czy Kasia coś wyděbiła od pani Zuzy. A przecież to lato, są turyści w Warszawie... Daj Boże, żeby coś poszło... och...

Krzysztof kichnął i wytarł nos.

– Nic nie lepiej? – zapytała Marianna.

– Oszałeć można – odrzekł przez zatkany nos. – Przeziębic się latem? A może to uczulenie na coś?

– Najwyżej na mnie – starała się zażartować Marianna, widząc jego napiętą twarz.

– Sam jesteś sobie winien. Jak człowiek jest rozgrzany, nie wchodzi do jeziora. Narąbałeś trochę drewna, a potem... Mogło się gorzej skończyć! Jak dziecko. Zupełnie jak dziecko.

– Nic, tylko karty i wóda, wóda i karty... – zamruczał Krzysztof i wyciągnął z kieszeni piersiówkę, udając, że odkręca korek.

– Oddaj mi to zaraz! – krzyknęła groźnie Marianna i sięgnęła po butelkę.

Krzysztof posłusznie ją oddał.

– Pusta... – Rozłożył bezradnie ręce z troszkę złośliwą satysfakcją.

– Głupi! – obruszyła się Marianna. – Wypij ziółka i zażyj piguły, poczujesz się lepiej – dodała łagodniej.

– Tak... – już spokojnie zgodził się Krzysztof, w gruncie rzeczy zadowolony z jej troski.

– Krzysiu, a może by krowę sprzedać?

– Krasulę?

– No, Krasulę, Krasulę! Tak pytasz, jakbyśmy mieli stado. Tylko ile można za nią dostać?

– Tego ci nie powiem – kichnął Krzysztof.

– Wiem, mówię do siebie.

– Słusznie. Kobieta musi mówić, inaczej nie wie, o czym myśli.

– Ten wątpliwy dowcip słyszałam już ponad sto razy.

– Kobieta ma trudności z rachunkami: słyszałaś już pięćdziesiąt dwa razy. Od roku mówię to raz na tydzień.

– Zabierzesz się do pracy?

– Już się zabrałem. Musiałem zrobić sobie małą przerwę.

– Ty też? Właśnie pogoniłam Bugałę. A on był na tyle taktowny, że nie wypomniał mi, że zalegam z zapłatą za dach. No tak... – Wstała. – Pójdę zobaczyć, co robią.

Krzysztof otworzył przerwane pasjansa, a gdy go skończył, uczciwie zabrał się do pracy. Ale zaraz znowu się zamyślił. Zaczął się zastanawiać, skąd wzięły się w nim i wciąż odzywały dwie pozornie przeciwstawne tendencje: lenistwo i pracowitość. Lenistwo przejawiało się głównie w odwlekaniu zaplanowanej, nieraz ważnej i pilnej pracy. Wyspecjalizował się w wyszukiwaniu najrozmaitszych, czasem bardzo dziwnych zajęć, byle tylko nie zabrać się do roboty. Porządkował szufladę, przestawiał książki na półce, segregował wpisy do książki telefonicznej w telefonie, dzwonił do zapomnianych kolegów i wypytywał ich o problemy, a gdy zaczynali ze szczegółami wyżalać się lub chwalić, ogarniała go śmiertelna nuda, słuchał z roztargnieniem i tylko bąknięciami oraz pomrukami podtrzymywał rozmowę, gorączkowo obmyślając pretekst do jej zakończenia. Gdy nie wymyślił czegoś wiarygodnego, krzychał do słuchawki: „Halo! Halo, nie słyszę cię! Jesteś tam?! Halo! Słyszysz mnie?! No nie, znowu nie ma zasięgu!!! Niech to szlag trafi! Zastrane telefony!!!” – i wyłączał się. Trzeba przyznać, że odczuwał potem niesmak i dla zadośćuczynienia ze skruczą zabierał się do pracy. Ale najczęściej i najchętniej trawił czas na układaniu komputerowych pasjansów i jeśli je przerywał, to dlatego, że bał się już uzależnienia albo po prostu doprowadzał się do takiego znudzenia, że wręcz musiał kończyć zabawę. Kiedyś przeczytał, że Marszałek Piłsudski, idol jego ojca, z usposobienia samotnik, z wielkim upodobaniem kładł godzinami pasjanse. To dodało mu otuchy, nawet stworzyło pewne moralne alibi, ale Marszałek ponoć wtedy cały czas myślał o losach Państwa i Narodu albo obmyślał strategię bitwy, a on? Najwyżej mógł

obmyślać strategię ukrywania swoich pasjansowych grzeszków. Za to kiedy wreszcie zabrał się do wykonania jakiegoś poważnego zadania, robił to z dziką zawziętością, starannie i dokładnie, z maniacką precyzją. Mruczał do siebie: Praprababcia Reising ci się kłania, ty głupku! – mając na myśli niemiecką prababkę ojca, której teutońska pedanteria męczyła poprzez geny kilka pokoleń rodziny, ale głównie w takich sprawach jak natręctwo poprawiania obrazków na ścianach, by równo wisiały (nawet w cudzych domach!), czy zajadłe pucowanie sidolem mosiężnych klamek aż do uzyskania olśniewającego połysku. Po co? Nie wiadomo.

O tym wszystkim rozmyślał Krzysztof, odwlekając jeszcze zabranie się do napisania jakiegoś koreferatu dla któregoś z aplikujących doktorantów. W końcu jednak wypuścił z płuc powietrze, zaczerpnął oddechu i zaczął pracować.

Marianna wyszła przed dom. Robotnicy pracowali przy okienku obórki, z łąki nadchodziła Zarzycka, która na prośbę Marianny przywiozła im przed tygodniem wnuka, bo Iza musiała pojechać na jakąś konferencję szkoleniową, a Jacek miał urwanie głowy w pracy.

– Kochanie, wracam odnowiona! – zawołała.

– Właśnie. Kim jesteś, dziecko?

– Odnowiona, a odmłodzona, niestety, tylko wewnętrznie – zaśmiała się Danuta.

– Nie dasz się nigdy namówić na robienie choćby dziesięciu oddechów? Prawdziwych...

– Na razie prawdziwa jest we mnie tylko chęć mordu. Miał ten Kotula przywieźć rano cement z geesu i jak widzisz, ani widu, ani słyhu.

– Zacznij afirmację: przyjedzie... przyjedzie, jestem radosna... spokojna... pewna... ten dobry, miły człowiek przyjedzie z moim cementem...

Marianna patrzyła na przyjaciółkę z rozpaczliwym uśmiechem, a ta, rozjaśniona, czarująco bredziła, głęboko wierząc w skutek pozytywnego myślenia.

– Najmilsza... dojrzałam tylko do afirmacji na temat zbrodni, a ty możesz być drugą ofiarą... Wiesz co? – Marianna objęła Dankę. – Idź, zdejmij swoimi dobrymi prądami przeziębienie z Krzysztofa i sprawdź, czy pracuje. Dzięki ci, moja pomyłona wróżko.

– Pożalujesz, jak się zajmę Krzysztofem... – powiedziała Danuta i ruszyła w stronę tarasu.

Marianna zabrała koszyk i wyszła z obejścia, kierując się dróżką w głąb lasu. Zbierała jakieś gałązki, szyszki, kwiaty. Obiecywała sobie, że zrobi potem z tego kompozycję na stół, gdy zjadą goście zaproszeni na urodziny ich zięcia Roberta.

Coraz bardziej go lubiła, zwłaszcza kiedy zaskoczył ich więcej niż szczodrym wkładem w koszty remontu. Było gorąco, wręcz parno, odezwała się kukulka. Marianna liczyła półgłosem i uśmiechała się do siebie. Przez chwilę obserwowała wiewiórkę przemykającą wśród gałęzi, słuchała ptaków, stukania dzięcioła, którego nie udało jej się wypatrzyć. Czuła, jak spływają z niej wszystkie napięcia, jak zaczyna łapać psychiczną równowagę. Wszystko, co znajdowała, gałązki, szyszki czy kora, w jej rękach jakby nabierało dodatkowej plastyczności, ale dlatego, że ona umiała ich tak dotknąć, ująć, zobaczyć pod słońce. Dla niej samej ważny był ich kształt, faktura.

Odeszła trochę od głównej drogi w las, gdzie rosnęło pełno jałowców i krzaków zasłaniających drogę. Nagle stanęła jak wryta. Rozległo się rżenie konia. Nasłuchiwała, ale nie usłyszała ani turkotu wozu, ani stukania kopyt na ubitej piaszczystej drodze. Stała chwilę, rozglądała się, a potem ruszyła ku drodze. Zobaczyła wóz i odpoczywającego konia z lekko ugiętą kończyną. Na wozie leżały papierowe worki z cementem niezbyt dokładnie przykryte. Tylko one, woźnicy ani śladu. Koń odwrócił łeb w stronę nadchodzącej Marianny. Pogładziła go delikatnie, poklepała szyję i rozejrzała się, wołając półgłosem:

– Panie Kotula?

W ciszy lasu tylko ptaki hałasowały wśród drzew. Przeszła na drugą stronę wozu. Pod jałowcem leżał Kotula. Jego ciało wyglądało na bezwładne.

Marianna przerażona kucnęła nad nim i poszukała na szyi tętna.

– Jezus Maria... panie Kotula... co się stało?

Nachyliła się i wtedy uderzył ją straszny zapach gorzały. Odchyliła się ze wstrętem. Walnęła go w ramię.

– Panie Kotula!

Chłop nie zareagował. Marianna zaczęła nim energicznie potrząsać.

– No, już. Cholerny świat! Budź się pan! Jak panu nie wstyd?! – krzyczała.

Uniesiony za kłapy mężczyzna z trudem otworzył przekrwione, nieprzytomne oczy. Jego aż nadto brzydka twarz, przypominająca kartofel, który zakwitł w piwnicy na wiosnę, wyglądała teraz wręcz odrażająco.

– Nie... sta... wiam już... – zabełkotał.

– Wstawać! – Marianna starała się go dźwignąć. – No, wstawaj!

– Nie stawiam! – zapierał się pijany.

Marianna bezradnie puściła go, a on uderzył głową o ziemię i szerzej otworzył

oczy.

– Matka? – zapytał.

– Nie!!! – krzyknęła wściekła. – Ojciec!!!

Chłop z wysiłkiem starał się pozbierać.

– Jest... dobrze... nalej! – Beknął i dodał: – Ty draniu!

– Spokój! – krzyknęła bez sensu Marianna i złapała go pod pachy. – Wstajemy!

Ale już!

– Tak jest, panie władzo... – pijany spokojniał. – Mam latarnię... za... zaraz... zapalę...

– Rany boskie, panie Kotula, stań pan! Stań na nogi! Prosto! Nogi prosto! Nie uginać!

Dysząc i wytrzeszczając oczy z wysiłku, popychała pijaka w stronę fury. Przywarł do wozu.

– Mój – zgodził się łagodnie i z przekonaniem.

– Twój! Twój! Włóż! Włóż pan na wóz! Włóż, draniu! Ale już! – krzyczała ostro, ale chłop bezradnie przebierał miękkimi nogami. – Żeby cię, ochlapusie, pokręciło – dyszała ze wstrętem, podsadzając go i pomagając unieść nogi. – Dalej! Do góry! Do góry!! Przechyl się teraz! No!!! – krzyczała resztką sił.

Wreszcie chłop zwałił się z jej pomocą na dno wozu, uderzając głową o worki z cementem. Marianna chwilę odpoczywała, po czym schyliła się i rzuciła na niego brudny kapelusz, wzięła koszyk i wsiadła na kozioł. Ujęła lejce.

– Wio!

Koń ruszył ochoczo. Z naprzeciwka zbliżał się mężczyzna na rowerze. Kotula zaczął coś wykrzykiwać bez sensu.

– Cicho tam! – rzuciła za siebie Marianna i jeszcze poprawiła mu batem.

Kotula umilkł.

Mężczyzna na rowerze był coraz bliżej. Kiedy mijał wóz, wręcz zagapił się na powożącą Mariannę, bo nie zgadzała mu się ona ze znanym mu koniem i furmanką. Nagle Kotula krzyknął:

– A w łeb go!!

Marianna odwróciła głowę i zobaczyła, że mężczyzna zwałił się wraz z rowerem do rowu. Lekko wstrzymała konia i popatrzyła, czy ma spieszyć z pomocą, ale tamten chyżo wskoczył na rower i skręcił przerażony w leśną przecinkę.

– Wio, maluśki – szepnęła Marianna do konia. – Jedziemy!

Na krzyżówce wstrzymała konia, bo nadjeżdżał dość szybko samochód terenowy. Minął Mariannę, zobaczyła warszawską rejestrację i w środku Roberta z Katarzyną. Zamachała do nich batem, ale oni już pomknęli. Koń ruszył.

Na tarasie Katarzyna i Robert witali się z Krzysztofem, który złożył życzenia zięciowi i w narzuconym na ramiona pledzie rozglądał się za Marianną.

- Gdzie ją poniosło? Pewnie na dach.
- Pani gospodyni z koszem w las poszła – powiedział Józek.
- Na grzyby? – śmiała się Katarzyna.
- A gdzie Jasiek? Jasiuuu! – zawołał Robert.
- Pójdę, zapytam Dankę, ona na pewno wie – powiedział Krzysztof.
- Jak się gada z kosmosem, to się na pewno wie... – zażartowała Kasia.
- Zarzycki też jest? Miał lecieć do Hanoweru – zdziwił się Robert.
- Poleciał. Ona jest sama. Przywiozła nam Jasia.

Odwrócili się, bo na podwórze z turkotem zbyt szybko wjechał wóz. Powoziła Marianna, stojąc, z rozwianym włosom, z obłędem w oczach. Chyba nie była pewna, czy potrafi zatrzymać konia, więc wrzasnęła: „Pr!” i ściągnęła z całej siły lejce, opadając na koziół. Koń aż stanął dęba, a dyszel wycelował w niebo z taką ekspresją, że wszyscy odruchowo popatrzyli tam, gdzie wskazywał.

- Chyba mam jeszcze gorączkę – wolno powiedział zaskoczony Krzysztof.
- Mama?... – zapytała cicho Katarzyna.
- Stój! – zawołała Marianna, mocując lejce.
- Kupiła mama furmankę? – spytał spokojnie Robert, zawsze gotów zaakceptować wszystkie pomysły teściowej.
- Witajcie – Marianna uśmiechnęła się do obecnych, ujęła spódnicę jak wiejska baba i zeszła po kole z wozu.

Robert pospieszył z pomocą, ale ona już była na ziemi.

- A to co? – zapytał na widok skulonego, słodko śpiącego chłopca.
- Cement – odparła Marianna – i na cemencie, żeby nie powiedzieć inaczej, pijany pan Kotula. Zabierajcie cement, a jego odwieziecie do domu – dodała do Józka i majstra.
- Pani to jest... – Majster Bugała z uznaniem pokręcił głową.
- Skąd ty... – zaczął Krzysztof.
- Znalazłam go w lesie i dobrze, że to byłam ja. Ale on kiedyś marnie skończy,

jak będzie tak chłał.

– Jak mówi pewien znany artysta, ma słabą silną wolę – uśmiechnął się Robert.

– No, dobrze. Mamo... – zaczęła Katarzyna.

– Zaraz do was przyjdę i złożę Robertowi życzenia, tylko muszę się umyć i przebrać. Przesiąkłam Kotulą... a kiedyś używano paczuli, to z pewnością inny zapach...

– Co to znowu, na Boga? – Krzysztof odwrócił się nagle.

Na podwórzu w zawrotnym tempie, wydawało się, że z diabelskim wizgiem, wjechała na rowerze baba. Przyłot na miotle nie zrobiłby większego wrażenia. To żona Kotuli, czerwona, rozindyczona z gniewu i wysiłku, rzucała gromy wybałuszonymi oczami. Zsiadając z roweru, jazgotała groźnie, wymyślając obu mężczyznom. Zamierzyła się nawet na Józka, który złapał ją za rękę, mówiąc coś.

– Zaraz! Zaraz! – Marianna podbiegła do nich. – Pani Aleksandro, tylko spokojnie!

– Z którym chłał?! Pani powie, z którym chłał? – krzychała Kotulowa.

– Wejźmy do domu – z niesmakiem powiedziała Katarzyna i pierwsza ruszyła na taras.

– Ja nie mogę, ale wy zróbcie sobie coś do picia – powiedział Krzysztof. – Nocujecie, czywiście?

– Nie wiem... właściwie powinienem jutro... – zaczął Robert.

Katarzyna siadła na fotelu, otworzyła torbę i wyciągnęła plik pieniędzy.

– Tato, żebym nie zapomniała. To dla mamy. Dała to jej galernica, ta cała pani Zuzia, bo poszły te ostatnio wystawione obrazy, i mam jej powtórzyć...

– Komu i co powtórzyć? – zapytała Marianna, wchodząc na taras, nadal brudna i rozczochrana. – Zażegnałam wojnę, zwłoki zabrane.

– Masz forszę – podsunęła jej banknoty Katarzyna. – I pani Zuza bierze wszystko, jeśli to nadal będą „takie słodkie martwe naturki”...

Uśmiech Marianny, która trzymała pieniądze w brudnych dłoniach, zgasł. Wszyscy zobaczyli, jak jest jej okropnie przykro. Nawet Kasia, która z brzydką satysfakcją cytowała słowa pani Zuzy, chyba teraz tego pożałowała.

– Słodkie martwe naturki, powiedziała ta znawczyni. A nie mówiła o mnie per pacykara? – Siadła przybita i dodała cicho: – Idę na dno.

– Marianno! Po pierwsze, wypływasz na powierzchnię – Krzysztof wskazał pieniądze – po drugie, pani Zuza to pani Zuza, miałem nadzieję, że znasz swoją

wartość, a po trzecie...

– Nie kończ... – poprosiła, przerywając mu, Marianna. – Robercie, daj mi drinka. – Dzielnie się rozjaśniła. – Wypijmy za twoje zdrowie, nieustające, a tobie, Kasiu, bardzo dziękuję za to, że jesteś moim marszandem.

– To nawet jest zabawne zajęcie. A ta Zuza jest niebotycznie głupia, mamó. Przecież nie miałaś nigdy złudzeń? Robi, nalej mi coś.

– Zabrzmi to nie najzgrabniej, co powiem w tej chwili – zaczął Robert, przygotowując drinki – proszę też nie doszukiwać się drugiego dna, jak mawia moja małżonka, ale ja bardzo chciałbym mieć w swoim domu...

– Naszym – poprawiła go znaczącym tonem Katarzyna – choć nie wiem, o co chodzi.

– Tak, albo w moim biurze, jakiś obraz Marianny. Może niezbyt zgrabnie zbiega się to życzenie z moimi urodzinami, ale może właśnie dlatego mojej teściowej trudno będzie odmówić. – Podał jej drinka, potem Katarzynie.

Marianna patrzyła na nich, ale nie odzywała się.

– Mamó, a przecież malarz, którego lubimy, ten od róż w wazonach – zaczęła Katarzyna – no, wisi w Warszawie u was w pokoju...

– Alfons Karpiński – powiedział z poczuciem pełnej wiedzy Krzysztof.

– O, właśnie. Karpiński. Też miał taki okres malowania, rzecz można, „sprzedażnego tematu”, tych swoich kwiatów. To nie znaczy, że malował je gorzej od innych tematów, tyle że jakby nieco... hurtowo traktował, ale ludzie tego chcieli, a on musiał z czegoś żyć – mówiła bardzo przekonująco Katarzyna. – Ty nie puszczasz żadnej fuchy! Twoja każda martwa natura jest artystyczna, i każda inna. Inna kompozycja, inne światło, nastrój, kolor. A że chodliwe? I bardzo dobrze! Brawo! Wrażliwy odbiorca chce mieć je dla siebie i... obcować z tym, co mu pokazuje artysta... o czym do niego mówi.

Umilkła.

– Bardzo mądrze to ujęłaś! – z dumą powiedział Robert, a ona pogardliwie wyduła usta.

– Bo ja jestem mądra, to u nas rodzinne.

Krzysztof się roześmiał, ale widać było, że z przyjemnością słuchał jej wywodów. Marianna szeroko otwartymi oczyma patrzyła uważnie na Katarzynę, którą jakże rzadko stać było na opowiedzenie się po stronie matki i otwarte ofiarowanie dobrych słów. Wyciągnęła rękę, aby jej dotknąć, ale cofnęła ją, widząc, jak jest brudna na tle

białego mankietu kostiumu córki. Opanowując wzruszenie, powiedziała tylko:

– Dzięki.

– Ale to cię nie zwalnia od umycia rąk i uczesania się przynajmniej – dodała już prawie opryskliwie Katarzyna.

– Tak, tak – Marianna uśmiechnęła się przeproszająco. – Zaraz...– Odliczyła część pieniędzy, pozostałe podała Krzysztofowi. – Resztę schowaj, a ja zaraz im zapłacę. Boże, kamień spadł mi z serca.

– Pójdę się rozejrzeć. – Robert odstawił szklaneczkę.

– Robercie – poprosiła Marianna – to może zapłać im i niech już sobie idą. Mam ich serdecznie dosyć. A jutro, powiedz im, że jak zwykle, od rana.

Robert chciał wziąć pieniądze, kiedy nagle złapał się za kieszeń.

– Co to dziś za dzień! Byłbym... o, coś niedobrze ze mną. – Wyciągnął portfel, a z niego kopertę. – Tu jest nasza druga rata za to, co już, oraz trzecia akonto za to, co dalej. Wyliczone w środku w kopercie, bo wiem, że lubisz porządek w takich sprawach.

– To już raczej ja tu jestem księgowym. – Krzysztof wyciągnął dłoń, by zabrać kopertę.

– No, wiecie... – zaśmiała się z ulgą Marianna – a ja już chciałam sprzedać krowę.

– Na targu? – z przerażeniem zapytała Katarzyna.

– Niekoniecznie. Pomalowałabym ją w jakieś azteckie wzory i wstawiła w komis do desy. – Marianna miała coraz lepszy humor.

– Proszę nie podejmować żadnych decyzji bez porozumienia się ze mną, dobrze? – powiedział serio Robert i wyszedł.

Marianna kiwnęła głową jak mała dziewczynka, a potem czule zapytała męża:

– Przynieść ci ziółka?

– Nie! – prawie krzyknął Krzysztof. – Czuję się o niebo lepiej. Najlepszy dowód, że wszystko skończyłem. – Wskazał na stolik z komputerem i papierami.

– Jesteś kochany. – Marianna zamknęła za sobą drzwi.

Krzysztof zamruczał rozdrażniony, a potem uśmiechnął się do córki.

– Czy Iza z Jackiem przyjadą? – Schował pieniądze do skrzynki.

– Nie, tato. Iza dzwoniła, że wprawdzie wraca dziś z tej konferencji, ale wzięła za kogoś dyżur w poradni. Poza tym u Jacka w pracy jakieś trzęsienie ziemi.

– Szkoda – westchnął zawiedziony.

Katarzyna popatrzyła na niego uważnie, ale przelotnie, może była podświadomie

zazdrosna o bratową, ale nie powiedziała nic na ten temat.

– Tato, przecież to dzień powszedni. Miejscowi pracują. A zwłaszcza ten pracoholik Iza. – A gdy on wycierał głośno nos, zapytała: – Gdzie się tak dorobiłeś?

– Kąpiel w jeziorze, a byłem zgrzany i tak dalej – machnął ręką – ale jeśli twoja matka nadal będzie we mnie wmuszać te obrzydliwe ziółka, to nasza palma już tego nie wytrzyma.

– Tato... – roześmiała się Katarzyna – to ty?...

– Tak – przyznał się niechętnie – ale zatrzymaj to dla siebie.

– Więc to jest dziedziczne! Myśmy z Jackiem zawsze to samo robili w dzieciństwie. A biedna mama myślała, że coś podjada nasze domowe rośliny.

Zaśmiali się oboje, jakby zbliżeni tą małą konspiracją.

– To łajdactwo – przyznał z obłudnym wstydem Krzysztof, co rozśmieszyło ich jeszcze bardziej. Usłyszeli trąbienie pod bramą. Zaciekawieni wyjrzeli na podwórze.

Terenowy łązik, chyba jeszcze z demobilu po wojnie koreańskiej, zatrzymał się na środku podwórza. Kierowca wyłączył silnik, co spowodowało ogłuszający strzał z rury wydechowej. Psy, Lolka i Berta, które obszczekiwały zajadłe przybyły pojazd, nagle z podkurczonymi ogonami rzuciły się do ucieczki i zniknęły w swoich budach.

– A to bestie, weteryniarza poznały – szepnął z podziwem Józek, podchodząc z Robertem do samochodu.

Wolno, jakby ostrożnie, zjechała w dół szyba przy kierowcy i ukazała się spocona, okrągła, jak ulepiona z surowego ciasta twarz weterynarza Krycha. W tym cieście tkwiły jak rodzyнки małe, ale szeroko otwarte, przerażone oczy.

– To ty, Józek, na stałe tu pracujesz? – Rozejrzał się ze strachem po podwórzu.

– Co dzisiaj jest na stałe, panie Krecha – odrzekł sentencjonalnie Józek.

– Krycha, zapamiętaj sobie, Józek, Krycha! – poprawił go weterynarz. – Krechę to ty będziesz miał u mnie za to notoryczne przekręcanie.

– Przepraszam, nie chciałem. A już na pewno nie notorycznie – odparł zmieszany, ale głównie obecnością Roberta, Józek.

– Zamknij psy, szczepić przyjechałem – powiedział weterynarz.

– Przecież uciekły do budy.

– Oho, już ja tam znam się na psach! A zwłaszcza na rottweilerach! O nim tu już ludzie gadają, że to bestia krwiożercza...

– Berta? – włączył się Robert. – Przecież to sama poczywość! Pan pozwoli, że się przedstawię: Robert Lange, zięć państwa Kalinowskich.

– Ludzie gadają – mówił Józek – bo pani Marianna im stale opowiada, jaka to Berta niebezpieczna. Zawsze, jak ktoś nowy przyjdzie, to krzyczy, żeby się nie ruszać. Psa trzyma, zamyka, to ludzie się boją...

– Gdybym miał takiego szefa reklamy, jak moja teściowa... – westchnął Robert. – Naprawdę może pan śmiało wyjść, nic panu nie zrobi, panie...

– Krycha. Kazimierz Krycha, Mówią na mnie Ka-ka.

– Bardzo ładnie, jak Kaiser und Koenig. K.u.K.

– Słucham? – weterynarz nie mógł się skupić.

– Cesarz i król, ale to było dawno... – Robert zrezygnował.

– Panie Krycha, jest bezpiecznie – zachęcał go Józek.

Weterynarz, wcale nieprzekonany, rzucając na wszystkie strony przerażone spojrzenia, ostrożnie wysiadł z auta. Teraz dopiero było widać jego monstrualną postać: był ogromny, bardzo wysoki i bardzo gruby, ważył co najmniej sto pięćdziesiąt kilo. Stąpając ciężko po brukowanym podwórku, trzymał w potężnej dłoni malutką, jakby dziecinną torbę lekarską.

– Najlepiej zrobimy to tak – mówił, sapiąc i ocierając chustką pot z czoła – ja wejdem gdzieś, za jakieś drzwi, i przygotuję zastrzyk, a ty, Józek, podprowadzisz psa, wepchniesz mu zad do środka i przyskrzynisz go drzwiami, żeby się nie mógł ruszać. Wtedy zrobię iniekcję.

– No dobrze, może być – zgodził się Józek z ociąganiem, widać było, że śmieszny go asekuracja weterynarza. – To może tu, w drzwiach kuchennych?

Weterynarz kiwnął głową i schował się do środka. Józek poszedł po Bertę do budy.

– Berta, wyłaż! Berta, Berta!

Pies ani myślał wystawić nosa z budy. Robert też nachylił się i wabił Bertę czułymi słówkami:

– Dobra sunia, dobra. No chodź, chodź, malutka.

I to nie pomogło. Na progu domu ukazała się Marianna, która już wszystkiego się domyśliła. Trzymała w ręku kawałek jakiegoś smakołyka i zawołała zupełnie innym tonem:

– Berta! Lolka! Masz!

Lolka natychmiast wyskoczyła z budy i popędziła do swojej pani. Tego już Berta

nie wytrzymała, nie mogła pozwolić, aby Lolka dostała coś, a ona nie. Wyczołgała się z budy i ciężkim truchtem pobiegła do Marianny. Ta podzieliła sprawiedliwie herbatnik pomiędzy oba psy, podczas gdy Józek podszedł ze smyczą i zaczepił ją o obroź Berty. Lolka natychmiast zrozumiała, o co tu chodzi, i błyskawicznie wróciła do budy, Berta zaparła się nogami jak osioł, ale Józek i Robert, skutecznie pokonując jej opór, podprowadzili ją pod uchylone ostrożnie drzwi kuchni. Twarz weterynarza, z wybałuszonymi ze strachu oczami, pojawiła się w szparze.

– No, jak? – rzucił w przestrzeń.

– Dobra, dobra! – uspokajał go Józek, usiłując odwrócić Bertę, aby wepchnąć jej tył w drzwi.

Marianna i Robert też starali się pomagać.

Powstało chaotyczne kłębowisko: weterynarz na chwilę wyskoczył zza drzwi ze strzykawką w ręce, okręcił się z obłędem w oczach dookoła własnej osi i znowu wskoczył do środka.

Józek przycisnął Bertę drzwiami, ale teraz jej łeb znalazł się w środku. Weterynarz wydał przenikliwy, piskliwy wrzask przerażenia i wyskakując na zewnątrz, wbił igłę na oślep.

– Auu! – wrzasnął z bólu Józek: strzykawka tkwiła w jego udzie.

Berta, korzystając z zamieszania, wyrwała się i niezaszczepiona uciekła w pola.

Kropkę nad i postawiła Lolka: wyskoczyła z budy zjeżona, z obnażonymi kłami, i w paru susach dopadła uciekającego do auta weterynarza. Jedno kłapnięcie pyska i Lolka trzymała w zębach cały płat spodni konowała, który pokonując nadludzkiem wysiłkiem grawitację ziemską, dał nura do samochodu, ukazując całemu światu gigantyczną, białą jak ściana, nagą dupę. Wskoczył z lekkością baletnicy do auta, zatrzasnął z hukiem drzwi, zapuścił motor i ruszył do bramy niczym rajdowiec.

Robert z Jasiem napompowali wody do psiej miski i zanieśli ją pod budę Berty. Marianna, już przebrana i nawet w małym makijażu, wyszła na podwórko.

– Chłopcy, przynieście mi z sadu trochę owoców, dam wam koszyk. Psy zaszczepię sama jutro, niech odreagują stres.

– Czy ja mogę też odreagować stres? – zapytał rzeczowo Jasio.

– Możesz. Babcia ci pozwala – odrzekł poważnie Robert.

Marianna pogroziła Robertowi palcem, udając zagniewaną, i poszła po koszyk na jabłka. Wyniosła go z komórki i dała Jasiowi. Trzymając się za ręce, obaj ruszyli w wielkiej komitywie i mówili coś do siebie. Marianna, zamykając komórkę, patrzyła

za nimi z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Pani gospodyni...! – dobiegł ją jęklivy męski głos od strony drogi za płotem.

Marianna zrobiła parę kroków w tym kierunku.

– Ktoś mnie woła?

Zobaczyła stojącego na drodze obcego chłopca ze spuchniętym policzkiem i wykrzywioną bólem twarzą.

– Ja wołałem – wyjęczał – paninego męża mi potrzeba, ooo... ząb trza rwać.

– Co pan, on nie jest dentystą... Musi pan do ośrodka – odparła całkowicie zaskoczona Marianna.

– Ale tu jest bliżej, raz, raz i po kłopotcie. Zapłacę, co się należy. Tak narywa, że ciemno mi w oczach. Oooo...

– Nic nie poradzę. A pewno już jest zapalenie okostnej.

– Gdzie? – spytał bezradnie cierpiący.

– U pana. No, widać po tym spuchnięciu. Nie trzeba to było wcześniej?

Chłop popatrzył na nią zły.

– Co mi tu teraz będzie gadać...

– Tak. Rozumiem – łagodnie zgodziła się Marianna. – Trzeba do ośrodka. Mój mąż nic panu nie pomoże. Naprawdę.

Chłop patrzył na nią chwilę, a potem zły powiedział głośno:

– Dzieciaka to umiał, żeby kobieta urodziła, a głupiego zęba to nie? Nieużyte z was ludzie. Jeszcze na niego przyjdzie takie cierpienie, to sam posmakuje.

– Ale co pan... daję słowo, mąż... – zaczęła Marianna.

Chłop ze złością splunął przed siebie, przez co złapał go większy ból, skulił się i szybko poszedł w kierunku stojącej furmanki.

– Boże drogi. – Marianna wzięła głęboki oddech i odwróciła się od płotu. Była bezradna, ale i rozdrażniona. Ruszyła, ale po drodze automatycznie oparła porządnie o ścianę komórki porzuconą łopatę.

Rozległo się natrętne dzwonienie dzwonka roweru Jasia. On sam pędził w stronę domu. Za nim pojawili się Robert i Danuta. Marianna wybiegła im naprzeciwko pełna niepokoju.

– Co się stało?!

– Osa użądliła Roberta! Puchnie zastraszająco! Uczulenie! – wołała Danuta.

– Pani Heleno! – krzyknęła Marianna w stronę kuchni. – Ocet! Szybko! Miska z zimną wodą! Ręcznik!

Robert spuchnięty i oszołomiony siedł na ławce przed domem. Marianna już była przy nim. Jasiak rzucił rower i wpadł na taras.

- Osa go ugryzła! – zawołał do siedzącej samotnie Katarzyny.
- Osa nie ma zębów. Osa i pszczoła żądlą – powiedziała Katarzyna.
- Zamiast gruszki ugryzła jego – zawołał mały.
- Kogo? – zdziwiła się troszkę już zaniepokojona Katarzyna.
- Roberta! – krzyknął jeszcze z głębi domu.

Katarzyna w panice zbiegła po schodach tarasu: na ławce przed domem siedział, ciężko dysząc i jakby się dusząc, Robert. Helena z apteczką, Danuta ze szklanką, w napięciu mieszając w niej wapno, pochylały się nad nim, Marianna szykowała strzykawkę.

- Robert... – Katarzyna zamarła na jego widok.
- Już daję, tak... – Drżącymi rękami Danuta wlała mu do ust wapno.
- Kaśka, wołaj ojca – rzuciła Marianna.

Katarzyna z krzykiem wpadła do domu.

- Chyba trzeba mu naciąć tchawicę – powiedziała Marianna.
- Jezus Maria, Jezus Maria – szeptała Helena.

Marianna była wspaniale skoncentrowana i wiedziała, co robi.

- Heleno, jodyna i tam jest nożyk w plastiku. Przygotuj. Danko, zmień okład.

Danuta zmoczyła w zimnej wodzie okład, wykręciła, zalewając sobie bluzkę, i położyła na czoło Roberta.

- Że też ja nie mogę nic pomóc – jęczała.
- Cicho bądź – ostro ofuknęła ją Marianna.

Z domu szybko wyszedł Krzysztof, a za nim Katarzyna, nie wiedząc nawet, że płacze. Marianna nachyliła się ze strzykawką nad Robertem.

- Hydrocortison – poinformowała męża.
- To trzeba dożylnie! – chciał ją powstrzymać Krzysztof, ale on i tak nie potrafiłby tego zrobić.
- Można też domięśniowo, jeżeli to robi ktoś bez większej praktyki – powiedziała Marianna z przekonaniem. – Spokojnie, kochany – zamrugała z otuchą do Roberta – zaraz wszystko będzie dobrze. Nie damy się.

– Mamo, przecież ty nie umiesz... – zaczęła histerycznie Katarzyna, ale Marianna już trzymała strzykawkę w ręce, a Krzysztof powiedział do córki:

- Umie. Uspokój się, córeczko.

Marianna sprawnie zrobiła zastrzyk i uśmiechnęła się, kiedy Robert podziękował jej lekkim kiwnięciem głowy. Lubiła zięcia i martwiła się o niego, wciąż odsuwała od siebie natrętną myśl, że Katarzyna może go zostawić. Wydawało się jej, że nie docenia ona swego męża, nie widzi ani jego zalet, ani jego bałwochwalczej wręcz miłości i uwielbienia, którymi ją otacza.

Katarzyna siadła obok męża i wzięła jego dłoń w swoje ręce.

– Trzymaj się, Robi... proszę...

Robert zrobił jakiś mały ruch świadczący o reakcji na jej prawie czułość. Jasiek siedział bez słowa, wpatrując się w babkę, objęty przez Danutę.

– Zaraz będzie lepiej – mówił Krzysztof.

– Tak, troszkę trzeba poczekać – dodała Marianna. Patrzyła na męża i wzrokiem wskazała trzymany przez Helenę nożyk i buteleczkę z jodyną. Krzysztof uniósł lekko dłoń, że należy jeszcze poczekać. Zapadło pełne napięcia milczenie.

Cóż to za kobieta, ta moja Marianna?! – zaczął rozmyślać Krzysztof, kręcąc w duchu głowę z sarkastycznym podziwem. – Klasyczna Matka Polka, a raczej nieodrodna córka swego narodu: najlepiej sprawdza się w opresji. Na co dzień trudna do zniesienia, wścibska, nadaktywna, we wszystko się wtrąca, każdemu chce urządzać życie, po prostu Kierowniczka Całego Świata, a jak przyjdzie co do czego – sprawna, precyzyjna, znakomicie zorganizowana. A nie miała żadnej niemieckiej prababki!

– Mamo, skąd ty umiesz... – zaczęła Katarzyna.

– Robić zastrzyki? Na wszelki wypadek – starała się prawie zażartować – zanim się tu przenieśliśmy, pobrałam nauki u naszej pielęgniarki w przychodni rejonowej.

– Na pacjentach? – zapytała zdumiona Danuta.

– Najpierw na dwóch kilogramach wołowiny, którą musiałam przynieść, a dużo później wypuściła mnie na nieświadomego zagrożenia pacjenta.

– Dobrze, że to nie byłeś ty, tato – starała się powiedzieć lekko Katarzyna.

– Nie doceniasz mnie, ptaszyno – powiedziała Marianna. – Opanowałam dziki strach, a facet rozjarzył się: „Rewelacyjną ma pani rączkę, siostrzyczko!”. To była przyjemność!

– Zboczeniec – zdrygnęła się Danuta. – Zawsze wiedziałam, że jesteś niezwykła – dodała, a kiedy Jasiek przytulił się do niej, pocałowała go w głowę i mówiła dalej: – I ty też. To ty wezwałeś ciocię Kasię.

– Tak. Ja – przyznał malec z powagą.

Helena zmieniła okład na czole Roberta, który próbował się lekko uśmiechnąć.

– Już lepiej – szepnęła pani Helena i macierzyńskim gestem odgarnęła mu mokre włosy.

– Jak to się stało? – spytał teraz Krzysztof.

– Moja wina, ja ich posłałam po owoce – powiedziała Marianna.

– No co ty, zwariowałaś, jaka wina? – wtrąciła Danuta bardzo przejęta. – Zaatakowały ich pszczoły w sadzie, kiedy Robert schylił się po opadłe gruszki. Widziałam, bo szłam właśnie do nich. Robert kazał Jaśkowi uciekać na rowerze.

– Mnie nie gryzą – oznajmił z dumą Jasiek.

– Żądłą – automatycznie poprawiła Katarzyna.

– Trzeba bardzo uważać, z nimi nie ma żartów – dodał Krzysztof.

– Nie będę z nimi żartował, to idiotki – pogardliwie rzucił malec.

– No i bardzo dobrze – powiedziała Marianna.

Wszyscy na chwilę zamilkli. Robert oddychał spokojniej, obrzęk się nie powiększał.

– Chyba opanowaliśmy sytuację, prawda, Krzysiu?

– W każdym razie nie jest gorzej.

– Jak pan będzie jadł? – zmartwiła się zawiedziona pani Helena. – A taki piękny tort zrobiła pani Marianna...

– Zostawimy mu kawałeczek – uśmiechnęła się Katarzyna – a resztę zjemy z Jaśkiem na spótkę, tak?

– Tak! Albo zostawimy mu pół! – zdecydował się nagle Jasio.

– No, to idziemy przygotować stół. – Danuta wstała i odeszli z Jasiem i Heleną.

– Piękne urodziny – cicho i powoli powiedział Robert.

– Oryginalne w każdym razie – uśmiechnęła się Katarzyna – tak jak teraz twoja uroda. Wyglądasz jak młody Hitchcock.

– Zniknie to opuchnięcie, nic się nie martwicie. Wszystko w porę złapane – uspokajał ich Krzysztof. – No, wreszcie mogę zapalić fajkę. Kończy się mój katar... z tego napięcia.

Robert popatrzył na Mariannę i lekko skłonił głowę.

– Ja też się cieszę – powiedziała ona – a namaluję ci, co będziesz chciał.

– Martwą naturkę? – zapytała niewinnie Katarzyna.

– Z gruszkami – poprosił wolno Robert, a wszyscy wybuchli śmiechem. Odwrócili się, bo nagle dobiegły ich wesołe głosy:

– Dzień dobry! Dzień dobry!

– A to kto? – zapytał cichutko Krzysztof.

Marianna podniosła dłoń do oczu.

– Sąsiedzi! – wyszeptała i zawołała: – Jak miło! Prosimy...

– Ale kto to, mamo – przytrzymała ją Katarzyna.

– Profesor Gajewski. Ten wzięty chirurg plastyczny – wyszeptała i ruszyła pierwsza, za nią Krzysztof.

Od strony lasu nadchodziło eleganckie towarzystwo. Siwiejący mężczyzna, panna, dwóch młodzieńców i siedmiolatek. Przywitali się i zatrzymali przy płocie.

– Zapraszam w najbliższą sobotę na „otwarcie basenu”. Sobota, godzina siedemnasta. Siedemnasta – powtórzył dwukrotnie profesor Gajewski.

– To basen ma drzwi? – zapytała Marianna.

– Wybudowałem go w prezencie imienninowym dla mojej żony, ona jest aktorką, Alicja Horno-Gajewska – wymienił nazwisko z wyraźną dumą – więc urządzamy uroczyste otwarcie.

– No, bardzo dziękujemy! – powiedziała śmiało Katarzyna, dając do zrozumienia, że to nazwisko coś jej mówi, w czym zdaje się była odosobniona.

– Stroje wieczorowe czy kąpielowe? – odezwał się jeszcze trochę obolałym głosem Robert.

Wszyscy zaśmiali się wesoło. Młodzież była sympatyczna, wyrobiona towarzysko, przedstawiali się, bo byli tu po raz pierwszy. Profesor Gajewski, jakby zakładając, że jest powszechnie znany, sam się nie przedstawiał, wyręczał za to młodych:

– To są moje dzieci. Synowie: najstarszy Zbyszek i najmłodszy Marcin, a pośrodku, między nimi, córka Magda...

– Panna z odzysku – zaśmiał się młodszy z braci, ale ojciec skarcił go spojrzaniem.

– To natomiast nasze oczko w głowie: Antek, mój wnuk...

– A mój syn – wtrącił Zbyszek.

– Będzie tu miał kolegę – powiedziała Marianna i zawołała: – Jasiek, Jasiek! Gdzie się schowałeś?

– Wcale się nie schowałem – sprostował Jasiek, wyłaząc zza krzaka. – Szukam osy...

– Jakiej osy, co ty pleciesz? – zapytał Krzysztof.

– No, tej co ugryzła wujka. Muszę ją ukarać. Dostanie dwa lata więzienia z

zawieszeniem!

– Dlaczego z zawieszeniem? – roześmiał się profesor Gajewski.

– Bo wsadzę ją do flaszeczki i zawieszę na drzewie na dwa lata – odparł rezolutnie Jasiek. – Ale nie będę jej morzył głodem, powrzucam chleba z miodem!

– Ooo! To jeszcze czytuje się Jachowicza? – wykrzyknął zdziwiony Gajewski: – „Pan kotek był chory i leżał w łóżeczku”...

– „I przyszedł kot doktor: Jak się masz, koteczku!” – dopowiedzieli chórem Jaś z Antkiem.

Znowu wszyscy się roześmiali. Naiwny wierszyk spowodował poczucie jakiejś wspólnoty towarzysko-kulturowej.

– A czy dacie wiarę? – powiedział Krzysztof. – To ten wierszyk sprawił, że już jako dziecko postanowiłem pójść na medycynę!

– Ja wierzę – odrzekł Gajewski – bo sam również Jachowiczowi zawdzięczam wybór zawodu.

– Dziwię się tylko, że nie poszli panowie na weterynarię, skoro chory kotek was tak poruszył – Katarzyna skorzystała z okazji zaprezentowania swego sarkastycznego poczucia humoru.

– O, ja wśród swych pacjentek mam bardzo często do czynienia z takimi czarującymi kotkami, które lubią pokazywać swoje ostre pazurki – odparował Gajewski z uwodzicielskim uśmiechem play-oldboya.

– Ja w każdym razie poszedłem na medycynę po precyzyjnej analizie rynku – dodał Zbyszek, starszy syn profesora Gajewskiego.

– Którą ja ci zrobiłem na swoim komputerze – dorzucił jego młodszy brat.

– Fakt. Miał wtedy dwanaście lat – potwierdził Zbyszek.

– Bardzo uzdolnioną rodzinę mamy za sąsiadów – zauważyła Marianna. – Prosimy do środka. Czego się państwo napiją?

– O, proszę sobie nie robić kłopotu – pospiesznie zarzekął się profesor Gajewski – musimy wracać. Zostawiliśmy żonę i synową w kuchni, czekają na nas z obiadem...

– Musimy wpaść innym razem i obejrzeć państwa włości. Bardzo tu pięknie – pochwalił Zbyszek.

Goście grzecznie akceptowali urodę otoczenia, ale pobrzmiwała w tym dyskretna pobłażliwość dla niższego standardu i dużo mniejszej zamożności. Troszkę zaczęli szaleć Jasiek z Antkiem. Jasiek podbiegł do Magdy, córki Gajewskiego, i zaczął ciągnąć ją do Roberta, żeby zobaczyła, jak „ugryzła” go osa.

– Zobacz, jak fajnie spuchł. Podoba ci się? Jak kiedyś będę chciał być większy, też dam się ugryźć!

Magda, ładna i zgrabna dziewczyna, zmieszana nieco, z jakąś naturalną, może nieuświadomioną zalotnością przystanąła przy Robertcie, pełna prawdziwego współczucia. Robert był najwidoczniej speszony swoim wyglądem i obecnością osoby tak atrakcyjnej. Katarzyna nagle „dlaczegoś” przybrała dość oficjalny ton. Ale wszystko to trwało chwilę, bo ojciec zaczął wołać całe towarzystwo do odwrotu. Krzysztof i Marianna odprowadzili ich kawałek łąką, obiecując przyjść.

Słońce wisiało już bardzo nisko nad horyzontem i światło przybierało kolor mocno dojrzałej pomarańczy, podkreślony jeszcze przez błękitniejące cienie zbliżającego się zmerchu. Od letniej kuchni rozległ się gong, to Danuta zwoływała wszystkich, bo nakryty stół czekał. Krzysztof przywołał Jasia, który zapuścił się daleko za Antkiem, i wracali właśnie razem, trzymając się za ręce i wymachując nimi, jak żołnierze na defiladzie na placu Czerwonym. Marianna wzięła męża pod rękę, oparła się na nim:

– Ależ gęsty dzień...

Krzysztof szedł chwilę w milczeniu, a potem westchnął przesadnie głośno:

– A obiecywałaś kiedyś na początku, że będziemy tu żyli spokojnie, długo i szczęśliwie.

Marianna parsknęła śmiechem.

– No, więc zmienmy spokojnie na... barwnie, a że długo i szczęśliwie, to przysięgam.

Zbliżyli się do stołu, wokół którego już siedzieli: Danuta, Katarzyna, Helena, na krzesło wdrapywał się Jasiek, a na fotelu na poduszkach półleżał Robert, koło którego stała sztaluga Marianny. Na stole między innymi przysmakami – oczywiście tort. Krzysztof wstał i zaczął zapalać świecek na tortcie, wdychając na pokaz:

– Moi biedni rodzice chcieli, żebym był doktorem, a ja zostałem zapalaczem świecek na tortach.

– Obawiam się, że będziesz musiał być także zdmuchiawcem – Katarzyna chętnie podjęła ulubiony ironiczny ton. – Robert nie zdmuchnie ani jednej...

– A więc będzie to zdmuchnięcie per procura...

– Dam radę! – zapewnił z wiarą w głosie Robert. – Płynie we mnie krew zwycięzców spod Somosierry!

– Słuchajcie: a wy znacie tę aktorkę, żonę profesora, jak jej tam, Horno-Gajewską?

– zapytała Marianna.

– Tak, ma w Warszawie ksywkę: Porno-Gajewska. Podobno miała propozycję sesji w „Playboyu”, ale profesor jej zakazał – powiedziała niedbale Katarzyna.

– Nie dziwię mu się – odezwała się Iza. – Z lekarskiego punktu widzenia to anorektyczka.

Ręka z zapalką nagle zastygła w powietrzu, Krzysztof odwrócił się i patrzył, a wszyscy podążyli za jego wzrokiem: zobaczyli nadjeżdżającego przez pole na koniu młodego chłopaka. Jechał świetnie, jego biała koszula nadymała się powietrzem, a twarz, gdy wjechał szybko na podwórze, była dziwna, czujna i poważna.

– Chłopak jak z Grottgera – zauważyła cicho Marianna. Lolka zaczęła szczekać zajadle, ktoś ją uciszył.

– Mamo... – przywołała ją jakoś do porządku Katarzyna – ale nie widzisz ścigających go Moskali, co?

– Na szczęście nie – odparła speszona Marianna.

– Zafascynował cię ładny chłopak na koniu, jak wtedy ten twój porucznik, co? – szepnął Krzysztof do ucha Marianny.

Trzepnęła go serwetką po ręce.

– Przestań! – Zaczerwieniła się gwałtownie. Dostrzegł to od razu i zaszeptał z diabolicznym wyrazem twarzy:

– A więc ten, niby wyparty, tajny bodziec erotyczny, wciąż działa!

– Nie wygłupiaj się, co dzieci pomyślą? – wyszeptała ukradkiem, całkiem już zawstydzona.

– Chyba porozmawiamy sobie o tym dziś w sypialni, co? – Przybliżył usta, tak że poczuła jego gorący oddech, wskrzeszając dawno zapomniany między nimi uwodzicielski ton, a na zakończenie włożył na moment koniec języka do jej ucha.

– Bardzo chętnie. – Rzuciła mu roziskrzone spojrzenie.

– Dzień dobry! Jest Józek? – zapytał nieco zdyszany chłopak.

– Nie – odpowiedziała Marianna – poszedł do domu.

– Co się stało? – zapytał Krzysztof.

– Coś z jego matką? – Marianna w obronnym geście dotknęła serca.

– Nie. Jego chrzestny z Gorła! Obwiesił się!

– Co?! – zapytała Marianna.

– Rany boskie – przeraziła się Zarzycka.

– Co pan mówi...? – Krzysztof nie zrozumiał.

– Na trzeźwo? – spytał spokojnie Robert.

– Tak. Teraz już mu się udało... – zaczął chłopak.

– Udało? – szepnęła Zarzycka przejęta.

– Dwa razy to go w czas zdjęli, a dzisiaj... poszedł na strych i...

– Bardzo uroczą miejscowość – mruknęła Katarzyna.

– Ale dlaczego? Dlaczego? – zapytała Marianna.

– Ja tam nie wiem... Mieszkamy w końcu wioski... Stary był, ale – chłopca najwyraźniej krępowała ta sytuacja i ta widownia – księdzu się skarżył, że diabeł mu wszystko chowa, że chodzi za nim i woła go do siebie...

– Schizofrenia urojeniowa na tle sklerotycznym – orzekł Krzysztof i dodał cicho:
– Mnie też to czeka.

Nagle coraz bliżej dały się słyszeć dźwięki typowej wiejskiej orkiestry, rozkosznie rzępolącej w pełnym poczuciu artystycznej doskonałości. Wszyscy popatrzyli zdumieni na wchodzących na podwórze trzech elegantów w kapeluszach ze wstążkami. Jeden grał na harmonii, drugi na skrzypcach, a trzeci walił w bęben. Sposób, w jaki trzymali instrumenty swymi ciężko spracowanymi rękami rolników, jakby to były widły lub cepy, grube palce z popękkanymi paznokciami, z obwódkami czarnej ziemi, przebierające niewprawnie po klawiaturze harmonii, napis na sfatygowanej skórze bębna: „Jak się baby nie bije, to jej wątroba gnije – więc wal, wal w nią, jak ja w ten bęben!”, zafascynowały biesiadujących, którzy nie mogli oderwać wzroku od tych szczegółów. Muzykanci szli wolno w kierunku stołu i siedzących.

– Rany boskie, co to? Czy ja już mam schizofrenię urojeniową – zapytał Krzysztof, patrząc na nich lekko oszalałym wzrokiem.

Marianna zakryła dłonią usta, dusząc się ze śmiechu. Orkiestra zamilkła i na słowa: już! – jednego z nich – walnęła *Sto lat*.

– Zupełnie zapomniałam – usprawiedliwiła się gospodyni – wynajęłam ich na urodziny naszego zięcia.

– Mamo – Katarzyna aż zmrużyła oczy z uciechy na bon mot – a może zagraliby marsza żałobnego, dla tego chrestnego, co się obwiesił?

Orkiestra zbliżyła się i zatrzymała przed stołem, gdzie nieruchomo siedzieli oszołomieni domownicy. Berta i Lolka schowały się obie do jednej budy.



* To ja, szykowna Lola, najlepsza w tym sezonie
A w domu mam pianolę, co stoi w mym salonie
To ja, szykowna Lola, co każdy się w niej kocha...

** O! Ty jesteś Lola? Szykowna Lola? Tak, naturalnie!

*** Witamy w domu!



4.

Lotniarz siedział przy swoim statku rozłożonym w otwartych wrotach stodoły i majstrował przy silniku. Co chwila podnosił wzrok i zerkał markotnie na niebo, zamglone i szare. Śączyło się z niego światło mętne i niezdecydowane, nie wiadomo było, czy przedrze się słońce, czy nadciągną chmury. Nie miał wcale ochoty dziś latać, toteż problemy z silnikiem były mu w gruncie rzeczy na rękę. Nie czuł się po prostu na siłach wznosić się ponad ludzkie sprawy, nie potrzebował tak ulubionego zwykle dystansu, oddalenia się od spraw doczesnych, przeciwnie: chętnie poszedłby między ludzi, wmieszał się w tłum pospolity i anonimowy, otarł się o ludzi zwyczajnych, o sąsiadów, ale nie bardzo wiedział, jak to zrobić. Te jego wloty i dystans, z jakim obserwował świat, stworzyły barierę, której nie umiał, a może którą bał się przekroczyć. Ogarnęło go rozleniwienie i senność, bo dzień był parny i bardzo ciepły. Kończył się sierpień.

Marianna i Krzysztof leżeli na piasku przy jeziorze, obok ułożyły się psy. Mieli zamiar plażować, może wejść do wody, ale wydawało się im, że spadnie deszcz, więc nie zabrali kąpielowych kostiumów, tylko powoli zdejmowali z siebie kawałki garderoby. Krzysztof patrzył na Mariannę z dezaprobatą: w swojej codziennej, dość już znoszonej bieliźnie wyglądała mało atrakcyjnie i niepociągająco. Pomyślał, że gdyby ktoś tu teraz przyszedł, oni musiałby się za nią wstydzić. Zdjął nagle buty, skarpetki i podwinął nogawki spodni.

– Co ty robisz? – zdziwiła się Marianna.

– A ty?

– Co ja?

– Zdjęłaś bluzkę i siedzisz w bieliźnie, jak miejscowe baby, więc ja się chcę dostosować, podwinąłem spodnie, zaraz zrobię sobie czepek z chusteczki do nosa. Wiesz, jak to się robi? Ale, prawda, nie mam chusteczki. Będę brodził.

– Brodził czy bredził?

– Muszę sprawdzić, co słychać z wodorostami. Halo, wodorosty! – zawołał, parodiując głos zniewieściałego geja, i zamachał błazeńsko ręką.

– Krzysiu, daj spokój, całe lato jakoś wytrzymałiśmy...

– Nie chcę ich tu. To moje jezioro. A właściwie twoje.

– Zgódźmy się, że nasze!

Krzysztof wszedł do wody, brodząc wśród zielska rosnącego tuż pod powierzchnią.

– No, jest tego świństwa... Brzydzą się i nienawidzą przez to jeziora, za Boga bym tu nie pływał!

– Siedźcie tu – Marianna powstrzymała psy, które chciały iść za swoim panem, i nagle sobie coś przypomniała: – Krzysiu! Przecież po drugiej stronie jeziora... o, gdzieś tam... jest doświadczalny ośrodek Uniwersytetu Warszawskiego. Prowadzi go jakiś profesor, podobno sława światowa. Tam trzeba jechać po ratunek.

Krzysztof wylazł z wody.

– Masz rację...

– Jak zwykle. Wkładaj buty. W tej chwili. Chcesz się zaziębić?!

– Ależ ty jesteś nudziara – burczał Krzysztof, idąc za nią.

– I to są właśnie małżeńskie dialogi miłosne.

Samochód prowadzony przez Mariannę jechał szybko szosą przez las. Z radia płynęły informacje dotyczące końca lata, co wywoływało luźne komentarze jadących. Krzysztof prychnął, jakby zezłoszczony usłyszaną wiadomością, ale powiedział:

– Zapomniałem.

– O czym?

– Obiecałem Jaśkowi, że zbudujemy karmnik dla ptaków.

– Karmnik? A ten pieniek na okruchy przy kuchni to już się ptakom znudził? – zdziwiła się Marianna.

– Na zimę – zniecierpliwił się Krzysztof.

– Nooo... Macie pomysły! Śniegu jakoś jeszcze nie widać. – Teatralnie wychyliła się ku przedniej szybie.

– Obiecałem – zaakcentował Krzysztof poważnie, zły, że Marianna bagatelizuje sprawę.

– Przeprosisz i zrobicie jutro – starała się załagodzić Marianna; szydzić z męża i wnuka to by było zbyt niebezpieczne.

Powoli zza drzew wyłonił się biały budynek z tablicą informacyjną przy szeroko otwartej bramie. Na podjeździe dostrzegli żadnego samochodu.

– Idź, zaczekam – powiedziała Marianna.

Krzysztof wysiadł i ruszył w kierunku domu. Marianna założyła okulary i przeczytała napis na tabliczce wbitej na paliku w trawnik. Zatrąbiła na męża, ten zatrzymał się i odwrócił. Marianna wystawiła rękę przez okno, wskazując na tabliczkę. Napis głosił: UWAGA! ZŁE KOTY! NIE CAŁOWAĆ! NIE GŁASKAĆ!

Krzysztof pokręcił głową i wzruszył ramionami. Nie znosił tego rodzaju humoru, w latach studenckich nazywali taki styl „humorkiem z PTTK”. Chodziło o to, że tego typu dowcipy rodziły się we wspólnych sypialniach, gdzie nocowało po kilkudziesięciu turystów obojga płci, i po zgaszeniu światła różni domorośli humoryści przrzucali się marnymi na ogół conceptami na żenująco naiwnym, prowincjonalnym poziomie, co wyśmiewali ci bardziej światli i obcy, aby potem opowiadać o „żenadzie”, „wiosze” lub „obciachu”.

W szeroko otwartych drzwiach ukazał się facet z tak wielkim brzuchem, że niemal ginęły pod nim kolorowe slipy. Na szerokiej, nalanej twarzy malował się dobroduszny uśmiech, ale oczy błyszczały drwiąco.

– Przepraszam – Krzysztof zatrzymał się – czy nie wie pan przypadkiem...

Grubas wyciągnął w jego kierunku palec.

– Stop! W nauce nie ma przypadków!

– Ma pan rację – zaśmiał się Krzysztof – też jestem tego zdania.

– Czym mogę służyć? – grubas złagodniał.

– Szukam kierownika waszej stacji, profesora... niestety nie znam nazwiska...

Zależy mi na pewnych informacjach.

– Aaaa... wywiad tajnych służb! – przerwał grubas.

– Nie – zaprzeczył Krzysztof rozbrojony wdziękiem grubasa – moje nazwisko Kalinowski, tam w samochodzie siedzi moja żona. Mieszkamy za jeziorem i chodzi nam o wodorosty...

– Wodorosty? – zaciekawiał się grubas, zszedł ze schodków z wyciągniętą prawicą.

– Profesor Wanat. To ja jestem tym kierownikiem, którego pan szuka, którego diabli wiedzą jak pan sobie wyobraża i po którym Bóg wie czego się pan spodziewa. Może do środka?

– Nie, nie będę zabierał panu czasu, panie profesorze. – Profesor zignorował Krzysztofa i zaczął machać na Mariannę, żeby wysiadła i do nich podeszła.

– Czy to jest moczarka? – zapytał profesor.

– Nie... to moja żona – odrzekł speszony Krzysztof.

Profesor wybuchł gromkim śmiechem, jego brzuch zaczął się trząść niebezpiecznie, wydawało się, że zaraz spadną mu slipy. Krzysztof poczuł, że palnął głupstwo i się ośmieszył.

– A niestety... – Marianna podała profesorowi rękę, a Krzysztof dokończył: – ...tego właśnie nie wiemy.

Profesor spoważniał.

– Jak to nie wiecie?! Tego uczą w piątej klasie!

– To nawet zabawne, kiedy jeden profesor karci drugiego – zaśmiała się Marianna, widząc speszenie męża zaistniałą sytuacją.

– Profesor? – nieufnie zapytał Wanat.

Krzysztof podniósł ręce gestem poddania się.

– Medycyna... ale nie praktykuję, pracuję naukowo.

– A, no tak – Wanat zgodził się z obcesowym lekceważeniem. – Ale w gruncie rzeczy to nie jest usprawiedliwienie. No dobrze... mówcie. Jak wygląda wasza roślina?

Marianna narysowała w powietrzu.

– Taka łodyga z liśćmi... o... tu i tu, i tu.

– No, nieprecyzyjnie... och, ale dalej...

– Na powierzchni są takie... – szukał prawie nerwowo Krzysztof.

– Bąble czy... zupełnie jakby roślina napluła wokół siebie – wyjaśniła Marianna.

– Aha, aha – przytakiwał Wanat bez zapału.

– O kąpieli oczywiście nie ma mowy, to jest wstrętne – mówił Krzysztof – a najlepiej byłoby, gdyby pan profesor zechciał do nas przyjechać – zaproponował.

Wanat zaczął kręcić głową.

– Ooo... kochany... mam tu obiad... Może po obiedzie.

– Dobrze. Będziemy oczekiwać pana...

– Chwileczkę – odezwała się Marianna.

– Chwileczkę – przerwał jej Wanat – dla jasności sprawy. Ja nie posiadam pojazdu. Już nie. Od kiedy? Dwa lata temu rozbiłem przy niekorzystnej pogodzie. Gdzie? Pod Grajewem. Czy stać mnie na nowy wóz? Z mojej pensji profesorskiej... – rozłożył ręce – cóż, mogę tylko śnić o samochodzie!

– Profesorze – Krzysztof postanowił przerwać gadule – mam propozycję! Zabieramy pana ze sobą i zjemy rodzinny obiad u nas w Panistrudze.

– O? A dobrze gotujesz, dziecinko? – Wanat uśmiechnął się uroczo, patrząc na

Mariannę.

– Pysznie! – zapewnił rozbawiony Krzysztof.

– Staram się od wielu lat, bo mój mąż jest wymagający.

– Zgoda! Ale... – ściszył głos – powiem w kuchni, żeby mi zostawili obiadek na wieczór, kiedy mnie odwieziesz na kolację. – Zatarł ręce i z głośnym kłapaniem znikł w domu.

– Jesteście na ty? – zapytała Marianna cicho.

– Jednostronnie, „dziecinko” – odpowiedział Krzysztof.

– Myślisz, że on pojedzie tak jak stoi? – zapytała Marianna, gdy szli do samochodu.

– Chciałabyś, żeby mu spadły slipy? Upiór wdzięku jest zdolny do wszystkiego... – zemścił się teraz Krzysztof za wcześniejsze wpuszczenie go w maliny – pożyczysz mi jakąś szeroką kieckę, gdy będziemy siadali do stołu...

Pół godziny później nad jeziorem stali w trójkę Marianna, Krzysztof i Wanat, już w białym płóciennym garniturze i białym, lekko zdefasonowanym kapeluszu z szeroką czarną wstążką. Brakowało mu tylko grubego cygara, żeby wyglądał jak południowoamerykański właściciel ziemski. Patrząc na niego, Krzysztof w duchu nucił sambę.

– Moczarka kanadyjska! – orzekł z triumfem. – Mówiłem ci, prawda?! – zwracał się do Krzysztofa. – A pluje, kiedy kwitnie! Zgadza się! Mów mi Wiesław! A chcesz, to Wiesio. Tak, jak wszyscy studenci. I studentki, dziecinko – zwrócił się do Marianny. – A teraz... padnijcie na kolana!! – zawołał niespodziewanie i gromko.

Krzysztof rozejrzał się dookoła, oboje z Marianną mieli głupie miny.

– Dziękujcie Bogu, że macie tak czyste jezioro! Moczarka kanadyjska – zaczął tonem wykładowcy – rośnie wyłącznie w wodach pierwszej klasy czystości. Czy może być lepiej? Jak brzmi nasza odpowiedź?

– Lepiej być nie może! – odpowiedziała natychmiast Marianna.

– Bardzo dobrze!

Krzysztof powiedział rozbawiony:

– Myślałem, że idzie ksiądz z ostatnią posługą, kiedy pan... kiedy krzyknąłeś „Na kolana!”.

Wanat wybuchł gromkim śmiechem wariata. Usłyszeli gong od strony domu.

– Co to? – zapytał Wanat, grając przesadnie zaniepokojenie.

– Obiad – odpowiedziała Marianna, ruszając.

– To śpiew syren, Odyseuszu – powiedział z ulgą Wanat do Krzysztofa, biorąc go ochoczo pod rękę. – Nie wolno mu się opierać! Naprzód!

– Nasze dzieci widocznie nareszcie są – ucieszyła się Marianna. – Miały być wcześniej, ale już się nauczyłam pokory. Najważniejsze, żeby w ogóle przyjechały.

– A skąd? – zapytał uprzejmie Wanat.

– Z Warszawy – poinformował Krzysztof grubasa – syn i córka ze swoimi drugimi połowami.

W ich stronę szedł Jasiek przyklejony do Katarzyny, obok Robert. Nastąpiło powitanie obu stron i prezentacja.

– A Iza z Jackiem? – zaniepokoiła się Marianna.

– Są, są – powiedziała Katarzyna znudzona powtarzаныmi zawsze podobnymi pytaniami.

– Jesteś piękna – powitał ją Wanat szarmancko.

– Ona jest moja i wujka – wojowniczo oświadczył Jasiek.

Katarzyna porzuciła swoją klasyczną, ironiczną minę, nieco rozbrojona i tym poufałym zwrotem Wanata, i reakcją bratanka.

– Tak myślałem, niestety – odpowiedział malcowi Wanat, błaznując tragicznym tonem.

Ale i to nie spodobało się Jasiowi.

– On jest gruby! – rzucił wrogo.

Katarzyna skarciła chłopca.

– Ale wesoły – zaśmiał się Wanat – i lubię takie wojownicze rybki.

Zbliżyli się do domu, przed którym stali pogrążeni w rozmowie Iza z Jackiem. Z ich gestów i twarzy widać było, że dyskusja jest dość nieprzyjemna dla obojga, co zauważyła natychmiast Marianna.

– Co się dzieje? – zapytała cicho syna.

– Nic – odrzekł niecierpliwie.

Zostali przedstawieni Wanatowi.

– To są nasze dzieci: syn Jacek i synowa Iza... – powiedział Krzysztof.

– Uroczą. – Wanat trącił łokciem Krzysztofa. – Przyznaj, że tobie się też podoba!

– Ten pan jest profesorem, szefem stacji naukowej Uniwersytetu Warszawskiego, po drugiej stronie naszego jeziora, znamy się od pół godziny, ale już zdążyliśmy się przyzwyczać, że zawsze mówi, co myśli. Uważam, że to dziś niespotykane. Proszę,

doceńcie... – mówił Krzysztof ze śmiechem.

Zaśmiali się wszyscy, widać było, że profesor Wanat przypadł każdemu do gustu. Weszli do domu i dalej do jadalni. Czekał na nich pięknie nakryty stół: obrus, sztućce, kwiaty na stole i porcelana od święta, trudno rozstrzygnąć, czy na powitanie dzieci, czy aby uhonorować nowego gościa. Jego w każdym razie Marianna usadowiła u szczytu stołu, sama siadła po prawej stronie profesora, a Krzysztofa posadziła po lewej. Młodzi usiedli zgodnie z przyjętym na stałe porządkiem: koło Marianny Robert, za nim Iza, koło Krzysztofa Kasia, za nią Jacek. Taki układ zapewniał, że małżonkowie patrzyli na siebie wzajemnie, a płcie się przeplatały. Jasiak wepchnął się między mamę a wujka.

– Przeplataniec płciowy – rubasznie nazwał to Jacek.

– Kretyn! – skomentowała jego żarcik siostra.

Wanat rozejrzał się z zachwytem po stole.

– Ooo, jaki dobry oddech dla oczu... To nie jest jadalnia naszego ośrodka.

Pani Helena wniosła dymiącą wazę ogórkowej.

– Z naszych ogórków! – zaznaczyła z dumą.

Rozlewanie zupy było ceremonią: Marianna robiła to osobiście, każdemu po kolei, z odpowiednim komentarzem, przekomarzając się lub wyklócając, żeby nalać jak najwięcej, wbrew opiniom o zasadach diety. Tylko profesor Wanat nie protestował, przeciwnie, sięgnął po kromkę chleba z koszyeczka stojącego na środku stołu. Popatrywał też łakomie w stronę butelek stojących na kredensie. Pierwszy zauważył to Jacek, ale przebiegle zwrócił się do swego szwagra:

– Jedziesz gdzieś jeszcze?

– Ja? Dzisiaj? Co ty?

– To może by tak...

– Do mięsa otworzyłem już czerwone – powiedział Krzysztof, zauważywszy ich manewry.

– Miałem na myśli wódeczkę – szepnęła rozbrajająco Jacek.

– Jacek... – zgromiła go zgorszonym spojrzeniem Marianna.

– Na taki upał? – zdumiała się Iza.

– No, ja miałem nadzieję, że wódeczka jest w zamrażarce... – zaczął tłumaczyć się Jacek.

– Jest, ale na samym dnie. Przywalona tonami warzyw na zimę. Chcesz to wszystko wyjmować? – spytała przebiegle Marianna.

– Przekonałaś mnie – westchnął z rezygnacją Jacek.

– Znieś mężnie swoją klęskę, młody człowieku. Wiesz, że jest tu ktoś, kto ci głęboko współczuje. – Profesor Wanat miał minę męczennika.

Krzysztof poderwał się ze śmiechem.

– Ależ profesorze, my to co innego. Nam dorosłym wolno. Zaraz przyniosę gorzałę...

– Jacek, wyręcz ojca... – powiedziała Marianna zrezygnowanym głosem. Była zła na Jacka, ale hamowała się ze względu na gościa.

– Nie, nie trzeba, mam wyjście – Krzysztof zatrzymał wstającego od stołu syna – mam tu jeszcze trochę tej śliwownicy od Karpiela, ona lepiej smakuje w temperaturze pokojowej...

Robert podał teściowi butelkę, ktoś sięgnął po kieliszki. Krzysztof odczytał napis na etykiecie, która była odbitym na lichym papierze drzeworytem przedstawiającym górala z ciupagą skaczącego nad ogniskiem:

– Daje siłę, krasni lica, nasza łącka śliwowica!...

– Nie mówi się łącka, tylko łączka – wtrącił się Jasio.

– Tak, ale tu chodzi o miejscowość Łącko, na Podhalu... – wyjaśnił poważnie Krzysztof, nalewając alkoholu Wanatowi.

– Co to jest miejscowość: miasto czy wieś? – dopytywał się Jasio gorączkowo, jakby od odpowiedzi zależało coś ważnego.

– Raczej miasto – uśmiechnęła się Marianna. – Ale jedz.

– Większe od Warszawy? – nie dawał za wygraną Jasio.

– Jak nie będziesz jadł zupy, nie pójdziemy karmić łabędzi.

Jasio na chwilę przycichł, natomiast profesor Wanat podniósł kieliszek, z lubością powąchał, potem postukał paznokciem w szkło i zapytał grubym głosem:

– *Kto eto?* – *Wodka* – odpowiedział sobie cienkim głosikiem. – *Wodka?! Nu, zachoditje, požalujsta!*

Jednym haustem wychylił kieliszek piekielnie mocnej śliwownicy, zagryzł skórką chleba i zabrał się do pracowitego wiosłowania łyżką zupy. Rozbroiło to lekko sztywną i napiętą atmosferę, nawet Marianna zaczęła się śmiać.

– To i mnie nalej, ale pół kieliszka – poprosiła Krzysztofa.

– *Tolko głup nie pjoj pod sup!* – dodał rozochocony Wanat, siorbiąc głośno zupę.

Marianna w trosce o dobre wychowanie Jasia starała się odwrócić jego uwagę od siorbiącego profesora. Wanat to zauważył i z figlarnym błyskiem w oczach

powiedział:

– To, co u nas potrafi gorszyć, dla takiego Japończyka jest dowodem dobrych manier. Młaskanie i siorbanie to komplement dla gospodyni, uznanie dla smaku potraw. Albo tacy Irlandczycy czy Islandczycy: nie krępują się fizjologii. Tak jak my publicznie kaszlemy czy kichamy, oni na przykład swobodnie puszczają wiatry... Kiedyś byłem na kongresie w Reykjavíku i obwozili nas trochę po kraju, więc siedzimy sobie w przedziale pierwszej klasy...

Towarzystwo przy stole umilkło i siedziało jak zamurwane, Krzysztof wyraźnie nie wiedział, jak zareagować. Dwie młode kobiety były speszone, Jacek tłumił chęć parsknięcia śmiechem, pani Helena, która właśnie weszła po wazę, wyglądała, jakby w nią piorun strzelił, Robert z zapalem karmił zupą Jasia, a Wanat coraz bardziej podniecony perorował:

– ...i nagle słyszę: bardzo wyraźny, głośny, charakterystyczny odgłos. Myślałem, że komuś przydarzyła się katastrofa, ale nie: to się powtarza i to z jeszcze większą siłą! Co gorsza czuję, że za chwilę będę musiał sięgnąć do nesesu po flakon wody kolońskiej albo wyjść z przedziału, ale jak wyjdę, to będzie na mnie...

Pani Helena nie wytrzymała nerwowo, sięgnęła po wazę, aby ją wynieść.

– Poczekaj, malutka – Wanat ją zatrzymał – można doleweczkę? To zupa anielskiej dobroci, wręcz taniec umierającego ogórka w choreografii Diagilewa! Odrobinkę...

Pani Helenka zupełnie zdezorientowana nalała mu pół chochli, ale zachęcił ją gestami, więc dolała mu do pełna. Uśmiechnął się do niej czarująco i posłał całusa, aż się zarumieniła. On, siorbiąc dalej zupę, wrócił do opowieści:

– No więc siedzę jak sparaliżowany, uszy mam czerwone, bo myślę sobie: ani chybi są pewni, że to ja! A pociąg jedzie: tutuh, tutuh, tutuh... – Zademontrował dziecinnymi, imitującymi jazdę lokomotywy gestami. – Tymczasem pada trzeci strzał i teraz już nie mam wątpliwości: to siedzący przy oknie uroczy profesor Gunnarson, rektor uniwersytetu. Patrząc na niego ze zgrozą, myślę: staruszek zachorował, a tu w tej samej chwili przeciągnęła salwa spod drzwi: panna Unnur Bjorklind, jego asystentka, piękna, elegancka kobieta...

Marianna zdobyła się na rozpaczliwy czyn: niby niechcący strąciła ze stołu talerz, który rozbił się z hukiem i spowodował zamieszanie, które przerwało upiorną opowieść Wanata. Wszyscy rzucili się na wyścigi zbierać odłamki porcelany, gorączkowo coś wykrzykując, żeby zatuszować swoje zmieszanie, zgorszenie, zażenowanie. Iza i Katarzyna klęcząc pod stołem wymieniły porozumiewawcze

spojrzenia pełne grozy, Jacek dusił się ze śmiechu, Robert zagadywał Jasia, pani Helena pobiegła po ścierkę, Krzysztof z troską badał rękę Marianny, szukając draśnięcia, tylko Wanat ze stoickim spokojem zjadał zupeę. Wyskrobał talerz łyżką do czysta i odsapnąwszy z zadowoleniem i ironicznym uśmiechem, zwrócił się do Marianny:

– Nie szkoda ci talerza, dziecinko? Co prawda przytomnie wybrałaś ten nie od serwisu. Daliście się wszyscy nabrać na stary numer Wanata: zawsze tak robię na początku znajomości. Nazywam to: osvajanie szokiem. Teraz już wiecie: Wanat to szajbus, ale zapewniam was, nieszkodliwy. Cierpię tylko na jakiś świerzb języka i wybaczone mi, jakoś nigdy nie mogę się pohamować... Chyba mi kiedyś pypeć na Jęzorze wyrośnie! Może już tam jest? Zobaczcie! – Wanat wywalił aż na brodę wielki, czerwony język.

To ostatecznie rozbroiło sytuację, wszyscy wybuchnęli śmiechem, Krzysztof nalał śliwowicy i trącił się z Wanatem.

– Słuchaj, Wanacie-wariacie. Cieszę się, że cię poznałem.

– A ja, że was. I teraz wam powiem, że tę islandzką historyjkę wymyśliłem tu, na poczekaniu, żeby was zaszokować i... wypróbować. Nigdy nie byłem w Islandii, a o tych wiatrach opowiedział mi mój student, który zaprosił swego kolegę, Islandczyka u nas studiującego, na święta do domu. Jechali do Gdańska pociągiem i ten gość nagle zaczął się tak zachowywać, a kiedy zwrócono mu uwagę, a zrobił to konduktor, który akurat zaczął sprawdzać bilety, nieszczęśnik oświadczył, że u nich to jest normalne, jak kaszel czy kichanie. Przytomny kolejarz zaproponował mu przeniesienie się do wagonu bagażowego.

– Lepszy byłby bydlęcy – zauważyła Kasia.

– Ba! Takiego pewnie brakowało w tym składzie – włączył się Krzysztof. – Należy jednak domniemywać, że Islandczyk wymyślił tę bajeczkę, że to u nich normalne.

– Oszkalował swój naród, renegat! – poważnym tonem oświadczył Robert.

Wszyscy chwycili ten rodzaj żartu i wśród wesołych śmiechów posypały się epitety:

– Zdrajca!

– Pokalał swoje gniazdo!

– Zaprzaniec!

– Dywersant!

– Prowokator!

– Zaraz, zaraz! – przebiła się Marianna. – Czy oni jechali na święta, czy ze świąt wracali?

– A tego nie wiem – przyznał Wanat.

– Pewnie wracali. I to były skutki tradycyjnego, polskiego obżarstwa!

– I kto to mówi?! Czołowa polska dietetyczka! – zawołała Kasia. – Nie ma pan pojęcia, profesorze, jak wyglądają święta u naszej mamy: dwanaście potraw z karpkiem pachnącym błotem na czele!

– I kutią na końcu! – dorzucił nagle solidarny Jacek.

– Od kutii mi wara! – krzyknął Krzysztof, rozdzierając na piersiach koszulę gestem Rejtana! – Nauczyłem tę biedną kobietę, pechowo urodzoną na Mazowszu, krainie płaskich pól i płaskich umysłów, przyrządzać najwspanialszy przysmak świąteczny, który jest esencją naszej historii. Mieszają się w nim wszystkie smaki naszego świata, tak jak mieszały się na naszych ziemiach różne wpływy ościennych nacji. My tam, w moim mieście Lwowie, wchłanialiśmy z otwartością, z życzliwą ciekawością to, co wnosili Rusini, Żydzi, Wołosi, czyli Rumuni, Węgrzy, Niemcy, Ormianie, Turcy i Tatarzy. Mieszało się to wszystko we wrzącym tyglu współzystowania przez wieki, aby wytworzyć niepowtarzalny klimat wspólnoty ludzi rozumnych, pogodnych, przyjaznych sobie. To wszystko zmiotła ślepa historia, została nam tylko kutia i ona jest święta!

– Brawo! – przyklasnął profesor Wanat. – Widzę, że poznałem dzisiaj zacnego człowieka o poglądach, które są mi bliskie! Profesorze, proponuję panu bruderszaft!

– Jak to? – zdziwił się Krzysztof. – Przecież jesteśmy już na ty?

– No tak, ale śliwoviczkę masz przednią... – Wanat uśmiechnął się przymilnie.

Drugie danie spożywali już w wesołej, swobodnej atmosferze. Były cudowne zrazy radziwiłłowskie z kaszą gryczaną (Krzysztof mówił „hreczaną”) w chlebie – popisowe danie Marianny. Po ich spróbowaniu Wanat runął przed nią na kolana i bił pokłony po turecku, co zachwyciło Jasia tak, że przestał się na niego bocyć. Krzyżowały się żarciki, obficie łało się czerwone bułgarskie wino.

– Babciu, czy ja będę mógł podzielić się moim zrazikiem z łabędziami? – zapytał podeksycytowany Jasio.

– Nie musisz się dzielić, ty spryciarzu – odpowiedziała mu Marianna – dla łabędzi mamy suchy chleb.

– Eee, suchy... Lepiej z masłem! – przekomarzał się Jasio.

– Łabędzie nie jedzą masła – powiedziała Iza stanowczo, żeby przerwać popisy

syna.

– A masmix?

– Przestań już troszczyć się o łabędzie, jedz swoje danie, bo będziesz za lekki na tutejsze wiatry – powiedział Krzysztof.

– I na islandzkie – dorzucił Wanat.

– Jak ładnie zjesz obiad, pójdziemy je karmić – pocieszała go Marianna. – A wiesz, teraz odwiedza nas cała ich rodzina...

– O! – powiedział Wanat, zając potrawę ze znużeniem smakosza. – Uważajcie na łabędzie. Ich biel i gracja nie idą w parze z charakterem. Daję przykład: w zeszłym roku dwie nasze studentki, stażystki, wypłynęły na jezioro, aby pobrać próbki wody. Wróciły w opłakanym stanie. Posiniaczone, w podartych bluzkach, płacząc nieomal! Zadajemy sobie pytanie, co się stało?

– A co się stało? – zapytał Jasiek rzeczowo.

– Brawo! Jesteś bystry, młodzieńcze – podjął Wanat. – Zaatakował je łabędź! Podobno wznosił się do góry... pikował, rzucał się na nie, szczypiąc bardzo boleśnie i waląc skrzydłami. – Wanat odgrywał tę scenę obrazowo, podniósł się z krzesła, machał rękami i syczał, udawał, że atakuje siedzące obok niego Izę i Kasię. – Przeżyły to strasznie. Zaznaczam, że żadna z nich nie nosi imienia Leda. Koniec wykładu. Proszę jeszcze trochę mięska – zmienił ton.

– Może były gdzieś małe? – podsunęła Iza, chcąc sprowadzić opowieść na racjonalne tory.

– A może to wcale nie był łabędź, może to był jakiś wędrowny Don Juan? – zażartował Krzysztof, lekko kpiąc z Wanata.

– W przyszłym roku nasza drużyna też pojedzie na obóz wędrowny! – wtrącił się Jasiek.

– Don Juanów? – zapytał Wanat.

– Nie, zuchów – odrzekł Jasiek wojowniczo.

Z kuchni dobiegł głos pani Heleny i obcy głos męski. Marianna wstała i wyszła. Za nią po chwili wyszła też Iza. Minęła kuchnię, gdzie siedział na stołku chudy chłop z czapką w rękę.

– O co chodzi, mamó? – zapytała, wchodząc do sypialni teściów i zatrzymując się na progu.

– Muszę iść zmierzyć ciśnienie do Wójcików.

– Teraz?

– Teraz. Jego żona znów się bardzo źle czuje. Martwię się o nią, powinna iść do szpitala, ale czy chłopci mogą sobie pozwolić na leżenie? Izuniu, przeproś, że zniknęłam, i powiedz cicho ojcu, żeby zadzwonił do profesora Gajewskiego, że mamy gościa i czy możemy go zabrać ze sobą na przyjęcie basenowe, bo do piątej ten uroczy gaduła nie odjedzie.

Iza stała chwilę w progu, kiwając głową bez zapału.

– Co się stało? – zapytała Marianna, mając w pamięci widok ich napiętych twarzy w rozmowie przed domem.

– A... znowu mnie zaskoczył – zaczęła niechętnie Iza.

– Jacek?

– Tak.

– No?

– Wyjeżdża za tydzień z ekipą nad morze. Na cały miesiąc! Twierdzi, że to konieczne, bo kierownik produkcji tego ich filmu musi przejść jakieś badania wątroby, bo coś tam, coś tam, a więc on jako starszy asystent musi. Musi.

Iza starała się opanowywać, ale widać było, jak złości ją takie niespodziewane zawirowanie w zaplanowanych zajęciach w ich życiu. Była osobą solidną i poważnie traktującą obowiązki.

– Kochanie – zaczęła łagodźć Marianna – przecież Jasio może zostać z nami, ile zechcecie...

– Dziękuję, mamo, ale – wzniosła oczy do sufitu – to wygodnictwo z naszej strony.

– Nie gadaj głupstw. Przestań.

– Jacek zawsze stawia mnie przed faktem dokonanym. Tak jakby jego praca była najważniejsza. A ważna jest i moja. Przepraszam, nie chcę się skarżyć... ale mnie wkurza. On jest czasem taki dziecinny... nieodpowiedzialny...

Marianna westchnęła i usiadła na kozetce, pociągając za sobą Izę, żeby siadła obok niej.

– Widzisz, moja droga, taki już jest nasz los. Z reguły dostajemy na wychowanie dużego chłopca i to jest zadanie na ładnych parę lat. Jak się nam urodzi mały chłopiec, często zauważamy, że sprawia nam mniej kłopotu, mniej problemów niż ten duży. Bo mały nic jeszcze nie wie i z ufnością chłonie nasze nauki, dużemu się wydaje, że jest mądrzejszy od nas, więc trzeba dobrać do niego odpowiedni klucz, żeby osiągnąć cel. Nie chodzi o to, aby go urobić dla siebie, podporządkować go

sobie. Chodzi o przygotowanie go na zasadzki świata, których on przez swoją niedojrzałość, lekkomyślność i naiwność w ogóle nie zauważa. Myślisz, że ja twój teścia nie wychowywałam, ba, do dziś wychowuję! Jemu się naturalnie wydaje, że to on mnie prowadzi przez życie, reformuje, uczy. Poucza. Nie wyprowadzam go z błędu, niech mu się tak wydaje. I to jest właśnie nasza babska misja... Urodziłyśmy, żeby być matkami, i pozostajemy matkami naszych synów, naszych mężów i nawet często naszych ojców.

Uśmiechnęła się do synowej i pocałowała ją w policzek. Iza odruchowo przytuliła się do teściowej, dała tym sygnał, że te słowa trafiły jej do przekonania.

Marianna wstała z kozetki i zaczęła zbierać wszystko, co musiała mieć do zmierzenia ciśnienia, zmieniła buty, bluzkę i poszły obie do bramy. Chłop dreptał za nimi. Iza, trochę z oporami, zaczęła mówić znowu:

– Ale to nie wszystko, mam, ja muszę wyjechać do Niechorza, bo otwieramy tam mały ośrodek pomocy dzieciom niepełnosprawnym, a tu jak na złość mają wymieniać rury centralnego ogrzewania, czyli pożar z powodzią, i oczywiście ktoś wtedy musi być w domu. I miał być Jacuś.

– Wreszcie wymieniają te rury! Nam to obiecywali od dziesięciu lat. Nie martw się, Izuniu, wszystko zorganizujemy. W tym czasie musi być w Warszawie tata. Ma jakieś zajęcia na uczelni, to i posiedzi przy rurach. No, uszy do góry. I spokój. Nie chciałabym i tobie mierzyć ciśnienia... I pamiętaj, telefon do Gajewskiego. – Pocałowała ją jeszcze raz w policzek. – Uśmiechnij się. Idziemy, panie Wójcik.

Iza zatrzymała się za bramą, a oni ruszyli.

– Pani gospodyni, telefonu to nie będzie. Linia siadła aż do Ełku... – odezwał się Wójcik strapionym głosem, jakby to była jego wina.

– Tylko tego jeszcze mi brakowało. No, trudno. Aha, panie Wójcik, czy kosa wzięłaby te rośliny w jeziorze?

– A co by nie miała wziąć.

– Przyszędłby pan?

– A co bym nie miał przyjść?

– Jutro?

– Może być.

Iza została przy płocie i patrzyła za swoją teściową z wyraźnym podziwem i szacunkiem. W tej galerii tak rozmaitych osobowości przeważnie bujających w obłokach ona stąpała po ziemi twardo i pragmatycznie. Odkrywała podobne i bliskie

sobie cechy w matce swego męża, nawet imponowała jej, ale martwiło ją, że nie mogła doszukać się takich cech w Jacku, a przecież powinien je, chociaż w części, dziedziczyć. Odkrywała za to, że Jacek jest jakąś uproszczoną, jakby spłyconą wersją ojca, że to co u Krzysztofa było świadomie przyjętym stylem reagowania na otoczenie, ta jego ironia i dystans, skłonność do żartowania ze wszystkiego, czyli tarcza chroniąca jego wrażliwość i głębokie zrozumienie tragizmu istnienia, u Jacka było lekkoduchostwem i błazenadą. Pocieszała się tylko, że to wynika z jego niedojrzałości. Miała świadomość, że Jacek wyraźnie nie nadąża za jej dojrzewaniem, że rzeczywiście, jak mówiła Marianna, coraz częściej czuje się wobec niego jak dorosła wobec dziecka, jak matka wobec syna, i to ogromnie ją przygnębiało. Niczego tak nie pragnęła, jak odwrócenia ról, jak poczucia bezpieczeństwa, które on powinien dawać jej i ich małej rodzinie, chciała poczuć się bezbronną, słabą kobietą w mocnych ramionach prawdziwego mężczyzny, a tak czuła się tylko w chwilach, kiedy się kochali. Wtedy zatracala się w ekstazie, w rozkoszy, które potrafił jej dawać, panował nad nią w takich chwilach bez reszty, widziała w nim swego pana, dla którego zrobiłaby wszystko bez wahania. Ale kiedy burza namiętności cichła i ona wolno wracała do rzeczywistości, obok niej leżał słaby, dziecinny chłopiec tulący się do niej w poszukiwaniu ochrony. Myślała o tym coraz częściej, ale zawsze świadomie się otrząsała, króciutko wzdychała i wracała do codziennych zajęć, więc i teraz szybko wróciła do jadalni.

Po deserach i kawie, które w zastępstwie Marianny podały Kasia z Izą przy czujnym wsparciu pani Helenki, wszyscy poszli przebrać się nieco przed wyprawą do profesorstwa Gajewskich; Wanat, pozostawiony na chwilę samemu sobie, bezceremonialnie rozciągnął się na hamaku i już po chwili zaczął smakowicie chrapać, tak głośno, że aż obudził śpiące na tarasie psy, które wyraźnie niezadowolone przeniosły się do swoich bud.

Pół godziny później całe towarzystwo, Marianna, Krzysztof, Iza, Katarzyna, Jacek, Robert, profesor Wanat i Jasiak, trochę odświeżonej przebrani, szli na przyjęcie w pięknym domu po sąsiedzku. Krzysztof niósł butelkę szampana, Marianna pęk kwiatów z ogrodu, a Jacek kosz owoców.

Wanat żartował:

– Trzech profesorów w barszcz, to może być niestrawne... Któregoś z nas trzeba będzie odstrzelić.

– Do grzybów się nie strzela, można najwyżej ususzyć – replikował Krzysztof.

– Zasuszyć. Profesorów się zasuśza, między kartkami książek, jak liście – powiedziała Marianna.

– Wersja sentymentalna. Mówię ci, mam za żonę postać literacką, niestety z literatury dziewiętnastowiecznej, jakiś Bunin, Orzeszkowa...

– Kto dziś wkłada liście do książek? – Iza nieoczekiwanie próbowała zatuszować niezręczny afront teścia. Marianna spojrzała na nią z wdzięcznością, a wypowiedź Krzysztofa zignorowała.

Kasia, być może też urażona zachowaniem ojca, próbowała to załatwić po swojemu.

– Kto dziś czyta książki? – powiedziała z ironicznym grymasem.

– Ja – wtrącił się Jasiek – ale tylko z obrazkami.

– I ja – dodał Jacek – ale tylko w pociągu.

– Od kiedy ty jeździsz pociągami? – zapytała Katarzyna.

– Raz jechałem w zeszłym roku, do Krakowa... – próbował się bronić Jacek.

– To i tak pan dużo czyta jak na dzisiejsze normy – pocieszył go Wanat.

– Niech pan mu nie wierzy – powiedziała – w jakim pociągu? To mól książkowy. Codziennie czyta w łóżku, do białego rana. Aż się dziwię, że nam się Jaś urodził...

– Iza, przestań... – Jacek naprawdę wyglądał na zawstydzonego.

Katarzyna też obrzuciła szwagierkę zdziwionym spojrzeniem.

– Mało cię znam, Izuniu. Jaka śmiała wypowiedź!

Iza wzruszyła ramionami, ale także była trochę zawstydzona, że się tak zagalopowała. Jacek przyszedł jej z pomocą.

– Prawda jest taka: w pociągu czytam literaturę wagonową, a w domu prawdziwą.

– O! A jakaż jest ta prawdziwa? – dopytywał się z zaciekawieniem Wanat.

– Mam swoich ulubieńców... – powiedział wymijająco Jacek.

– Można wiedzieć kogo? – dociekał Wanat.

– Niewielu ich jest w naszych czasach. Może dwóch...

– Clancy i Ludlum – podrzuciła ironicznie Katarzyna.

– Nie, tych czytuję w pociągach, którymi jeżdżę bardzo rzadko, siostrzyczko – ripostował Jacek.

– To ja zgadnę – zgłosił się Wanat: – Hemingway i...

– Nie – wtrąciła się Iza – jego idolem jest Nabokov, a na drugim miejscu Singer.

– A, to nie znam – przyznał szczerze Wanat. – To nie moje pokolenie.

– Słusznie: obaj urodzili się przeszło pięćdziesiąt lat temu – rzuciła

ironicznie Katarzyna.

– O, siostrzyczko, ostry masz języczek. – Wanat aż przystanął. – Nie wiadomo: czy sączy słodycz, czy jad?

– Ależ słodycz, słodycz, panie profesorze! – zaśmiała się Katarzyna, ale w oczach miała szpileczki.

Marianna zauważyła, że Robert cały czas milczy i odstaje trochę od grupy, więc celowo zwolniła, aby ją dogonił. Szli chwilę w pewnym odstępnie od reszty i milczeli, w końcu Marianna zagadnęła:

– Chyba masz jakieś kłopoty? Zgadłam?

– Rzeczywiście. Ale nic poważnego. Po prostu dałem się nabrać, a tego nie lubię.

– A kto lubi?

– Gdyby jeszcze nabrali mnie inteligentnie, ale zrobili to tak głupio, tak prymitywnie...

– Może na tym polegał ich inteligentny pomysł?

– A o tym nie pomyślałem – zdumiał się Robert. – Mama to ma głowę! Czy przypadkiem nie żydowską?

– Nie ciesz się, niestety nie.

– Dlaczego miałbym się cieszyć?

– Bobyś miał mądrzejsze dzieci.

– Na razie nie mam nawet tych głupszych.

Marianna posmutniała.

– A co, Kaśka dalej nie chce?

– Już sam nie wiem, czy nie chce, czy... Przepraszam, nie mówmy o tym...

Marianna zagryzła wargi i szli w milczeniu. Po chwili, chcąc zmienić temat, zapytała:

– A to oszustwo... będzie miało jakieś konsekwencje?

– Tyle że trochę wstrzyma dopływ gotówki, ale ja jestem twardy, mam, i to, co się stało, wścieka mnie, ale nie załamuje.

Wzmianka o wstrzymaniu gotówki kazała Mariannie zamilknąć. Nie brała pod uwagę takiej sytuacji.

Z okna swego domu profesor Gajewski patrzył na nadchodzącą uroczyście grupę rodzinną Kalinowskich z nieznanym mu grubasem w białym garniturze. Nieco wstrząśnięty, spojrział na zegarek i pomyślał: – Co oni? Dochodzi siedemnasta...

Ktoś tu chyba coś... – Chwycił z oparcia krzesła marynarkę i szybkim krokiem poszedł korytarzem w głąb domu. Zapukał do drzwi.

– Można, kochanie?

– Tak – usłyszał spokojną odpowiedź.

Otworzył drzwi. Na tapczanie leżała młoda kobieta w japońskim szlafroku. Włosy miała zakręcone na wałkach, na oczach kompresy, na twarzy plasterki ogórka.

– Lusu, kochanie... goście.

– Wiem. Mamy jeszcze godzinę. – Leżała nadal bez ruchu.

– Nie, Lusieńko, właśnie idą... cała gromada Kalinowskich. Boże drogi, znów pomyliłem godziny? To nie do pojęcia. Proszę cię, króliczku...

– Nie prosz – spokojnie odpowiedziała żona – ty zaprosiłeś, ty się pomyliłeś, ty ich przyjmij. Ja będę gotowa na szóstą. Szósta... osiemnasta – mówiła znacząco – jest godziną naszego przyjęcia.

– Ale...

– Nie...

Rozległo się pukanie.

– Proszę – powiedział przegranym głosem profesor Gajewski, wkładając marynarkę. Zrobił kilka kroków i potknął się o przygotowane pantofle żony stojące na futrzaku, ale zdążył się złapać toaletki. Zadzwończyły przybory toaletowe, buteleczki perfum.

– Co robisz, Karolu? – lekko zniecierpliwiła się żona, nie odsłaniając oczu.

– Nic, nic, króliczku. – Profesor równiutko ustawił jej pantofelki.

W drzwiach pojawiła się pokojówka.

– Przyszli państwo Kalinowscy, państwo... jacyś... i profesor Wanat. Czekają w salonie.

– Już, już schodzę – zawarczał profesor – proszę zawołać dzieci.

Gajewski, rozjaśniony na pokaz, wszedł w lansadach do salonu. Zostali sobie przedstawieni z Wanatem, który przeproszał za najście, Krzysztof wtrącił o zepsutym telefonie.

– Tak. Jestem tą awarią poruszony – mówił Gajewski – to dla mnie strata sporych pieniędzy... – zaśmiał się znacząco.

Wanat słuchał nieco oszołomiony, gasł wobec pewności siebie profesora Gajewskiego, bogactwa i elegancji rezydencji. W rozmowach towarzyskich nie użył formy „ty” do nikogo. Profesorowi Gajewskiemu towarzyszyła córka Magda i obaj

starsi synowie, najmłodszy Antek szalał z uszczęśliwionym Jaśkiem, buszowali między obecnymi.

– Przepraszam, że żona troszkę później zejdzie, ale wróciła wczoraj z wyczerpującego planu filmowego i jest nieco wytrącona z równowagi. Aklimatyzuje się na łonie natury – mówił lekko zmieszany Gajewski.

– Wyobrażam sobie, jak pani Alicja musi być zmęczona po dwóch tygodniach postsynchronów, w dusznej ciemnej sali, od rana do wieczora... – powiedział Jacek.

– O, czyżby był pan z branży? – zdziwił się profesor.

– Owszem, pracuję w pionie produkcji. Nie w filmie, w którym grała pani Alicja, ale sąsiadujemy w korytarzu. Niestety, to, co my teraz robimy, to tylko marna usługa dla ekipy francuskiej. Nie to co *Zamek von Claussów*...

Jacek, rzucając tytuł filmu, w którym grała pani Alicja, ujął profesora, ale zauważalna stała się jego czujność i pewna nieufność. Mimo iż profesorowi dawały przewagę pieniądze, Jacek był młody i przystojny. A Alicja była drugą żoną profesora Gajewskiego.

Zrobiło się trochę drętwą, a pani domu nie schodziła. Marianna za zgodą pana domu, z wdziękiem i naturalnie podziwiała obrazy, meble.

Młodzież ruszyła na oglądanie piętra. Magda grawitowała wokół Roberta, co trochę napinało i poruszało Katarzynę. Robert poddawał się urokowi ślicznej panny i był nią po prostu miło zajęty. Zatrzymali się w bibliotece ojca. Zbyszek z Marcinem wyciągnęli z barku drinki i zaczęli częstować Jacka. Prowadzili przy tym rozmówki typu towarzysko-okolicznościowego. Iza przeglądała książki wypełniające półki. Niektóre z nich były jeszcze nierozcięte, ale miały efektowne, pozłacane grzbiety.

Jacek rozmawiał ze Zbyszkiem o filmie.

– Nasza macocha ostatnio grała niemiecką baronową i coś jej z tego zostało. Między nami mówiąc, niemiecka kuchnia jest ciężko strawna... – żartował Zbyszek ze złośliwą satysfakcją.

– W tym filmie pani Alicja jest wspaniała. Zagrała, nie, po prostu jest prawdziwą arystokratką. Widziałem na zamkniętym pokazie, jeszcze przed kolaudacją – Jacek taktownie omijał akcenty rodzinne w wypowiedziach Zbyszka.

– Zawsze się zastanawiam, czy wy, zawodowcy, jesteście w stanie oglądać filmy tak zwyczajnie jak widzowie? – zapytał Zbyszek.

– O, tak. Pamiętam, że kiedyś, jak zaczynałem jako praktykant, dostałem bardzo nieskomplikowane zadanie: chodziło o stworzenie bagna, w którym coś groźnie bulgocze, unoszą się nad nim tajemnicze opary. Wybrano więc jakąś podmokłą

łąckę, pirotechnik zapalił świece dymne, a nas kilku położono w krzakach z gumowymi rurkami, żebyśmy dmuchali do wody, wywołując bulgoczące bańki. W czasie realizacji wydawało mi się to kosmicznym idiotyzmem, ale jak zobaczyłem na ekranie, już w gotowym filmie, byłem zachwycony nastrojem, niesamowitą atmosferą. Zupełnie nie pamiętałem, jak to było zrobione...

Katarzyna jakby trochę uwodziła Marcina, oczywiście robiąc to świadomie, pod męża.

– Musiałam cię chyba już gdzieś widzieć. Bywasz w Harendzie?

– Tak, czasem. Ja ciebie też już widziałem, chyba w Scenie.

– Byłam tam może dwa razy.

– Ja też dwa razy.

– To znaczy, że byliśmy w te same dni.

– Fakt.

– Fakt.

Przez pokoje przemknęli Jaś z Antkiem, ubrani w srebrne skafandry amerykańskich kosmonautów. Sprawiali dość upiorne wrażenie, przypominając karły. Ubiór Antka był najnowszym modelem, na Jasia pasował zniszczony mniejszy. Iza automatycznie usiłowała przywołać syna do porządku, uciszyć go, ale oni szybko zniknęli.

W głębi korytarza ukazała się żona profesora, Alicja. Niezwykle dobrze zaaranżowana, zgrabna młoda kobieta, leciutko zmanierowana. Przeszła obok gabinetu, a widząc zgromadzoną młodzież, zakwitła wystudiowaną pozą w drzwiach i obdarzyła wszystkich zniewalającym uśmiechem.

– Witam... bardzo mi miło...

– Alicjo, pozwól, że ci przedstawię – Zbyszek dokonywał prezentacji, ją nazywając tonem leciutko ironicznym „żoną naszego ojca”.

Magda patrzyła na nią chłodno, ale nie demonstrowała nigdy, że między tymi niewiele od siebie starszymi kobietami nie ma porozumienia. Młodzieńcy byli ironicznie grzeczni. Zwłaszcza starszy.

– Widziałem *Zamek*, jest pani naprawdę świetna! – Jacek komplementował ostatnią rolę aktorki. – Nareszcie dostała pani rolę godną pani talentu!

Alicja się rozpromieniła.

– O, dziękuję! Trochę pan przesadza! A gdzież pan już zdążył zobaczyć film? Czyżby w związku z projektem wysłania go do Cannes?

– Czy wyglądam na jakiegoś ważniaka z ministerstwa? Po prostu pracuję na Chełmskiej, w sąsiednim korytarzu – wyjaśnił Jacek.

– W pionie reżyserskim? – zapytała Alicja, jeszcze szczerze zainteresowana.

– Niestety. W pionie produkcji. Jestem drugim u Szczerbickiego...

– O, to bardzo miły pan. I świetny fachowiec... – powiedziała Alicja, ale już lekko się „schłodziła”. Jacek przestał wydawać się jej interesujący, skoro grał tylko drugie skrzypce.

Weszła młoda, bardzo seksowna pokojówka. Jacek i Zbyszek popatrzyli na nią łakomie.

– Przyjechał pan Burgman z żoną.

– Reżyser Burgman? – zapytał zdziwiony Jacek.

– Ach, więc jednak doszło do zaproszenia! – Alicja rozpromieniła się. – Proś, proś! Oni mieszkają nad sąsiednim jeziorem – wyjaśniła Jackowi.

Weszli Burgmanowie: on w skórzanej marynarce, rozchełstany, lekko zaniedbany, ona w wieczorowej sukni i makijażu.

– Przepraszamy za najście, ale telefon u nas nie działa... – zaczął Burgman.

– Jak to: najście? – Alicja zrobiła wielkie oczy. – Nie dostali państwo zaproszenia, wysłaliśmy je przed tygodniem!

– Z pewnością jest na poczcie, ale ledwośmy przyjechali, to Burgman przypomniał sobie, że musi *zwonit' w Warszawu, a telefon nie rabotajet*, tak i poczty my nie przeglądali i tu, od razu... – powiedziała, zaciągając z rosyjska żona Burgmana.

– A u nas i w całej okolicy telefony też nie działają – uśmiechała się czarująco Alicja. – Za to mamy bankiet, otwarcie basenu. Serdecznie zapraszam jeszcze raz.

– Dziękujemy. Zostaniemy chwilę tylko, bo w takim razie musimy pojechać do Elku na pocztę. Muszę koniecznie porozumieć się ze swoim operatorem. On jutro robi mi próbne zdjęcia do *Konrada Wallenroda*. Nareszcie zaczniemy... – mówił Burgman.

Alicja się ożywiła.

– Brawo, gratuluję! W końcu zobaczymy jakiś dobry film! A na kogo pan szuka? Pewnie na Wallenroda kogoś z młodych, bo resztę obsadzi pan gwiazdami, prawda?

– Niekoniecznie, niekoniecznie – droczył się Burgman – ale, jak państwo wiedzą, nie ma filmu bez pięknej kobiety. Szukam takiej... – nagle urwał i zamarł. Patrzył na kogoś w grupie młodych rozmawiających w kącie pokoju. – Kto to jest, ta blondynka? – wskazał na Magdę.

Alicja zeszytniała.

– To córka mojego męża, Magda.

– Aktorka?

– Jest na trzecim roku PWST.

– No, to jest właśnie to! To jest mój ideał! Proszę mnie jej przedstawić! – entuzjastycznie się wyraził reżyser.

– Pan żartuje, panie Jerzy. To smarkula. Ale przedstawię ją panu.

– *A kakajaż eto raznica! Poznakomimsia i wsio!* – Żona Burgmana podeszła do tego pragmatycznie.

Alicja z trudem ukryła irytację.

– Magda, pozwól do nas na chwilę – powiedziała głośno i dodała już ciszej: – Proszę mi wybaczyć, muszę powitać gości... Dochodzi szósta, zaczynają się zjeżdżać. Zejdźcie też za chwilę, kochani... – Odeszła z promiennym uśmiechem.

Magda podeszła zaciekawiona do Burgmanów, przywitali się. Reżyser powiedział coś do niej cicho i odprowadził na stronę. Jego żona rozejrzała się w poszukiwaniu fotela.

Nastąpiła jakaś pusta chwila opadłego nastroju.

– To nie zaczęło się o piątej? – zapytała Katarzyna.

– Nie... – roześmiał się Zbyszek – tata się... pardon... walnął. Ostatnio mu się to przytrafia w różnych sytuacjach.

– Pewnie za dużo pracuje – zasugerowała taktownie Iza.

– Jak się kocha ten szmal, to życie jest jak bal... – zanucił na swoją melodię Marcin.

– Jeśli o mnie chodzi, to mnie się podoba, jak ktoś, chociaż jest profesorem, potrafi zarabiać pieniądze – rzuciła Katarzyna.

– Trzeba zejść – powiedziała Iza, której uwaga Katarzyny wydała się niestosowna – chodźmy.

Zeszli po schodach, skądś dobiegała cicha muzyka i narastający gwar głosów. W salonie, na tarasie widać już było gości ze szklaneczkami, ktoś witał się głośno i owacyjnie z panią domu. Był proboszcz, mały mecenas Duży, kilka osób z okolicznych domów, pojawiły się rozpoznawalne twarze ze środowiska Alicji (niektórzy mieli domy w okolicy), wobec nich Alicja wydawała się zupełnie inna, byli lekarze i aptekarz z Ełku, ktoś z gazety miejscowej i także miejscowi ludzie interesu. Ożywienie panowało przy zimnym bufecie, słychać było rozmówki o

jedzeniu, ploteczki, żarty. Krążyli wynajęci kelnerzy z tacami i młode pokojówki.

Aptekarz, który mówił o sobie, że chce być animatorem życia kulturalnego miasta i okolicy, komplementował Mariannę i pytał, czy zgodziłaby się dać jakąś pracę w przyszłości na planowaną akcją charytatywną.

– Nie tylko dam obrazy, ale chętnie pomogę w organizacji – mówiła Marianna. – O ile cel jest dobry.

– Jest bardzo szlachetny, a zarazem praktyczny. Zbieramy pieniądze na zakup kilku urządzeń medycznych dla szpitala dziecięcego: aparat do USG, elektrokardiograf... Profesor Andrzej Dowgiałło dał już swoje dwa obrazy...

– O, jeśli profesor dał dwa, to ja musiałabym dać dziesięć, żeby dorównać wartością... – szczerze zmartwiła się Marianna.

– Proszę nie przesadzać. – Aptekarz nachylił się konfidencjonalnie i szepnął z naiwną brutalnością: – Słyszałem, że ostatnio ceny na obrazy profesora znacznie spadły...

Marianna nie wytrzymała, zaczęła się śmiać.

– Powiedziałem coś śmiesznego? – zdziwił się aptekarz.

– Ach, nie. Przypomniało mi się coś tylko... – Po chwili już jednak nie pamiętała, co jej się przypomniało.

Gospodarz właśnie ogłosił, że już czas wyjść do ogrodu i dokonać otwarcia basenu.

– Poprosimy, jak zawsze, naszego księdza Romana, żeby poświęcił szampana, którym wzniesiemy toast za naszą nową inwestycję – Gajewski pierwszy zaczął się śmiać ze swojego żartu.

– Nie szkodzi, nie szkodzi – zacierał ręce księżulo.

– I jeszcze raz przepraszamy za te wszystkie zaproszenia i odwoływania tej uroczystości. Jak państwo pamiętają, mieliśmy otworzyć basen pod koniec czerwca, niestety przez dwa miesiące nasza ekipa baseniarzy miała kłopoty z pompą i już myślałem, że będziemy może otwierali tu lodowisko. Na szczęście pompę udało się opanować, basen jest, powiem więcej: ta pompa tak nam się spodobała, że postanowiliśmy urządzić przyjęcie z jeszcze większą pompą! Bateria: ognia!

Strzeliły korki, polał się szampan, przemówienie Gajewskiego nagrodzono frenetycznymi brawami. Wszyscy skierowali się do ogrodu. Basen nagle został efektownie kolorowo podświetlony, w wodzie leżał pęk czerwonych róż, na brzegu rozciągały się bogato zastawione stoły. Kelnerzy roznosili szampana. Rozległy się

okrzyki uznania i zachwytu. Profesor ucałował dłoń żony i powiedział głośno:

– Jest twój, skarbie... – wskazał basen – ale nie wskakuj w sukni...

Brawa, śmiechy, ktoś krzyknął:

– Prosimy o skok inauguracyjny!

Alicja ruchem amerykańskiej gwiazdy salonowego kina zarzuciła mężowi rękę na szyję i pozwoliła się pocałować w usta, ale na tyle delikatnie, aby nie został zniszczony makijaż. Magda skrzywiła się, widząc, jak jej ojciec, starszy pan, ośmiesza się publicznie, ale ostro zareagowała, gdy Marcin zawołał:

– Jeszcze jeden dubel!

Bez wahania kopnęła go w kostkę. Marcin zawył z bólu i zrejterował w kierunku baru. Alicja bez powodzenia starała się wyłowić go wzrokiem z otaczających gości.

Na rozstawionych grillach piekły się platy mięsa, plastry łososia, szaszłyki, kiełbaski. Ludzie krążyli z talerzykami w rękach, muzyka stała się głośniejsza, przemknęli kosmonauci. Profesor Wanat był w swoim żywiole, nakładał sobie stosy jedzenia, podstawiał kufle pod lejące się piwo, zapytał przy tym barmana:

– Czy wiesz, młody człowieku, jak kiedyś nazywano to urządzenie? – Wskazał na kran, z którego lał się pienisty płyn.

– Nie wiem, proszę pana.

– Pipa!

– Jak?! Cipa?

– Pipa, mówię!

– A, pipa. To tak jak teraz.

Wanat zrozumiał, że z niego zakpiono, spiorunował wzrokiem bezczelnego młodzieńca i odszedł w poszukiwaniu spokojniejszego miejsca. Nagle w ogrodzie rozległ się krzyk kobiety:

– Dziecko w basenie!

– Jasiek! – krzyknęła Katarzyna.

Iza rzuciła się, rozpychając stojących, brzęknęły tłuczone talerze, sałatki poleciały na suknie, część gości już ruszyła w stronę basenu, ale roztrącając wszystkich, pierwszy dobiegł Robert. Bez namysłu skoczył i wyłowił krztuszącego się Jasia w skafandrze. Od razu przy basenie zgromadziła się cała rodzina Kalinowskich. Marianna przytrzymała Krzysztofa, który też był gotów wskoczyć do wody. Malec wypluwał wodę, radośnie roześmiany, gdy Robert płynąc, unosił go w ramionach. Rozległy się brawa, okrzyki wiwatujące dla obu. Uszczęśliwiony Jasiek

zawołał:

– Ale tam fajnie na dnie! Wujek, nurkujemy?!

W cieniu krzaka jałowca stał drugi kosmonauta i uśmiechał się jakby z satysfakcją. Zbyszek popatrzył uważnie na swojego syna.

Katarzyna i Iza przykucnęły przy krawędzi basenu i wyciągnęły ręce po obu swoich mokrych najbliższych. Robert i Jasiek spojrzeli na siebie porozumiewawczo, podali kobietom ręce i na znak Roberta gwałtownie wciągnęli je obie do wody. Wpadły z wielkim pluskiem, zalewając od stóp do głów stojącego obok Wanata. Jacek, tknięty błyskiem inteligentnego konceptu, podbiegł i krzyknął do Kasi: „Siostró, basen!”. Ci, którzy to usłyszeli, zrozumieli i docenili ten bon mot, roześmiali się głośno, z podziwem. Byli wśród nich i Wanat, i Robert, który nawet pokazał Jackowi wyprostowany kciuk, co natychmiast zmałpował Jasio. Ktoś podkreślił głośność muzyki i nad gośćmi pękła wielka cudowna bania nieśmiertelnego *In the Mood* Glena Millera.





5.

Marianna spojrzała na swoje odbicie w dużym lustrze wprawionym w staroświecką szafę, jeszcze po Róży, i skrzywiła się z dezaprobatą: znowu przytyła! Jej kiedyś świetna figura leżała, co tu ukrywać, w ruinie. W miejscu niegdyś smukłej talii widniała regularna opona, która jeszcze przed rokiem przypominała rowerową, potem motocyklową, a teraz już należałoby przywołać samochody, i to dostawcze. To naturalnie były jej własne, masochistyczne metafory, bo Krzysztof usiłował ją pocieszać głupkowatymi odzywkami typu: „Słodkiego ciała nigdy nie za dużo”, ale jakoś coraz rzadziej łasował na tych słodyczach i nieraz przyłapywała go, jak wodził wzrokiem za przechodzącymi ulicą młodymi, szczupłymi figurami. Kiedyś przydybawszy Mariannę na oglądaniu sobie w lustrze tych „opon”, powiedział:

– Wiesz, że towarzyszki Piłsudskiego z okresu, kiedy zdobywał pieniądze dla PPS-u, rabując wagony pocztowe pod Wilnem, szyły takie długie worki do przewożenia dynamitu i wiązały je sobie w pasie, co pewnie wyglądało podobnie, więc zawsze możesz mówić, że przewozisz dynamit...

Marianna oniemiała, ale tylko na chwilę.

– Jasne. Chętnie go przewiozę i wysadzę w cholerę ten głupi dom, to gospodarstwo, tego męża, który dla dowcipu powiesiłby dziadka na lampie i mówił, że to lep! Głupi, stary błazen!

Przeraził się nie na żarty.

– Mańka, no co ty?! Nie chciałem cię urazić. Przecież w gruncie rzeczy sam siebie kłuję. Patrz, jaki mam bandzioch! A podgardle?!

– Właśnie! Spasłeś się jak...

– No, ktoś mnie pasie... Ale przyznasz, że z tym dynamitem to cię zaskoczyłem?

– Tak. Humor iście wybuchowy!

Teraz przymierzała trzecią już kombinację bluzki i spódnicy, ale czyniła to z roztargnieniem, co chwila podchodząc do okna swej pracowni na poddaszu i spoglądając na urzekający widok jesiennych Mazur. Jezioro migotało srebrem, drzewa na przeciwległym brzegu rozłożyły wachlarz rudych kolorów, we wciąż czystym, ale już jakby zmęczonym powietrzu snuły się białe nitki babiego lata.

Marianna wychyliła się przez okno i rozejrzała po niebie z troską, ale niebo było bezchmurne, zapowiadał się piękny październikowy dzień. Uprzytomniła sobie, że już dawno nie widziała lotniarza, i postanowiła, że zapyta panią Helenkę, co się z nim dzieje.

– Chyba nie odleciał do ciepłych krajów? – mruknęła do siebie. – A może...?

– Mama! – usłyszała z podwórza zniecierpliwiony głos Katarzyny.

Odskoczyła od okna, żeby zyskać na czasie, porwała ze stolika swój muślinowy szal w azteckie wzory i popędziła schodami w dół.

Na środku podwórza stał samochód Kasi, silnik pracował na wolnych obrotach, ona przeciwnie – już na bardzo wysokich. Denerwowało ją, że matka każe tak długo na siebie czekać, ale wyładowała swoją złość na Jasiu, który usiłował namówić Bertę na wskoczenie do środka.

– Nawet o tym nie myśl! Nie znoszę psich kłaków na siedzeniach!

– Ciocia ma rację, tam zresztą nie wolno przyprowadzać psów – przyłączyła się Iza.

Jasiek wysiadł i powiedział do psa poufnym tonem:

– Nie możesz z nami jechać, Berta. One się nie zgadzają. Ale nie martw się, wszystko ci opowiem – dodał szeptem.

Katarzyna, zniecierpliwiona, zawołała w stronę domu:

– Mama, na miłość boską!

– Już. Już lecę – odkrzyknęła Marianna i odświeżnie ubrana wybiegła z domu.

– Najpierw popędzasz, a potem zawsze się na ciebie czeka – powiedziała z wyrzutem Katarzyna.

– Nie zawsze, nie zawsze – broniła się Marianna.

– Gdzie tak leci? – zapytała, zsiadając z roweru, Helena.

– Festyn, pani Heleno. Pani wójt zaprosiła nas na uroczystość.

– Mamo, jesteś niemożliwa! – ponagliła Katarzyna. Iza z Jasiem siedzieli w głębi samochodu bez słowa.

Marianna, wsiadając, odwróciła się jeszcze za Heleną i zawołała:

– Kopytka zrobimy! Nie ziemniaki!

Katarzyna demonstracyjnie zasunęła szybę i samochód skoczył do przodu. Przy szeroko otwartej bramie stał Józek. Jasiek zasalutował mu przez okienko. Marianna zapięła pas i poklepała Kasię po ręce, kiedy córka położyła ją na dźwigni skrzyni biegów.

– Dziękuję wam, dziewczyny, żeście przyjechały, muszę dobrze żyć z panią wójt.

– Gdyby Robert nie poleciał do Frankfurtu, nic by z tego nie było. Ja pociągami w Polsce nie jeżdżę – oświadczyła ze swoją firmową pogardą Kasia.

– Dobrze, że on pozwala ci używać swojej fury – wtrąciła Iza. – Jacek wprawdzie tym razem wziął na plener garbusa, ale i tak by mi nie pozwolił nim pojechać.

– Oni wszyscy to wariaci! Gdyby mogli, spaliby ze swoimi kochanymi autami! – podsumowała Marianna.

– A ja śpię ze swoimi autami, nawet trzema... – pochwalił się Jasio.

– Bigamista – mruknęła pod nosem Kasia.

Kiedy dojechali na miejsce, festyn gminny już trwał. Na podium rznąła orkiestra strażacka. Wianuszek dzieciaków przylepił się do estrady, ludzie krążyli między kolorowymi straganami, ale większość sekundowała zawodom na stadionie. Dwie drużyny zajadłe przeciągały linę. Wszystko to miało wyraz bardzo poważny, zwycięstwo jednej ze stron okupione było upadkami, ale i reakcją nieomal równą zwycięstwu olimpijskiemu.

Na drugim końcu boiska dzieci rozgrywały biegi w workach. Doping rówieśników i matek stojących wzdłuż trasy wydawał się wręcz histeryczny. Jasiek pobiegł do stołu sędziowskiego, zapisał się i za chwilę borykał się w worku daleko za zawodnikami. Wzbudził ogólny śmiech, ale go to nie speszzyło.

– On jest niesamowity – powiedziała Katarzyna. Chodziła z aparatem i wyłapywała ciekawe sytuacje. Marianna patrzyła na nią z zadowoleniem: córka była odprężona, uśmiechała się, zamieniała nawet kilka słów z obcymi. Wszystkie trzy starały się nie zgubić i jeśli oddalały się od siebie, były czujne.

Przy straganach Marianna kupiła jaskrawy balonik i jakąś koszmarną zabawkę dla Jasia, a sobie i obu dziewczynom zafundowała po pierścionku. Śmiały się, mierząc tombakowe błyskotki i porównując kolory oczek.

– To powinni kupować kawalerowie – rzucił sprzedawca.

– A gdzie ich szukać...

– Mało to ich tutaj? – śmiał się sprzedawca, inkasując gotówkę i beztrząsco ukazując braki w uzębieniu.

Przy stoiskach z piwem stali miejscowi z kufkami, inni pili wprost z butelek, obok na krzeselku facet grał na harmonii, u jego stóp leżały puste butelki. Jeden ze stojących uklonił się niechętnie.

– Dzień dobry, panie Kotula – powiedziała Marianna – żona też tu jest?

– Gdzieś tam musi... – odparł skrzywiony pan Waław.

– Gdzie teraz? – zapytała Iza. – Gdzie idziemy?

– Na lody! – zaproponował Jasiek.

– Co to, to nie! Chcesz złapać gronkowca? – zaprotestowała Marianna.

– Chcę! – zapalił się malec.

Rozległa się próba mikrofonu, głos męski liczył – raz dwa, raz dwa, siedem, dziewięć...

– On nie umie liczyć – zawołał Jasio z triumfem.

– Zaraz się zacznie – powiedziała Marianna i skierowała się ku estradzie, na której odpoczywali teraz strażacy, a obok mężczyzny sprawdzającego mikrofon stała z plikiem papierów pani wójt. Za nią wytworne panie z urzędu gminy, ufryzowane i odświeżone, trzymały kwiaty.

– To ona? – zapytała Iza.

– Tak, to nasza pani wójt – przytaknęła Marianna i przepchnęła się przez gromadzący się tłumek do pierwszego rzędu.

– Bądź ze mną duchem, jak mnie wywoła – szepnęła Marianna do stojącej obok Katarzyny.

– „Sam chciałeś, Grzegorzu Dandin...” – Katarzyna uśmiechnęła się ironicznie.

Pani wójt, pięknie ubrana w fiolety i róże, z kunsztowną, utapiowaną trwałą na blond głowie, podrapała fachowo mikrofon czerwonym paznokciem i przemówiła:

– Kochani mieszkańcy gminy. Rozstrzygnęliśmy pierwszy konkurs czystości i urody domów i ogródków przydomowych w naszej gminie. Jaki był jego cel, widać gołym okiem: domy, ulice i wsie wypiękniały, przyjemnie jest na nie patrzeć, życie stało się weselsze. To ważne dla nas i będziemy przeznaczać na to coraz większe środki, będziemy naprawiać drogi, układać chodniki, budować przystanki autobusowe. Sami wiecie, jak to jest, kiedy czeka się na deszczu i zimnie koło słupka, a autobus się spóźnia. Trzeba budować na przystankach wiaty chroniące przed deszczem i wiatrem. Już jedną taką zbudowaliśmy w Liskach i przyznajcie, spodobała wam się. Ale jest problem: skąd wziąć na to pieniądze? I tu dochodzimy do celu naszego konkursu: mieszkamy w przepięknych okolicach kraju, ludzie do nas przyjeżdżają z całej Polski, ale oni chcą mieszkać w czystych i zadbanych gospodarstwach agroturystycznych, a nie w zapyziałych ruderach, więc jak zobaczą teraz wasze domy, będą przyjeżdżali i zostawiali pieniądze w waszych kieszeniach, a tym samym gmina się będzie bogaciła i zdobywała środki na swój rozwój, z którego

skorzystają wszyscy jej mieszkańcy.

Słowa pani wójt, proste i jasne, przypadły publiczności do przekonania, zerwały się oklaski, ktoś krzyknął:

– Brawo, pani Danusia!

Pani wójt gestem uciszyła słuchaczy i podniosła do oczu kartkę. Zaczęła odczytywać:

– Pierwsze miejsce i zasłużone nagrody otrzymują: pani Mosińska Irena za piękny kwietnik przed domem.

Z tłumu ruszyła wystrojona kobieta, rozległy się pojedyncze brawka.

– Pani Brocka Genowefa za najczystsze podwórko.

Ktoś z tłumu zawołał:

– Brawo, Genia! Powiedz mojej babie, jak to się robi!

Rozległ się rubaszny śmiech mężczyzn.

– Pani Gumowska Edyta, nagroda za pięknie i własnoręcznie wymalowany dom.

Jakiś piskliwy głos zawołał w stronę estrady:

– Edytka! Zostało ci trochę farby?!

Zgromadzeni zareagowali ubawieni, pani wójt, zwyciężczyni i urzędniczki nie zwracały na to uwagi. Zaczęło się rozdawanie kwiatów, ściskanie dłoni, pokazywanie pudeł firmowych, czekających na zabranie przez finalistki.

– A teraz... – zaczęła pani wójt, wyczekując jednak, aż obdarowane kobiety dumne i gadające wszystkie naraz przestaną odwracać uwagę od niej. Strażacy, pewni, że to teraz ich kolej, zaczęli grać marsza. Katarzyna fotografowała. Pani wójt coś ostro powiedziała do swoich urzędniczek, te spacyfikowały łatwo strażaków, po czym już uśmiechnięta, nachyliła się do mikrofonu i zaczęła mówić, powodując sprzężenie. Chudy mężczyzna podskoczył i ustawił ją, z zachowaniem szacunku, w innej odległości. Tłum reagował na wszystko.

– Jakie to wszystko ważne dla nich... urasta do spraw obywatelskich – powiedziała Iza.

– Żebyś wiedziała – przytaknęła Marianna.

Katarzyna skrzywiła się ironicznie.

– A teraz... – zaczęła mówić pani wójt – chcę przystąpić do sprawy wyjątkowej. Proszę na estradę panią Mariannę Kalinowską.

– No, mama. – Trąciła ją Katarzyna i nagle, już za plecami odchodzącej Marianny, powiedziała do Izy: – Idź z nią! Powiedz coś...

Iza, zaskoczona i zdezorientowana, odruchowo ruszyła za teściową na estradę. Rozległy się brawa. Marianna z bijącym sercem spieszona stanęła wobec zgromadzonego tłumu. Czując czyjąś obecność z drugiej strony, rzuciła spojrzenie i rozjaśniła się na widok synowej.

– Dziękuję – szepnęła z wdzięcznością. Iza mrugnęła do niej z otuchą.

Katarzyna fotografowała zawzięcie, a Jasiek, korzystając z zamieszania, wdrapał się na estradę i wepchnął między mamę a babcię, co wzbudziło aplauz widowni.

– Wiem – zaczęła uroczyście pani wójt – że państwo Kalinowscy zamierzają osiedlić się tu na stałe. Bardzo nas to cieszy – zrobiła pauzę, bo rozległy się oklaski – ale co dla naszej społeczności bardzo ważne, osobno dziękujemy za remont, za staranie o miejsce, gdzie mieszkała pani Róża. Nasza Róża, ciągle żywa w naszej pamięci. Serdecznie dziękuję w imieniu gminy...

Pani wójt ścisnęła dłoń wzruszonej Marianny, a potem spontanicznie wzięła w objęcia ją i dość zaskoczoną Izę. Iza uznała, że teraz powinna coś powiedzieć, więc podeszła do mikrofonu.

– W imieniu mojej wzruszonej teściowej chciałam podziękować pani wójt za dobre słowa, a zgromadzonym za aplauz. Wasz entuzjazm, dobra energia, z którą tu się zgromadziliście, budzi nadzieję, że zbudujemy społeczeństwo prawdziwie obywatelskie, które weźmie swoje sprawy we własne ręce i zbuduje naszą ojczyznę taką, jakiej wszyscy chcemy, taką, w której każdy Polak będzie się czuł u siebie. Nas, mieszkańców, przyciąga tu nie tylko przyroda, nie tylko piękne krajobrazy i czyste powietrze, ale także ta pozytywna energia, która z was emanuje, wasza otwartość i gotowość przyjęcia nas do swojej społeczności. Będziemy się bardzo starać, żeby na to zasłużyć, i będziemy bardzo szczęśliwi, kiedy to się stanie! Wszystkiego najlepszego!

Oklaski, które teraz się rozległy, zdecydowanie przebiły dotychczasowy aplauz. Iza kłaniała się skromnie, podała rękę pani wójt i uściskała się z Marianną. Jasiek też wyciągał rękę na prawo i lewo. Strażacy teraz już polecili z marszem na całego. Urzędniczka wręczyła Mariannie kwiaty w dość obskurnym przybraniu. Schodziły z estrady, po drodze łowiąc życzliwe słowa i gesty zebranych.

– Dzień dobry, pani Kalinowska – zawołała Aleksandra Kotula – oglądałam panią na estradzie i panią synową, i wnusia. Ładnie było.

– Dzień dobry, pani Aleksandro. No i co, nie warto było i pani stanąć do konkursu? Namawiałam...

– No.

- Co: no?
- No, może na następny raz... pomyślím. Przedyskutujem ze starym.
- Było wspaniale... – Katarzyna nie potrafiła ukryć wciąż jej towarzyszącej ironii.
- Nie wiedziałam Izuniu, że jesteś takim wiecowym mówcą...
- Zrobiłaś zdjęcie? Wyszło? – Iza nie dała się sprowokować i puściła mimo uszu uwagę Katarzyny.
- Na pewno, to świetny sprzęt. Na wszelki wypadek nastawiłam na funkcję seryjną. – Katarzyna dotrzymała jej kroku.
- *Idiotenkamera?*
- Coś w tym rodzaju, ale się nie przejmuj. Może już czas na zrobienie albumu z różnych dokumentacji, co, mama?
- Znakomity pomysł – ostrożnie pochwaliła Marianna, żeby jej nie spłoszyć.
- *Idiotenalbum!* – Katarzyna nie mogła się obejść bez sarkazmu. Na wszelkie pozytywne uwagi reagowała zawsze najpierw najeżeniem na zewnątrz albo do środka. Potem się tego wstydziła i szybko musiała to czymś zamazać. Teraz też podniosła aparat do oka, zasłaniając sobie twarz, i zawołała:
- Jasiek!
- Mały odwrócił się od jednego ze straganów, na których piętrzyły się ciasta ze straszliwie kolorowymi lukrami. Jego zachwycona buzia została uwieczniona przez Katarzynę i wklejona później do Idiotenalbumu.

Ujechali już kawał drogi w milczeniu, Jasiek przysnął wsparty o babcię, kiedy odezwała się Katarzyna, cały czas skupiona na omijaniu błotnistych dziur w drodze:

- Ty naprawdę wierzysz w coś takiego jak społeczeństwo obywatelskie?
- A co, myślałaś, że ściemniam?
- Ale tu, w Polsce?
- A gdzie, w Mozambiku?
- Może tam jest to możliwe, ale nie w tym kraju warchołów. Tu się nigdy nic nie uda: dziewięćdziesiąt dziewięć procent to debile, nieudacznicy, lenie, a ten jeden procent to indywidualiści z ego rozdętym do rozmiarów zeppelin, z za którego nic nie widzą, poza sobą.
- Zza balona widzą siebie? Jak? W lusterku? – zapytała Iza niewinnie.
- W lusterku, w lusterku! – wściekła się Katarzyna.
- Ty lepiej patrz w swoje lusterko – wtrąciła się Marianna. – Ktoś chce cię

wyprzedzić...

Katarzyna zobaczyła z tyłu jakąś białą, poobijaną furgonetkę dostawczą. Młody, ogolony na łyso kierowca mrugał światłami, domagając się zjechania na pobocze, bo droga przez las była wąska. Katarzyna nie tylko nie zjechała na bok, ale przesunęła się bardziej na środek, blokując ostatecznie drogę i jeszcze zwalniając. Kierowca furgonetki zatrąbił niecierpliwie, Katarzyna zsunęła szybę i wystawiła na zewnątrz rękę. Pokazała kierowcy swój szczupły środkowy palec z jaskrawoczerwonym długim paznokciem, po czym gwałtownie dodała gazu. Trzystukonny silnik zaryczał jak ranny zwierzę i terenówka skoczyła do przodu, pokonując dziury jak czołg. Jasiek obudził się i zachwycony krzyknął:

– Super! Gazu, ciotka, gazu!

– Kaśka, co ty wyrabiasz?! Zwolnij! – zawołała Marianna, ale jej rozwścieczona córka ani myślała zwalniać. Pełnym gazem wyjechała z lasu na asfaltową drogę i jeszcze przyspieszyła. Biały furgon, który cały czas usiłował ją dogonić, teraz stracił wszelkie szanse, jego odbicie w lusterkach zaczęło gwałtownie maleć, mimo to Kaśka wrzasnęła jeszcze przez okno:

– Na mnie trąbisz?! Na mnie?! Masz za małą trąbę, palancie!

Jasiek zaniósł się, zachwycony, śmiechem, Marianna i Iza wymieniły przerażone spojrzenia.

– Kasiu! Co to za język?! – Marianna chciała zacząć reprimendę zgorszonym tonem, ale Kasia spokojnie zasunęła szybę i włączyła radio. Koda jakiegoś chorału gregoriańskiego zabrzmiała tak absurdalnie, że wszyscy wybuchli śmiechem, który rozładował napięcie.

W domu powitał je Krzysztof ze skruszoną miną. Machał wprawdzie jakimś maszynopisem i pokazywał, że skończył swoją pilną robotę, która uniemożliwiła mu udział w festynie, ale Marianna i tak nie uważała tego za usprawiedliwienie. Dla niej było oczywiste, że jego pokazanie się między ludźmi było stokroć ważniejsze od recenzji dla jakiegoś tam doktora z drzeniem oczekującego opinii pana profesora.

– Przeprosiłam panią wójt w twoim imieniu i starałam się usprawiedliwić to twoją „pilną pracą” – złośliwie zaakcentowała cudzysłów. – Grzecznie potakiwała, ale w jej oczach widziałam wyraz politowania, który rozumiem. I podzielam. Gdyby dziewczyny nie przyjechały mi na odsiecz...

– Marianno... – zaczął, ale machnął ręką z rezygnacją. Czasem miał już dosyć

tłumaczenia jej, że hierarchia ważności spraw jest trochę inna, niż to się wydaje z babskiej perspektywy kuchni czy sypialni. A kiedyś przecież było inaczej, z zachwytem w oczach śledziła jego karierę naukową, z dumą odbierała gratulacje po jego doktoracie, hołdy po nominacji profesorskiej i powierzeniu mu katedry, ale już zaproszenie na wykłady w Stanach przyjęła jako coś, co mu się absolutnie należy. Kiedy dojechała do niego z dziećmi po paru miesiącach, przyjęła panie profesorowe na herbatce zapoznawczej z miną łaskawej królowej protekcjonalnie traktującej petentki. One, o dziwo, potulnie zgodziły się na taką pozycję i opowiadały potem swoim przyjaciółkom, że były z wizytą u „prawdziwej europejskiej damy”, a jej placek ze śliwkami przeszedł do legendy kampusu. Cóż, one pewnie też uważały się za pokrzywdzone przez los, który zmusił je do towarzyszenia nudziarzom ślęczącym w uniwersyteckich laboratoriach nad jakimiś bredniami. W jednej z takich pracowni wisiał na ścianie oprawiony, wycięty z jakiegoś magazynu dowcip rysunkowy: w staroświeckim laboratorium Thomas Alva Edison pracuje nad wynalezieniem żarówki elektrycznej, w drzwiach stoi pani Edison z miną hetery i wykrzykuje: „Znów wypalasz naftę, klejąc jakieś idiotyczne zabawki, ty niezguło!”.

Dziewczyny przełknęły coś pospiesznie, warszawskimi obowiązkami wymawiając się od pozostania na obiedzie – Kasia miała wieczorem termin wizyty u kosmetyczki, „do której czeka się tygodniami”, Iza zebranie jakiegoś komitetu obywatelskiego w delikatnej sprawie zablokowania idei postawienia kolejnego pomnika wielokrotnie już uhonorowanej osobie. Katarzyna wrzuciła do bagażnika swoją torbę marki Louis Vuitton i obrzuciła pogardliwym spojrzeniem skromną walizeczkę Izy. Dziewczyny pożegnały się i szybko odjechały. Na podwórzu został Krzysztof z Jasiem, huścili się na huśtawce zawieszanej na grubym konarze drzewa. Balonik z festynu, przywiązany do sznura, kołysał się razem z nimi. Przez otwarte okno kuchni widać było krzątającą się Mariannę i panią Helenę.

– Czujesz, jak coś pysznie pachnie? – zapytał Krzysztof.

– Tak – zgodził się mały – ale żebyś widział, ile tam pysznie pachniało. Tyle ciasta. – Pokazał wielką górę.

– Tak? I nic mi babcia nie przywozła? – spytał zawiedziony Krzysztof.

– Mnie też nie kupiła – pocieszył go mały.

– Marianno! – zawołał Krzysztof – chodź do nas i opowiedz, jak było.

Marianna wychyliła się przez okno.

– Tak? A obiad dla twoich gości?

– Nie przejmuj się. To są młodzi ludzie, obawiam się, że i tak nie docenią twojej kuchni.

– No to byli dwa razy. Pierwszy i ostatni – zagroziła Marianna. – Czy oni zostają na noc?

– Chyba tak. Wanat ma dla nas czas dopiero koło piątej. Podejrzewam, że musi się zdrzemnąć, sybaryta!

– A ty nie? Dzisiaj nie. Dzisiaj musimy szpanować! Prawda?!

Machnął ręką z rezygnacją i zauważył, że coraz częściej mu się to zdarza. Marianna kontynuowała wątek:

– A jak się dostaniecie? Przecież na drogach po tych ulewach jest grzęzawisko.

– Łodzią.

– Weźmiesz mnie? – zapytał Jasio.

– Nie mogę. Przepraszam cię, wiesz, to będzie takie nudne gadanie i gadanie.

– O czym, dziadku?

– Mam być z tobą szczerzy?

– Tak, dziadku – poważnie odrzekł mały.

– Otóż... chodzi o reakcje immunologiczne organizmów ssaków na ukąszenie kleszczy. Stwierdzono bowiem, że powstaje pewien rodzaj białka, które może zastopować działanie organizmu. Rozumiesz?

Mały, speszony, zaśmiał się, chowając głowę, przytulony do dziadka.

– Krzysiu – wychyliła się znowu Marianna – czy wkrapiałeś dziś Bercie gentamycynę?

– Tak. Miała ochotę mnie ugryźć.

– Nie opowiadaj dyrdymałek. Robię to trzy razy dziennie i... – Nie skończyła, bo na podwórze wjechał elegancki czarny samochód.

– O, moja doktorantka, Basia. – Krzysztof wstał z huśtawki i zdjął też chłopca.

Z samochodu wysiadła młoda, ładna dziewczyna i trochę od niej starszy mężczyzna w garniturze szytym na miarę. Dobry samochód też należał do niego. Krzysztof ruszył im naprzeciw.

– Dzień dobry, panie profesorze – w głosie dziewczyny zabrzmiał jakiś dziwnie intymny ton. – A to pan Jaszczuk – przedstawiła.

– Witold Jaszczuk, kierowca – zażartował przybysz.

– Dzień dobry, Basiu. – Krzysztof przywitał się z przybyłymi.

Marianna wyszła przed dom i podała im rękę, którą pan Jaszczuk skwapliwie

ucałował. Marianna przyjrzała się z ukosa dziewczynie, uznała, że jest świetna, i to zapaliło w jej głowie pierwszą, ostrzegawczą lampkę.

– Pewno jestem banalna, zachwycając się – powiedziała, rozglądając się, Barbara.

– Sprawia nam pani przyjemność – Marianna uśmiechnęła się miło.

– Bardzo tu ładnie. Istotnie – potwierdził Jaszczuk.

– Można wszystko obejrzeć? – zapytała Barbara.

– Oczywiście... chodźmy – zagarnął ją Krzysztof. – Zdążymy, zanim żona zawoła nas na obiad.

– Zajrzę do samochodu, muszę sprawdzić, co tam grzechocze – oznajmił Jaszczuk.

– Mogę iść z wami, dziadku? – zapytał Jasiek. Krzysztof wziął go za rączkę.

– Dom jak z angielskiej powieści – powiedziała Barbara.

– Musieliśmy go bardzo przebudować, to, co zastaliśmy, było dość marne...

Krzysztof rzucił okiem na dom i być może pod wpływem słów dziewczyny zobaczył jego urodę jak nigdy przedtem. Te przeszło cztery miesiące pracy od maja dały świetny rezultat: nowy dach z czerwonej dachówki, w nim piękne, owalne wykusze, śnieżnobiały tynk, klinkierowe nadproża i przypory, lakierowane na ciemny błękit okiennice i drzwi wejściowe oraz oplatające dom, uratowane pnącza winorośli – rzeczwiście stara Anglia albo po prostu stare Mazury...

– To pański projekt, panie profesorze?

– Raczej sugestie mojej żony. Tak.

– Ale miejsce... to miejsce na pewno pan odkrył!

– Też nie – zaśmiał się Krzysztof. – Odziedziczyła je żona po swojej krewnej. Na początku nie byłem bardzo zachwycony.

– Tu chyba można być szczęśliwym... – powiedziała cicho dziewczyna.

– Hm... – leciutko speszył się Krzysztof – proszę mnie nie prowokować do analizowania pojęcia szczęścia. Zwłaszcza przed obiadem... Ale zapewniam panią, że jeżeli żałowałem podjętej decyzji, to jedynie przelotnie. Właśnie, w ubiegłym miesiącu przenieśliśmy się tu na stałe. Nie wiem, jak będzie dalej, na razie jest nam tu więcej niż dobrze. Mariannie i Jaśkowi. Prawda? – zwrócił się do wnuka.

– Jest ślicznie, ślicznie, ślicznie – brzmiało to w ustach dziewczyny trochę żałośnie, ale uśmiechała się dzielnie.

– Tamte łąki są nasze – mówił Jasio. – I tam, i tam. I krowa, i rodzina królików.

Krzysztof się roześmiał.

– I babcia marzy, żeby tu biegał konik! – dorzucił Jasio.

– I trzeba będzie kiedyś to marzenie zrealizować – Krzysztof westchnął, niby umęczony.

Dziewczyna milczała.

Rozległ się gong.

– Wracamy. Żona woła nas na obiad.

Na progu domu stał Witek i patrzył na nich bez słowa.

– I co to było? – zapytała Barbara.

– Idiotyzm. – Witek machnął bagatelizująco dłonią. Miał długie palce pianisty, którym chyba nie był, i mocne owłosienie wychodzące spod mankietów i kołnierzyka.

– Co się stało? – Krzysztof też się zainteresował.

– Turlała się puszcza z farbą i nie mogłem jej umiejscowić. Zmieńmy temat.

– Jasiek, myj łapy! – rozległo się wołanie Marianny. – Reszta proszę do stołu.

Weszli do jadalni i zasiedli do obiadu.

– To profesor Wanat gdzieś tu siedzi w puszczy? – zapytała Barbara.

– Wątpię, czy tu jest jakaś puszcza – wtrącił się Witold.

– Rzeczywiście, nie ma. Jedynie niezbyt gęste lasy – powiedział Krzysztof. – Profesor siedzi za jeziorem. Będziemy się przeprawiać łodzią, bo droga nieprzejezdna. Musielibyśmy robić straszny objazd.

– Czy pan jest żeglarzem? – zapytała Marianna Witka.

– Nie i nie znoszę pływania – zaśmiał się, dziwnie nieprzyjemnie. – Cierpię na chorobę morską.

– To co będzie z wyprawą? – zapytał Krzysztof.

– Jeżeli państwo pozwolą, zostanę. – Witold odwrócił się do Marianny. – Przysięgam, że nie będę w niczym przeszkadzał. Gdzieś w kącie rozłożę się z robotą. Skorzystam i zrobię biznesplan dla firmy, sprawdzę rachunki. Będę cichy i niewidzialny.

– Dobrze... – zgodziła się bez zapału Marianna. – Ale niech pan żałuje, widoki po drodze są piękne.

– Profesorze, jestem panu bardzo wdzięczna za protekcję. Sama nie dotarłabym do profesora Wanata – uśmiechnęła się dziewczyna.

– Nie ma o czym mówić, dobrze, że poznaliśmy go z Marianną, zresztą w dość zabawny sposób nas potraktował. A chodziło nam o rozpracowanie moczarki kanadyjskiej, która okropnie rozpleniła się w naszym jeziorze. Dogadaliśmy się i

chyba teraz jesteśmy przyjaciółmi.

– „Mów mi Wiesio, dziecinko” – Marianna udatnie wpadła w melodię Wanata.

– Tak... – zaśmiał się Krzysztof – jest uroczo bezpośredni.

– Kawa, herbata? – Marianna podniosła się od stołu.

– Wiesz co, to może jak wrócimy, bo pora na nas. Dobrze, Basiu? – zwrócił się do dziewczyny.

– Tak, tak, oczywiście – zgodziła się natychmiast.

Wstali od stołu.

– Powiedziałam Józkowi, żeby zamontował motorek do łodzi. Proszę uważać na mego męża, żadnego wysiłku, z jego sercem...

– Przestań, Marianno – przerwał jej niecierpliwie Krzysztof.

Umilkła, ale za jego plecami wymownie popatrzyła na Barbarę.

– W każdym razie na jedno się nie zgadzam. Żebyś po powrocie wymontował motor i zechciał go przydźwigać – zdecydowała się powiedzieć kategorycznie – i wiosła zostawisz w łodzi!

– Dobrze, już dobrze. – Krzysztof ruszył do sionki, sięgnął po kurtkę, poszli przodem z Barbarą. Marianna nagle z racji obecności tej młodej dziewczyny popatrzyła na niego trochę inaczej: niewątpliwie jego dojrzała, przystojna twarz, uśmiech, spojrzenie i urok, gdy jest w dobrym humorze, muszą być ciągle atrakcyjne dla kobiet. Przez chwilę doznała przelotnego ukłucia zazdrości, gdy tak patrzyła na oddalającego się męża z wpatrzoną w niego młodą dziewczyną, ale zwyciężyła duma, że Krzysztof należy do niej. I że są sobie tak bliscy.

Barbara zapięła starannie kurtkę, Witek niósł jej torbę z wystającymi zeszytami notatek. Odprowadzili ich do łodzi, na której widniał napis „Danuśka 2”.

– Danuśka? – zapytała Barbara i popatrzyła na Mariannę.

– To łódź naszego przyjaciela Zarzyckiego. Jego żona ma na imię Danuta. Jest Danuśką numer jeden.

– Zarzycki? – ożywił się Witek. – Przedstawicielstwo Indygo Air Lines?

– Tak – ucięła Marianna i odwróciła się do męża. – Tylko wróćcie przed nocą! Krzysiu...

– Oczywiście – Krzysztof zaczął uruchamiać silnik – kolacja może być na ósmą, ale na pewno wrócimy wcześniej.

– Baśka, nie zagadaj sternika! Wiesz, że rozmowa z kierowcą w czasie jazdy jest zabroniona – zawołał Witek, przekrzykując hałas motoru.

– Nie przesadzaj. – Barbara uniosła dłoń w pożegnalnym geście i ruszyli. Stojący na brzegu patrzyli jeszcze przez chwilę. Krzysztof pomachał ręką Mariannie. Uśmiechnęła się.

– A gdzie Kazio? – zapytał Jasiek.

Marianna rozejrzała się po jeziorze.

– Zaraz powinien tu być, niech tylko nas zobaczy. To nasz łabędź samotnik. Karmimy go, więc jest bardzo na nas czujny... – Patrzyła za oddalającą się łodzią.

Zza drzew zasłaniających cypel majestatycznie wypłynął łabędź.

– O, jest nasz Kazio.

– Żeby tylko Berta go nie goniła. – Mały złapał sukę za obroź.

– A dlaczego Kazio? – zapytał Witek.

– A dlaczego nie? – Marianna powoli ruszyła w stronę domu. – W jadalni ma pan wygodny stół, żeby się rozłożyć z robotą. Nikt panu nie będzie przeszkadzał.

– Dziękuję.

– A my idziemy z Jasiem na mały spacer.

– Czy mogę pani towarzyszyć? – zapytał Witek i w jego głosie pojawiło się coś prawie nieuchwytnego, co kazało jej, owszem, uśmiechnąć się miło, ale powiedzieć:

– O, nie. Proszę wybaczyć, ale to są nasze spacerunki samotnicze. Zaraz wrócimy. Proszę przekazać pani Helenie, żeby dała panu kawy czy herbaty.

– Poczekam do pani powrotu...

– Dobrze – bardzo naturalnie odpowiedziała Marianna i odeszła z Jasiem ku drodze. Nie odwróciła się i nie widziała, że Witek przez chwilę patrzył na nią, nim z samochodu wyjął teczkę z laptopem. Suczka Lolka idąca za Marianną kucnęła, siusiając.

Marianna szła drogą między łąkami, zrywała przydrożne kwiaty i trawy, robiła piękny bukiet. Jasiek hasał obok.

– A na ten łepiek popatrz... A tu... – Nachylali się oboje, gdy ona delikatnie odgarniała płatki czy liście, pokazując misterne rysunki roślin.

– Ten śpi utulony... A ten jak łapka kocia, kiedy chce coś złapać, a wszystko takie delikatne i mądrze pomyślane. Tu jest śródeczek, tu płatki równiutkie, jak mały kołnierzyk, a ten na długiej nóżce, bo wychylał się bardzo do słońca. Tak?

– Tak – mówił cicho malec.

– A słońce jesienią świeci coraz krócej, robi się chłodno i kwiaty zmieniają kolor

i umierają. Ale nowe wyrosną na wiosnę.

– Tamte pójdą do nieba?

– Hm... Myślę, że jakieś niebo rośliny mogą mieć...

Porozumieni milczeniem i spokojem otaczającego krajobrazu, doszli do starej wierzby. Połowa wielkiego pnia była wypalona, zionęła czarną, osmoloną dziuplą, drugą obrastały zielone liście.

– To właśnie o tej wierzbie ci mówiłam. Pamiętasz, była taka głośna burza w nocy? Troszkę się bałeś, robiłam ci kogel-mogel. Trafił ją piorun, o tu, i dlatego ta połowa jest taka czarna.

– Nie będzie tu zielonych liści?

– Już nie.

– To pół drzewa poszło do nieba?

– Może... – uśmiechnęła się Marianna.

– To dlatego wujek Robert często mówi: A niech to jasny piorun spali...

Marianna z Jaśkiem weszli w obejście. Na podwórku stali Witek i pani Helena, a na pieńku, tyłem do wchodzących, siedział obcy mężczyzna. W koszu u jego stóp połyskiwały złowione ryby.

– O, jest pani Marianna – powiedziała Helena.

Mężczyzna powoli wstał i odwrócił się w kierunku Marianny. Kiedy się zbliżyła, powiedział z namaszczeniem:

– Pochwalony...

Marianna przyjrzała się mu uważnie. Miała wrażenie, że kiedyś go już widziała.

– Dzień dobry.

– Ryby Wilk przyniósł – poinformowała rzeczowo pani Helena.

– Ryby... – Jasiek dotknął ich palcem bardzo ostrożnie.

– Do widzenia – powiedział stary człowiek i podpierając się pięknie rzeźbionym kijem, ruszył wolno w stronę furtki.

– Zaraz, zapłaciła pani, pani Heleno?

– Nie chciał. – Helena wzruszyła ramionami.

– Proszę pana, proszę zaczekać! – Marianna dogoniła starca – Dziękuję, ale chcę zapłacić!

Zatrzymał się, uważnie popatrzył na nią i coś na kształt delikatnego uśmiechu pojawiło się na jego ustach.

– One są dla pani – powiedział cicho. – To ja chcę pani zapłacić.

Marianna stała oszołomiona.

– Mnie? Za co? No, co pan, panie... – zawiesiła głowę i wyciągnęła do niego rękę –
Marianna Kalinowska.

Mężczyzna jakby niechętnie podał jej zniszczoną, twardą dłoń, ale delikatnie ujął jej rękę.

– Wiem, siostrzenica pani Róży, niech jej ziemia... Tak i one są te ryby dla pani. Za to staranie, za to wszystko tu... – pokazał kijem, ale nie odwrócił od niej oczu.

– Kim pan jest?

Mężczyzna dotknął ręką kapelusza:

– Gustaw – powiedział cicho – Gustaw Wolf.

W mózgu Marianny otworzyła się mała klapka i wyświetlił się zapomniany obrazek: ten sam starzec na skraju lasu pokazujący im drogę do Panistrugi i jego dziwne spojrzenie.

W kuchni Helena zabierała się już do rozłożonych na stole ryb.

– Kim jest ten człowiek, pani Heleno?

– Co?

– Kto to jest ten... Gustaw?

– A, to Wilk. On zawsze tu przynosił pani Róży a to ryby, a to jagody, zioła czy grzyby. Tak się stary przyzwyczaił, że teraz widać i pani będzie nosił.

– Dziwak, co? – zapytała Marianna bardziej siebie niż Helenę.

– Może stuknięty – odezwał się Witek w drzwiach.

Marianna odwróciła się gwałtownie.

– Boże! Przestraszył mnie pan. Zawsze pan tak cicho chodzi?

Mężczyzna zaśmiał się pyszałkowato.

– Dostał pan kawę?

– Czekałem na panią.

– Zaraz się napijemy. – Zabrała się do przyrządzania kawy, kroїła ciasto, przygotowywała talerzyki. Czuliła na sobie jego wzrok, lepki i natrętny, ale kiedy zdecydowała się spojrzeć na niego, w drzwiach już go nie było. Odetchnęła z ulgą.

– Opowie mi pani później o tym Wilku, pani Heleno? Mam takie wrażenie, jakbym go już kiedyś widziała. On tu mieszka gdzieś w pobliżu?

Helena patroszyła i skrobała rybę.

– Nie. Będzie kawał drogi stąd. Raz już się mu chałupa zawaliła. Mieszka teraz w

takiej skleconej na aby aby, ale on dużo od życia nie chce. Swoje przeszedł. Od szkopa dostał, od niby swego też, jak go bezpieka dopadła, no i nie zmieścił się w życiu. I sam jest.

Pojawił się znowu Witek, specjalnie głośno stuknąwszy drzwiami do jadalni.

– Skończyłem swoją robotę, przyszedłem pomóc.

– Nie trzeba... albo dobrze. Proszę wziąć ciasto. Pani Heleno, proszę już zawołać Jaśka na kolację. Gdzie on lata?

Wyszli z Witkiem z kuchni. W jadalni z boku, na stole leżały jego rozłożone papiery i laptop.

– O, zaraz przyniosę cukier, zagapiłam się.

Witek postawił ciasto, wziął filiżankę z rąk Marianny, a drugą ujął jej dłoń, pocałował i potrzymał chwilę dłużej.

– Słodycz pani oczu wystarczy mi zupełnie.

Popatrzyła na niego zaskoczona, nie spuszczał z niej niby nieśmiałego, a w gruncie rzeczy bezczelnego spojrzenia.

– No wie pan – pokryła śmiechem jego banalne, niezbyt grzeczne zachowanie i siadła z drugiej strony stołu.

– Mówiła mi Basia, że pani jest malarką. Czy mógłbym obejrzeć pani prace? I pracownię?

– Czy ja wiem... – niechętnie powiedziała Marianna.

– Bardzo proszę. – Witek sięgnął przez stół po jej rękę, ale Marianna w bardzo naturalny sposób zdążyła ją cofnąć. – Jest to podwójnie interesowne z mojej strony. Piękna kobieta musi pięknie malować, to raz, a dwa...

– Będzie się pan posługiwał kalkulatorem czy podsumuje pan we własnej pamięci?

– Ja sobie zawsze daję radę sam... A dwa, robimy teraz zakupy do filii naszego banku, a tu, jak widać, przydałby się na pewno zastrzyk finansowy.

– Jakoś sobie dajemy radę, ale szczerze mówiąc, jest tu jeszcze masę roboty do zrobienia.

Witek uśmiechnął się zwycięsko.

– A więc? Idziemy?

– Chodźmy. – Marianna podniosła się od stołu i ruszyła ku schodom wiodącym na poddasze, gdzie urządziła sobie pracownię. Zapaliła światło i zaprosiła go do środka. Witek zauważył wiszące oszklone gabloty z motylami.

– To zbiory mojego syna, ale nie lubię tych jego polowań.
– Pierwszy raz jestem w pracowni artysty i zawdzięczam to pani.
– Ten może być jeszcze mokry – wskazała na sztalugę – ciągle go trochę poprawiam i nie wiem, czy wychodzi mu to na zdrowie.
– Bardzo piękny – powiedział Witek, zabrzmiało to szczerze. – A mogę zobaczyć tamte?

Marianna odwróciła ustawione pod ścianą.

– Robiłam je z myślą o mojej galernicy.
– Galernicy? – nie zrozumiał.
– Właścicielce galerii w Warszawie, tam gdzie wystawiam swoje obrazy. U pięknej pani Zuzy. Ostrożnie, może być trochę kurzu.

Witek odwracał następne płótna.

– O! Takie do gabinetów na piętrze...
– To nie mój... To znaczy... to moja kopia z Willema Hedy, zawsze lubiłam kopiować Holendrów.

Witek skupił się i podjął decyzję.

– Kupimy takich...
– Zaraz – przerwała mu – mam takie dwa czy trzy sprzed lat. Muzeum Narodowe ma niewiele martwych natur. Ale ma co prawda i Poznań...

Witek popatrzył na Mariannę, wydała mu się teraz jeszcze inna, jakby nieco oddalona, mówiła raczej do siebie niż do niego:

– Mam teraz za mało czasu... lubię to światło – dotknęła palcem wielkiego kielicha – ...zanurzone w kielichu białego wina, a odbłask okna jakby ślizgał się po szkle tego pucharu... – Podniosła oczy na wpatzonego w nią mężczyznę, odstawiła obraz i znów stała się rzeczowa i zwyczajna.

– Miałam się zabrać do włoskiej szkoły, ale odłożyłam to na później.
– Proszę więc nie odkładać więcej... Zrobimy tak: zamawiam u pani takich dziesięć i tych... Te pójdą na piętra, te żywe jasne ozdobią nam parter.

Marianna popatrzyła na niego zaskoczona, Witek zadowolony z efektu sięgnął po portfel.

– Zostawię zaliczkę i spiszemy na dole taką małą umowę dla mojego szefa. Och, jak pani ślicznie z tym wyrazem zdziwienia. – Wyciągnął rękę, żeby dotknąć jej twarzy, ale ona cofnęła się i odzyskała refleks.

– Ładniej mi w starym kapeluszu męża – zaśmiała się i poważnie dodała: – Nie.

Proszę nie zostawiać żadnych pieniędzy. Nie wiem, czy zdążę, pana na pewno goni jakiś termin, a to nie jest produkcja taśmowa. Zwłaszcza kopie ze starego malarstwa są potwornie pracochłonne. Nie. Lepiej nie.

– Pani Marianno, żyję już dobrych parę lat i nie uznaję słowa „nie” w ustach kobiet, które mnie fascynują. To słowo wypada ze słownika. Jasne? Ale serio mówiąc, pieniądze są pani bardziej potrzebne, niż chce pani przyznać. A większa ich ilość zamieniona w dobry interes urealni powiedzenie „pieniądz robi pieniądz”. Proszę popatrzeć – wziął ją za rękę i przyciągnął do okna – to miejsce jest świetne. Z tej murowanej stodoły, może w połączeniu z tamtym o...

– To obórka.

– No właśnie... Powinna pani zbudować wspaniały pensjonat. A ten pensjonat da utrzymanie całej rodzinie. Z rodzinnymi przyległościami. Co pani na to, maleńka... – Ujął ją za ramiona i odwrócił ku sobie.

– Może to dobry pomysł – wolno odpowiedziała Marianna.

– Ja mam same dobre pomysły – dodał cicho.

– Jak to biznesmen! – Marianna zerwała nastrój, strącając jego ręce z ramion. – Ale na razie chodźmy na dół. Zabiorę się za kolację.

Ruszyła energicznie ku schodom, udając, że nie słyszy jego cichego wołania:

– Marianno...

Na przystani Ośrodka Doświadczalnego profesor Wanat żegnał się z Krzysztofem i Barbarą.

– A tak chciałem oprowadzić was po naszej wyspie... – mówił zawiedziony – zasiedzieliśmy się zbytnio, co, Krzysiu?

– Musimy już wracać... Obiecałem żonie powrót na ósmą i chyba zanosi się na burzę. Trzeba płynąć!

– Jestem panu bardzo wdzięczna za pomoc i wskazówki, panie profesorze. Jeszcze raz wielkie dzięki – uśmiechała się dziewczyna.

– Wszystko w porządku, Basiu, dziecinko... po to tu jesteśmy między innymi. No to ahój! Żeglujcie! – Wanat uniósł ręce.

– Wiesiu, przyjadę tu po ciebie któregoś dnia – mówił Krzysztof, pomagając wsiadającej Basi.

– Lubię dobre pomysły w każdej dziedzinie – zgodził się Wanat – a twoja Marianna tak pysznie pichci... – rozmarzył się.

– Do widzenia – zawołała Barbara, Krzysztof uniósł dłoń w pożegnalnym geście.

Nie od razu udało mu się uruchomić motor, ale w końcu ruszyli.

Patrzyli, jak na brzegu profesor Wanat wykonuje różne rodzaje pożegnań, i zaśmiewali się zachwyceni tą pantomimą.

– Wiedza i niepowtarzalny wdzięk – powiedziała dziewczyna.

– Tak. Polubiliśmy się od razu. To rzadkie w moim wieku.

– Dlaczego tak podkreśla pan „w moim wieku”? Profesorze, nie wiem i nie chcę wiedzieć, ile pan ma lat, proszę mi wybaczyć niezamierzoną poufałość, ale jest pan wyjątkowy... pojedynczy... niepowtarzalny. I niech schowają się wszyscy młodszy od pana, ci niby prawdziwi mężczyźni!

– Stop, stop, stop. Barbara... – śmiał się Krzysztof, ale jej słowa sprawiały mu dziwną przyjemność, od dawna nic go tak nie poruszyło. – Proszę przestać. To miłe, co pani mówi... ale moje dziecko – popatrzył na nią bardzo ciepło – pani mogłaby być moją córką...

– Nie chcę, żeby pan tak do mnie mówił. Profesorze, ja... – zaczęła z wyraźną determinacją.

– Ciii... Nie jest pani zimno?

– Trochę – powiedziała bezradnie. – Już nie mówi mi pan po imieniu...

– Barbaro, tam koło pani... koło ciebie jest schowek. Zajrzyj, czy nie ma przypadkiem jakiegoś swetra czy chusty. Moja żona lubi coś takiego chować na wszelki wypadek.

– Nie. Dziękuję, nie jest tak źle.

– Nie jest tak źle... – Krzysztof popatrzył w niebo, zaciągnięte coraz ciemniejszymi chmurami.

– Będzie burza?

– Chyba tak, fale coraz większe, ale dopłyniemy. A w domu...

W tym momencie motor zakrzusił się i zgasł.

– Co, do diabła! – zaklął Krzysztof i zaczął dość nieumiejętnie szarpać linką rozrusznika.

Barbara rozejrzała się bezradnie dookoła, ale na wzburzonym jeziorze w ciemniejszym świetle nie było widać nikogo.

– O Boże...

– Spokojnie, Basiu. – Krzysztof zaciekle walczył z motorem, ale nagle poczuł ciężki ból w sercu. Złapał głęboki oddech, aby nie dać niczego po sobie poznać.

– I co teraz będzie? Dookoła nikogo.

– Bierzemy się za wiosła. Nie mamy innego wyjścia – zarządził, chcąc jeszcze chwilę zyskać, zauważył, że wstyd przed kompromitacją wygrał ze strachem, i cieszył się, że Barbara niczego nie zauważa. Fale miały łądzią coraz bardziej, oboje sięgnęli po wiosła. Ona zrobiła to nieporadnie, on więc wziął na siebie cały wysiłek, co pewien czas instruując ją krótko. Prąd jednak znosił ich na środek jeziora. Krzysztof, widząc wyraz paniki na twarzy dziewczyny, próbował zażartować:

– Basiu, nigdy nie wolno się poddawać, mówi ci to doświadczony żeglarz...

Ponowny ból uderzył go z niespodziewaną siłą, tak że Krzysztof zgął się wpół, wstrzymując oddech. Odruchowo złapał się za serce.

– Profesorze?! – zawołała zrozpaczona.

– To nic, nic... – Osunął się, omdlewając.

Wypuściła wiosła z rąk i rzuciła się ku niemu, z trudem utrzymując równowagę na rozkołysanej łodzi.

– Profesorze! Profesorze, co się stało?! – Klepała go po twarzy, trzęsącymi rękami rozpinając kołnierz bluzy. Zaczerpnęła dłonią wody i zmoczyła mu twarz, płacząc:

– Boże, ratuj! Profesorze!!! Niech się pan odezwie! Niech pan otworzy oczy, błagam pana!!! – Odwróciła się i zawołała w ciemność: – Na pomoc! Na pomoc! – ale słychać było tylko wiatr i uderzenia fali.

– Niech pan nie umiera! Profesorze... Boże, pomóż mi! Pomocy! Pomocy!

Łódź oddalała się bez kontroli.

Marianna ucałowała Jasia, którego w piżamce trzymała na rękach pani Helena.

– Dobranoc, ptaszku leśny...

Mały ziewnął i kiwnął niedbale głową.

– Cześć.

– Dobranoc, panie Janie – powiedział przypochlebnie Witek.

– Ja nie jestem panem i ty też nie jesteś panem. Panowie są dorośli – odpowiedział stanowczo Jasio.

Witek roześmiał się nieszczercze.

– Więc uważasz, że jestem jeszcze niedorosły?

– Jasiu! Nie pozwalaj sobie! – skarciła go Marianna i odwróciła się, żeby ukryć uśmiech.

– Zmówimy pacierz i przyśnię się nam same piękne... – mówiła Helena, wychodząc z Jasiem.

Marianna wróciła do nakrytego, przygotowanego do kolacji stołu.

– Nie rozumiem – powiedziała – zaczynam się denerwować.

– No pewnie, może Baśka i profesor odpłynęli już w siną dal.

– Jak nic, będzie burza, lada chwila lunie. – Marianna stanęła przy oknie, potem podeszła do telefonu i wykręciła numer, czekała chwilę.

– Czy jest pani zazdrosna o męża?

– Niech się pan nie wygłusze... halo? Z profesorem Wanatem, jeśli można... o, Wiesiu, nie poznałam cię przez te trzaski... Tak, wyładowania elektryczne, idzie piekielna burza... Co? Tak, czarne chmury... czy Krzys... ach, tak. Godzinę temu? Powinni już być. Wiem, ale denerwuję się. Dobrze. Raki. Oczywiście. Dzięki. Dobranoc.

Milczeli oboje. Marianna pomyślała, że najlepiej będzie, jak przypomni sobie o obowiązkach gospodyni.

– A może zje pan kolację? Ja będę na nich czekać.

– Poczekamy razem. Niech pani się tak nie denerwuje, żartowałem. Przegrywam w pani oczach – westchnął przesadnie – bo nie dobrałem odpowiedniego klucza...

Mariannę opanowała złość.

– Jest pan zarozumiałym, niemądrym chłopcem, panie Witoldzie. Tacy jak pan młodzi ludzie myślą, że wszystko jest dla nich dostępne, że nic i nikt im się nie oprze. Pomijam fakt, że ja mam dorosłe dzieci i wnuki. Najważniejsze jest coś innego, co przerasta pana wyobraźnię... Kocham mojego męża. I takie pańskie kogucie podskoki i stroszenie piór zupełnie mnie nie bawią. Wręcz drażnią i nudzą – nagle zaczęła krzyżeć jak na dziecko – jest pan naszym gościem i proszę się zachowywać przyzwoicie!

Odwróciła się do okna i już poczuła do siebie pretensje o ten wybuch, który był sumą wszystkiego.

– Przepraszam – rzuciła niechętnie, ale nie odwróciła się do niego.

– To ja przepraszam – powiedział cicho Witek – jestem osłem. Proszę mi wybaczyć.

– Nie mówmy już o tym – poprosiła Marianna.

Chwilę milczeli. Wiatr uderzał w okiennice.

– Dobry Boże... – szepnęła Marianna.

– Mam w samochodzie silną latarkę. Chodźmy na brzeg, będzie im łatwiej dopłynąć – zaproponował Witek.

Marianna odwróciła się do niego, ale w tej chwili zadzwonił telefon.

– Halo? Tak, jestem przy telefonie. Dobry wieczór, pani Alicjo. Tak? Jak to, u was? – W jej głosie pojawiło się napięcie. – Wezwała pani pogoto... Tak! Już lecę! Dzięki!

Rzuciła słuchawkę i pobiegła do sypialni. Witold za nią.

– Co się stało?

– Zasłabł. Jest u sąsiadów. – Otworzyła szafę i wyciągnęła staroświecką lekarską torbę. – Boże, niech to nie będzie zawał... – Choć przerażona, powiedziała to twardo.

– Podwożę panią. – Witek wybiegł z domu po samochód.

Podjechali pod dom Gajewskich. Lał deszcz, błyskawice przecinały upiorne niebo. Dom był oświetlony, jakby w środku trwał bal, stała przed nim karetka pogotowia. Marianna wypadła z samochodu i pobiegła do drzwi. Zadzwoiła, ale natychmiast otworzyła jej przestraszona pokojówka, za nią zobaczyła Alicję. W dżinsach i trykotowej koszulce, bez makijażu, wyglądała jeszcze młodziej. Wyciągnęła do Marianny rękę.

– Spokojnie, już jest lepiej, jest tam lekarz.

– Chcę go zobaczyć.

Przeszły szybko przez hol. Marianna minęła, nie zauważając, siedzącą w kocu, zapłakaną Barbarę. Alicja lekko zapukała do drzwi i wpuściła Mariannę do środka.

Witek podszedł do Barbary, ona zerwała się i przypadła do niego. Stał sztywno i zapytał zduszonym głosem:

– Co się stało? Co ty zrobiłaś?!

– Jezus Maria. Nic! Nic, Witusiu! – Zaczęła szlochać. – To chyba zawał. Zepsuł nam się silnik i tak strasznie ciężko było wiosłować.

Dopiero teraz objął ją i poklepując po plecach, mówił cicho:

– Na drugi raz wybieraj się na przejażdżkę z młodym facetem, a jeśli jest starszy, to musi mieć zapasowy silnik.

– Przestań... nie bądź cyniczny... – Barbara płakała coraz bardziej, ale odwróciła się gwałtownie, gdy pojawił się lekarz z Alicją, odprowadzającą go do drzwi.

– Proszę pozdrowić męża, pani Alu...

– Dziękuję, zawiadomiłam go i już jest w drodze.

– I co, panie doktorze? – Barbara podbiegła do nich.

– Nie jest najlepiej, ale i nie tragicznie. Teraz musi poleżeć, a potem weźmiemy się za niego. To pani wezwała rybaków?

– To cud, że mnie ktoś usłyszał. To cud... – Barbara wycierała łzy piąstkami, jak

małe dziecko.

– Dobrze, że cuda się zdarzają. – Lekarz ucałował dłoń Alicji i sięgnął po płaszcz.

Z pokoju chorego wyszła Marianna.

– Doktorze, nie podziękowałam panu...

– Wszystko w porządku – lekarz się uśmiechnął – zasnął? Jutro zadzwonię. Ale teraz musi leżeć. Dobranoc państwu.

Wyszedł. Alicja zamknęła za nim drzwi i podeszła do Marianny.

– Napijemy się koniaczku. Wszystkim to dobrze robi.

– Alicjo...

– Wszystko będzie dobrze, kochanie – szeptała Alicja – Karol uruchomi wszystkie możliwe i niemożliwe środki. On jest niezawodny pod tym względem.

– Basiu – odwróciła się Marianna – dziękuję pani...

– Proszę nic nie mówić... – Basia wciąż cicho płakała.

Marianna popatrzyła na nią i nagle zrozumiała, że dziewczyna to przeżycie zachowa na zawsze, i to jest o wiele poważniejszy powód do zazdrości niż jej młoda uroda i zgrabna figura, bo i Krzysztof tak to zapamięta. Teraz będą mieli coś, co pozostanie ich wspólne. Odczuła wielki ból w sercu i obezwładniającą bezsilność. Odwróciła się od Basi i zobaczyła, że Alicja uśmiechnęła się do Witka z bardzo dokładnie odmierzoną zalotnością, którą on podobnie docenił. Marianna, mimo swojego zdenerwowania, dostrzegła, że tych dwoje też coś łączy, jakby należeli do tej samej rasy czy tej samej sekty, chociaż chyba widzieli się pierwszy raz w życiu. Wobec tej młodej trójki poczuła się stara i samotna, a nie miała pod ręką nikogo, kto mógłby udzielić jej wsparcia.

– Chodźmy do kuchni. Wypijemy po kropelce i coś zjemy. Marianno, zaraz dam pani ręcznik... – Alicja objęła ją i poprowadziła w stronę kuchni.

Marianna teraz dopiero zauważyła, że jest cała mokra.

– To nic... Najważniejsze, że to nie zawał. Dzięki ci, Boże... ale jednak ostrzeżenie... – mówiła coś, żeby mówić.

Godzinę później Witek i Basia odjechali do Warszawy. Deszcz zaczął uporczywie, drzewa poruszane wiatrem wyglądały jak straszdyła z niemieckiej poezji romantycznej. Czerwone światła pozycyjne oddalające się i znikające w mroku także pasowały do tego obrazu, w końcu to była też niemiecka marka, BMW.





6.

Lotniarz powrócił. Ten czas, kiedy go tu nie było, spędził gdzieś na Śląsku. Z przyjacielem, podobnym maniakiem latania, uparli się zmodernizować silniki swoich lotni. Parę tygodni pracy wieczorami, w zimnym garażu, dały efekt niezbyt oszałamiający, ale wystarczający, aby wbić ich w dumę: podnieśli moc swoich sześćdziesięcioczerokonnnych silników o dziesięć koni. Spodziewali się, że to zwiększy szybkość i żwawość wznoszenia. Toteż nawet brzydka pogoda późnej jesieni nie zdołała ich zniechęcić i postanowili wzlecieć. Dodatkowym motywem było to, że Ślązak przyjechał tylko na weekend. Start ich ucieszył, nigdy dotąd lotnie nie uniosły się z taką energią. Pokazali sobie podniesione kciuki i zatoczyli pierwsze koło: nagie drzewa, puste pola, wyschnięte bezbarwne trawy pod niebem zasnutym szarymi chmurami nie stanowiły pięknego widoku, więc chcieli jak najprędzej osiągnąć wysokość, z której świat zatracca szczegóły i wydaje się dużo znośniejszy.

Pomysł rzucony mimochodem przez rozochoconego bawidamka Witolda Jaszczuka nieoczekiwanie oblekł się w konkrety. Robert zapalił się do niego i wyłożył sporą sumę na początek, dziewczyny też go poparły, chociaż Jacek dowiedział się przypadkowo, że pomysłodawca i mecenas Marianny nie cieszy się najlepszą opinią i chronicznie zalega z płatnościami, ale przyparty do muru w końcu płaci.

– W razie czego wyślemy do niego Bubę, to go już przyprze do muru.

– Kto to jest Buba? Jakaś laska? – zapytał Robert, kiedy spotkali się na kawie w zielonym barku w Victorii, żeby przedyskutować projekt.

– Kaskader. Dwa metry pięć wzrostu, sto dwadzieścia kilo wagi. Mojemu koledze reżyserowi jakiś frajer zalegał z forszą, to nasłał na niego Bubę. Ten siadł naprzeciw frajera przy stoliku, grzecznie zamówił dwie kawy i kiedy facet mieszał cukier w filiżance, jednym ruchem chwycił go pod stołem za jaja i lekko ścisnął. Facet zawył, Buba uklonił się uprzejmie gościom w kawiarni i powiedział z miłym uśmiechem: „Przepraszamy, kolegę zęb boli od gorącego...”. A do gościa cicho dodał: „Za chwilę zawyjesz tak, że wszyscy rzucą się do ucieczki, chyba że...”, popatrzył mu znacząco w oczy. Gość błyskawicznie wyjął z kieszeni portfel i rzucił na stół. Buba, nie

zwalniając umiarkowanego uścisku, leniwie przejrzał drugą ręką portfel gościa, a ponieważ nie znalazł wystarczającej sumy, zabrał mu prawo jazdy. Na drugi dzień gość przyniósł resztę forsy, Buba oddał mu prawko w eleganckiej, białej kopercie i kazał podpisać przygotowany dokument: „Niniejszym potwierdzam podpisem, że pan mecenas Buba oddał mi przechowywane w depozycie moje dokumenty...”.

– Supergość! – zachwycił się Robert i bez wahania wszedł w interes.

Zrobili rodzinną naradę i postanowili rozpocząć adaptację budynków na pensjonat od razu, nie czekając do wiosny, jak początkowo sugerował Krzysztof. Znany architekt zrobił projekt, który został zatwierdzony w gminie pod nazwą: „Remont i adaptacja budynków gospodarczych”, i już pod koniec października budowa ruszyła. Miejscowi majsterkowie, wypróbowani przy remoncie domu, ochoczo zgłosili się do roboty – o tej porze roku oferty pracy w tym rejonie były znikome.

Zadbane obejście Marianny w jednej chwili zamieniło się w ruinę: wykopy, błoto, rozjechane podwórze, betoniarka, jakaś wiata – tym razem wykonywano roboty budowlane już na większą skalę. Wszędzie widać było kręcących się robotników w zabłoconych gumiakach. Część z nich jak zwykle lekko się objęła, część pracowała.

W jadalni przy dużym stole siedział Krzysztof i coś pisał, miał włączony komputer, sięgał co pewien czas po wielki kubek herbaty.

Marianna stuknęła w widełki aparatu telefonicznego.

– Głucha cisza.

– Obawiam się, że może linia... – zaczął Krzysztof, nie odwracając się od pracy.

– Nie może, a na pewno! Ile to razy już naprawiali! Oczywiście byle jak. Żeby ich... Jadę do Ełku!

Krzysztof popatrzył na nią bez słowa. Marianna wyszła, a on pochylił się nad stołem. Ale nie mógł się skupić, siedział z podpartą na dłoni głową i patrzył w okno. Weszła ubrana już w kurtkę Marianna.

– To ja powinienem pojechać... – powiedział Krzysztof z niechęcią do samego siebie.

– Ty? – parsknęła śmiechem – przecież trzeba będzie zrobić awanturę temu Witkowi, bankierowi, a od awantur jestem ja! Tobie nie wolno się denerwować, mój dobry człowieku.

– Nachyliła się, objęła go za szyję i pocałowała w głowę. – Cześć, jadę.

– Wróć zaraz.

Marianna odwróciła się w drzwiach.

– „Kiedy wrócisz? Nie wiem. No, byle nie później”.

Krzysztof uśmiechnął się, chciał coś odpowiedzieć, ale ona zamknęła już drzwi. Wstał i podszedł do okna: Marianna wsiadała do samochodu. Wyczuła jego wzrok, spojrzała w okno, uniósł kciuk do góry, odpowiedziała tym samym gestem.

Na poczcie w Ełku było dość sennie. Na ławce siedziało dwóch facetów, jeden starannie żuł kanapkę, drugi, krępy, o tępej twarzy z wąsami, mówił mu coś do ucha. Jedzący, z obliczem bez wyrazu, rzucał od czasu do czasu niedowierzające: „Nie... coś ty..?” albo wieloznaczne „no”.

Tleniona panna z okienka z napisem „Telefon” zawołała bardzo głośno, jakby ta mała poczta była wielką halą pełną zgiełkliwego tłumu:

– Ameryka! Pierwsza kabina!

Gadający umilkł, popatrzył dzikim wzrokiem na wołającą i pobiegł do kabiny, której drzwi się nie domykały.

– Halo! Józek? Halo! Matko Święta! Słyszysz mnie? To ja! No jak to kto? To ja: Zenek! Zenek... Co? Jaka noc, jaka noc, ty co, chory jesteś? Człowieku, jest dziesiąta rano!

Marianna nawet nie starała się ukryć uśmiechu. Tleniona blondyna zawołała ciszej:

– Warszawa. Druga kabina!

Marianna podniosła słuchawkę w kabinie.

– Halo? Dzień dobry, moje nazwisko Kalinowska, dzwonię spoza Warszawy, czy mogę mówić z panem Witoldem Jaszczukiem? Dobrze, czekam.

Chwilę czekała i odpowiadała niecierpliwie telefonistce:

– Tak, mówi się, mówi się... Dzień dobry, panie Witku, Marianna Kalinowska, przykro mi, że niepokoje pana, ale nie otrzymałam tej zaliczki. Byłabym bardzo wdzięczna... tak, po prostu czy poszły na przelew... co? Jaka księgowo? Śpiąca królewna – zaśmiała się dość wymuszenie – wie pan, monituję, bo muszę zrobić wypłatę ekipie budowlanej... Tak, idzie, ale, rozumie pan, mam nóż na gardle. Serio. No... cieszę się. Tak. Dziękuję panu. Do widzenia.

Odłożyła słuchawkę i chwilę stała nieruchomo, zastanawiając się, po czym energicznie pchnęła drzwi do kabiny i otwierając torebkę, skierowała się ku okienku. Potem szybko zrobiła jakieś zakupy i nawet nie wiedziała kiedy i jak znalazła się na

środku swego zabłoconego podwórka. Nie powinnam się tak zamyślać, jeszcze wyląduję kiedyś na cudzym podwórku... – pomyślała i wtedy właśnie koła zaczęły buksować w błotnej brei. Zwolniła obroty i próbowała wyjechać, nic z tego nie wychodziło, otworzyła drzwiczki i sama zanurzyła się w błocie. Starła się wyciągnąć zassane stopy, trzymała się samochodu, szarpała, ogarniała ją bezsilna złość. Wreszcie udało się jej zrobić krok, ale przy wyciągnięciu stopy uwięziony but został w błocie.

– Niech to diabli...

Stojąc z uniesioną nogą w skarpetce, zaczęła wołać:

– Józek! Józek! Panie majster! Halo, ludzie! Józiiuuu!!!

Józek podszedł niepewnie do samochodu, patrząc z obawą na Mariannę stojącą w dziwnej, bocianiej pozie, po czym przyspieszył kroku, wołając w kierunku budowy:

– Gospodyni się zakopała! Chodźcie, pomogem!

Przybiegli zadowoleni, że mogą oderwać się na chwilę od pracy.

– O! Bucik przytopiła – radośnie zawołał Kotuła i łopata wykopał go z błota – trza gumowce, a nie takie...

Marianna ze wstrętem wsunęła stopę w but i z pomocą chłopów wylazła z błota.

– Bierzem się za malucha – zarządził majster. Dyrygował bardziej, niż pomagał.

– Takiego to można nawet przenieść – sapął Józek.

– Na szczęście będzie wypłata pod koniec tygodnia. – Marianna odwróciła się do zasapanych, już bliskich wyciągnięcia samochodu chłopów. – Dziękuję, panowie, i podholujcie go w jakieś twarde miejsce pod domem.

Ruszyła do domu. Naprzeciwko jej wyszedł Krzysztof w narzuconej na ramiona kurtce.

– No, jesteś... Mam dla ciebie dwie dobre wiadomości, a właściwie trzy.

– A ja jedną, że samochód nie zatonął w tym bloku – pokazała za siebie. – No, mów, Krzysiu.

– O, biednaś ty... Więc tak: telefon działa, masz nowe zamówienia, nawet mi podali rozmiary, bo zamawiają ramy.

– Kto, Krzysiu?

– Dzwonił... mam zapisane nazwisko, z polecenia tego Jaszczuka. I trzecia wieść. Dzwonił stolarz z Ełku. Zrobił ci te wszystkie blejtramy.

– No, patrz, mogłam do niego wpaść! Wiedziałam, że coś jeszcze... Trudno. Dla ciebie mam te wszystkie zapisane leki i kupiłam nam nowe szczoteczki do zębów.

– Stajesz się rozrzutna – zakpił Krzysztof.

Weszli do domu, Marianna z ulgą ściągnęła buty, potwornie oblepione błotem.

– Najchętniej bym je od razu wyrzuciła. Och, jak dobrze wrócić do domu...

– Najlepiej już nie wychodź.

Marianna weszła do pokoju, usiadła w fotelu i chwilę milczała. W domu panowała cisza, lampa z abażurem rzucała przytulne światło. Krzysztof czytał książkę. Przy nim, na stole siedział kot.

– Musimy wziąć panią Helenę na stałe, z pensją i ZUS-em, do prowadzenia gospodarstwa, ty przypilnujesz ekipę budowlaną, a ja zacznę malować. Te pieniądze są nam diabelnie potrzebne.

Krzysztof pogładził kota i powiedział z widoczną przykrością:

– To ja powinienem zarabiać więcej...

– Co ty? – szybko przerwała mu Marianna. – Od kiedy to światło umysły dochodzą do pieniędzy w tym kraju? Będzie dobrze, kochany. Już jest, odpukać, całkiem nieźle. Wiesz, na co mam teraz ochotę? Nie zgadniesz. Na kąpiel i umycie głowy!

– Na to zawsze możesz sobie pozwolić – mruknął nie bardzo pocieszony Krzysztof.

Marianna, wychodząc, pogładziła kota Filozofa, a potem męża.

– Odwrotna kolejność byłaby bardziej ekologiczna... – Krzysztof udął zagniewanie.

Był już wieczór. Marianna w długiej starej domowej sukni kończyła deser, Krzysztof nastawił radio i jeździł pracowicie po skali.

– Za dwa dni chyba naprawią, obiecali.

– Co? – Krzysztof przyciszył radio.

– Nasz telewizor. Ale kiedyś kupimy sobie taki z wielkim ekranem. Kiedy już będziemy szalenie bogaci.

– Aha, i to jest w planach.

– Oczywiście, nasz pensjonat będzie miał wielkie powodzenie. Komfort, pyszna kuchnia, piękna okolica... i pełno bogatych ludzi z całego świata.

– W porządku... – Krzysztof nastawił jakąś stację, która nadawała stare dobre standardy amerykańskie, zaczął kołysać się w bujanym fotelu, słuchając i nucąc.

Marianna wyniosła do kuchni tacę. Wróciła w jego starym kapeluszu i wełnianym

szalu zarzuconym na ramiona, jakby to była etola.

– „Kupisz mi nowy kapelusz...” – zanuciła fragment piosenki Rostworowskiego.

Krzysztof dośpiewał natychmiast:

– „Bo zawsze miałaś zły gust”.

I razem:

– „A wśród drobiazgów niewielu puder i szminkę do ust...”.

Krzysztof patrzył uśmiechnięty, jak Marianna tańczy z miną szalonej uwodzicielki, parodiując tancerki kabaretowe. W gruncie rzeczy nie gustował w takich zachowaniach, trochę go żenowały, jeśli dawał się w coś takiego wciągać, to dla świętego spokoju, który cenił ponad wszystko. Podkręcił troszkę radio, bo usłyszał ulubioną melodię z filmu *Casablanca*. Wstał.

– Ingrid... pani tutaj?

Marianna natychmiast podjęła grę.

– Tak długo na ciebie czekałam, Humphrey...

Przytuliła się do niego i zaczęli tańczyć jak filmowa para amancka. On odchyłał się przesadnie, patrząc jej przeciągle w oczy.

– Czy jest pani bezpieczna tu w Casablance?

– Z panem? Nie obawiam się niczego... nawet grypy...

Przywarli znów do siebie, on nucił zmysłowo. Parodiowaniem stwarzał sobie wewnętrzne alibi, dystans do sentymentalnych nastrojów, które Marianna traktowała serio, szczerze się angażując.

As Time Goes By się skończyło. Marianna zdjęła szal i kapelusz.

– Muszę pana pożegnać, Humphy. Odlatuję... robota.

– Na miotle? – Krzysztof pocałował ją w rękę.

– Nie jest pan dobrze wychowany, Humphy. – Przysunęła sobie teczkę z planami „Adaptacje budynków na cele pensjonatowe”.

Otworzyła rozrysowaną rozkładówkę planów. Popatrzyła na męża i powiedziała z dumą:

– Budynek główny w stylu polskiego dworu. Czy nie brzmi to cudownie? Ganek z kolumnkami...

Krzysztof pochylił się nad rysunkiem.

– Ale z elementami mazurskimi...

– Tu... – stuknęła palcem Marianna – będzie nasza część, a tu Kasi i Roberta. I może jeszcze dla Izy i Jacka coś się wygospodaruje. Ale to w dalszej przyszłości, teraz

nasze dzisiejsze obórki... które przerobimy na pensjonaty. A jak nazwiemy nasz pensjonat? Może ogłosimy konkurs?

Krzysztof zaśmiał się z jej entuzjazmu.

– A nie za wcześnie?

– Lepiej wcześniej niż za późno! Póki trzymamy się jako tako.

Lał deszcz, było ciemno i ponuro. Marianna opatulona, w kurtce z kapturem opuszczonym nisko na czoło, w męskich kałoszach miotła się po podwórzu.

– Panie Kazimierzu – krzyczała – gdzie pan wylądował belki? Zaraz będą walić ścianę stodoły i na pewno je przygniotą. Boże drogi, troszkę wyobraźni, doprawdy!

Majster odkrzyknął wkurzony:

– Czego tu krzyzczeć! Ścianę przechylimy w drugą stronę. Nic im nie będzie! Wiem, co robię!

W drzwiach domu ukazał się Krzysztof.

– Marianno! Dzwoni Zarzycki, leci do Londynu, pyta, co byś chciała?

– Wypić z królową filiżankę dobrej herbaty!

– Wypijesz potem ze mną, ale serio: to co chcesz?

Marianna machnęła ręką.

– Nic. Albo nie. Chciałabym takie porcelanowe gałki do drzwi. Zamiast klamek. Ale to nie teraz. Chowaj się, bo się zaziębisz!

W tej chwili usłyszała huk, odwróciła się i zobaczyła belki zmiażdżone kupą gruzu.– No i co ja mówiłam?! Co ja mówiłam?! – krzyczała, ale nikt nie zwrócił na nią uwagi.

W drugim końcu podwórka ciężarówka zakopała się w błocie. Kierowca zarzynał motor, potem, zmieniając biegi, starał się rozkołysać pojazd. Paru robotników stało obok spokojnie, komentując. Samochód zakopywał się coraz bardziej.

Marianna rzuciła się w ich kierunku jak furia.

– Czemu tak stoicie? Złapcie łopaty, podrzućcie kamieni! Boże drogi, do was to trzeba świętego! Zwariować można. Duże chłopcy, a rozumu jak u dziecka!

Mężczyźni rozpięzchli się jak stado gołębi, łapali łopaty, kamienie, któryś taskał deski.

– Czy to ja mam wpadać na takie pomysły? – Patrzyła chwilę, jak pracują, dorzuciła jakąś uwagę, wreszcie odwróciła się do majstra, który prawie wzbudził jej litość: przemoknięty z wiszącą kapką deszczu u czerwonego nosa, bez sensu strącał

wodę z kapelusza, a w tym czasie mokła mu głowa.

– Panie Józiu – przekrzykiwała ryk motoru ciężarówki – muszę na parę dni wyjechać do Warszawy. Dacie sobie radę? Co? Ale brukowanie podwórza musi być skończone. W radiu zapowiadali poprawę pogody i musicie to wykorzystać, jasne?

– Tak jest. Wróci pani na swoje imieniny?

– Oczywiście, że wrócę. Muszę uciec z Warszawy.

W drzwiach ukazał się Krzysztof.

– Marianno. Dzwoniła pani Zuza, przypomina, żebyśmy zabrali dwa pejzaże.

– Najchętniej oddałabym jej ten... – pokazała pobojuwisko budowlane na ich podwórzu w strugach deszczu.

Deszcz padał przez cały ich pobyt w Warszawie. Zatrzymali się naturalnie u Jacków, w swoim starym mieszkaniu. Młodzi odstąpili im swoją sypialnię, sami spali na rozkładanej sofie w livingu. Jasek też chciał skorzystać na zamieszaniu i wskoczył rodzicom do łóżka, ale to nie spodobało się Izie i szybko go zagoniła do dziecinnego pokoju. Kalinowscy odwiedzili przyjaciół, poszli do teatru i po dwóch dniach postanowili wracać.

W dniu wyjazdu Marianna stała na ulicy, schowana przed deszczem pod zadaszonym wejściem do nowoczesnego, zbudowanego niedawno domu towarowego, obładowana i obstawiona paczkami różnych rozmiarów. Na pewno najmniej poręczny był długi karnisz, który trzymała jak pastorał. Co chwila spoglądała na zegarek i z niepokojem wypatrywała Krzysztofa, z którym się umówiła.

Z takim samym niepokojem patrzył na zegarek Krzysztof. Wychylał głowę przez okno malucha i widział, że korek, w którym utknął, nie posuwa się nawet o metr. Cała szeroka ulica zapchana była samochodami, które stały, trąbiły, próbowały przesunąć się do przodu, zrezygnowane cofały się. Krzysztof zdesperowany walił wściekle pięścią w kierownicę i wykrzykiwał coś, czego na szczęście nie było słychać przez zaparowaną szybę.

Marianna była już bardzo zdenerwowana i zaniepokojona. Rozglądała się na wszystkie strony, bo nie wiedziała, z której ma spodziewać się Krzysztofa. Nagle dobiegło ją trąbienie i słabe wołanie:

– Marianna! Marianna!

Dostrzegła samochód Krzysztofa przy krawężniku i jego samego wychylonego przez okienko, dającego jej znaki. Wyraz zaniepokojenia ustąpił teraz złości.

Marianna objuczona paczkami, wściekła popędziła przez deszcz do samochodu.

– Mógłbyś mi przynajmniej pomóc!

– Tu nie można nawet się zatrzymywać! Widzisz, że tam stoi policjant!

– Niech tylko przyjdzie, spałuję go tym karniszem! – sapała wściekle Marianna, upychając zakupy na tylnym siedzeniu.

– Ciekaw jestem, gdzie go wsadzisz?

– Tobie w dupę, ty draniu! – krzyknęła doprowadzona do ostateczności i zaczęła płakać jak mała dziewczynka.

Krzysztof, z trudem hamując się, żeby nie wybuchnąć śmiechem, zaryzykował wyjście z auta, pomógł żonie wsiąść i włożył przez uchylone okno karnisz. Odjechali jak z drzewcem sztandaru.

W samochodzie Marianna uspokoiła się trochę, otarła łzy. Krzysztof mówił bardzo spokojnie:

– Od uniwersytetu do Poczty Głównej jechałem dwadzieścia dziewięć minut, zamiast trzy, no, góra pięć! Czy ty to rozumiesz? Czy można się z tym pogodzić? Trzeba być chorym człowiekiem, żeby żyć w takich warunkach! I nic nie mogłem zrobić, ani zawrócić, ani zjechać na pobocze...

Marianna uśmiechnęła się mokrymi jeszcze oczyma.

– Tu nie ma poboczy, tu są chodniki, wieśniaku...

– A, prawda – przyznał całkiem serio Krzysztof.

Popatrzyła na niego z ukosa.

– Przepraszam cię za ten wybuch, ale myślałam, że coś ci się stało... – powiedziała cicho.

– Nie ma sprawy. Zawsze reagujesz gniewem, jak myślisz, że umieram. Dzięki temu będę długo żył, bo się będę bał, że mnie opitolisz, gdybym zaczął konać.

Marianna się rozchmurzyła.

– Głupi... – powiedziała cicho i bardzo czule.

– Wstępujemy do domu... to znaczy, do Jacków? – poprawił się Krzysztof.

– Ja nie mam po co. Wszystko zabrałam rano. A ich nie ma o tej porze.

– A Jasiak?

– W przedszkolu. Ale wiesz co, przejedźmy przez Czarnieckiego. Zatrzymamy się tylko na moment...

Fiacik zaparkował w pobliżu placu Inwalidów.

– Krzysiu, skocz do pani Basi w drogerii i kup parę dobrych mydeł. I proszek do prania. A ja kupię chrzan w warzywnym...

– „Zwykły proszek”?

– Ona ci powie, jaki biorę. Jaki brałam... – poprawiła się. – A, i wstąp na pocztę!

– Przecież już dawno preadresowują nasze listy.

Marianna popukała się w głowę pod własnym adresem. Wyszli z auta i oboje pobiegli, bo deszcz wciąż padał. Marianna skierowała się do małego sklepiku, Krzysztof popędził dalej. Marianna odprowadziła go wzrokiem, a kiedy znikł za rogiem, nie weszła do sklepiku, lecz do kościoła nieopodal. Była to ich dawna parafia, skromny kościółek zbudowany na parterze odbudowanej po powstaniu willi. Potem w latach siedemdziesiątych przebudowano go i ozdobiono nowym wystrojem wnętrza, w bardzo powściągliwym stylu, ale od ulicy nadal nie wyglądał na kościół. Krzysztofowi bardzo się podobało, że jeden z tutejszych księży pełnił funkcję egzorcysty diecezjalnego, i często straszył Mariannę, że wezwie go do niej.

Parę minut później Krzysztof wybiegł zza narożnika z wypchaną reklamówką i skierował się do sklepiku. Na progu zatrzymał się, bo zobaczył, że Marianny w nim nie ma. Zdezorientowany rozejrzał się, potem przebiegł kawałek i schronił się przed deszczem w kruchcie kościoła. Stał, wypatrując Marianny na wszystkie strony. Nagle, tknięty jakąś myślą, obejrzał się i popatrzył zdumiony: Marianna klęczała w pustym kościele przed ołtarzem. Krzysztof stał chwilę w milczeniu, potem delikatnie chrząknął. Marianna odwróciła głowę. Na widok męża szybko przeżegnała się, podniosła pospiesznie z klęczek i lekko zmieszana podeszła do niego. Spojrzał na nią pytająco.

– Chrzanu nie było... – zaczęła, ale przerwała, łapiąc się za głowę. – O, Boże, co ja robię, kłamię w kościele! Przepraszam – powiedziała zawstydzona i bardzo cicho dodała: – Wiesz, obiecałam świętemu Józefowi, że nigdy już tu nie wrócę, do tego piep... do tego obrzydliwego miasta...

– Ale dlaczego świętemu Józefowi, skoro to jest kościół Dzieciątka Jezus?

– Takie sprawy lepiej załatwiać z dorosłymi.

Krzysztof popatrzył na nią ze szczerym podziwem.

– Ależ ty jesteś walnięta!

Wypogodziło się. Był piękny, słoneczny, chociaż chłodny dzień. Podwórce wybrukowane, a przed domem świeża grzęda wysypana torfem i wsadzone rachityczne krzaki róż, jeszcze z kartkami informacyjnymi przy gałęziach. Na

budowie pracowali robotnicy. W obejście pędem wjechał na rowerze Józek.

– Jadą! – krzyczał. – Panie majster, są na krzyżówce!

Majster odwrócił się do robotników.

– Schodźta! Kotula! Bierzcie topór!

Robotnicy przerwali robotę, odłożyli narzędzia i w pośpiechu zeszli z budowy, dołączając do majstra. Józek schował rower.

– A teraz wy, Kotula z Kowalem i Wójcikiem tam... my tutaj. Tylko żeby was nie było widać. Z zaskoczenia trzeba!

Rozbiegli się nieporadnie na dwie strony. Kotula trzymał wielki żelazny topór, trochę inny w kształcie dzierżył majster. Po chwili podwórze było puste. Wolno wtoczył się mały fiat z Krzysztofem za kierownicą.

Marianna wysiadła pierwsza, rozglądając się bacznie po podwórzu.

– Nooo – powiedziała z uznaniem – uwinęli się jednak. Zupełnie inaczej to teraz wygląda, co, Krzysiu?

– Zobacz, zrobili ci nawet grzędę i coś tam wetknęli?

– Nie wetknęli, tylko posadzili róże... – uśmiechnęła się Marianna – to naprawdę przyzwoici ludzie.

Krzysztof wyciągał sprawunki z samochodu, ona rozglądała się, patrzyła na opuszczoną budowę.

– Krzysiu! Co oni?! Dlaczego nikt nie pracuje?! Co to, święto narodowe, czy co?

– Kota nie ma, to myszy harczą.

Marianna wpadła w złość.

– Nie, no, ja ich chyba...

W tej chwili rozległ się fałszywy, ale gromki śpiew: „Sto lat!”.

Zaskoczeni Kalinowscy zamarli. Obie grupy budowlanych wyszły z ukrycia i zmierzały w ich stronę. Marianna oparła się o samochód.

– Dziękuję... bardzo wam dziękuję za życzenia i za pięknie wykonaną robotę. Jestem naprawdę wzruszona.

Majster podszedł z toporem, za nim o krok stanął z drugim Kotula.

– A to od nas, pani Marianno – podał jej ciężki topór.

Krzysztof pomógł jej go utrzymać.

– To od nas i... ten drugi. – Majster wziął drugi topór z rąk Kotuli i podał im.

– Piękne – powiedział Krzysztof – piękne...

– Prawdziwe! – zawołał Józek i przejął z ich rąk ciężkie topory. – Tylko żeśmy im

styliska dorobili, bo już nie mieli. To pewnie jeszcze krzyżackie, spod Grunwaldu?

– Możliwe, wykopane, jakeśmy budowali dom profesorowi Gajewskiemu – powiedział majster. – Ale nie dalim mu. Widać inne było ich przeznaczenie.

– Wspaniale... bardzo wam dziękuję. – Marianna promieniała radością i wzruszeniem.

Chłopy uśmiechały się nieśmiało, ale z zadowoleniem.

– Groźne narzędzie daliście mojej żonie do rąk ... – zażartował Krzysztof.

Zaśmiali się ze zrozumieniem, w poczuciu męskiej wspólnoty.

– Właśnie. Uważajcie! Pracujcie szybko i dobrze, bo inaczej topory pójdą w ruch – zagroziła Marianna.

Teraz skwitowali to śmiechem pobłażliwym. Wyrwał się Kowal:

– Trochu ciężkie, dzięki Bogu. Unieść nad głową nie poradzi...

– Poradzi, poradzi, jak będzie trzeba – odgrażała się Marianna.

– No, to do roboty – zarządził z westchnieniem majster, delikatnie dając do zrozumienia, że wypadałoby jakoś uczcić uroczystość.

Marianna to natychmiast rozumiała.

– Tak, teraz do roboty. A po robocie mały poczęstunek. Mały, żeby wasze żony nie miały pretensji – dodała.

– One zwyczajne – zaśmiał się Kotula przymilnie.

Kalinowscy wnieśli topory do sieni.

– O moich imieninach to nie pamiętali... – mruknął niby do siebie Krzysztof.

– Następnym razem im o tym przypomnę, to może dostaniesz piłę, a teraz przynieś mi torby z zakupami. Aha, Krzysiu, może w przyszłym tygodniu zaprosimy księdza Romana i poświęcimy naszą kapliczkę. Możemy też zaprosić najbliższych sąsiadów.

– Jeżeli pogoda się utrzyma, to czemu nie...

Świeciło piękne słońce, ale listopadowe powietrze było już mroźne. Bezlistne gałęzie rysowały się ostro na tle błękitnego, bezchmurnego nieba. Pod wielką rosochatą wierzbą przy polnej drodze wyrosła mała murowana kapliczka. Ksiądz Roman wyjął ze staroświeckiego sakwojaża składane kropidełko i przygotowywał się do poświęcenia. Pomagał mu kościelny. Do Marianny i Krzysztofa pochylił się odświętnie ubrany chłop, Wójcik, i powiedział cicho:

– Pani. Błąd był.

– Jaki błąd? – zdziwiła się Marianna.

– Na tej kartce, co mi paniny mąż dał, do wykucia tu... – wskazał piątym palcem z uszanowaniem kapliczkę – to nie ma roku.

– Jak to nie ma? – szepnął Krzysztof – Anno Domini i cyfry.

– Ano właśnie, to jest, ale po cyfrach należy się było dać... rok!

– Ale Anno Domini znaczy, panie Wójcik, roku pańskiego...

Wójcik kręcił głową i machał ręką, wiedząc, że się nie dogadają.

– O Święci Pańscy – szepnęła Marianna – popatrz, ile ludzi! Krzysiu, skąd ich tyle?

– Pewno z sąsiednich wsi... – Krzysztof rozglądał się dyskretnie.

– No, to koniec. Ja nie mam tyle jedzenia, jak zechcą przyjść.

Ksiądz Roman, świadom widowni, zaczął uroczystym tonem:

– Drodzy parafianie. Zebraliśmy się tu dla poświęcenia tej oto kapliczki, która stanęła staraniem naszych nowych sąsiadów, Krzysztofa i Marianny Kalinowskich. Ten piękny gest, bezinteresowny, bo przecież każdy idąc tą drogą w pole czy na łąki, czy do jeziora, będzie mógł tu przyklęknąć i zmówić w skupieniu pacierz, a więc ten gest raduje nie tylko moje serce, ale i serce każdego dobrego chrześcijanina. Jak to pięknie, kiedy ludzie osiedlają się tu, można rzec, zapuszczając korzenie, wystawiają skromną... – Krzysztof delikatnie trącił Mariannę – ale jakże potrzebną naszym myślom kapliczkę. Taki maluśki Dom Boży – ujął kropidło i poświęcił: – W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego...

– Amen – zaniosło się wieloma głosami przez szare, jesienne łąki.

Kobiety kładły gałęzie jarzębiny, jakieś ogrodowe kwiaty, niektórzy mężczyźni klękali. Kalinowscy dziękowali księdzu i najbliższym sąsiadom. Wysoko nad kapliczką zatoczył koło lotniarz i zrzucił na dół małą wiązankę kwiatków. Jakaś starowinka spojrzała z lękiem w górę i przeżegnała się zabobonnie.

– Ale wiecie co, drodzy państwo – podjął ksiądz, zdejmując przez głowę komżę – trochęście mnie zaskoczyli. Myślałem, że w kapliczce krucyfiks albo pieta będzie, w końcu, że Frasobliwy, a tu jakiś święty, nawet nie wiem jaki...

– A nie zauważył ksiądz proboszcz narzędziów? – wtrącił się Wójcik.

– A, faktycznie: młotek i piła, toż to święty Józef!

– Właśnie – powiedział surowo Wójcik. – Patron cieśli. I kamieniarzy – dodał.

– O kamieniarzach nie słyszałem. – Ksiądz mrugnął porozumiewawczo do Marianny.

– Jak to?! – oburzył się Wójcik.

– No, no, żartowałem – łagodził proboszcz. – Święty Józef patronuje wszystkim rzemieślnikom. A dlaczegoż państwo go wybrali?

– Moja żona jest taka skromna – mówił pospiesznie Krzysztof – że nie uważa się za artystkę, tylko za rzemieślnika.

Krzysztof patrzył z ukosa na Mariannę ciekaw jej reakcji, ale ona uśmiechała się tylko leciutko.

– Skromność, to się chwali, ale nie możemy znowu przesadzać – podsumował ksiądz.

– A teraz już do nas – powiedziała Marianna.

– Wybaczcie... Nie uprzedziłem i może narobiłem kłopotu... Dziś goszczę mojego zwierzchnika na obiedzie. Może więc innym razem...

– Ooo, jak przykro – Marianna oparła dłoń na ramieniu Heleny – a pani Helena upiekła specjalnie...

– Kaczuszki z jabłuszkami – dokończyła pani Helena.

– O, grzechu łakomstwa... – śmiał się ksiądz – gdybym mógł, to bym uległ... ale siła wyższa...

– Trudno, będzie jeszcze niejedna okazja – zapewnił pocziwie Krzysztof.

Odprowadzili księdza do jego samochodu, gdzie już siedział kościelny, a Marianna z ulgą zauważyła, że ludzie rozchodzą się drózkami w kierunku swoich domostw.

– Wszyscy odchodzą – powiedziała – trzeba zatrzymać co bliższych sąsiadów.

– Nie – pokręciła głową Helena – jak zobaczyli, że ksiądz odjechał, to i im nie wypada iść.

– Tak? – zdziwił się Krzysztof i dodał ochoczo: – To zamawiam dwa udka!

– Jesteś okropny! – Marianna odwróciła się i zobaczyła, że jednym z ostatnich odchodzących jest Gustaw Wolf. Szedł, nieco kulejąc i podpierając się swoim kijem. Dogoniła go.

– Panie Gustawie!

Odwrócił się i przystanął. Był w zniszczonym garniturze, ale koszulę miał białą i bardzo spraną. Marianna złapała go pod rękę.

– Zabieram pana na obiad do nas.

– Nie – powiedział stary – dziękuję.

– Dlaczego? Proszę mi nie odmawiać...

– Niepotrzebny kłopot. – Gustaw pokręcił głową.

– Żaden kłopot – zapewnił Krzysztof, podchodząc. – Bardzo prosimy.

– Niech pan nie odmawia – ponowiła prośbę Marianna.

Patrzył na nich, jego twarz była jak zawsze smutna i napięta.

– Pani Heleno, proszę mi pomóc namówić pana – zwróciła się do niej Marianna.

– Będą pieczone kaczki w ziołach z jabłkami. Te zioła to jeszcze te, co pan Wilk przyniósł ostatni raz dla pani Róży...

– Dobrze. Dziękuję – zgodził się stary po chwili.

Siedzieli we troje przy kawie i ciastkach. Krzysztof odstawił filiżankę.

– Proszę mi wybaczyć, ale pójdę do siebie trochę odpocząć.

Gustaw uniósł się do wstania, ale Krzysztof dotknął jego ramienia.

– Nie, nie, proszę jeszcze zostać.

– Idź, biedaku, i nie zapomnij wziąć pastylki. Masz na stoliku.

– Dobrze – Krzysztof uśmiechnął się i odszedł.

– Bardzo dbamy o niego – usprawiedliwiała się Marianna – ma słabe serce, już raz zasłabł. Staramy się go oszczędzać, i to tak, żeby nie zdawał sobie z tego sprawy. Mógł myśleć, że jest z nim niedobrze. A to po prostu trzeba uważać, przecież jak człowiek pomyśli, że serce nigdy przez tyle lat tak naprawdę nie odpoczywa...

Gustaw patrzył na nią uważnie.

– No i jak pan znajduje to miejsce? – zatoczyła dłonią. – Też o nie bardzo dbamy. Stało się niezwykle ważne w moim życiu... w naszym życiu. Wręcz nieprzewidywalne. Chyba aż mistycznie.

– Bo to jest takie miejsce – mówił spokojnie Gustaw – dużo pani zrobiła... Odbudowuje pani tradycje rodzinne. Róża... – zamyślił się chwilę – wiem, że Róża nigdy nie wybaczyła dziadkowi, że sprzedał rodzinne Namierowo.

Marianna spojrzała na niego zaskoczona.

– Nie znam historii rodzinnej zbyt dobrze... zbyt dokładnie... Moja matka zmarła młodo, niewiele wiem od niej, a z kolei byłam zbyt dziecinna i może niemądra, żeby wypytywać o wszystko ciotkę Różę.

Gustaw poprawił się w fotelu.

– Może jeszcze kawy? A ciasto? – Podsunęła talerz.

– Nie, dziękuję już... Róża opowiadała mi, że pani pradziadek sprzedał pochopnie majątek na wsi i za czyjś namową, zdaje się jakiegoś księdza, kupił w Warszawie

zakład pogrzebowy. Zainwestował w niego, bo to i karawany trzeba było zmienić, i ubiory grzebalników. A że miał miękkie serce, to co jakaś wdowa w płacz, że jej ciężko, że nieboszczyka nie ma za co pochować, litował się i urządzał darmowy pochówek. I zbankrutował. Ale wielka miłość do ziemi pozostała i poszedł na zarządcę do pałacu w Zaborowie.

– W Zaborowie – powtórzyła cicho Marianna.

– Tak. A dużo później urządziła tam pani wesele córki...

– Kasi...

– A na tę uroczystość zaprosiła pani Różę i ona pojechała, i była bardzo tym wzruszona.

– Boże, jakie to dziwne. Wie pan, ja nic o tym nie wiedziałam. Wynajęłam Zaborów, bo miał duże sale, a ja zaprosiłam chyba dwieście osób.

– Wiem – pokiwał głową Gustaw – wszystko mi Róża opowiedziała.

– A dlaczego panu? – zapytała cicho Marianna, ale Gustaw nie odpowiedział na to pytanie, nie chciał czy nie słyszał.

– Po kilka razy opowiadała, bardzo była poruszona.

– Teraz sobie przypominam... tak bardzo płakała, ale i śmiała się tak radośnie... – powiedziała Marianna.

– Bo to jakby jej wnuczka brała ślub. Ona... Róża... bardzo panią kochała. Bóg nie dał jej dziecka i pani to jakby była jej córką. Potem może i wierzyła w to...

– Mój Boże – szepnęła wzruszona Marianna – było mi tu zawsze tak dobrze u cioci Róży... może nawet...

Umilkli. Przez pokój przeszedł cicho kot. Marianna pochyliła się i wzięła go na kolana. Głaskała, myślami błędząc gdzie indziej.

– Postarzałeś się, Filozofie, bracie – mruczał Gustaw – no, ale się rozgadałem i zasiedziałem. – Podniósł się.

– Nie, niech pan jeszcze nie odchodzi – prosiła Marianna – chcę się tyłu jeszcze rzeczyc dowiedzieć...

– Mamy na to jeszcze tyle czasu... – Gustaw ukłonił się lekko. – Było mi tak dobrze, jak dawno nie... Dziękuję. Czas na mnie.

– Nasz dom jest zawsze dla pana otwarty. – Też wstała.

Na podwórzu Berta i Lolka zanosiły się szczekaniem.

– Gdyby pan czegoś potrzebował... – Marianna podała Gustawowi rękę, a on ją delikatnie ujął.

– Dziękuję. Do widzenia. – Odchodził wolno, podpierając się swoim rzeźbionym kijem.

– Pani Kalinowska! – usłyszała męski głos zza płotu.

– Cicho, Berta! Lolka!!! – krzyknęła Marianna do psów i podeszła bliżej. – Co tam?

Przy płocie stał listonosz z rowerem, na ramie opierał dużą torbę.

– O, dobrze, żem panią zobaczył. Mam pocztę, a panine psy coś do mnie mają. Ja się ich boję i oni dobrze o tym wiedzą.

– No, właśnie, tu popełnia pan błąd, panie Pacała. Trzeba chociaż udawać odwagę – zaśmiała się Marianna, sięgając po podawane jej listy.

– Za stary jestem na udawanie i na odwagę, pani Kalinowska. Do widzenia się z panią. – Wsiadł na rower i ruszył mozolnie ścieżką pod górę.

Marianna po drodze przeglądała pocztę. Rachunki i listy. Jeden w zwykłej niebieskiej kopercie, staroświeckie litery adresu. Marianna zmarszczyła czoło i rozerwała kopertę. Czytała i jej twarz się rozjaśniała. Podniosła oczy i zobaczyła stojącego w oknie Krzysztofa, który zapalał fajkę. Spłoszył się na jej wołanie.

– Krzysiu! Nie pal! Tak cię prosilam... Dostaliśmy list od ciotki Malwiny... wzruszający. Zejdiesz na dół?

– Już idę.

– Ale włóż ciepły sweter! – zawołała jeszcze.

Więc siedli we dwójkę na werandzie, on w grubym swetrze, ona w narzuconej wełnianej chuście.

– Boże, zawsze coś jestem winna moim ciotkom, a zupełnie nie biorę pod uwagę upływającego czasu.

– Zaprosz ciotkę Malwinę, dlaczego tego nie zrobiłaś?

– Iza dzwoniła... kiedy to było? Jakież parę tygodni temu, że biegła do niej, bo Malwina miała teraz ciężką grypę wirusową. A przedtem pęknięte żebro. To wszystko jest niebezpieczne w jej wieku. Ale już jest chyba zdrowa, bo najlepszy dowód ten list i ten pomysł... – dotknęła leżących na jej kolanach zapisanych kartek – przecież ona ma groszową emeryturę i z niej dla nas odkłada?! Wiesz, o co ona prosi? O numer naszego konta w banku, chce nam przelać swoje oszczędności, bo na pewno mamy wydatki! Stuknięta wariatka – mówiła ciepło – trzeba ją ochrzanić. Boże...

– Marianno, a może weźmiemy ją na zimę? Marzą mi się takie rodzinne święta... dzieci, wnuk... może Zarzyccy... ktoś tam jeszcze z Warszawy...

Popatrzyła na niego czujnie.

– Dobrze, kochany, ale jeżeli odezwie się ciotka Teodora z tym cholernym starym kawalerem Edziem, i ty też ich zaprosisz, to ja się oflaguję na znak protestu. Oni są, i pamiętam od dzieciństwa, zawsze byli upiorni!

– Trzeba być blisko, Marianno, potem zostają fotografie, niepełne przekazy rodzinnych wspomnień... A już...

– Hej, Krzysiu! Co to za refleksyjny ton! Chcesz, zaprosimy wszystkich żyjących członków naszych rodzin! Jak szaleć, to szaleć!

– Proszę bardzo. To może być nawet ciekawe przeżycie, jeśli da się to przeżyć...

– Możemy zorganizować kulig – zapaliła się niespodziewanie Marianna – wspólną pasterkę...

Krzysztof patrzył na nią z nieukrywanym uczuciem, zauważyła to.

– Krzysiu, co ci? Źle się czujesz? – Chciała w ironii ukryć wzruszenie, które ją ogarnęło.

To go tym bardziej rozczuliło, bo zobaczył, że jego cierpliwe zwalczanie wszelkich sentymentalizmów i wyświechtanych czułości wydaje owoce, że ona już wie, co mu by się nie spodobało, i używa ironii tak, jakby on jej użył. Odwrócił się i powiedział zdławionym głosem:

– Patrz, jak zachodzi słońce... zawsze mnie to porusza... za każdym razem...

Usłyszeli podniecone głosy z podwórza i szczekanie psów.

– Co tam się dzieje... – Krzysztof udał irytację, co pozwoliło mu ukradkiem otrzeć łzę, która zakręciła mu się przed chwilą w oku.

– Zobaczę. – Marianna wstała, ale wtedy nadbiegł Józek.

– Pani Marianno, pani Marianno. Stryjenka chyba umiera!

Marianna ruszyła do sypialni, spokojnie i bez pośpiechu.

– Już idę, wezmę tylko walizeczkę! Pewno znowu Wójcikowej spadło ciśnienie. Krzysiu! – zawołała – daj Józкови kluczyki do samochodu.

Samochód zatrzymał się przed chatą. Dreptały kury, pies czekał zajądło na łańcuchu, na ławeczce siedział przebrany już zwyczajnie Wójcik i kurzył papierosa.

– Co ze stryjenką? – zawołał Józek, wysiadając z samochodu.

– A co ma być? – odpowiedział stary z twarzą bez wyrazu.

Marianna zamknęła samochód.

– Co, znowu niedobrze, panie Wójcik? – Weszła do chaty.

– A niedobrze. To już i chyba ciśnienia mierzyć nie warto, chyba że mnie... – dobiegł ją głos Wójcika.

W izbie, w rozgrzebanej pościeli, leżała ledwo żywa Wójcikowa o woskowej twarzy. Dwie kobiety krzątały się koło niej, jedna dziobata podtrzymywała, druga chuda zdejmowała jej miarę centymetrem krawieckim.

– Co się dzieje? – zapytała Marianna, wchodząc.

– Kończy się – odpowiedziała dziobata.

Marianna wyjęła ciśnieniomierz.

– Dajcie odpocząć – prosiła Wójcikowa słabym głosem.

Chuda z centymetrem chciała wziąć jeszcze miarę obwodu szyi.

– Jeszcze, jeszcze, Leokadia... podciągnij się, żeś mnie centymetr przysiadła.

Uniosły ją lekko. Marianna podeszła do łóżka.

– Kołnierzyk chcesz okrążyć czy szpiczasty? – zapytała chuda.

– Nie wiem... – wyszeptła Leokadia.

– Co wy robicie? – zapytała zdumiona Marianna.

– Może w serek... – Dziobata gorliwie narysowała wycięcie na swoim dekolcie, ale Leokadia opadła na pościel. One nie zwróciły na to uwagi.

– Ale chyba nie wypada... ciało tu widać. Grzech...

– Rany boskie, kobiety, co wy? – zdenerwowała się Marianna, odsunęła dziobatą i założyła Leokadii ciśnieniomierz.

– Suknię do trumny dla Leokadii szyć będziem – wyjaśniła chuda, zwijając centymetr.

– Jak wam nie wstyd? Jeszcze się nie wybieramy na tamten świat. Prawda, pani Leokadio? No! Proszę stąd wyjść. Duszno tu...

Obie kobiety bez słowa wyszły.

– Ta Milucha to dobra krawcowa... – łagodnie szepnęła Leokadia.

– Dobrze, dobrze... Na razie potrzebny nam będzie dobry doktor. Zaraz pomogę się pani ogarnąć, włożyć coś na siebie... – Podeszła do drzwi i zawołała: – Panie Wójcik, wiozę pańską żonę do szpitala. Józek, leć do nas i powiedz panu Kalinowskiemu, żeby się nie denerwował, bo pojechałam do Ełku.

W szpitalu wszystko poszło jak po maśle. Przyjęli Wójcikową bez większych trudności, pielęgniarka w izbie przyjęć trochę się dziwiła, że Marianna jest tylko sąsiadką, a nie żadną krewną, a potem chyba uspokoiła ją myśl, że widocznie zrobiła

to za pieniądze. Niechętnie patrzyła, kiedy ta dziwna kobieta, taka pewna siebie i mówiąca nietutejszym językiem, poprosiła na stronę lekarza dyżurnego, a on, o dziwo, zamknął się z nią w gabinecie. A już kiedy Marianna wychodziła, doktor natomiast podał jej na pożegnanie rękę i uśmiechnął się, przeżyła lekkie pomieszenie. Nie wiedziała, czy ma pożegnać ją uprzejmie, czy opryskliwie. Na wszelki wypadek tylko coś zamruczała.

Marianna wracała z Ełku w zamglonym zmierzchu szosą wysadzaną drzewami niczym aleja. Mokry asfalt obsypany był żółtymi liśćmi klonów i olch. Jej samochód minął mężczyznę idącego poboczem, z głową wtuloną w podniesiony kołnierz kurtki, niosącego torbę z zakupami. Wystawał z niej bochenek chleba i butelka oleju. Marianna minęła go, rzucając przelotne spojrzenie, zahamowała, cofnęła i zatrzymała się przy mężczyźnie. Wychyliła się w jego stronę, otwierając drzwiczki.

– Dobry wieczór, panie Kotula. Do domu? To proszę...

Kotula gorliwie władował się obok niej, stawiając sobie torbę na kolanach.

– Do domu. A to mi się trafiło...

Ruszyli.

– Ze sklepu?

– Ano. Tak mi rajbowała baba, żebym chleb przyniósł, aż mnie z domu wygnała w taki ziąb. Ale sobie myślę, że przynajmniej trochę w spokoju pobędę i uszy odpoczną...

– Niech pan nie narzeka, pani Aleksandra to pracowita kobieta... Stara się o dom, dzieci zawsze czyste, pan ma, co trzeba...

Kotula wzruszył ramionami z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Tak i musi być... – mruknął.

Marianna rzuciła na niego spojrzenie pełne wyrzutu.

– Musi... Ale ona chce, żeby było lepiej, ładniej, ma taki piękny ogródek, tyle że dom dawno nieodnawiany. Mąż musi żonie pomagać. A pan, panie Wacławie, to... co chciałby od życia?

– Że jak?

– No, o czym pan na przykład marzy? – zapaliła się naiwnie Marianna.

Kotula popatrzył na nią zaskoczony.

– No – uśmiechnęła się łagodnie. – Co by pan najbardziej chciał, co?

Milczeli chwilę.

– Ja... – szukał Kotula, odwracając wzrok – ja to bym najbardziej chciał, żeby nie było...

– No, no – zachęcała Marianna.

– Żeby na drugi dzień nie było kaca – skończył serio Kotula.

– Panie Waławie... – powiedziała zniechęcona Marianna – Boże drogi...

– Pani Kalinowsko... – Kotula nadal nie patrzył na nią – człowiek siebie nie przeskoczy. Tak już jest. Jeden rodzi się na puchu, ze złotą łyżką w gębie, a drugi na słomie i co najwyżej z piórami kury, co się nad nim otrząchnęła. To co on może... no, czego może chcieć? Najwyżej, żeby mu te pióra nie wlażyły do nosa. E, co tu mówić...

Marianna słuchała poruszona.

– Zaraz, panie Waławie. Oczywiście, że ten ze złotą łyżką ma łatwiejszy start w życiu, ale to nie znaczy, że jest lepszy i że temu drugiemu ma się nie udać! Trzeba tylko chcieć! Wiedzieć, czego się chce! Zacisnąć zęby, zakasać rękawy i...

– Zatrzyma tu... – przerwał jej Kotula.

Marianna zwołniała.

– Co się stało?

– Stanie. Tu się będę zbierał.

– Przecież podwiozę pana do domu – zdziwiła się Marianna, ale zatrzymała samochód.

– Nie, nie, nie trzeba. Pojedzie prosto, po co drogi nakładać, a ja muszę do Orzeszki jeszcze zajść... Dziękuję. – Wysiadł i zanim zatrzasnął drzwiczki, nachylił się i dodał: – Jużem o mało nie zapomniał, że Orzeszko na mnie czeka. Pomarzmy sobie wspólnie... – uśmiechnął się łagodnie, bez złośliwości, i odszedł.

Krzysztof leżał w łóżku, czytając angielską książkę medyczną. Paliła się tylko mała lampka na jego stoliku nocnym i druga na stoliku Marianny.

Panował spokój późnej godziny, słychać było dalekie szczekanie psów. Krzysztof, czytając, czasem wracał do poprzedniej strony, jakby sprawdzał, porównywał.

Z łazienki wyłoniła się Marianna. Wcierała krem w dłonie, na które patrzyła z dezaprobatą. Zsunęła ostrożnie z ramion szlafrok, czyniąc wysiłki, aby nie dotknąć rękawów natłuszczonymi dłońmi, i siadła na łóżku. Milczała ostentacyjnie, chcąc zwrócić uwagę Krzysztofa. Ten rzucał na nią machinalne spojrzenie i powracał do lektury. Po chwili zatrzymał jednak wzrok, jakby dopiero teraz doszło do niego, że zobaczył coś dziwnego. Odwrócił się i spojrzał na Mariannę z uwagą.

– Wybierasz się gdzieś? – zapytał.

– Co? – Marianna błędziła myślami gdzieś daleko.

– Jakiś bal w resursie czy Wielka Nadzieja Kobiet pojawił się w naszym województwie?

Marianna ocknęła się z zamyślenia.

– Jaka wielka nadzieja?!

– Wielka Nadzieja Kobiet, superman, latin lover, macho, królewicz z bajki na białym koniu, który krąży po świecie, ale pewnego dnia zjawi się i u nas, zamieszka na kempingu Wigry i będzie pocieszał panny, wdowy i mężatki spragnione prawdziwej miłości!

Marianna słuchała tej tyrady z najwyższym zdumieniem, zupełnie nie rozumiała, do czego Krzysztof zmierza.

– No bo dla kogo tak się wystroiłaś? – ułatwił jej. – Biżuteria do małżeńskiego łóżka?

Rzeczywiście Marianna miała na szyi kilka sznurów ostrych, nieoszlifowanych bursztynów. Dotykając ich dłonią, wyjaśniła nieszczerze, odwracając wzrok:

– Ach, to... Głupstwo... Tradycyjna medycyna...

– Jaka znowu medycyna? Leczysz się tym? Na co?

Marianna podniosła wzrok i popatrzyła Krzysztofowi w oczy ze smutnym uśmiechem.

– Dopóki nie wypróbuję wszystkich środków naturalnych, o żadnej operacji nie ma mowy.

– O jakiej operacji? O czym ty mówisz?! – Krzysztof wydawał się tyleż zdumiony, co zaniepokojony.

– Przestań udawać. Przecież wiesz, że chodzi o moją tarczycę.

Błysk zrozumienia pojawił się w oczach Krzysztofa, zmienił ton.

– Chodź no tutaj – rozkazał.

Marianna trochę się bocząc, obeszła łóżko i stanęła przed mężem.

– Usiądź i zdejmij tę kolczatkę – specjalnie mówił surowym, autorytatywnym głosem. – Boli cię gdzieś? – zapytał, dotykając jej szyi.

– Nie.

– Masz kłopoty z tarczycą?

– To ty tak sądzisz!

– Ja?! Czyś ty zwariowała?! Co ci strzeliło do głowy?!

– To dlaczego pełno tych książek o tarczycy, patrzysz na mnie dziwnie, robisz notatki...

– Dziwnie patrzę! Ja?!

– Ty! Ty! Wszyscy patrzą zwyczajnie. Myślisz, że się nie domyśliłam?! – była bliska łez.

– Wiesz co, głupia kobieto – powiedział Krzysztof z udawaną złością – ty jesteś głupsza od kaprala Maniaka.

Marianna była gotowa się obrazić, ale ciekawość wzięła górę:

– Jakiego kaprala Maniaka?

– Mieliśmy takiego w wojsku, był przeczulony na swoim punkcie. Kiedy rehotaliśmy z jakiegoś kawału, mawiał do swojego kolegi, też kaprala: „Znów się śmieją, skurwysyny, pewnie z nas”. Czytam o tarczycy, ale nie o twojej. Twoja mnie nie interesuje, mnie interesują chore tarczycy, a twoja jest obrzydliwie zdrowa!

Świadomie posunął się do sprowokowania złości u Marianny, żeby ją całkowicie przekonać, i kiedy osiągnął cel, zmienił ton. Objął ją ramieniem i dodał łagodnie:

– Coście sobie ubzdurali, kapralu Maniak. A to nawet podobnie brzmi: Maniak – Mania. Przecież to jest moja praca, a nie wierzysz, zadzwoń do rektora. Nie mówiłem ci...?

– Nie, nic mi nie mówiłeś – powiedziała Marianna jeszcze trochę naburmuszona, jak mała dziewczynka, ale już pozwalająca się utulać i coraz bardziej ufna i szczęśliwa.

– Wiesz – mówił Krzysztof – ty jesteś trochę głupia i w tym całe moje szczęście. Przecież z jakąś mądrą babą, o ile w ogóle takie są, ja bym dawno zwariował...

– Głupol... – rozchmurzyła się Marianna i wtuliła nos w rozchełstany dekolt jego pizamy. Zamknęła oczy i zaczęła mruczeć jak kot.

Krzysztof z ironicznym westchnieniem lewą, wolną ręką zdjął okulary, razem z książką odłożył je na stolik i zgasił lampkę. Leżące obok niej bursztyny połyskiwały matowo w błękitnym świetle księżycy. Prawa ręka, przygnieciona przez wtuloną Mariannę, była unieruchomiona, ale lewa postanowiła skorzystać ze swobody. Powędrowała wolno pod kołdrę, a potem zsunęła się w dół i na wysokości kolan Marianny odnalazła rąbek jej koszuli nocnej. Wolno i delikatnie zaczęła go podsuwać w górę, aby odsłonić udo. Opuszkami palców przejechała w dół, aż do kolana, a potem odwróciła się i zaczęła powrót, ale już grzbietem paznokci. Marianna westchnęła i zaczęła miarowo oddychać, udawała, że śpi. To był sygnał, że zaakceptowała rytuał i zaczęła wypełniać jeden z jego wariantów. Nie wiedziała

jeszcze który, ale przygotowywała się na każdy. Krzysztof też nie wiedział, czego ona oczekuje, więc pozwolił dłoni kierować się instynktem. Ten instynkt zaprowadził palce wzdłuż styku ud, w górę, aż dotknęły miękkiej kępki mchu. Przez ciało Marianny przebiegło drżenie, jej kolana zaczęły się wolno rozchyłać. Palce Krzysztofa sięgnęły teraz śmiało w rozwierającą się szczelinę i ostrożnie, z namysłem zanurzyły się w soczysty miąższ dojrzałego owocu. Usta Marianny przywarły do ucha Krzysztofa i usłyszał gorący szept:

– O, tak. Tak.

Prawą, już trochę zdrętwiałą ręką przygarnął ją mocno do siebie i powiedział półgłosem, który tak lubiła:

– Ty wariatko, moja jedyna...



7.

Mgły snuły się nisko nad wodami i polami. Ziemia leżała w milczeniu, w oczekiwaniu na zimę. Lotniarz patrzył znudzony na szary, monotony, jesienny pejzaż rozpościerający się w dole. Znał go już na pamięć, wiedział, jak potrafi się on zmieniać w zależności od pory roku, dnia, światła. Wydawało mu się nieraz nawet, że rozpoznaje dokładnie te same chmury, w dokładnie takim samym układzie jak parę dni wcześniej. To jakiś szwindel – pomyślał podejrzliwie – sprzedają dwa razy ten sam towar? Ta myśl, że i tutaj mogą się zdarzać jakieś oszustwa, rozśmieszyła go swoim absurdem. To nie „oni” są nudni, to ja znudziłem się już trochę tym lataniem bez powodu, nie mam motywacji! Może wymyślić jakieś usługi dla ludności: przewozy, poczta, pogotowie? Teraz wszyscy kombinują jakiś biznes, więc może i ja coś wymyślę? Ale zaraz... jakie przewozy?! Trzeba by skonstruować podwójne krzeselko, a to trudne, bo trzeba by je jakoś wyważać. Chociaż przecież już raz zabrał małego chłopca, posadził go sobie na kolanach, zapięli się wspólnym pasem i polecili, a skoro chłopiec, to może podobnie mógłby zabrać w górę kobietę! Oczywiście lekką, drobną, nie taką jak... Wzdrygnął się na myśl podniebnej podróży ze swoją stukilową sąsiadką. Co innego z wiotką, zręczną panienką, na przykład z taką, jaką widział w jakimś filmiku porno w Internecie, alpinistką! Uprawiała ze swym partnerem seks, wisząc na linie nad przepaścią. O, to jest pomysł: usługi dla znudzonych pań: „Coitus w chmurach” – już zobaczył wielkie billboardy reklamowe: on w kasku i ciemnych goglach, właściwie anonimowy, żeby go rodzina nie rozpoznała, ona na jego kolanach w zapamiętałej ekstazie... Stop, kretynie! Już w piętę gonisz! Zamiast latać jak kot z pęcherzem, wybierz się do miasta, do jakiegoś klubu... – skarcił się prawie na głos i zaczął zniżać się do lądowania.

W sadzie Marianna w gumiakach i kurtce, przykucnięta nad wykopany dołem, delikatnie rozkładała korzenie drzewka, które trzymał Józek. Obok ciepło ubrany Krzysztof stał znudzony, z roztargnieniem poklepując łaszącego się psa.

– Już. – Marianna przejęła jedną ręką trzymane przez Józka drzewko, a on łopatą zasypał ziemią korzenie.

Podniosła się, już nieco zmęczona, udeptała ziemię wokół sadzonki, Józek

podłał, Krzysztof podszedł z sekatorem, żeby przyciąć wierzchołek.

– Tyle? – zapytał.

– O, tu – pokazała Marianna. – Dobra. To teraz wiśnie. Gdzie my je...

– Moim zdaniem... – zaczął Krzysztof.

– Józiu, ile ich mamy? Coś mi dziś w krzyż wlało... – Odwróciła się do Józka, wyginając lekko.

– Ich to już będzie nie tak dużo. – Józek schylił się i wziął pierwsze z brzegu drzewko.

– Taak... to my je damy...

– Moim zdaniem... – ponowił Krzysztof.

Marianna, odchodząc kawalek, mówiła bez przerwy:

– Tu, Józiu, tu. Tu będzie dobre słońce dla nich, a karłowate to nie zacienią jabłonek.

– To właśnie chciałem powiedzieć, ale ty w ogóle nie słuchasz. Czy ja mówię za cicho? Dziesięć razy zaczynam, a ty tokujesz i tokujesz!

Marianna popatrzyła na złośczonego się, zaskoczona.

– Co się stało?

– Nic poza tym, że nie wiem, po kiego grzyba ja tu sterczę. Nie chcesz, żebym pracował, idiotycznie bawię się sekatorem, a jak chcę doradzić, to puszczasz mój głos mimo uszu!

Odwrócił się jak obrażone dziecko w piaskownicy, rzucając sekator.

– Krzysiu, przepraszam, ale... Nie, Józek, ten drugi dół trochę dalej, łutówka lubi mieć taką szeroką przestrzeń na gałęzie – zwróciła się Marianna do Józka, przerywając rozmowę z mężem. – ...Słuchaj, Krzysiu... – Odwróciła się ponownie za Krzysztofem, ale zobaczyła już tylko jego plecy, kiedy szedł w stronę bramy.

Popatrzyła za nim, westchnęła i wzięła wąż, żeby nalać do dołu pod wiśnię. Kiedy go odkładała, zobaczyła, że Krzysztof wraca z listonoszem, który prowadzi rower. Józek kopał w zapamiętaniu następne doły. Krzysztof niósł podłużny pakunek, firmowo opakowany krzew.

– Moje dzień dobry! – zawołał listonosz, salutując dwoma palcami do złamanego daszka. Krzysztof popatrzył na niego z obrzydzeniem. – Co za obrzydliwa parodia salutowania! – pomyślał. – Dlaczego te dwa palce? Jakieś ślubowanie? Istne śluby panięskie! Co innego cała dłoń! Przy Amerykanach, nawet Niemcach, nawet Ruskich, Polacy salutują jak mazgaje... – wyładowywał w myślach swoją złość na

Mariannę.

– Dzień dobry, panie Pacała. Widzę, że jest coś dla nas?

– A jest, jest.

– Przysłali z tej firmy wysyłkowej to, co tak chciałaś... – przeczytał przywieszkę – „Buddleia davidii”.

– Noo, jak dobrze – Marianna uśmiechnęła się ciepło do męża, wdzięczna za jego powrót – to do niej zlatują się motyle z całej okolicy. Trzeba będzie uważać, żeby nasz syn nie zapolował na nie.

– Na motyle? – z pogardą spytał listonosz, podając jej do podpisania cedułkę. – Telegram jest... Pani, przecież on już duży, żeby na motyle, jak dzieciak?

– Zajmuje się tym prawie naukowo, nie dla zabawy – wyjaśnił Krzysztof, a Marianna umilkła, otwierając telegram.

Listonosz otworzył szeroko torbę.

– Te reklamy to mnie obrywają torbę! Tyle tego śmiecia... Gdyby wierzyć we wszystko, to by człowiek był bogaty, wyprany na biało i miał za wujka tego Murzyna od sosu, nie?

Mężczyźni roześmiali się, ale Krzysztof umilkł pierwszy, gdy Marianna przeczytała głośno:

– „Iza złamała nogę. Mamo ratuj. Wasz telefon milczy. Jacek”.

Marianna bezradnie opuściła ręce.

– Tego jeszcze brakowało.

– Jak to się stało? – spytał automatycznie Krzysztof.

– Nie jestem Duchem Świętym. Przecież tego nie ma w depeszy – ostro zareagowała Marianna.

– Nie denerwuj się. Z tobą ostatnio trudno rozmawiać – wyrzucił jej cicho urażony Krzysztof.

– Bo pytasz jak dziecko. Przepraszam... Panie Pacała, nie widział pan, czy naprawiają te nieszczęsną linię?

– A robio, robio, wczoraj widział. Już byli koło Komorowskich.

– Więcej siedzą, jak robią, co? – zaśmiał się Józek.

Krzysztof, oglądając prospekty, przeczytał głośno:

– „Osobiste orędzie Jasnowidza Andre Champini do tych, którzy próbowali wszystkiego i już w nic nie wierzą...”. O, to coś dla mnie.

Marianna z pasją udeptywała przysypane korzenie następnego drzewka.

– Daj spokój tym bredniom! Ciemnowidz to ja w sprawie złamania nogi Izy. Musimy coś zrobić.

– Pani – zaczął listonosz – u nas po wiosce taki chodził, koniec świata przepowiadał, baby straszył, wyzywać się namawiał w jego ręce, a to pieniędzy, a to, co która miała, łańcuszek jaki czy pierścionek, jeść kaszę na surowo nakłaniał...

– A był, był. Łysy taki z brodą – śmiał się Józek. – Mama taka spokojna, a jego mało polanem nie prześwięciła.

– I co? – zapytał rozbawiony Krzysztof. – Na kiedy ten koniec świata przewidział.

– Syp tę ziemię, Józek! – zniecierpliwiła się, pracując zawzięcie, Marianna. – Trzeba kończyć...

– Na kiedy? A no na środę – powiedział serio listonosz.

– To pojutrze, a my tu stoimy jak gdyby nigdy nic – spróbował straszyć Krzysztof.

– Nie, panie doktorze, dwa lata temu we środę. Ale prawdziwy koniec świata był w poniedziałek, jak on zniknął, a z nim wszystko, co baby dały. A co dała ta dziobata wdowa po młynarzu, to pan mnie nie pytaj, ale ją... – zaśmiewał się rubasznie. – Teraz to ją jasnowidzową nazywają...

– No dobrze – przerwała ten radosny śmiech mężczyzn Marianna, ogarniając wzrokiem nasadzone drzewka. – I rośnijcie zdrowo.

– Józek, a ty co? Nie sadzisz z innymi u księdza? – zapytał listonosz, zabierając się do odjazdu.

– Zapomniałem... – Józek ucichł i zmartwił się.

– Jakaś akcja u proboszcza? – zaciekawiał się Krzysztof.

– Wszyscy z naszej parafii sadzą las. – Józek popatrzył bezradnie na Mariannę.

– Złotą księgę ma, będzie wpisywał każdego, co wsadzi choćby jedno drzewko – poinformował poważnie listonosz. – Mnie na dziś zwolnił. Odrobię w tygodniu.

– O Jezu... – westchnął Józek.

– Na co czekasz? – spytała Marianna. – Chowaj narzędzia i leć.

– Dziękuję! – zawołał Józek, zbierając się pospiesznie.

– No, trza mi dalej. Do widzenia. – Pacała wsiadł na rower. – A psy zamknięte?

– Tak, tak. Do widzenia. – powiedziała Marianna.

– Czy i my nie powinniśmy się wpisać do złotej księgi? – niby żartobliwie zapytał Krzysztof. – Wiesz, jak to jest w małej społeczności. Chociaż też dobrze wiesz, co sobie myślę o naszym proboszczu i jego przedsiębiorczości...

– Tak, wiem – przerwała mu – ale tu nie chodzi o niego, a o tę, jak powiedziałeś, małą społeczność. Masz rację, powinniśmy.

Ruszyli do domu.

– Ty na pewno nie, tobie są zabronione na razie wszelkie duże wysiłki, a ja naprawdę nie mam kiedy. Nadrobię w przyszłym roku. Co my zrobimy z tym „Mamo, ratuj”? Powinien nam być Jacek podrzucić małego.

– Ano właśnie – spokojnie powiedział Krzysztof, wiedząc, że jakoś już Marianna to załatwi. – Trzeba pomyśleć... Poczta schodzi na psy! – zmienił nagle temat. – Mój cioteczny dziadek po kądzieli pracował na poczcie. Zaczynał jeszcze za Franciszka Józefa, a jako że był z cenzusem, bo ukończył studia prawnicze, dostał szybko tytuł: K.u.K. Kontrolleur am Hauptpostamt Lemberg 1. To była pozycja! Chodził w czarnym mundurze szamerowanym złotem, wyglądał jak co najmniej major artylerii! Potem w Drugiej Rzeczypospolitej mundury zmieniono na zielone, ale wciąż dziadek wyglądał dostojnie, bo mundury na tym stopniu służbowym (a był już starszym kontrolerem) szyto na miarę w słynnym atelier pana Antoniego Burka, ulica Chorążczyzny pięć, z gabardyny o ton ciemniejszej niż te pospolite. Te same mundury obowiązywały za okupacji i sowieckiej, i niemieckiej, oczywiście po zdjęciu orzełków z czapek i guzików. Niemcy stopień dziadka utrzymali, ale przenieśli go do pocztowego urzędu spedycyjnego na Lemberg Hauptbahnhof. Tam z woźnym, niejakiem Cebulą, na rozkaz AK zajęli się sabotażem i rekwirowaniem paczek wysyłanych przez Niemców do Rzeszy. Cebula przeżył w związku z tym poważny dylemat moralny: zrozumiał, że musi podporządkować się rozkazowi organizacji, był zaprzysiężonym żołnierzem AK, jednocześnie etos pocztowca, któremu był wierny przez kilkadziesiąt lat, buntował go przeciw temu: jak to? Otwierać czyjaś korespondencję?! Niestety niedługo zmagął się ze swoim sumieniem, bo wpadli. Zamienili mundury pocztowców na pasiaki obozu w Oranienburgu, które nosili tam już do końca życia – zostali straceni w ostatnich tygodniach wojny. Nawet za komuny pocztowcy mieli jakie takie mundury, a teraz: ten Pacała chodzi jak kocmołuch, jak parobek od krów, i salutuje do złamanego daszka brudnej cyklistówki! Mój dziadek patrzy na to z góry i zaśnania sobie oczy ze zgrozą!

Kręcąc z naganą głową, Krzysztof wszedł do domu.

Marianna starannie wytarła ręce. Odwiesiła ręcznik na krzesło, gdzie już leżała wyciągnięta spódnica i sweter. Przebierała się, patrząc w okno. Na podwórzu

robotnicy układali dach na dawnej oborze, leżały przygotowane do założenia rynny. Co pewien czas pojawiał się z taczkami Kotula i gdy któryś ładował mu piach, on przysiadł, starając się pospiesznie zdrzemnąć. Krzysztof stał za majstrem Bugałą, pokazywał coś, wtedy robotnicy, gestykulując, dyskutowali z nim, niebezpiecznie wychylając się na dachu, ale widać było, że dochodzą do porozumienia. Bugała wyciągnął do Krzysztofa paczkę papierosów. Marianna zamarła czujnie, ale uspokoiła się, gdy Krzysztof odmówił. Majster, automatycznie za każdym razem, gdy taczki były pełne, budził Kotulę. Ten zrywał się i ruszał z taczkami, znikając z pola widzenia Marianny. Nagle rozległ się dzwonek telefonu.

Marianna pobiegła do aparatu.

– No! – zawołała radośnie – Halo? Witaj, Piotrze!... dziękuję... wiem, spóźnione, ale nie mniej serdeczne, jak to się mówi... – śmiała się, słuchając. – Tak... ale dzięki temu moje imieniny trwają dłużej... Co mówisz, źle cię słyszę, co kupiłeś? Ach, te stare lampy? Strasznie się cieszę... Wdzięczna do grobu. Tak, słucham. Właśnie! Jak złała? Biedna Izunia... Piotrusiu! Jezus Maria, czy to bezpieczne?... Nie śmiej się! Ja jestem staroświecka, to nie jest normalne, że człowiek odrywa się od ziemi!... A Jasiek?... Słusznie, on jest szalonym dzieckiem... Dobrze, kochany, ale uważaj... A gdzie będziesz lądować? No wiesz... Wszędzie to nie... Powiedz Izie, że zatelefonuję do niej zaraz po waszym przylocie. Dobrze. Pa. Ucałuj Dankę, tęsknię za nią. Pa.

Pani Helena lepiała pierogi, Marianna kończyła wylepiać ciastem foremki babeczek.

– Ten farsz bez kminku to dla pana Zarzyckiego, on kminku nie lubi. Odwrotnie pan Krzysztof, dla niego ruskie bez kminku to nie pierogi – mówiła pani Helena z rozmarzeniem w głosie.

– A pan Zarzycki nie powinien jeść niczego mącznego. Żeby nie był za ciężki na ten swój samolot – powiedziała Marianna kpiąco.

– Co pani... A tam w górze to się chudnie.

– Ciekawe... – zaśmiała się Marianna – to może ja po obiedzie będę wchodziła na dach albo na najwyższe drzewo.

– To musi być bardzo wysoko – spokojnie odpowiedziała Helena – tam jest wiatr i powietrze od chmur i od ziemi. A on w środku, to go ciśnie.

– Bardzo ciekawa teoria. Oj, pani Helenko, pani toby nie wiem co wymyśliła, żeby tylko bronić pana Piotra.

– Bo pan Zarzycki to jest taki... w środku elegancki człowiek. On uważa innych, tych zwykłych też – z powagą wyjaśniła Helena.

Marianna mruknęła z aprobatą i wstawiła babki do pieca.

– Trzeba będzie chleb upiec, pan Zarzycki tak go lubi.

– Zaraz wszystko pani przygotuję – gorliwie zapewniła Helena.

– Co się pitrasi? – zapytał Krzysztof, wchodząc do kuchni.

– Dla Jasia babeczki, a dla Zarzyckiego masa pierogów – poinformowała go Marianna.

– Aha... A dla mnie co? – Siadł na stołku przy stole. – Nic...

Obie kobiety stropiły się nieco. Helena się nie odwróciła, Marianna szybko otworzyła lodówkę.

– No...

– No? – powtórzył po niej Krzysztof. – Cóż, o mnie się zwyczajnie zapomina.

– Krzysiu, co ty... Dla ciebie wszystko... A może masz ochotę na flaki?

Krzysztof bez zapału pokiwał głową i nagle znieruchomiał.

– Cicho! – rozkazał, choć w kuchni panowała cisza. Podszedł do drzwi i otworzył je. Usłyszeli wyraźny warkot samolotu.

– Lecą! – Marianna przykręciła gaz w piekarniku i pobiegła do drzwi.

– Lecą! – zawołała Helena, rzucając ściereczkę na stolnicę z pierogami.

Pobiegły za spieszącym Krzysztofem. Marianna po drodze wkładała kurtkę, Helena owinęła się chustą. Samolocik zbliżał się do łąki, schodził niżej, jakby do lądowania, ale nagle zatoczył koło i podniósł się do góry, odlatując.

– Co się dzieje? – złapała się za serce Marianna.

– Święci Pańscy... – przeżegnała się Helena.

– Krzysiu – jęknęła Marianna. – Zepsuł się? Zepsuł?! Jak ja mogłam się zgodzić?! Jak ja mogłam?!

– Uspokój się – rozkazał. – Widocznie coś tu Piotrowi nie odpowiada... Widziałas, że się przymierzał.

Patrzyli na samolot lecący w stronę górki, Marianna trzymała męża za rękę, Helena modliła się bezgłośnie. Samolot łagodnie obniżył lot, podchodząc do lądowania za górką. Znikł im z oczu.

– No i po krzyku – stwierdził Krzysztof. – Widzimy jakiś dym? Ogień?

– Oj, przestań! – zirytowała się Marianna. – To twoje poczucie humoru...

– Podjedziemy samochodem. – Ruszył w kierunku podwórza.

– Wróć do pierogów – z ulgą powiedziała Helena.

– I miej oko na babeczki, Helenko, bardzo panią proszę – zawołała Marianna,

biegnąc za Krzysztofem.

Kiedy pokonali grzbiet górki, zobaczyli stojący już samolocik, koło niego kręcił się Zarzycki z wnukiem Kubą i Jaśkiem. Pomachali nadjeżdżającym. Ledwo samochód stanął, już Marianna wyskoczyła z niego i szybko pobiegła w ich kierunku, wołając:

– Niepokoiliam się!

– No, oczywiście – powiedział do siebie Krzysztof – czy mogłoby być inaczej?

– Kalinowscy kochani – zawołał Zarzycki – macie podmokłą łąkę i dlatego wylądowałem tutaj, bo jest wyżej.

– Dzięki Bogu jesteście! – Marianna otworzyła ramiona, w które wpadł wnuk.

– Bo gdyby dziadek był bocianem, to by się z tej łąki cieszył, a tak klops – ironizował Kuba.

– Babciu, załatwiłem ci wszystko! Wujek pozwoli ci latać! – Mały ucałował ją radośnie. Zarzycki przywitał się z Krzysztofem.

– Za skarby świata, nie! O, mój ptaszku leśny! – Marianna tuliła wnuka.

– Babciu, będziesz szaleć z radości!

– Ja już szaleję i więcej nie chcę – śmiała się Marianna.

– Dziadku, a ty? – zapytał mały z nadzieją, witając się z dziadkiem.

– Może kiedyś... gdy będę młodszy – odpowiedział serio Krzysztof.

– A kiedy będziesz? – dopytywał się z napięciem Jasiek.

Roześmiali się wszyscy, Kuba trącił małego w ramię.

– Nabierają cię, pompo, oni mają boja.

– Trzeba by postawić rękaw. – Zarzycki rozejrzał się dokoła.

– Od kurtki... – Kuba potrząsnął ramieniem, sądząc, że dziadek plecie.

– Tak, Koziołku Matołku, rękaw, ale taki specjalny, żeby znać kierunek wiatru – wyjaśnił Zarzycki.

– Teraz ty jesteś pompa! – zawołał Jasiek.

Krzysztof schował do bagażnika paczki, które wylądował Zarzycki.

– Niektóre z tych lamp są w dobrym stanie, inne wymagają złotej rączki, ale w sumie są w porządku. Będziesz szczęśliwa, Kalinowa Marianno. – Zarzycki objął ją poufale.

– Dzięki, będziemy się rozliczać – powiedziała, ale on machnął bagatelizująco ręką.

– Powiedz, co z Izą, widziałeś się z nią? – zapytał Krzysztof.

– Nie. Siedzi w domu. Jacek podrzucił mi Jasia. No, więc pęknięta kość, tu – pokazał stopę – ma założony gips, taki but, dali jej kule ze szpitala i siedzi w domu.

– Ale jak to się stało? – zapytała Marianna.

– Jak twierdzi Jacek, najgłupiej w świecie. W parku, na spacerze z Jasiem, zbiegali z małej górki, ślisko było, pojechała na pupie, ale jakoś podwinęła pod siebie nogę...

– Mój Boże... – westchnęła Marianna.

– Ale dokuśtykaliśmy do domu – oznajmił Jasio tonem dorosłego. – I mama nie płakała, tylko syczała... Jak wąż! – zademonstrował, sycząc i kulejąc.

– Przestań! – prosiła rozbawiona Marianna.

– A teraz, Kuba, wracamy – zarządził Zarzycki.

– Co ty? – spytał Krzysztof zdumiony.

– Mowy nie ma – dołączyła zaskoczona Marianna. – Pani Helena siedzi cała w pierogach...

– Nie kończ... – przytknął oczy rozmarzony Zarzycki.

– Dlaczego musisz wracać? – zapytał Krzysztof.

– Interesy – odparł Kuba znużonym głosem.

– Lecimy znowu? – ucieszył się Jasiek.

– Ty zostajesz, zdrajco – powiedział groźnie Krzysztof.

– Piotrusiu... – jęknęła Marianna.

– Interesy, jak mówi mój wszystkowiedzący wnuc. Moja niewola, pośpiech, zapowiedź wrzodów żołądka, zawału. Łysiny... Siła wyższa!

– „Money, money, money...” – zanucił Kuba.

– Tak mi smutno... – westchnęła Marianna. – Zamrozimy je dla ciebie, ale jak przeżyje to Helena, nie wiem.

Chłopcy pokrzykiwali, kręcąc się przy samolocie. Krzysztof objął przyjaciela.

– Przyleciałeś specjalnie. Dziękuję, Piotrze.

– To było najprostsze – powiedział zwyczajnie Piotr. – Aha... – wyciągnął z kieszeni paczuszkę. – Dla pani Helenki, ona lubi tę z orzechami.

Marianna patrzyła na niego z uśmiechem.

– Następnym razem zostaną dłużej. Drzyjcie, pierogi! – Wziął Mariannę w objęcia. – Ale ciebie wolę od pierogów...

W pokoju jadalnym Krzysztof pracował na komputerze, na drugim końcu stołu Jaś rozłożył się z rysowaniem, na bujanym fotelu przy oknie Marianna robiła na drutach.

Panował spokój, słychać było tylko stukot klawiszy i niezbyt wyraźny śpiew pani Heleny z kuchni. Panowała pogodna, rodzinna atmosfera.

– Dupek! – powiedział ostro Jasio, oglądając złamany właśnie ołówek.

Marianna rzuciła spojrzenie na wnuka. Krzysztof przerwał pisanie, uniósł okulary.

– Czy ktoś tu coś powiedział? – zapytał, nie widząc, że Marianna wyrazem twarzy prosi go, aby nie reagował. Mały uroczym uśmiechem starał się rozbroić dziadka.

– Proszę? – powtórzył Krzysztof.

– Złamała się kredka... – szepnęła Jaś.

– A, kredka?

– Przeważem ją, bo mnie rozzłościła! Prawie... – złagodził przebiegle.

– Daj, zatemperuję – powiedziała Marianna i przechodząc obok męża, dotknęła go palcem znacząco. – A co rysujesz?

– Portret. – Jasio z dumą podsunął jej rysunek. – Portret Berty z kością cielęcą.

– No, świetnie. Ale czy ta kość w proporcji nie jest za duża? Zobacz, jaka Berta jest mała, a kość wielka.

– Ale Berta tak lubi kości... Niech ma dużą.

– A... to mnie przekonuje. – Marianna wyciągnęła z kieszeni scyzoryk i nad jakimś papierem zaczęła strugać kredkę. Krzysztof powrócił do klawiatury. Spod oka widział, że mały coś kombinuje.

– Dziadku, gniewasz się? – zapytał nagle, ale nie spojrzał na dziadka.

Marianna podała zatemperowany ołówek Jasiowi i z uśmiechem patrzyła wyczekująco na męża. Ten zdjął okulary i spojrzał poważnie na wnuka.

– Nie. To nie jest powód do gniewu. Ale szczerze ci powiem, że zaskoczyłeś mnie in minus. Czy słyszałeś, żebym kiedyś tak powiedział? Albo babcia?

– Nie.

– Przyznaję, tak, znamy to słowo. Jest zbyt dużo ludzi źle wychowanych, którzy mówią je głośno. Są słowa jeszcze brzydsze, ale w naszym domu i gdziekolwiek byśmy byli, brzydkich słów nie używamy.

– Nigdy? – Mały patrzył na dziadka z przekrzywioną głową, w oczach zamigotały mu kpiące iskierki.

Krzysztof nabrał powietrza i chwilę milczał. Marianna uznała, że przyszedł czas, aby poratować Krzysztofa i jakoś wybrnąć z zaistniałej sytuacji.

– Prawie nigdy! Są sytuacje w życiu dorosłego człowieka, że choć powinien, nie

zawsze panuje nad sobą i czasem powie coś brzydkiego. Tak się zdarza.

– Tobie też, babciu? – dociekał mały.

Krzysztof chrząknął.

– Tak – przyznała Marianna – ale wstydę się wtedy za siebie – dorzuciła dość obłudnie.

Mały powrócił do rysowania i zapadła cisza.

– A tata tak mówi o swoim kierowniku – wypalił Jasiek.

Krzysztof uderzył lekko w stół.

– A to już jest donos! I jest to jeszcze brzydsze!

Mały popatrzył na niego szeroko otwartymi oczami.

– Co tam się dzieje? – rzuciła głośno Marianna, podchodząc do okna, zadowolona, że coś przerwało rozmowę, w której Jasiek jest przywoływany do porządku. – Ona płacze?!

Na podwórzu wśród zgromadzonych robotników stała płacząca kobieta i coś mówiła.

– Kto to jest? – zapytał Krzysztof.

– Zostańcie. – Marianna ruszyła do korytarza.

Patrzyli, jak w narzuconej kurtce Krzysztofa idzie ku grupie. Naprzeciwko niej spieszył majster Bugała, a za nim Kotula.

– Żona Oleckiego! – zawołał Kotula, a majster odwrócił się i odepchnął go do tyłu.

– Co się stało? – zapytała Marianna.

– Pani szefowo – majster podszedł bliżej, a Kotula trzymał się na dystans, chociaż najwyraźniej chciał być pierwszym informatorem – trza nam iść przeczesać lasek i zagajnik od strony jeziora. Olecki nie wrócił od wczoraj rana do domu. Kobieta rozpacza...

– Może zaniemógł, Walenty słabosilny był – wtrącił Kotula.

– Słabosilny, ale nie do gorzały! I wczoraj przecie pił! Z Wackiem, w Palinocce! No! – przyznał majster.

– Po prawdzie to tak – łagodnie zgodził się Kotula.

– Oj, chłopcy, chłopcy... – Marianna pokiwała głową – a na policji była?

– Była – szybko rzucił Kotula.

Majster popatrzył na niego i poprawił czapkę, aż tamten cofnął się o krok.

– Była, szefowo, ale nie mieli dla niej czasu, tylko dobrą radę, żeby sama szukała.

Że to nie guzik od portek. A jeszcze powiedzieli, że może do Ameryki od niej uciekł.

– Może być z nim źle – zasmucił się Kotuła, znający życie – słaby był na jedno oko.

– Oczywiście, idźcie – zgodziła się Marianna.

– Chłopy! Idziemy! – wydarł się Kotuła, zachwycony perspektywą przygody.

Mężczyźni rzucili narzędzia tam, gdzie kto stał, i ruszyli za płaczącą ku bramie.

Marianna podeszła do betoniarki, po drodze podniosła jakąś kielnię, rękawicę.

Zauważywszy, że w betoniarce jest cement, odwróciła się błyskawicznie i krzyknęła:

– Panie Bugała! Kamień się robi z tego cementu!

Majster zatrzymał się.

– Nie, szefowo! On jest suchy, bez wody!

Machnął ręką, co miało oznaczać, żeby nie wyolbrzymiała problemu, odwrócił się i poszedł za wychodzącymi z obejścia.

Kiedy wrócili, lał deszcz, snuli się w strugach wody po podwórzu, ktoś podnosił narzędzia, inni kulili się pod daszkiem, paląc papierosy. Majster wściekły doglądał prób uruchamiania betoniarki.

Marianna w kurtce z kapturem nisko opuszczonym na czoło wyszła na podwórze.

– Skamieniał, co? – zawołała ze złością w poczuciu racji. Majster udał, że nie słyszy.

– Przez to ścierwo! – odkrzyknął Kotuła, pokazując na deszcz.

– Przez wasz brak wyobraźni!

– Dalej, Grzesiek! Łopata! Sił nie masz, lebiodo?! – krzyczał majster. Chłopi spod daszku pstrykali przed siebie pety.

– Może kilofem, panie majster – zawołał któryś.

Marianna podeszła do nich.

– Ja zwariuję! Jeszcze i to! Czy nie dałam wam koszy na śmiecie?! Musicie wszędzie rzucać te cholerne pety?

– O rany, szefowa... – mruknął któryś.

– Sprzątnie się po robocie – dodał inny lekceważąco.

– Tu mamy większe problemy, nie? – Odwrócił się do niej rozzłoszczony majster.

– Uprzedzałam! – Marianna nie dała się zbić z tropu. – Ale pan machnął ręką. To teraz ma pan za swoje.

– Ale pani to jest... – nie dokończył majster wściekły. – Pani idzie lepiej do

domu! Bo kataru dostanie!

Niektórzy parsknęli śmiechem. Marianna się opanowała.

– Dziękuję panu za troskę. Wolałabym jednak, żeby troszczył się pan o mój materiał i naszą budowę – podniosła głos, bo łomot łopat w betoniarce stał się pokazowo głośny. Odwróciła się i odchodząc, zapytała Kotulę, który jak zawsze migał się od roboty:

– Panie Kotula, i co?

– Zrobim, zrobim... nie ma co się wnerwiać.

– Ja nie o tym. Znaleźliście tego zaginionego?

– Aaa, Olecki? Nie. Kamień w wodę. Może naprawdę wyskoczył do tyj Ameryki...

– Panie Kotula, powie pan majstrowi, że zapowiadają mróz i śnieg – rzekła na odchodnym.

– Tak jest – zgodził się łagodnie Kotula.

Nazajutrz rzeczywiście spadł śnieg i chwycił lekki mróz. Marianna stała przy oknie, z którego widać było ośnieżoną górkę i zjeżdżających z niej na sankach Krzysztofa z Jasiem. Uśmiechała się bezwiednie, widząc, jak Krzysztof kładzie się na śniegu i robi „orła”, dość nieporadnie się podnosi, a potem Jasiak próbuje to powtórzyć. W drzwiach stanęła pani Helena.

– O, jest tu pani, bo...

Marianna wyciągnęła do niej rękę.

– Niech pani zobaczy, jacy oni są śmieszni, ten duży i ten mały...

Helena stanęła obok.

– Jeden młodszy od drugiego, w tej zabawie.

– Właśnie. Ale jak spadnie śnieg, to tak już jakoś jest, że wszyscy stają się dziećmi... Żeby tylko nie przemoczyli kurtek.

– Oj, pani to jak ta kwoka na brzegu, co to wysiedziała podłożone kacze jaja i teraz gdacze, że jej dzieci pływają. Nic im nie może być, a przyjdą, to dostaną gorącej herbaty.

Marianna się uśmiechnęła.

– Dużemu damy z rumem, małemu z malinami.

Stały tak ramie przy ramieniu, zaprzyjaźnione ze sobą i wzajem się szanujące. Tykał ścienny zegar. Nie słyszały, jak za nimi na stół wskoczył Filozof.

– Coś pani mówiła, wchodząc... – zapytała Marianna.

– A no właśnie, co jutro na obiad zrobimy?

– Cokolwiek pani robi, będzie dobrze, Heleno. Oj, powinnam zasiąść do listów.

– Marianna odwróciła się i zobaczyła kota na rozłożonej papeterii.

– On już napisze za panią – zaśmiała się Helena. – No, chodź Filozof, mam dla ciebie w kuchni szprotki.

Wyszła, trzymając w objęciach kota. Marianna rzuciła jeszcze spojrzenie w okno i zobaczyła, że na podwórze wjeżdża mocno wysłużony traktor z przyczepą, na której na ławeczce, przykrytej sfatygowanym czerwonym dywanem, siedzi opatulony staruszek. Prowadzący traktor, też stary i siwy, zatrzymał pojazd przed drzwiami domu, zeskoczył z maszyny, wpadając w mały poślizg i balansując lekko, ale złapał równowagę i przyczepność. Podreptał do przyczepy, na której już niecierpliwiał się, tupiąc znacząco nogą, pierwszy staruszek, i pomógł mu wsiąść. Trzymając się pod rękę, ostrożnie zmiierzali ku drzwiom. Marianna otworzyła, a oni skłonili się zgodnie.

– Dzień dobry. Słucham? Panowie do nas?

– Jestem organistą – powiedział ten z przyczepy – i rozwozę opłatki na Boże Narodzenie, musi pani wiedzieć.

– Nie wiedziałam – uśmiechnęła się Marianna. – Proszę, wchodźcie, panowie. – Cofnęła się, a oni szybko i z wyraźną przyjemnością przekroczyli próg. Organista ściągnął futrzaną czapę. Ukazała się siwa, szlachetna głowa rzymskiego senatora, zaskakująca tu i wyraźnie kontrastująca z pocziwą, swojską łepetyną traktorzysty.

– Mróz – stwierdził kierowca traktora.

– Proszę się rozebrać. – Marianna odwzajemniła miły uśmiech organisty. Siwa czupryna nastroszyła się mu groźnie.

– Człowiek jak cebulka, tyle tego ma na sobie... musi pani wiedzieć... – sapął.

– Mróz – oświadczył ponownie traktorzysta.

– Dlaczego tak dziwnym pojazdem panowie się poruszają? – spytała Marianna. – Proszę dalej – wskazała pokój.

– Aaa... pani tu nowa, musi pani wiedzieć, to nie wie... – Organista zatarł rączki, z szacunkiem wchodząc do pokoju. Towarzysz podążył za nim – ...ludzie nie mają pieniędzy i płacą, czym kto może... Ziemiaczki dają, musi pani wiedzieć, buraczki, cebulę, a bywa, dzięki Bogu, że i gąska się trafi. – Patrzył, jakby lekko wyczekując. – No.

– Bywa... – dorzucił traktorzysta.

– Siadajcie, panowie. Napijcie się naleweczki?

– To rozgrzeje – ucieszył się traktorzysta.

Organista zmarszczył czoło i powiedział surowo do traktorzysty:

– Frankowski nie może, bo mnie wozi i odpowiada za mnie. Ale ja – przeniósł wzrok na Mariannę i złagodniał – musi pani wiedzieć, nie odmówię.

Marianna zaczęła się żwawo krzątać, wyciągać kieliszki, butelkę z nalewką, popatrując z ukosa na swoich malowniczych gości.

– A może dla pana Frankowskiego gorącej herbatki?

– Nie, nie, Bóg zapłać. Herbatkę to ja już w domu... – odpowiedział zgaszony Frankowski.

– Panie organisto – zaczęła Marianna, a organista wstał i uklonił się lekko, ale poważnie.

– Nie dopełniłem obowiązku... Gabriel Piórkowski jestem, musi pani wiedzieć.

– Nie wiedziałam – naiwnie odpowiedziała Marianna, dopiero teraz orientując się, że jest to automatyczne powiedzonko organisty, szybko więc dodała: – Nie mam jeszcze zapasów, bo nie miałam warzywnika, dam pieniądze, dobrze?

– Oczywiście – ochocho zgodził się Piórkowski – pani zdrowie.

– Panów zdrowie – odwzajemniła Marianna.

Frankowski chrząknął dla odwagi:

– A mnie to pani musi poznać, co? Ja wziął nagrodę za ładne obejście. Pani także była na festynie w gminie, a jakże...

– No właśnie – zapewniła, zupełnie sobie nie przypominając. – Bardzo się panu chwali, panie Frankowski.

– Mieszkam w Bałamutowie – stwierdził Frankowski z taką dumą, jakby mieszkał w Rzymie. – Sam jestem. Znaczy wdowiec.

– Tym bardziej się panu chwali. – Marianna nalała drugi kieliszeczek organiście. Frankowski posmutniał.

– Ja to panią Kalinowską bardzo lubię... – Frankowski podjął desperacką próbę wyłudzenia choćby naparstka nalewki, nie wahał się nawet oblizać.

Marianna spojrzała na niego zaskoczona, organista groźnie zmarszczył czoło i tupnął kilka razy pod stołem nogą.

– Jakże tak, Frankowski, uważasz pan...

– Ja... ja bardzo szanuję panią Kalinowską – sumitował się speszony Frankowski.

– Bardzo mi miło, dziękuję panu – zaśmiała się Marianna. – Może jednak naparsteczek? – Nie czekając na przyzwolenie i nie zważając na karcące miny

organisty, nalała pół małego kieliszka.

Otworzyły się drzwi i zajrzał Krzysztof.

– O... masz gości.

– Wejdz, wejdz, kochany... Pan organista Piórkowski, pan Frankowski, przywieźli opłatek. – Odwróciła się do panów, którzy wstali, a pierwszy zrobił to organista. – Mój mąż.

Krzysztof uściśnął im dłonie.

– Opłatek? Wspaniale. Nam potrzeba dużo, dużo... – zapewnił – mamy liczną rodzinę!

– Nie aż tak bardzo – zdziwiła się Marianna, otwierając serwantkę, gdzie w starej wazie trzymała pieniądze.

Krzysztof wstał.

– Pomóc ci w czymś? – Podszedł do niej, nachylił się i szepnął z naciskiem: – Weź dużo. Zrobisz nugat.

Marianna powstrzymała śmiech.

Piękny zimowy dzień chylił się ku wieczorowi. Przez okno saloniku widać było zamrażnięte jezioro, rząd nieruchomych, poczerniałych drzew na drugim brzegu, a na pierwszym planie, na długim kiju karmnik dla ptaszków. Teraz, kiedy wszystkie kolory jesieni pogasły, pejzaż wyglądał jak czarno-biała fotografia albo rysunek czarnym tuszem, lawowany rozwodnioną czernią. Przypominał też stare japońskie akwarele i to porównanie było bodaj najwłaściwsze, bo Krzysztof siedział na kanapie zatopiony w japońskiej książce. Była to *Księga herbaty* Okakury Kakuzō w polskim tłumaczeniu. Czytał z widoczną przyjemnością. Weszła Marianna w domowej sukni, z tacą, na której stały miśnieńskie filiżanki, srebrna cukiernica i czajnik z herbatą. Były też małe, ale na pewno domowej roboty ciasteczka. Postawiła tacę, zdjęła ze stołu kwiat w doniczce, rozłożyła małe serwetki i ustawiła wszystko dla nich dwojga do wypicia herbaty.

Krzysztof zaczął głośno:

– Oto co Lu T'ang napisał o herbacie: „Pierwsza czarka zwilża mi wargi i przełyk, druga wyzwala z osamotnienia, trzecia przenika me jałowe wnętrze, by znaleźć w nim pięć tysięcy zwojów zapisanych przedziwnymi ideogramami...”.

– O Boże – żartobliwie panikowała Marianna – chyba za mało jej zaparzyłam.

Krzysztof kontynuował:

– „Przy czwartej lekko się pocę – całe zło życia uchodzi ze mnie porami. Przy

piątej czuję się oczyszczony, szósta...”.

– Szósta? – jęknęła Marianna.

– „Zaprasza mnie do królestwa nieśmiertelnych...”.

– Nie zapomnij zabrać mnie ze sobą – przerwała Marianna.

– „Siódma – ach! Nie zdołam wypić więcej...”.

– Chwała Bogu!

– „Czuję tylko chłodny powiew wiatru w rękawach. Gdzie jest P’englajszan?

Niechaj przeniosą mnie tam słodkie podmuchy wietrzyka”.

Zamknął i odłożył tomik.

Marianna złożyła ręce jak do modlitwy i trzymając je w pokornej pozie, powiedziała:

– Prociem bardzo pić herbata, nie mieć wiatr w rękach przy ta pogoda. A kto to jest pani P’englajszan?

– To nie jest żadna pani, głuptaku, ale wyspa. Mityczna wyspa na Morzu Wschodniochińskim, wiążąca się z wiarą w nieśmiertelność.

Marianna umościła się na kanapie obok męża, wygodnie podwijając nogi.

– Słodzik czy cukier? – spytała.

Krzysztof posłodził cukrem, Marianna popatrzyła na cukiernicę:

– Zawsze to wraca. Moja przyjaciółka trzymała w cukiernicy małe porcelanowe sowy.

– Sowy? – zapytał z roztargnieniem Krzysztof, oswojony ze wszystkimi dziwactwami Marianny.

– Tak. To było urocz. Wyławiałeś je łyżeczką przy cukrowej okazji.

– I słodziłaś sowami?

– Nie, mieszkaly w cukrze na stałe. Były do topienia i wyławiania, a nie rozpuszczania w herbacie.

– A co one znaczyły?

– Nie wiem... Twój poeta z czasów dynastii T’ang pewno by wiedział. Może dwie sowy to ona i jej mąż, zanurzeni oby na zawsze w morzu słodocy?

– Morze słodocy... To trochę ryzykowne, zwłaszcza dla cukrzyków. – Krzysztof z rozkoszą pił herbatę. Oboje rozluźnieni, sycili się chwilą, gdy nic im nie przeszkadza i gdy picie herbaty we dwoje jest dobrym, kojącym przerywnikiem w codziennej krzątaninie. Pili w milczeniu. Za oknem, daleko na tafli jeziora zauważyli holendrującego łyżwiarza.

– O! Nieźle to robi! – pochwalił go Krzysztof. – Całkiem dobrze!

Patrzyli chwilę.

– A kiedyś... – kontynuowała Marianna w nastroju poprzedniego tematu – napisała do mnie, że najsmutniejsze dla niej jest to, że w związku z upływającym czasem, świadomością posiadanych lat wie, że nikt się już w niej nie zakocha.

Marianna mówiła to, nie patrząc w okno. Krzysztof oderwał wzrok od łyżwiarza i spojrzał na żonę.

– A morze słodyczy to mało?

– A może morze słodyczy było wołaniem o nie...

Krzysztof uśmiechnął się pobłaźliwie, na znak, że są to sprawy zbyt mu dalekie, sięgnął po ciastko i gryzł je ze smakiem.

– No, zawsze jeszcze są sanatoria.

– Sanatoria? – zdziwiła się.

– Starsza, złakniona miłości dama, wdowa, i starszy, złakniony miłości pan, wdowiec, i dojrzała miłość wybucha jak płomień z ust sztukmistrza plującego ogniem. Widziany z kosmosu Ciechocinek zionie pożogą!

– Ty sobie żartujesz, Krzysiu – mówiła spokojnie Marianna, patrząc na łyżwiarza, który właśnie zrobił efektowny obrót. – O, jak pięknie! A w kobietach siedzi przeogromna potrzeba miłości. I to do późnej... na zawsze.

– Czynów czy słów? – zażartował Krzysztof.

– I czynów, i słów.

– Mam nadzieję, że zdaje sobie pani sprawę z mojego uczucia do niej, buzującego przy każdej... stosownej okazji. – Podniósł się z kanapy. – Zaraz wrócę, nie zjedz wszystkich ciastek ze smutku.

– Przynieś mi ciepłą chustę z przedpokoju – zawołała Marianna.

– Dobrze.

Marianna wstała, dorzuciła polano do kominka i wróciła na kanapę. łyżwiarz zataczał wielkie kregi. Ona piła herbatę i patrzyła na niego. Otworzyły się drzwi. Nie odwracając się, wyciągnęła rękę po chustę.

– Ciekawe, czy to obcy jakiś, czy miejscowy – powiedziała i narzuciła chustę na nogi.

Krzysztof siadł obok niej.

– Miejscowy to ja. Nie będę ukrywał, zakochałem się w pani i zakochuję nadal, jej wiek nie gra roli – mówił dość niewyraźnie.

Ona odwróciła się i aż podskoczyła przerażona. Krzysztof miał na twarzy okulary zmontowane ze sztucznym nochalem i wąsami. Wyglądał okropnie, strasznie i śmiesznie.

– Idiota! – Marianna wybuchła śmiechem.

– Jak pani może, ślicznotko... – Krzysztof starał się ją pocałować.

– Przestań! Fuj, co za paskudztwo! – zaśmiewała się Marianna. – Skąd to masz?!

– Kiedyś znalazłem w szatni na uniwerku, nikt nie ogłaszała, że szuka zguby, więc urzeczony urodą przedmiotu zatrzymałem. Może się przydać na sylwestra.

– To mógłby być bal! Na przykład na otwarciu pensjonatu...

Marianna patrzyła na niego z zachwytem, aczkolwiek profil w masce nadal wydawał się upiorny.

– Już go nie ma – Krzysztof wskazał na jezioro. Tafla lodu była pusta.

– Szkoda...

– O! À propos uniwerku... – Krzysztof zdjął maskę – miałem dzwonić do rektora, żeby uzgodnić termin przyjazdu. Chyba w połowie przyszłego tygodnia, co? – Wstał i wyszedł.

Marianna siedziała sama, nakryła czymś czajnik, żeby herbata była jeszcze ciepła, kiedy wróci Krzysztof, otuliła się ciasniej chustą i oparła wygodnie. Usłyszała jazgot psów na podwórzu. Kiedy ich szczekanie trwało zbyt długo, wstała i wyszła do kuchni, otworzyła drzwi na zewnątrz i otuliła się chustą. Rozejrzała się.

– Berta! Berta, do nogi! Lolka!

Psy przybiegły, ale natychmiast zawróciły i wypadły za budynek gospodarczy. Marianna niezadowolona zdecydowała się i w miękkich pantoflach zrobiła szybko kilkanaście kroków przez nieodgarnięty śnieg w kierunku budynku. Przystanąła. Od strony jeziora zbliżała się, idąc nienaturalnie i sztywno stawiając nogi, męska postać. Na jej widok wyciągnęła ramiona.

– To już przesada! – zawołała zmarznięta Marianna. – Trzeba mieć umiar w żartach! Idź do licha, wyskoczyłam w kapciach! Psy straszysz! E, doprawdy! – Ruszyła do domu, jeszcze odwróciła się i zła krzyknęła: – Dostanę przez ciebie zapalenia płuc!

Wpadła do domu i zamknęła za sobą drzwi na klucz. W małym pokoiku przy kuchni zrzuciła ośnieżone kapcie, roztarła stopy, włożyła inne pantofle, mrużąc coś do siebie, zirytowana. Usłyszała nieporadne stukanie do drzwi i szczekanie psów.

– Dostyc już, naprawdę! Wejdz głównym wejściem, naniesiesz mi tu śniegu.

Stukanie umilkło, szczekanie oddaliło się. Marianna zajrzała w kuchni do pieca, chleby jeszcze wymagały pieczenia, więc zamknęła drzwiczki i popatrzyła na zegarek. Podeszła pod drzwi do piwnicy i zawołała:

– Pani Heleno?

– W pralni jestem – odrzyknęła Helena – już idę.

– Chleby jeszcze jakieś dziesięć minut i będą gotowe.

– Wyjmę, wyjmę.

Marianna zamknęła drzwi i weszła do salonu. Zatrzymała się na progu zaskoczona. Na kanapie siedział Krzysztof z książką w ręku.

– Gdzie byłeś? Pojadę do Warszawy w poniedziałek. Co te psy tak szaleją?

– Boże... No ale... – Nagle zdecydowała się i prawie pobiegła przez salon w kierunku głównego wejścia. – Co to było?

W otwartych przez nią drzwiach wejściowych stał mężczyzna na łyżwach. Oblodzony, najwyraźniej nie mógł nic powiedzieć, bo miał usztywnioną z mrozu twarz. Broda wyglądała jak sztuczna. Jego ręce bezradnie odstawały od boków.

– Jezusie... – szepnęła zaskoczona Marianna.

Psy w bezpiecznej odległości ujadały na zjawę.

– Proszę wejść. – Marianna cofnęła się i wyciągnęła ręce, łapiąc idącego na łyżwach człowieka. Zamykając za nim drzwi, zawołała: – Krzysiu! Pani Heleno. Pomóżcie!

Poprowadziła go ostrożnie do kuchni. Krzysztof wypadł z salonu, z piwnicy wynurzyła się Helena, wołając:

– Jeszcze nie ma dziesięciu mi...

– Co się stało, Marianno?! – zawołał jednocześnie Krzysztof.

– Człowiek za burtą! – Marianna starała się zgiąć faceta, żeby mógł usiąść na krześle przy chlebowym piecu. – Pomóżcie – zdenerwowała się na stojących i oniemiałych.

– Nalewka! – zawołał Krzysztof i popędził do pokoju. Marianna uklękła, starając się ściągnąć mu buty z łyżwami. Helena walczyła z oblodzonymi guzikami.

– Człowieku... człowieku... – powtarzała.

Krzysztof podał mu szklankę nalewki, ale że mężczyzna nie dawał sobie rady z niesprawnymi rękami, zaczął go poić jak dziecko.

– Heleno, gorąca kąpiel! – zarządziła Marianna.

– Prze... praszam... – wyjąkał mężczyzna.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniał go Krzysztof.

– To ja przepraszam... – powiedziała spłoszona Marianna – nie wpuściłam pana, myśląc, że to mąż się przebrał... że żartuje...

– Co? – zdziwił się Krzysztof, ale Marianna zagadywała:

– Nic, nic, zaraz zaprowadzimy pana do łazienki.

– To pan tak pięknie jeździł – mówił z uznaniem Krzysztof. – A potem co się stało?

Marianna, ściągając z mężczyzny kurtkę, odruchowo zajrzała do pieca, chleb był już gotowy, więc wyłączyła piec. Jak zwykle: cała ona, zorganizowana, sprawna, czujna i polegająca na sobie.

– Wpadłem niespo... dziewanie w jakieś niezamarznię... te miejsce...

– No tak... tam jest ciepłe źródło! – powiedział oczywistym tonem Krzysztof. – Nie wiedział pan?

– Nie... Jestem z Ełku. Od września. Przeniosłem się ze Śląska, do tutejszej szkoły. Jestem nauczycielem wychowania fizycznego... W tej sytuacji to głupio brzmi, nie?

Marianna postawiła przed nim klapki Krzysztofa.

– Nie. Wcale nie. To się mogło przydarzyć każdemu.

– Chciałem sprawdzić, jakie są tu możliwości jazdy... Nie przedstawiłem się... Artur Kołodziejczyk.

– Bardzo nam miło, jesteśmy Kalinowscy. Krzysiu, prowadź pana Artura do łazienki.

– Ciepłej w środku? – zapytał Krzysztof. – To smorodina!

– O! Aż za ciepło – nauczyciel uśmiechał się dzielnie.

– Stara, carska receptura. Znaleźliśmy parę krzaków i zrobiliśmy na próbę. Myślę, że się udała. Zamierzam robić co roku

– Jeżeli nie będzie pan miał urazu, to może warto byłoby pomyśleć o szkółce liżwiarskiej dla dzieciaków? – powiedziała Marianna.

– A gdyby pan przypadkiem grał jeszcze na skrzypcach... – Krzysztof zirytował się, że Marianna ma manię wykorzystywania każdej okazji do jakiegoś pożytecznego celu. – Na razie zostawmy ten temat... – Spiorunował ją wzrokiem. – Wrzucimy pana Artura do wrzątku. No, prawie do wrzątku...

W drzwiach stanęła Helena z ręcznikami.

– Już.

– Wyszukam dla pana jakieś odzienie, zjemy coś i odwiozę pana do Ełku.

– Nie, nie, serdeczne dzięki. Mamy teraz wolne, bo malują szkołę, a jestem tu u wujka Wroniszewskiego, po drugiej stronie jeziora.

– Dobrze, zawiozę do wujka.

– Pojedziemy, Krzysiu, razem, bo przecież obiecaliśmy księdzu proboszczowi, że wpadniemy na mały koncert tych nowych organów.

– To dziś?

– Hej, dziś, dziś! – zawołała Marianna. – Idźcie wreszcie.

Marianna zaczęła sprzątać rozgardiasz, wychyliła kieliszek nalewki i wtedy usłyszała pukanie do okna. Przycisnęła twarz do szyby, starając się zobaczyć kto to, potem otworzyła okno. Za nim stał opatulony miejscowy chłopiec.

– Pani Kalinowsko! – zawołał.

– Czyj ty? – zapytała Marianna.

– Orzeszków. Zdzisiek. Pani Kalinowsko... – Był bardzo podekscytowany, nerwowo wycierał dłonią nos.

– No co, Zdzisiu, wejdiesz do środka?

– Nie! Pani przedzwoni na policję!

– Chodzi o nauczyciela, co wpadł do jeziora? Jest u nas. Już jest dobrze.

– Pani, to my go z tatą i stryjnym wyciągli, jak wyjechał na wodę. Nie o nim ja – trochę się zaplątał – pani dzwoni, że pod lodem leży Olecki. Ten, co był zaginął na jesieni.

– Walenty – powiedziała stojąca w progu Helena i przeżegnała się.

Podeszła do okna i stały obie, patrząc na zamarznąłą tafłę jeziora. W zmierzchającym świetle widać było w oddali sylwetki ludzi gromadzących się przy brzegu z pochodniami. Marianna znieruchomiała z dłońmi przy ustach.





8.

Lotniarz z ponurą miną siedział w domu i przeglądał slajdy na ekranie komputera. Sięgnął po linijkę, wsunął ją pod gipsową skorupę, która pokrywała jego prawą nogę od stopy do uda, i wykrzywając się straszliwie z wysiłku, poruszał nią w górę i w dół, usiłując uśmierzyć dokuczające mu swędzenie kolana. Nie osiągnął celu i wściekły odrzucił linijkę na biurko. Skupił się na slajdach, żeby oderwać uwagę od nogi. Przedstawiały głównie panoramy pejzażu z lotu ptaka, fotograficzny plon jego podniebnych lotów. Zrobił je w lecie lub w jesieni: pola i lasy były zielone, a jeziora odbijały błękitne niebo. Gdyby teraz mógł wznieść się w powietrze, a marzył o tym od chwili wypadku, to patrzyłby na białe tafle zamrożonych jezior lśniąca w słońcu, na wioski i miasteczka ucichłe pod grubą pierzyną śniegu. To nieszczęście wydarzyło mu się, gdy nierozważnie nisko latał nad kapliczką Kalinowskich w czasie jej poświęcenia. Zatoczył wtedy dwa koła nad zgromadzonymi, wystraszył babcię Wroniszewską, która myślała, że to Lucyfer chce ją porwać za to, że daje tak mało na tacę – ale skąd tu brać?, renta po starym głodowa – poleciał w stronę jeziora i znikł za wzgórzem. Tam stracił ciąg, nie zdołał już poderwać motolotni i rzuciło go o ziemię. Od tego czasu minęło już parę tygodni, ale perspektywa była niewesoła – nie wzbije się w chmury przed Wielkanocą, a tu jeszcze nawet do Bożego Narodzenia było daleko.

Józek wyszedł z domu, niosąc dywan zwinięty w rulon, za nim, też z dywanem, szła młoda ładna dziewczyna. Rozwinęli oba na śniegu.

– Daj, Justyna, trzepaczkę – polecił Józek, a ona podała mu jedną z dwóch, które trzymała. Zaczęli trzepać i widać było, jak bawi ich rytm uderzeń, jakby to była rozmowa. Ona śmiała się, pokazując ładne zęby. Krzysztof, wolno i systematycznie odgarniając śnieg przed domem, popatrywał na nich rozbawiony.

Justynę wynalazła oczywiście Marianna w jakiejś chałupie, gdzie ją wezwano z prośbą o zastrzyk. Wstrząsnęła nią bieda, jaką tam zobaczyła: gromadka małych dzieci, skrajnie wycieńczona, zapracowana matka, ojciec w więzieniu, skazany na rok za pijaństwa i bicie żony, w kuchni zamiast podłogi klepisko – jedna rozpacz! Justyna była najstarsza, skończyła siedem klas i właściwie nic nie umiała, matka jej

wiele nie mogła nauczyć – gotować?, a cóż tam się u nich gotowało! – sprzątać?, co?, zamiatać klepisko? – prać?, kijanką w jeziorze. Kiedy Marianna zaproponowała, że weźmie dziewczynę do pracy, jej matka uknęła przed nią i pocałowała ją w rękę. Marianna tak była tym zaszokowana, że od razu ze sobą zabrała dziewczynę i jej liche szatki. Dopiero w domu, po spojrzeniach obu mężczyzn, Krzysztofa i Józka, zorientowała się, że w ogóle nie zwróciła uwagi na urodę dziewczyny, a Justyna była naprawdę bardzo ładna. Wysoka, smukła, długonoga, z wyrazistymi, ale proporcjonalnymi wypukłościami. Miała kruczoczarne włosy i niebieskie oczy. Była jedną z tych często tu spotykanych prawie egzotycznych piękności, które miejscowi niezbyt wyszukanie nazywali „cygańskim pomiotem”. Rzeczywiście, biorąc pod uwagę, że w paru sąsiednich miasteczkach osiedliło się kilka dużych rodzin Romów, gdzie zawsze było wielu przystojnych brunecików, którzy jeździli po wioskach i sprzedawali patelnie własnego wyrobu, można by uznać, że ten epitet ma podstawy. Co więcej, Justyna drastycznie różniła się od reszty licznego rodzeństwa, które było bez wyjątku pszeniczno-kartoflane, toteż być może pijaństwo i awanturnictwo ojca miało źródło w tajemniczej odmienności pierworodnej córki. Marianna omal nie pożałowała swojego odruchu filantropii i chciała Justynę odprawić, kiedy zobaczyła, że również cała ekipa budowlana wodzi za nią oczami. Wydali się jej stadem psów, które zleciały się z całej wsi i z wywieszonymi jęzorami, dysząc z żądzy, myślą tylko, jak dopaść śliczną suczkę, a ona, grając napisaną przez naturę rolę, udaje, że nie wie, o co chodzi. Ale Justyna niczego nie udawała ani też nikogo nie prowokowała, nawet nie kokietowała. Uśmiechała się do każdego jednakowo, pokazując swoje białe, rzeczywiście jak u pieska, zęby w pięknej oprawie pełnych, malinowych ust, więc Marianna uspokoiła się, zostawiła ją i już tylko była coraz bardziej zadowolona z jej zapału i pracowitości.

Krzysztof też był zadowolony, że ma na kim zawiesić wzrok i nawet czasem wyobrazić sobie jakąś ekscytującą, choć całkowicie nierealną sytuację, ale korzystając ze swojego długoletniego doświadczenia starego hipokryty, bardzo się pilnował, aby Marianna nie przyłapała go na spojrzeniu, jakim zwykł był obrzucać Justynę.

Od głównej bramy pojawiła się okutana w chusty energiczna postać kobieca, zmierzająca w jego kierunku.

– Dzień dobry, pani Wiśniewsko! – zawołała Justyna, nie przerywając trzepania.

Kobieta odwróciła się.

– O! To i ona tu jest?

– Pomagam przed świętami – odkrzyknęła dziewczyna.

– Robotna, to i pożytek z niej! – dogadał Józek i śmiali się oboje.

Kobieta zatrzymała się przed Krzysztofem.

– Wasza w domu?

– Dzień dobry – odrzekł.

– Dobry, dobry...

– Żona w domu, ale bardzo zajęta. W czym mogę pomóc?

Baba namyślała się chwilę.

– Przyszłam powiedzieć, że wasz pies znowuż zadusił moją kurkę.

– Niemożliwe – zdziwił się Krzysztof – znowu?! Była tu pani chyba już z pięć razy w tym tygodniu.

Baba mrugnęła chytrymi oczkami.

– Same nioski dusi, ta czarna bestia. Zapłacić należy...

Krzysztof popatrzył na nią uważnie.

– No dobrze. Ale najpierw pani Wiśniewska przyniesie tę kurę. Zrobimy rosół dla psów.

Baba przestępowała z nogi na nogę, tupała, że niby zmarzła.

– Oj, ciężko będzie... Chyba siostra wyrzuciła na śmietnik, to na pewno koty rozwekli. Musi co tak.

Krzysztof nie spuszczał z niej oka.

– Umowa stoi, szanowna pani. Będzie kura, podobno zagryziona przez Bertę, będzie zapłata. Z rączki do rączki.

– Ano... jak tak... – powiedziała enigmatycznie Wiśniewska, odwróciła się i odeszła, odprowadzona wzrokiem Krzysztofa, który już nie musiał się hamować i podsumował w myślach swoje wrażenia: Wstrętne, chytre babsko, brzydka jak noc, zła jak przydeptana osa, do tego śmierdzący brudas, myła się ostatni raz na Wielkanoc! – kiedy wyobraził sobie ją nagą, a miał zwyczaj wyobrażania sobie tak prawie każdej kobiety, musiał gwałtownie odwrócić wzrok od tego abominacyjnego obrazu, żeby nie zwymiotować. Uch!!!

Krzysztof wrócił do swego odśnieżania, nucąc rytmiczną piosenkę Rosiewicza o odśnieżającym dozorczy imieniem Zenek. Młodzi przeszli za nim z dywanami i rozmawiając z ożywieniem, zniknęli w domu. Krzysztof przystanął i zamyślił się. Zaśnieżone pola przypomniały mu tamtą zimę w Kansas, kiedy po paru miesiącach samotności, wypełnionej intensywną pracą na uniwersytecie stanowym w Lawrence,

gdzie wykładał jako *visiting professor*, przyjechała nareszcie Marianna z dziećmi. Po wspaniałej kolacji, którą dla nich przygotował z kubłem lodów „31”, po nocy, kiedy musiał jaśkiem zatykać usta Marianny, żeby nie krzyczała, bo wstydził się śpiących w sąsiednim pokoju dzieci, poszli oboje na spacer. Była piękna słoneczna pogoda, czyste, mroźne powietrze. Zaprowadził ją na stadion miejski, bo tam można było usiąść na osłoniętej od wiatru trybunie i opałać się jak na Gubałowce. Marianna umilkła i siedziała nieobecna, zatopiona w myślach. Patrzył na nią z niepokojem, ale czekał, aż sama zechce mówić. W końcu, nie patrząc na niego, odezwała się cicho: „Nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale przecież muszę...”. Zamarł jak rażony prądem. Jego wyobraźnia podsunęła mu natychmiast serię niejasnych obrazów: ona z jakimś mężczyzną – fantomem w kawiarni, na koncercie, w łóżku... Poczuł żal i rozpacz, potem wzbierający gniew i zawód, ale także gdzieś pokątnie przemykającą się masochistyczną rozkosz. A więc stało się to, o czym czasami myślał, żeby... „Jacek rozbił ci samochód – wyrzuciła z siebie Marianna – ale już jest wszystko naprawione, Zarzycki pomógł...”. Z Krzysztofa uszło powietrze: „Co?! Samochód?! I tego nie mogłaś wykrztusić?! A ja już pomyślałem... Bóg wie co!”. I opowiedział jej, jak miesiące tutaj zmieniły jego stosunek do samochodów. Już nie patrzył na nie z bałwochwalczym nabożeństwem, tylko uważał za pożyteczny sprzęt, jak krzesło czy stół. Zaraz po przyjeździe nowo poznany na pożegnalno-powitalnym bankiecie kolega profesor, którego miał zastąpić, gdy ten wyjedzie do Australii, zaproponował, że zostawi mu swój samochód, tak jakby chodziło o łopatę do odgarniania śniegu, taką jaką teraz się posługiwał...

Pojawił się Józek.

– Pan da, ja dokończę. Będzie raz, raz, a tam pani Marianna coś pana wołała.

– Tak? No, to jazda... – Wręczył mu łopatę, a sam poszedł, otupując śnieg z butów. Przed wejściem wziął jeszcze parę głębokich oddechów i ruszył zajrzeć na budowę, która przeniosła się już do środka budynków.

W kuchni na stole piętrzyły się sztuczce, stołowe srebra i platery. Marianna i Helena czyściły je zapamiętale.

– To ja teraz sprzątnę na piętrze i może okna przetrę? – zaproponowała Justyna, wchodząc z dworu i zawiązując fartuch.

– Dobrze, dziecko, tam masz wszystko, co trzeba – pokazała Marianna na pokój gospodarczy – ale uważaj odkurzając, bo gwoździe pod obrazami mogą być niepewne. – Ściszyła głos: – Pan Krzysztof je wbijał...

– Pani będzie spokojna – rzuciła dziewczyna i wyszła.
– Podoba mi się ta Justynka – powiedziała Marianna.
– Coś mi się zdaje, że Józkowi też... – Helena przyciszyła głos. – Dałby Bóg. Lata mu idą, a ona byłaby pasująca. Pracy się nie boi, wesoła i choć ładna, nie latawica, boć ją znam od małego. U Szymków biednie, ale to porządna rodzina. No, ten stary trochę pobrykał, ale mu tam w więzieniu różki przytrą...

– To co ten nasz Józio oczu nie ma? Jeszcze mu ją ktoś sprzątnie... – zaczęła Marianna.

Krzysztof stanął w drzwiach.

– To sprzątanie jest okropnie destrukcyjne. Psychicznie...

– Nie stój tak, rozbierz się i nie narzekaj.

Krzysztof wszedł do przedpokoju.

– Krzysiu! – zawołała za nim Marianna – dodzwoniłeś się do Jacka?

– Tak! – odkrzyknął. – Pszenicę na kutię ma zamówioną, a Kasia bierze na siebie indyki. Aha, jak o drobiu mowa... Niejaka Wiśniewska domaga się wsparcia finansowego.

– Znowuż? – oburzyła się Helena.

– Coś podobnego – dodała Marianna – to już bezczelne tempo z tymi kurami.

Krzysztof wszedł do kuchni, zajrzał do lodówki, szukał czegoś do pogryzania, odłamał kawałek suszącej się nad kuchnią kiełbasy.

– Wiesz... będziemy mieli kilkanaście osób na święta. Dacie sobie radę?

– Musimy – twardo odpowiedziała Marianna.

– Będzie dobrze – wtrąciła się Helena – uszka do barszczu już są zamrożone, pierogi z kapustą też...

– Duży piernik upieczony – dorzuciła Marianna.

– Karpie w wannie – powiedziała Helena.

Krzysztof odwrócił się do niej.

– A tak prosiłem! Tak prosiłem, żeby nie wpuszczać do wanny! Nie znoszę tego! Po pierwsze, to niehigieniczne...

– Po pierwsze, wszyscy to robią od wieków, a po drugie, zachowaj spokój, są w wannie, nie w naszej wannie – uspokoiła go Marianna.

– No, to mówcie tak od razu – złagodniał Krzysztof. – Może ja teraz pójde zapakować prezenty?

– O, widzisz! To bardzo ważne i odpowiedzialne zadanie. I ponaklejaj kartki, co

dla kogo.

– A co my mamy dla Miotły? – spytał Krzysztof.

Pani Helena popatrzyła na niego zdziwiona.

– To u państwa i miotła dostaje prezenty?

Marianna zaśmiała się głośno.

– Miotła to przezwisko ciotki Teodory. Bo ona...

– Niestety, potwierdziła swój przyjazd. Razem, oczywiście, z tym koszmarnym Edziem... – westchnął Krzysztof.

– Z synkiem? – zapytała Helena.

– Z synkiem, który trzyma się jej spódnicy już pięćdziesiąt lat z okładem – rzucił Krzysztof. – Zobaczysz pani, Heleno, jak będą zmiatać wszystko z półmisków, te dwie miotły. Sięga pani po widelec, żeby coś sobie nałożyć... gdzie tam! Półmisek już pusty, a ciotce Teodorze ciągle burczy w brzuchu z głodu.

– To prawda – zaśmiała się Marianna. – Ciotka Teodora jest postrachem całej rodziny i znajomych, bo zjawia się z Edziem na niedzielnych obiadach, ale jakoś ten najazd „dziwadeł” przeżyjemy. To dobrze, że wysłałeś zaproszenia – zwróciła się do męża. – Niech dzieci poznają, jakie zabawne oryginały rodzinne bywają jeszcze na tym świecie. Czas tak bezwzględnie wykrusza naszych bliskich, a w dodatku nietuzinkowych... Czy twoja siostra Emilia zechce przyjechać? Telefonowałaś potem do niej?

– Marianno, przecież ona jest głucha jak pień! Napisałem! Tylko ciotka Malwina może ją przekonać, wiesz, jak one się tajemniczo porozumiewają...

– Boże, jak ich muszą piec uszy z tego obgadywania – zauważyła Marianna.

– Ale tylko uszy, bo wątroby i żołądki to mają z żelaza! – zaśmiał się Krzysztof.

– Lubię pana żarty, ja wiem, że pan przecież im niczego nie żałuje... – uśmiechnęła się Helena i odwróciła do okna. – A czego to tak szczekają? Ale samochód... Wielki...

– A kto tam? – Krzysztof podszedł bliżej. – O, masz! Zupełnie nie w porę, profesor Gajewski.

Marianna szybko zdjęła rękawiczki.

– To do mnie.

Profesor i Marianna weszli po schodach do jej pracowni.

– Korzystam, że Alicja jeszcze jest w Szwajcarii, bo przecież to jest niespodzianka.

– Ach tak... Dlatego było zdjęcie, a nie model?

– Tak. Więc specjalnie przyjechałem, żeby go ukryć przed nią. Święta będziemy obchodzić tu, w naszym domu, a jutro odbieram żonę z lotniska.

Marianna otworzyła drzwi, zapaliła światło. Na sztalugach stał piękny pastel. Portret Alicji. Uśmiechnięta tajemniczo, łagodna i ufna, trzymała w ramionach małego białego króliczka.

Profesor stał nieruchomo, jakby wstrzymywał oddech.

– Króliczek... – powiedział wolno w prawdziwym zachwycie. – Moja dama z króliczkiem... Piękny pomysł, pani Marianno, ona mój króliczek i ten biały... Jestem pani tak wdzięczny... – Ujął jej dłoń, ucałował, a Marianna pomyślała w panice, że ta ręka jest ostatnio nieco zaniedbana i szorstka.

– Cieszę się.

– A ja jestem szczęśliwy. Uchwyciła pani – zawiesił głos – wszystko to, co jest w głębi mojego króliczka... Co chowa pod pozorami, z których składa się jej zawód. Nie lubię go – powiedział cicho – może nawet nienawidzę... Ona jest dla nich, dla wszystkich i taka jest, jak oczekują, a przecież naprawdę to dziecko, zadziwione światem dziecko. Ufne i nieufne, odważne i przestraszone, wrażliwa i piękna. I chyba moja... – dodał jeszcze ciszej – bardzo ją... – nie dokończył.

Marianna słuchała zaskoczona i nieco speszona nagłą otwartością profesora. Zobaczyła go nagle innym, zwyczajnym i budzącym sympatię.

– W każdym razie – postarał się zażartować – tu jest moja i prawdziwa. Och, pani Marianno... – Sięgnął do kieszeni, wyciągnął portfel.

– Profesorze, w moim sercu jest dozgonna wdzięczność dla Alicji – powiedziała poważnie Marianna – i dla pana. Krzysztof potrzebował pomocy i gdyby nie działania Alicji i pana...

– Droga Marianno, najważniejsze, że pan Krzysztof czuje się dobrze. A jeżeli udało się nam pomóc... – zbagatelizował elegancko.

– Tak – uśmiechnęła się Marianna. – Chwała Bogu, jest dobrze.

Profesor otworzył portfel i nie bardzo wiedział, jak sformułować pytanie o cenę obrazu.

– Nie – potrząsnęła głową Marianna – to była moja przyjemność i jest to podarunek, panie profesorze.

– Ale tak nie można – certował się zaskoczony profesor. – Nie, tyle pracy... talent! Materiał... tak się już nie robi w dzisiejszych czasach, żeby...

– Owszem. I bardzo proszę przyjąć go od nas, z najlepszymi życzeniami dla

całego domu.

– O... jestem naprawdę zaskoczony. Wielkie, wielkie dzięki, i ja życzę w imieniu mojej rodziny wszystkiego, wszystkiego dobrego – schował portfel i nagle wpadł na pomysł – a tu... – wyciągnął z kieszeni elegancko zapakowane pudełeczko – proszę mi pozwolić... drobny upominek pod choinkę.

– Naprawdę? – zdziwiła się jak dziecko Marianna. – Dziękuję.

Profesor odwrócił się i zdjął obraz ze sztalugi. Marianna rozwinęła papier. W pięknym opakowaniu był flakon perfum Arpege Lanvina.

– Ooo... profesorze... – westchnęła w zachwycie.

Przed domkiem stał Kotula w bereciku i fufajce. Czerwoniutki, a oczka świeciły mu się podejrzenie. Marianna wyszła do niego w futrzanej kamizeli.

– Przywiózł cielaka, jak chciała, i drewno od leśnika na opał.

– Dziękuję. Mięso od razu do kuchni, a potem drewno do drewnutni.

– Do drewnutni – powtórzył Kotula i leciutko się zataczając, sięgnął po cielaka.

– Ej, ej, panie Kotula! – zawołała Marianna. – Cielak do kuchni, drewno do drewnutni. A do gardła to już coś było, co?

– Ano święta, to i czas okazać się – zgodził się Kotula.

– Tak, każda okazja jest dobra – kiwnęła głową Marianna i ruszyła do domu.

– Pani się wstrzyma! – krzyknął za nią Kotula, puścił mięso i złapał się sań. – Sprawa! Pieniążki są? Bo mam cholerne wydatki...

– Są, są! Ale najpierw pan wyładuje.

– Tak jest! – ochoczo powiedział Kotula. – Do kuchni! I do drewnutni! Do kuchni! I do drewnutni. Tak jest...

Marianna otrzepała nogi i weszła do kuchni.

– Ach, ten Kotula! Już jest dobry – powiedziała do Heleny. – Dopomina się, a obiecałam Kotulowej, że nie dam mu pieniędzy do ręki.

– Pani patrzy – Helena wskazała okno – już jest policja.

– Policja? – Marianna szybko podeszła. – Dłaczego?!

Na podwórzu, przy saniach, stał z podniesionymi rękami Kotula, a Kotulowa sprawnie obszukiwała mu kieszenie i rękawy. Kiedy zabierała się do przeszukiwania sań, Marianna otworzyła okno.

– Pani Aleksandro, proszę do środka!

– Chwała Bogu w samą porę – odetchnęła z ulgą, zamykając okno.

– On chyba istnieje... – westchnęła Helena.

Nieśmiało weszła do kuchni Kotulowa.

– Wszystkiego co najlepsze z okazji świąt – zaczęła przymilnie.

– Wzajemnie, wzajemnie – odpowiedziały Marianna i Helena.

– Pani Aleksandro – Marianna otworzyła portmonetkę – tu za jaja... byłam winna – przeliczyła – a tu za cielęcinę i drewno. Proszę sprawdzić.

– Co tam liczyć... – Kotulowa skrętnie przeliczyła. – Zgadza się. Pięknie dziękuję, że pani poczekała z kasą...

– No – skwitowała Marianna uśmiechem – i wszystkiego dobrego.

– Wesołych świąt i dla paninego chłopca, pani Kalinowsko, a jakby co jeszcze było trzeba, to dadzą znać. Pani, a co to jest, jak taki świder tu mnie się wkręca, co raz – pokazała skroń.

– Kiedy? – zapytała Marianna.

Rozległo się pukanie i zajrzał majster.

– Można?

– Proszę, panie Bugała, proszę – powiedziała Marianna.

– No, on mnie się różnie wkręca, ale świder to jest zawsze – wpatrywała się w nią Kotulowa i pokazywała na skroń.

– Za dużo Kotulowa pije... – zaśmiał się majster.

Kotulowa aż sčerwieniła.

– Byle co zeźre, byle co gada!

– To może być reumatyczny ból, pani Aleksandro, a może zawiąło... Trzeba do lekarza, a na razie głowę trzymać w ciepło.

– Pod poduszką – rzucił majster i cofnął się dla bezpieczeństwa.

– Panie Bugała... – przywołała go Marianna do porządku – co tam?

– Do widzenia. – Kotulowa ruszyła do drzwi i rzuciła w stronę majstra: – Pasowalibyście do mojego płota. Jednego kołka mi brak!

Marianna opanowała śmiech.

– Szefowo, na dzisiaj to już musi co fajrant... Będziem szli. Trza jeszcze w chałupie to i owo zrobić, choinki obsadzić i takie tam różne...

– Dobrze, panie Bugała, oczywiście. Przygotujcie stół na budowie, przyjdziemy z mężem podzielić się opłatkiem.

– O, tak się i należy – przytaknął majster.

Na poddaszu dawnej obórki stały już gotowe ścianki, na nich równo naklejono tapetę. Wszędzie było zamieciono i uprzątnięte. Przy pustym stole, na ławkach siedzieli wyszorowani i uczesani robotnicy, na ich twarzach malowały się głupawo okolicznościowe uśmiechy. Dla gospodarzy postawiono dwa krzesła. Majster Bugała stał przy drzwiach z zadowoloną miną.

– Prosimy...

Kiedy weszli Kalinowscy, wszyscy z szuraniem powstali z miejsc. Marianna niosła wielką tacę ze stertą kanapek i talerzykiem, na którym leżały opłatki, Krzysztof tacę z dzwoniącymi kieliszkami i dwiema butelkami wódki.

– Taki dzwonek... aż się chce na kolana – z lubością powiedział gruby Orzeszko.

Chłopy śmiali się wstydliwie. Kalinowscy postawili tace na stole, Marianna usiadła, wtedy usiedli i mężczyźni. Krzysztof stał z opłatkiem, patrząc po obecnych.

– Panowie, zanim podzielimy się opłatkiem, składając sobie życzenia, chcę powiedzieć kilka słów. Nie za długo, bo wiem, jak rwiecie się do domów, jeden z drugim, żeby pomóc żonie... – zawiesił głos, żeby chłopy gruchnęli śmiechem.

– Musowo! – zawołał któryś.

– Grzesiu akurat kawaler – zaśmiał się inny.

– Cudzej to by polecał pomagać – dodał jakiś.

– No, dobra – przywołał ich do porządku majster, gasząc rubaszne śmiechy.

– Kończy się rok – zaczął Krzysztof z powagą, patrząc im w oczy – kończy się jakiś etap roboty. Wierzę, wierzyliśmy... że dawaliście całe swoje umiejętności, talent i zapał. Bywały chwile przesilen, bywały małe i większe spięcia, ale myślę, że przy dalszych pracach w przyszłym roku będzie jeszcze lepiej, bo już się dobrze poznaliśmy, wiemy, na co kogo stać, i mamy do siebie zaufanie. A więc dziękuję, panowie, i życzymy wam zdrowia i spokojnych, rodzinnych świąt. Wszystkiego dobrego!

– Dziękujemy. Wzajemnie! Wszystkiego najlepszego! – zmieszły się głosy chłopów, Krzysztof podał całą opłatek Mariannie i zaczęli się łączyć nim, oczywiście rozpoczynając od majstra. Padły jeszcze przy tym życzenia dla Marianny, ale szarmanckie, jakby była tu nie gospodynią, ale zaproszoną damą, którą należy komplementować nieomal z galanterią, padły też komentarze:

– Pani to jest twarda ręka! Ale tak się należy.

– Bo ja muszę za siebie i za wasze żony! – obroniła się Marianna. – Panie Wójcik... cieszę się, że z pańską trochę lepiej, ale trzeba o nią dbać. Będzie tak?

– Będzie, co ma nie być... – zgodził się Wójcik flegmatycznie.

Wszyscy sięgnęli po nalane kieliszki. Krzysztof zauważył odklejoną tapetę, odchylony róg i konspiracyjnie, żeby Marianna nie zauważyła, pokazał to jednemu z robotników. Ten walnął z całej siły dłonią, usiłując ją przykleić.

– Jak wyschnie, będzie dobrze – zapewnił.

Majster wyglądał tu i ówdzie. Padły głosy:

– Najlepszego!

– Pomyślności! Wesołych Świąt!

Sprawnie przechylili kielichy, sięgnęli po zakąski. Marianna z zadowoleniem patrzyła na ich ruszające się żuchwy i stwardniałe palce zaciśnięte na kanapkach.

Krzysztof zamarł nagle, wpatrywał się w coś poza Marianną. Ona się odwróciła i zobaczyła, jak odklejony pas tapety pod wpływem swojego ciężaru zwija się w rolkę od sufitu do podłogi. Następny też już częściowo odstawał.

– Masz swój ruski klej, ciołku! – wściekle rzucił do kogoś majster.

Z samochodu wysiedli Iza i Jasiek, a z drugiej strony Jacek pomagał się komuś wydostać. Marianna wytarła pospiesznie ręce. Przed domem już Krzysztof witał się z dwiema okutymi ciepło ciotkami, Emilią i Malwiną.

– Cieszę się, że dałaś się namówić, Emilko! – krzyknął, a ona popatrzyła na niego, uśmiechnęła się i pogroziła mu palcem.

Malwina, nachylona nad otwartym kufrem samochodu, wskazywała ręką w mitence:

– To, to Jacusiu... i ostrożnusięńko!

– Babcia! – popędził Jasiek. – Czy dziadek mówi prawdę, że czekał z ubieraniem choinki na mnie?

Marianna złapała go w ramiona.

– Dziadek zawsze mówi prawdę!

– Miejmy nadzieję – dorzucił Jacek. – Cześć, matka.

Ucałowali się i uściskali wszyscy radośnie. Iza jeszcze trochę utykała.

– Izuniu, moja krucha, jak twoja noga?

– Do następnego razu, mamó.

– Wypluj to słowo! – zawołała Marianna.

– Moja żona krucha? Twarda jest jak stal – zaśmiał się Jacek.

– Ciociu Malwino! Nareszcie jesteś! – Marianna popatrzyła na nią z czułością, na

stary płaszcz ciotki, lekko wygryzionego lisa i wypłowiwały nieco kapelusze.

– O, mój kotku puszysty... – ciepło powiedziała Malwina – ależ to odległości! Ale i pięknie po drodze, i Jacuś ładnie kierował... i was widzę...

– Jesteś najwspanialszym prezentem, jaki mogłam dostać na święta, i nie tylko na święta zresztą – szepnęła, obejmując ją, Marianna.

– Daj no i mnie tę damę na trochę – zawołał Krzysztof i wyłuskał ciotkę z ramion Marianny.

– Emilio, Bóg ci zapłać, że dałaś się namówić na przyjazd! – Marianna nachyliła się do szwagierki, a ona spytała:

– Urosłaś?

Marianna zaśmiała się.

– Chodźcie do domu, bo mi zmarzniecie.

Malwina wzięła pod rękę Emilię, która rozejrzała się dookoła.

– Pięknie...

– Tak... – przytaknęła Malwina. – Chodźmy, Miluniu, napijemy się herbatki.

– Co? – bardziej nie słuchając niż z głuchoty zapytała Emilia.

– Dom – pokazała palcem Malwina i obie ruszyły. Dreptały ostrożnie w tych swoich nieco staroświeckich ubraniach, skromnych, ale noszonych z elegancją starszych dam, które niegdyś żyły inaczej. We wnętrzu domu zniknęli już Iza z Jackiem i Marianna, obie ciotki, a Krzysztof jeszcze chwilę został, żeby strząsnąć czapę śniegu z psiej budy. Z domu wyszedł Jacek i kierując się do swojego samochodu, zawołał nagle:

– Tato!

Krzysztof się odwrócił. Wolniutko wjeżdżała taksówka z rejestracją z Ełku. Zatrzymała się koło samochodu Jacka:

– Ciotka Teodora! – zawołał.

– Rany Boskie, taksówką?! – szepnął Krzysztof, otworzył drzwi do domu i krzyknął: – Marianno! Ciotka Teodora!!! – po czym pospieszył do gości.

Jacek starał się wydostać z taksówki zaklinowaną ciotkę.

– Ciociu, dlaczego taksówką? Mieliśmy przecież o czternastej...

– Witajcie, panie dziedzicu – uchylił czapki Edzio.

– Witaj, Edwardzie, co się stało?...

– Jacek, nie ciągnij tak, bo wyrwiesz mi ramię! – zaprotestowała Teodora. – Zaczęłam wychodzić nogami – zaproponowała.

- Nogi są dobre do chodzenia – zgodził się taksówkarz.
- Niech pan lepiej milczy! – krzyknęła Teodora. – Masz pan pudło po landrynkach, pułapkę na mysz, a nie samochód! Męka! No, męka!
- Niżej głowę, bo wyjdzie ciocia oskalpowana – ostrzegł Jacek.
- Edwardzie, dlaczego o tej po... – zaczął Krzysztof.
- Mamulka wszystko poplątała – łagodnie tłumaczył Edzio, stojąc z boku i nie wykazując żadnej inicjatywy.
- Sam poplątał! Uparte to, po swoim beznadziejnym ojczulku! Drugi wielepiejek. Dość! Dajcie mi odpocząć!
- Ludzie... – Taksówkarz popatrzył wymownie w niebo.
- Nadeszła szybkim krokiem Marianna, z daleka dreptała Malwina.
- Ciociu?! Co się... – zaczęła.
- Mamulka nie może się wydostać... – wyjaśnił Edzio z głupawą satysfakcją.
- Teodorciu, co ty tam tak długo robisz? – podeszła Malwina.
- Skończyłam pranie, a teraz wiem! Na głupie pytanie głupia odpowiedź! – wychyliła się zgięta Teodora. Jej pełna twarz nabiegła krwią, wełniany beret z pomponem zsunął się nisko na czoło. – Oczywiście, musiałaś się tu u nich zjawić pierwsza, co?
- A licznik bije... – taksówkarz uśmiechnął się promiennie.
- Uwaga! Skupmy się – zarządziła Marianna nieco ostrym tonem. – Odsuńcie się. Ciocia się położy! Nie tak, nie na oparciu, bo bokiem nie wyjdzie. Tam głowa, a tu nogi. Szybciućko. Podsunąć się ku nam... jeszcze... tak... wyprostować nogi, odważnie, stopy idą na zewnątrz... Edwardzie, idź od tamtej strony, pchaj mamę, a my będziemy ciągnąć. No...
- Jak korek z butelki – bez sensu powiedział Edzio.
- Ciepłutkie te botki, Teodoro? – spytała Malwina, wskazując stopy wystające z samochodu.
- Zabierzcie ją, bo ją zabiję! – zawołała z głębi taksówki Teodora.
- Zaczynamy! – komenderowała Marianna. – Edziu, na Boga! Pchaj ramiona, nie głowę!
- Już!
- Przystąpili do akcji. Słyszeć było przy wypychaniu sapania, jęki i narzekania Teodory, histeryczny chichot taksówkarza.
- Trzeba było ją związać i... – sapnął Krzysztof.

– Jak baleron – dorzuciła Marianna.

– Co baleron? – zawołała z głębi Teodora.

– Wygląda, jakby taksówka rodziła... – Jacek zaczął się śmiać.

– Zamilcz! – warknął Krzysztof.

Z taksówki, w rozpaczliwej walce z oporną materią, wyłoniło się w pozycji poziomej ciało Teodory, wyciągane przez obecnych. Stała wreszcie, dysząc i wytrzeszczając oczy.

– No, cioteczko... witamy. – Pocałowała ją Marianna.

– Zapłaćcie temu człowiekowi – rzuciła Teodora. – Edwardzie, prowadź mnie, tu jest na pewno ślisko.

Malwina chciała ją wziąć pod rękę z drugiej strony.

– Nie! Tylko nie ty! – zaprotestowała natychmiast Teodora. – Zawieszysz się na mnie i przewrócisz. Zawsze tak robiłaś w Namierowie. Jesteś podstępna, ale cię rozszyfrowałam! Święta Teodoro! Torebka!!!

Teodora odwróciła się, nie zważając, że jest ślisko, dopadła taksówki, otworzyła drzwi i bez trudności zniknęła we wnętrzu, aby po chwili równie łatwo wysiąść, w dłoni trzymając kurczowo torebkę.

– Jest! Edwardzie, bierzże walizki i naprzód! Marianno, nie patrz tak, jakbyś zobaczyła ducha! Nie widzę powodu... mógł uciec z moją torebką!

Marianna spojrzała na męża, postarała się utrzymać powagę, wzięła obie ciotki pod rękę. Taksówkarz i Krzysztof patrzyli jeszcze chwilę za odchodzącymi. Śnieg padał coraz gęściej.

– Patrz pan – powiedział taksówkarz – trza było od razu zabrać jej torebkę. Wyskoczyłaby jak sarenka.

W kuchni krzątała się Helena, Iza w fartuchu trzymała tacę ze sztućcami i serwetkami, obok niej z tacą pełną talerzy przechodziła w drodze do stołowego Justyna. Marianna położyła na tacę Izy plik karteczek z ozdobnie napisanymi imionami.

– Tu masz wszystkich – przewertowała jeszcze wizytówki. – Nie posadź, broń Boże, pana Krzysztofa przy ciotce Teodorze ani Edwardzie, zastrzegł to sobie. Daj mu z jednej strony Katarzynę, a z drugiej siebie. Przy tamtych ja mogę... – Machnęła ręką.

– Ja też – powiedziała zgodliwie Iza.

Marianna popatrzyła na jedną z kartek.

– Gustaw Wolf, cieszę się, że go poznasz. Heleno, czy aby na pewno Józek

zostawił dla niego mój list z zaproszeniem?

Helena odwróciła się od pieca.

– Zostawił tam, w jego chałupie, bo go nie zastał.

– Dobrze. Posadź go obok mnie... i pani Heleny, żeby czuł się... bezpiecznie.

Przytrzymała drzwi i Iza wyszła. Za oknem rozległo się szczykanie.

– Pierniczki zawiniemy w wilgotną ściereczkę, będą lepsze – powiedziała Marianna.

– Jużem to zrobiła.

Słychać było męskie głosy w przedpokoju, otworzyły się drzwi i Krzysztof wprowadził ośnieżonego Zarzyckiego.

– Piotrze!

– Dobry Boże! – Helenie wypadła z rąk pokrywka.

– Witajcie, dziewczyny, chyba nie żyję! – starał się żartować Zarzycki. Szedłem piechotą i troszkę przemarzłem!

– Z Warszawy? – spytała bez zastanowienia Marianna.

Krzysztof nie uwierzył własnym uszom, że można zadać takie pytanie. Pokręcił głową.

– Nie. Z Milanówka przez Łódź Fabryczną, kochanie... – i sięgnął do kredensu po butelkę.

– Prawie – starał się uśmiechnąć Zarzycki. – Czyżbym odmroził nos?

– Rozbieraj się! – Marianna zdarła z niego kurtkę. – Pani Helenko, w męża szafie wełniane skarpety i w szafce ciepłe pantofle.

Helena nieomal wybiegła.

– Kielicha, to cię postawi na nogi – powiedział Krzysztof.

– O, dzięki. – Zarzycki wziął z rąk Krzysztofa szklaneczkę. – No, nie można się do was dostać. Dobrnęliśmy do Bałamutowa i klops! Stoimy tam. Danka w czyjejś chałupie. Pewno babie pomaga, jak ją znam.

– Ja zaraz skrzyknę ludzi, żeby odśnieżyli drogę – powiedziała energicznie Marianna. – Skarpety też ściągnij, Piotrusiu. Rozetrzyj wódką, ale mocno!

– Nogom dawać wódeczkę?

– Piotrze, nie żartuj.

– No, to jeszcze do... do... dosłownie kieliszeczek. Obyśmy zdrowi byli! – nalał ochoczo Krzysztof.

Po zasypywanej śniegiem drodze chybotliwie, bo w wydeptanej koleinie, szedł listonosz Pacała. Od strony chałup pojawiła się wracająca ze wsi Marianna. Szła ostro z zaciętym wyrazem twarzy.

– Dzień dobry, pani Kalinowsko – zawołał listonosz – a gdzie to w taką śnieżycę, zaraz ćmok będzie, a pani poza domem?

– A, pan Pacała... – złągodniała.

– Dobrze, zem panią spotkał – otworzył torbę – nie będę musiał... o, listy i kartki, jak to we święta do diabła i trochę.

– Dziękuję – wzięła je Marianna – ale wołę, żeby pan zaszedł, bo nie mam nic przy sobie, a chciałabym... – powiedziała znacząco.

– Dobrze jest. Bylebyśmy dożyli wiosny, a ja będę na pewno koło Nowego Roku, to się zobaczymy. A co to za spacer dla zdrowia, zem panią tu napotkał?

– Nie, panie Pacała. Wściekła jestem, bo droga zasypana, rodzina mi utknęła w Bałamutowie, no to chciałam, żeby ten Jarek od Wójcików ją odświeżył...

– To Jarek już wyszedł z wojska?

– Przepustkę dostał na święta. Za dobre pewno sprawowanie. I ten gówniarz mi mówi, że nic nie zorganizuje, bo mu to niepotrzebne! A jak będzie chciał gdzieś wyskoczyć, to traktorem.

– No i widzi pani – zgodził się Pacała. – Przecie i ja jakoś tam się muszę dotelepać!

– A ja pytam, co zrobi, jak do matki trzeba będzie wezwać pogotowie, jak się jej, nie daj Boże, pogorszy, to co będzie?

– No, no?

– A on: „We święta mamusia nam tego nie zrobi”. Baran! No, baran!

– Czego ich tam uczą w tym wojsku – wzruszył ramionami listonosz. – Tylko aby strzelać! No, to wesołych świąt! – zaszalował Pacała.

– I zdrowych – odpowiedziała Marianna i ruszyła z plikiem korespondencji przed siebie. Przejrzała ją pobieżnie, ale nieco uważniej, gdy zobaczyła różową kopertę zaadresowaną do Krzysztofa.

Weszła do kuchni, gdzie Zarzycki siedział już przebrany, śmiali się z Krzysztofem i Heleną, która postawiła im na stole masło, chleb i śledziki.

– Wesoło tu, a ja nic nie załatwiłam – powiedziała zła.

– Wymyślmy coś – pocieszył ją Zarzycki.

– Poczta – położyła listy z różową kopertą na wierzchu. – Panna Basieńka znowu

na różowo ku tobie...

Zarzycki wstał i popatrzył na Krzysztofa z udawanym podziwem.

– No, stary...

Krzysztof sięgnął po list, schował go do kieszeni z cierpiętniczym wyrazem twarzy, ale bagatelizując:

– Moja doktorantka. Na pewno znowu jakieś kłopoty z pracą dyplomową...

– A my mamy kłopoty ze śniegiem – próbowała się uśmiechnąć Marianna. – Co z Danką, jak Kasia i Robert tu się dostaną?

– Telefonujemy. Do zarządu dróg. Oni też zechcą coś zarobić na Wigilię. – Zarzycki wziął ją za rękę i wyszli z kuchni.

Marianna ze zdumieniem, a potem z rosnącym podziwem przysłuchiwała się rozmowie, jaką Zarzycki prowadził z „zarządem dróg”, czyli z przedsiębiorstwem w Ełku, zajmującym się takimi sprawami. Najpierw omotał uwodzicielskimi słówkami jakąś głupią sekretarkę i wyciągnął od niej potrzebne informacje i nazwiska, kto co może, potem kolejno rozmawiał z kilkoma osobami, za każdym razem używając innego klucza, dobierając go z szatańską nieomylnością. Na początku był oficjalny i używał tonu osoby przywykłej do wydawania poleceń, z lekka zabarwionego protekcyjnością, ale wykluczającego odmowę, co najwyraźniej wywołało u rozmówcy przeświadczenie, że ma do czynienia z kimś bardzo ważnym, co wiele może, więc lepiej z nim nie zadzierać. Potem, kiedy doszedł już do kogoś na niższym, ale operacyjnym szczeblu, zmienił się w swojaka, kumpla, który zna się na rzeczy i wie, że trzeba będzie posmarować. Na końcu już z całym bezwstydem uzgadniał kwoty oficjalne i „pod stołem”. Niebawem przyjechał ciężki spychacz, przetała te dwa kilometry drogi, Zarzycki sprawnie pozałatwiał „kwestie finansowe” i odcięci z Bałamutowa szybko dołączyli do spożywających już kolację domowników i wcześniejszych gości. Toczono ożywione rozmowy, nalewka krążyła, ale Marianna szybko spacyfikowała towarzystwo, wyganiając je do sypialń, aby dobrze się wyspali przed Wigilią.

Pod ubraną choinką leżała sterta prezentów pięknie opakowanych w kolorowe papiery z kokardami, płonął kominek, drzwi do jadalni były otwarte. Na stole, na obrusie leżała kompozycja z zielonych gałązek, szyszek, makówek, kłosów zboża, kolorowych świec. Było to dzieło Marianny. Takie jej kompozycje, zawsze wysmakowane, różne w zależności od pory roku, znajdowały się na stole zwłaszcza przy zgromadzeniach rodzinnych. Stół pięknie, z wielkim smakiem i staraniem

przygotowano do kolacji. Przed każdym nakryciem, wraz z gałązką świerkową, leżała kartka z imieniem. Poza domownikami, rodziną i gośćmi, zaproszono również Helenę z synem i Justynę. Także Gustawa Wolfa, ale on się nie zjawił. Panowała cisza i taki spokój, jakby w całym domu nikogo nie było. W pewnym momencie przez pokój przedreptał tylko Baxter, mały jamniczek Roberta i Kasi, stukając pazurkami o podłogę. Siedzący bezpiecznie na pianinie kot Filozof przeprowadził go wzrokiem.

Do jadalni wbiegł Jasiek i zatrzymał się na progu. Spytał cicho:

– Święty Mikołaju, jesteś tu?

Za nim pojawili się skromnie, ale elegancko ubrani Iza i Jacek. On oczywiście w garniturze i białej koszuli. Popatrzył na stół i na jego twarzy pojawił się wyraz aprobaty, potem przeszedł wolno, odczytując kartki. Robił to zabawnie, głosem starając się oddać charakter postaci. Za nim dreptał Jasio, którego bardzo to bawiło.

– Uspokójcie się – powiedziała bez przekonania Iza.

Weszła Marianna, wykonując jakiś gest przy fryzurze czy sukni, który był absolutnie zbędny, bo wyglądała pięknie i uroczyście.

– O, Marianno... – powiedziała Iza z uznaniem.

– Tak? – zaśmiała się Marianna. – Ty też, moje kochanie, wyglądasz niezwykle awantażownie, jak by powiedziały cioteczki.

– No, co się dzieje z rodziną? – rzucił Jacek i powrócił do czytania. – Podróżny... – odczytał ostatnią.

– Jaki podróżny? – spytał Jasio.

– Nieznany. Ktoś, kto będzie w drodze w czasie Wigilii, może zabłądził, może jest głodny, zmarznięty albo smutny, i zapuka do naszych drzwi.

– Ja jestem głodny podróżny, pójdę, zapukam do drzwi – oświadczył malec.

– Dokąd to? – złapał go w progu Krzysztof.

– Wracaj, synku – powiedział Jacek. – To chodzi o obcego podróżnego, a ty jesteś nasz, my jesteśmy twoją najbliższą rodziną i nie jesteś obcy.

Marianna popatrzyła na Jacka ze wzruszeniem. Oto jej dorosły syn, mężczyzna dojrzały uczuciowo, umie mówić o rzeczach ważnych ze swoim małym synem.

– Co jest z tymi guzdrałami? – niecierpliwił się Krzysztof.

Weszli Katarzyna i Robert, olśniewająco eleganccy, on radosny, ona łagodniejsza, łaskawsza światu i otoczeniu, tajemniczo jaśniejąca, ale i jakby leciutko niespokojna.

– Brawko na wejście. – Jacek zaklaskał, a Jasiek ochoczo poszedł w jego ślady. –

Oto nasi światowcy i ich słynne *entrées*. Jakże efektowne...

– Ale ważne też, dla jakiej widowni się je wykonuje. Jeśli dla tak wspaniałej... – dziwnie życzliwie odpowiedziała bratu Katarzyna. Robert tylko się uśmiechał.

– Zobacz... coś jest w niej... – szepnęła Marianna do męża.

– To jest po prostu moja piękna córka – odszepnął.

– Tylko twoja? To może mi ją przedstawić? – rzuciła Marianna.

– Tatusiu, a może prezenty. – Odwróciła się do niego Katarzyna prosząco.

– Tradycja – powiedział Krzysztof. – Najpierw kolacja. A Mikołaj będzie o dziewiętnastej.

Marianna podała mu talerzyk z opłatkiem.

– Kasiu, nie wiesz co z cioteczkami? One mają pokój obok waszego.

– Miotają się, co było słyhać, w sprawie koronkowych kołnierzyków... o? Mamusiu... – przyknęła oczy i nabrała powietrza. – Co za perfumy?... Ho, ho, ho! Robert, ty poznasz jak zawsze...

– Przestańcie – spieszyła się Marianna.

Robert przytulił twarz do jej policzka.

– Arpege Lanvina – odgadł bez namysłu.

– Brawo – zawołała Katarzyna. – Tato, tak się szarpnąłeś?! – W jej głosie brzmiał podziw.

– Nie. To dał twojej matce pewien lubieżny starzec z sąsiedztwa.

– No wiesz?! – oburzyła się Marianna. – To naprawdę nikczemne.

Wszyscy się roześmiali.

– Ja jestem lubieżny starzec z sąsiedztwa! – zawołał Jasek, robiąc potworne miny.

Marianna popatrzyła na Krzysztofa z wyrzutem.

– Tak, to są oczy i uszy świata – ostrzegła Iza.

Niespodziewanie cicho stanęły w drzwiach Malwina i Emilia. Były starannie uczesane, delikatnie podmalowane, w koronkowych kołnierzykach spiętych starymi broszkami, uśmiechnięte i leciutko podeksytowane.

– Troszkęśmy zmitrężyły... Prosimy o wybaczenie.

– A gdzie Marianna? – spytała Emilia.

– Jestem, Milusiu – odezwała się stojąca za nią Marianna. – Pięknie wyglądacie, moje ptaszki leśne.

– To dobrze, że jesteś – powiedziała Emilia.

– Cóż za cudowny, uroczysty wieczór... – wyrecytowała wyraźnie Malwina.

– „Przybieżeli do Betlejem pasterze”... – zaśpiewał, wchodząc z Danutą, Zarzycki. Poprawił fular i automatycznie przygładził włosy.

– Ależ cudownie nakryty stół – zachwyciła się Danuta. – U Marianny to zawsze...

Marianna otworzyła drzwi do kuchni i zawołała:

– Pani Helenko! Józus! Justyna! Co z wami?!

Z góry głośno i szybko zesza Teodora, wyspana już i przebrana starannie. Obok szedł Edward gładziutko uczesany, w niemodnym garniturze.

– Bałam się, że zasnęłam, bo już muszę drzemać po południu – oznajmiła z pretensją do całego świata Teodora. – Słyszę, kolęda, tak się spieszyłam, że mogłam się potknąć na tych waszych schodach – zadudniła głośno. – Bałam się, że już siedzicie przy stole.

– Bez cioci?! – Krzysztof zgorszył się na pokaz.

– No, niestety, mogło się tak zdarzyć, dobre maniere giną... Oooo, pięknie nakryłaś stół, Marianno – przyznała, złagodniała i po chwili się ożywiła. – No, to co? Jesteśmy wszyscy?

– Prawie. – Marianna odwróciła się i zobaczyła trójkę stojącą skromnie przy drzwiach. Helena miała na sobie ciemną suknię, najlepszą zapewne, jaką posiadała, złoty krzyżyk na łańcuszku, Józek był w czarnym garniturze i białej koszuli, Justyna w tej samej co zawsze sukni, ale bez fartuszka.

– No, teraz tak... – powiedziała Marianna i dodała z cieniem smutku: – Mam nadzieję, że zaproszony nasz przyjaciel jednak przyjdzie, ale nie będziemy dłużej czekać. Jego miejsce czeka na niego – wskazała stół – a teraz, Krzysiu...

– Staję się specjalistą od przemówień – zażartował Krzysztof, ale spoważniał i zaczął uroczyście: – Droga rodzino, kochani szanowni przyjaciele, domownicy... moja Marianno...

– A Berta, Lolka i Filozof? – spytał poważnie Jasiak.

– Oczywiście też – powiedziała szybko Marianna i przyłożyła palec do ust.

– Tak. Jak dobrze, że te pierwsze święta Bożego Narodzenia pod tym oby nam zawsze życzliwym dachem spędzimy wspólnie. We wzajemnej bliskości, przyjaźni i miłości... Zdrowia, spokoju, moi kochani, i serdecznie wszystkiego najlepszego – dokończył nieco wzruszony Krzysztof.

Wszyscy byli wzruszeni, nawet Teodora wykonywała dziwne ruchy nosem. Emilia posłyszała wszystko i powtórzyła cicho parę razy:

– Tak, tak, tak...

– To może być tak? – szepnęła Justyna.

Krzysztof wyciągnął opłatek do Marianny, ona ułamała kawałek, popatrzyła mu głęboko w oczy, jakby chcąc powiedzieć coś bardzo ważnego albo przedłużyć ten moment wyizolowania z obecności tamtych, głośno składających sobie życzenia.

– Bądź dla mnie dobra... – zaczął Krzysztof i tym rozbroił ją i lekko rozśmieszył – bądź kochana, bądź zdrowa...

– Życzę ci, Krzysiu, wszystkiego, wszystkiego dobrego, zdrowia przede wszystkim...

– O, tak... – potwierdził nieco zbolałym głosem Krzysztof.

– I żeby nasz dom na Mazurach był... – szukała określenia.

– Będzie! – przerwał jej z przekonaniem.

Włączyli się w ogólne składanie życzeń i pocałunki. Marianna przełamała się opłatkiem z Katarzyną i powiedziała delikatnie:

– Aż nie wiem, czego ci życzyć, córeczko...

– Oj, wiesz, wiesz... – zaśmiała się Katarzyna. – No, trzymaj się mama tak jak dotąd... – Nie umiała się jednak zdobyć na okazanie większej czułości.

– Bądź szczęśliwa – powiedziała Marianna.

– Izuniu moja – rzekł Krzysztof, przełamując się opłatkiem z synową – zdrowia i pociechy z obu chłopców...

– Droga Marianno, niech ci się dalej wiedzie – powiedziała znacząco Teodora – i nie zapominaj o rodzinie. Jesteśmy z Edziem bliższą niż na przykład Emilia!

– Cioteczko, Emilia jest siostrą mego męża – delikatnie napomniała ją Marianna.

– Dużo zdrowia, ciociu – dodała szybko – poczucia humoru na przeciwności losu...

– Nie zapominaj – powtórzyła z naciskiem Teodora i pozwoliła się pocałować.

Marianna odwróciła się i zobaczyła przed sobą Edwarda.

– Wszystkiego dobrego, Edziu.

– I tobie, kuzynko. Dziękując za zaproszenie, wyrażam nadzieję, mówiliśmy o tym z mamulką, że stanie się to tradycją wielu okazji świątecznych czy urlopowych.

– Życie przed nami – enigmatycznie odpowiedziała Marianna.

– Marianno moja – mówiła Danuta – zdrowia i bądź zawsze tak witalna i witana przez wszystkich. – Zaśmiała się. – Jesteś wspaniałą, pojedynczy egzemplarz.

– O, Danusiu, życz mi twojej niekończącej się przyjaźni.

– To masz, chcesz czy nie – pocałowała ją Danuta.

Katarzyna przełamała się opłatkami z ojcem, popatrzyli na siebie, a potem ona niespodziewanie, przy wszystkich przytuliła się do niego.

– Wszystkiego najlepszego, moja mała.

Helena była wyraźnie wzruszona.

– Pani Róża na pewno tu jest z nami.

– Jest zawsze... – dodała Danuta z powagą i spojrzała na Mariannę.

Malwina i Emilia przełamały się opłatkami, szeptały coś do siebie i śmiały się głośno.

– Co wy robicie? – ostro, choć cicho spytała Teodora. – To nie jest odpowiednia okoliczność na śmiechy. Tu przystoi powaga! To jest Wigilia, Malwino! Nigdy nie umiałaś się zachować... Nigdy.

Z satysfakcją zauważyła, że Malwina zgąsła. Emilia położyła dłoń na ramieniu Teodory i głębszo, ale wyraźnie powiedziała:

– Zatkaj się.

– Co...?! Co pani powiedziała? – szepnęła Teodora.

– Ona jest głucha – z dziwnym błyskiem w oku stwierdziła Emilia i odeszła, ciągnąc Malwinę.

– To może ja trochę zagram? – oświadczył nieoczekiwanie Edward i usiadł do pianina. Uderzył w klawisze i rozległy się pierwsze tony kolędy *Wśród nocej ciszy*, ale zagrane jazzowo, w stylu Oscara Petersona, bogatymi, wyrafinowanymi akordami. Wszyscy ucichli, a Krzysztofowi, Jackowi i Robertowi dosłownie opadły szczęki ze zdumienia. Podeszli bliżej do pianina i słuchali w zachwycie, a Edward grał jak natchniony. Po odegraniu pierwszej zwrotki w tonacji molowej, w wolnym majestatycznym tempie, w drugiej przeszedł na dur, przyspieszył i zagrał ją w stylu Errolla Garnera, z charakterystycznym, motorycznym akompaniamentem lewej ręki, a ostatni akord zabarwił wręcz Ellingtonowskim brzmieniem.

Dostał frenetyczne brawa, Krzysztof uściskał go i zapytał:

– Edziu, to ty grasz jazz? I to tak fantastycznie?!

– Gram różne rzeczy – odpowiedział skromnie Edward – na przykład to...

Wziął brawurowo pierwsze akordy *Etiudy rewolucyjnej* Chopina.

– Albo to – zaczął grać jakąś wulgarną, żwawą melodyjkę i podśpiewywać: – „Tidirytkum, tidirytkum, zawiązała sobie nitką! Nitką sobie zawiązała i nikomu nie dała!”.

Teodora podskoczyła jednym susem do pianina i z impetem zatrzaskała wieko

nad klawiaturą. Edward zdążył zabrać ręce i wyszczerzył zęby w grymasie, który miał być uśmiechem.

– Ty kretynie! – wrzasnęła ciotka. – To jest Wigilia, obraziłeś wszystkich! Marsz na górę! – Złapała go za kołnierz i podniosła z krzesła jak szczeniaka.

Krzysztof i Marianna pospieszyli z interwencją.

– No, już, już, cioteczko. Wybaczamy mu. Nic się nie stało.

Edward wyrwał się matce i zanurkował między gości, ukrył się za Malwiną i Emilią, które śmiały się cichutko i zacieraly rączki. Nieoczekiwanie nadeszła odsiecz, która oderwała uwagę wszystkich od głupiego incydentu: za oknem ktoś potrząsnął dzwonkiem. Psy szczekały jak szalone.

– Marianno... jakieś dzwonienie – zawołał Robert.

– Też mi się zdawało – dodał Krzysztof.

– Posłuchajmy... – poprosiła Marianna.

Teraz dźwięk brzmiał już bardzo wyraźnie i mocno.

– Święty Mikołaj? – drżącym głosem zgadywał Jasiek.

– Dzwonił, że będzie o siódmej – odparła Marianna.

– On teraz dzwoni! Teraz, babciu! Mamo! Wujku, słyszysz?!

– Przed kolacją? Co za obyczaje, moi drodzy – napięła się Teodora.

– Mamo, nie stój jak żona Lota – zaśmiał się Jacek.

– Poplątało się staremu w głowie – powiedział Zarzycki.

– Nie mów tak, wujku, o Świętym Mikołaju! – zaprotestował Jasiek. – Babciu!

Wpuść go!

– Jasiek, uspokój się! – powiedziała Iza.

Krzysztof ruszył do korytarza. Jasio czerwony i napięty, wczepił się w suknię Marianny.

– Dobry wieczór... – Wszedł zwalisty Święty Mikołaj, a za nim Krzysztof nieco rozbawiony rozłożył ręce.

– Zaspy. Zmiana kursu.

Mikołaj zwrócił się do Marianny, pytając cicho:

– Jak synek ma na imię, bom zapomniał...

– Jacek – odpowiedziała machinalnie Marianna.

– Dobry wieczór, Jacusiu! – nachylił się do chowającego się za Mariannę Jasia. –

Byłeś grzeczny?

– Byłem! – odrzekł Jacek, wywołując śmiechy.

Mikołaj pogroził mu palcem.

– Nie podpowiadać, bo będzie różeczka...

– Chodzi o Jasia, Mikołaju... – zaprotestowała Marianna – naszego wnuczka.

– O... – Mikołaj popatrzył na nią nie jak święty. – Wnuczek? To zaskakujące... A więc Jasio, czyli Jan. A pacierz znasz?

– Znam.

– No, to posłuchamy... – nudził Mikołaj.

– Nie – zdecydowanie odpowiedział mały. Marianna objęła go, a Święty, nieco zaskoczony, spytał:

– A to czemu?

– Bo jeszcze nie idę spać! Będę mówił z babcią, ale potem!

Dorośli tłumili śmiech, ale mały był serio zdenerwowany.

– Aha. No, zgoda, i czas na prezenty. Co my tu mamy... – Mikołaj podszedł do choinki.

– A teraz nic nie przywiozłeś? – spytał Jaś.

– Za dużo byś chciał, mój drogi... – Wziął wielkie pudło. – Co tu moje pomagierey anioły napisały? „Jasio...” – udał, że się rozgląda.

– To przecież ja! Już babcia mówiła, że to ja!

– Zgadza się chłopcze, masz...

Katarzyna pokazała dyskretnie na pudło z czerwoną kokardą.

– Bez protekcji, śliczna panienko – pogroził Mikołaj i wziął inną paczuszkę. – „Ciocia Emilia”!

Jasiek krzyknął z zachwytu, widząc narty.

– „Dziadek”! – zawołał Mikołaj i dodał: – Sama młodzież, dziadka nie widzę, to pewnie dla mnie...

Krzysztof wyciągnął rękę.

– Zaraz, zaraz...

Rozpakował, pocałował Mariannę, przyłożył do siebie sweter.

– „Cioteczka Teodora”! Chodź, maleńka...

– Bezczelny, ale z wdziękiem – podsumowała Teodora, odbierając paczkę. I choć szal jej się spodobał, zaciekała się prezentem Malwiny.

– Wspólnota: „Dziadek i Babcia”! – padło wreszcie z ust Mikołaja, który wyciągnął duże pudło z czerwoną kokardą.

Wszyscy popatrzyli rozbawieni i zaskoczeni, gdy Marianna i Krzysztof wyciągali

z niego coraz mniejsze i mniejsze pudełka, każde pięknie opakowane, jedno w drugich, jak matryoszka.

– Reklama opakowań – zaśmiał się Zarzycki.

W ostatnim leżała koperta.

– Pieniądze? – spytał Święty Mikołaj.

– Pewno podanie – podsunął Edward. – Znam ten format kopert.

Krzysztof wyciągnął z koperty druk, Marianna nachyliła się i nagle ich rozbawione twarze spowaźniały, pojawił się wyraz zaskoczenia, niedowierzania i wielkiego wzruszenia. Popatrzyli na stojących naprzeciwko Katarzynę i Roberta.

Marianna wręcz dopadła do nich i złapała w ramiona córkę, a Katarzyna stała bez ruchu, trochę nadrabiając miną. Robert przytulił je obie, a potem dołączył do nich Krzysztof, który podał kopertę Danucie.

– Wynik badania ultrasonograficznego! – zawołała radośnie Danka. – Jasiu, będziesz miał rodzeństwo!

– Wolę moje narty! – odrzyknął Jasiek, nie rozumiejąc, co się stało.

Przez chwilę przytulona czwórka wydawała się wyłączona i skupiona na sobie, ale zaraz młodzi zaczęli przyjmować gratulacje. Mikołaj zakończył w tym czasie rozdawanie prezentów. Krzysztof nachylił się do niego, coś powiedział, a ten kiwnął głową. Gospodarz wyszedł do kuchni. Wyciągnął z kredensu butelkę otwartego czerwonego wina i zastygł przez chwilę bez ruchu, gdy z tyłu objęła go Marianna. Powoli odwrócił się i przytulił ją mocno, wziął głęboki, szczęśliwy oddech i pogładził ją po plecach. Marianna przytulona, kątem oka widziała podarty różowy list, którego część leżała na podłodze koło kosza. Odchyliła się, patrząc w tym kierunku, on to zauważył i kiedy Marianna podniosła na niego oczy, Krzysztof pokiwał głową i powiedział z wyrzutem jak do dziecka:

– Oj, Marianno...

W salonie w ogólnym rozgardiaszu Mikołaj schował wsuniętą mu przez Krzysztofa za mankiet kopertę do kieszeni i przechylił podaną mu szklaneczkę wina. Wlał potężny haust do gardła, zakrztusił się.

– A żeby to! Ono niesłodkie! Kto to pije?! Dajcie spokój...

Jego wąsy i broda z waty zabarwiły się na czerwono.

– Babciu... – pokazał Jasiek z przejęciem – on się zmienia w wampira?

– Zobaczmy raz jeszcze, co dostałeś – zagadnęła Marianna.

Przed domem Święty Mikołaj nie mógł zapalić starego poloneza, obok stali Józek z

Justyną.

– Pan nie piłuje, panie Broda, popchniemy!

– Niech to diabli...

Justyna serio się oburzyła:

– W taki wieczór Święty Mikołaj diabła wzywa?

– Tak, masz rację, mała. Raczej należy czekać na cud.

Młodzi zaparli się rękami i nogami i pchali z wysiłkiem, aż nagle motor zapalił i samochód odjechał. Widać było wysuniętą na zewnątrz rękę machającego Mikołaja. Przy oknie w kuchni stała Marianna z rozczarowanym Jaśkiem.

– Nie saniami, babciu, a takim gruchotem...

– Tak... coś tu aniołki poplątały... – zgodziła się niepewnie Marianna.

– Zawaliły sprawę – stwierdził autorytatywnie mały.

Helena kiwnęła głową ze zrozumieniem, nalewając czerwony barszczyk do stojących na srebrnych tacach waz.

Krzysztof stanął w drzwiach.

– Gospodyni! Ciach, ciach, ciach! Heleno, Jasiek! Wszyscy już siedzą przy stole.

Marianna zastukała w szybę i pokiwała na Józka i Justynę. Jasiek wbiegł do jadalni pierwszy.

– Idziemy – Marianna wzięła jedną tacę.

– Bo Teodora zacznie walić łyżką w talerz – zagroził Krzysztof.

– Nie daj Bóg. To prawdziwa porcelana – dodała Helena, biorąc drugą tacę z barszczem.

Rozgwieżdżone niebo pochylało się nad domem z oświetlonymi oknami. Na klombie stała wielka choinka z kolorowymi zapalonymi lampkami, obsypana bielą.

Otworzyły się drzwi, światło padło na śnieg przed domem. Na dwór wypadł w puchowej czerwonej kurteczce Jasiek, za nim szła opatulona Marianna. Stała obok choinki, którą Jasiek obiegił, wskazując na lampki. Za chwilę wyszli Iza z Jackiem, on pokazywał jej jakąś gwiazdę, coś tłumaczył, ona zadzierała głowę. Krzysztof niósł talerz, rozglądał się, psy dopadły go w okamgnieniu, a on nakarmił je i dołączył do Marianny. Robert wyszedł sam, odwrócił się w głąb domu, wyciągnął rękę, Katarzyna ją ujęła. Stanęli, on podniósł kołnierz jej futra, pocałował w nos i ruszyli ramię w ramię ku choince. Wyszedł Zarzycki, za nim Danuta, on ulepił kulę i rzucił wysoko, aż nad choinkę. Robert starał się rzucić wyżej. Pojawiła się Teodora w nowym pięknym szalu, Edward prowadził ją pod rękę, niosąc dla niej taboret. Za nimi szły

Emilia i Malwina. Rozdawały coś stojącym pod choinką. Za chwilę zapłonęły w ich rękach zimne ognie. Ale najpierw zajaśniały w rękach Emilii i Malwiny. Helena, Józek i Justyna ruszyli do swoich domów, żegnani gestami rąk, w których iskrzyły się zimne ognie. Psy kręciły się między obecnymi. Tajemnicze światło lampek na choince i świateł w domu spowijało otoczenie. Noc wigilijna trwała.



9.

Po lotniarzu już gdzieś od początku grudnia słuch zaginął. O tym, że nie może latać, wiedzieli wszyscy, ale przestał też pokazywać się w sklepiku w Bałamutowie, gdzie podwoził go wzywany telefonicznie taksówkarz, pan Miecio z Ełku. Wychodził wtedy z trudem z auta, podpierając się na kuli, a potem stukał swoją ogipsowaną nogą po podłodze sklepu i palcem pokazywał panu Mieciovowi, co ma ładować do wielkiego kosza, żeby zrobić zapasy na co najmniej tydzień. A teraz nie widziano go tam już od kilku tygodni, zapewne wyjechał gdzieś na Śląsk, z którego pochodził, i to „z podwiniętym ogonem”, jak się wyraził organista Piórkowski, którego jego latanie wyjątkowo denerwowało, a wypadek przy kapliczce uznał za karę boską. Może więc tam gdzieś na zadymionym Śląsku kuśtyka po szarych, zabłoconych ulicach i marzą mu się znajome panoramy ośnieżonych wzgórz morenowych, porośniętych lasami, otoczone taflami skutych lodem jezior, małe wioski i miasteczka wtulone w pejzaż? Może oczyma swej zbołałej duszy widzi drogę, a na niej traktor z przyczepą wjeżdżający pod wiadukt, po którym sunie długi pociąg? W to, że wróci tu na wiosnę, nikt nie wątpił, tak jak nikt nigdy nie wątpił, że wrócą tu bociany, bo i on, i one stanowili część tego krajobrazu, i może miał tego świadomość, a nawet poczucie obowiązku, więc czekano na niego spokojnie: wróci na pewno.

Na lśniące w słońcu, zamrożone jezioro wszedł stary Orzeszko. Opatulony, w ciepłych butach, z wędką na krótkim kijku, z rozkładanym zniszczonym stołeczkiem. Idąc, oglądał się za siebie. Szedł dalej. Ponownie się obejrzał i stanął.

– Zdzisiek! – zawołał. – Siekierkę wziął?

Idący w pewnej odległości chłopak z plastikowym wiaderkiem zatrzymał się.

– O Jezu! Zapomniał!

– No, lećże gamoniu do chałupy! Rękami będziesz dziabął przerebel?

Mężczyzna odwrócił się i ruszył przed siebie. Rzucił przelotne spojrzenie na nadjeżdżających na łyżwach z dalszej części jeziora.

Jacek i Iza, trzymając się za ręce, jechali pierwsi, obok starała się wykonywać jakieś figury Danuta Zarzycka. Właśnie zrobiła obrót i żeby nie upaść, podparła się

dłonią, a Robert jadący z Katarzyną zawołał ze śmiechem:

– Podwójna Zarzycka z podpórką!

– Tak? To spróbuj zrobić choćby pojedynczego Roberta! – zawołała Danuta.

Przez lód ostrożnie, ale trochę celowo się ślizgając, przebiegł Zdzisio z siekierą.

– Uwaga! Zamachowiec! – zawołał Jacek. – Mały, na kogo to?

– Tato kazał! Na przerębel! – Wskazał ręką.

Przy zaschniętych, oszronionych szuwarach widać było przytupującego mężczyznę.

– Hej! Hej! Idzie się! – zawołała Marianna, niosąc tacę, na której stały kubki z grzanym winem i herbatą dla Jasia.

– Pamiętacie, była taka łyżwiarka Sonja Henie – powiedziała.

– Słonia Henie to ja – zawołała Danuta, znów o mało nie lądując na tafli lodu.

– Jasiek, herbata!

– Co przyniosłaś? – zbliżyła się Katarzyna. – Herbata, pewnie słodzona... – skrzywiła się.

– Wino grzane. – Marianna podała kubek Jackowi.

Wszyscy dość niezdarne usadowili się na pochylonym nad lodem konarze drzewa.

– Nie dołączysz do nas? – spytała Iza.

– O, nie – zaśmiała się Marianna.

– Co to za głupi śmiech, miałaś przecież pierwsze miejsce na mistrzostwach AZS-u. Bardzo ci zazdrościłam... – westchnęła Danuta.

– Kiedy to było... – Marianna machnęła ręką, odwróciła się i zobaczyła nadchodzącego Krzysztofa. Na ramieniu miał przewieszane buty z łyżwami.

– Krzysiu! Brawo! – zawołała radośnie.

– Tata i łyżwy? – Katarzyna nie kryła zaskoczenia.

– Tata to cicha woda... jest zdolny do wszystkiego – zaśmiał się Jacek.

– Uzdolniony do wszystkiego, z wyjątkiem umiejętności – zaśmiała się Marianna, ale nadal była zaskoczona decyzją.

– „Mówcie sobie, co tam chcecie”... – zaczął Krzysztof, usiadł i zabrał się do zmiany butów.

– „A ja wam powiadam przecie”... – kontynuowała Iza Konopnicką.

– „Krasnoludki są na świecie” – dokończył Jasiek.

– I niech mają dziadka w opiece – westchnęła komicznie Marianna i zaczęła

zbierać kubki na tacę.

– W komplecie – poprawił Jacek. – Do rymu musi być w komplecie.

– Skończyłeś, młody? – Robert wziął Jasia za rękę – Jedziemy!

Ruszyli na lód.

– Gonię was! – Jacek ruszył za nimi.

– No, mama, dasz się namówić? – spytała Katarzyna.

– Nie. A teraz wracam, mam jeszcze robotę w kuchni.

– Pomożemy ci potem, idź po łyżwy – odezwała się Iza.

– Nie. Chcę tylko jeszcze zobaczyć szalonego mistrza świata – zażartowała Marianna. – A uważaj, kochany, bo widzę, że przy szuwarach dwóch Orzeszków rąbie przerebel. Nie bierz rozpędu!

– Przestańcie sobie ze mnie dworować! – Krzysztof wstał i dość nieporadnie kuśtykał z brzegu na lód. Wszystkie kobiety wpatrywały się w niego z mieszaniną obawy i rozbawienia. On stanął niepewnie na tafli.

– Tato... Przepraszam za niedyskretne pytanie, czy ty w ogóle umiesz jeździć na łyżwach? – Katarzyna już była przy nim.

– Nie wiem, jeszcze nigdy nie próbowałem – odrzekł spokojnie – ale zawsze mnie to fascynowało... – urwał, zachwiał się niebezpiecznie.

– O, Boże – jęknęła Marianna.

– Fascynacja często kończy się rozczarowaniem – zaśmiała się Katarzyna.

Obie z Izą ujęły Krzysztofa pod rękę.

– O, to niezły pomysł – skwitował.

– Naprzód! – zachęciła Iza. – Świat należy do...

– Straceńców – dokończył Krzysztof i prawie pozwolił się ciągnąć.

Trochę dalej ganił się Robert z Jasiem i Jacek.

– Dziadek, goń nas! – zawołał mały.

– Nie prowokuj... Prowokatorzy kończą marnie! – zasapał Krzysztof.

– Tato, patrz przed siebie, nie na łyżwy... – instruowała Katarzyna.

Teraz już Robert z Jackiem trzymali Jasia i jechali naprzeciwko grupy z Krzysztofem.

– Uwaga, bo jedzie łamaga! – zawołał Jasiek i zaczął jedną łyżwą o drugą, ale obaj trzymający go unieśli malca lekko do góry, jadąc nadal dość szybko. Nie patrząc przed siebie, ale na Jaśka, podjechali zbyt blisko. Robert zauważył przed sobą Izę, chciał zahamować, ale już obaj podcięli ją i Krzysztofa, a pociągnięta przez

nich Katarzyna przewróciła się ostatnia, przygniatając nieco ojca, co osłabiło jej upadek. Marianna, nie odrywając od nich oczu, postawiła tacę na brzegu i ruszyła niezgrabnie w ich kierunku.

Grupa na łodzie zaczęła się zaśmiewać. Marianna nachyliła się nad córką z niepokojem.

– Kasiu...?

– Nic się nie stało – zawołała roześmiana Katarzyna. – Tata mnie zamortyzował, ale z niego jest placek...

Marianna starała się jej pomóc wyplątać i wstać.

– Chodź do domu. Dostyć tego wygłupiania się. Połóżysz się – poprosiła.

– Ja też jestem placek – zaśmiał się Jasio.

– Nie panikuj – zniecierpliwiła się Katarzyna.

– Co jest, Kasiu? – Robert podał jej rękę.

– Absolutnie nic!

– Że jestem cały, to cud! – stwierdził Krzysztof.

– A prosiłam, żebyś nie... – zaczęła Marianna.

– Mamo! – upomniał ją Jacek.

– Zróbmy to jeszcze raz... – domagał się Jasiek.

Potem, przy stole w jadalni, po obiedzie, siedziała cała rodzina w komplecie. Zacerwienieni od mrozu, ruchu i grzanego wina jedli desery i pili kawę.

– Twój ulubiony kompot z brzoskwiń – powiedziała zachęcająco do córki Marianna.

– Dziękuję... Chyba się trochę położę. – Dostrzegłszy niepokój w oczach Marianny i Roberta, Katarzyna udała małe, uspokajające ziewnięcie. – Widocznie to powietrze...

Oni wymienili spojrzenia.

Katarzyna, zdenerwowany Robert, napięta Marianna szli szpitalnym korytarzem.

– Masz skłonności do wyolbrzymiania – mówiła Katarzyna do matki, ale bez typowego dla niej buntowniczego ognia. Robiła wrażenie zmęczonej albo udawała, że wszystko jest w porządku.

Doszli pod drzwi do gabinetu ordynatora, gdzie już zatrzymał się Krzysztof z towarzyszącą mu pielęgniarką.

– Poczekajcie chwilę, najpierw sam z nim porozmawiam – polecił. Marianna i

młodzi usiedli na ławce. Pielęgniarka zapukała, otworzyła drzwi i zaanonsowała Krzysztofa.

– Panie profesorze... profesor Kalinowski... – Wpuściła gościa do gabinetu. Sama wycofała się i zamknęła za sobą drzwi.

Od biurka podniósł się mężczyzna w wieku Krzysztofa.

– Bardzo proszę, panie kolego.

– Moje uszanowanie – powiedział Krzysztof, wyciągając dłoń i wchodząc do gabinetu – pozwoliłem sobie zwrócić się do pana, profesorze...

Ordynator, ujmując dłoń gościa, spytał niepewnie:

– Krzysztof...?

– Wojtek...?

– Krzyś!

Padli sobie w objęcia, klepiąc się po plecach.

– Niesłychane! Wojtek Kula!... Jesteś tu ordynatorem? W Ełku? – zapytał nieco niezręcznie Krzysztof.

– Nie mam żadnych kompleksów! Siadaj – zaprosił ordynator. – Można i na Księżycu, zwłaszcza jeśli się spotyka interesującą kobietę, tubylkę. To moja trzecia żona i mam nadzieję, że ostatnia. Jest naprawdę w porządeczku...

– Czekaj, pierwsza twoja to pod koniec studiów... piękna Ania Borowiec z okulistyki...

– Borówka – zaśmiał się ordynator – niezgodność charakterów... Potem... nie znasz, nieważne... Siedzi na stałe w Stanach. Rany Boskie, Krzysiu, pamiętasz wspaniałe czasy Pigułki?!

Krzysztof rozjaśniony zaśpiewał cichutko:

*Gdy cię dopadnie rozpacz lub pech,
na głowę spadnie lampa czy półka...*

Ordynator włączył się i zaśpiewali razem:

*...to cię wyleczy serdeczny śmiech,
Kabaret Medyków – Pigulka!*

Poderwali się i zgodnie wykonali kilka tanecznych kroczków, które związane były z wykonywaniem hymnu kabaretu. Patrzyli na siebie rozjaśnieni, odmłodzeni w

pełnym porozumieniu. Nie słyszeli pukania do drzwi, nie widzieli, bo byli odwrócení plecami, że uchyliły się one i że do środka zajrzała Marianna. Na jej twarzy pojawił się wyraz zdumienia pomieszanego z grozą. Za jej plecami ukazała się pielęgniarka, która zapewne chciała powstrzymać ją przed wejściem do gabinetu, i kiedy jej wzrok zza ramienia Marianny padł do środka i zobaczyła tańczących, zamarła w osłupieniu. Marianna oprzytomniała pierwsza, na wszelki wypadek cicho zamknęła drzwi. Pielęgniarka w szoku słańiała się na nogach, Marianna podtrzymała ją, aby nie upadła, ale dziewczyna wyszarpnęła się i rzuciła biegiem w kierunku dyżurki. Marianna oszołomiona i wstrząśnięta usiadła na ławce koło Katarzyny. Ta widząc jej stan, spytała zaniepokojona:

– Co się stało?

– Obawiam się, że to raczej twój ojciec będzie potrzebował pomocy lekarskiej...

– Zasłabł?

– Wprost przeciwnie, tańczy.

– Co?! – krzyknęła Kasia i pomyślała, że to z matką jest niedobrze, ale na wyjaśnienia nie było już czasu, bo drzwi gabinetu ordynatora otworzyły się nagle i pojawił się w nich Krzysztof.

– Marianno, pozwól tu do nas – powiedział z szerokim uśmiechem.

Marianna popatrzyła na niego podejrzliwie, ale wstała i ostrożnie, zachowując bezpieczny dystans, jakby się bała, że on może się na nią rzucić, weszła do gabinetu. Krzysztof lekko speszony jej zachowaniem, którego nie rozumiał, zaprezentował:

– To jest właśnie moja żona Marianna...

Ordynator zerwał się z widoczną przyjemnością przywitał się, przedstawiając:

– Zimowy urlopik na Mazurach? – spytał wesoło.

– Nie, nie... Ale o tym potem. Otóż nasza córka, Kasia – kontynuował Krzysztof gorliwie, ale z powagą – jest w ciąży. To trzeci miesiąc. Upadła dziś na lodzie, wziąłem ten upadek na siebie, ale nie mniej zaczęła odczuwać bóle w podbrzuszu. Twierdzi, że małe, ale są.

– Zaraz, zaraz... Jak to wziąłeś ten upadek na siebie? – zapytał, przyglądając się Krzysztofowi z niepokojem. – W jakim sensie? W jakiejś punktacji?

– Nie! No, w takim, że upadłem wcześniej, a ona upadła na mnie.

– Jeździsz jeszcze na łyżwach?

– Nie jeszcze, a już. Odważyłem się. Pierwszy raz w życiu.

Ordynator sięgnął po słuchawkę.

– Zaraz zobaczymy, moi drodzy... Halo, jest tam kolega Tarnowski? Dobrze, niech poczeka, przyjdę z pacjentką. A pani Krysia jest? Daj mi ją. Krysiuniu, proszę o kawkę do mojego gabinetu. Czekaj... ile? – Popatrzył na siedzących.

– Trzy, jeśli ty nie pijesz – odparł Krzysztof. Marianna patrzyła na nich zdumiona, a nawet przerażona tym tykaniem się, jeszcze nie połąpała się w sytuacji.

– Trzy. Dziękuję ci, ślicznotko. – Odłożył słuchawkę. – A gdzie córka pięknej matki?

Krzysztof rzucił spojrzenie na Wojtka, kiwając głową z żartobliwym politowaniem, bo go znał, a potem wyjaśnił Mariannie:

– Muszę cię ostrzec: ten facet to niebezpieczny seksmaniak. Zawsze tak było i widzę, że mu nie przeszło.

Ordynator zaśmiał się i kiwnął przecząco głową. Marianna zaczęła domniemywać, że panowie musieli znać się wcześniej, otworzyła usta, żeby zadać jakieś pytanie, ale Krzysztof nie dał jej dojść do głosu, wstał. Otworzył drzwi i zawałał:

– Katarzyno... wejdźcie!

Młodzi weszli onieśmieleni.

– Moja córka. A to nasz zięć, Robert Lange – przedstawił ich Krzysztof.

– Proszę zwrócić uwagę: zięć jest nasz, ale córka tylko jego – wtrąciła Marianna, która już odzyskała równowagę. – Powinieneś się ubiegać o nagrodę Rockefellera...

– Zrewanżuję mu się teraz za seksmaniaka: on zawsze wszystko wiedział najlepiej na naszym roku, nie dziwię się, że nie miał zaufania do pani i sam urodził córeczkę – powiedział ordynator.

Wszyscy się roześmiali, zwłaszcza młodzi rozbrojeni bezpośredniością ordynatora. On, witając się, patrzył na nich z sympatią, a na Katarzynę z nieukrywaną przyjemnością.

– Chodź, dorosła córeczko mojego kolegi z młodości, zaraz zaradzimy na wszystko. A wy czekajcie na kawkę.

Ordynator, trzymając pod rękę Katarzynę, zniknął za drzwiami.

W progu dyżurki starsza pielęgniarka usiłowała wcisnąć w ręce tej młodszej tacę z trzema filiżankami kawy.

– Zanieś tę kawę, co ci odbiło?! – mówiła ze zdumieniem.

– Nie zaniosę, pani Krysiu, za Boga nie zaniosę! – uparła się młodsza z prawdziwym przerażeniem w oczach.

W tej chwili korytarzem przeszedł ordynator z Katarzyną. Zajęty ożywioną

rozmową, nie zwrócił najmniejszej uwagi na pielęgniarki. Młodsza odprowadziła go zaleknionym, podejrzliwym wzrokiem, a kiedy zniknął za węglem, zdecydowanym ruchem zabrała tacę starszej.

– Dobrze, nie ma sprawy. Teraz mogę.

Ruszyła z tacą w stronę gabinetu ordynatora, a starsza koleżanka, patrząc na nią, pokręciła z naganą głową i z westchnieniem odezwała się do grubej salowej jedzącej obok kanapkę:

– To młode pokolenie ma problemy z podejmowaniem każdej, najmniejszej decyzji...

– Święte słowa, pani Krysiu – odpowiedziała salowa z pełnymi ustami – moja córka nie może się zdecydować na trzecie dziecko.

Marianna i pozostali wzięli kawę z rąk pielęgniarki.

– Przykro mi – powiedziała dziewczyna – ale skończyła się śmietanka.

Oni podziękowali, ona wyszła i zostali sami.

Marianna mieszała automatycznie, patrząc w okno. Po chwili Krzysztof wyjął z jej rąk łyżeczkę i odłożył.

– Wypadnie dno – rzekł łagodnie.

– Nie wybaczę sobie... jeżeli... – bezzadnie powiedziała Marianna.

– To moja wina. Jestem idiotą, skończonym idiotą. Jak mogłem się zgodzić... Nie, nie daruję sobie – rzucił nerwowo Robert.

– Przestańcie – przerwał im Krzysztof – po pierwsze nigdy nie wolno zakładać rzeczy najgorszej, po drugie jest to młoda, zdrowa dziewczyna, a po trzecie przewróciła się na mnie, co zamortyzowało siłę upadku. A do tego ona jest w rękach naprawdę dobrego specjalisty i prawie przyjaciela. Studiowaliśmy razem i wiem, co mówię. Już wtedy był najlepszy, no, prawie najlepszy, ja biłem go zdolnościami artystycznymi w naszym kabarecie Pigułka...

– Przestań tyle gadać, proszę cię – przerwała Marianna.

– Naprawdę nie chcesz się dowiedzieć o bujnej artystycznej przeszłości twojego męża? – Krzysztof wydawał się nieco zawiedziony.

– Nie tu i nie teraz – odpowiedziała serio Marianna.

Otworzyły się drzwi i wszedł ordynator. Marianna i Robert wpatrywali się w niego w napięciu.

– Profesorze...? – zapytał Robert.

– W porządku, drodzy państwo, wszystko w porządku. Mój asystent jeszcze

rozmawia z Katarzynką i na wszelki wypadek zapisze jej leki rozkurczowe. W domu troszkę poleży, ale generalnie jest wszystko w porządku. Łyżwy odkładamy na przyszły rok. Twoje na wszelki wypadek też. – Spojrzał znacząco na Krzysztofa.

– Dziękuję panu, profesorze – Marianna uśmiechnęła się z ulgą.

– Bardzo dziękuję – dodał Robert.

– No! – skwitował Krzysztof. – A nie mówiłem, Marianno...

– Siadajcie jeszcze – zaprosił ordynator i zwrócił się do kolegi: – Krzysiu, chyba zbliża się któraś już tam rocznica naszego kabareciku. A może skrzyknęlibyśmy kolegów? Zobaczmy, jak wyglądamy, kto żyje, kto chudnie, a kto tyje? Widzisz, od razu mi się rymnęło!

– To dobry pomysł – ożywił się Krzysztof. – Spotykam w Warszawie Niedźwieckiego i Trąbę... wiem, że Głuszkówna wyszła za Belga i wyjechała...

– A Turkowski nie żyje, słyszałeś... – ordynator spowaźniał, ale zaraz się rozjaśnił. – Słuchajcie, zadzwonię do mojej Iwonki, że zatrzymacie się u nas, mamy wielki dom i niech szykuje coś dobrego na kolację. – Sięgnął po telefon.

– Nie, nie, dziękujemy – powiedziała szybko Marianna.

– Stary, my mieszkamy piętnaście kilometrów od Ełku – wyjaśnił Krzysztof.

– Co ty mówisz? – ordynator był zupełnie zaskoczony. – Jakież wczasy zimowe?

– Nie. Marianna dostała po zmarłej krewnej chałupkę i można powiedzieć odbiło nam i zamieszkaliśmy w niej na stałe. Młodzi mieszkają w Warszawie.

– Nie mów, że nam odbiło – zaprotestowała Marianna.

– Słusznie – poparł ją ordynator. – Ja też jestem zachwycony tymi okolicami, droga żono mojego przyjaciela z młodości. Odwrócił się do Roberta. – To pierwsze dziecko, którego państwo oczekują, prawda?

– Tak – poważnie odrzekł Robert – i bardzo na nie czekałem... czekam – poprawił się szybko.

– Na pewno będzie wspaniałe – ordynator uśmiechnął się i zwrócił do Krzysia: – A wiesz, gdzie w okolicy ma swój dom Gajewski. Pamiętasz go? Tak zwany Chytry Gaj. Starszy od nas, był przed nami w Pigułce. Ma drugą żonę, podobno aktorkę. Pierwszą zostawił dla niej... Specjalista i to bardzo wzięty.

– Chirurgia plastyczna – przerwał Krzysztof. – To nasz sąsiad. Nie wiedziałem, że był w kabarecie.

– Bo był krótko, jeszcze przed nami, dobrze śpiewał, ale to nie dawało mu tyle pieniędzy, ile cichy gabinecik, gdzie operował żylaki. Jeszcze na studiach. Tak...

Chytry Gaj...

– Wiesz – powiedział ożywiony Krzysztof – moja żona, osoba nieco szalona, bo niewyleczona ze społecznictwa, wdała się w jakieś plany akcji charytatywnych, to może połączylibyśmy nasz zjazd z koncertem jubileuszowym...

– To świetny pomysł, Krzysiu! – ucieszyła się Marianna.

– Świetny! – zgodził się natychmiast ordynator.

– Przepraszam – powiedział Robert – zajrzę do... – Ale nie dokończył, bo weszła w towarzystwie pielęgniarki uśmiechnięta Katarzyna.

– A mówiłam, że panikujecie?

Tymczasem w domu, w ciepłym saloniku siedziały sobie na tej samej kanapie, ale w dwóch jej rogach, pochlipująca Malwina i czerwona rozindyczona Teodora.

– Nie powinnaś była tego mówić! – Malwina głośno wytarła nos.

– Ale to jest prawda! – zagrzmiała Teodora. – Czas się z tym pogodzić. Nigdy, nigdy, nigdy nie miałaś powodzenia. Co tu owijać w bawełnę!

Emilia drzemała na fotelu, uśmiechnięta, przed nią na stole leżał niedokończony pasjans. Pochrapывała ze złożonymi na brzuchu rękami.

– Emilio... – Malwina odwróciła się do niej.

– Zostaw ją! – zasyczała Teodora. – Nie wciągaj jej w nasze sprawy rodzinne. To obca osoba!

– Nie jest obca! To jedyna siostra Krzysia, a on jest...

– Mężem naszej Marianny... I co, zdaje ci się, że Amerykę odkryłaś? Znalazł się Kolumb w bamboszach. Ej, Malwino, Malwino... Ani oleju w głowie, ani urody, to i siejesz pietruszkę do dziś.

Malwina zebrała się na odwagę i wybuchła, dość dziecinnie jednak:

– Eugeniusz mnie kochał! Nie ciebie! Podebrałaś mi go jak... sroka! A tatuś uważał, że najpierw najstarszą trzeba wydać za mąż... wypchnąć! Bo nikt na ciebie patrzeć nie chciał! Nawet ksiądz zamykał oczy, jak śpiewałaś w chórze kościelnym!

– Ty kłamczucho! Jak ci nie wstyd! Milczę i nie słyszę... czy ktoś mówi, czy owca beczy? – Rozejrzała się z ostentacyjną godnością.

Malwina machnęła ręką i zasłoniła oczy.

– Uwiodłaś go... zapomniał się... Prosił, żebym mu przebaczyła... Biedna ja i biedny Geniutek...

Teodora nie patrzyła na siostrę i zaczęła nucić, aby zademonstrować swoją

wyższość i opanowanie.

– A przecież to ja go poznałam u Siekierzyńskich, ja przyprowadziłam do domu, żeby przedstawić mamusi i tatusiowi – wyliczała cicho Malwina – mnie fotografował w parku przy fontannie, mnie się nie zdążył oświadczyć...

Teodora nuciła, teraz już patrząc na siostrę, i nagle niespodziewanie powiedziała łagodnie:

– Nie jest ważne, moje dziecko, kto kupił kaktus, ale kto go hoduje. Chcesz... – poszukała w kieszeni i wyciągnęła cukierka miętusa?

– Dziękuję – Malwina się odwróciła – nie znoszę miętowych.

– A Genio bardzo lubił – uśmiechnęła się Teodora. – Edzio ma to po nim.

Weszła Helena z tacą, przyniosła herbatę i ciasteczka.

– Jakby kto miał ochotę, to herbatka świeżo parzona i upiekłam... – Nie dokończyła, bo Teodora wychyliła się w kierunku tacy, łapiąc zapach jak pies myśliwski, i zawołała głośno:

– Edzio! Edzio! Podwieczorek!

Emilia obudziła się pogodna i powróciła do pasjansa. Malwina wstała z kanapy i ruszyła do okna.

– Ja dziękuję, poczekam na... są! No, nareszcie! Emilio, są! – zawołała i pobiegła do przedpokoju, a za nią Helena i Emilia.

Teodora poderwała się z talerzykiem ciasteczek za nimi, wołając z pełnymi ustami:

– Edziu! Podwieczorek!

Następnego dnia, w tymże salonie, wygodnie usadowiony, z filiżanką kawy w zasięgu ręki Jacek czytał gazety. Marianna w domowym fartuchu zajmowała się jakimiś drobnymi porannymi czynnościami, ścierała kurz, podlewała kwiaty na oknie. Nie zdawała sobie z tego sprawy, ale wzdychała i pomrukiwała.

Jacek rzucił spojrzenie w jej kierunku, czytał dalej, w końcu jednak uniósł głowę.

– Co jest?

– Co, synku? – spytała Marianna wytrącona ze swoich myśli.

– Mruczysz, wzdychasz... Coś cię je od środka... No?

Marianna przysiadła na fotelu.

– Niepokoję się. Wiesz o Wolfa... Nie zjawił się na Wigilii, nie daje znaku życia...

Jacek powrócił do czytania, rzucając spokojnie:

– Pojedźcie do niego, przecież tak byłoby najprościej.

Marianna milczała. Jacek uniósł głowę.

– Mamo, w czym problem?

– Nie chcę prosić ojca... Teraz śpi, a w ogóle to... Józek pojechał do Ełku, zdaje się, że wojsko sobie o nim przypomniało...

Jacek złożył gazetę.

– To znaczy, chcesz, żebym to ja pojechał z tobą?

Marianna rozjaśniła się.

– Tak.

– Jezu, matka, nie możesz powiedzieć wprost? Zbieraj się – powiedział, wstając:

Ubierając się ciepło i swobodnie, w przewidywaniu konieczności pokonania części drogi pieszo, Marianna rozmyślała nad zagadkami dziedziczenia przez dzieci cech rodziców czy dalszych przodków. Taki Jacek fizycznie przejął wiele cech ojca. Patrząc na niego, widziała młodego Krzysztofa, czasem nawet jakieś nieproszone skojarzenia z przeszłości wręcz ją żenowały i szybko odganiała je z myśli, ale też nieraz przypominał jej ojca, czyli swego dziadka, z którym miał bardzo dobry kontakt, dopóki tamten żył. Dziadek Eustachy powitał wnuka entuzjastycznie, wreszcie pojawił się w rodzinie długo oczekiwany mężczyzna, Jacek przy chrzcie dostał od niego wspaniałą sygnę z rodowym herbem Ślepowron, osobiście wykonany przez dziadka, który był znanym jubilerem. Marianna ze wzruszeniem wspomniała tę chwilę, kiedy jej ojciec założył wnukowi wspaniałe grawerowane pierścień na duży palec małej stópki fikającej beztrąsko w kołysce. Niestety Jacek, kiedy już dorósł, nie chciał nosić sygnę, uważał to za „obciach”. Dobrze, że dziadek już tego nie widział, byłoby mu bardzo przykro. Obaj dziadkowie Jacka odeszli wcześniej: Eustachy pierwszy, kiedy Jacek miał zaledwie cztery latka, i w jego pamięci pozostały tylko jakieś rozwiane kontury wysokiej postaci stojącej w drzwiach pokoju dziecinnego na Żoliborzu. Dziadek Teodor, ojciec Krzysztofa, zdążył nacieszyć się wnukiem, a i Jacek czuł się bardzo z nim związany, bo jednak towarzyszył mu on przez pierwsze jedenaście lat życia i był dla niego największym autorytetem. Kiedy owdowiał, często przyjeżdżał do nich z Krakowa, gdzie mieszkał u córki, na dłuższe pobyty i wtedy dzieci, bo i Kasia była ulubienicą dziadka, miały raj. Dziadek rozpieszczał je, rozpuszczał łakociami, ale przede wszystkim uczył tego, o czym im w szkole nie mówiono. Chodzili z nim na spacerunki do parku przy Żoliborskiej Cytadeli, gdzie ich ukochana ogarzyca Szura mogła się wybiegać, i

słuchali, jak Moskale wzięli tu powstańców 1863 roku, jak stracili Traugutta, jak werbowali polskich komunistów, którzy w nieudanym zamachu na komisarza policji zrobili jatkę na ulicy, zabili kilka niewinnych osób, zostali skazani i powieszani, a dzisiejsze władze zrobiły z nich patriotów i postawiły im pomnik w formie betonowego tapczana w tymże parku. Nic dziwnego, że musieli potem z Krzysztofem wysłuchiwać na wywiadówkach, jakie problemy stwarza Kasia, kiedy pisze w wypracowaniach rzeczy, za które powinna wylecieć ze szkoły, ale trudno to zrobić z prymuską. Pod tym względem Jacek nie sprawiał kłopotu, miał w szkole opinię lesera i klasowego błazenka, który ma wariackie papiery, więc mógł głosić bezkarnie największe herezje. No właśnie, Kasia i Jacek, rodzeństwo rozpoznawalne na pierwszy rzut oka, a jakże różni! Inne charaktery, inne temperamenty, inne serca – Jacka na dłoni, Kasi ukryte głęboko, na dnie zamrażarki, czasem wydaje się, że zmrożone na kamień.

– Matka! Jedziemy? – zawołał Jacek z dołu.

Jechali bardzo wolno po małej drodze leśnej pełnej dziur i korzeni, na których garbus Jacka podskakiwał niczym Quasimodo wspinający się na wieże Notre Dame, aż w końcu stanął. Widać było, że dalej jechać nie może, Jacek nawet nie próbował go do tego nakłaniać. Wysiedli, Marianna z narysowanym planem w ręku.

– Trzy rzędy i od nich w prawo...

– Kiedy ja się ostatni raz bawiłem w podchody? Mam nadzieję, że wracając, odnajdziemy samochód. Co to rzucali Jaś i Małgosia?

Marianna się roześmiała.

– Nie mam nic poza paroma żetonami na telefon.

– Zostaw je sobie, bo może gdzieś na drzewie będzie automat i jak zabłądzimy...

– Jest! – ożywiła się Marianna.

Ścieżka skręcała nieco i wśród drzew dostrzegli zaniedbaną drewnianą chatę na kruszącej się, omszałej podmurówce. Małe okienka były ciemne. Zaglądali przez nie, ale niczego nie można było zobaczyć.

– Tu nikt nie mieszka... – powiedział Jacek.

Obeszli chatę i po dwu niebezpiecznych schodkach wspięli się na zaniedbany ganek.

– To na pewno jego... dom?

– Boże, jaka bieda... Tak, na pewno. – Marianna zapukała do drzwi. Nikt nie odpowiedział.

– Józek też go nie zastał... – Ponowiła energiczne pukanie. Nacisnęła klamkę i pchnęła lekko. Drzwi otworzyły się. Stanęli na progu.

– Dzień dobry!?! – zawoła Marianna. – To ja, panie Gustawie!

Ujrzeni pustą kuchnię, palenisko było zimne, na stole leżał czerstwy chleb, niedopita herbata, pod sufitem pęki ziół omotane pajęczyną. Na kredensie stał milczący budzik. Z niedomkniętej szuflady wyrwała się spośród sztuków mysz i zbiegła po bocznej ścianie kredensu na podłogę. Marianna uskokzyła i wydała niekontrolowany okrzyk, potem się zreflektowała.

– To nic, to tylko mysz, biedaczka. Mój Boże... – Rozejrzała się po opustoszałej biedzie wnętrza. Jacek otworzył szerzej uchylone drzwi do izby, szybko podszedł do okien i rozsunął zniszczone zasłony. Marianna popatrzyła zaskoczona. W rogu izby, pod ścianą, na której rozpięty był piękny kiedyś, zniszczony pas słucki, a na nim misternie wyrzeźbiona kapliczka z Chrystusem Frasobliwym, stało drewniane simmlerowskie łóże. W poszarzałej i pogniecionej pościeli, przykryty pod szyję kołdrą, na którą narzucona była zszyta skóra z baranów, leżał z zamkniętymi oczami Wolf.

– Panie Gustawie... – z niepokojem zawołała Marianna i szybko podeszła do niego.

– Panie Wolf! – Dotknęła niepewnie jego twarzy. – Panie Wolf! Żyje, ale strasznie rozpalony...

Jacek stanął przy ścianie, wzdłuż której ciągnęły się półki, a na nich drewniane rzeźby. Przeważały kobiece postacie i głowy. Wszystkie miały te same rysy... Rysy Róży Kapli. Prace wyrzeźbiono z wyraźnym talentem. W jednym kącie stolik z częściowo obrobionym klockiem drewna, rozrzucone narzędzia, wióry, przewrócony kubek, zaschnięta plama mleka.

– Przytomny? – spytał Jacek.

– Nie – odpowiedziała Marianna.

– Cholera, trzeba go zabrać do szpitala, mamoo... – Jacek rozejrzał się dość bezradnie – ale jak? Samochodem nie dojadę.

– Zaciągniemy go jakoś... Poszukaj, synku, może gdzieś jest jakiś koc...

Znieruchomiała, gdy zobaczyła, że Gustaw stara się otworzyć oczy.

– Zawsze... – powiedział i zamilkł.

– Tak? – nachyliła się Marianna – to ja...

– Zawsze... – szepnął z trudem Wolf – i wszędzie... będę ja przy tobie...

Marianna zastygła w bezruchu.

– Rózo... Róźyczko... – Gustaw otworzył oczy, patrzył nieruchomo, nie udawał mu się uśmiech, przez chwilę starał się powstrzymać kaszel. – Nareszcie... – szepnął, ciężko oddychając, zamknął oczy – może... może z wiosną... – zamilkł.

Marianna energicznie wstała z łóżka.

– Jacek?!

– Mam coś! – Słysząc było, jak mocuje się z czymś na stryszku. Zszedł, ciągnąc płachtę żaglowego płótna. Marianna pomogła mu i rozłożyli ją przy łóżku na podłodze, na wierzch rzucając skóry baranów.

– Boże, czy my go uniesiemy?! To chyba niemożliwe...

– Będziemy go ciągnąć, mamó. Trudno. Nie ma innego wyjścia.

– Jacku... Sprawdź, czy on ma coś na sobie, pewno trzeba go ubrać.

Marianna podeszła do drzwi, na których wisiała kurtka i stary sweter.

– Rany boskie... – jęknął Jacek. – Zobacz.

Marianna podeszła do łóżka. Gustaw miał na sobie starą flanelową koszulę w kratę i długie gacie. Jedna jego stopa zsiniała, obrzękła, widzieli paskudną ranę. Obok na prześcieradle leżał kawałek wyjątkowo czystego płótna, ale prawie całe przesiąknięte było zaschłą krwią.

Wolf nagle otworzył oczy i powiedział, robiąc wrażenie przytomnego:

– Rózo... a gdzie jest... gdzie jest... Boże... zimno mi... zimno...

Zamknął oczy.

Marianna chwyciła za dwa końce prześcieradła, Jacek zrobił to z drugiej strony i w strasznym wysiłku zsunęli Gustawa na podłogę. Opatulili w futro, potem brezent i zasznurowali prawie jak baleron.

– Boże, czy my damy radę... – dyszała już umęczona Marianna.

– My nie dalibyśmy rady?... Mamó! Musimy!

Zasapani i spoceni, ciągnęli opatulonego w płachtę Wolfa przez zimowy las do samochodu. Zmierchało.

Kiedy wjechali na podwórze, było już zupełnie ciemno i rozjarzone okna domu obiecywały pocieszenie i wytchnienie po trudach dnia. Marianna wyglądała na przygnębioną. Jacek jeszcze parkował samochód, kiedy ona weszła już do domu. Na progu kuchni stała Helena.

– O, jesteście! Dobrze, że zadzwoniła pani z Ełku... niepokoiłiśmy się.

Marianna uśmiechnęła się blado. Helena pomogła jej zdjąć kozuch, odwiesiła, podsunęła pantofle. Helena nie umiała albo nie śmiała wyrazić tego, co myśli, jakim człowiekiem była w jej pojęciu Marianna. Patrzyła na nią z szacunkiem i oddaniem, widziała w niej ucieleśnienie wszystkich cnót i zalet jej zmarłej ciotki Róży, którą czciła jak świętą. Patrzyła na Mariannę i myślała: „Mój Boże, to cała ona! Tak mówi, tak się rusza, taką pewnie ma duszę. Tak, dusza Róży w niej żyje!”.

– Trzymam gorącą herbatę... Może najpierw, a potem obiad? – Popatrzyła jej w oczy, mówiąc cicho.

– Tak, pani Heleno... dzięki... – Marianna zdjęła buty i poszła do salonu. Zatrzymała się na progu, patrząc na Krzysztofa, który kończył rozmowę telefoniczną:

– Tak... tak. Raz jeszcze dziękuję za tak serdeczne zajęcie się tym nieszczęśliwym człowiekiem. Moje uszanowanie, kolego. Dziękuję bardzo za telefon.

Odłożył słuchawkę i sięgnął po leżącą na stole fajkę. Widać było, że szuka pocieszających słów. Popatrzył na nią z uśmiechem.

– Jesteś bardzo dzielna, Marianno...

Marianna usiadła, słychać było, że do domu wszedł Jacek.

– Jakie wieści? – zapytała.

Krzysztof westchnął bezradnie.

– Nie wiadomo, czy... czy się z tego wykaraska. Zapalenie płuc przy tak wyniszczonym organizmie... toby był cud. Noga nie do uratowania. Wdała się gangrena...

Marianna siedziała nieruchomo, po jej twarzy płynęły łzy, a ona jakby była tego nieświadoma.

– Ach, gdybyśmy wcześniej...

Weszła cicho Helena, wnosząc na tacy filiżanki z herbatą.

– To jest bezsensowne gdybanie, mamó – powiedział, wchodząc za Heleną, Jacek.

– Pani Helenko, dla mnie coś mocniejszego. Zmarłem.

– Oczywiście, że Jacek ma rację, jak możesz sobie robić wyrzuty?

Marianna otarła łzy podaną jej przez Krzysztofa chusteczką i powiedziała twardo:

– Kiedy wyzdrowieje, weźmiemy go tutaj, przynajmniej na okres rekonwalescencji. I coś trzeba pomyśleć, bo jego dom nie nadaje się do mieszkania dla nikogo, a cóż dopiero... Trzeba się też dowiedzieć, czy ma jakąś rodzinę.

– Nie ma – odezwała się Helena, przynosząc Jackowi kubek gorącej herbaty z rumem.

– Jest zupełnie sam?!

– Sam. Rodzice wyjechali tuż po wojnie do Niemiec, on nie chciał... Matka też nie chciała, ale stary się zawiązał, miał wszystkiego dosyć i pojechali.

– A Gustaw poczuł się Polakiem, tak? – spytał Krzysztof.

– Oni byli Polakami, to co Gustek miał się nim poczuć... Ale też i został z powodu... dziewczyny...

– Róża... – powiedziała Marianna.

– To było takie kochanie, jakiego się już nie spotyka... Świata za nią nie widział, jak tylko tu się pojawiła, a i ona... – Helena nie dokończyła. – Zaplanowali już ślub, kiedy go zabrali.

– Kto? – spytał Jacek.

– No jak to kto? – Helena uśmiechnęła się łagodnie. – Swoi. Nasza władza. Taki czas się zaczynał. Był w AK, znaczy wróg.

– Zaraz... Niemiec w Armii Krajowej? – zdziwił się Jacek.

– Boże... jaki on tam Niemiec?! – oburzyła się Helena. – Matka Polka, ojciec Mazur. Ilu takich było... Borsche wyjechali, Trauby... Zrobili ich obcymi. Ach, Wolfy to byli bardzo godni ludzie, pomagali innym i w czasie wojny. Mieli wielką gorzelnię w Królowej Woli. Potem wszystko zabrano, zmarnowano, a Gustkowi to tak po cichu wydzierzawili w Sierzputowie kawałek ziemi i chałupę. No, ale zaraz go aresztowano. Co ta ziemia przeżyła, to się w głowie nie mieści! Jak Ruscy zimą czterdziestego piątego roku uderzyli, to dla nich to były pierwsze niemieckie ziemie. Dostali pozwolenie na pierwsze dwie doby, mogli robić, co chcieli, mordować, gwałcić, rabować, podpalać. Ełk zdobyli bez wystrzału i bez powodu zaczęli go od razu burzyć i palić. Niemcy zaczęli masowo uciekać na zachód, ale Mazurzy nie, musieli się chyba czuć Polakami i uważać, że są wyzwalani. Ale Ruscy tego nie rozumieli, to byli w większości Azjaci, Kałmucy, jakieś Mongoły, dla nich tu wszyscy byli Niemcy. Ale najgorsze przyszło potem. Przyjechali tu urzędnicy z Białegostoku i zaczęli rządzić, zmieniać nazwy miejscowości, dawać i odbierać opuszczone domy, intrygować, napuszczać ludzi na siebie. Ci, co pozajmowali gospodarstwa po Niemcach, to przeważnie była biedota, ciemnota. Nie umieli uszanować tego, co dostali, marnowali piękne domy i obejścia. Dach zaciekał na obórce? Niech zacieka, i tak wrócą Niemcy i nam to odbiorą, nie warto naprawiać. Zaciekał, zaciekał, aż się zawałił, to gdzie teraz krowinę trzymać? Do domu ją wprowadzić, niech żyje pod jednym dachem, jak za ojców było... Ech, szkoda gadać! Pan pije, póki gorąca, zaraz podam obiad.

W sadzie, wśród starych drzew, Marianna na drabinie obcinała „wilki”. W rękę trzymała sekator, a na gałęzi wisiała mała piłka. Wokół paru drzew leżały już przycięte gałęzie. Od strony domu szedł ciepło ubrany Krzysztof, za nim biegł pies, z którym Krzysztof się dzielił czymś, co podgryzał.

– Co tam słyhać na górze?

– Ano bliżej do Pana Boga, to się modłę, żeby nam drzewa nie wymarzęły – ciągnęła z wiejska nosem Marianna.

– Nie będzie tak źle.

– Wiesz, chodzi mi o te młode, cośmy sadzili. Jak w nocy ściśnie mróz...

– Pamiętasz – zaśmiał się Krzysztof – że kiedyś był Dziadek Mróz?

– No, pewnie. Zawsze się zastanawiałam, co zrobię, jak dzieci, które w domu mają Świętego Mikołaja, a w przedszkolu Dziadka Mroza, zapytają mnie, czym on jest dziadkiem. Odesłałabym je do ciebie.

– No i słusznie. Powiedziałbym, że to dziadek wielkiego brata.

Zaśmiali się oboje.

– Pani Kalinowska, dzwonił pani synalek. Załatwił ci aktora na prowadzenie aukcji w Elku.

Marianna przerwała cięcie i odwróciła się niebezpiecznie.

– Uważaj, bo spadniesz! – Krzysztof złapał drabinę.

– No? – spytała.

– Swojego przyjaciela. Ma dwa dni wolne i chętnie do nas przyjadą.

– No, ale kto to jest, na miłość boską!

– Jak to kto? Jarek.

– Wspaniale, Krzysiu! No, to możemy wyznaczyć termin. – Marianna wróciła do cięcia. – Kamień spadł mi z serca.

– Uważaj. Nie poleć za tym kamieniem, trzymaj się jakoś.

– Jakoś się trzymam.

– Ale lepiej się przywiąż, bo tego możesz nie przetrzymać: Jacek powiedział, że definitywnie zabiera nam Jasia. Ferie się skończyły, musi wracać, bo go skreślą z przedszkola. Kolejka ludzi czeka na zwolnione miejsce.

– Po co mu to przedszkole? Tu ma lepszą opiekę i... serce.

– Ale w przedszkolu ma się uczyć przystosowania do grupy, a tu do jakiej grupy się przystosowuje? Chyba do grupy wiekowej, baby i dziada! Albo do grupy porucznika.

– Jakiego znowu porucznika?

– Grupa porucznika Ducha. Taki kalambur. No, Berta, idziemy dalej na obchód gospodarstwa. Powiesiłem te słoninki sikorkom, jak chciałaś – zawołał, odchodząc.

– Masz to w niebie zapisane! – krzyknęła za nim i zaczęła się półgłosem zastanawiać: – Druga porucznika... Gruda porucznika... Dupa porucznika... – Drabina zachwiała się niebezpiecznie.

Wolfa wreszcie wypisano ze szpitala. Wzbraniał się, mówił, że już załatwił sobie miejsce w przytułku u jakichś księży, ale w końcu uległ Mariannie i przyjął od Krzysztofa ciepłą odzież. Urządzili mu pokój na parterze, za salonem, aby nie musiał chodzić po schodach i aby czuł się mniej skrępowany, kiedy oni szli do siebie na piętro.

W piękny rozświetlony dzień na tarasie było ciepło, jednak Marianna i Krzysztof siedzieli w kożuchach, a obok na inwalidzkim fotelu opatulony Wolf. Popijali gorącą herbatę z konfiturami.

– A jak myślicie, czy to ktoś z okolicznych zastawia te wnyki? – spytała Marianna.

– Nie bądź naiwna... Spytaj raczej, którzy tego nie robią – odrzekł Krzysztof.

– Podłe barbarzyństwo.

– To z biedy – odezwał się Wolf.

– Większość z nich jest na zasiłkach, o pracę trudno – potwierdził Krzysztof.

– Tak? Trudno? – zapaliła się Marianna. – To dlaczego nie doceniają, że im ją proponują? Że płacę?! O, nie! Nie ma wytłumaczenia dla czegoś takiego jak wnyki. Jak okrucieństwo człowieka wobec bezbronnego i głodnego zwierzęcia!

– I człowieka – Krzysztof wskazał na Wolfa. – To niewyobrażalny ból, co?

– Tak, to prawda. Jak zacisnęły się te szczęki, ta paszcza rekina, to chyba straciłem przytomność. A potem... usłyszałem swoje wilcze wycie – starał się zażartować, widząc wyraz twarzy Marianny. – Niestety, chcąc się uwolnić, połamałem swoją ulubioną łaskę, ale może wystrugam sobie drugą. Ważne, że jeszcze mam dwie ręce, co tam noga.

Krzysztof, nie patrząc na niego, czyścił fajkę.

Marianna odezwała się po chwili:

– Gdybyśmy w Wigilię pojechali, a nie biadolili tylko, że pana nie ma, to wszystko wyglądałoby trochę inaczej.

– Nie sądzę – przerwał jej Wolf spokojnie. – Tak miało być. Tak sobie myślę, że

wszystko, cały nasz los, nasze poczynania, to co nas spotyka lub omija, jest gdzieś już wyznaczone, zapisane. – Rozłożył ręce.

– Oj, czy to nie jest przyjmowanie biernej postawy wobec życia? – zaproponował Krzysztof. – Bo przecież w myśl tej teorii będzie tak jak ma być, więc najlepiej położyć się i czekać.

– Oczywiście, że nie! – zapaliła się Marianna. – Trzeba żyć aktywnie, planować, ryzykować i robić swoje, jak śpiewa Młynarski! Nie wiesz, co masz zapisane w gwiazdach! Myślę, że bierność i negacja byłyby wyrokiem śmierci na wszystkie wartości życia!

– Krzyczysz na mnie? – spytał Krzysztof.

– Chyba żartujesz! – oburzyła się Marianna. – Głośno myślę!

– No, tak. Kobieta musi mówić, żeby wiedziała, co myśli.

– Bardzo śmieszne. Słyszałam to już sto razy.

– To ja rozpętałem – sumitował się Wolf. – Najlepszy dowód, że czuję się już dobrze i trzeba mi wracać do siebie.

– Nie ma mowy – spokojnie zaprotestował Krzysztof.

– Absolutnie nie! – podtrzymała go Marianna.

– A jeżeli chce pan pracować, to przywieziemy narzędzia i drewno... – zaczął Krzysztof.

– Nie – odrzekł Wolf. – Chyba już nie... nie chcę.

Marianna popatrzyła na niego uważnie.

– Nie czuje się pan jeszcze w pełni sił, to zrozumiałe...

On milczał chwilę, na jego twarzy zagościł daleki uśmiech.

– Strugałem w drewnie od dziecka, tak dla własnej, sporej przyjemności, ale teraz wydaje mi się to jakieś odległe. I nie sądzę, żebym...

– O, nie! – przerwała mu Marianna. – Nie było tej rozmowy! Będę cierpliwie czekać, aż zechce pan znów rzeźbić, a przyznaję, że są z tym związane moje plany... – odpukała w drewno, żeby nie zapeszyć! Ale to dalsze plany. A teraz pomówmy o czymś innym.

– Właśnie – zaczął Krzysztof – mamy zamiar przystosować dla pana pokój z łazienką na parterze naszego pensjonatu. Na stałe. Już na szczęście kończą się tam roboty... – Wolf chciał coś powiedzieć, ale Krzysztof położył mu rękę na ramieniu. – Proszę to spokojnie przemyśleć, to my chcemy sobie zrobić przyjemność. To nam jest pan potrzebny.

Wolf chrząknął, a oni milczeli, wszyscy byli trochę poruszeni.

– To tak, jakbym pierwszy raz miał rodzinę... – powiedział, nie patrząc na nich.

Był ciepły styczniowy dzień. Na podwórzu z klockami drewna siedział Wolf i rzeźbił. Obok pracował na malutkim klocku Jaś. Wolf wyprostował się i z jego opuszczonych bezradnie rąk wytoczył się klocek.

Chłopiec popatrzył na Wolfa.

– Zgubiłeś klocek...

– Nie – powiedział ciężko Wolf – nie skalecz się, Jasiu, i łagodnie prowadź strugałkę.

Opadł na oparcie swojego wózka i popatrzył przed siebie.

– No, pracuj, wujku – ponaglił go Jasiek.

– Nie idzie mi... Pusty jestem w środku, sprężynki się rozluźniły.

– Jak w zegarku?

– Jak w zegarku.

Z domu wyszła Marianna i podeszła do nich. Zauważyła puste dłonie Wolfa i jakiś bezwład w nim.

– W wujku zepsuł się zegarek – powiedział Jasiek.

Marianna zmarszczyła brwi, ale nie podjęła tematu.

– Jasiu, zostaniesz na gospodarstwie, słuchasz się wujka, wujek słucha się pani Heleny, a my zbieramy się do Ełku. Aukcja zaczyna się za godzinę, ale musimy być wcześniej.

– Dobrze, babciu, nie przeszkadzaj nam. Idź już!

– Dobrze – Marianna uśmiechnęła się, ale sama nie wiedziała, co powiedzieć Wolfowi, żeby podtrzymać go w zmaganiach ze sobą, więc stała tylko.

– Gustawie... – zaczęła.

– Marianno... – zaczął jednocześnie Wolf.

– Posłuchaj. To normalne, nie wszystko od razu. Masz czas. No, ale ja już nie mam – zażartowała i chciała odejść.

– Poczekaj – powiedział Gustaw – wybierz z tych, które przywieźliście z chaty. Jeżeli naprawdę uważasz, że ktoś da za to jakieś pieniądze... – dodał z lekceważeniem, nie patrząc na nią.

Salę Domu Kultury w Ełku wypełniała śmietanka towarzyska. Panie były wystrojone, fryzury od fryzjerów, panowie w garniturach, ordynator i jacyś lekarze mieli muchy.

W pierwszych rzędach Marianna, Krzysztof, Jacek, ordynator Wojciech Kula z młodszą od siebie żoną Iwonką, mecenas Duży z damą, weterynarz z żoną, jacyś lekarze, ludzie interesu, był też ksiądz Roman, proboszcz Kalinowskich. Roznoszono tace z kanapkami, dzieci chodziły z kapeluszami, do których zrzucało się dowolne datki, kupując jedzenie lub picie. Gwar, śmiechy, ludzi zebrano się naprawdę dużo i widać, że byli to znaczący ludzie dla tego miasta. Pod ścianą stolik, poustawiane obrazy Marianny, trzy drewniane rzeźby Wolfa, książki, wazony szklane, zabawki, wisiały serwety koronkowe, parasolki, a na stoliku leżało trochę biżuterii.

Stojąca obok aktora pani dyrektor domu kultury, napięta i nieco sztucznie uśmiechnięta, chrząkała i uciszała obecnych.

– Szanowni zebrani, w imieniu organizatorów i kierownictwa naszego domu kultury witamy państwa i naszego znakomitego artystę, który zechciał poświęcić nam swój cenny czas i przybył ze stolicy, za co składamy wielkie podziękowanie. – Zrobiła znaczącą pauzę, zerwały się oklaski, jakaś dziewczynka podeszła do aktora z kartką i piórem, on, udając zaskoczenie, złożył autograf, ruszyły inne dzieci, ale pani kierownik je odepchnęła.

– Potem, potem!

Jednocześnie starała się też bić brawo, a dzieci odeszły zawiedzione.

– Cel jest szczytny – kierowniczką zawiesiła dramatycznie głos. – Jeżeli uda się zakupić dla naszego szpitala tę cenną aparaturę, może będzie to ratunek dla chorych maluchów. Wszystkie dzieci są nasze! – wołała dramatycznie. – Dziękuję!

Dostała brawa, aktor ukłonił się jej też, dziękując, ona odkłaniała się wszystkim, odeszła pod ścianę i wzięła pierwszy eksponat, stojąc o krok od aktora. Trzymała rzeźbę Wolfa.

Sala uciszyła się, wpatrzona w aktora. On wytrzymał chwilę, jakby krótką hipnozę, po czym przywołał na twarz swój słynny czarujący uśmiech numer jeden.

– Kochani... A teraz się umawiamy, że ani jeden obiekt nie zostanie niesprzedany. Dżentelmeńska umowa między nami... Proszę przygotować portfele, otwieramy torebki. Panie, panowie, ruszamy! Oto numer pierwszy. Piękna rzeźba w rękach pięknej kobiety.

Kierowniczką się zaczerwieniła speszona, on pocałował ją w rękę.

– Drzewo... pierwszy gatunek... bez korników... – przez salę przeleciał niepewny śmiech – wywóz za granicę dozwolony, ALE czy nie szkoda? Rzeźba ta ozdobi każde wnętrze! Autor mieszka w pobliżu tego pięknego miasta. Gustaw Wolf. Cena

wywoławcza pięćdziesiąt złotych.

Ktoś podniósł rękę:

– Sześćdziesiąt!

– Dziękuję za zrobienie początku, mam sześćdziesiąt, kto da...

– Siedemdziesiąt...

– Mam siedemdziesiąt. Dziękuję pani, mam siedemdziesiąt...

– Sto!

– Kto powiedział „sto”?

– Mecenas Duży! – zawołała Marianna. – Brawo!

– Brawo. Dziękuję serdecznie! Mam sto, mam sto... kto da więcej?

Ordynator podniósł rękę żony i zawołał:

– Sto pięćdziesiąt!

– Dziękuję i kłaniam się pani... Sto pięćdziesiąt za tę piękną, niepowtarzalną, ręczną robotę artysty Gustawa.

– Sto siedemdziesiąt! – zawołał kobiecy głos z sali.

– Mam sto siedemdziesiąt, dziękuję pani za to wzruszenie...

– Dwieście! – krzyknął mecenas.

Rozległy się brawa, mecenas ukłonił się sali szczęśliwy.

– Mam dwieście, na razie tylko dwieście. – Aktor wpatrywał się w żonę ordynatora. – Łaskawa pani, nie godzę się na pani milczenie...

– Trzysta! – zawołał ordynator, podnosząc rękę zaśmiewającej się żony.

– Brawo, profesorze! Dziękuję pani! Mam trzysta... mam... tak? Pan? Nie? Proszę nie robić mi przykrości, tak ładnie pan zaczynał. Co się stało? No? Nie słyszę...? Mam trzy... mam trzy...

– Trzysta dziesięć! – zawołał weterynarz.

– Trzysta trzydzieści – spokojnie rzucił młody biznesmen.

– Trzysta pięćdziesiąt! – przebił siedzący obok.

Licytacja się rozkręciła, wszyscy brali udział w grze, padały drobne komentarze, śmiech, brawa, często rozpoczynała je Marianna, co natychmiast podejmowali obecni.

– Czterysta! – zawołał mecenas.

– Czterysta od pana mecenas! – podgrzewał salę aktor.

– Czterysta pięćdziesiąt i jest moja! – odezwał się gruby facet.

– Czterysta sześćdziesiąt i przestaję kupować od pana pieczywo! – zawołał w głąb sali mecenas, wzbudzając śmiech.

– Czterysta siedemdziesiąt i mam nadzieję, że będą panowie wstawiać sobie u mnie zęby! – rzucił facet ze sztuczną szczęką.

Sala się zaśmiewała.

– Ja też, jak swoje zjem na tej licytacji – zawołał aktor.

– Pięćset! – przekrzyknął ordynator i teraz żona podniosła jego rękę.

Walka toczyła się gorąco, zwłaszcza pomiędzy stomatologiem, mecenasem i ordynatorem.

– Sześćset!

– Siedemset!!!

– Tysiąc!!!

Była noc, przed oświetlony dom kultury wysypała się publiczność, ludzie nieśli obrazy, rzeźby, rozpinali parasole, ostrożnie wynosili szklane wazony i inne przedmioty.

Za Kalinowskim i aktorem idącymi w stronę zaparkowanych samochodów szli ordynator z żoną, która tuliła rzeźbę, a on niósł obraz, za nimi mecenas Duży z damą, która miała parasol i obraz, i weterynarz, który niósł wazon i oprawioną fotografię pejzażu. Przy samochodzie aktor został oblężony przez wielbicielki domagające się autografów. Marianna cieszyła się z sukcesu finansowego.

– Było trochę duszno – narzekał Krzysztof.

– Lepiej zorganizujemy swój występ i aukcję – zapewnił ordynator.

– Tak – poparła go Iwona. – Wojtuniu, a może w sali parafialnej?

– Niezapomniany wieczór dla wszystkich – powiedział mecenas.

– To pani tyle zawdzięczamy... – zwrócił się do Marianny weterynarz – pomysł i te cudne obrazy i artystę znanego...

Marianna skromnie zaprotestowała. Od strony parkingu rozległy się jakieś okrzyki, podniesione głosy niosły się w nocnej ciszy, było najwyraźniej jakieś zamieszanie, słyszalne mimo zapuszczonych motorów samochodowych. Wszyscy szli w tym kierunku. Gruby zaczerwieniony mężczyzna z aparatem telefonicznym przy ustach pieniał się wściekle:

– Nadajcie do wszystkich jednostek! Mówię wyraźnie, nie? Czerwony polonez numer rejestracyjny SUI dziewięć dwa dziewięć dwa! Na przedniej szybie małpka w cylindrze! Maskotka, idioto, nie? Niech zablokują drogi wyjazdowe! Ruszcie się!

- Co się stało? – zapytał kogoś stojącego Krzysztof.
- Podprowadzili poloneza komendanta – informator zaśmiał się z satysfakcją.
- Może Ruskie potrzebowały na jakąś aukcję, nie? – roześmiał się jakiś.
- Charytatywną... – dorzucił mecenas, śmiejąc się dyskretnie.

Wrócili do domu zadowoleni i ożywieni, zjedli zimną kolację, a potem w salonie Krzysztof otworzył butelkę francuskiego szampana „od wielkich dzwonów”, Marianna w samych pończochach z kieliszkami przybiegła na palcach. Rozmawiali cicho, bo w domu wszyscy już spali.

- Za sukces... – powiedział Krzysztof.

- Sukces to moja specjalność... – aktor tak zabawnie sparodiował kabotyna, że wszyscy zaśmiali się głośno.

- Ciii... kończmy i idźmy spać – zarządziła Marianna. – Jutro będziecie ledwo żywi, podróż, aukcja... – Pan Jarek musi być zmęczony.

- Nie muszem, ale jestem – zażartował aktor – chociaż bardzo chciałbym się rozejrzeć, tu podobno jest cudownie, ale o tej porze to istotnie nic...

- Zobaczysz dokładnie, kiedy już zaczniemy tu kręcić – powiedział Jacek. – Przemysłałaś propozycję, co? Jest nie do odrzucenia! – zwrócił się do matki.

Marianna zrobiła niepewną minę.

- Jestem nieco rozdarta...

- Nic podobnego. – Wpatrywał się w nią aktor.

- Serio – śmiała się Marianna – mam mieszane uczucia. Szczerze mówiąc, pieniądze są nam nieludzko potrzebne, ale ta wasza ekipa filmowa to jakby chrzest. Pierwsi goście pensjonatu, zresztą jeszcze wciąż prace trwają i mogą się opóźnić. Moje doświadczenie w tym względzie równe jest zeru... Miałam też popracować, dawno nie malowałam... szykuje się zjazd koleżeński mego męża...

- Piętrzy pani przeszkody! A my nie jesteśmy tacy straszni, jak nas opisują! – powiedział Jarosław.

- Tato, dolej mamie jeszcze szampana – rzucił Jacek. – Trzeba osłabić jej opór...

Krzysztof wstał i dołał do kieliszka Marianny, ona w pomieszeniu wypięła duszkiem.

- Masz już wstępne doświadczenia świąteczne... – powiedział kusicielskim tonem Krzysztof.

- Zapewniam panią, znając szczegóły dramatu, że reżyser jest kulturalny, spokojny, łagodny, wręcz aksamitny, ekipa mała, nie może operator ma wewnętrzny

ogień, który ujawnia się przed ujęciem, ale ten ogień nie spowoduje pożaru. Natomiast główny wykonawca uroczy... Niezwykle utalentowany aktor, takt, wdzięk i umiar, poezja i romantyczność... czyli ja.

Wszyscy się roześmiali, Krzysztof podolewał do kieliszków.

– Kuć żelazo, póki gorące – zawołał aktor – pić szampana, póki zimny!

– Twierdza padła! – zawołał Jacek szeptem.

– I co ja mam zrobić, Krzysiu? – spytała męża rozbrojona Marianna.

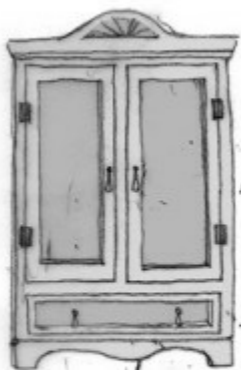
– Podać swój kieliszek?

Szampan zaperlił się w kieliszku.

Na drugi dzień, po późnym śniadaniu pojechali do Warszawy. Aktor, który przywiózł Jacka swoją wspaniałą, drogą limuzyną, zabrał teraz także Jasia i Wolfa, który dał się namówić na rehabilitację w podwarszawskim ośrodku. Mieli mu tam dopasować protezę do amputowanej nogi i nauczyć chodzenia w niej, to wszystko przy udziale psychologów, wspierających rekonwalescencję psychiki pacjenta. W domu zrobiło się cicho, ale tylko wieczorami, bo w dzień wciąż jeszcze trwały prace wykończeniowe w pensjonacie, wciąż trzeba było użerać się z ludźmi, ponaglać przelewy od pani Zuzy i Jaszczuka i zastanawiać się, czy pani Helenka, Józek i Justyna dadzą sobie radę, gdy pensjonat ruszy, czy może trzeba będzie kogoś dobrać, ale kogo?

Po lotniarzu nadal nie było ani widu ani słychu.





10.

Luty – podkuj buty! Stara rada, ale dobra, bo jeziora stały ciche, skute lodem, a ziemię pokrywał śliski, mocno ubity śnieg, więc ludzie poruszali się z trudem, ślizgali się, łapali równowagę i brnęli dalej z mozołem na swoich rzadko już teraz podkuwanych, raczej gumowych podeszwach.

Na podwórzu stał wielki wóz meblowy, załadowany szafami, komodami i łózkami. Na tym jeszcze piętrzyły się fabrycznie opakowane folią materace, które zdejmowali dwaj mężczyźni, by podać je dwóm kolejnym, stojącym przy samochodzie.

– Na razie w jadalni na podłodze – mówiła zakatarzona Marianna do Heleny, która kierowała ruchem na progu domu – jak wstawią łóżka, to dopiero wtedy... – kichnęła potężnie.

– Powodzenia – rzucił jeden z noszących.

– Dziękuję, to mi się przyda – odpowiedziała Marianna, wycierając nos. – Ostrożnie, panowie, szafa się przechyla!

– Może co pomóc? – spytał Kotula stojący z kilkoma miejscowymi, ale przemawiał przez niego nie tyle zapal do pracy, ile chęć zarobienia na butelkę.

– Panowie, ustaliliśmy, że teraz zawieszamy wszelkie roboty, dam znać po wyjeździe ekipy filmowców – odparła nieco zniecierpliwiona Marianna, rozdarta między wnoszącymi a widownią.

– Aha – beznamiętnie skwitował Kotula.

– To jak, idziem? – rzucił Orzeszko.

– Możem iść – odparł Wójcik, ale nikt się nie ruszył.

Marianna starała się udawać, że wcale na nich nie reaguje, stanęła bliżej samochodu. Mężczyźni znosili komódki. Marianna zauważyła, że coś spadło z samochodu w śnieg. Nie namyślając się, podniosła.

– Co to jest? Coś tu się sypią te nowe meble? Ooo, to trzeba sprawdzić.

Jeden z tragarzy nachylił się nad znaleziskiem.

– Ochraniacz.

– Co?

– Filcowy ochraniacz z nogi fotela. Widać, że spadł. Woziliśmy wczoraj do mecenasa Dużego. Mebluje się od nowa. Mówi, że musi się ożenić.

– To na meble chce żonę znaleźć? – Marianna uśmiechnęła się.

– Na meble z ochraniaczami – uzupełnił tragarz. – Taki ochraniacz pokazuje, jaki facet jest uważający...

Mężczyźni rechotali. Marianna, która nie rozumiała dwuznaczności dowcipu, powiedziała serio:

– Nie ma się z czego śmiać: kobieta, która zobaczy, że samotny mężczyzna szanuje podłogi, na pewno pomyśli: o, to porządny czło..! – Kichnęła tak głośno, że wrony zerwały się z drzew z przerażonym krakaniem.

– Na zdrowie! – zakrzyknęli prawie chórem chłopci, z Kotulą na czele.

– Dziękuję – odpowiedziała udręczona Marianna.

Z domu wyszedł Krzysztof, zapiął się, sprawdził, czy ma kluczyki i dokumenty. Trzymał kartkę – listę zakupów – i długopis.

– Jedziesz?

– Jadę.

– No właśnie, żeby ci hurtowni nie zamknęli... – Marianna znów kichnęła.

– Na zdrowie! – powiedzieli stojący nadal chłopci.

– Dziękuję wam – Marianna nie ukrywała zniecierpliwienia. – Panowie, doceniam waszą troskę o moje zdrowie, ale jak będziecie tu stać na mrozie, to też się pochorujecie. Radzę już iść, tak jak mówiłam, dam znać. No. Do widzenia.

– Do widzenia... – niepewnie odparli chłopci, którzyś popchnął w jej stronę Kotulę, on chrząknął.

– Jest taka sprawa między nami, szefowo...

– Tak? – Marianna napięła się, czując, o co chodzi.

– Gdyby tak miała pani... – Kotuła podrapał się w głowę, przez co berecik przesłonił mu chytre oczka.

– Obawiam się, że wiem, o co chodzi, panie Kotuła, i muszę pana rozczarować. Nie mam – powiedziała twardo.

– O, jaka domyślna – starał się zażartować Orzeszko.

– To nie jest takie trudne, panie Orzeszko. Przykro mi, no... prawie mi przykro, ale nie mam. A teraz to już naprawdę do widzenia, widzicie, jaki tu mam kocioł. – Odwróciła się i podeszła do Krzysia. – Oni są beznadziejni.

– Tacy uprzejmi... życzyli ci zdrowia – zaśmiał się Krzysztof.

– Teraz, kiedy nie dałam im wódki, pewno życzą mi czegoś wręcz przeciwnego. Krzysiu, pokaż mi listę zakupów.

Podał, sam już przysposabiając samochód do jazdy.

– Zapali?

– Trzydzieści kompletów pościelowych, dwadzieścia... Nie – wprowadziła poprawkę – czterdzieści ręczników. Dobrze. – Oddała mu kartkę.

– Marianno, to jest cholerny wydatek, ruszyłem te odłożone dla Zarzyckiego. Nie spłacimy tej pożyczki w terminie. Będzie nam głupio...

– Krzysiu... Musimy zaryzykować, ja wiem, że z tego wieje grozą: od razu takie wyzwanie, bez żadnego doświadczenia, tyle ludzi, tu tyle jeszcze niedoróbek, właściwie potrzebowalibyśmy jeszcze miesiąca, ale taka okazja się nie powtórzy! Zresztą jest Jacek, on wie, co robi. No i ten Jarek, on dał gwarancję, a to najważniejsze.

– No, właśnie! Przecież jak my zawalimy, to narobimy Jackowi wstydu!

– Nie mamy wyjścia! Musi się udać!

– Kupmy połowę, a dokupisz, jak nam zapłaci film.

– Nie, kochany. Muszę mieć dwie zmiany, żeby zawieźć do pralni. Nasza studnia nie wytrzyma prania i takiej liczby myjących się ludzi.

– Oczywiście przesadzasz, ale jak już się uparłaś... No, dobrze, a jeszcze trzeba kupić stoły, to za co?

Marianna stanęła z dziwną miną, bo zbierało jej się na kichnięcie, ale zacisnęła palcami nos i nie kichnęła. Czy miała pełne łez.

– Stoły prowizorycznie zbije Józek, a ty mu pomożesz.

– Aha – Krzysztof wzniosł oczy do nieba – to ciekawe...

– Jedź już – zniecierpliwiła się Marianna i popatrzyła w stronę samochodu meblowego. – O, skończyli. Dobra. – Wytarła nos.

– Czemu to się nie kończy? – zatroskał się Krzysztof. – Poszukam czegoś w aptece. Nie możesz się teraz rozłożyć – westchnął lekko przerażony. – O, i cytryny profilaktycznie kupię... – Wsiadł do samochodu.

– Krzysiu – Marianna nachyliła się do okna.

– Co tam jeszcze? – niechętnie odkręcił szybę Krzysztof.

Marianna popatrzyła na niego ciepło.

– Nic, kochany. Jedź ostrożnie... – Uniosła dłoń do nosa i kichnęła tak potężnie, że aż echo poszło.

– No, rób dalej swoją trąbę, rób! – zezłościł się Krzysztof, którego zawsze denerwowało jej głośne kichanie, dokuczał jej, że to chyba rodzinne, że pewnie pradziadkowie, którzy prowadzili zakład pogrzebowy, mieli chroniczny katar, bo zaziębiali się na cmentarzu, zostawili jej to w spadku, bo prawdziwy spadek pradiadek przegrał w Monte Carlo. Wytykał jej, że chcąc stłumić kichnięcie, jeszcze je potęguje, układając dłonie w tubę. Wrzucił bieg i odjechał, buksując kołami, jak furiat, po kilkunastu metrach jednak zahamował i wrócił na wstecznym.

– Kupię ci jakieś krople, co? – zapytał pojednawczo.

– Chyba sobie na uspokojenie – odparła naburmuszona.

– Wiesz co, pójdziemy na kompromis: zamiast kropli kupię ci abonament do filharmonii. Staniesz się maskotką sali. Kiedyś Wisłocki dyrygował *Drugą symfonią* Brahmsa, na początku drugiej części, *adagio non troppo*, orkiestra zaczyna *piano* i wtedy ktoś w sali potężnie kichnął. Wisłocki przerwał w pół taktu, odwrócił się i powiedział: „Na zdrowie!”. Publiczność zamarła, ale jakiś facet wstał i powiedział głośno: „Dziękuję, maestro!”. Dostał szalone brawa.

– Spadaj!

Obdarzył ją uwodzicielskim spojrzeniem i odjechał.

Wieczorem w kuchni Helena i Justyna lepiły pierogi, Marianna gotowała, cedzakiem wyjmowała partię, rozkładała do ostudzenia, a następnie porcjowała i wkładała do zamrażarki.

– Będą mi się śniły całą noc – powiedziała.

– Tak jak z grzybami – zaśmiała się Justyna – jak się zbiera, zbiera, to potem w nocy znów się śni, że się zbiera, zbiera...

– To prawda. – Helena wyprostowała bolące plecy i patrzyła, jak Marianna wsadza kolejną tackę z pierogami do zamrażarki. – A nie lepiej to surowe? Byłoby mniej roboty?

– Surowe by się potem rozlatywały i... – powiedziała szybko Marianna, odwróciła się i chwyciła za nos.

– Ale panią trzyma... – zmartwiła się Helena.

– A już tak się cieszyłam, że pozbyłam się chorób, bo w mieście to ciągle coś się komuś przyplątywało, a tu masz!

– Jak nic w Ełku pani załapała – zawyrokowała Justyna.

Wszedł Krzysztof.

– Czy jest gotowana woda? – spytał. – Boże... przetwórnia pierogów! Takiej

liczby w życiu nie widziałem.

– Dwieście pięćdziesiąt już w zamrażalniku – pochwaliła się z uśmiechem Marianna – a tu jeszcze ile surowych. Ciekawa jestem, kto wymyślił pierogi.

– Kiedyś były to z pewnością Konstantin Pierogow... – odrzekł Krzysztof – teraz raczej jakiś Pierre O’Gee, Irlandczyk, z matki Francuzki, jeden z tych, którzy kolonizowali Dziką Zachód. *White Anglo-Saxon Protestant*, przystojniak z reklamy marlboro albo levisów! Superman, macho, jedną ręką sięgał błyskawicznie po kolta, drugą zręcznie lepił pierogi!

Marianna spojrzała na niego zdumiona tą erupcją elokwencji i pasją, z jaką to powiedział.

– Hej, człowieku! Już nie kochasz swojej Ameryki?! Swojego *wonderful country*?!

– Amerykę kocham w Ameryce, a tu kocham polskie pierogi, *clear*?!

– W gruncie rzeczy, to są pierogi ruskie – powiedziała nieśmiało pani Helena.

– Ruskie, ruskie?! A wiecie, z której Rusi? Z Czerwonej! To znaczy z naszej.

– Komunistycznej? – spytała naiwnie Justyna.

– Nie o tę czerwień chodzi, dziecko! – tłumaczył z ostentacyjną cierpliwością Krzysztof. – Chodzi o ziemię dawnej Rzeczypospolitej, gdzie biło prawdziwe, prapolskie serce naszego narodu, ziemię, których stolicą było moje miasto rodzinne, Lwów! Lwów! *Leopolis semper fidelis*! I stamtąd są pierogi, jasne?

– Galicyjski szowinista! – zasyczała Marianna.

– Zrusyfikowana Mazowszanka!

– Małopolska dla Polaków! Małotejkowski się znalazł! Będzie mi tu w kuchni nacjonalistyczną propagandę uprawiał! Sio, do komputera! – udawała rozeźloną Marianna.

– O, woda się zagotowała – powiedziała pojednawczo Helena. – Zrobić panu herbaty?

– Herbatki? Czaju? Może jeszcze z konfiturami i ze spodeczka, jak to w *priwislinskim* kraju w modzie bywało? I cukier z głowy urąbany *na prikusku*?

– Niech mu pani zrobi kawusi po wiedeńsku i postawi na nakastliku, w którym trzyma *nalik*, *hegar* i *meszty*! – rozkoszowała się uszczypliwościami Marianna.

Pani Helena i Justyna nic już z tego nie rozumiały, śledziły sprzeczkę z wielkimi ze zdumienia oczyma i nie wiedziały, czy to na serio, czy dla nabrania ich, prostych mieszkanek tej ziemi, które były „stąd” i już zapomniały albo nigdy nie wiedziały, że mogą istnieć takie różnice i takie spory o coś nieuchwytnego, już niemal

legendarnego, przechowywanego w jakichś zakamarkach pamięci, zapisanego wyblakłym, zrudziałym atramentem na strzępkach kartek z rodzinnych sztambuchów.

Pierwszy zreflektował się Krzysztof.

– Proszę nam wybaczyć, pani Helenko. Od czasu do czasu lubimy powspominać dawne dzieje. A za wrzątek dziękuję. Zaparzę sobie sam. Albo zaparzę dla nas dwojga. Czy księżna łowicka, *pardon*: warszawska, raczy napić się ze mną... herbaty?

– Herbaty? – słodko spytała Marianna.

– Tak, herbaty. Będę pił herbatę – odrzekł Krzysztof, parodiując arystokratyczny ton.

– A jednak? – triumfowała Marianna.

– Jednak herbatę. ALE ANGIELSKĄ! – zatriumfował.

Marianna rzuciła w niego ścierką, którą on rozpostarł jak torreador i zawołał:

– *Toro! Toro!*

Pani Helena złapała się za głowę. Marianna i Justyna wybuchnęły śmiechem.

– Pan to jest... – powiedziała Justyna z zachwytem.

Siedzieli w salonie, ona półleżąc na kanapie, on obok. Pili herbatę. On nalewał jakieś krople na łyżeczkę i sztywno niósł do jej ust.

– Faj, jakie pyszne – skrzywiła się Marianna.

– Mierzyłaś gorączkę? – Podał jej witaminy. – A może lepiej zamówić obiady w restauracji? Jak ty dasz sobie radę? Tyle tego na głowie... A jak się rozchorujesz?

– Wypluj te słowa i nie kracz! Nie ma mowy o żadnej restauracji. Każdy grosz się liczy. Postanowione, obliczone. Amen.

Był wczesny ranek, przez podwórze szedł Józek, niósł dwa kosze drewna, a dodatkowo miał jeszcze przyciśnięte ramionami do boków. Obok szła Justyna zaróżowiona od mrozu.

– To mój wynalazek. Nikt tyle nie uniesie – powiedział Józek.

Wypadło mu polano spod pachy, chciał je przytrzymać, zleciało drugie.

– Dobry wynalazek, ale dziurawy – zaśmiała się Justyna i podniosła zbugę.

– Zupełnie jak wy, dziewczuchy – odciął się Józek.

– Świntuch! – Rzuciła w niego drzazgą.

– Justyna! – zawołała stojąca na progu domu Helena. – Co to za spacer! Obiad dla tylu osób trza robić, a ona drewnienka za jaśnie panem nosi. Do roboty,

dziewczyno!

Justyna pobiegła do domu.

– Józek, a naszykuj te piece, żeby sobie miastowe tylko podłożyli zapałkę. A potem... – nie skończyła, bo na podwórze wjechał czerwony samochód sportowy.

Helena otworzyła drzwi za sobą i zawołała:

– Pani Marianno! Pierwsze goście!

Justyna stała obok niej ciekawa, kto przyjechał. Józek skręcił w stronę budynków pensjonatowych. Z samochodu wysiadło trzech mężczyzn: reżyser, kierownik produkcji i operator. Reżyser był starszym panem, brodatym i trochę ociężałym, ale spojrzenie miał młode i bystre, lekko kpiące. Emanował spokojem, który budził zaufanie. Kierownik produkcji, też niemłody, wysoki i szczupły, poruszał się wolno, jakby z namysłem, ale budził respekt. Operator, niewysoki, tryskający energią napiętą jak sprężyna, z niezapalonym cygarem w ustach, trochę niepokoił swoją ruchliwością, nawet pewną nadpobudliwością, ale też intrygował. Wszystkich trzech, przy wielkich różnicach osobowości, łączyło coś wspólnego, co trudno było zdefiniować, a rzucało się w oczy: pewien rodzaj pewności siebie, przyzwyczajenie do wydawania decyzji i poleceń w trybie nieznoszącym sprzeciwu, traktowanie otaczającej rzeczywistości jako domeny im całkowicie podległej, co każdy powinien bezzwłocznie zrozumieć i temu się podporządkować. Reżysera i operatora łączył także podobny styl ubierania się, trochę młodzieżowego, swobodnego, ale wyrafinowanego i niewątpliwie kosztownego, markowego. Kierownik produkcji był bardziej tradycyjny, ale elegancki.

Ostatnia wysiadła kobieta zabierająca jakieś drobne torby. Była to asystentka operatora, osoba gorliwa i apodyktyczna, jak się później okazało. Helena dała znać Justynce i zniknęła w domu, ale dziewczyna zwlekąła jeszcze z wejściem. Cały czas trzymała w ramionach brzoszowe polana. Z domu szybko wyszła Marianna, za nią Krzysztof.

– Dzień dobry! – zawołała, idąc ku przyjezdnym.

– Przede wszystkim chcę obejrzeć pokoje! Gdzie jest ten przeznaczony dla pana operatora? – zazgrzytała asystentka.

– Paulina, nie szalej – spokojnie rzucił kierownik produkcji.

Reżyser przywitał się z gospodarzami, przedstawił:

– Roman Szacki, nasz operator... Ta energiczna osoba – odwrócił się do bacznie oglądającej siedlisko – asystentka operatora, pani Paulina Koziół...

– Ja jestem kierownikiem produkcji, Zygmunt Kamiń, to ja ustalałem z panią...

– Prosimy do środka, bardzo nam miło – powiedziała Marianna.
– Samochód może tam ustawimy – Krzysztof wskazał miejsce.
– Chciałabym zobaczyć... – zaczęła z naciskiem asystentka.
– Ja pokażę – odważyła się podekscytowana Justyna i spojrzała na Mariannę.
– Dla panów trójka, czwórka i piątka. – Gospodyni podała jej pęk kluczy.
– Samochód będzie nam zaraz potrzebny – powiedział reżyser – chcemy się rozejrzeć po okolicy.

– Niebawem tu będzie Jacek – odezwał się kierownik produkcji – to was zawiezie.
Z daleka widać było nadjeżdżający wielki samochód ciężarowy.
– No, oświetleniowcy już są – rzucił kierownik.
Operator zapalił cygaro, rozejrzał się wokoło.

– Super!
Z pawilonu pensjonatowego energicznym krokiem wyszła asystentka, za nią dreptała Justyna.

– W porządku! – zawołała Paulina. – Ciepło, czysto, wygodnie! Materac miękki, szafa pojemna. Woda ciepła i zimna, Mistrzu!

Reżyser, nie patrząc na nią, powiedział cicho i jakby z żalem:
– Biedactwo, jak ona się męczy! Niech się ktoś zlituje i ją uśpi.
Operator miał kamienny wyraz twarzy, kierownik powstrzymywał śmiech. Marianna i Krzysztof patrzyli i słuchali, trochę zbici z tropu całym zamieszaniem i zachowaniami zupełnie im nieznanymi.

Asystentka wyciągnęła z Justyną walizy i torby, wskazując, co należy wyjąć. Ruszyły z nimi do środka. Z samochodu wysypywali się elektrycy, rozległ się gwar, pokrzykiwania. Nadjechał następny samochód. Asystentka, mijając Mariannę, rzuciła, nie czekając na odpowiedź:

– Liczę, że istnieje możliwość przygotowania kawy o siódmej rano. Mistrz pije pierwszą o siódmej.

Marianna otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale już nie zdążyła. Asystentka rzuciła jeszcze do operatora:

– Trójka, drugie drzwi na lewo.
– Klucze – Justyna zwróciła pęk kluczy Mariannie – tamte zatrzymała pani... – Wzięła walizy i potargała za asystentką.
– No, są. – Skwitował przyjazd drugiego samochodu reżyser i odwrócił się do Marianny. – Wrócimy z dokumentacji około czternastej, na obiad, jeżeli pani

pozwoli?

– Tak, oczywiście.

– O, jest nasz syn – rozjaśnił się Krzysztof, mając świadomość, że sytuacja, która go przerasta, stanie się łatwiejsza dzięki Jackowi, dla którego była codziennością.

– Może ja teraz rozdzielę pokoje – powiedziała Marianna, kiedy już syn przywitał się z rodzicami.

– Mamo, to pani Irmina, kostiumolog – przedstawił brunetkę, ciekawie ubraną, wyciągającą z samochodu świetne futro. Marianna patrzyła z zachwytem i miała poczucie, że jej kurtka jest nie pierwszej młodości.

– Irmina Dolska – z uśmiechem ścisnęła dłoń Marianny, potem Krzysztofa. – Zapomniałam wieszaków... Nie mamy dużo kostiumów, niemniej trzeba je...

– Tak, tak, są wieszaki, szafy, pomieszczenie przy pani pokoju. Syn pomagał mi przy rozdziale pokoi, sugerując potrzeby.

– O, jeżeli tak, to jestem spokojna, na Jacusiu można polegać – powiedziała Dolska, czym sprawiła przyjemność Mariannie.

Jacek nie skomentował.

– Panie Jacku, jedziemy! – zawołał reżyser.

– Już, już – odchrzyknął Jacek. – Mamo, to pani Bożenka, charakteryzatorka, masz na liście...

Panie się przywitały, przybiegła Justyna pomóc w noszeniu bagaży.

– Krzysiu, mam tu listę. Pokoje dla panów elektryków.

– Idę! – Krzysztof skończył rozmowę z reżyserem i kierownikiem.

– Takie sanie, i to niezłe, ma Kotuła, Jacek będzie wiedział, co i jak.

– Co, tato? – podszedł Jacek, podał ojcu listę, którą przejął od Marianny.

– Sanie od Kotuli, chyba...

– Tak. Już z nim wstępnie rozmawiałem, tyle że on ma jednego konia, drugiego trzeba by od Wójcika.

– No, to jedźcie już – powiedział kierownik. – Aha, Kondratowicz przyjedzie na obiad, a ja znów będę dzwonił do Leny, bo miała wczoraj wrócić z Francji, ale nie odezwała się, a dziś rano też nikt nie odbierał telefonu.

– Dobrze. No, Jacek, pokazuj tę okolicę – zarządził reżyser.

– Jedźmy, jedźmy, jedźmy – zniecierpliwiał się operator, nie wyjmując cygara z ust.

– Sanie! – przypomniał Jackowi kierownik.

Na podwórzu stało już kilka aut: mikrobus, którym wyjeżdżali na dokumentację, fantastyczny wóz aktora Kondratowicza i otwarty szeroko samochód elektryków. Dwóch coś robiło przy sprzęcie, paru siedziało przy letniej kuchni na odśnieżonych ławach, między nimi baraszkował pies. Przed budynek jadalny wyskoczyła Justyna i potrząsnęła liną od wielkiego dzwonka. Ostry dźwięk rozległ się wyraźnie w mroźnym powietrzu. Siedzący poderwali się, ktoś zawołał w stronę otwartego samochodu:

– Costello! Obiad!

Jadalnię zaadaptowano z obórki. W rogu płonął ogień w wielkim kominku, obok leżała sterta polan, ściany wymalowane na niebiesko przyjemnie łączyły się z jasnym drewnem. Gdzieś tam wisiały pęki suchych traw, na małych okienkach stały stare żelazka, drewniane rzeźby Wolfa. Stoliki z obrusikami w kratkę, na nich biało-niebieska zastawa, wszystko przemyślane i wysmakowane.

Ekipa się rozsiadła, wiele miejsc zostało wolnych. Przy osobnych, mniejszych stolikach wyznaczono miejsca dla kierownictwa: przy jednym siedzieli reżyser, kierownik, operator i jego asystentka, przy drugim aktor Kondratowicz, Jacek, Irmina i klapserka. Pomieszczenie wypełnił gwar rozmów, szuranie krzeseł. Elektrycy byli hałaśliwi, dźwiękowcy trochę onieśmieleni. Justyna przez okienko od kuchni wzięła z rąk Heleny wazę z zupą. Drugą niosła doangażowana młodziutka brzydula. Marianna wskazała Justynie stolik reżyserski. Panowała przy nim pełna napięcia cisza.

– No i co? I co?! – rzucił wściekle, ale półgłosem reżyser.

Kierownik westchnął ze zmarszczonym czołem. Operator nalał sobie zupy. Asystentka śledziła z troską każdy jego ruch, gotowa natychmiast przyjść z ewentualną pomocą.

– To ona tam dostała główną rolę?! – spytał reżyser.

– Zostaje, bo liczy, że może dostanie – odpowiedział spokojnie Kierownik, ale widać było, że skupia się na problemie.

– „Może...” – sarkastycznie rzucił operator. – Idiotka!

– Nie, no... ja czegoś takiego nie rozumiem... Amatorka, czy co? Jak można tak nawalić?! Co ona mówiła?

Kierownik nalał sobie zupy.

– Przysłała z Paryża depeszę. Przeczytała mi jej matka. Też była zaskoczona.

– Też była zaskoczona... – powtórzył sarkastycznie reżyser.

Justyna stała z wazą bez słowa.

– Zupa – szepnął kierownik do reżysera.

– Dupa nie zupa! – rzucił przez zęby reżyser, zanurzając chochlę w wazie i łowiąc to, co gęste.

Justyna spłoszona zaczerwieniła się. Marianna, która przechodząc, usłyszała tylko końcówkę, otworzyła szeroko oczy, ale nic nie powiedziała.

– Trzeba kogoś ściągnąć. Zajmę się tym po obiedzie, masz jakieś sugestie? – spytał kierownik, zagryzając chlebkiem.

Reżyser jadł z apetytem, acz nerwowo.

– Sophia Loren. Może ma wolne!

Kierownik wychylił się do stolika obok.

– Jarek, zagrałbyś z Sofią Loren?

– Najchętniej w salonowca – rzucił natychmiast aktor, co wzbudziło śmiech. – A co jest?

– Potem ci powiem. – kierownik powrócił do zupy.

– Świetna – rzucił rozmarzony operator.

– Sophia Loren? – zapytała głośno asystantka.

– Grzybowa – operator otarł serwetką usta – jak u mamy.

W salonie wspaniałomyślnie użyczonym przez Mariannę kierownictwu ekipy siedzieli przy kominku reżyser, operator, kierownik produkcji, któremu asystował Jacek, i aktor Jarek Kondratowicz. Operator trzymał w zębach cygaro, ale nie palił, kołysał się w bujanym wiklinowym fotelu z rękami na karku. Jacek donosił jeszcze komuś filiżankę kawy, którą podała mu przez uchylone drzwi Marianna.

– Kary wynikające z zerwanej umowy mnie nie interesują, Zygmusiu – dobitnie powiedział reżyser do kierownika. – Z kim ja mam jutro zacząć zdjęcia? Z miss Ełku?

– Zaraz, panowie. Króliczek! – powiedział Jacek.

– Z „Playboya”? – Operator zatrzymał fotel.

– Chciałbyś... – zaśmiał się Jarek. – Ja też.

– Alicja Horno-Gajewska – rozjaśniony aktor zrobił zwycięską minę. – Nie dość, że jest wolna, wiem, że skończyła postsynchrony w Łodzi, to jeszcze siedzi za miedzą.

Trzej panowie popatrzyli na niego bez słowa.

– Mężuś ma tu domek... ba, pałacyk i teraz jego Króliczek sobie odpoczywa.

– To dobry pomysł – złagodniał reżyser.

– Dobry? Wspaniały! Drogi Zygmuncie – zwrócił się Jarek do kierownika „specjalnym tonem”: – Wie pan... W umowie tego artysty Kondratowicza należy dokonać zmiany. Dubelek stawki!

– *If I were a rich man...* – zaśpiewał kierownik na melodię ze *Skrzypka na dachu*.

– *To jest znana kutwa, dubi, dubi, dibi, dibi, da!* – na tę samą melodię odśpiewał Jarek.

– Jutro zaczynamy od jazdy, damy jej scenariusz. Młoda, łatwo się uczy...

– Gra ze mną... – aktor zrobił odpowiednią minę – złapała Pana Boga za nogi. Ale serio, to jedyne wyjście, nie licząc drzwi. Króliczek będzie szczęśliwy, a nam jej stary Gajewski podciągnie podbródki za frajer!

– Albo wyssie tłuszcz z brzuchów, jak nadal będzie takie jedzenie – ziewnął operator.

– Zygmuś! Jedźcie z Jarkiem do tej królicy. Ale już. I nie targuj się! – rzucił reżyser.

– Człowieku, ona zagra dla sztuki. Ma tyle szmalu, że może nas kupić na choinkę!

– powiedział aktor.

– Takie są najgorsze – mruknął kierownik.

Las był dekoracyjnie ośnieżony, drogą jechały sanie, dzwoniły dzwoneczki przy uprzęży, w saniach siedziała otulona baranicą para: Jarek i w filmowym, przywiezionym futrze Alicja. Powoził Kotula przebrany w kostium. Między drzewami widać było ekipę i kamerę. Elektrycy ustawiali blendy, operator sprawdzał światło. Asystentka Paulina stała w pogotowiu. Charakteryzatorka z kuferkiem. Marianna i Krzysztof, na prawach gości honorowych, usadowieni na krzeselkach obserwowali wszystko, co się działo, z rosnącym zdumieniem, ale powstrzymywali się od komentarzy, najwyżej wymieniali pełne grozy spojrzenia, co spostrzegł Jacek rozdarty pomiędzy uczuciami dumy i wstydu.

– Jacek, zostajesz na planie, ja jadę do prezydenta Ełku, w sprawie, no wiesz... Tylko trzymaj ich krótko, bo ci wleżą na głowę! – mówił kierownik, wsiadając do samochodu.

– Jasne! – odrzekł Jacek i poczuł się od razu lepiej.

– Generalska czy kręcimy? – rzucił reżyser w powietrze.

Wszyscy tupali z zimna.

– Robić, robić, bo mi ekspozycja siada – niecierpliwił się operator.

– Uwaga! – zawołał reżyser przez tubę. – Próba generalna! Gotowi?

– Uwaga – powiedziała cicho kłapserka.

Reżyser machnął ręką i po chwili zawołał:

– Jazda!

Kotula napięty, kiwając wyraźnie głową, liczył głośno:

– Raz, dwa, trzy! Wio! – Wymierzył koniom straszliwy cios batem.

Konie ruszyły.

– Stop! – krzyknął reżyser. – Panie Kotula, pan liczy głową i ja to widzę! W myślach! W myślach!

– W myślach to ja też na coś liczę... – zaśmiał się Jarek.

– Jarku, bądź łaskaw poprawić mi baranicę, coś podwiewa... – poprosiła Alicja.

– „Mroźny wiatr nam w oczy dmucha, a nad”... – Jarek starannie, może aż zbyt starannie, otulił jej nogi.

– Gotowi? Uwaga... Jazda!

Kotula policzył w myślach do trzech, strzelił z bata, konie ruszyły. Aktorzy natychmiast się skoncentrowali – ona roześmiana oparła mu głowę na ramieniu, uniosła, spojrzała na niego, on, kiedy zbliżali się do kamery, podniósł się, odrzucając baranicę, rozejrzał się po okolicy i zawołał:

– Henrietta mnie kochaaaaa!!! – Opadł na siedzenie, rozkochany objął Alicję.

– Dobrze! – zawołał reżyser. – Na miejsca. Będziemy kręcić!

Kotula zawrócił sanie, zrobił to uważnie, bo droga była dość wąska, dojechał na miejsce, z którego wyruszył i które teraz pokazywała mu kłapserka. Ustawili się. Marianna zauważyła, że Jacek poderwał się ze swego krzeselka, szybko podszedł do szefa oświetlaczy i coś mu powiedział ostrym tonem, tamten skinął posłusznie głową, pobiegł do jednego z elektryków i pokazał mu lampę. Tamten natychmiast zaczął coś przy niej poprawiać. Szef elektryków krzyknął:

– Sekunda! Wyładowcza zgasła!

Operator popatrzył na niego z wyrzutem i pokręcił głową. Szef odpowiedział przepaszającym gestem i po chwili zawołał:

– Gotowe!

Popatrzył przy tym ukradkiem na Jacka wzrokiem zbitego psa, a ten miną pokazał, że to się w głowie nie mieści, i wyciągnął palec, sugerując, że sobie to zapamięta.

Wszystko obserwował też Krzysztof i teraz wymienili z Marianną spojrzenia pełne rodzicielskiej dumy. Zobaczyli w tej wymianie krótkich, zrozumiałych tylko

dla wtajemniczonych sygnałów, że Jacek jest tu kimś, z kim ekipa bardzo się liczy.

Charakteryzatorka podbiegła do Alicji, poprawiła loki, czapkę futrzaną.

– Kurczę, mam już czerwony nos, co! Zimno, jak diabli! Powinien być dodatek za nieludzkie warunki pracy! – zawołał Jarek.

Jakiś techniczny podbiegł z termosem.

– Panie Jareczku, herbatki? – spytał konspiracyjnie.

– Dawaj, Ziutek. – Aktor ściągnął rękawice i wziął od niego kubek.

– Można pić, nie za gorąca – rzucił drugi członek ekipy.

– Dzięki. – Jarek przechylił kubek, wypijając spory łyk. – A niechże was... – Pił do dna, a oni się śmiali.

Kotula patrzył na wszystko szeroko otwartymi oczami.

– A usta jak? – spytała Alicja.

– Dobrze – powiedziała charakteryzatorka.

– Bardzo dobre! – rzucił Jarek intymnym głosem.

– Przestań, głuptasie – ciepło szepnęła Alicja.

– Gotowi? – krzyknął reżyser. – Aha, panie Kotula. Niech pan nie wali konia batem. Lejcami tylko, lejcami. Rusza pan na „Jazda!”. No, uwaga! Kamera!

Stojący przy saniach cofnęli się, operator dźwięku zawołał:

– Poszła!

Klaperska zawołała cienkim głosem:

– *Dziwna podróż* jedenaście. – Zrobiła klaps i szybko uskoczyła za drzewa.

– Akcja! – zawołał reżyser, ale Kotula siedział nieruchomy.

– Akcja! – darł się reżyser, ale Kotula nie ruszał.

– Jedź pan! – szturchnął go w plecy Jarek i syczał półgłosem.

– Nie było „jazda!” – spokojnie odrzekł Kotula, patrząc przed siebie.

– Akcja! Do cholery!

Stali nadal. Jarek poderwał się, chcąc ratować sytuację, złapał za lejce, za bat Kotuli, zawołał:

– Wio! Wio! Wieź nas, dobry człowieku!!

– Zaraz! – szamotał się Kotula. – Co pan mój bat bierze?! – Nie puszczał, walcząc łokciem. – Puszczej lejce!!

– Jedziemy! – haftował nadal radosny Jarek, szarpiąc się z Kotulą.

– Matko święta!! – krzyknął chłop.

- Stooooop! – wrzasnął reżyser. – Co wy robicie?
- Pan Katula nie chce jechać!
- Kotula jestem, a nie żaden Katula! – zawołał obrażony. – Liczyłem do trzech i stojałem, bo pan nie mówił – „jazda!”.
- Jak to nie mówiłem?! Nie krzyczałem „jazda!”?
- Pan krzyczał „akcja!” – spokojnie wyjaśnił Kotula.
- Człowieku, to wszystko jedno! – wściekał się reżyser.
- Dla pana może wszystko jedno, ale dla mnie nie – upierał się Kotula – pan mi kazał jechać na „jazda”. A ja byłem w wojsku, proszę pana, to ja wiem, co to jest rozkaz!
- Co mi pan tu z wojskiem wyjeżdża!
- Właśnie, że nie wyjeżdża – wrzucił dowcipnie aktor.
- Kotula nagle wstał na saniach i powiedział straszonym głosem:
- A co, a co? Co pan myśli, ja Wał Pomorski zdobywałem, krew swoją przelewałem, żebyś pan mógł teraz spokojnie filmy kręcić! Jakby mój dowódca na froncie krzyknął „akcja” zamiast „do ataku”, to gównu by z tego wyszło, o!
- Nie, no ja zwariuję! – jęknął reżyser załamany.
- Jarek i Alicja zaśmiewali się w saniach do łez.
- Pani Lusi, proszę przestać... charakteryzacja... – z troską napomniała charakteryzatorka.
- Reżyser powiedział coś do operatora i teraz ten ruszył ku saniom.
- Rany boskie, co za mróz? – zdziwił się obłudnie Jarek. – Poratujcie herbatką, chłopcy, ja ginę!
- Ziutek pobiegł z kubkiem.
- Zrobimy tak... – powiedział operator – skup się i przestań już z tą herbatą! Jak dziecko.
- Jest cholernie zimno – zatrząsł się na pokaz aktor, pijąc szybko.
- Zmarzluch... – rzuciła Alicja.
- Czasem można mnie rozgrzać... – odrzekł znacząco Jarek.
- Skupcie się, dzieci! Zrobimy tak. Panu już dziękujemy – powiedział do Kotuli – a lejce... może bez bata... weźmiesz ty. Umiesz powozić?
- Pan się mnie pytasz, czy ja umiem powozić?! – powiedział, z żydowskim nagle akcentem, aktor. – Ja grałem Berka Joselewicza pod Kockiem, ja tam powoziłem armatą! Uwaga, proszszsz... odsuńcie się, kochani, będę powoził...

– Zara... jakże to – zaoponował Kotula! – To moje sanie i ten koń mój, tamten Wójcika. Miałem mieć zapłacone!

– Gdzie jest kierownik planu, na Boga! – rozejrzął się zły, bezradny reżyser.

– Ekspozycja się zmienia! – zawołał operator.

– Panie Katula... – wydyszał kierownik planu, który nadbiegł zza zakrętu drogi.

– Panie Kotula jestem – poprawił chłop beznamiętnie.

– Przepraszam, oczywiście, jak mogłem... tak. Pan na chwilę zostawi pojazd naszemu aktorowi, a zapłaci się panu tyle, ile było obiecane. Nic się nie zmieni. Jasne? Tak? – uśmiechnął się z przymusem.

– No, Jarku... Jak dobrze pójdzie, jedno ujęcie nam wystarczy. I skończymy, a jest naprawdę zimno – powiedział operator i odszedł do kamery.

– Ale w następnym filmie – zawołał aktor – rzecz dzieje się na plaży. Ja leżę na piasku, a po piwo wyskakuje kaskader!

Cała ekipa się roześmiała, Kotula zareagował ożywieniem na słowo „piwo”.

Sanie pomknęły z powożącym Jarkiem.

– Kocham Henriettę! Kocham Henriettę!! – krzyczał w szaleńczym uniesieniu, Alicja śmiała się radośnie, minęli kamerę, pędząc dalej.

– Ssssstop! – zawołał reżyser. – Dla mnie dobre.

– Dla mnie też – powiedział operator.

Kalinowscy popatrzyli na siebie porozumiewawczo, zdaje się doszło do nich, że przyszłe dzieło nie wejdzie raczej do historii sztuki filmowej, ale być może zarobi sporo pieniędzy.

– Ale przygrzał... – rzuciła wierna asystentka operatora.

Klapserka zapisała metry.

– Wracamy! – zawołał kierownik planu za saniami. Wszyscy patrzyli za odjeżdżającymi, reżyser zawołał przez tubę:

– Koniec!!!

– Można się zbierać? – spytał elektryk Costello.

– Dokąd ta droga prowadzi? – zwrócił się operator do Kotuli.

– Na Stare Juchy i dalej – odrzekł ten jakoś bezradnie.

– Czy on ma pozwolenie na prowadzenie sań? – zatroskał się operator i likwidujący plan zaśmiali się.

– Czy te konie są ostre? – spytał reżyser.

– Gdzie tam, panie, oni są łagodne. – Kotula wzruszył ramionami.

– Uciszcie się na chwilę, kochani – poprosił reżyser. – Słysząc coś?

Wszyscy zamarli bez ruchu.

– Costello, nie teraz! – rzucił ktoś do sikającego za drzewem elektryka. – Cicho ma być.

– Ktoś woła? – szepnęła kłapsierka.

– Cisza! – krzyknął reżyser.

Znowu wszyscy zamarli. Nie było nic słysząc.

– Jedziemy – zdecydował reżyser. – Może wpadli w zaspę.

Wsiedli z operatorem i z Jackiem do samochodu i ruszyli. kierownik planu podbiegł, chcąc się zabrać z nimi, ale reżyser machnął ręką i krzyknął przez otwarte okno:

– Likwiduj plan. W razie czego zadzwonimy!

Mknęli koleinami wąskiej drogi przez ośnieżony las. Przeleciała sroka i proszący śnieg ze świerka.

– Mam nadzieję, że się ockną i wrócą, a ja go tak opieprzę, że mu się wąsy odkleją, erotoman! Już ją tam pewnie magluje, musi dbać o swój pieprzony image! – złościł się reżyser.

Przejechali przez krzyżówkę z asfaltową szosą.

– Są! – Reżyser stuknął palcem w szybę.

– O, Jezu...

Zobaczyli przewrócone sanie i Alicję tyłem, nachyloną nad opartym o płożę Markiem. Robiła mu okłady ze śniegu.

– Żyją – z ulgą stwierdził reżyser.

Operator zatrąbił, aktorka odwróciła się i machnęła ręką. Jarek podniósł się, zakrwawiony, trzymając się za oko i skroń.

– Rany boskie – szepnął operator.

Podjechali bliżej i wyskoczyli z samochodu.

– Poniosły?! – zawołał reżyser.

– Poniosły! – odpowiedziała rozdygotana Alicja.

– Widzisz? – zapytał reżyser. – Oko? Tak, oko?!

– Widzę. Oko za oko, ząb za ząb – starał się żartować aktor i odjął rękę od twarzy.

W palcach trzymał ząb, uśmiechnął się szeroko, pokazał brak jedynki.

– O rany boskie. Jesteś ubezpieczony? – spytał przerażony reżyser.

– Nic się nie martw, to tylko koronka! – roześmiał się aktor.

Teraz dopiero widać było, że z rozciętego łuku brwiowego leci krew, a przez policzek biegnie linia otarcia.

– Ale krew prawdziwa – dodał uśmiechnięty Kondratowicz.

W jadalni siedzieli wszyscy przy kolacji, brakowało tylko Alicji, Jarka i kierownika produkcji.

– Jak na jeden dzień zbyt dużo emocji – stwierdził reżyser, ale nie stracił apetytu.

Marianna zauważyła, że trzeba uzupełnić półmiski z wędliną.

– Justyna...

Wszedł Krzysztof.

– Telefonowała pani Alicja. Pytała o pana Kondratowicza i prosiła o telefon, jak wrócą ze szpitala.

– Dobrze – powiedział Jacek.

– Zastanawiam się, czy jej mąż już wie o tym wypadku i czy ładuje pistolety. – Operator naładował sobie górę sałatki jarzynowej.

– To chirurg plastyczny, w razie czego coś Jarkowi pozszywa – odezwała się asystentka.

– Albo amputuje – dorzucił Jacek, czym wzbudził śmiech panów.

– Wyglądało groźnie – dodała kłapserka, zajądając z apetytem.

– Dobrze, że po ujęciu poniosły... – zaśmiała się cicho Irmina.

– Irminko, kawa? – usłyszała Marianna syna i coś w jego głosie kazało jej dyskretnie spojrzeć w tamtym kierunku. On, opierając dłoń na ramieniu uśmiechającej się do niego Irminy, nachylony ku niej, przez chwilę niezauważony przez obecnych, był dla Marianny aż obcy. Nieznany. Tak nią to wstrząsnęło, że nie usłyszała Krzysztofa, który powtarzał:

– Marianno... Marianno... – aż kiedy dotknął jej ręki, spojrzała na niego zaskoczona.

– Zamyśliłaś się, a ja chcę ci coś powiedzieć. Ważnego!

– Ty też...

– Co?

– Zauważyłeś? – Zaskoczona była jego spostrzegawczością dotyczącą tych dwojga.

– Tak! Przestałaś kichać!

Dom pogrązał się coraz bardziej we śnie, ale jeszcze paliły się tu i ówdzie światła w

oknach. Marianna z psami obeszała teren, sprawdziła zamknięte drzwi. Gdy przechodziła obok jadalni, ze zdziwieniem zobaczyła odbłask palącego się kominka, świecę na stole i dwie postacie nachylone ku sobie w rozmowie, nad butelką wina. Mężczyzna ujmował rękę kobiety i przykładał do policzka. Marianna nie miała najmniejszych wątpliwości. Stała chwilę, nie bardzo wiedząc, co ma robić. Ciemne niebo wypełniały gwiazdy, było mroźno i cicho. Psy spokojnie nasłuchiwały dalekich, nocnych szczeknięć psów ze wsi. Ona oderwała się od ściany, odeszła kilkanaście kroków i zaczęła lepić w dłoniach kulkę śniegu. Berta ożywiona tańczyła obok. Marianna rzuciła jej śnieżkę, pies pobiegł, a ona szybko zrobiła drugą i rzuciła w okno jadalni. Powtórzyła rzut dla drugiego psa, Lolki, gdy otworzyły się drzwi od jadalni i stanął w nich Jacek.

– Matka?

– Jacek?

– Ależ ty masz krzepę... Jeszcze cię stać na zabawy z psami?

– A ty co? Dlaczego nie idziesz spać?

– Tak... zasiedziałem się przy kominku.

– No, dobra, to bierz kurtkę, ja zamknę jadalnię.

– Nie... idź już, ja to zrobię – powiedział, udając, że już miał zamiar to zrobić.

– Mam klucze, to... – wyciągnęła brzęczący pęk, gdy z wnętrza wyszła w narzuconej kurtce Irmina.

– O! – powiedziała Marianna.

Irmina uśmiechnęła się trochę na siłę.

– Zasiedzieliśmy się, gadając. Taki palący się kominek... mój Boże, to wręcz romantyczne.

Jacek miał głupią minę.

– Jest już naprawdę bardzo późno... – stwierdziła Marianna. – Dzwoniła twoja żona, ale nie wiedzieliśmy, gdzie jesteś – skłamała i trochę jej się zrobiło wstyd, że wystrzeliła z tak grubej rury.

– Tak? – zdumiał się Jacek. – Coś chciała?

– Myślę, że pogadać z tobą... Nie mówiła mi.

– Dobranoc pani. Ale mróz. – Irmina ruszyła z miejsca. – Dobranoc.

Marianna popatrzyła za nią i podniosła oczy na syna.

– Myślałam, że przyjechałeś tu pracować.

– Mamo, co ty... Powiedz, co mówiła Iza.

Marianna podała mu klucze.

– Nic. Nie dzwoniła. Zgaś kominek i zamknij jadalnię. Klucze połów na stole w kuchni.

Jacek milczał, patrząc na matkę, która odeszła, nachyliła się do psa.

– Dobranoc, Bertunia. Idź do budy. Dobry, dobry pies...

Lolka też podeszła po swoją porcję pieśczozy, potem obie z Bertą ruszyły do swoich bud.

Następny poranek był słoneczny i nadal mroźny. Krzysztof wyszedł z domu ciepło opatulony. Psy rzuciły się na powitanie, skakały na niego radośnie, równocześnie walcząc między sobą o jego względy. Krzysztof dał im jakieś przysmaki, sprawiedliwie je rozdzielając.

– Przestańcie na mnie skakać! – powiedział do nich jak do ludzi. – Zostańcie tutaj. Proszę za mną nie iść! Idę sam. Sam!

Z bocznej oficyny, gdzie zainstalowano garderobę i charakteryzatornię, wyszedł Jarek w płaszczu z podniesionym kołnierzem, skulony. Wybiegła za nim pani Bożenka z kocem w ręku.

– Panie Jarku! Bo pan się zaziębi! – Otuliła go troskliwie.

– Dziękuję, pani jest najlepsza! – Uważał, żeby nie pobrudzić koca umalowaną twarzą. – Będę się za panią modlił!

Pani Bożenka obdarzyła go uśmiechem, który niezbyt harmonizował ze wzmianką o modlitwie.

– Witam, profesorze – skłonił się Jarek na widok Krzysztofa.

– Dzień dobry! – Gospodarz zatrzymał się, podali sobie dłonie. – Na śniadanie czy do pracy?

– Jadłem pierwszy. Dziś wyjątkowo katowała mnie od świtu ta zwiewna Bożenka. Dobrze, że tylko na fotelu, chociaż na fotelu też można... – nie zmarnował okazji na żarcik.

Krzysztof nie złapał lub udał, że nie łapie aluzji. Przyjrzał się aktorowi, szukając śladów wczorajszego wypadku.

– Napędził nam pan strachu – powiedział serio.

– Tak, zwłaszcza kierownikowi produkcji... Nie, faktycznie, nieco przesadziłem. Na spacerek?

– W jakimś sensie. Chcę sprawdzić, czy łabędzie nie mają kłopotów. Zасыpiają na lodzie, a rano okazuje się, że przymarzły im łapy... Wtedy organizujemy im pomoc.

– To idziemy chyba w jednym kierunku?

– Tak. Ekipa też jest przy tamtych szuwarach.

– Mam nadzieję, że nie przymarzną im łapy. Wie pan, profesorze, z jednej strony państwu zazdroszczę, a z drugiej myślę, że nie potrafiłbym tak się odciąć od świata.

– Są wartkie rzeki i spokojne jeziora, jak mówi moja żona – Krzysztof uśmiechnął się.

– To prawda, ale Jacek mi mówił, że jedzie pan do Stanów. Na długo?

– Och, tylko na kongres, do Bostonu. I to dopiero w jesieni.

– Myślałem, że znowu na rok wykładów.

– Już bym chyba nie mógł. Wie pan, kiedy wyrwałem się na rok z tamtego zapyziałego PRL-u i siedziałem na takim tradycyjnym, dostojnym kampusie, mieszkałem w pięknym domu w dzielnicy profesorskiej, wśród przyjaznych, sympatycznych ludzi i miałem zawsze na wykładach komplety studentów, o twarzach mających do mnie zaufanie i szacunek do wiedzy, którą się z nimi dzielę, wydawało mi się, że nigdy nie będę już tak szczęśliwy. Okazało się, że to jednak możliwe. Tu.

Krzysztof uśmiechnął się nieśmiało, jakby trochę speszony intymnym tonem swojego wyznania. Jarek docenił jednak wartość tej konfidencji i patrząc mu w oczy, powiedział poważnym głosem:

– Czuję się naprawdę zaszczycony tym, że mogłem tego wysłuchać, i szczerze panu gratuluję. Będę o tym pamiętał, pewnie kiedyś bardzo mi się to przyda...

Krzysztof dotknął ręką daszka ciepłej czapki i skrzył w stronę szuwarów. Pomyślał, że ten młody człowiek, którego świat psuje powodzeniem, który ma opinię playboya i podrywacza, o co bardzo dba, który obdarzony jest nie tylko wybitnym talentem, ale także błyskotliwą inteligencją i poczuciem humoru, to przecież człowiek myślący i wrażliwy. Poczul przyływ sympatii i zadowolenia, że Jacek się z nim przyjaźni. To są fajni faceci! – powiedział do siebie w myślach i uśmiechnął się.

Jarek podążył na plan. Marianna, za szybą w swoim pokoju na poddaszu, podniosła do oczu lornetkę. Chwilę prowadziła Krzysztofa oddalającego się w kierunku szuwarów, potem przeniosła spojrzenie na Jarka, a za nim na uwijającą się nad brzegiem jeziora ekipę, z której wyłowiła najpierw Jacka, a później Irminę, ale ponieważ nie widać, żeby byli sobą zajęci, odłożyła lornetkę od oczu. Wtedy poczuła wstyd i powiedziała do siebie: No, nie, chyba przesadzasz!

Wieczorem w jadalni rozpalono w kominku, ekipa krążyła podekscytowana widokiem bogatego zestawu wędlin, serów, sałatek na ładnie przykrytym bufecie, zbitym z nieoheblowanych desek. Z boku ustawiono maszynkę do kawy, termosy z gorącą wodą, słoiki z kawą, pudełko z herbatą.

– No, to jest temat na film o zakąsce sierotce – rzekł Jarek, nakładając sobie śledzika, co znalazło aplauz również sobie nakładających.

– Spokojnie – powiedział Jacek – byłem służbowo w Ełku. Zaopatrzenie w porządku.

– To chciałem usłyszeć – rozjaśnił się Jarek. – Witaj, śledziu.

Marianna wyszła z kuchni z napełnionymi półmiskami, odstawiła na bufet, namawiała na faszerowane jaja, pasztet, rozejrzała się i zauważyła stolik, przy którym siedział Jacek z towarzystwem, butelkę wódki i napełnione kieliszki.

Podeszła Justyna z wazą zupy. Wszyscy nalali sobie ochoczo.

– Ja stąd nie wyjeżdżam – zajął się operator.

– Tak? Bardzo się cieszę, potrzebny nam mężczyzna do pomocy – Marianna się roześmiała.

– O, na taką stratę dla historii filmu nikt się nie zgodzi! – wychyliła się od stolika asystentka.

Marianna podeszła w stronę syna.

– Smakuje? – zapytała siedzących.

– Wszystko jest przepyszne – wdzięczyła się Irmiona.

Ale Marianna popatrzyła na Jacka, a ten podniósł na nią lekko zmętniałe oczy.

– Tak dziś zmarliśmy... – uśmiechnął się dziecinnie.

– I wczoraj, i dziś, i jutro... – rzuciła kwaśno niepijąca Bożenka.

– Bo jest zimno, Bożenko – wytłumaczył łagodnie Jacek.

– Wypije Pani Matka z nami? – Jarek wstał od stołu. – Dosłownie kieliszeczek.

– Nie, dziękuję – załagodziła śmiechem chłód odmowy. – A na rozgrzewkę idzie właśnie żurek, Jacku – dodała, odchodząc.

Jacek westchnął, poczuł się małym Jacusiem pod surowym spojrzeniem wymagającej mamy. Ogarnęło go zniechęcenie: miłość matczyzna, miłość oddanej żony, przelotna namiętność Irmiony, a tak naprawdę chodzi o władzę, o podporządkowanie, o dominację. Nalał sobie kieliszek wódki i wychylił go jednym haustem.

Następnego dnia rano w kuchni Iza rozbiła kotlety schabowe, Marianna z Justyną panierowały i smażyły. Helena gotowała zupę.

– Dziękuję ci, Izuniu, że przyjechałaś.

– To mnie jest miło, że mogę ci pomóc. A wiesz, zaraz po twoim telefonie zablokował mi się aparat – zresztą uformowała rozbitą kotlet – więc na ślepo pojechałam do Malwiny i poprosiłam, żeby przyjechała Jaśka na te trzy dni. Już ją pewno związał i podpalił... – zaśmiała się.

– Byłaś może u Wolfa w szpitalu? Jak rehabilitacja?

– Byłam. Ma blokadę psychiczną, podesłałam mojego kolegę, świetny psycholog...

– Czy do kotletów pójdą ogórki kiszzone? – spytała Helena.

– Tak.

Helena wzięła koszyk i ruszyła do piwnicy.

– Chodź, Justyna, to od razu przyniesiesz kompoty.

Zniknęły za drzwiami piwnicy, Marianna popatrzyła Izie w oczy.

– To ja ci dziękuję – powiedziała Iza i odwróciła wzrok.

Marianna przechyliła się i głośno pocałowała ją w policzek.

– Pańskie oko konia tuczy... – rzuciła Iza.

– Powiedz mi... czy Jacek pije?

Iza zamilkła na chwilę.

– No, zdarza mu się. To podobno stresująca praca... – postarała się powiedzieć to lekko.

– A więc pije – cicho stwierdziła Marianna. – Za dużo?

– Bywa... Nie chciałam cię martwić. Muszę sama dać sobie z tym radę. Nie jest tragicznie.

– O, ja też mam prawo wziąć go za głowę!

Pracowały chwilę w milczeniu, gdy nagle Iza spytała:

– Mamo, kto to jest taka chuda brunetka?

Marianna rzuciła na nią spojrzenie pełne uznania.

– Nikt – odparła spokojnie. – Kostiumolożka przy tym filmie.

Nagle otworzyły się drzwi do kuchni.

– Co się stało?! Nie ma wody! – powiedział ostro Jacek.

– Jezus Maria! – Marianna rzuciła widelec. – Kotlety, Izuniu – zawołała i wybiegła za synem. Po drodze spotkała dwóch namydlonych, bezradnych

elektryków, Castella i Mafiosa.

– Zaraz będzie – powiedziała Marianna.

– Co z wodą?! Nie można się golić!! – krzyknęła asystentka.

– To ona się goli? – spytał cicho Mafioso kolegę.

– Mistrzu, nie ma wody!!! – zawołała asystentka.

– Nikt nie ma! Zaraz poradzimy! – Marianna starała się zachować spokój. – Zaraz włączymy hydrofor, proszę jednak o oszczędne gospodarowanie, a na razie mineralna jest w kuchni.

Marianna narzuciła kurtkę i wybiegła na podwórze. Nad studnią pochylali się Krzysztof z Jackiem, wrzucali śnieg do środka. Józek dźwigał dwa wiadra wody od jeziora. Szedł ostrożnie, żeby się nie pośliznąć.

– Nowy wydatek – rzuciła Marianna.

– Trzeba zrobić studnię głębinową – stęknął Józek.

– Tak. Jeśli jeszcze nadal chcesz mieć pensjonat... – poparł go Krzysztof, wlewając wodę.

Marianna zgrabnie ominęła prowokację.

– Zapłaci film, to zrobimy.

– Aha, dług Zarzyckiego ginie za horyzontem – rzekł pogodzony Krzysztof.

Marianna weszła do jadalni, gdzie Justyna nakrywała do śniadania. Na brzegu krzesła siedział kierowca elektryków, na którego Marianna popatrzyła ze zdziwieniem.

– Zaraz będzie woda – powiedziała.

– Nie, nie, ja już nie potrzebuję. Zdążyłem. Już taki jestem ranny ptaszek... – uśmiechnął się, patrząc na Justynę, która rozkładała sztućce.

– Sery, wędliny – rzuciła Marianna.

– Już, już – biegła Justyna, uśmiechając się do kierowcy.

– Panna Justynka też biega jak ptaszek... – powiedział kierowca.

– Wstawiłaś wodę na jaja? – Marianna zmarszczyła czoło.

– Tak.

Marianna otworzyła lodówkę.

– Gdzie są jaja?

Justyna znieruchomiała.

– Nie wiem.

Marianna poczuła, że przestaje się kontrolować.

– Co to znaczy, nie wiem?! Mówiłam wczoraj, umyć jaja i uzupełnić w lodówce. Nie ma teraz co wytrzeszczać oczu! A pan... Niech pan zajmie się swoją robotą i nie zawraca głowy dziewczynie! Bardzo proszę! No, dałaś plamę! Potworną plamę! Zaraz będą się schodzić goście i co?!

Kierowca prawie na palcach zniknął bezszelestnie, Justynie płonęły policzki. Marianna stanęła w drzwiach na podwórzu.

– Józek!

– Tak?

– Zostaw wszystko i natychmiast leć do Kotulowej po jaja! Biegiem, słyszysz?!

Józek wypuścił z rąk puste wiadra, wpatrzony w krzyczącą.

Z domu wybiegł Krzysztof.

– Marianno!

Patrzyła na męża w milczeniu.

– Szambo! Szambo wybiło!!!

– I coś jeszcze? – spytała, starając się oddychać spokojnie i mówić cicho.

– To mało?! – Krzysztof popatrzył na nią jak na szaloną. – Co robić?!

– Wezwać szambodżeta. Błyskawicznie. Chyba tyle potrafisz zrobić? – rzuciła przez zęby rozjuszona, odwróciła się i pobiegła, już nie patrząc na osłupiałego męża.

Wbiegła do swojej pracowni, skacząc po dwa stopnie, rzuciła się na fotel, złapała za głowę i zaczęła płakać.

– Po co mi to było! – szlochała głośno. – Po co mi to było! Po co?! Po co?!

Ale uspokoiła się dość szybko, głośno wytarła nos, otarła oczy i wzięła głęboki oddech.

– No, dobra! A pensjonat i tak będzie! – i dodała w duchu, do siebie: – Pieprzona siłaczka!





11.

Niemrawo zaczynało się przedwiośnie. Pola były jeszcze szare, tylko gdzieniegdzie zaczynały podchodzić leciuteńką zielenią. W spokojnych, zimnych taflach jezior zalegały duże obszary brudnej kry, ale tych surowych panoram nie oglądał z wysoka nikt, może jedynie pasażerowie międzynarodowych linii lotniczych, które kilkanaście razy dziennie znaczyły białymi krechami swoje szlaki z zachodu na wschód, do Petersburga, Moskwy, gdzie tam jeszcze i z powrotem. Nie oglądał ich jednak lotniarz, po którym słuch zaginął. Wprawdzie pewien urzędnik z gminy, który jeździł na szkolenie do Katowic, twierdził, że widział tam jego ogromny, spiżowy pomnik, ale nikt nie dał mu wiary, mimo że się przysięgał na zdrowie swej żony i syna. Żona była cherlawa, syn zdrowy jak byk, w sumie to jakoś nie uwierzytelniało tej przysięgi i pozostawiło urzędnika w stanie prostracji, którą leczył piwem w restauracji Palinocka. Sprawa się wyjaśniła dopiero, gdy przyniósł zeskanowaną na gminnym komputerze fotografię z Internetu przedstawiającą ów pomnik. Ze skruchą przyznał, że skrzydlata postać, w której dopatrywał się podobieństwa do lotniarza, w istocie upamiętniała jedno z powstań śląskich, a skrzydła stanowiły alegorię wzlotu ku wolności. Wobec tego postanowiono dalej na lotniarza czekać.

A zwyczajne życie toczyło się zwykłymi koleinami, głębokimi i pełnymi błota, bo nastała odwilż. W obejście Kalinowskich powoli wjeżdżała furmanka. Powoził Kotuła, leniwie poddając się wolnej jeździe konia. Popatrywał dokoła spod nisko naciągniętego na oczy beretu. Widać było zatroskanie i wysiłek myślowy. Ożywił się nagle, zauważywszy idącą szybko z budynku gospodarczego do domu Helenę, która niosła wyprasowaną, poskładaną bieliznę pościelową. Kotuła zatrzymał wóz.

– Miształowa – zawołał półgłosem – niech podejdzie...

Helena podeszła zdziwiona nieco tą konspiracją.

– Kalinowska w domu?

– W domu.

– Niedobrze... – szepnął Kotuła – a Kalinowski jest?

– Nie, we Warszawie. – Helena popatrzyła na niego zdziwiona.

– To dobrze! – ożywił się Kotula. – Idźta do swojego zajęcia, a ja żem was o nic nie pytał! – powiedział z naciskiem i zawołał na konia: – Wio!

Podjechał bliżej pod drzwi domu, z których właśnie wychodziła Marianna, w kaloszach i zapinając kurtkę, a więc mając zajęte ręce, i rogalika trzymając w zębach. Chciała skierować się w stronę jeziora, skąd dochodził dźwięk tępych, mocnych uderzeń. Spojrzała zdziwiona na zatrzymującego się Kotulę.

– Gospodarz w domu? – zawołał Kotula, dotykając beretu, co miało być zapewne powitaniem.

Marianna wyjęła z ust rogalik.

– Nie, panie Kotula. Jest w Warszawie.

Helena zatrzymała się na progu domu.

– Cholerka! – Kotula zagrał zmartwienie. – Nakazał przywieźć kompostnik do ogrodu.

Marianna popatrzyła zaskoczona, odwróciła się do Heleny.

– Krzysztof? Kompostnik? Nic o tym nie wiem.

– Nie wie lewica, co robi prawica... – Kotula rozłożył ręce i twardo dorzucił: – Kazał i już.

– Zaraz... – zaczęła Helena.

– Nie zaraz, tylko już i niech Misztalowa nic nie mówi, jak jej przy tym nie było. Mnie przykazał, a ja...

– Spokojnie, panie Kotula – przerwała Marianna – dobrze. Podjedzie pan tam, pod mój kompostnik i rzuci z brzegu. Będzie na przyszły rok.

Helena weszła do domu, a Marianna chciała odejść.

– I tak się robi – rozjaśnił się ochoczo Kotula. – Należy się trzy stówy.

– Co? – zatrzymała się Marianna. – O nie, to są, to będą rozmowy między wami – ukryła uśmiech, gryząc rogalik.

– Jakże to... – zgaśł Kotula, z trudem przełykając ślinę, bo gardło było suche.

– A tak.

– Pani Kalinowsko... ale zaliczkę. W potrzebie jestem finansowej...

– O, żeby pan wiedział, w jakiej ja jestem! – Ruszyła, ale zatrzymała się jeszcze. – Niech pan już jedzie do warzywnika. Zaraz tu będzie wóz meblowy, nie można tarasować drogi.

– Cholerka, a niech to myszy... – sapnęła Kotula. – A kiedy będzie gospodarz? Może się z nim dogadam...

– Pani szefowo! – zawołał stojący od strony jeziora majster – no?

– Już idę! – odrzyknęła Marianna, ruszając ku niemu, i rzuciła przez ramię do Kotuli: – Jutro wraca pod wieczór.

Przy brzegu w wodzie zasapany Orzeszko w wysokich gumowych woderach, ciężko oddychając, opierał wielki młot o pał wystający z wody. Kilka stało już wbitych, były dużo niższe od tego ostatniego. Zbliżył się do niego, brodząc, też w gumowych buto-spodniach na szelkach, uśmiechnięty Grześ.

– Pary ci brak, Orzeszko.

– Tak? – sapnął Orzeszko. – Obaczym, jak z ciebie ujdzie.

Grześ przejął od niego młot.

– Stasiu, wiesz jak jest, samotny chłop ma więcej sił niż żonaty, bo jej nie traci... no? Na co, Stasiu?

Stojący na brzegu już się śmiali.

– Na swoją babę. Bo jej nie musi lać! – zawołał za idącym i śmiał się z tymi na brzegu, a Orzeszko machnął ręką.

Grześ wziął zamach i bił w pał wręcz z pokazową siłą.

– A jak się baby nie bije, to jej wątroba gnije! – dokończył z triumfem.

– Czekaj no, Grzesiek! – zawołał majster. – Wstrzym się na moment.

Podeszła do nich Marianna.

– Nie zimno wam?

– Dobrze jest – odrzekł spocony Orzeszko.

– Szefowo, to jak ma iść ten pomost? – zapytał majster.

– Mnie pan pyta? Przecież mąż dał panu rysunek i wymiary...

– Kurna, utopił któryś... – Majster rzucił złe spojrzenie na stojących obok z głupawymi uśmiechami.

– Boże drogi, ciągle coś... – zdenerwowała się Marianna – mąż będzie dopiero jutro. Jak pamiętam, to dopiero od... tak, chyba od ósmego pala jest skręt trochę w lewo, ale nie, nie mogę sama i na oko decydować.

– Dobra jest – uciął majster – to jeszcze dwa wbijem na pewno. Wal.

Grzesio znów wziął zamach i wałnął w pał.

– Grzesiek! To nie kołek w płocie, daj ducha! – zawołał Orzeszko.

– Odezwał się! – odrzyknął Grześ, lecz tym razem wziął tak mocny zamach, że ciężar młota przechylił go do tyłu. Woda wlała się do gumowych spodni, gdy chłop przewrócił się na plecy, znikając pod wodą. Wszyscy stali chwilę bez ruchu,

zaskoczeni. Przy palach uspokajała się powierzchnia sinej wody jeziora.

– Jezus Maria!! – krzyknęła Marianna – on się utopił!! Ratujcie go!!

Majster ruszył pierwszy, za nim Orzeszko i jeden ze stojących.

– Kafar! Kafar był pożyczony! – krzyczał jeden z pozostałych na brzegu.

Majster z pomocnikiem szamotali się, wyciągając Grzesia. Nie było to łatwe, chłop był strasznie ciężki i nieporadny w groteskowo napełnionych wodą spodniach.

– Skąpał się! – ucieszył się Orzeszko.

– Nie ma łazienki, to skorzystał... – zaśmiał się drugi.

Marianna popatrzyła wstrząśnięta na kaszlącego, mokrego mężczyznę.

– Kafar! Kafar weźta! – zawołał ten z brzegu.

– Idziemy do domu. Musi się pan wysuszyć i napić czegoś – poleciła Marianna.

– O, napić to by my... – zaczął drugi prowadzący.

– Gorącej herbaty panu dam – uściśliła Marianna. – Przebrać się trzeba – dodała bezradnie.

– Zara przyniesę z pakamery dres, to mu damy. – Majster pobiegł gorliwie.

W kuchni przy stole siedział Grześ ubrany w za mały dres, z moką, ale przyczesaną widać palcami czupryną. Przed sobą miał talerz z jajecznicą, szklankę z nadpitą herbatą i butelkę rumu.

– Albo jeszcze moja mamusia robi ją z kurkami – powiedział, zajądając z apetytem. – Ja raniutko myk do lasu, jak jest ich pora, oczywiście, do kosza, do kosza, a potem matka smaży. To lepsze jak kawior.

– A lubi pan kawior? – zdziwiła się Marianna.

– No, nie wiem, bo żem nie próbował – powiedział uśmiechnięty. – Albo, o, pomidory! Jak jest ich pora...

– Oczywiście – dorzuciła Marianna.

– No, w plastry na patelkę i jajecznica, że no! Ale ta na boczku też była w porządku. – Wytarł chlebem pusty talerz. Popił herbatą.

– Cieszę się – powiedziała Marianna – może dam panu jednak aspirynę na wszelki wypadek?

– Ale, co to się cackać z chłopem – rzuciła od garnków Helena. – Wyschnie i będzie dobrze.

– Tak jest – wesoło poparł ją Grześ i wstał. – Dziękuję.

– Na zdrowie – odpowiedziała Marianna i odwróciła się, słysząc pukanie do drzwi

wejściowych. – Otwarte! – zawołała.

Pukanie ponowiło się, więc poszła do korytarza. Grześ ruszył za nią. Otworzyła drzwi, na progu stał listonosz Pacała.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry, panie Pacała, proszę. – Cofnęła się, omal nie wpadając na Grzesia, który odskoczył.

– O, Grzesiek! Po sportowemu?... – zdziwił się listonosz, grzebiąc w torbie.

– Tak – roześmiał się Grześ. – No, to biegnę – wyszedł.

– Tera to moda na bieganie, pogłupieli – wzruszył ramionami Pacała. – Widziałem w gazecie, że i ten amerykański prezydent w majtkach lata. Tyle że w czapce z daszkiem. Jakby tak nasz zaczął, a za niem jego urzędniki, i za przeproszeniem ksiądz, to chyba i nasi w gminie musieliby też zapierniczać, co? – I podał kolejny list, na który Marianna rzuciła okiem.

– Pani Kalinowsko, co to za cud, że te pani psiska mnie nie gonią? Zdechło im się czy jak?

– Nie! – Marianna gwałtownie zaprzeczyła. – Mąż zawiózł je do Warszawy. Na sterylizację.

– Aha... – niepewnie powiedział listonosz. – Na taką wystawę, co to pokazują w telewizorze?

– Nie – Marianna z trudem zachowała powagę – do kliniki weterynaryjnej na zabieg.

Listonosz kiwnął głową ze zrozumieniem.

– Różne choroby i zwierzakom się przyplątują... tak już to jest. No, to do widzenia.

– Do widzenia panu, dziękuję. – Zamknęła za nim drzwi i powoli wracając do kuchni, przeglądała korespondencję. Wśród listów pojawiła się mała różowa koperta. Adres wypisano na maszynie. Do Krzysztofa. Zwrotnego adresu nie było. Marianna weszła do kuchni i położyła korespondencję na stół.

– Rachunki i te idiotyczne prospekty reklamowe...

Spojrzała na leżący stosik i wyłowiła różową kopertę. Trzymała chwilę w dłoni, odłożyła i od razu znów wzięła, wreszcie zdecydowała się otworzyć. Wyjęła arkusik i stojąc nieruchomo, czytała. Wydała niekontrolowane ni to westchnienie, ni stęknienie. Helena patrzyła na nią. Marianna zagryzła usta, jej twarz miała ostry i obcy wyraz. Podniosła oczy i spotkała spojrzenie Heleny.

– Jaki dziś dzień mamy?
– Piątek...
– Piątek – jakoś znacząco powtórzyła Marianna, chwilę milczała, popatrzyła na zegarek i powiedziała zdecydowanie:

– No, dobra! Dosyć tego!

Ruszyła z listem w stronę korytarza, przystanęła i odwróciła się.

– Pani Heleno, niech Józek przyniesie wiosła do łodzi.

– A dokąd to? W taką zimnicę? Co się stało?

– Nie... nic. Muszę na drugi brzeg, do profesora Wanata. Mam tam sprawę.

Zniknęła w korytarzu. Helena stała chwilę, a potem narzuciła chustę na ramiona i wyszła z domu.

W pokoju przy swoim biurczku Marianna przebrana do wyjazdu wyjęła z tajnej skrytki pakiecik różowych listów i związała je z tym ostatnio otrzymanym na wierzchu. Wsadziła pakiet do kieszeni kurtki. Wyszła z pokoju.

Przed domem stali w milczeniu Helena z synem.

– Przyniosłeś wiosła?

– Nie, bo nie można wypłynąć – powiedział bezradnie Józek.

– Co to znaczy, nie można? – Marianna spytała ostro.

– Łódź jest po zimie... przecieka...

– Nie można jej było nasmołować? – wściekła się Marianna.

– Mieliśmy razem z panem Krzysztofem...

– Sam nie mogłeś? – krzyknęła nagle Helena. – Leniu jeden!

– Mamo... – popatrzył na nią zaskoczony Józek.

– Niech to diabli – warknęła przez zęby Marianna i szybko ruszyła w kierunku komórki. O ścianę stał oparty rower. Matka i syn spojrzeli za nią. Marianna energicznie oderwała rower od ściany.

– Roztopy na drodze! – zawołała Helena.

– Łańcuch spada! – krzyknął Józek.

Marianna wsiadła na rower i ruszyła z dziką zajądlnością w stronę otwartej furtki.

– Nie udało się – szepnęła Helena. – Jakby ją diabeł opętał.

Brama Ośrodka Doświadczalnego Uniwersytetu Warszawskiego stała otworem, przed budynkiem parkował stary poobijany samochód i drugi bardzo dobrej marki z rejestracją warszawską, mocno ochlapany błotem. W rozmięklej ziemi burego

trawnika leżała lekko oblaźła tabliczka – „Uwaga! Złe koty! Nie całować! Nie głaskać!”. Tym razem zmęczona i zablokowana Marianna nie zwróciła na nią uwagi. Wjechała czerwona z wysiłku. Oparła rower o ścianę budynku. Machinalnie poprawiła włosy, rzuciła spojrzenie na swoje buty i brudny brzeg spódnicy. Weszła po schodkach i energicznie pchnęła wejściowe drzwi, wpadając na mężczyznę w okularach.

– Przepraszam pana.

– Nic się nie stało. – Mężczyzna poprawił okulary.

– O, nie powiedziałabym... – rzuciła autoironicznie, ale mężczyzna wziął to do siebie.

– Naprawdę – zapewnił. – W czymś mogę pomóc?

– Szukam profesora Wanata.

– Jest u siebie w gabinecie – mężczyzna wskazał ręką w głąb korytarza – ma gościa z Warszawy.

– I o to chodzi... – uśmiechnęła się do niego Marianna – dzięki.

Ruszyła we wskazanym kierunku, zapukała i od razu otworzyła energicznie drzwi. Odwrócili się ku niej siedzący przy stole Wanat i doktorantka Basia, niezwykle elegancko ubrana, z uniesioną filiżanką. I tak zastygła zaskoczona. Profesor rozjaśnił się.

– Dziecinko! Co za niespodzianka!

Zerwał się i złapał ją w objęcia.

– Dzień dobry, Wiesiu.

Spojrzał za nią.

– Krzyś też przyjechał?

Marianna popatrzyła prosto w twarz dziewczyny.

– Nie. Tylko ja.

– Wchodź, wchodź. – Wpuścił ją. – Daj kurtkę, powieszę tu na oparciu... Panie się znają?

– Bardzo dobrze – odparła spokojnie Marianna i kiwnęła głową, nie podając ręki wstającej dziewczynie.

– Herbatkę pijemy z naszą Basieńką doktorantką i tobie zaraz przyniosę. Jesteś głodna? Zaraz coś tam w kuchni zorganizujemy. A dlaczego? Jak brzmi odpowiedź? Bo mamy dobre układy z paniami kucharkami! Mężczyzna, który prosi o jedzonko, wzbudza swą bezradnością sympatię, co? – zaśmiał się, zacierając tłuste rączki.

Otworzyły się drzwi i zajął mężczyzna w okularach.

– Panie profesorze, przepraszam bardzo, kocur pogryzł kucharkę, czy mógłby pan...

– Znowu go głaskała! Ach, ta Genia... Już idę, panie docencie, weź pan apteczkę z sekretariatu.

Mężczyzna zniknął.

– A swoją drogą – powiedział profesor, szukając okularów na biurku – co to za samiec idiota, który nie lubi głaskania – i śmiejąc się, ruszył do wyjścia. Odwrócił się jeszcze od drzwi. – Zaraz wracam, dziewczuszki – oznajmił.

Kobiety zostały same i milczały chwilę. Barbara spojrzała na trzymaną łyżeczkę i bawiła się nią.

– I co ma pani do powiedzenia? – spytała opanowana Marianna.

Barbara nerwowo chrząknęła. Nadal nie patrzyła na Mariannę.

– Wanat to pretekst. Przyjechała pani, żeby zobaczyć się z moim mężem.

Barbarze wyraźnie robiło się gorąco.

– Nie, przecież piszę doktorat u pana profesora Wanata... A poza tym – skłamała dość bezradnie – ja... chcieliśmy z Witkiem kupić w tej okolicy kawałek ziemi, tu jest tak pięknie... jezioro... – powiedziała szybko.

Marianna podjęła ironicznie:

– Z Witkiem... – i spoważniała, nachylając się ku dziewczynie. – A jaką rolę gra tu mój mąż?

Barbara drżała ze zdenerwowania.

– Krz... profesor jest... wspaniały, mądry, uroczy, taki delikatny... inny niż... wspaniały – powtórzyła i zamilkła.

Marianna syciła się widokiem jej zmieszania.

– Wiem – powiedziała spokojnie – jesteśmy od wielu lat małżeństwem... niezwykle sobie bliskim. Czy myśli pani, że ten wspaniały, mądry, inny niż wszyscy zechce zostawić swoją rodzinę, dzieci, wnuki dla natrętnej dziewczyny, którą gościłam w naszym domu?

Sięgnęła do kieszeni kurtki wiszącej na oparciu krzesła i wyciągnęła plik różowych listów. Barbara rzuciła ukradkowe spojrzenie i przyłożyła dłoń do ust. Marianna przesunęła pakiecik po blacie stołu w jej kierunku.

– Proszę, aby zechciała pani zmienić adresata. To obrzydliwe... – powiedziała cicho. – Czy ma pani chociaż cień poczucia wstydu?

Barbara zagryzła usta i chociaż starała się opanować, łzy zalśniły w jej oczach. Chwyliła paczkę listów i wtedy na moment niedaleko od siebie znalazły się dwie dłonie: jedna zadbana, piękna, z kształtymi, polakierowanymi paznokciami, i druga trochę zniszczona, brudna od smaru rowerowego, mocno przywierająca do blatu stołu. Barbara wrzuciła listy do torby, zerwała się, sięgnęła po płaszczyk wiszący na jakimś gwoździu.

– Ja chciałam... Ja chciałam, żeby pan profesor miał choć trochę wolność... Zresztą, co pani może wiedzieć! – krzyknęła z pogardą i ruszyła szybkim krokiem do drzwi.

– Nie mówię do widzenia, ale żegnam... – cicho, ale z naciskiem powiedziała Marianna.

Barbara zatrzasnęła za sobą drzwi. Korytarzem oddaliły się jej pospieszne kroki. Marianna siedziała bez ruchu, a potem popatrzyła na swoje drżące ręce. Usłyszała uruchamianie silnika, a po chwili głosy na korytarzu, śmiech i Wanat wniósł tacę z herbatą, placuszkami i śmietanką.

– Jestem. Ach, ta nasza Genia – powiedział wchodząc – kocha kocura beznadziejną miłością, ofiarowuje mu a to czule słówka, a to mięsko, a on przyjmuje hołdy w swej samczej pysze, a potem cap! Do krwi!

Marianna roześmiała się nerwowo, potem schowała twarz w dłoniach i już nie było wiadomo, czy to tylko śmiech nią wstrząsa.

– A Basiunia gdzie? – spytał Wanat. – Tam, gdzie król piechotą chodzi?

– Nie. Dalej. – Marianna wytarła nos. – Odjechała.

Wanat podsunął jej cukier.

– Co? Jak to odjechała? Przecież ledwo...

– Miałymy sobie coś do powiedzenia, a może raczej ja jej, i... nie zdążyła się pożegnać. W jakimś sensie i ja capnęłam ją, choć jej atencje i czule słówka nie były przeznaczone dla mnie.

Wanat siedział oszołomiony, na twarzy miał widoczny wysiłek myślowy.

– Wiesiuniu – czule powiedziała Marianna – dałbyś mi łyżeczek koniaku? Mam wielkie zapotrzebowanie... Muszę się podnieść...

– O, bogowie! Żebym ja coś z tego rozumiał – zawołał Wanat, wstając.

– Nie zaprzataj sobie tym profesorskiej głowy – Marianna uśmiechnęła się, ale nie bez troski – chociaż jesteś mądrym biologiem. O, dziękuję ci, przyjacielu. – Sięgnęła po podawany kieliszek.

– Zaraz... – Wanat cofnął rękę – przyjechałaś samochodem i chcesz pić?

– Przyjechałam starym trupem rowerowym naszego Józia i jeżeli się nie wzmacnię, nie przebrnę drogi powrotnej – zapewniła go.

– Zadzwońię do Krzysztofa, bo ten grat asystenta Kurka ma nawalone hamulce. – Podał kieliszek.

– Twoje, Wiesiu – wypła łyk – nie przejmuj się, przyjacielu – wypła łyk – Krzysz wraca jutro z Warszawy – wypła łyk – do tej pory dojadę – wypła do dna – wiesz, kto ja jestem? Batszeba... mądra żona króla Dawida. – Popatrzyła na niego, mrugając oczami, już leciutko pod wpływem działania alkoholu.

Wanat siedział bezradny jak dziecko.

– Batszebo, zagryź placuszkiem – poprosił.

Marianna, spocona, brudna i wściekła, prowadziła rower drogą pełną dziur i błota. Z tylnego koła uszło powietrze, łańcuch spadł. Czekala ją dobra godzina drogi, a zmierzch zapadał szybko. Nagle w oddali zobaczyła jadący naprzeciw samochód. Zbliżał się szybko, ale dopiero kiedy był już blisko i zaczął hamować, rozpoznała, że to wraca Basia. Przystanęła, bo poczuła strach. Dziewczyna podjechała, gwałtownie zatrzymała auto, zgasila motor i wyskoczyła z furią. Trzasnęła mocno drzwiami, jakby dla dodania sobie animuszu. Wielkimi krokami, nie zważając na błoto, podeszła do Marianny, mrużąc oczy, które miały błyskawice.

– Wróciłam, bo tego tak nie zostawię! Wróciłam, żeby pani powiedziec, że jest pani bezdennie głupia! Ja nie miałam zamiaru rozbijać pani małżeństwa, kraść pani męża, rodzinie ojca i dziadka! Nie marzyłam o przyszłości u jego boku, nie chciałam, żeby zaczynał ze mną nowe życie, żeby przechodził przez tę żenującą gehennę rozwodów, rozdziałów majątku, upokorzeń, tłumaczeń, wstydu, utraty przyjaciół, przez to przedstawienie dla gawiedzi! Nie, ja bym mu tego nigdy nie zrobiła! Ja chciałam mu dać tylko to, co mogła mu dać młoda kobieta, tyle lat młodsza, młodsza od jego dzieci! Dać mu trochę ciepła i rozkoszy, słodczy owocu zakazanego, chciałam mieć z nim wspólny sekret, a nie zrobić sobie dziecko i nim szantażować. Chciałam, żeby raz jeszcze, może już po raz ostatni, przeżył tę słodką mękę zauroczenia, zakochania, prawdziwego pożądania, które z pewnością by minęły, ale pozostawiłyby wspomnienie na osłodę starości. A i pani by się potem coś z tego dostało: jego późniejsze poczucie winy, jego wyrzuty sumienia, jego skrucza i pokuta. Ale pani nie stać na wielkoduszność, na dar przyzwolenia, żeby spotkało go takie szczęście. My byśmy byli bardzo ostrożni, nikt by się nie dowiedział, toby była konspiracja najtajniejsza na świecie, ale pani nie dopuściła nawet do

zaklejkowania tego projektu, pani zapobiegła temu nie przez przechwytywanie tych listów, ale przez zamknięcie go w jedwabnym kokonie utkany przez te wszystkie lata tak szczelnie, że biedak się nawet nie zorientował, co mu przeszło koło nosa, co mu los podawał na tacy! Gdyby pani dała upust babskiej ciekawości i otwierała te listy, to zobaczyłaby pani, że nie ma tam ani jednego słowa, na którym można by zbudować jakieś oskarżenie, ani jednego! Ale pani przechowywała je zaklejone, żeby potem, kiedy przyparty do muru się przyznał, rzucić mu je pod nogi i triumfalnie oznajmić, że ich nie czytała. Taki operowy efekt pani sobie szykowała! A tymczasem ten różowy kolor był przeznaczony dla pani, żeby panią obudzić, żeby pani sobie przypominała, że jest kobietą i mieszka pani z takim mężczyzną, o którego trzeba będzie jeszcze powalczyć. Ale pani tego, jak widać, nie zrozumiała, bo nie zrobiła pani nic ze swoją nadwagą, ze swoją cerą, ze swoją garderobą! I teraz to ja żegnam, pani profesorowo! Życzę długich lat w tym pięknym domu pogodnej starości!

Odwróciła się i ruszyła energicznie w stronę swego samochodu, ale jeszcze zatrzymała się w połowie drogi i odwróciła się do Marianny.

– Nie, jeszcze coś dorzucę. Chcę, żeby została pani z czymś prostszym do zapamiętania, z czymś bardziej bolesnym: ja te listy wysyłałam, żeby mu powiedzieć, że jeszcze nie jest za późno, żeby jeszcze nie rezygnował, że to nie musi być dożywocie, bo ja się zakochałam w pani mężu bez pamięci i chciałam, żeby on to przynajmniej zauważył!

Ostatnie słowa wykrzyczała z taką wściekłością, bólem i pogardą, jakby chciała spoliczkować nimi Mariannę, ale zraniła nimi także i siebie, z jej oczu trysnęły fontanny łez. Odwróciła się gwałtownie i z płaczem pobiegła do swego samochodu.

Marianna stała jak zamieniona w słup soli: blada, nieruchoma, milcząca. Basia wskoczyła do auta, zapaliła silnik i zanosząc się szlochem, szybko ruszyła na wstecznym biegu do ścieżki odchodzącej w bok drogi, tam nawróciła i przyspieszając gwałtownie, odjechała.

Marianna stała jeszcze chwilę wstrząśnięta, przytłoczona lawiną słów, które na nią spadły, lawiną myśli, które krążyły w jej głowie, nie mogąc się ułożyć w spójny ciąg. Czuła, że potrzebuje czasu i spokoju, żeby to wszystko opanować i zrozumieć, że musi to zrobić sama i nikt jej w tym nie pomoże. Nagle opanowała ją straszna senność, najchętniej położyłaby się tu, w przydrożnym rowie, i zasnęła, przespałaby chociaż kilka minut, żeby jej mózg mógł się wyłączyć, żeby przestała myśleć, istnieć, ale zaczął padać deszcz, więc nie miała wyjścia i ruszyła dalej. Brnęła przez to błoto i już sama nie wiedziała, czy to deszcz, czy łzy spływają jej po twarzy.

Kiedy dotarła do domu, było już ciemno. Pani Helenka przeraziła się jej stanem i natychmiast zaczęła parzyć gorącą herbatę z rumem, nalewać wody do wanny, szukać aspiryny. To natychmiast przywołało Mariannę do porządku, zebrała się w sobie i oznajmiła, że nic jej nie jest, że musi się jedynie przebrać w suche ubranie. Poprosiła tylko panią Helenkę i Józka, aby nic nie mówili Krzysztofowi, kiedy wróci, o tej jej wyprawie do profesora Wanata.

– Szykujemy z profesorem pewną niespodziankę dla męża. To chodzi o coś na uniwersytecie i to dopiero na koniec roku...

Oboje obiecali nie puścić pary z ust. Wieczorem zadzwoniła też do Wanata i poprosiła go o to samo. Powiedziała mu, że jak ochłonęła, to zrozumiała, że przesadziła, że to głupia babska histeria, z igły widły, nie ma o czym mówić, zwłaszcza Krzysztofowi, że teraz się wstydzi, że już pogodziła się z Basią, bo dzwoniła, więc pamiętaj, Wiesiu, ani mru-mru, zapomnijmy, tak będzie najlepiej... Obiecał milczeć jak grób.

Wzięła szybką kąpiel, żeby nie zasnąć w wodzie, a kiedy się wycierała, obrzuciła tylko raz w lustrze krótkim, ponurym, nienawistnym spojrzeniem swoje zdeformowane wiekiem ciało, zbadła palcami podpuchnięte worki pod oczami, chwyciła swoje ubranie, zwinęła je w kłęb i z wściekłością wrzuciła do kosza. Tak, to zabolalo najbardziej, gówniara wiedziała, gdzie ugodzić! Włożyła – już z pewnym obrzydzeniem – barchanową koszulę nocną i szybko poszła do łóżka. Zgasiła lampkę i jak nigdy natychmiast zasnęła.

Spała długo, nie miała żadnych snów i kiedy rano się obudziła, poczuła, że wszystkie myśli i przeżycia wczorajsze spakowane zostały w jakąś paczkę ciasno obwiązaną sznurkiem, opatrzoną napisem: „Nie otwierać! Prywatnie!” i wrzucone w ciemny kąt jej mózgu. Zaraz przysypie ją sterta codziennych spraw, którymi uda się jej zająć tego wiecznie czujnego strażnika, tę płataninę neuronów cały czas czynnych w szarej pulsującej galarecie wypełniającej czaszkę, że oszuka swój mózg i zajmie tysiącem myśli błahych lub ważnych, ale dających zatrudnienie tym miliardom komórek, które muszą bez przerwy mieć coś do roboty. I zaraz się coś znalazło: jadła w milczeniu śniadanie w jadalni, udając, że czyta jakiś magazyn, żeby powstrzymać gadulstwo pani Helenki podającej jej do stołu, kiedy nagle za oknem rozległ się zdyszany kobiecy głos zawodzący wysokim tonem:

– O Matko Święta... O Matko...

Obie znieruchomiały zaskoczone. Słychać było dobijanie się do drzwi, jakieś beładne głosy. Marianna wstała, ale już do jadalni wpadła Aleksandra Kotulowa, a

za nią w progę stanął bezradny Józek.

– Ratujcie mnie! Ratujcie, państwo Kalinowskie... Ten pijak dyba na moje życie. O Matko Święta... – zawodziła – dwa dni już pije na umór za nagrodę, co go komputer wybrał! Dwadzieścia tysięcy! A mnie w nagrodę za całe życie, com mu poświęciła... O Matko Święta! Cała krwiom spływa, rana na ranie – szlochała, zadarła spódnicę, pokazując posiniaczone uda, zrzuciła na podłogę chustę, sweter i demonstrowała ślady na ramionach. – Dusił mnie! – Złapała się za szyję tak, że aż jej wyszły oczy z orbit – tak mnie dusił – charczała – że ażem niebo widziała!

– Pani Aleksandro, dosyć – spróbowała Marianna.

– Te oszusty, żeby ich piekło, we Wrocławiu, już jednego w Bałamutowie tak przerobiły w zaprzeszłym roku!

– Chwileczkę, Kotulowa... – starała się wstrzelić pani Helenka, ale tamta była w pełnym amoku.

– Tylko piszom: kup coś za prawie dziesięć tysięcy u nich, a one ci za to dwieście milionów przyślą. Oszustwo to jest na wielką skalę! Tylko w głowach głupim mąco! Ratujcie mnie, pani Kalinowsko! Ludzie! Ten cholera zabiera każdy grosz na wysyłkę, przechlewa, mnie katuje, żem mu za mały posag wniosła czterdzieści lat temu... – Oparła się o ścianę i rozplakała.

– Przyniosę jej walium. – Pani Helenka ruszyła do wiszącej w kuchni apteczki.

– Pani Aleksandro, proszę się uspokoić, coś trzeba na to poradzić. – Objęła Kotulową i poprowadziła do stołu.

Zza okna dobiegł turkot wozu. Józek wyjrzał.

– Kotula jedzie.

– O Matko Święta – pisnęła Kotulowa – zabić mnie jadzie, zabić. – Zaczęła osuwać się na podłogę, ale Józek podskoczył i podstawił jej krzesło.

Pani Helenka wróciła z kuchni z lekarstwem, podała Kotulowej łyżeczkę kropli z wodą i poklepała energicznie po twarzy.

– Olka! Olka! Trzymaj się! Nie mdlej!

– Tak! Niech tu siedzi, nie pokazuje się i milczy – poderwała się Marianna. – Józek pilnuj jej, a my chodźmy!

Pani Helenka rzuciła jeszcze groźne spojrzenie przeznaczone i dla Kotulowej, i dla Józka, i poszły. Marianna narzuciła po drodze kurtkę na ramiona. Pod dom ostro zajechała furmanka. Za Kotulą kotłowały się na wozie kwiczące dwa prosiaki, które uwolniły się z worka, miska blaszana i stolnica do ciasta. Kotula zawołał:

– Stoooj!!

Twarz miał czerwoną jak mięso, spod przekrzywionego beretu wystawał tłusty kosmyk włosów, rozpięta marynarka ukazywała burą wełnianą kamizelkę z oberwanymi guzikami.

– Okazja! – zawołał. – Prosiaki ekstraklasa! Kupuje? Miska też jest i deska poręczna na ciasto.

– Panie Kotula, co pan wyprawia? – zapytała spokojnie Marianna.

– Wyprzedaż konieczna!

– Ale co się stało?

– Faworyt szczęścia jestem! – wybuchł śmiechem, waląc się w pierś.

– Na pewno? Panie Kotula...

– Co za kobita – roześmiał się Kotula. – Widziała pani kiedy takie pieniądze: dwieście milionów? A ja zobaczę! O! Dowód jest... – Wyciągnął z kieszeni zmiętoszony kolorowy papier, rozprostował i przeczytał: – Biuro organizacyjne, certy... fikat... jest tu numer... nie to... O! Dwadzieścia tysięcy nowych złotych otrzymuje jako nagrodę Waław Kotula jest oficjalnie uwia... rygodniona przez organizatorów.

– Czy ja to mogę zobaczyć? Nim coś panu wytłumaczę.

– Pokazać można, czemu nie... – Zszedł z wozu i stanął obok niej, podał jej papier, a sam wyciągnął drugi, równie kolorowy, z obrazkami możliwości zakupów, też dobrze wymiętoszony.

– O, bylebym wprzód zakupił takom o „Zestaw stereo Hyfi Sound”, a do tego dodają takie coś i słuchawki, żeby – znów przeczytał – żeby się napawać... napawać muzykom podczas spaceru i w samochodzie! Co? Tyle że trzeba zamówić natychmiast, no to mnie jest potrzebna gotówka na wysyłkę! Wszystko sprzedam!

– Zaraz. Panie Kotula... – zaczęła Marianna.

– Albo o! – przerwał jej – takom superpatelnie... – popukał w obrazek – albo „płaszcz marynarski dla całej rodziny”, nie, nie, dla starej to nie!

W zapale nie zauważył, że z drzwi domu wymknęła się schylona prawie do ziemi Kotulowa, za którą wybiegł Józek, ale nie zdołał jej schwytać. Zakradła się z drugiej strony wozu, chwyciła prosiaki pod pachy i nadal schylona truchtem uciekła jak szalona.

– Rzucam jom! Mało to jest młódek w sam raz dla mnie? W Ełku albo i dalej? Nie jestem to im pasujący? Milioner!

– Posłuchajcie, Kotula – wtrącił się Józek.

– Jak do mnie mówio w telewizorze? Podaruj sobie luksus!!

– Kotula! – przerwała mu ostro Marianna. – Zamknij się, człowieku! Choć na chwilę, bo ci żyłka pęknie! Dajże powiedzieć! Wszyscy byśmy życzyli wam szczęścia w wygranej! ALE TO JEST OSZUSTWO! Zrozum! Mogę panu pokazać, że my też kiedyś dostaliśmy identyczne zawiadomienie. I nie my jedni! Oni żerują na naiwnych!!

Kotula wyrwał papier z ręki Marianny.

– Ale! Wydrukowane jest? Jest! Jażem Kotula? Ja! Do mnie jest adres? No.

– Jedź pan do adwokata do Ełku, pierwszego z brzegu, on panu wyjaśni – powiedziała Marianna.

– Bierze prosiaki czy nie? Miska idzie za pół ceny.

– Jedź, człowieku do domu, podrzyj te papiery, wytrzeźwiej i nie bij żony, bo ona ma więcej oleju w głowie niż ty... – Machnęła ręką pani Helena.

Kotula usadowił się na koźle i potrząsnął lejcamy.

– Jadziem! Zara wszystko pójdzie na targu!

Ruszył, odwrócił się jeszcze i krzyknął:

– Kiedyś ze świata widokówkie przyśle! Albo i nie! – zaśmiał się głośno.

Stali chwilę, patrząc za nim.

– Nie ma na to rozumu – westchnęła Helena.

W domu zadzwonił ostro telefon, Marianna pobiegła odebrać.

– A, to ty – spoważniała, słysząc głos Krzysztofa. – Co się stało, musisz zostać? – Sama poczuła, że powiedziała to z nadzieją, ale on tego nie usłyszał.

– Nie, wracam wieczorem. Mam dwie wiadomości. Miłą i straszliwą, ale w porę złapaną.

– Straszliwą, ale w porę złapaną? – powtórzyła Marianna i poczuła, że drętwieje.

– Ciotka Teodora usiłowała zaklepać sobie przyjazd z Edziem na Wielkanoc.

– Jezus Maria... – Marianna aż usiadła, z ulgi, że to nic groźnego.

– Spokój. Dziękuj Bogu, że mam refleks... Powiedziałem, że mamy tłumy gości na święta w pensjonacie. A druga bardzo miła: jesteśmy zaproszeni na kolację do Ełku. Do Wojtka Kuli i jego małżonki, poznanej na aukcji Iwonki.

– Kiedy?

– W sobotę wieczorem.

– Och, nie wiem, czy będę mogła.

– Dlaczego?

– Coś mi mówi, że będę już musiała pojechać do Warszawy. Wiesz, w związku z Kasią...

– Coś ci mówi? To powiedz temu cosiowi, że rozwiązanie jest wyliczone na siódmego, no, na ósmego kwietnia, a dziś mamy dwudziesty piąty marca. Dwa tygodnie chcesz czekać w Warszawie?!

– Masz rację, to nonsens. Ale wiesz, jak to jest... – Marianna pomyślała w pomieszeniu, że to byłoby dobre rozwiązanie, gdyby wyjechała tam, a on został tu.

– Rozumiem: ten coś to jest „serce matki”... – powiedział Krzysztof melodramatycznym tonem i na melodię starej piosenki z klasycznego filmu *Świat się śmieje* zaśpiewał błazeńsko: – „Serce, przebite nożem i widelcem”...

– No, zobaczymy... – uśmiechnęła się z przymusem. – Muszę kończyć.

– Dobra. Do wieczora!

Przyjechał późno, zmęczony drogą, ona krzątała się, podając mu do stołu, wymawiając się, że już zjadła, nie mogąc się doczekać, i słuchając jego relacji z pobytu w Warszawie. Ale włożyła wreszcie ten sweterek, który dostała na Gwiazdkę od Izy, a kolacji dziś nie zjadła, bo postanowiła zacząć się odchudzać, i to od zaraz. I jedno, i drugie Krzysztofowi umknęło. Starła się zachowywać zwyczajnie, aby niczego nie zauważył, ale sprawiało jej to wyraźną trudność. Cały czas wydawało się jej, że każdy gest, każdy ton w jej głosie brzmi fałszywie. Przeraziła się myśli, że zaraz mu przerwie i do wszystkiego się przyzna. Przyzna? Ona? A może to on powinien się przyznać! Ale do czego, jeśli to prawda, co powiedziała dziewczyna, że nawet się nie zorientował w jej zamiarach. A to stary oferma! Boże, co ja wygaduję?! – skarciła się w myślach. – A może miałyby do czego się przyznać, może do swych tajemnych marzeń, do swych erotycznych fantazjowań z udziałem ponętnej Basi?!

– Słuchasz mnie, Marianna?! – otrzeźwił ją głos Krzysztofa.

– Przepraszam, zamyśliłam się.

– Poprosiłem, żebyś mi zrobiła wannę, bo padam. Dokończę kolację sam, proszę... – Wyciągnął rękę i pogłaskał ją po rękawie. Niemal ją to oparzyło, ale przemogła się i potrzęsnęła głową.

– Jasne. Masz pięć minut, bo Józek coś ulepszył w hydroforze i ciśnienie się poprawiło.

Poszła na górę i odkręciła kurki nad wanną. Sama się szybko umyła i włożyła nocną koszulę. Ruszyła do sypialni, ale zaraz wróciła i przebrała się w piżamę. Tak

poczuła się bardziej opancerzona. Zakręciła kurki.

– Wanna gotowa! – zawołała w dół schodów i wróciła do sypialni. Położyła się z książką, ale nie była w stanie czytać. Gdy Krzysztof przeszedł przez pokój, aby zdjąć ubranie przed wejściem do łazienki, udawała zaczytaną i tylko mruknięciami odpowiadała na jego gadaninę. Wszedł do wanny, swoim zwyczajem podśpiewując i błaznując sam dla siebie, a ona słuchała tego z napięciem, ale myślami była gdzie indziej: Czy przy niej też by tak śpiewał? Niemal rękami odepchnęła tę myśl i wszystkie inne z tej niby ciasno związanej i rzekomo wepchniętej w ciemny kąt mózgu paczki. Zmusiła się do czytania, ale kiedy usłyszała, że Krzysztof wraca, zamknęła oczy i puściła książkę, która wypadła jej z ręki na kołdrę, tak jakby zasnęła, czytając.

– Ale wiesz... – urwał, widząc, że śpi. Podszedł cicho i delikatnie wziął książkę. Odłożył ją na szafkę nocną i zgasił lampkę. Potem położył się na swojej stronie łoża, trochę poczytał gazetę, starając się nie szeleścić, ale sen szybko zaczął go morzyć, więc przerwał lekturę, zgasił lampkę i już po chwili chrapał. A ona leżała z otwartymi w ciemnościach oczyma i patrzyła na wielkie pole, gdzie zbierały się całe zastępy myśli, zakutych w zbroje, szykujących broń, zawziętych i nieustępliwych. Gotowała się do ciężkiej z nimi bitwy, która będzie musiała być długa, może trwać będzie przez całą noc, może aż do białego rana.

W domu profesorstwa Kulów, w jadalni, przy zastawionym stole, siedzieli Marianna i Krzysztof, doktor Sławek Galas, starszy pan o miłej uśmiechniętej twarzy, doktor Zdzisław Trębicki zwany przez przyjaciół Trąbą i gospodarze, profesor Wojciech Kula z młodą, ładną żoną Iwoną. Marianna odwiedziła dziś kosmetyczkę i fryzjerkę w Ełku, z zadowoleniem stwierdzając, że salon jest miły i doskonale wyposażony, zrobiła sobie maseczkę, manikiur, podcięła trochę i odsiwiła włosy, a na przyjęcie włożyła swoją najlepszą, wieczorową sukienkę i trochę dyskretnej biżuterii. Wyglądała świetnie i nawet Krzysztof to zauważył, kiedy wychodzili z domu, więc wrócił i zmienił krawat na granatową muszkę w białe grochy, prezent od sekretarki w Kansas.

Widać było, że przystawki zostały już sprzątnięte ze stołu. Gospościa wniosła na tacy półmisek z mięsem i postawiła obok salaterki z kaszą gryczaną.

– Specjalność Iwonki, zrazy à la Radziwiłł. W ten sposób podciąga się klasowo – zawołał Wojciech i cmoknął z uznaniem końce swoich palców.

– Specjalność Wojtka: amputacja bez znieczulenia! – zawołał Sławek.

– Boże... – jęknęła Marianna, a wszyscy się roześmiali.

– To rozkosz dla pacjenta, w porównaniu z usypianiem przez sławę anestezjologii. – Klepnął przyjaciela po ramieniu Wojciech Kula.

– To dowcipasy z lat studiów – poinformował żonę Krzysztof.

– Nakładajcie państwo, proszę... – zwróciła się Iwonka do Marianny.

– Panowie! – Zdzisław podniósł kielich. – Proponuję zdrowie pięknych pań!

– I pani gospodyni! – roześmiała się Iwona. – Wolę uprzedzić, bo na pewno ktoś to powie.

Rozbrzmiewały śmiechy, zaczęło się nakładanie zrazów, zachwyty, drobne uprzejmości przy podawaniu sobie śliweczek w occie, sałatek itp. Marianna obserwowała męża, który był rozbawiony, odmłodzony, pełen wdzięku. Takiego na pewno widzi go ona... – pomyślała, spostrzegając równocześnie, że odczuła z tego powodu i zazdrość, i dumę, więc skarciła się w duchu za takie rozdwojenie i szybko powróciła do udziału w wieczorze.

– A pamiętasz, Trąba – zagadnął Krzysztof – nasz występ w Sopocie?

– No, jakże...

– Pierwszy czy drugi? – spytał Wojtek.

– Drugi, drugi... – sprecyzował Zdzisław.

– A co było? – spytała Marianna.

– Złamałem nogę na molo... Dość banalnie...

– Na skórce od banana – zawołał Sławek.

– O, to jak w amerykańskiej komedii... – śmiała się Marianna.

– Ale wtedy skórka od banana była raczej tylko na ekranie, a nie na ulicy czy molo. Nie zapominajmy! Może jedna jedyna na całe miasto skórka z banana przywiezionego przez marynarza dziecku, żeby wyszło z mamą na molo i poszpanowało, i ja na niej łamię nogę!

– Zawsze byłeś komik – rzucił Wojtek.

– Największe brawa zbierał w naszym kabarecie, drań jeden – roześmiał się Krzysztof.

– I co, odwołano przedstawienie? – spytała Iwonka.

– Coś ty! Widownia myślała, że to taki greps z gipsem i kulą – mówił ożywiony Wojtek.

– Ech, chłopcy! Za ten cudowny wieczór, niespodziewanie od losu nam dany! – wznosił kieliszek wzruszony Sławek – i za te nasze damy tu obecne! I nieobecne,

które nie mogły przyjechać!

Wypili.

– Marianno, piękna żono naszego przyjaciela, czy możemy mówić pani po imieniu, prosząc o to samo? – wychylił się do niej Wojtek.

– Z radością – powiedziała szczerze Marianna.

Nalali szybko i skierowali się do Marianny.

– Iwonko, pozwoli pani, że przyjaciel pani pięknego męża... – rzekł Krzysztof, co wzbudziło ryk śmiechu.

– Będzie mi bardzo miło, ale ja mineralną, panie profesorze, bo nie lubię alkoholu – uśmiechnęła się Iwonka.

– Zamknąłbym ją w szpitalu – Wojciech rozłożył ręce – ale wobec tej choroby medycyna jest chyba bezradna.

Spełnili bruderszafty, Trąba bił brawo, Wojciech wziął w objęcia Krzysztofa i klepał go po plecach wzruszony.

– Jesteśmy wieczni... – powiedział z przekonaniem Krzysztof.

– A jak! – rzucił Zdzisław, obejmując ich.

– I tak trzymać, chłopcy! – dołączył Sławek.

Zaczęli wykonywać jakieś kroki wspólnego tańca, nucąc tylko im znaną melodię, nadal obejmując się, przekonani, że są jeszcze wciąż rytmicznie znakomici, sympatycznie zabawni.

– No to zanosì się na to, że ja będę prowadzić samochód w drodze powrotnej – roześmiała się Marianna do Iwonki.

– Ale jeszcze o tym nie mówmy, pani Marianno – powiedziała Iwonka.

– Marianno... – Pocałowała ją w policzek.

– Czuję się zaszczycona – powiedziała szczerze dziewczyna.

– Przestań... dawno nie spotkałam tak miłej osoby, jak ty. A teraz pomogę ci zebrać ze stołu. – Chciała wstać.

– Nie, nie. Zbierzemy razem z panią Felusią. Proszę – zawołała – przejdźcie do salonu, tam podam kawę czy herbatę, proszę, kto co chce?

– Dla mnie troszkę kawki i troszkę herbatki, żeby nie robić kłopotu – powiedział Sławek.

– Dla mnie kawa, dla panów palta – powiedział Trąba.

– Nie! – roześmiała się Iwonka. – Kawa i tort własnej roboty – powiedziała z wdziękiem.

Marianna ruszyła pierwsza. Za nią Trąba, który pocałował Iwonkę w rękę.

– Idziemy, Iwonko, królowo słodkości.

Marianna obejrzała obrazy, zauważyła swój, kupiony niegdyś na aukcji. Trąba usiadł do pianina, zagrał pierwsze akordy i zaczął śpiewać, co przyciągnęło natychmiast pozostałych panów z jadalni. Obstąpili instrument wianuszkciem:

*Jeżeli chcesz być zdrowy,
Od stopy, aż do głowy,
To wybierz mnie*

– śpiewał Krzysztof,

Lub mnie

– włączył się Wojciech,

A ja wyleczę cię!

– dokończył Trąba.

Śpiewali już razem, wykonywali jakieś ruchy układu, czasem zapominali słów, ale szło im dobrze.

*Już dyplom mam w kieszeni,
i wiedzę, co świat zmieni,
a więc spokojnie choruj, bo –
znam lek na całe zło!
Śmiech, tylko śmiech w Pigułce
Lepszy niż szynka w bulce
i od gatunków trunków stu,
śmiech w kabarecie tu!*

Krzysztof wyciągnął rękę do siedzącej na fotelu Marianny, ona podeszła, objął ją ramieniem. Ona próbowała im wtórować.

*Na bzdurnych słów tortury,
na chama i bałwana,
cwaniaka i kretyna,*

*na sk... skubanego syna!
na władzy trąb zadęcie,
na rozum, gdy na rencie,
na koszmar łez obłudy,
na portfel, gdy wciąż chudy,
ty śmieję się, śmieję tu z nami,
ha ha ha ha – kochani...*

O, yes...

– zmysłowo dokończył Krzysztof.

Wybrzmiewały końcowe akordy, Marianna klaskała z zapałem i chyba wtedy po raz pierwszy odczuła, że tu jest dla niej ratunek, trzymanie się przeszłości, wszystkich wspomnień wspólnie przeżytych lat, tych setek dni i nocy, tych nitek rozpiętych między nimi a ich najbliższymi, tej pajęczyny powiązań, z której utkany jest pancerz jej i jej rodziny. Poczowała się pokrzepiona, zawołała z entuzjazmem:

– Brawo! Brawo!

– Biiis! – krzyknęła Iwonka, wchodząc z tortem na tacy. Na torcie widniał napis „Pigółka”, przez o z kreską i to fantazyjną. Wojtek nachylił się nad stołem.

– Żabko... a kto to napisał? – wskazał palcem napis.

– Ja! – z dumą odpowiedziała Iwonka.

– Gdzie jest nóż – zawołał Wojciech z żądzą mordu w oczach.

– Co ty, Wojtuś, za jeden błąd ortograficzny chcesz ją zabić? – udawał przestrach Trąba.

– On bez noża nie jest mężczyzną! – odgryzła się Iwonka. Ruszyła do drzwi, ale już weszła Felicja z nożem i szklaneczką ciepłej wody.

Wojtek pokroił tort z zawodową wprawą doświadczonego chirurga, Iwonka zgromadziła talerzyki, Felicja wniosła dzbanki z kawą i herbatą.

– No, a teraz... – Wojtek zatarł ręce, przysuwając sobie kieliszeczek i sięgając po butelkę koniaku, ale zamarł w tym geście, gdyż odezwał się delikatny brzęczyk pagera przy pasku spodni.

– Oooo – jęknęła Iwonka – już go nam zabiorą. Szpital wzywa...

Było pogodnie przedpołudnie. W Ełku, przed biurem mecenasa Dużego, w ogromnym luksusowym samochodzie siedział za kierownicą Krzysztof, obok niego mecenas.

– Niech pan tylko weźmie pod uwagę, panie profesorze: ABS, skóra, immobilizer, klima, dwa airbagi, szyberdach, komputer pokładowy...

– Rzeczywiście, super! Fantastyczny! – powiedział Krzysztof ze szczerym zachwytem, delikatnie dotykając, gładząc, smakując wzrokiem i palcami, i było w tym wszystko, co zachowało się w mężczyźnie z chłopca, który dostał pudło wymarzonych żołnierzyków ołowianych albo rower.

– Jedno mnie tylko trochę peszy, kolor. Czy nie zbyt wyzywający, za jaskrawy na Ełk? Już jakiś pijak krzyknął, jak zajechałem: „Straż pożarna? Pali się coś?”.

– Niech się pan nie przejmuj: taka czerwień jest zawsze modna, a przede wszystkim bezpieczna.

– Wolałbym, żeby był czarny. Ale, pocieszam się, wtedy by mi go pewnie ksiądz dziekan podkupił. Bo to okazja była! Od powracającego ze Stanów...

– A nie boi się pan, że może być... z niepewnego źródła? – spytał Krzysztof bez żadnej złośliwości.

– O, nie. Ja znam całą rodzinę tego, co mi sprzedał, niejeden akt im sporządzałem. A ten chłopak, wie pan, taki przystojniak, kulturysta, to dwa lata pracował u jakiejś bogatej wdowy w Kalifornii i jak wyjeżdżał, ona mu tego lexusa podarowała na pamiątkę.

– Widocznie dobrze się sprawował – powiedział Krzysztof z westchnieniem i podał mecenasowi rękę. – W każdym razie gratuluję. I dziękuję, bo ja też skorzystałem z okazji...

Wysiedli. Krzysztof podszedł do stojącej obok białej toyoty i otworzył kluczykiem drzwi. Stary samochód mecenasu był nie jak zwykle zaniedbany, lecz najwyraźniej odnowiony, podszykowany do sprzedaży. Mecenas Duży podszedł i poklepał maskę samochodu.

– Lubiłem go bardzo i on mnie też. Mam nadzieję, że i panu będzie dobrze służył. Nigdy bym się z nim nie rozstał, gdyby ten się nie trafił – silił się na sentymentalny ton. Cały czas jednak łypał z lubością na swoją nową furę.

– Postaram się, żeby i mnie polubił – powiedział Krzysztof, wsiadając do środka i zatrzaskując drzwi.

Mecenas Duży pochylił się, a Krzysztof opuścił szybę.

– Jeszcze jedno, panie profesorze, klocki hamulcowe trzeba zmienić, a przed następną zimą opony. Szerokiej drogi!

Krzysztof z dużą przyjemnością i zdecydowanie za szybko prowadził swój nowy

nabytek. Na ostrym zakręcie wpadł w lekki poślizg, ale sprawnie opanował samochód natychmiastową kontrą kierownicy. Przejechał z fasonem pod wiaduktem, rozbryzgując wielką kałużę, i kiedy na łagodnym łuku znowu przyspieszył, zza murowanego z mazurskich kamieni przystanku autobusowego wyskoczył nagle policjant z lizakiem. Krzysztof zahamował gwałtownie z piskiem opon. Policjant dał mu znak, żeby zjechał na pobocze. Krzysztof zatrzymał i opuścił szybę. Funkcjonariusz podszedł wolno, drugi, przy ukrytym za przystankiem radiowozie, trzymał w ręku pistolet radarowy.

– A cóż to, panie mecenasie... – zaczął policjant i urwał nagle zdumiony. – O, przepraszam, myślałem, że to...

– Tak, to jego samochód – wpadł mu w słowo Krzysztof – właśnie go kupiłem... O, tu są dokumenty. – Sięgnął po teczkę.

– Nie, nie, niech pan nie szuka. Wierzę panu, bo my państwa już tu wszyscy znamy... Pan profesor Kalinowski, prawda?

– Tak, zamieszkaliśmy tu w zeszłym roku.

Drugi policjant podszedł i zasalutował grzecznie.

– Ale pańska żona jeździ bardzo prawidłowo, a tu, proszę, nie za ładnie to wygląda...

Pokazał Krzysztofowi odczyt na pistolecie radarowym: 117 km.

– Faktycznie – stwierdził z zażenowaniem Krzysztof – widziałem tam ograniczenie do sześćdziesięciu...

– No, to już lepiej, że się pan przyznaje – powiedział drugi policjant z uśmiechem.

– Wiecie, panowie, dopiero co go kupiłem... chciałem zobaczyć, jak chodzi, a tu wystarczy lekko pocisnąć...

– Fakt, Japończyk robi auta na swoją miarę, on nie ma takiej siły w nogach jak Polak, toteż pewnie tam tak ostro nie jeżdżą – powiedział pierwszy policjant.

– On przede wszystkim nie ma się gdzie rozpędzić – Krzysztof chętnie wdał się w taką rozmowę, w chytrej nadziei załagodzenia sprawy.

– No, ale co my z panem zrobimy? – spytał z przesadnym zmartwieniem drugi policjant. – Myśleliśmy, że to mecenas pędzi, jak on zwykle, i że skasujemy go jak zwykle, a tu panu, bądź co bądź, gościowi trochę jeszcze, nieprzyjemność trzeba zrobić... Jakoś nie uchodzi...

– Mam propozycję – rzekł Krzysztof. Policjanci zeszytnieli od razu, widać było,

że spodziewają się propozycji łapówki, ale Krzysztof ich zaskoczył: – Proszę udzielić mi pouczenia – dokończył z kamienną twarzą.

Drugi policjant, starszy wiekiem od kolegi, uśmiechnął się pod wąsem.

– Tak, tak, to zgodne z przepisami. Policjant ma szereg środków do dyspozycji, także pouczenie. Pouczam pana, że należy przestrzegać przepisów drogowych, a szczególnie zwracać uwagę na tablice nakazu i zakazu w obszarze zabudowanym.

– Przyjmuję pouczenie i obiecuję poprawę – zapewnił z powagą Krzysztof.

– No, to szerokiej drogi, panie kierowco – podsumował pierwszy policjant.

Krzysztof zapalił silnik. Wychylił się jeszcze przez okno.

– To mówią panowie, że mecenas lubi szybko jeździć. No, to teraz da wam zarobić, kupił sobie samochód super, superdrogiej marki Lexus.

– Tego czerwonego, od Zenka? A, to nie daj Boże... – machnął enigmatycznie ręką drugi policjant.

Krzysztof bardzo łagodnie ruszył i oddalił się powoli.

Sypialnia pogrążona była w nocnym mroku, tylko księżycowa poświata od okna rozjaśniała ją trochę. Marianna leżała z otwartymi oczami, wpatrzona w jakieś dalekie horyzonty. Krzysztof chrapał cicho, odwrócony do ściany. Nagle w jadalni na dole rozległ się gwałtowny natarczywy dzwonek telefonu. Marianna usiadła na łóżku i zapaliła lampę. Spojrzała na budzik: była 3.40. Krzysztof obudził się, odwrócił i mrugnął nieprzytomnie. Marianna zerwała się z łóżka i wyskoczyła boso z sypialni. Zbiegła ze schodów na złamanie karku, jednym susem dopadła telefonu i porwała słuchawkę. Usłyszała zaspany głos telefonistki:

– Warszawa do pani, proszę czekać.

– Co się stało? – spytał z niepokojem Krzysztof. Wszedł do jadalni, człapiąc pantoflami i zawiązując pasek szlafroka.

– Warszawa. Czekam... – i głośniej do słuchawki: – Tak? Robert?

Krzysztof przysunął się bliżej, aby coś usłyszeć, Marianna trochę odchyliła po to słuchawkę od ucha. Zdyszany, radosny głos Roberta krzyczał:

– Mamo, mamó! Urodziliśmy córeczkę!

– Jak to, urodziliśmy? – zapytała trzeźwo Marianna.

– Bo ja też tam byłem! Byłem przy tym! To jest cudowne!

– Robert! Kochani! Boże, jak się cieszę! – krzyknęła Marianna.

– Jak się cieszymy! – krzyknął Krzysztof i zaczął wyrywać jej słuchawkę. –

Robert! Robert! Natychmiast się upij, ja też się upiję, bo... – Marianna nie dała mu skończyć, wyszarpnęła mu słuchawkę, krzyknęła:

– Robert! Ja rano przyjeżdżam! Zajmę się wszystkim, nie bój się!

– Ja się nie boję, mamó! Ja się teraz już niczego nie boję!!!

Krzysztof nachylił się i krzyknął do słuchawki:

– Robert, przyjadę z mamą. To znaczy z babcią. Trzymajcie się!

Marianna odłożyła słuchawkę, po jej uśmiechniętej twarzy płynęły strumienie łez. Krzysztof wybiegł z jadalni. Po chwili wrócił: pod szyją miał zawiązany biały fular, w oku monokl, niósł butelkę szampana i dwa kieliszki.

– No, pani hłabino, to wnuki już są do pały. Z trzecim bym nie łyzykował, mógłby być hełmałodyta... – powiedział ironicznie, parodiując arystokratyczny ton, ale w oczach miał łzy.

– Kretyn. Kochany, stary kretyn – roześmiała się, płacząc, Marianna.

Strzelił korek. Unieśli kieliszki, patrząc sobie w oczy, uśmiechnięci, szczęśliwi.

– Do tego, że muszę spać z babcią, przyzwyczajam się z trudem od sześciu lat, a teraz będę miał babcie podwójną, czyli dubeltową... – Krzysztof zawczasu uchylił się przed ciosem.

– Dziad! Dziad do kwadratu! – Marianna, chichocząc, rzuciła w niego poduszką, która pękła tak, że pokój został zasypany chmurą pierza, jakby śnieg padał. Cieszyli się z tego jak dzieci.





Łąki na wzgórzach, te ciche garby, przypominające płowe i brunatne grzbiety wielkich zwierząt, przesypiających tu zimę, zaczęły się wolno zazieleniać. Wiosna najpierw pojawiła się nieśmiało, bojaźliwie, jak skromna panienka wychowana w surowym domu, niepokazująca koloru oczu spod powiek cały czas opuszczonych, zachowująca się bardzo powściągliwie, mówiąca szeptem. Ale z każdym dniem zaczęła się ośmielać, sygnalizować różnymi sposobami swoją obecność, zdobywać coraz większe obszary szarzyzny. Suche trawy zaczęły znikać pod coraz zuchwalszymi kielkami nowych roślin. Wreszcie któregoś dnia o poranku ta najbardziej oszukańcza pora roku rozścieliła na łąkach szmaragdowy dywan, który aż raził w oczy swoją zaborczą świeżością i kusił, aby po nim stąpać. Skromna panienka wyrosła na świadomą swych wdzięków kobietę, która patrzy zuchwale, lecz zachęcająco, a w jej oczach koloru bławatków, którymi utkany jest ten zielony, cudownie miękki kobierzec, widać obietnicę dziewiczej rozkoszy przeznaczonej tylko dla tego, kto pierwszy na niego wstąpi. W odpowiedzi na to drzewa obsypały się kwiatami, jakby miały iść w procesji chwalejącej naturę, w błękitnych taflach jezior odbiły się białe obłoki, powietrze postarało się o przejrzystość kryształu i przyleciały bociany, a lotniarza jak nie było, tak nie było. Mimo że nastały już pierwsze dni maja.

– Może go gdzie zamkli? – rozważał stary Orzeszko, obciążając już trzecią butelkę browarku w sklepie w Bałamutowie. – Ale za co, Kotula, za co? Toż to chłop porządny był z kośćmi...

– Porządny też się może wnerwić, jak mu ktoś dokuczy – odrzekł Kotula, kiedy ruchem trębacza pułkowego odstawił flaszkę.

– W Stradunach na krzyżówce była kiedyś karczma, chłopcy przychodzili tam się bić, tak dla sportu. Chodził tam jeden kozak, co miał rękę w gipsie. Tak to siedział spokojnie, ale jak go kto wkurwił, bił tą ręką, aż się gips sypał. Raz jeden przyjezdny za coś tam mu dał w mordę, to ten kozak skądciś wyjął nóż, ale taką fest kosę, i pociął gościa, że krew na ściany tryskała. Przyjechała milicja i co się okazało? Rękę miał zdrową, a pod gipsem, co mu go zara zdjęli, miał jeszcze jedną kosę, ruski granat ręczny i portfel tego, co mu dał w mordę.

– To co? – Orzeszko zmrzążył oczy. – Myślicie, że nasz lotniarz w nodze szablę trzymał, pociął kogoś i teraz siedzi?

– Przecież to wyście mówili, że może go zamkli!

Orzeszko machnął ręką z rezygnacją i zamówił jeszcze jedno piwo.

Na tle nieba, na szczycie małej góry, wyłoniła się postać mężczyzny. Krzysztof szedł wolno, odwrócił się, gwizdnął na psy, które podbiegły do niego, mknąc wśród traw. Wyciągnął coś z kieszeni, dał psom, poklepał je. Rozejrzał się dookoła. Było coś w tej sylwetce z pełnego zadowolenia i spokoju. Popatrzył w stronę zabudowań i podniósł nagle rękę. Nadeszła Marianna, dopinając kurtkę.

– Był telefon! – zawołała.

– A co, już nie ma? – odkrzyknął Krzysztof.

Psy podbiegły i przywitały nadchodzącą, ona poklepała je machinalnie, ale nie obojętnym gestem.

– Zachwyca mnie dojrzała inteligencja człowieka, który od paru tygodni jest podwójnym dziadkiem – powiedziała ironicznie.

– Co jest?

– Robert dzwonił, że Kasia i Ania czują się dobrze. Ania jest tylko „leciutko marudna”.

– Aha, to znaczy, że daje im zdrowo popalić – stwierdził z przekonaniem Krzysztof.

– Na pewno – uśmiechnęła się Marianna. – Prosił, żeby przez Malinowskiego podesłać im moje konfitury z wiśni...

– Zaraz... kto zacz ten Malinowski?

– Otóż to. Edmund Malinowski, właściciel prężnego biura podróży Voyager... polecony przez Roberta. Miał tu przyjechać wczoraj. Robert nawet myślał, że Malinowski jeszcze tu jest, i dlatego te konfitury...

– Facet miał być wczoraj, a Robert uprzedza nas o tym dzisiaj?

– Sumitował się biedaczek, że jakoś przeoczył, zapomniał, że miał zadzwonić...

– Aha – powiedział z przekąsem Krzysztof – i co, ten cały Malinowski chce nawiązać z nami współpracę?

– Ten cały Malinowski chce tego bardzo – zgodziła się Marianna.

Zeszli wolno w stronę domu.

Na podwórzu wjechał samochód prowadzony przez Jacka, obok niego siedziała Iza,

na tylnym siedzeniu Gustaw Wolf.

– No, nareszcie! – Marianna przyspieszyła kroku.

Jacek wysiadł, pomachał do nich ręką, wysiadła Iza, oboje pomagali teraz wsiąść Wolfowi. Uderzał jego mizerny wygląd. Najwyraźniej starzec był zmęczony podróżą, zgaszony i postarzały. Gramolił się nieporadnie, nie radził sobie dobrze z protezą. Stanął, przytrzymując się Jacka i samochodu.

– Kochani moi, jesteście – przywitała ich Marianna.

– Jak droga? – spytał Krzysztof.

– W porządku. – Jacek dyskretnie zrobił minę do ojca, dając sygnał, że z Wolfem było marnie.

– Wezmę bagaż. – Iza poszła otworzyć kufer samochodu. Była tam mała walizeczka Wolfa, zniszczona i biedna.

– Pomożemy ci – jasnym głosem powiedziała do Gustawa Marianna.

– Tak... zaraz... – odrzekł Wolf i widać było, jak trudno mu się zdecydować na zrobienie kroku. Marianną wstrząsnął jego widok i stan, ale bardzo się starała tego nie okazać. Rzuciła tylko szybkie spojrzenie na Izę i Krzysztofa.

– Dobrze, chwileczkę odsapniemy... My też zmęczyliśmy się spacerem po naszej górze – zaproponowała łagodnie.

– Co u Jasia? – spytał Krzysztof.

– Prowadzimy z nim osławiające rozmowy na temat szkoły, zerówki i konieczności pobierania nauk – westchnął Jacek.

– Biedaczek – powiedziała ciepło Marianna. – Czy on musi dorastać?

– Oczywiście, że nie. Możemy mu dawać coś na zahamowanie wzrostu, a głupol i tak jest.

– No wiesz, synku! Wypraszam sobie! Jest wybitnie inteligentny, a ma to po matce i dziadkach...

– Chciałbym... – powiedział Wolf i zaczął dziwnie wiotczeć.

– Zaraz, Gustawie! – Krzysztof odwrócił się w stronę zabudowań – Józek! Fotel!

I sam szybko ruszył do domu. Jacek otworzył maskę i zajrzał, sprawdzając coś w silniku.

– Coś mi się krztusi...

– Mieliśmy to po drodze – powiedziała Iza, ale cały czas uważała na podtrzymywanego przez siebie Wolfa.

Marianna gładziła jego ramię. Mężczyzna oddychał ciężko z opuszczoną głową i

przymkniętymi oczami.

Szybkim krokiem nadszedł Krzysztof, pchając wózek inwalidzki. Z poręczy zwiślał pled. Usadowili Wolfa. Za jego plecami Marianna popatrzyła pytająco na Izę, ta bezradnie wzruszyła ramionami i pokręciła głową.

– Najważniejsze, że nareszcie jesteś w domu, Gustawie... – jasnym głosem powiedziała Marianna. Krzysztof pchnął wózek, Jacek zatrzasnął maskę samochodu i ruszył za nimi.

W pokoju Wolf siedział na fotelu, Marianna odsłoniła kołdrę na jego łóżku, przesunęła je trochę, bo było na kółkach i teraz stało na środku pokoju.

– Dlaczego tu? – zapytał Gustaw.

– Bo tu będzie nam bliżej do ciebie, a zwłaszcza mnie z kuchni. Jak widzisz, i łóżko, i wszystkie twoje rzeczy zostały przeniesione.

– Kłopot... – powiedział cicho Gustaw.

– Żaden! Przecież to na troszkę tylko. Wydobrzejesz, to wrócisz do swego pokoju. Krzysiu! – zawołała.

Krzysztof stanął w drzwiach.

– Tak? Już?

– O, widzisz, wszyscy tu są blisko... Krzysiu, pomóż Gustawowi położyć się, a ja pójdę po herbatę i coś do przegryzienia przed obiadem.

– Nie... tylko pić... – poprosił Wolf.

– Tak? No dobrze, ale w razie czego powiesz – Marianna się uśmiechnęła.

– Co, duszno ci trochę? – spytał Krzysztof, pomagając mu rozpiąć marynarkę.

Wolf oddychał płytko.

– To nic. To nic.

– Coś na to poradzimy zaraz... – Podał Mariannie jego marynarkę, którą ona powiesiła w szafie. – Ta podróż musiała być bardzo mecząca. To zrozumiałe. A ten ich stary samochód to też się dołożył.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała Marianna, wychodząc.

– Wrócisz? – spytał nagle zaniepokojony Wolf.

– Oczywiście – odpowiedziała zaskoczona Marianna – zaraz...

W kuchni Iza i Jacek jedli coś przygotowanego im przez Helenę. Marianna stała przy czajniku i niecierpliwie czekała, aż się zagotuje woda.

– Po co żem dołała? – jęknęła Helena.

– Zaraz będzie – uspokoiła ją Marianna.

– To ci mizerota – mówiła Helena szczerze przejęta – boję się z nim powitać, bo się nie wstrzymam... – ciągnęła nosem – on już aby patrzy na księżą oborę...

– Co za bzdury, Heleno! – powiedziała Marianna z wyrzutem. – Człowiek jest po ciężkiej operacji, zabiegach, to jak ma wyglądać? Teraz będzie wracać do zdrowia, ale to musi potrwać.

– Marianno... – zaczęła delikatnie Iza. – Nie chcę cię martwić, ale...

– Mamo, tamci lekarze mówili, że nawet ta jazda jest ryzykiem – dorzucił Jacek od stołu.

– Tak, rozumiem... ale jest już w domu i teraz my musimy zrobić wszystko, żeby...

Spojrzała na wchodzącego Krzysztofa, a ten wyrzucił do śmieci strzykawkę jednorazówkę. Wszyscy milczeli, patrząc na niego.

– Chciałbym, żeby teraz się przespał, ale pyta o ciebie. – Umył ręce i wytarł w kuchenny ręcznik.

Marianna nalała herbatę do kubeczka stojącego na tacy.

– Powiedział, że musi wrócić... uważaj, rozlewasz!... i że prosi, żeby go pochować przy Róży.

Helena się odwróciła. Marianna chwyciła tacę.

– Co wy wszyscy! Przestańcie w tej chwili!

Nikt się nie odezwał, a ona energicznie otworzyła drzwi i wyszła.

Krzysztof siedział w swoim gabinecie i pracował na komputerze. Okno było uchylone, słońce rozświetlało wnętrze, na ścianie wisiały obrazy, między innymi dziecięcy rysunek Marianny z domu Róży, stała jakaś drewniana rzeźba Gustawa.

Na delikatny stuk komputerowych klawiszy nakładała się narastająca w kłótnię rozmowa Heleny z kimś. Krzysztof starał się ponownie skupić, ale w końcu wstał i podszedł do okna. Zobaczył Helenę i Józka, którzy zażarcie się kłócili. Helena zamachnęła się ścierką, aż on odskoczył, grożąc jej dłonią.

– Czy wyście powariowali? – powiedział do siebie Krzysztof i ruszył do drzwi.

W pokoju Gustawa Marianna siedziała przy leżącym i delikatnie gładziła jego zniszczoną dłoń.

– Jak to, nie miało sensu? – Marianna nachyliła się lekko.

– Jakbym... przez wertepy szedł... całe dorosłe życie... – mówił wolno Gustaw.

– Tak – łagodnie zgodziła się Marianna – było trudne, gorzkie też i bolesne, ale czy naprawdę nie miało sensu? Nie myśl tak... A choćby... twój wielki talent? Tyle

radości dajesz ludziom swoimi rzeźbami? Zrobimy ci wystawę, Gustawie, jak tylko wydobrzejesz!

– Czy... ona je widziała?

Marianna patrzyła na niego przez chwilę.

– Kto?

– Róża – uśmiechnął się leciutko.

– No... myślę, że widzi je cały czas... – powiedziała niepewnie.

– Gdzie ona jest? – Gustaw zaniepokoił się nagle – Różyczko!

Marianna milczała, zaskoczona tym niezauważalnym przejściem od logicznej rozmowy do majaczenia, ale pozornie realnego.

Wolf złapał jej dłoń.

– Córeczko, córeczko moja, jak będą ją przesłuchiwać, niech się mnie wyprze! Słyszysz? Tak?

– Gustawie...

– Ciii... tylko nie płacz! Nie pokazuj im słabości, oni tylko na to czekają! I nie wier im! Cokolwiek by ci chcieli wmówić... – Trzymał ją zadziwiająco silnie za rękę. Przymknął oczy. – Obiecuj... ja... ja wrócę... *Mein Gott!* Tato... ja jestem Polakiem.

Marianna patrzyła na niego przerażona, ale nie mogła oswobodzić ręki.

– Słyszysz? – Gustaw usiadł nagle na łóżku. – Psy! O, ujadają na obcych! Idą po mnie! Uciekaj, Różo! – objął ją gwałtownie. – Jedyna moja! Życie moje. Różyczko...

Marianna płakała przytulona do niego.

– Gustawie, to ja, Marianna...

– Ubeki idą! Uciekaj! Ty musisz... jeszcze... jeszcze będzie... – Jego uścisk osłabł, ciało stawało się ciężkie.

– Boże drogi! Połóż się, Gustawie. – Pomogła mu się ułożyć, otarła pot z czoła. – Jesteś w domu, nic ci nie grozi, wszystko będzie dobrze...

On jakby zasypiał, otwierał oczy, patrzył na nią jakimś dalekim wzrokiem i znów je zamykał. Marianna cicho wstała i pobiegła do drzwi.

Na podwórzu stali zacietrzewiony Józek i zapłakana Helena, Iza i dość bezradny Krzysztof.

– Dorosły jestem! Po wojsku! Mam swoje lata! – krzyczał Józek.

– Zbyt pochopnie podjęte decyzje potem... – zaczęła Iza.

– No, powiedz im tu głośno dlaczego! Od dzieciaka zaczął! A co ona jest? Co

umie, co ma? Z czego to niby będzie żyła ta wielka miłość? Słodki Jezu!

– To nie jest Justyna?... – zdziwił się Krzysztof.

– Nie! – twardo powiedział Józek. – Ja se wybieram, nie matka!

– No i wybrał! Taką tam... – zaczęła z pogardą Helena.

– Mamo! – przerwał jej ostrzegawczo Józek.

– Z Kaltek ona jest, ta bezhonorna dziewczucha... Och, panie Kalinowski! Na wesele kolegi z wojska pojechał i o! I dorobił się dzieciaka?! Złapać go chciała! I złapała... taka...

– Matka! Zamilcz, kobieto! – Józek ledwo się trzymał.

– Cała jej rodzina dobra. No! Piękne gospodarstwo mieli, to siostra sprzedała! Za miastową w Elku chciała ostać. Za sklepową honor, za wsiową, gdzie się porodziły, wstydy!

– I co będzie? – zapytał Józka Krzysztof.

– Żenić się będę. A co ma być!

– I co, całą ojcowiznę sprzedasz dla takiej...

– Pani Heleno! – powstrzymała ją Iza, a Józek odwrócił się i odszedł.

– Nie do wyobrażenia mi to było. Nie do wyobrażenia – płakała Helena – nie takiej synowej wyczekiwałam...

Otworzyło się okno w pokoju Marianny.

– Krzysiu! Wzywaj pogotowie!

Krzysztof ruszył do domu, Iza za nim, Helena przeżegnała się.

– W imię Ojca i Syna i Ducha...

Do stojącej przed domem karetki pogotowia kierowca z lekarzem i Krzysztofem wsuwali nosze z nieprzytomnym Wolfem. Marianna poprawiła otulający go pled. Nie było to konieczne, ona jakby szukała jeszcze z nim kontaktu, może wierząc, że on to wyczuje. Iza podała Krzysztofowi dokumenty – papiery z sanatorium i wcześniejsze wyniki badań, wypis ze szpitala, książeczkę ubezpieczalni...

– Dowód osobisty Gustawa? – spytała Marianna.

– Jest tutaj – pokazała kopertę Iza.

– Jedziemy – powiedział doktor.

– Zadzwonię ze szpitala. – Krzysztof wszedł do karetki, kierowca zamknął za nim drzwi i dołączył do lekarza. – I poczekam na Jacka. Jak wróci, niech po mnie przyjedzie.

– Dziękuję, że tak szybko... – zawołała Marianna.

– Akurat była wolna karetka – rzucił lekarz – do widzenia.

– Do widzenia – powiedziała Iza i wzięła Mariannę pod rękę. Patrzyły za odjeżdżającym ambulansem. Krzysztof dotknął dłonią szyby, ale one stały nieruchome i milczące.

Karetka oddalała się i minęła się prawie zaraz za bramą z wolno wjeżdżającym samochodem dobrej marki z rejestracją warszawską.

– Do diabła!... – szepnęła Marianna. – Malinowski. Jeszcze on mi tu teraz potrzebny. Przyjmij go, proszę, wróć za chwilę. Szef biura turystycznego – wyjaśniła szybko i zniknęła w domu.

Iza ruszyła w kierunku przyjezdnych. Wysiadł radosny, sympatyczny łysawy mężczyzna i tleniona blondynka, bardzo opalona, ze złotym łańcuchem na szyi, ubrana bez sensu na tę okazję – wysokie obcasy i obcisła minispódniczka z pantery w cętki. Spiczasty biust opinał moherowy różowy sweterek zwieńczony jadownicie zieloną szyfonową apaszką.

– Witam... – zaczęła Iza, wyciągając rękę, którą mężczyzna chwycił gorliwie.

– Moje uszanowanie, Malinowski Edmund, moja żona Barbara, czyli Bobi...

Panie przywitały się, blondynka pokazała w uśmiechu biel zębów.

– Kalinowska – powiedziała Iza – muszę wyjaśnić, że...

– Nie, nie, to ja muszę najpierw przeprosić. Mieliśmy być wczoraj – zaczął gorliwie Malinowski – ale tak się złożyło, że...

– Pogotowie było u państwa, czy ktoś z gości? – przerwała mu żona.

– Nie – spokojnie odpowiedziała Iza.

– Byłby to zły omen – uśmiechnęła się Bobi.

– Jeszcze nie mamy gości. To był ktoś bliski. Z rodziny.

– Bardzo współczujemy – zgasł na chwilę Malinowski i znów zakwiczał przy zachwytach: – Pięknie, pięknie, pięknie jest tu. Miał rację Robert, że tu jest okay... I to powietrze... Oddychaj, Bobi.

Tymczasem z domu wyszła Marianna, uspokojona i już gotowa do spotkania. Iza nie zauważyła jej, odwróciła się dopiero na dźwięk głosu.

– Dzień dobry państwu. Moje nazwisko Kalinowska.

– Druga Kalinowska? – spytała Bobi.

– Pierwsza i ta właściwa – sprostowała Iza. – Staralam się powiedzieć, że jestem tylko synową i przelotem w tym domu.

– Nadal bardzo mi miło i nadal przykro, że nie zdążyłem wczoraj ani przyjechać, ani zawiadomić. Na ogół jestem w porządku – roześmiał się Malinowski.

– Na ogół tak – beznamiętnie stwierdziła Bobi.

– Zaraz będzie kawa, ale przedtem zapewne chcieliby państwo zapoznać się z naszym stanem posiadania – starała się żartować Marianna. – Proszę...

– Czy tu są komary? – spytała Bobi.

– Bywają – uśmiechnęła się Marianna – ale plagi nie było nigdy.

– Jak wiem, świeżo wszystko ukończone, zresztą widać, że w świetnym stanie – stwierdził Malinowski.

– O, psy... – zauważyła Bobi – dobrze, że nie wzięłam Kici...

– O, tak, koty to wróg śmiertelny naszej Berty i Lolki.

Malinowski roześmiał się, a Bobi poważnie zaprotestowała:

– To mops, nie kot.

– A nasza to kundlica Lolka... tak, tak, dobra sunia, Berta też jest kochana, też, też... no, jazda, psy.

– Czy czujesz, jakie tu cudowne powietrze, Bobi?

– Tak, ale coś jeszcze... czy to kuchnia?

– Tak. Druga. Proszę bardzo. – Marianna szerzej otworzyła drzwi.

Malinowscy weszli z nią, odpowiedzieli na „dzień dobry” Heleny.

– Pani Helena piecze pasztet, to jest ten drugi zapach, też cudowny – zażartowała Marianna.

– O, rozwiązanie kuchni, wystrój, i jadalni dla gości... – mówił Malinowski, oglądając wnętrza – bardzo dobre... taaak... w dobrym charakterze... ze smakiem...

Wyszli drugim wyjściem na werandkę ze stolikami, skąd już widać było cudowny pejzaż z jeziorem i pomostem na spokojnej tafli.

– Nooo, w porządku – rozejrzał się Malinowski – jeziorsko, że ho ho, można łodzie, kajaki, żaglóweczki... pomost przyzwoity.

– Ale żadnych motorów, tu jest strefa ciszy – zaznaczyła Marianna.

– No, ale jeśli goście, zwłaszcza zagraniczni, będą chcieli... – zaczęła Bobi.

– Nie – spokojnie odrzekła Marianna.

– A jakie rozrywki proponują państwo gościom? – spytała Bobi.

– Spacery – zaczęła Marianna.

– Bo jest gdzie i widoki cudowne – dorzuciła Iza.

– Dyskoteka jakaś?

– Nieee... – Marianna się roześmiała.

– To zawsze można wprowadzić... – ostrożnie wtrącił Malinowski.

Iza ukryła uśmiech, Marianna odwróciła się do gościa.

– Musimy od początku coś sobie wyjaśnić. Akceptujemy tylko takich gości, którzy cenią sobie spokój i piękno przyrody, prawdziwy relaks.

– I wspaniałą kuchnię z przedwojennych rodzinnych przepisów – dodała Iza.

– Wszystko to piękne, ale jednak... korty...

– Basen – wtrąciła Bobi.

– Konie – ciągnął Malinowski – to jest to, czego ta najlepsza klientela oczekuje, droga pani. I trzeba jej to zapewnić. – Rozłożył dłonie.

Iza rzuciła spojrzenie na chmurną Mariannę.

– O! Mój mąż wraca z połowu – wskazała ręką.

Na jeziorze widać było zbliżającą się łódź. Jacek wiosłował energicznie i rytmicznie.

– Biorą? – ożywił się Malinowski.

– I to jak! – odparła Iza. – A proszę zobaczyć tam, jest wielki grill, gdzie smażenie ryb czy kiełbasek, placków jest samą rozkoszą.

– O, to jest coś – ucieszył się Malinowski i ruszył w tamtym kierunku – piękny stół, ławy, miła integracja ludzi, którzy tu zasiadają...

– Obejrzymy pokoje i łazienki czy teraz kawa i coś do niej, przed obiadem? – zaproponowała Marianna.

– Proszę wybaczyć, ale tylko dom, bo mamy być jeszcze w Piszu i jakiejś, mam zapisane, miejscowości obok, a czas nas nagli – wytłumaczył się Malinowski.

– Więc proszę... – wskazała Marianna kierunek i nie było już złudzeń, że facet się miga, żeby wyjechać, bo nie warto mu się pakować w to przedsięwzięcie.

– Kiedy jest tak naprawdę zielono i kwitną wszystkie kwiaty tutaj – powiedziała szybko Iza – to jest bajka. Tu podobno już kiedyś był raj.

– Tak? – zaśmiał się Malinowski.

– Ale święci są ascetami i mają małe wymagania – rzuciła Bobi.

W tym momencie tak niezgrabnie postawiła nogę, że wykręciła ją i zvaliła się na idącego przodem męża. Marianna i Iza złapały ją w ostatniej chwili przed upadkiem. Bobi wydała okrzyk, a później jęknęła z podkurczoną nogą.

– Bobi, co ty robisz?! Walnęłaś mnie w łopatkę! – zaprotestował Malinowski.

– Noga – powiedziała Iza.

- No, mówiłem, kto bierze obcasy na taką podróż!
- Nie odzywaj się teraz do mnie, Mundek!!! – syknęła Bobi, zamykając oczy.
- Proszę spróbować postawić nogę... delikatnie – poprosiła Marianna.
- Och, nie! Co za ból!
- Mówiłem jej... – Malinowski syknął przez zęby do Izy.
- Mundek, ja to słyszę! – ostro rzuciła Bobi. Spróbowała postawić nogę, jęknęła i uniosła ją lekko.
- Pomożemy pani dojść do domu i zrobimy okład z altacetu, bo chyba puchnie – powiedziała Marianna.
- Nie!
- Bobi!
- Na pewno jest złamana, złamana... to przez te cholerne kocie łby!
- Trzeba by prześwietlić – stwierdziła Marianna.
- Może być tylko zwichnięcie albo naciągnięcie mięśnia – zasugerowała Iza.
- To w takim razie proszę jechać do Ełku, do szpitala. – Marianna odwróciła się do Malinowskiego, który stał zupełnie bezradny z głupią miną.
- Ach, Bobi, Bobi... No cóż, droga pani, to już nici z oglądania...
- Oooch... – jęknęła Bobi wsparta na ramieniu Izy – szybko do samochodu! Tu powinny być porządne płyty!
- Oczywiście – odpowiedziała jej uprzejmie Marianna – chyba sprzedam te paskudne kamulce, jeden Niemiec daje mi po marce za sztukę. Niech państwo jadą do szpitala. Ulica Mickiewicza, a ja zadzwonię do ordynatora, to przyjaciel mojego męża. On troskliwie się panią zajmie.
- Dziękuję – powiedział tylko Malinowski – a to kłopot!
- Cofnął fotel maksymalnie i usadowił Bobi, która oparła głowę o zagłówek i zamknęła oczy.
- No, bo włożył szpilki... – nieroztropnie nawrócił do tematu Malinowski.
- Mundek, zabiję cię, jeżeli jeszcze raz to powiesz! – warknęła Bobi, nie otwierając oczu i jęcząc do nieba.
- Przykro mi – w głosie Marianny nie było specjalnego ognia.
- I nam – z galanterią odpowiedział Malinowski. – Więc tak, droga pani... – zawiesił głos – prosiłbym, aby przyjechała pani do mnie do biura z planami domu, jeżeli są fotografie czy folder... Zrobimy taką wstępną umowę, jak się dogadamy, a ja tu jeszcze wpadnę i myślę, że weźmiemy państwa pensjonat na Mazurach do puli

naszego biura.

– Mundek! – jęknęła, ale dość groźnie Bobi.

– No... to w takim razie do zobaczenia – powiedziała rozjaśniona Marianna i pożegnała się z Malinowskim, a on następnie z Izą.

– Bardzo mi było miło panie poznać – a mówił to, patrząc na młodszą Kalinowską.

– Do widzenia, życzę zdrowia – rzuciła Marianna w stronę Bobi.

– Będzie dobrze... – powiedziała Iza, a Bobi kiwnęła głową z nieszczęśliwym wyrazem twarzy. Malinowski wszedł i ruszył. One patrzyły przez chwilę za odjeżdżającymi.

– Gratuluję! – zawołała Iza.

– Nie mów hop! – ostrzegła Marianna rozjaśniona radośnie i objęła synową. – I jak mówi jedna z bohaterek Czechowa: „Witaj nowe życie” ... – zaśmiała się.

Wiejski cichy cmentarzyk powoli pustoszał po uroczystości pogrzebowej. Kotulowa z Miluchą, krawcową, i jej dziobatą przyjaciółką, ubrane starannie, ale nie odświętnie, szły w stronę bramy.

– Mógł jeszcze pożyć – westchnęła Kotulowa do idącej obok Miluchy.

– Już był słabowaty – Milucha skrzywiła się ze znawstwem.

– Idzieta do domu czy zajdziem do kościółka? – spytała dziobata.

– Zajdziem raz jeszcze – powiedziała Kotulowa – na krótkie westchnienie za dusze nieboszczyka, bo muszę wziąć się za żeberka z kapustom. Zachciało się staremu.

– Tak to już jest – zgodziła się Milucha.

– No – potwierdziła dziobata.

W głębi cmentarza widać było grupkę osób stojących przy grobie, na którym jeszcze układał kwiaty i wieniec stary organista Gabriel Piórkowski. Byli ksiądz Roman ze Zdzisławem Orzeszko w komeżce, z wysokim krzyżem, Kalinowscy, Jacek z Izą, Helena z Józkiem. Byli też grabarze, którym dał w łapę Krzysztof.

– Panie Piórkowski, ten wieniec od państwa Kalinowskich na wierzchu, na wierzchu – strofował ksiądz Roman.

– To już po równości w obliczu śmierci – powiedział Piórkowski.

– Staruch – cicho mruknął niezadowolony ksiądz.

Marianna stała trochę z boku w milczeniu, trzymała niezapalone znicze.

– Tak było wolą Pana naszego – powiedział ksiądz. – Niech ci ziemia lekką będzie, Gustawie. Niech Piórkowski szarę poprawi...

Krzysztof wyciągnął zapalnik, zapalił znicz w drżącej dłoni żony, a ona postawiła świecę u stóp grobu. Józek wziął zapalnik od Krzysztofa, zapalił znicz Heleny.

– To ja do zakrystii, szaty zdjęć... i co, wpadniecie państwo do mnie? Wzmocnimy się kawką, kto tam będzie chciał, kropelkę naleweczki...

– Nie, nie, u nas. Będziemy czekać na księdza przy parkingu – zaprosił Krzysztof.

– Dobrze – zgodził się ksiądz i odszedł.

Piórkowski ciągle poprawiał wieńce ze wzruszającą troskliwością. Nachylił się nad grobem.

– Pójdę już, Gustek... Zajrzę nieraz, jak Bóg zechce mi sprolongować. Do zobaczyska. – I zwrócił się do Marianny wyjaśniająco: – Przyrzekliśmy sobie, który pójdzie pierwszy, to będzie tam – wskazał niebo – trzymał, musi pani wiedzieć, dobre miejsce.

– W niebie wszystkie dobre – westchnęła Marianna.

Piórkowski kiwnął głową i ruszył do wyjścia.

– Pięknie grał pan w kościele Albinioniego... – rzucił Krzysztof.

Piórkowski zatrzymał się i patrząc na Krzysztofa, zanucił starym głosem początek.

– Grałem dla niego. Mnie to ten Kaźmierski coś tam zagra, ale on fałszuje. Chyba będę go, musi pan wiedzieć, straszyl... – uśmiechnęła się i ucichła.

– Proszę do nas zaglądać, nawet bez okazji – poprosiła szybko Marianna.

– Zdrowia życzymy – odezwała się nagle Iza, ale on już nie usłyszał, odchodząc. – Cóż za wspaniały pan... – dodała cicho z zachwytem.

– Jak zupełnie inny jest taki wiejski cmentarzyk – rozejrzał się Jacek.

– Jakby jest tu jakiś łagodniejszy smutek – dodała Iza.

– Mądrzejsza pokora pogodzenia? – szepnęła wzruszona Marianna.

– No, to będziemy ruszać... – powiedział Krzysztof.

– Uregulowałeś wszystko? – spytała Marianna.

Naprzeciwno szybko szedł w rozpiętym płaszczu, rozwiewającym się przy każdym kroku, mały mecenas Duży. Wymachiwał kwiatami w celofanie.

– Dzień dobry! Tak mi przykro – przywitał się z nimi – tak mi przykro, no, nie zdążyłem na pogrzeb. Ledwo wyrwałem się z sądu. Złożę przynajmniej kwiaty i tak pożegnaj pana Gustawa. To takie smutne... Takie dramaty przetrzymał i żeby stracić

wolę życia przy... – nie dokończył, rozłożył ręce, pokiwał głową, a potem położył kwiaty na grobie, podniósł się i powiedział do Marianny: – Muszę z panią porozmawiać.

– Tak? A może zrobimy tak. Już tyle razy chcieliśmy pana zaprosić, czy zechciałby pan pojechać do nas na obiad? Zabieramy też księdza Romana.

– Proszę nam nie odmawiać – dorzucił Krzysztof.

Mecenas zastanowił się chwilę.

– Dobrze. Z największą przyjemnością.

Przy stole w jadalni siedzieli Marianna, Krzysztof, ksiądz Roman, Iza, mecenas i Jacek. Helena donosiła jeszcze jakieś surówki, jarzyny, zabierała coś z pierwszego dania. Półmisek z mięsem podsuwany był kolejno, wszyscy zdążyli nieco zgłodnieć.

– I proszę sobie wyobrazić – kontynuował mecenas – że oni przyczaili się na klatce schodowej. Mniej więcej o tej porze zawsze wracam do domu. Musieli mnie obserwować!

– To straszne – powiedziała Marianna i półgłosem zagała księdza: – Suróweczka?

– Tyle że nie liczyli na mój refleks ani na... przepraszam, siłę moich mięśni – uśmiechnął się i sięgnął po kielich z winem.

– Ale tacy mali są zajadli i zdecydowani na wszystko – rzekł Jacek i ponieważ zorientował się, że strzelił gafę. Trudno było wyobrazić sobie, że mecenas zaatakowali mniejsi od niego.

– W tej sytuacji też byłem zdecydowany na wszystko – zaśmiał się lekko mecenas.

– Łotry, łotry! – wtrącił ksiądz, szybko pracując nad jedzonym mięskiem.

– Czym się skończyło? – spytał Krzysztof.

– Opatrzyli nas wszystkich na pogotowiu i oni poszli pod opiekę policji.

– Mieli jakąś broń? – spytała Iza.

– Noże. Mam blizny do dziś.

– Łotry! – powtórzył ksiądz.

– I co, siedzą w poprawczaku? – raczej stwierdził, niż zapytał Jacek.

Mecenas zaśmiał się.

– W poprawczaku? Spotykam ich na ulicy, nawet kłaniają mi się bezczelnie... Wyznaczono im kuratora. – Machnął ręką.

– To jest narastający problem – biadolił ksiądz. – Jeżeli nawet widzę tych nastoletków na mszy, to zastanawiam się, czy ja z ambony mam dalej do nich niż szatan, co już czeka na nich za drzwiami świątyni.

– Taak – skwitował mecenas. – Pieczeń delicje, pani gospodyni.

– Cieszę się i bardzo proszę – podsunęła mu półmisek, a mecenas sięgnął ochoczo.

– Boże, wybac mi, zgrzeszyłem – ksiądz złożył sztucce na talerzu – ale bądź łaskaw rozłożyć grzech i na tę, która smakowitością przyrządzenia przywiodła mnie do takowego.

– Proszę do salonu, a my z Helenką zaraz przyniesiemy... kto z państwa pije kawę?

Wszyscy zgodnie podnieśli ręce do góry.

– Pomogę – zaproponowała Iza.

– Co za zgodność w narodzie – zauważył Jacek.

Padły słowa podziękowania, wszyscy wstali, Krzysztof wskazał salon. Ksiądz poszedł pierwszy.

– Pięknie to i... szlachetnie, taki dom, jacy gospodarze – powiedział uśmiechnięty promiennie.

W salonie wszyscy się rozsiedli z kieliszkami nalewki lub koniaku. Weszła Marianna z maszynką do kawy na tacy, Helena przytrzymała drzwi, Iza niosła patere z ciastem, talerzyki, widelczyki.

Ksiądz odwrócił się do wchodzących.

– Moje dziecko, czy mogłaby nam pani, jako fachowiec, odczyścić w kościółku świętą Tereskę?

– Oooo... To powinien konserwator, proszę księdza, nie ja – zaproponowała Marianna, stawiając kawę.

– A tak jakoś, kuchennym sposobikiem?

– Nie, tak nie można. Zresztą taki wielki obraz to jakby człowiek chciał domowym sposobem, czyli śliną...

– Śliną nie – przytaknął ksiądz lekko wstrząśnięty – to jest święta Tereska.

– Ano właśnie – powiedział leciutko rozśmieszony Krzysztof.

Iza rozdała już talerzyki, częstowała ciastem.

– Taak – rzucił ksiądz enigmatycznie.

– Chcemy podziękować – zwróciła się Marianna do księdza – za tak dobre słowa w pożegnaniu Gustawa Wolfa.

– To był prawdziwy człowiek. Został doświadczony przez los, ale ileż to takich losów na ziemi naszej, prawda? Państwo ofiarowali mu więcej niż rodzina... Będzie wam to zapisane w niebieskiej księdze.

– Ale my nie... – zaczęła Marianna.

– Wiem, moje dziecko, że to z wielkości waszego szlachetnego serca, a nie z zapobiegliwości, żeby do tej księgi się dostać... może ze śmietanką... o, Bóg zapłać – powiedział teraz do Izy. – Gustaw i Róża... to była piękna para. Święty sakrament nie zdążył ich połączyć... Byłem wtedy pierwszy rok w parafii. Pamiętam do dziś... Stroiliśmy z parafiankami ołtarz, cały był w gladiolach, aż się mienił z tych kwiatów... Drzwi skrzypią, stukot biegnących kroków, tośmy się obejrżeli, ja, żeby zganić... A to była Róża, bledsza od tych gladioli, tylko oczy miała aż przepastne z rozpaczy. O ratunek wbiega błagać. U władzy. Która by nas wtedy, jakby mogła... Tylkom się modlić mógł za niego. Aresztowali Gustawa, wywlekli świtem z chałupy, oskarżyli o szpiegostwo, o współpracę z Niemcami, o przeszłość w AK. Jego rodzice już byli w Niemczech, a on został... Taak. Walczyła dziewczyna o niego, upokarzana po urzędach, straszona, często zatrzymywana – westchnął – a o nim słuch zaginęła. Były głosy, że na Syberię, a że rozstrzelany, a że zamęczony z innymi...

– Doniósł na niego taki jeden, któremu się strasznie pani Róża podobała – wtrącił mecenas.

– Grzeszny, marny człowieczyna – skrzywił się ksiądz – ale już się spowiada Najwyższemu.

Zamilkł, a oni siedzieli nieruchomo.

– Była jakiś czas u mojej matki – powiedziała cicho Marianna – w Warszawie.

– Podobno bardzo chorowała – dorzucił ksiądz.

– Tak.

– Wróciła. Czekala, pracowała z dziećmi, jakby jej własne były, dla wszystkich tutejszych serce miała...

– A to małżeństwo z weterynarzem... wujkiem Bronkiem? – spytała Marianna.

– Cóż... samotna była bardzo, młoda, piękna, a Bronisław krążył koło niej, pomocny był, w czym tam mógł, i starał się, żeby łaskawie spojrziała na jego zakochane oczy. Dobry człowiek, ale czy ona umiała być szczęśliwa z innym? No i tak.

– A kiedy wypuścili Wolfa? – spytał Krzysztof.

– W pięćdziesiątym szóstym, była odwilż, otwierali więzienia. Ale nie zobaczył

się z nią, może nie chciał niepokoić, może nie przebaczył. Zniknął. Potem się pojawił, ale już jako zupełnie ktoś inny... Złamany, obcy, skryty...

Iza wstała i ruszyła do wyjścia.

– Izo? – zawołała Marianna.

– Przyniosę herbaty – powiedziała Iza, ale nie odwróciła się i wyszła.

– A teraz, pozwolą państwo – energicznie zaczął mecenas – ja wejdę z moją sprawą. – Odsunął filiżankę i otworzył z trzaskiem wieko walizeczki. Wyjął z niej dokumenty, mówiąc:

– Otóż ojciec Gustawa, Heinrich Wolf, zostawił mojemu ojcu w jego kancelarii dokumenty dotyczące prawa własności przepisanej na syna. Konkretnie chodziło o ziemię, lasy i browar w Królowej Woli. Dokonał tego tuż przed wyjazdem swoim wraz z małżonką Marią Anną...

– Marianną – cicho powiedział Jacek, poddając się grze tych dwu imion.

– ...do Niemiec. Jak wiadomo, dobra te zostały skonfiskowane przez ówczesne władze i do dnia dzisiejszego nie zwrócono ich prawowitemu właścicielowi, spadkobiercy Gustawowi Wolfowi. Przejmując kancelarię po moim zmarłym ojcu, przejąłem wszystkie sprawy i dokumenty. – Wypił ostatni łyk kawy, Marianna sięgnęła po przyniesiony przez Izę dzbanek z herbatą.

– Nie, już dziękuję – powiedział mecenas. – Kiedy nastąpiły korzystne zmiany w naszym kraju, no, nie zawsze, i w ustawach, zwróciłem się do pana Gustawa z pytaniem, czy będziemy zabiegać o odzysk. Odmówił. Powiedział: „Nie warto, nie mam dla kogo...”. – Mecenas rozłożył ręce.

– A niesłusznie... – wtrącił ksiądz.

– Ale któregoś dnia zjawił się u mnie – kontynuował mecenas – niespodziewanie... było to jakiś czas po przyjeździe państwa i... został spisany testament. Wszystko to plus gotówka w banku należy do pani, Marianno.

Marianna siedziała osłupiała.

– Nieprawdopodobne – bąknął Krzysztof.

Ksiądz też był zaskoczony.

– Coś takiego... Przy jego małej rencie... Hm... Musiał sporo sprzedać z tej biżuterii po matce, bo wiem, że zrobił to, kiedy chował Różę, a sobie kupował miejsce obok.

– Jestem oszołomiona – powiedziała Marianna.

– Widzę – zgodził się mecenas. – Pieniądzy jest sporo, dysponuję wszystkimi

wyciągami bankowymi, bieżącymi, natomiast nie robiłbym sobie na pani miejscu nadziei na odzyskanie browaru czy ziemi. No, może w jakiejś części by się udało...

– Ale świadomość jest przyjemna, co, mam? – powiedział Jacek.

– Dziwna. – Marianna odwróciła się do niego.

– Mam potwornie zamożną żonę – powiedział Krzysztof z dumą.

– Przestańcie – poprosiła Marianna. – Och, Gustaw, Gustaw...

– Niech mu ziemia lekka będzie. Amen – westchnął ksiądz.

Jacek stał odwrócony tyłem do siedzącej na łóżku Izy. Oboje byli napięci, na twarzy Izy widniały koszty tej rozmowy. Ale starała się być opanowana.

– To typowe dla ciebie. Zawsze robisz z igły widły, w każdym przypadku – niechętnie rzucił Jacek, nie patrząc na nią.

– A co jest typowe dla ciebie?

Chwilę milczeli.

– Już nie ma sensu tego ciągnąć dalej... Nie mogę udawać, że nie słyszę, nie widzę i że ci wierzę. Już nie. Zmęczyłam się i nie widzę żadnego powodu, dla którego powinniśmy być razem.

– A choćby nasz syn? Co za głupota – powiedział udręczony Jacek – to wszystko jest pozorem, twoimi podejrzeniami, domniemaniem... Przecież wiesz, że cię kocham, Izuniu...

– Nie kłam i nie mów do mnie Izuniu, dobrze? Daruj sobie te czułości, bo mi się niedobrze robi! Jesteś tchórzem i kłamcą. Wstyd mi za ciebie.

– Boże drogi, nie rób ze mnie łajdaka – Jacek próbował się roześmiać – reagujesz na jakieś plotki, anonimy, telefony. Dlaczego nie wierzysz mnie, a wierzysz tym...

Iza prychnęła pogardliwie.

– Nie rozśmieszaj mnie, bo już mnie to nie bawi. Wyrosłam z tego.

– Chciałbym cię rozśmieszyć! Jesteś taka śliczna, kiedy się śmiejesz, ty histeryczko.

– Przestań. Kiedyś mi się zdawało, że masz wdzięk. Może masz go nadal i wszyscy to kupują, ale dla mnie to za mało! Ja mam od życia i od partnera inne wymagania.

– Jesteś taka zasadnicza, że... aż do mdłości. – Zrobił się już zły.

– A ty jesteś mały, kłamliwy oszust! Kłamca. Bez honoru i godności!

– Dosyć! – syknął wściekły Jacek.

Rozległo się pukanie. Iza szybko wyszła do łazienki.

– Proszę, otwarte – zawołał Jacek.

– Słuchajcie... A gdzie Iza?

– Tu jestem. – Iza weszła do pokoju, poprawiając włosy.

Marianna popatrzyła na nich i szerzej otworzyła drzwi.

– Czy coś się stało?

– Nie – zaśmiał się Jacek – dlaczego? Co miało się stać? Chyba limit sensacji został już wyczerpany?

Marianna popatrzyła na Izę, a ona spróbowała się uśmiechnąć.

– Chciałam was prosić – zaczęła Marianna, widząc, że Iza nie chce nic powiedzieć – żebyśmy rodzinnie otworzyli kuferek Wolfa. Coś trzeba zrobić z jego rzeczami.

– Dobrze – powiedziała jakoś zmęczona Iza – jeżeli się przydam...

Marianna rzuciła na syna czujne spojrzenie.

W salonie na stole stał otwarty kuferek. Było coś samotnego i biednego w tych rzeczach zmarłego Gustawa. Pożółkłe listy związane starą tasiemką, fotografie o pogiętych rogach, popękane i wyblakłe. Był na nich mały chłopiec z rodzicami, jakiś pies, duży dom, ten sam wysoki mężczyzna na tle jakichś zabudowań, pociągowe konie z wozami, na nich niewyraźny napis – „Brennerei – Heinrich Thomas Wolf”, zdjęcie kilku młodych ludzi może z partyzantki, fotografia w ozdobnej drewnianej ramce.

– To Róża... – powiedziała Marianna.

– Jaka jesteś do niej podobna... – nachyliła się Iza.

– Czy powinniśmy tak? – odezwał się Krzysztof i zapalił fajkę.

– Nie wiem... sama nie wiem. – Marianna odłożyła fotografię.

– A co? Zamknąć i wstawić na strych? – spytał Jacek. – A tak... jakbyśmy z nim rozmawiali... – powiedział, ale dość niepewnie.

W kuferku znaleźli też inne ślady przeszłości: zniszczona opaska biało-czerwona, blaszana łyżka, maleńka drewniana rzeźba, damskie delikatne zamszowe rękawiczki, bukiet suchych kwiatów, kartka z jakimś napisem po rosyjsku (pewnie z Syberii), między nimi wyrwana z zeszytu kartka, jakiś blankiet z sanatorium i na nim napis: „Marianna”. Widoczny był trud w stawianiu liter, pisał to chory człowiek, ręka musiała być chwiejna.

Marianna sięgnęła po papier:

– Do mnie – powiedziała zdziwiona. Odwróciła i popatrzyła na niego ze

zmarszczonym czołem. Przeczytała.

– „Droga moja... Jeżeli zdążę, ale...” – nachyliła się – tu niewyraźnie i zamazane – „...choroba moja postępuje. Odchodzę, Marianno, tak musi być i nie walczę. Już nie...”.

Marianna zamilkła, przełknęła ślinę, żeby nie zapłakać. Chrząknęła.

– „...wypaliło się. Wdzięczny, wy dla mnie...” – znowu zalane czymś, nie wiem, co tu było – „...kocham... jak córkę. Moja córeczko... i... dobry, szlachetny Krzysztof. Najbliżsi mi z żywych. Jeżeli jest jeszcze we mnie choć odrobina...” – Boże, dlaczego to jest w takim stanie! – zdenerwowała się Marianna. – To wszystko...

– Uspokój się, kochanie – Krzysztof dotknął jej policzka.

– Kiedy tracił przytomność, też mówił „córeczko”... Co to znaczy?

– To czułość – powiedziała bardzo prosto Iza – może też bardzo chciał uwierzyć, że jesteś jego córką. W każdym jest wielka potrzeba bliskości, należenia do kogoś, miłości... lub prawie każdym... – Nie popatrzyła na męża.

Marianna wzięła głęboki oddech i wróciła do czytania, ale nie mogła i oddała list Izie.

– „Koniecznie... Tam schowałem, zabierz... w moim... łóżko. Boże, bądź miłosierny...” – Iza opuściła list na kolana.

– Daj, Izuniu – powiedział Krzysztof, wyciągając rękę.

Z samochodu, który zatrzymał się przy kępie drzew niedaleko zdewastowanego terenu, gdzie zaczęła się budowa, wysiedli Marianna, Krzysztof, Iza i Jacek.

– Tu był las... – powiedziała przerażona dewastacją Marianna – był las...

– Przyjdzie walec i wyrówna – odezwał się Krzysztof.

– Ale chata jeszcze stoi – wskazał Jacek.

– Tu jest ohydnie – westchnęła Iza.

Krzysztof podszedł pierwszy do bramy, z której straszyły napisy: „Uwaga, zły pies!”, „Wejście wzbronione!” „Budowa!”.

Łańcuch przy bramie leżał na ziemi, kłódka otwarta, zawieszona na dziurawej siatce ogrodzenia. Nikogo nie było widać i nic nie było słychać.

– Nawet ptaków nie ma... – szepnęła Marianna.

– A po co miałyby tu być? – spytał Jacek. – Do pilnowania? Robota wre! – roześmiał się.

– Skąd my to znamy, co? – rzucił Krzysztof.

– Może jest po godzinach pracy. – Iza spojrzała na zegarek.

– Jezu, czasem jesteś taka naiwna – westchnął Jacek.

Ruszyli w stronę domku.

– Co oni tu chcą napaskudzić? – zdziwiła się Marianna. – Okropność.

Schodki domku były już w zupełnej ruinie, zastępowała je brudna deska i po niej weszli ostrożnie. Krzysztof zapukał, a potem powoli popchnął drzwi. Weszli do obrzydliwej, typowej pakamery. Kalosze, kufajki, narzędzia, na ścianie obowiązkowo kawałek zbitego lusterka, prymitywne i brudno. Śmierdziało. Na łóżku przykrytym zaplamioną pierzyną spał ktoś zwinięty i chrapiący. Krzysztof pochylił się nad nim.

– Halo! Proszę pana!

Facet chrapał. Jacek obejrzał łóżko, Marianna rozejrzała się z rozpaczą.

– Człowieku, proszę mi się natychmiast obudzić! – krzyknął Krzysztof.

– Tato! Jakim ty mówisz językiem – roześmiał się Jacek – on takiego nie zna...

Nachylił się i walnął śpiącego w ramię.

– E! Budź się, chamie!

– Jacek – powiedziała Iza z niechęcią.

– Chłopak... – wybełkotał śpiący, protestując, i spał dalej.

– Zamulony kompletnie – skomentował Jacek.

– Trzeba to łóżko odsunąć od ściany – stwierdził Krzysztof.

– Z człowiekiem? – spytała Marianna.

– Człowiek to brzmi dumnie. Towarzysz Gorki! – Jacek odsunął przód łóżka od ściany.

– Kurrna, co jest?! – zaprotestował pijak.

– Śpij pan, panie dozorco – poradził Krzysztof i z Marianną odsunęli łóżko od strony nóg.

– Bierz go! Bierz go! Czesiek! Hau, hau, hau! – próbował sam szczeakać, z trudem otwierał opadające powieki i starał się zrozumieć, co się dzieje. – Uwaga, zły pies...! – poinformował na wszelki wypadek i z ulgą zamknął oczy.

– Tato, zaczynamy od tej strony. Razem. Dobra. Ej, siup! A wy patrzcie – stęknął.

Pijany zjechał, zsuwając się i uginając nogi, wylądował na oparciu.

– Ręce do góry...! Szczelam...!

Marianna z Izą zajrzały pod łóżko. Zobaczyły sprężyny, stary materac, z którego sypała się stara słoma, pajęczyny, potworny brud na podłodze, stare kapcie, szmaty, jakąś puszkę, butelki po piwie.

– Ohyda! – podniosła się Marianna. – Dość tego!

– Nic – powiedziała Iza.

Mężczyźni postawili łóżko. Pijak spał.

– Dubel, wersja druga – powiedział Jacek i przeszli z ojcem na drugą stronę. – Ej, siup!

Podnieśli łóżko, pijak zsunął się i walnął głową w drugą stronę. Krzysztof tę jazdę komentował zduszonym z wysiłku głosem:

– Pociąg pospieszny do Kuluszek odjeżdża z toru pierwszego.

Iza zaśmiała się głośno.

– Dać w mordę?! – zaproponował pijak. – Cholera jasna, co jest?!

– Kalifornia! – zacharczał Jacek z wysiłku. – Trzęsienie ziemi...

Marianna z Izą znów zajrzały.

– Kurna, nic nie ma – powiedziała nagle Marianna głosem pijaka.

Iza śmiała się nadal. Panowie dość bezceremonialnie postawili łóżko.

– Czesiek! Bierz go! – krzyknął nagle pijak.

– Idziemy – zdecydował Krzysztof i wszyscy ruszyli do drzwi.

– Można się dorobić, ale przepukliny – westchnął Jacek.

– Wszystko już dawno zostało zabrane. – Krzysztof otworzył drzwi.

Na progu siedział mały kundelek i przyjaźnie machał ogonkiem.

– Czesiu, cześć! – rzucił przyjaźnie Krzysztof.

Wracali do siebie po nieudanej wyprawie. O pochylony płot opierał się stary Wójcik, obok identycznie opierał się jego syn po wojsku, Grześ. Patrzyli na drogę, na nadjeżdżający samochód, zgodnie wysunęli głowy, a wtedy stary Wójcik pomachał niezbyt energicznie ręką. Samochód zwolnił, stanął. Grześ nachylił się do okienka i w uśmiechu pokazał braki w uzębieniu.

– O, rety! – jęknął cicho Jacek.

– Dzień dobry. Pani Kalinowsko, pani zajdzie do mamusi, bo z ojcem rady nie dajem!

– Co z nią znowu? – spytała Marianna.

Grześ machnął ręką.

– Cosik się z nią porobiło, beczy i beczy.

Marianna westchnęła.

– Jedźcie do domu, ja przyjdę.

– Wysiadam z tobą – stwierdziła Iza.

– Poczekamy – powiedział Krzysztof. – Idź, znachorko, i wróć przed nocą.

– To będzie raz, raz! – dorzucił Grześ w uśmiechu.

– No, byle nie dłużej – westchnął Krzysztof.

– Damy wam znać, w razie czego – Iza wysiadła i weszła za Marianną w obejście.

– Dzień dobry – powiedziały obie.

– A czego nie, dobry – rzucił zgodny jak zawsze Wójcik, tylko głowę do nich odkręcił, nadal oparty na płocie.

– Kłopoty znowu jakież? – spytała Marianna, wchodząc do domu.

– Ano, jakby to bez nich – zgodził się Wójcik.

Gdy obie zniknęły już w sieni, Grześ wychylił się i zapytał Krzysztofa, który siedział w aucie przy otwartym oknie.

– No, bo wie pan, panie Kalinowski, jak to jest, dlaczego kobiety płaczą: dziesięć procent radość, dziesięć procent smutek, osiemdziesiąt procent chuj wie!

Jacek za kierownicą parsknął śmiechem z aprobatą, Krzysztof skrzywił się i rzucił cierpko pod adresem syna:

– Bardzo śmieszne.

W izbie siedziała przy stole Wójcikowa z kubkiem i kromką chleba. Głowę miała omotaną chustką, zachodzącą nisko na czoło. Nie przerwała pracy szczęką. Patrzyła wrogo.

– No, pani Leokadio, co się dzieje? – spytała Marianna, a Iza rzuciła ciche „Dzień dobry”.

Leokadia łykała z trudnością. Patrzyła gniewnie, nagle przymknęła oczy i zaczęła zawodzić piskliwie, coraz głośniejsze, bez łez. Przybyłe stały lekko oniemiale i zaskoczone. Zajrzał zmartwiony Wójcik.

– No? Tak jest co i raz! – i cofnął się, zamykając drzwi.

– Co się stało?! – spytała Marianna.

Wójcikowa nie przerywała.

– Pani Wójcikowa! Dostyc tego! Co pani jest?! Boli co?

– Czemu pani płacze? – zapytała łagodnie Iza.

– Ło bez niom... – wybuchła Wójcikowa, ale nie otworzyła oczu, tylko brodą wskazała na Mariannę.

– Przeze mnie? A co ja pani takiego zrobiłam, co?

Wójcikowa zawodziła dalej.

– Dosyć tej hysterii!! Albo pani mówi, albo wychodzimy! – krzyknęła Marianna.

Wójcikowa zamilkła natychmiast i otworzyła oczy.

– We śpitalu... jak mnie ona do Ełku zawiedła... takom mi krzywdę zrobili... takom krzywdę... – rozkręcała się znowu do zawodzenia.

– Jaką krzywdę! Cicho już! No?

– One tam... we śpitalu... na siłę mie...

– Noo? – cierpliwie, prawie czule powiedziała Marianna.

Leokadia złapała się dramatycznie za głowę rozczapierzonymi palcami.

– Ooo, jak tera boli... zecieli mnie do krótkiego... ooo...

– A, o to chodzi – powiedziała uspokojona Marianna. – No co, wstydu się pani najadła, tak? Bardzo dobrze, że ścięli. Pani miała kołtun!! – a Izie wyjaśniła: – Dwudziesty wiek się kończy, a tu kołtun i to jaki! Ile razy mówiłam: ściąć!

– Ale tera w głowie zimno... i boli, i choroby z tego bedo... – zajęczała Wójcikowa.

– Bzdura. Wymyśliła sobie pani. Wstyd, pani Leokadio! No! I zabrałyby się pani, wysprzątała dom, wymalowała, firanki wyprała, wpuściła tu trochę powietrza. Jak tak można żyć?! Od razu przestanie boleć głowa. Ej, Wójcikowa, Wójcikowa, bój się Boga! – rzuciła, już wychodząc z chałupy.

– Może mamusię do jakiego zakładu? – zerwał się z ławeczki Grześ.

– Nie trzeba – powiedziała ostro Marianna. – A pan, panie Grzesiu, kiedy się wybierze do dentysty?

Młody człowiek roześmiał się, zakrywając dłonią usta.

Wieczór był ciepły, zachodziło słońce. Marianna zobaczyła przez okno w kuchni, że Jacek siedzi nieruchomo na ławce ustawionej niedawno przez Józka na pomoście. Wydał się jej jakiś samotny, opuszczony, więc zdecydowała się pójść do niego. Przysiadła obok i zapytała:

– Podobno jutro wyjeżdżacie? Musicie?

– O, tak, na mnie czeka nowa robota, a Iza, wiesz, jaka ona jest. Ona kocha pracę z wzajemnością. *Duraka rabota lubit!* – jak mówią Francuzi.

Marianna uśmiechnęła się z przymusem. Po chwili powiedziała:

– Wiesz co, Jacusiu. Tak sobie myślę, że wy z Kasią musicie mieć jakieś niebywałe szczęście. Oboje dostaliście od losu niezwykle dary, ona Roberta, ty Izę. Czasami zachodzę w głowę, jak to się mogło stać. Kasia, taka trudna, czasem aż nie

do zniesienia, i Robert, taki spokojny, poważny? Chyba ten jego spokój i cierpliwość trzyma to ich małżeństwo. A ty i Iza? Co jest waszym spoiwem? Jasio? Wyrozumiałość Izy?

– Wyrozumiałość?! – zachnął się Jacek. – Przestań, matka!

Siedział chwilę w milczeniu, potem powiedział cicho:

– Iza chce rozwodu.

Marianna pobladła.

– Jezus Maria! Co się stało?!

– Właśnie o to chodzi, że nic się nie stało. Chyba że w jej głowie! Ubzdurała sobie coś i nie da sobie wytłumaczyć. Ja w końcu też mam dość tych bzdur i powiedziałem jej: okay, możesz mnie zostawić, ale w sądzie nie wygrasz. Ani mi nic nie udowodnisz, ani ci nie oddam Jaśka. To ją trochę zastopowało, ustaliliśmy, że dajemy sobie miesiąc na próbę i na zastanowienie. Zobaczymy.

– Mój Boże... – wyszeptała Marianna. – Ale o co poszło?

– Wiesz, mówią, że przeciwieństwa się przyciągają, chyba nie zawsze. Nas drażnią. Ona nie znosi mojego dystansu do świata i ludzi, mojego braku zaangażowania w cokolwiek, braku entuzjazmu, braku naiwnej szczerości, braku wiary. Mnie drażni jej rozbudowany instynkt społeczny, jej potrzeba pomagania bliźnim, jej ofiarność, solidarność, jakaś harcerska *serioznost*, jej religijność, jej populizm!

– To co was, na miłość Boską, łączy, co was kiedyś połączyło?! – Marianna teraz niemal krzyknęła.

Jacek uśmiechnął się ironicznie, niemalże cynicznie.

– Kiedyś namiętność, teraz przyzwyczajenie. I Jasiek...

Przez chwilę oboje milczeli, potem Jacek zaczął cicho mówić:

– Ale ja ją kocham. I nie wyobrażam sobie życia bez niej. Potrzebuję jej mądrości, jej opieki... Ona mnie prześladuje zazdrością, stale podejrzewa o romanse. Wiesz, w jakim środowisku pracuję, nawet sobie nie wyobrażasz, na co te cholerne baby są gotowe pójść, żeby dostać rolę, angaż albo tylko zaproszenie na kolację. Mógłbym wyglądać jak Quasimodo, i tak by mnie rwały, a co dopiero z moją pieprzoną amancką gębą... Ale to mnie właśnie impregnuje na te pokusy, tylko że Iza w to nie wierzy. Nazywa mnie tchórzem i kłamcą, bo się do niczego nie przyznaję! Pamiętasz, jak mieszkałem na studiach w Łodzi u tej wytwornej pani Rity na Piotrkowskiej? Ona mieszkała z mężem, ale żyła z sublokatorem, a mąż przyprowadzał do domu na brydża swoją „kuzynkę”, z którą żył, i tworzyli zgodny czworokąt. Pani Rita mi

zawsze mówiła: „Panie Jacku, niech pan sobie zapamięta na całe życie: nigdy nie wolno się do niczego przyznać! Żeby pana krajali! Jak się pan przyzna, będzie bolało jak wyrwanie zęba, jak nie, będzie tylko ćmiło, bo zostanie nadzieja, że to nieprawda...”.

– Czy dobrze pamiętam, że pani Rita była dentystką?

Jacek wybuchł śmiechem.

– Oj, matka, matka! Ty jak coś powiesz!

Marianna zmieszana się, ale w końcu też się roześmiała z niezamierzonego komizmu tego dialogu.

Tymczasem słońce już chowało się za horyzont, oświetlając pomarańczowym światłem ziemię i gromadzące się nad nią granatowe chmury. Jacek patrzył na to zafascynowany.

– Uwielbiam te zachody słońca u was – powiedział zdławionym z zachwytu głosem. – Ten jakiś demiurg, który tworzy te wizualne arcydzieła oświetlenia i form z nieprawdopodobną inwencją i pomysłowością, przypomina mi czasem starego, zmęczonego producenta musicali, który kierując się żelazną w jego fachu zasadą *The show must go on*, potrafi obietnicami i pochlebstwami obudzić znużone, zrezygnowane dusze wyranżerowanych artystów, poruszyć krew w zdrętwiałych ze zmęczenia nogach tancerek *corps de ballet*, aby ze wzruszającą, odnawiającą się co wieczór nadzieją w głosie krzyknąć: „Kurtyna!”. No więc posłuchajmy starego producenta i odegramy dziś także swój spektakl z cyklu „komedia ludzka”!

W pokoju, w którym przed sanatorium mieszkał Wolf, siedziała Marianna. Na stole w wazonie stało parę zielonych gałązek. Kilka jego rzeźb na półce. W uchylonych drzwiach szafy widać było wiszący płaszcz, garnitur. Marianna siedziała w zupełnej ciszy z rękami na podolku, jak wiejska kobieta, spokojnie wodząc wzrokiem po sprzętach, jakichś drobiazgach po nieobecnym. Westchnęła głęboko, wstała, domknęła szafę i oparła się o łóżko na kółkach, które stało na środku pokoju, bo tak wygodniej było choremu, popchnęła je wolno ku ścianie. Nierówna podłoga zahamowała łóżko, napierała więc mocniej, poderwała trochę i popchnęła z całej siły. W tym momencie usłyszała stukot jakiś i dźwięk monet sypiących się na podłogę pod łóżkiem. Za chwilę złote krążki poturlały się do jej stóp i po pokoju. Marianna zamarła wpatrzona w podłogę.

Rozległ się głos Krzysztofa w głębi domu:

– Mania!... Kołacja! Czekamy!

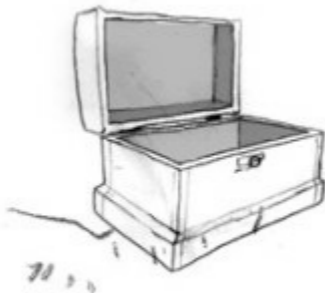
Ona wolno usiadła na podłodze i zjrzała pod łóżko. Wisiała tam przymocowana drewniana skrzyneczka, teraz z kołyszącym się otwartym wieczkiem. Usłyszawszy kroki, Marianna wyprostowała się, otworzyły się drzwi i Krzysztof na progu powiedział z wyrzutem:

– Marianno... – i ucichł. Patrzył chwilę. – Co to? – spytał niezbyt mądrze.

Marianna podniosła na niego oczy i wyciągnęła ku niemu pełne garście złotych monet.

– Świnki...

Krzysztof podniósł do oczu pieniądz, przeczytał napis pod dwugłowym, drapieżnym orłem: „5 rublej 1897 g”. Odwrócił w palcach monetę: na rewersie car Mikołaj II patrzył ufnie, niczego jeszcze nie przeczuwając, w niezmierny obszar czasu i przestrzeni poza granicami tego małego, złotego krążka.



Krzysztof obudził się wcześniej w swoim pokoiku, w dawnym ich mieszkaniu na placu Inwalidów, oddanym do dyspozycji Jacków. O tej porze panowała w nim cisza, wszyscy jeszcze spali w najlepsze. Krzysztof spojrzął na zegarek, dochodziła piąta. Już budzę się jak wieśniak, ale tylko tu – rozmyślał. – Na wsi wysypiam się do południa! To przez tamtą ciszę. Nie wiem, jak można było tu spać?! Autobusy, tramwaje, teraz te wykopy!

Postanowił jeszcze trochę poleżeć, zanim wstanie, pójdzie jeszcze na chwilę na uniwersytet i prosto stamtąd odjedzie na wieś. Właściwie wszystko już pozałatwiał, spotkał się ze studentami po raz ostatni w tym semestrze, podpisał indeksy, uzgodnił z dziekanem, że w nowym roku będzie miał tylko jedno dwudniowe seminarium w miesiącu, ale chciał jeszcze raz zajrzeć do biblioteki. Wczoraj się rozczarował, mimo że wpadał tam kilkakrotnie w ciągu dnia, mimo że ona na pewno wiedziała, że przyjechał, a nie przyszła. Ale może dzisiaj przyjdzie i będą znowu siedzieć w czytelni, w ciszy zakłócaney tylko szelestem kartek, półgłosem próśb czytelników kierowanych do bibliotekarki, jej szeptanymi odpowiedziami, miękkiymi krokami do kartoteki, będą w tej specyficznej atmosferze rzucać sobie przez całą salę spojrzenia nabrzmiałe znaczeniami, uśmiechy, wyrazy otuchy, żartobliwe gesty. Będzie ją przyłapywał na zapatrzeniach, na jakichś marzeniach, które choć niewypowiedziane, odczuwał jako adresowane do niego. Potem wyjdą do holu na kawę z automatu w papierowych kubkach, która będzie im smakowała lepiej niż u najlepszego Włocha, będą prowadzili błyskotliwe rozmowy, pełne cienkich aluzji i subtelnych niedomówień, będzie chłonał promieniowanie jej młodej energii i obezwładniającego seksapilu, będzie się powstrzymywał od zerkania w jej coraz śmielsze dekolty, od chęci dotknięcia przelotnym muśnięciem jej policzka. Będzie się trzymał kodeksu dżentelmena starej daty, jego zasad, jego stylu, bo domyślał się, że to jej imponuje, a może nawet działa jak afrodyzjak. Będzie unikał wszelkich pospolitych współczesnych wulgaryzmów, będzie przypominał sobie żarty, na które pozwalano sobie przed wojną w najlepszych salonach: pikantne, ale kulturalne, a ona będzie się zaśmiewała z zachwytem. Przypominał sobie dowcip o angielskim dżentelmenie, który wszedł pomyłkowo do damskiej łazienki i na widok nagiej

kobiety zachnął się i powiedział: Och, bardzo pana przepraszam. Wtedy jednak Basia się nie zaśmiała, zapytała zdezorientowana: to tam był jakiś pan? Nie zrozumiała dowcipu, a kiedy jej wytłumaczył, w czym rzecz i jak się to ma i do angielskiego dobrego wychowania, i do angielskiego poczucia humoru, bardzo się zawstydziła, on natomiast się zmartwił i zawstydził za nią, tym bardziej że pamiętał, jak Marianna natychmiast załapała i jak się wtedy śmiała. No tak, ale szkolił ją ponad trzydzieści już lat!

Ta refleksja trochę popsuła mu wtedy nastrój. Zresztą wspomnienie Marianny teraz też skierowało jego myśli na tę mniej wygodną stronę sprawy. Lubił spotykać się z Basią i prowadzić z nią taką subtelną grę emocji, z drugiej strony zdawał sobie sprawę, że to gra niebezpieczna i w jakiś sposób niemoralna. Widział, że dziewczyna jest coraz bardziej gotowa wejść w bliższe związki, że jej zaangażowanie jest coraz bardziej serio, tymczasem on, bojąc się tego i z góry wykluczając jakiś rozwój, podtrzymuje jej złudzenia zamiast zdecydowanie przeciąć sprawę.

Sprawa miała też drugi aspekt: Marianna. Przez sam fakt, że utrzymywał tę historię w tajemnicy przed nią, już dopuścił się niełojalności, jakiejś małej zdrady, a to nie wywoływało w nim wcale wyrzutów sumienia, jedynie gniew, że tak bez reszty i tak bezwolnie dał się umieścić w złotej klatce, którą mu zbudowała i wymościła puchem. Teraz ta sytuacja dobitnie mu uświadomiła, jak blisko jest od oddania, opieki i troski do zawłaszczenia i zniewolenia.

Przebiegł w myślach historię swojego życia i swojego małżeństwa: wychowywał się w Krakowie, gdzie wylądowali po wojnie jako repatrianci ze Lwowa, miał wtedy cztery lata i o pięć lat starszą siostrę. Ojciec, profesor matematyki Uniwersytetu imienia Jana Kazimierza we Lwowie, współtwórca słynnej matematycznej szkoły lwowskiej, otrzymał wkrótce katedrę matematyki na UJ, matka, wiolonczelistka, która przed wojną grała w orkiestrze opery lwowskiej, dostała posadę w krakowskiej filharmonii. Wybitna wiedza i talent pedagogiczny profesora szybko zaowocowały sławą w środowiskach uniwersyteckich, a jego prace tłumaczone na wiele języków drukowano w najbardziej prestiżowych periodykach fachowych świata, w tym w „*Applicationes Mathematicae Americanae*”.

Fakt, że przed wojną przesiadywał w słynnej kawiarni Szkoockiej, gdzie urodziło się wiele genialnych i nowatorskich idei matematycznych, razem z takimi sławami jak Hugo Steinhaus, Stefan Banach, a zwłaszcza Stanisław Ulam, który tuż przed wojną wyemigrował do Ameryki i tam stał się współtwórcą amerykańskiej bomby atomowej, zwrócił na profesora Teodora Kalinowskiego uwagę Moskwy. Został tam

zaproszony i przypuszczalnie dostał propozycję współpracy, bo w tamtych latach Sowietci intensywnie gonili Amerykę w dziedzinie zbrojeń nuklearnych, ale tego nigdy nikomu nie powiedział. Wrócił z tytułem doctora honoris causa Uniwersytetu imienia Łomonosowa i zaczął chorować. Całymi dniami przebywał w domu, polegiwał, studentów przyjmował u siebie, czasem, gdy czuł się lepiej, jechał na UJ i wygłaszał tam wykład, który gromadził tłumy. Władze miasta pod wrażeniem tytułu nadanego w Moskwie ofiarowały mu piękną willę na Salwatorze. Należała ona kiedyś do bogatej rodziny żydowskiej, wymordowanej w obozach, całą okupację rezydował w niej SS-Gruppenführer Otto von Freiteufel, prawa ręka gubernatora Hansa Franka, po wojnie znalazła się w gestii miasta. Profesor długo się dał prosić, zanim wreszcie uległ i przyjął dar, ale zastrzegł się, że gdyby odnaleźli się spadkobiercy, natychmiast zwróci im własność.

Krzysztof miał kiedyś poufną rozmowę z matką, która zaklinając go, żeby trzymał to w tajemnicy, powiedziała mu, że ojciec symuluje chorobę, w czym pomaga mu przyjaciel, lekarz, bo Sowietci wciąż chcą go zabrać do Dubnej, i chroni go przed tym ta fikcyjna choroba, a jeszcze bardziej sypiące się z całego świata honorowe doktoraty najsłynniejszych uniwersytetów oraz cytaty z jego publikacji w pracach znanych autorytetów, w tym także sowieckich. Trudno więc było ściągnąć kogoś tak znanego na świecie na siłę, metodami KGB, rzecz byłaby nieopłacalna politycznie.

Krzysztof zdał maturę w 1959 roku i liczył, że uniwersyteckie koneksje ojca ułatwią mu dostanie się na krakowską medycynę. Niestety, to się nie udało, podobno dlatego, że profesor Kalinowski systematycznie oblewał syna dziekana wydziału lekarskiego Collegium Medicum, wyjątkowego lenia, ale w Warszawie przyjaciele ojca z czasów lwowskich załatwili wszystko bezbłędnie, co było o tyle nietrudne, że Krzysztof zdał egzamin z lokatą w pierwszej dekadzie i stał się na pięć lat studentem Akademii Medycznej. Początkowo mieszkał w akademiku, na trzecim roku, kiedy zaczął już trochę zarabiać, biorąc nocne dyżury jako pielęgniarz w szpitalu na Solcu, wynajął pokój u pewnej wdowy na placu Inwalidów. Traktowała go jak wnuka i udawała, że nie słyszy, kiedy zaczął sprowadzać sobie panienki, które zachowywały się zresztą nienagannie i nigdy nie zostawały na noc. Raz tylko, kiedy jedna z jego dam, studentka konserwatorium w klasie śpiewu, spazmowała wyjątkowo głośno doskonale ustawionym kontraltem, starszka zastukała swoją laską w drzwi i powiedziała: „Panie Krzysiu, sąsiedzi proszą, aby pan ściszył radio, dziecko nie może zasnąć”.

Krzysztof nie prowadziłby może takiego rozwiązłego trybu życia, gdyby jego

dziewczyna, Natasza, Rosjanka, którą poznał na drugim roku studiów i w której zakochał się bez pamięci z wzajemnością, nie musiała wyjechać nagle do Moskwy, bo jej ojciec pracujący w warszawskiej ambasadzie ZSRR został z dnia na dzień odwołany i przeniesiony na wyższe stanowisko do Pekinu. Natasza szlochała, wychylając się przez okno pociągu Berlin–Moskwa na Dworcu Gdańskim, i mówiła: *Miłyj moj, ja ciebia nigdy nie zabudu.* Ale zapomniała, przysyłała jeszcze przez rok widokówki z Chin, z miłosnymi zakłęciami jak z Wertyńskiego. Potem zamilkła na kilka miesięcy. Krzysztof cierpiał, pisał długie listy, które pozostawały bez odpowiedzi, ale nie wracały, więc musiały być doręczane. Aż nagle przyszła kartka ze Stanów: widoczek z wodospadem Niagara. Napisała, że są w poślubnej podróży, Jerry jest dziennikarzem, ślub wzięli w ambasadzie amerykańskiej w Pekinie, żeby móc wyjechać razem, że będą mieszkali w Kalifornii, planują czwórkę dzieci, że przeszła na protestantyzm. Zakończyła słowami: *God bless you!*

Jakoś nie odczuł bożego błogosławieństwa, natomiast niewątpliwie zainteresował się nim szatan i przepisał mu kurację na jego traumę. Bo przecież nie kto inny, a on pokazał mu pewnego dnia, że co najmniej dwie koleżanki z jego roku są wyjątkowo urodziwe, a trzecia, z młodszego rocznika, jest nie tylko urodziwa, ale i wyjątkowo dostępna. Zaliczył wszystkie trzy po kolei i z radością odkrył, jakie to łatwe. Książę Ciemności zatarł kosmate rączki i poszli na całego. Zmieniał partnerki po jednej nocy, na drugi dzień nie pamiętał już ich imion. Znalazł gdzieś starą, drewnianą pięćdziesięciocentymetrową linijkę i zaczął nacinać ją po każdej przygodzie co centymetr, żeby przynajmniej zliczyć zaliczane. Remedium działało: obraz Nataszy szlochającej na Dworcu Gdańskim blakł, blakł, aż rozwiął się jak dym z fajki, którą zaczął palić dla szpanu.

Był dwa lata po studiach i przy trzydziestym siódmym centymetrze na swojej linijce, kiedy poznał w Hybrydach Mariannę. Ona miała osiemnaście lat, była w euforii po maturze i przyjęciu na ASP, czuła się wyzwolona i dorosła, chociaż wciąż musiała wracać do domu na Mokotowie przed dziesiątą wieczór. Ale do Hybryd na tańce już wolno jej było chodzić. Krzysztof nie zwróciłby na nią uwagi, gdyby nie zobaczył jej na parkiecie szalejącej w rock-and-rollach i twistach. Była w tym dobra, nawet bardzo dobra. Największe hybrydowe „wygibasy” ze słynnym Heniem Melomanem na czele ubiegały się o taniec z fajną debiutantką, bo ona miała do tego prawdziwy dryg. Funkcjonowała owego lata w tym towarzystwie jako równa kumpelka, na erotycznej giełdzie w ogóle nie była notowana, chociaż figurę miała świetną, wręcz doskonałą w proporcjach: długie, nie za chude nogi, pełny, ale nie za

duży biust i bardzo zgrabny tyłeczek. Ale w twarzy nie było niczego pociągającego: typ na Mazowszu często spotykany, trudny do zapamiętania przez swoją powtarzalność, niebieskie naiwne oczy i pensjonarskie kucyki beztrudno odsłaniające odstające śmieszne uszy, jak u disnejowskiego Gapcia. Do Hybryd podjeżdżała, zadając szyku, swoim włoskim skuterem, prezentem dla jedynaczki za maturę od zakochanego w niej ojca, zamożnego jubilera. Była klasycznym typem dziewczyny, o której się mówi, że musi trafić na swego amatora. I amator się znalazł.

Krzysztof pracował już wtedy w szpitalu jako młody lekarz, ale coraz wyraźniej interesowała go raczej teoria niż praktyka, więc zapisał się jako wolny słuchacz na seminarium z mikrobiologii, przedłużając tym samym swój status studenta, co usprawiedliwiała przynajmniej w jego oczach to ciążenie do środowiska młodszych, do przedłużania kontaktów z założonym kiedyś kabaretem studenckim Pigułka, czy do wypraw łowieckich do Hybryd. Uchodził tam za lowelasa i podrywacza i ten image bardzo mu odpowiadał. Uwiedzione przez niego dziewczyny przestrzegały przed nim koleżanki, nazywały go zimnym draniem, ale to tym bardziej wypychało mu w ramiona następne, które miały ambicję doprowadzenia go do ołtarza, a przynajmniej utrzymania go przy sobie dłużej, głównie po to, aby pognać konkurentki. On siedział tam pod ścianą, zawsze sam przy stoliku, sączył podłe algierskie wino Gellala, napychając swoją elegancką fajkę z angielskiego wrzосу tytoniem Amphora i roztaczając dyskretny zapach lawendy Yardleya – wszystko z Baltony. Nigdy nie tańczył dla samego tańca, obserwował dziewczyny i szukał swego typu. Generalnie i banalnie preferował blondynki z niemądrym wyrazem twarzy gwarantującym brak komplikacji, a często niezłą zabawę, kiedy plotły swoje głupstwa w łóżku pod hasłem: „I co ty teraz sobie o mnie pomyślisz!”. (Rekord pobiła ta, która powiedziała rano: „Ale mi przez noc nogi skróty!”). Czarnych, egzotycznych piękności nie lubił, pociągały go rude, ale instynktownie trzymał się od nich z daleka, przewidując niebezpieczne pułapki. Zawsze jednak poszukiwał w twarzach swych „ofiar” jakiegoś rysu rozwiązłości, jakiegoś sygnału, że wprawdzie pod maską przywoitości, ale istnieje w nich albo duży temperament seksualny, albo przyzwolenie na perwersję, bo tylko to było jego celem, nie żadne sentymenty. Kiedy znajdował już odpowiednią kandydatkę, czekał na jakiś wolny kawałek, o co wtedy było trudno, i prosił ją do tańca. W tańcu oszałamiał partnerkę dowcipną, ale dwuznaczną elokwencją, tak różną od prząsnego stylu bywalców Hybryd, i proponował przeniesienie się do jakiejś kawiarni na spokojniejszą rozmowę. Szybko nauczył się rozpoznawać, czym można pannie zaimponować: warszawiankom

proponował kawę i kieliszek koniaku dobrej marki, gapom z prowincji stawił gorącą kolację, a potem nie zdarzało się, żeby któraś odmówiła pojechać z nim obejrzeć jego „zbiór znaczków pocztowych”. Staruszka już na ogół spała, zresztą sądziła, że przychodzi do niego z wizytą zawsze ta sama, pewnie narzeczona, skoro się tak gorąco kochają, więc kiedy dziewczyna nie musiała wracać do domu, zatrzymywał ją na całą noc. Pod tym względem prowincjuszki mieszkające w akademikach były lepsze.

Teraz od kilku fajfów skupiał swoją uwagę na tej smarkatej z kucykami, która prawie nie schodziła z parkietu, tańcząc na przemian do znudzenia powtarzane *Wish You Were Here* Buddy Pata Boone’a. albo *You Can’t Catch Me* Chucka Berry’ego. Nie było w niej nic z tego, czego zwykle szukał, nie był też przecież oldboyem, który ma grzeszny pociąg do siusiumajtek, a jednak coś go w niej intrygowało. Wyczekał na odpowiedni moment, w przerwie między utworami, podszedł do niej, zdyszanej i spoconej, ukłonił się nonszalancko i powiedział: „Nie proszę pani do następnego tańca, z lekarskiego punktu widzenia jest pani wyczerpana i powinna wypocząć. Zapraszam panią do mojego stolika albo może jeszcze lepiej do jakiejś kawiarni. Opowiem pani, co zauważyłem, obserwując tu panią od kilku dni”. Trik zadziałał, kto by się nie poczuł zaintrygowany, że jest przedmiotem obserwacji, i to od kilku dni! To był środek lat sześćdziesiątych i Marianna nie doświadczyła jeszcze żadnych strachów politycznych, od grozy stalinowskiego terroru upłynęły już prawie dwie dekady, więc nie kojarząc tej propozycji z jakimś przesłuchaniem, co na pewno zrobiłby jej ojciec, stale drżący przed rewizją i „domiarem”, odpowiedziała prosto: „Jeśli tak, to lepiej wyjdźmy”.

Na ulicy Krzysztof – jak potem wiele razy opowiadał – „zbaraniał na widok kozy”, to znaczy białego skuterka modnej marki Lambretta. Widywał go tu często, ale nigdy z nią, słyszał o jakiejś „bananówie” (tak nazywano dzieci dygnitarzy partyjnych lub prywaciarzy, które dzięki koneksjom lub pieniądзом miały dostęp do zachodnich, baltonowskich smakołyków), ale nie wiedział, że to ona. Kazała mu usiąść na tylnym siedzeniu, sama siadła za kierownicą, kopnęła energicznie starter i ruszyła z kopyta. O mało nie spadł z siodełka, odruchowo chwycił ją w pasie i przysunął się do niej. Poczuł kształt jej bioder, prawie przywarł nosem do jej odsłoniętego karku i wciągnął głęboko zapach jej młodego, zdrowego potu. Zakręciło mu się w głowie, zrozumiał, że wpadł po uszy. Minęły trzy miesiące codziennych spotkań w kawiarniach, kinach, parkach, kiedy odważył się zaproponować, żeby przyszła do niego, do domu, minęły następne trzy, zanim się

zgodziła.

Weszła do jego pokoiku, który był kiedyś służbówką z wejściem przez kuchenne schody. Zdejmując z niej modny kozuch z Nowego Targu, poczuł odór źle wyprawionego barana, i odtąd taki zapach, na zasadzie odruchu Pawłowa, wywoływał w nim określone reakcje. Czasem było to kłopotliwe. Ona usiadła skromnie na łóżku (krzesło było przywalone książkami – jego wypróbowany pomysł) i przekrzywiając głowę, odczytała tytuł tej na wierzchu: „*Stary człowiek i morze*. Hemingway fajny...”. Nie wypowiedział przygotowanej dla skruszenia pierwszych lodów riposty: „Młody człowiek może jeszcze więcej”, poczuł onieśmienie, przejął je od niej. Tak mu się zdawało, do chwili kiedy ona nieoczekiwanie powiedziała: „Zdejmę sukienkę, bo mi się pogniecie”. I zdjęła ją lekko i zgrabnie. Wyjął z szafy wieszak i delikatnie powiesił na nim białą sukienkę. Kiedy to robił, powiedziała: „Nie wkłada się wieszaka od dołu. To wygląda nieprzyzwoicie”. Popatrzył na nią, siedzącą w bieliźnie na łóżku, i miał ochotę rzucić natychmiast ten wieszak na podłogę i przypaść do niej, zamiast tego poszukał wzrokiem miejsca, gdzie można go było powiesić. Wybrał żyrandol. Suknia zakołysała się majestatycznie, jak biała flaga wywieszona przez kapitulantów. Ale on nie skapitulował, to ona się poddawała. Usiadł przy niej i pogłaskał ją po policzku. „Podoba ci się moja bielizna? Z mamą ją kupowałam”. Przyjrzał się uważnie stanikowi i majtkom, chyba pierwszy raz w życiu. Zawsze zdierał je z dziewcząt pospiesznie, były tylko głupią przeszkodą. Teraz wzmianka o mamie go onieśmieliła. „Z mamą? Powiedziałas mamie, po co ci ta bielizna?”. „Tak. Zawsze wszystko mówię mamie”. „Zawsze? To już były takie sytuacje?” – zapytał niemile zdziwiony. „Takie nie, ale ona zawsze mi radzi we wszystkim”. Postanowił przejść od słów do czynów, dość się nagadali przez sześć miesięcy chodzenia. Zaczął rozpinać jej biustonosz, zapięcie jak zwykle stawało opór. Z reguły dziewczyny wtedy pomagały, strącały z politowaniem jego niezdarne, rozdygotane ręce i jednym ruchem rozpiwały i zdejmowały stanik, a ta siedziała pokornie, z miną jak na ścięcie. „Zgaś światło” – powiedziała półgłosem. Posłusznie wstał i poszedł do kontaktu przy drzwiach, a kiedy wrócił, nie miała już stanika, ale majtki wciąż były na swoim miejscu. „Muszę ci coś powiedzieć – szepnęła zawstydzona – Przyjechała ciotka”. „Jaka ciotka?” – przestraszył się. „No, mam miesięczkę”.

Tego wieczoru skończyło się na ograniczonych pieszczotach, potem ucząc się angielskiego, dowiedziała się, że to się nazywa petting. W każdym razie w tych ciemnościach poznała go trochę bliżej.

Noc miłości nastąpiła kilka dni później, „po wyjeździe ciotki”. Była naturalnie dziewicą, co zrównało ich przeżycia. Dla niego to też był taki pierwszy raz, żadna z jej trzydziestu siedmiu poprzedniczek już dziewicą nie była. On zresztą w uniesieniu miłosnym spalił drewnianą linijkę, nigdy, nawet w myślach, nie nazwał jej trzydziestką ósemką, przeciwnie – nazwał ją głośno numerem jeden, bo przecież Natasa była tylko platonyczną, bezcielesną, romantyczną bajką.

Rozpamiętując o wczesnym poranku, w swoim małym pokoiku, w tym samym zresztą, gdzie wszystko kiedyś się zaczęło, bo staruszka zapisała mu w testamencie swoje mieszkanie i zmarła w odpowiedniej chwili, kiedy właśnie zdecydował się oficjalnie poprosić Mariannę o rękę (poznał już tej ręki finezyjność, a nie rozpoznał jej żelaznej siły), Krzysztof nacisnął klawisz *pause* w imaginacyjnym odtwarzaczu swoich wspomnień. Tę pierwszą część, pewnie *allegro*, odtwarzał wielokrotnie z przyjemnością, w dalszej części symfonii jego życia nastroje i rytmy muzyczne zmieniały się tak często i tak radykalnie, jak w wielkich dziełach klasyków symfoniki i nie wszystkie miał ochotę odtwarzać. Przeleciał więc teraz na szybkich obrotach pamięci te trzydzieści pięć następnych lat: małżeństwo – dzieci – wnuki – kariera naukowa – teściowie – rodzina – University of Kansas – Mazury, i myślał, czy, tak to przeglądając, potrafi znaleźć jakieś miejsce, jakiś punkt, kiedy z przewodnika stada, z największego autorytetu w rodzinie, z mistrza w każdej dziedzinie uznawanej przez kobiety za ważne (na pierwszym miejscu umiejętność naprawy żelazka), z Pana i Władcy został stopniowo przeszerogowany na uległego zgadzacza się, na potakiwacza, na pantoflarza, na poszukiwacza świętego spokoju za wszelką cenę? Nie znalazł takiego momentu w historii swego związku z Marianną, bo nie mógł znaleźć, bo to musiało się rozwijać w czasie, jak rozwój przewlekłej, niegroźnej i pospolitej choroby, którą rzadko kto leczy, rzadko daje się wyleczyć, ale nie jest śmiertelna, można z nią żyć aż do śmierci.

Krzysztof klawiszem *skip* przeskoczył jeszcze w myślach do partii *scherzo*, przesłuchał pobieżnie wszystkie słodkie melodyjki swojej tajemnicy i podjął, nieoczekiwanie dla samego siebie, radykalną decyzję: nie będzie teraz szukał kontaktu z Basią, może ona też postanowiła się z nim nie widywać, skoro przestała przychodzić do biblioteki, ale też w dalszym ciągu nie zwierzy się nikomu, a szczególnie Mariannie, ze swego sekretu. Pocieszył się cierpką myślą, że ta słodycz w jego sercu, którą teraz odczuwa na każdą myśl o Basi, kiedyś zgorzknieje, złota szata, w którą ją ubrał w swoich naiwnych marzeniach, zettleje i rozpadnie się w palcach, jak wszystko na świecie.

Wstał, cicho się umył, przełknął w kuchni kawę i zostawił na stole karteczkę, że korzysta z wczesnego obudzenia się i rusza na wieś, aby uniknąć tłoku na drogach. Dotarł do domu jeszcze przed południem i od razu wciągnięty został w przygotowania do uroczystości, które już niedługo miały tu się odbyć, to znaczy do chrzcin ich małej wnuczki Ani, córeczki Kasi i Roberta.

Nadeszły ostatnie dni czerwca, zaczynało się lato. Kolory już nie były takie intensywne, powietrze już nie takie przejrzyste, drżała w nim mętna mgiełka. Słońce od wczesnego rana wspinało się wysoko na palce, więc światło padające z góry, niemal pionowo, było mało plastyczne, cienie krótkie. Ale wciąż krajobraz wabił swoją urodą nie z tego świata. Na środku nieruchomej tafli wody dwaj mężczyźni łowili z łodzi ryby.

Gospodarstwo Kalinowskich wydawało się jeszcze uśpione, ale bezgłośnie otworzyło się okno na piętrze i na tle ciemnego wnętrza ukazała się Marianna w białej nocnej koszuli. Rozejrzała się, popatrzyła na niebo i zniknęła w głębi.

Z budy pod domem wylała Lolka, przeciągnęła się. Za chwilę tak samo pojawiła się Berta, ziewnęła.

I nagle zaczął się ruch. Z impetem otworzyły się drzwi z budynku gospodarczego, wyszła Justyna z koszem, przegryzała coś, psy, które zaraz stawiły się przy niej, dostały w marszu po kawałku kiełbasy. Dziewczyna kierowała się ku warzywnikowi. Kucharka wylała wodę z wielkiej miski i zniknęła w budynku gospodarczym, w kuchni.

Justyna skręciła między grędy, minął ją wjeżdżający wóz z deskami, odprowadziło ujadanie psów na konia. Dwaj chłopci na wozie okrążyli klomb, zatrzymali się i zaczęli zrzucać deski. Na ukwieconym długim balkonie domu pojawił się w dresie Krzysztof.

– Nie tu! Nie tu! – Wychylił się, uderzając dłonią w poręcz. – Umawialiśmy się przecież w poniedziałek, że tam – wskazał dłonią.

Dwaj mężczyźni przerwali zrzucanie, spokojnie uchyłili kapeluszy.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry, dzień dobry, już schodzę – odpowiedział Krzysztof.

Rzucił spojrzenie w niebo i zniknął we wnętrzu domu. Dwaj mężczyźni zapalili papierosy. Po chwili zabrali się do wrzucania desek z powrotem na wóz. Wyłoniła się Marianna, zawiązując fartuch, i skierowała się do kuchni. Z domu i budynku obok dwaj młodzi mężczyźni wynosili stoły.

– Panie Grzesiu, na strychu jest jeszcze blat kreślarski i podstawa – powiedziała Marianna.

Krzysztof, który wyszedł i słyszał to, zaprotestował:

– Chcesz wziąć stół kreślarski Jacka? Poniszczą...

– Nic mu się nie stanie.

Marianna zniknęła w kuchni. Zadzwonił telefon w głębi domu. Przyjezdni rzucili deski we wskazanym miejscu, wjechał mały samochód z aparaturą nagłaśniającą i koszem chleba.

Młoda, chuda dziewczyna, Edyta, wybiegła z domu na podwórko i zawołała:

– Telefon!

Krzysztof odwrócił się od Bugały.

– Kto?

– Ksiądz Roman. Chce ustalić godzinę.

Krzysztof ruszył, po drodze przywitał się z przyjezdnym:

– Witam, panie Broda.

– Moje uszanowania.

– Józek! – zawołał Krzysztof, rozglądając się. – Gdzież on jest?! Zaraz wrócę do pana – dodał.

Broda kiwnął głową i zaczął krzątać się przy samochodzie, wyciągnął z niego kosz chleba.

Justyna wróciła z warzywnika z koszem jarzyn. Helena niosła na tacy kubki, dzbanki z kawą, rogale. Postawiła na stole.

– Panie Bugała, tylko solidnie!

– Wystarczy na takich jak pani kilkanaście – powiedział Bugała, przybijając deski.

– Już ja tam będę tańczyć przy garach – odparła Helena.

Chwyliła z jednym od noszenia stołów kosz z chlebem i zanieśli go do kuchni. Przeszli pod balkonikiem gościnnego pawilonu, z którego wychylił się Zarzycki.

– Dzień dobry, pani Heleno, jest śniadanie?

– Dzień dobry, już od kiedy jest!

– A moja żona jadła?

– Podziobała trochę i poszła nad wodę.

Zarzycki wyciągnął szyję, starając się zobaczyć jezioro.

Na pomoście widać było siedzącą postać Zarzyckiej w białej szacie. Tyłem do

domostwa, w pozycji lotosu, oczy miała zamknięte, twarz nieobecna.

Z jeziora nadpływała łódź z dwoma miejscowymi. W łodzi stały wiadra pełne ryb. Starszy mężczyzna był w wypłowiałym kapeluszu, młodszy bezskutecznie przyglądał blond włosy. Słychać było ich głosy niosące się nad wodą. Wyraźniejsze.

– Rozumiesz mnie? Ani grosza!

– Tata, kurde... To kupa ryb! Od nocy my prawie...

– Wstydu, baranie, nie masz. Jak gospodyni cię wiozła do Ełku, to ani grosza nie wzięła, ani za benzynę, ani za protekcję w szpitalu. A potem jeszcze znowu, jak ci gips tam zdejmowali. Po kim ty taki chitry?

– Po somsiedzie.

Stary zamierzył się chochlą do wylewania wody, młody zrobił unik i śmiał się, wiosłując nadal. Obaj patrzyli na postać na pomoście.

– Dzień dobry! – zawołał młody.

Stary uchylił kapelusza.

– Dzień dobry.

Nawiedzona Danka nadal trwała w bezruchu i nie podniosła powiek. Podpłynęli, ale byli bezradni wobec siedzącej, więc utrudnili sobie, dobijając do boku pomostu, wygramolili się, wystawili wiadra. Poszli niezgrabnie w gumiakach, ale w gruncie rzeczy starali się zachować delikatnie.

– Ślepa i głucha – rzucił młody.

– Widzisz – powiedział stary – takie wielkie dziś ich święto, a serce mają i dla kaleki.

Przystanęli pod kuchnią, postawili wiadra, popatrzyli na ruch na podwórzu, stały już stoły, wokół nich biegali trzej chłopcy, prowokując patykami obie suczki. Bugała z pomocnikiem przybijali deski na kręgu tanecznym. Krzysztof dozorował ustawianie małego browaru.

Justyna z obrusami wybiegła z domu, wołając przez ramię.

– Pani Marianno, ryby przyszły!

Ruszyła dalej, krzycząc:

– Chłopaki! Do domu!

Chłopcy dziwnie spłoszeni zamarli w zaroślach.

– Wpadliśmy – szepnęła Kuba Zarzycki.

– To tylko Justyna – powiedział Jasiek.

– Kucharka ją napuściła – domyślił się Antoś Gajewski.

– I tak się wyda.

– Udawajmy, że to nie my.

– A kto, psy?

– Wychodzimy i zapieramy się, jakby co.

Powoli wyleźli z zarośli, zbliżyli się do Justyny.

– Co z wami? Tu macie obrusy. Porozkładać porządnie, kupkami sztuce.

Przyjdźcie po serwetki. I resztę – zaordynowała Justyna.

Chłopcy chwycili obrusy i pobiegli do stołów. Justyna wróciła do kuchni.

Minęła stojących rybaków, stary, z kapeluszem w ręku, całował dłoń Marianny.

– Długich lat życia... I żeby Bozia dała zdrowie.

– Ja przyłączam się do taty – dodał młody.

– Dziękuję ci, Zdzisiu – powiedziała uśmiechnięta Marianna.

– Matka i babka prosiły, żeby też życzyć.

– Proszę podziękować i pozdrowić. A teraz zapłacę za te piękne ryby.

– Mowy nie ma – zaprotestował stary.

– No, co pan, panie Orzeszko.

– To prezent – powiedział kategorycznie.

– Na dalszą drogę życia – dorzucił młody.

– Na najbliższą – zaśmiała się Marianna. – Będzie tyle ludzi. No... jestem ogromnie wzruszona. Wielkie dzięki. Siadajcie. Zaraz damy wam śniadanie.

– Nie... po co ten kłopot...

– Teraz ja mówię: mowy nie ma! Edytko! – zawołała. – Podaj panom śniadanie. Może tu, na werandce, bo w domu urwanie głowy.

– Dziękujemy, dobrze jest... – powiedział stary Orzeszko wyraźnie zadowolony.

Marianna wskazała im stolik z krzesłkami na werandzie przy drodze na pomost.

W tym momencie zbliżyła się Danką, pocałowała Mariannę w policzek.

– Czuję się cudownie. Cała przefiltrowana powietrzem. Zaraz ruszam ci z pomocą.

Mężczyźni stanęli lekko osłupiali, Danką z Marianną poszły do kuchni. Na wielkim stole leżała sterta posiekanych jarzyn, Justyna kroїła następne. Kucharka Helena podniosła wielką pokrywę nad garem i zamieszała chochlą. Edyta przygotowywała tacę ze śniadaniem.

– Pani Heleno, nie za dużo pieprzu. Edyta, jak wrócisz, zmiksujesz zupę, która stoi na kuchni – poleciła Marianna.

– Pieprzyć zawsze należy z umiarem – odezwała się Danka. – Mój mąż, pan Zarzycki, zawsze mówi, że od pieprzenia jeszcze nikt nie umarł, ale on się nie zna na kuchni...

Dziewczęta roześmiały się, schylając głowy.

– A no, właśnie. Z solą też rozsądnie, bo ostatnim razem... no! – przecięła dwuznaczne żarty Marianna.

– Co mam robić? – spytała Danka.

– Wiesz, może rozkroisz biszkopty. Ile będziemy mieć tortów? Orzechowe dwa, śmietankowe dwa, czekoladowy...

Helena wyciągnęła długi nóż, położyła obok biszkoptowych krążków, otworzyła lodówkę i na chwilę zamarła.

– Matko święta!

– Co się stało? – Marianna odwróciła się.

– Kto tu buszował?

Nachyliły się wszystkie, zaglądając do lodówki. Wielka misa z ubitą śmietaną była wyjedzona do połowy, rozchłapana, wyraźnie w popłochu.

– Ja się zabiję! Kto mi tu buszował? – biadoliła Helena.

– Myśmy nie ruszały – zaklinała się Justyna.

– Jasio też nie. Może koty... – odezwała się Edyta.

– Tak mi przykro, ale podejrzewam... – powiedziała Danuta.

– Żeby tylko się nie pochorowały... – dodała Marianna domyślnie.

Helena była naprawdę zła.

– Ale kiedy? Kiedy?

Wyleciała z kuchni, słychać było, jak krzyczała:

– Który krem wyjadł? Który, pytam?! Paskudniki! Brzuchy wam popuchną jak dynie! Pokażcie się tu jeszcze, to nie ręczę za siebie!

– Pani Heleno, przesadza pani! – zawołała Marianna ze śmiechem i weszła do dużej spiżarki.

Na podłodze stała wanienska z przygotowaną stertą żeberek. Przy niej przykucnięty Jaś, po drugiej stronie kot, próbował łapą wyciągnąć żeberko. Marianna się zatrzymała.

– Twój kot kupowałby żeberka – powiedział Jasio.

Marianna roześmiała się, nachyliła i czule objęła chłopca.

– Dała ci Edyta śniadanie?

– Już dawno.

– Uciekaj, Filozof. Nie wolno. – Marianna odpędziła kota. – Zabierzemy się za zeberka. Będą po chińsku w pysznym sosie.

– Chodź, Filozof – powiedział Jasio. – Bo i nas wsadzi do sosu.

Krzysztof z Zarzyckim przechodzili przez podwórko.

– I co tam, panie Broda? Jak? – spytał Krzysztof.

– W porządku – odparł chętnie facet montujący głośniki. – Dam próbę.

– Dawaj pan.

Rozległ się nagły łomot orkiestry Glena Millera. Pan Broda słuchał zadowolony, Zarzycki zrobił kilka ruchów tanecznych.

– Moja młodość, a niech to!

Z kuchni wyjrzały kucharka i dziewczyny. W oknie swego pokoju na chwilę pojawiła się Marianna.

– Ale dają czadu... – zachwycił się Broda sobą i głośnikami.

– W porządku. Już dobrze! Już dobrze, panie Broda! – powiedział Krzysztof.

Ruszył w stronę domu. Na schodach w ich części mieszkalnej spotkał przebraną i lekko umalowaną Mariannę. Oparł się o poręcz i przyjrzał się żonie.

– Ładnie wyglądasz – zauważył.

Marianna się rozjaśniła.

– W jakiego koloru sukni byłam wtedy w Hybrydach?

– Hm... – mruknął Krzysztof – jakiś taki... jasny! – odrzekł tonem oczywistym.

– Ech, ty – roześmiała się. – Kiecka w kolorze dzikiego wina z taaakim dekoltem... na cudownej halce... – Usiadła na schodku i się zamyśliła.

– Tańczyłaś ciągle z jakimś koszmarnym wygibusem... Żal mi się ciebie zrobiło i musiałem cię odbić. – Usiadł na schodku niżej.

– Z litości? Tak? Tak to się zaczęło?!

– Chuchro byłaś... Mógł cię połamać. Jako przyszły lekarz nie mogłem na to pozwolić.

Marianna roześmiała się i zsunęła na jego stopień.

– Byłam w kontrze na ciebie... Dziewczyny z akademii ostrzegały mnie: uważaj na tego medyka, elegancik i podrywacz, ale cóż, wydałeś się taki interesujący...

– Byłem interesujący, ale już nie jestem. – Rozłożył bezradnie ręce.

– Jeszcze ujdzie – rzuciła niby obcesowo. – Przecież... – zaczęła jakąś myśl, ale szybko ją zagadała: – A jak się czujesz jako podwójny dziadek?

– Wciąż nie myślę o sobie w kategorii dziadka, nie licz na to, ale przyznaję, że moje wnuki mnie uszczęśliwiają.

– Nasze, Krzysiu, nasze.

Przytaknął.

– Dobra, dobra, niech ci będzie. Idź zapłać temu Brodzie, niech się zbiera, a demontaż pojutrze o której zechce, byle nie o świcie.

Wstali oboje, podpierając się wzajemnie, jak starszycy.

– A, i za chleb mu zapłać. Ja teraz wyskoczę z Piotrem po kwiaty. – Ruszył w górę.

– Chcesz coś jeszcze ze sklepu?

– Nie – odpowiedziała, schodząc. – Krzysiu! – odwróciła się – przygotowałam ci niebieską koszulę, tę od Kasi z Wiednia. Dobierz sobie krawat.

– Mam włożyć niebieską? – zdziwił się Krzysztof.

– Możesz białą, ale niebieska podkreśla kolor twoich oczu... – wyjaśniła ciepło. –

W Hybrydach miałeś niebieską...

– Tak? Podkreśla kolor moich oczu, powiadasz? – udął sarkazm. – A gdybym miał dziś oczy przekrwione, na przykład po pijaństwie, to kazałabyś włożyć czerwoną?

– Bardzo śmieszne! Stary wariat! – zgasiła go.

Machnął ręką i wszedł na górę.

Przy drodze między polami, pod ogromną wierzbą ich kapliczka wyglądała, jakby stała tu już ze sto lat. Ustrojona polnymi kwiatami stanowiła piękne tło dla uroczystości. Ksiądz Roman kończył formułkę, chrzcząc niemowlę:

– ...i nadaję ci imię Anna Maria... – zrobił małą pauzę, ale Krzysztof przechylił się przez ramię matki chrzestnej i dorzucił: „Franciszka”, a ksiądz z ulgą powtórzył: – Anna Maria Franciszka.

Chrzestnymi rodzicami byli młodzi, eleganccy ludzie w wieku Katarzyny i Roberta. Ojcem chrzestnym został Maurycy, śpiewak operowy z Wiednia, a chrzestną Krystyna, przyjaciółka Kasi. Oboje wydawali się bardzo przejęci. Stali wzruszeni Marianna, Krzysztof, Iza, ciotka Malwina, Jacek dużo spokojniejszy od reszty rodziny, pani Helena, Ewa, żona śpiewaka, i mąż chrzestnej, czyli Krystyny, przyjaciel Roberta. Oczywiście, stawili się oboje Zarzyccy i ciekawi ceremonii Jasiek, Antek Gajewski oraz Kuba Zarzycki. Robert filmował całą uroczystość. Krzysztof w razie potrzeby pomagał księdzu. Marianna spotkała spojrzenie córki i przez chwilę patrzyły na siebie z uśmiechem. Katarzyna była opanowana jak zawsze,

ale czuła bliskość swojej rodziny. Robert natomiast był zupełnie inny niż zwykle, podekscytowany nie ukrywał radości i wzruszenia. Był w tej dumie ojcowskiej, w tej realizacji siebie i swojego marzenia wręcz chłopięcy i bardzo sympatyczny. Kiedy ruszyli spod kapliczki do powrotu, Robert wziął niezwykle czule małą na ręce, niósł ją, idąc przodem, i cicho z nią rozmawiał.

– Będziesz miała dobrze – mówiła cicho Krystyna do Katarzyny. – Robert jest pewien, że to on małą urodził... – i zaśmiały się obie.

Pani Helena spieszyła do domu, a za nią chłopcy.

– Cieszysz się, że masz cioteczną siostrę? – spytał Kuba z powątpiewaniem.

– Jeszcze nie wiem – stwierdził Jasiek.

– Pożyjesz, zobaczysz... – prorokował Kuba.

Pani Helena podniosła oczy ku niebu, westchnęła i pokręciła głową z dezaprobatą.

– Najbardziej wzruszam się na chrzcinach – mówił ksiądz Roman. – Potem na weselach. Podnoszą mnie radosne okoliczności.

– A ja miałem być księdzem – oświadczył Krzysztof.

– A ty jego gospodynią? – szeptem spytała Mariannę Iza i obie się roześmiały.

Ksiądz Roman popatrzył na Krzysztofa szeroko otwartymi oczami.

– Panie Krzysztofie, widzę pana w nowym świetle...

– Ale tata też chciał być bokserem – dorzucił Jacek.

– No, to już straszno – skrzywił się ksiądz z dezaprobatą.

– Straszniej... – roześmiał się Jacek i cały czas filmował Roberta.

Ciotka Malwina dreptała, ocierając oczy.

– Piękna chwila... Szkoda, że nie widzi tego Emilka... Róża... Twoja matka, Marianno, a nawet ta straszna Teodora – powiedziała właściwie do siebie.

– Co pani mówi? – nachyliła się do niej pani Ewa, żona śpiewaka, i wzięła ją pod rękę.

– Coś marudzę – zaśmiała się Malwina i zawołała: – Robercie, uważaj!

– Malwino, on unosi się ze szczęścia nad ziemią. – Katarzyna machnęła ręką.

– Dawno nie widziałam tak szczęśliwego człowieka – powiedziała Iza.

– A babkę szczęśliwą kiedy widziałas ostatni raz? – spytała ją Marianna.

– Kiedyś, jak się urodził Jasiek – rzucił Krzysztof.

– Tak. A potem, jak postanowiliście tu zostać... – zaczęła Iza.

– I kiedy zabrała się za budowanie – dodał Jacek.

– Jak wymyśliła straszak na zające, żeby jej nie obgryzały drzew – zaśmiał się Krzysztof.

– Kiedy nie złamałeś nogi, wpadając do dołu po bimbrze – dołączyła Marianna.

– I kiedy urodziła się moja córka Anna Maria – nagle znacząco powiedziała Kasia, a Krzysztof dorzucił:

– Franciszka.

I wszyscy się trochę śmiali, ale i byli wzruszeni. Marianna odważyła się i wychyliła w stronę Kasi, mówiąc cicho:

– Moja córeczka.

Kasia nie umiała tego przyjąć bez skrępowania, pokryła speszzenie uśmiechem, kiedy Krzysztof poprawił krótko:

– Nasza!

Kasia odwróciła się w kierunku Ewy i Maurycego.

– Musicie wracać w piątek do Wiednia?

– Tak. Zaczynam próby – westchnął z udanym zmartwieniem Maurycy.

– A może spotkalibyśmy się u nas, w Wiedniu, na Boże Narodzenie? – zaproponowała jego żona.

– Już mówisz o Bożym Narodzeniu? – roześmiała się Krystyna.

– Ma pani rację – poparł ją Zarzycki – już za sześć miesięcy Gwiazdka.

– Wszystko planujemy z wyprzedzeniem – wyjaśniła Ewa. – Maurycy ma już kalendarz zajęć i propozycji na dwa lata.

– Wspaniale! – zapaliła się Kasia. – Podrzucimy Ankę dziadkom i pojedziemy w Alpy na narty!

– No, to zaczynam się pakować! – odezwał się nagle mąż Krystyny i wszyscy się roześmiali. Marianna nie patrzyła na córkę. Wszyscy weszli w obejście. Robert skierował się do domu, za nim Katarzyna z gośćmi, Helena zniknęła w kuchni, za nią Marianna, dzieci kręciły się między stołami.

Krzysztof prowadził księdza.

– Może na fotelik, na taras, a ja przyniosę coś do przekąszenia.

– Przednia myśl! – zatarł rączki księżulo.

– Danuśka, zajmij się księdzem Romanem, a my z Piotrem zaraz...

– Z przyjemnością. – Danusia familiarnie wzięła księdza pod rękę, prowadząc go w stronę tarasu.

– Jaki to dobry dzień – uśmiechnął się ksiądz – no, i te wonie z kuchni...

W kuchni Krzysztof i Zarzycki stawiali na tace szklanki i kanapki. Zarzycki łasował po półmiskach. Marianna śmiała się, Krzysztof wręczył Zarzyckiemu tacę i otworzył mu drzwi.

– Lepiej, żeby miał zajęte ręce – powiedział i odwrócił się do żony: – Aleście narobiły tego wszystkiego...

– Będzie trochę więcej osób...

– Jak to?

– Prócz tych na otwarcie pensjonatu zaprosiłam trochę bliższych przyjaciół na... nasze trzydziestopięciolecie...

Krzysztof stanął jak zamurowany.

– Przecież mieliśmy się nie ujawniać!

– Wolałam wziąć na siebie tę decyzję, żebyś, jak zwykle, nie zrobił z tego problemu nie do rozwiązania.

– Jak zwykle? – spytał Krzysztof zaczepnie.

– Oj, Krzysiu... – próbowała go rozbroić Marianna.

– No, co „oj, Krzysiu”?! Najpierw coś uzgadniamy, a potem ty, jak zwykle, robisz, co chcesz!

Usłyszeli z daleka dziwny głos syreny okrętowej. Krzysztof machnął ręką, pokonany.

– A, niech się dzieje wola nieba. I twoja, Marianno, i twoja!

Marianna spojrzała przez okno i zobaczyła zbliżającą się jeziorem Łódź z grupą osób na pokładzie. Wysła jej naprzeciw. Łódź dobiła cicho, mimo motoru, do pomostu, lśniła nowością, mahoniem i mosiądzem. Wysiedli z niej profesor Gajewski z wielkim bukietem kwiatów i pudłem, jego żona Lusja, Magdalena, Zbigniew i Marcin.

– Witamy! – zawołała Marianna i szepnęła nerwowo do podbiegającej z pomocą Izy: – Gdzie tata?

Iza się odwróciła.

– Tatusiu! – zawołała i przywołała ręką Krzysztofa, który już spieszył w ich stronę.

– Alicjo, pięknie pani wygląda – witała się Marianna.

– Dziękuję... Świetnie pani w tym kolorze – usłyszała w szczerym rewanżu.

– Czego życzyć właścicielom pensjonatu? – spytał Gajewski, całując dłoń Marianny, potem Izy.

- No, nie połamania nóg – rzucił starszy syn.
- Bo nie dadzą sobie rady o kulach – wtrącił młodszy, a Alicja popatrzyła na obu niechętnie.
- Sama nie wiem – zaśmiała się Marianna.
- Siły, zdrowia i rozpędu – wyliczał Gajewski i mocno ścisnął dłoń Krzysztofa.
- O, to nam się przyda. Dziękujemy – powiedział gospodarz.
- A może i to się przyda? – Alicja wskazała na pudło trzymane przez Marcina. Na naklejce pudła widniał obrazek kuchenki mikrofalowej.
- Marzyłam o niej! – ucieszyła się Marianna. – Strasznie dziękuję.
- Zaniose, gdzie trzeba – zaproponował Marcin.
- Prosimy, prosimy – zachęcał Krzysztof – panie profesorze. Bardzo się cieszę...
- Ja też – spokojnie odpowiedział profesor. Uśmiechnął się, widząc nadchodzącą Katarzynę. Alicja obrzuciła jej suknię szybkim spojrzeniem.
- Gratulacje – rzuciła i uśmiechnęła się królewsko.
- Zobaczymy potem córeńkę? – spytał Gajewski, witając się.
- Oczywiście – lekko odpowiedziała Katarzyna – w każdej chwili.
- Podobno jest śliczna – ciągnęła Alicja.
- Śliczna i cichutka... – w głosie Izy zabrzmiała czułość. Katarzyna podziękowała jej spojrzeniem.
- Tak – z ogniem przytaknęła Marianna.
- Bardzo podobna do mnie. Z urody i charakteru – dodał z powagą Krzysztof, a wszyscy się roześmiali.
- Usłyszeli, że na podwórko wjeżdża jakiś samochód.
- Krzysiu, prowadź państwa, a ja przywitam nowych gości. Izuniu, idź i wstaw te piękne kwiaty – poprosiła Marianna.
- Nasz wnuk już dwa dni buszuje u państwa, czy bardzo przeszkadzał? – zapytała Alicja, odchodząc, a Krzysztof oczywiście zaprzeczył.
- Z domu wysypali się goście: Maurycy, Jacek, ksiądz z talerzykiem, Danką i ciotką Malwiną. Roberta nie było. Malwina przywitała się lekko oszołomiona.
- Jestem ciotką Marianny – przedstawiła się sama – osoba przedwojenna i bezkonfliktowa...
- Była w tym zabawna i urocza. Zaakceptowali ją wszyscy. Za udekorowane kokardą ucho nosiła okrągłe pudło na kapelusze. Bała się spóźnić z prezentem dla Marianny, jakby miało coś się zacząć. Z samochodu z zagraniczną rejestracją wysiadł siwy

mężczyzna.

Przyjacieli i rów nolegatki Krzysztofa z młodszą od siebie żoną, oboje elegancyści.

– Hania! Broniek! – ucieszyła się Marianna i uścisnęli się mocno.

Patrzyli na siebie, odnajdując siebie tamtych sprzed lat.

– Jak tu pięknie! Jak tu pięknie! – powtarzała Hanna.

– To niezwykle, że trzymam was za ręce – mówiła Marianna przez łyżę.

– Och, Manieczka... – zaśmiała się wzruszona Hanna.

– Czego wam życzyć? – spytał Bronisław.

– Żebyśmy się już nigdy nie rozstawali – powiedziała cicho Marianna – żeby... – nie dokończyła.

– Tylko nie o polityce – poprosiła Hanna. – Gdzie Krzysió?

Krzysztof skończył witanie z ostatnimi gośćmi, już zobaczył przyjaciół, pospieszył ku nim. Ucałował Hannę, z Bronisławem wzięli się w objęcia, bez słów poklepując się po plecach, odchyliłi się, popatrzyli na siebie i znów padli sobie w ramiona. One patrzyły wzruszone.

– Kochani, chodźcie! – zagarnęła ich Marianna. – Zaraz wyłowię moje dzieci i wnuka. A potem w domu poznacie wnuczkę... o, Hanusiu... – przytuliła ją, gdy poszły w kierunku stołów ustawionych pod drzewami. – To są nasi sąsiedzi z za jeziora – powiedziała.

W tym momencie usłyszała ostre dzwonienie dzwonka nadjeżdżającego roweru. Wszyscy się odwrócili i zobaczyli prawie eleganckiego Wiesława Wanata jadącego na jednoślądzie. Nad głową rozpięty miał transparent przymocowany do rączek kierownicy z napisem po czesku: *S Sovetskim svazem po večne časy a nikdy inak!* Z koszyka na bagażniku wystawały szyjki butelek szampana i kwitnąca azalia w doniczce. Rozległy się brawa i śmiechy.

– Wiesio! – Krzysztof otworzył ramiona.

– Kalinowskim chwała! – zawołał Wanat, hamując. – A dlaczego? Bo są piękni, energiczni, dalekowzroczni i bohaterscy! Takich kochają bogowie! I ja!

– Jesteś niezwykle! – przywitał go Krzysztof.

– Jestem ledwo żywy, dwa razy zwało mi kapelusz i transparent stawał dziki opór. Hamował.

Goście zgromadzili się wokół nich, padły okrzyki, brawa. Krzysztof zawołał:

– Profesor doktor Wiesław Wanat! Mózg, serce i ozdoba Ośrodka Doświadczalnego Uniwersytetu Warszawskiego w Sajzach!

Jacek już niósł szklaneczkę, Kasia trzymała rower z pomocą Zbyszka Gajewskiego, który szepnął do niej tubalnie:

– Typulo...

Wanat wziął Krzysztofa w objęcia.

– Wszystkiego najserdeczniej wam obojgu, przyjacielu... A gdzie moja kochana gospodyni? Młody człowieku, potrzyмай samodzielnie moją raketę, abym z niewysłowioną radością mógł wziąć w objęcia to zjawisko... – Wyciągnął ręce do Katarzyny, a ona ze śmiechem poddała się jego uściskom.

– Czy jej mąż mnie nie zadźga? – spytał Wanat.

Robert z balkoniku domu filmował gości.

– Na razie rejestruje – ostrzegł Gajewski, wskazując balkon.

Wanat pomachał kapeluszem trzymany w ręce. Katarzyna przytknęła dłoń do ust i zawołała:

– Zejdiesz kiedyś?!

– Czy mogę zaparkować rower... może tam? – spytał Zbyszek.

– Zaraz, zaraz... to jest ważne. – Odczepił koszyk z szampanem i azalią i niemal w tej samej chwili Marianna dotknęła jego ramienia.

– Wiesiu, nareszcie!

Odwrócił się radośnie.

– Dziecinko! – i objął ją jedną ręką.

Iza wyjęła koszyk z jego dłoni, a ręka Wanata, uwolniona, zagarnęła także Izę.

– Dla tej chwili warto oddać życie! – zawołał.

Na parkiecie do tańca Józek postawił dwa krzesła. Umieszczono na nich Mariannę i Krzysztofa, którzy siedzieli lekko zmieszani, z bezradnymi uśmiechami. Naprzeciwko stali organizatorzy, któryś stroił gitarę, jeszcze się namawiali. Nagle na podest wdrapała się Malwina z pudłem.

– Kochani, muszę wam wreszcie dać prezenty. Nie mogę tego dłużej nosić ze sobą.

– Otworzyła na oczach zgromadzonych i ciekawych gości pudło i wyjęła z bibułki słomkowy kapelusz-ogród z ptakiem na rondzie i małą woalką. Podała zaskoczonej Mariannie. – Dla ciebie. To, co zostało z moich drogich wspomnień. Mój kapelusz, gdy pojechałyśmy z twoją matką na Targi Wschodnie do Lwowa w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku... Zrobiłam w nim konkiętę, czego i tobie życzę!

Okrzyki z tłumu i brawa. Malwina wzruszona pozwoliła się ucałować Mariannie, która włożyła kapelusz na głowę przy aplauzie widowni.

– Babciu, jak ty śmiesznie wyglądasz! – zawołał Jasiak i chciał do niej pobiec, ale przytrzymała go Iza. Krzysztof był zachwycony. Malwina wyciągnęła z pudła starą porcelanową fajkę i podała ją Krzysztofowi. On pocałował jej rękę, dziękując, a ona powtarzała:

– To dziadka Antoniego! To dziadka Antoniego!

– Parafianie i goście! Parafianie i goście! Dajcie słudze bożemu coś powiedzieć!
Dopraszam się! – zawołał ksiądz donośnie.

– Niech mówi – zawołał Zarzycki basem.

Wszyscy wzajemnie się uciszali, wciąż rozbawieni. Ksiądz z pomocą Krzysztofa i Gajewskiego wdrapał się na krzesło.

– Ostrożnie! – zawołała Malwina z niepokojem.

– Mój Anioł Stróż czuwa, siostrzo! – rzucił kapłan w jej kierunku.

– Drodzy gospodarze! Przyjaciele! To jest dopiero... trzydzieści pięć lat. Pięknych lat w zgodzie... – Krzysztof pogroził Mariannie palcem, ona się zaśmiewała, zasłaniając usta, a ksiądz złapał go za ten palec i kontynuował – i miłości ze sobą, w przykładzie dla bliskich i dalszych! Niech was Bóg błogosławi, a aniołowie nadal mają pod swoimi skrzydłami. Amen. Bawcie się dalej!

Ksiądz nachylił się, schodząc.

– Bylebym nie gruchnął, synu... Dobrze, żeś mi pomocny...

Krzysztof pomógł mu zejść, uściskali sobie dłonie, patrząc po męsku w oczy.

– Dziękuję – powiedziała prosto Marianna.

– Szampana! – zawołał Krzysztof i rozległy się strzały odkorkowywanych butelek, wrócił gwar.

Ksiądz podszedł z talerzykiem do Zarzyckiego serwującego mięsa.

– Bo rozumie pan, są pewne wartości niepodważalne! W każdym razie dla mnie!
Poda mi pan ze dwa żeberka...

– Proszę uprzejmie... Z sosikiem?

– Zdrowie gospodarzy! – krzyczano. – Nieustające! Szczęścia! Wiwat!

Nastąpiła chwila jakby spokojniejsza, gdy Krzysztof zawołał:

– A teraz, proszę pozwolić... Prezent dla mojej szalonej małżonki!

Dał znać Józkowi, który stanął obok w różowej koszuli w palmy, z gongiem w ręku. Walnął z rozmachem, aż jego jękliwy ton odezwał się echem od jeziora. Krzysztof wskazał wyciągniętym ramieniem na zabudowania gospodarskie. Goście odwrócili się zaciekawieni. Zapadła cisza. Marianna szeroko otworzyła oczy, ale nic

się nie działo.

– Józek, wal!!

Rozległo się ponowne uderzenie.

– Co, do diabła? – krzyknął Krzysztof. – Przepraszam księdza proboszcza.

– Nic, nic. Miejmy świadomość, że on się lubi wszędzie wkręcać... – Duchowny złożył dłonie.

– O co chodzi, Krzysiu? – spytała Marianna.

Krzysztof przyłożył dłonie do ust.

– Panie Korek!! Dawaj pan!!

– Panie Korek! – krzyczał rozbawiony Jacek, podchwycił Wanat i reszta gości, skandując:

– Panie Korek! Panie Korek!

Z zupełnie innej strony pojawił się zdyszany facet w rozpiętej koszuli.

– Nie da rady!

– Co?!

Mężczyzna podszedł bliżej.

– Uciekł, panie Kalinowski. Zwiął...

– Co mi pan tu będzie... – Krzysztof powstrzymał się w ostatniej chwili. – Jak to?!

Gdzie?!

– Tato, co jest? – spytał Jacek.

– Przestraszył się – wytłumaczył Korek. – Nowe miejsce, obce ludzie... Na to on nie zwyczajny... Ale będziemy go ścigać.

Katarzyna dotknęła nagle ramienia matki, patrząc przed siebie.

– Mamo.

Marianna popatrzyła w tamtym kierunku. Na wzgórzu z rozwianą grzywą pojawił się koń. Był tak piękny i cudownie wolny na tle nieba, że Marianna aż wydała z siebie jęk. Teraz zauważył go i Krzysztof.

– Jest! Tak, jest!... Niechże go... No, panie Korek, łap go pan!

– Już ja mu pokażę – zawołał Korek i rzucił się biegiem z batem uniesionym groźnie.

– Nie! – zaprotestowała gwałtownie Marianna.

– Masz rację, on jest twój – roześmiał się Krzysztof.

– Zostawcie go... Zostawcie... Musi poznać miejsce... – powiedziała bezradnie, ale spojrzała na męża wzruszona i pokręciła z niedowierzaniem głową.

- Pomyślałem... Tyle łąki, może być i koń, skoro już tak ci się bardzo marzył...
- Cały tata – roześmiała się Katarzyna – sobie kupił używanego grata, a tobie...
- Nie bój się, będę harować jak wół, ale kupię ojcu wspaniałą samochód, zobaczysz! – obiecała Marianna. – A ty nam lepiej kup bryczkę.
- I sanie – dorzucił Krzysztof.

Przy aparaturze Robert i Jacek włączyli muzykę. Rozległ się aplauz niektórych gości. Część siedziała przy stołach, niektórzy krążyli z talerzami do grilla, nalewali alkohole, piwo z browarku. Pomagał Józek.

- Czy małej nie przeszkadza to wszystko? – spytał Jacek.
- Śpi rozkosznie – uśmiechnął się Robert – jest bardzo dzielna... To będzie twardy człowieczek i tak być musi.

- I tak trzymać – zgodził się Jacek.

Podeszła Kasia nieco chmurna.

- No, zjawileś się wreszcie.

- Nie mogłem... Musiałem ją uśpić... – nie dokończył i rozłożył ręce. – Dobrze się bawisz, kochanie?

Kasia pominęła to pytanie wzruszeniem ramion.

- Kto został przy Ani? – zapytała.

- Iza była tak miła i ta mała Gajewska, Magda. O, i Jasiek... Bo też już jest pod jej urokiem... – powiedział to do Jacka, ale ten już odszedł.

- Nudno się robi... – szepnęła Katarzyna. – A gdzie nasi goście?

- Nie mam pojęcia, ale nie zginą, są tacy towarzyscy. Ja teraz bym coś zjadł, poza tobą... – Pocałował ją w szyję, ona odepchnęła go lekko.

- Wiesz, że nie znoszę demonstracji.

- Co się stało? No, chodź ze mną, muszę coś przegryźć – poprosił.

Kasia z Robertem rozpoczęli tańce. Tworzyli ładną parę. Marianna patrzyła na nich ze szklaneczką w ręce. Krzysztof wyjął ją z jej dłoni, odstawił i poprowadził dość zdziwioną na parkiet.

- Hej – rzuciła Marianna, zerkając na córkę.

- Hej – odpowiedziała Kasia i obie uśmiechnęły się lekko.

Padły małe komentarze i brawko, gdy dołączył do nich Jacek z Izą. Każda z trzech par tańczyła inaczej.

- Ania śpi, Magda czuwa – rzuciła Iza Robertowi.

– A jednak nie zaskoczyłam cię tym przyjęciem, przygotowałeś mi prezent – powiedziała Marianna.

– Wiesz przecież, że ja się zawsze wszystkiego domyślę. Nawet tego, czego nie chcesz. – Popatrzył na nią wymownie.

Od razu zrozumiała, do czego pije.

– Wanat wypaplał? Pani Helenka? Bo nie Józek?

Pokręcił głową.

Marianna się zawahała, ale przemogła się.

– Ona... ci powiedziała?

– Nie. Ty mi powiedziałaś. Swoim zachowaniem. Po prostu znam cię za dobrze, żebym nie zauważył i się nie domyślił. Ale chyba ci to wyszło na dobre.

– Tak. Odchudziłam się. Pięć kilo.

– Nie tylko. Odczułem inne zmiany. Zamiast łańcucha przykutego do ściany celi będę miał elektroniczną obrączkę nad kostką.

– Ty draniu! – zmrużyła oczy jak zła kotka, ale igrały w nich iskierki śmiechu.

– Ptakom też zakładamy obrączki i puszczamy je wolno, tylko że te, które nie mają obrączek, już się do nich nie zbliżają.

– Gdybyż tak było z ludźmi... Ale żebyś wiedział, ja się staram zmienić. Przynajmniej trochę zastanawiać nad sobą. I już tak nie troszczyć się o wszystko, już nie być kierowniczką całego świata, jak ty to nazywasz, już tak nie pędzić.

– No, teraz dopiero będziesz pędzić. Masz przecież konia. Chociaż jeszcze nie wiadomo...

Chciała coś odpowiedzieć, ale zakręcił nią w tańcu i odpłynęli na drugi koniec deskowania. Jacek, utrzymując się w rytmie wolnej melodii, przyciągnął do siebie Izę i popatrzył jej w oczy. Wytrzymała to spojrzenie i powiedziała cicho:

– Ale to był ostatni raz, masz ostatnią szansę. Nie zmarnuj jej.

– Nie zmarnuję, zobaczysz.

– Ciebie mogłabym chyba zostawić, ale nie zostawiłabym Jasia. Ani jego dziadków. Także Roberta i Kasi. I małej Anny Marii.

– Franciszki – dodał, a po chwili zapytał cicho: – Naprawdę byś mnie zostawiła? Izanko? – Przyłgął do niej ciasno.

– Przestań. Zobacz... – Zaczerwieniła się.

– No to co? Zróbmy to tutaj, niech zobaczą, jak to się robi...

– Uspokój się – szeptała, ale głos już się jej łamał. Przytuliła się do niego jeszcze

mocniej i szepnęła mu coś do ucha. Odpowiedział tak samo. Jej ręka powędrowała na jego szyję i objęła ją mocno. Miała na sobie bluzeczkę z małym rozcięciem na karku zapinanym na malutki kulisty guzik, rozpiął go. Kołysząc się w rytmie muzyki, zaczęli przesuwać się w stronę wyjścia, a tam, niby idąc w stronę bufetu, skręcili do swego pokoju. Ostatnie metry już przebiegli i wpadli do środka. Iza przekreśliła klucz w zamku.

Z boku za budynkami ukazał się pan Korek z batem w ręku, minę miał markotną. Podszedł do niego Krzysztof.

– No, i co? Złapał go pan?

– Nie. Uciekł do lasu i przepadł jak kamień w wodę. Ale on wróci na noc do stajni, już ja mu spuszczę baty.

– Panie Korek, jeśli on wróci, niech pan go nie bije. To już nie jest pański koń, a cudzych koni się nie bija, prawda? Natomiast jak nie wróci, szuka pan innego konia albo zwraca pan pieniądze, jasne?

– Ależ tak, panie Kalinowski. Ale szkoda by było Siwka, to piękny koń.

– Siwek? Dla mnie na razie to on jest Nemo, a jak wróci, to go nawet awansuję do stopnia kapitana. I będzie Kapitan Nemo.

Korek popatrzył na Krzysztofa z przestraczem, jak na wariata, i powiedział ugodowo:

– Naturalnie, panie Kalinowski. Ze swoim koniem każdy może robić co chce.

Słońce było już nisko nad horyzontem i świeciło ciepłym, pomarańczowym światłem. Nadchodziła magiczna godzina. Jacek przytulił Izę i powiedział cicho:

– *Magic hour.*

Nastrój gasnącego dnia udzielił się wszystkim, rozmowy przycichły.

Krzysztof podszedł do samotnie siedzącego przyjaciela. Usiadł obok i naszykował sobie fajeczkę.

– Palisz...

– Palę... fajka mniej szkodzi – mruknął. – „Przekrój”, pamiętasz?

– Wychodzi jeszcze?

– Oczywiście. Ale w innej szacie graficznej... Znak czasu.

– Tak...

– Ech, Bronek, nie wyobrażasz sobie, jak dobrze cię tu widzieć.

– Tyle że w innej szacie graficznej...

Roześmiali się rozluźnieni. Podeszła Marianna, Bronek wstał.

– Usiądziesz z nami?

– Nie – odparła. – Pewno chcecie pogadać. Postawiłam wam na tarasie kawę i coś tam jeszcze.

– O, to dobra myśl – ożywił się Krzysztof. – Ale przyjdź potem.

– A gdzie moja ślubna? – spytał Bronek.

Marianna powiedziała tonem pełnym podziwu:

– Jacek jest niezmordowany. Zorganizował brydża i zdaje się Hania ma na to ochotę. Zostaw ją młodzieży.

Bronek pocałował Mariannę w rękę i odeszli z Krzysztofem w stronę domu. Ona przez chwilę śledziła ich wzrokiem.

Krzysztof siedział wyciągnięty w fotelu na tarasie, obok taką samą pozycję zajmował jego przyjaciel.

– Rozumiesz, prawda? – spytał. – Po tylu latach nie jest to łatwa decyzja... Ale Hanka bardzo chce wrócić, bardzo... Już z nią rozmawiali, ma propozycje z Warszawy i poznańskiej opery na jakieś dwie choreografie, a mnie proponują współpracę na uniwersytecie... Ot, zakawyczka, jak mówią Francuzi.

– Bronek – ożywił się Krzysztof – to doskonale! Wspaniale! Mieć was pod bokiem...

– Aż byśmy wam bokiem wyszli... – roześmiali się.

– Ale poważnie: za dużo mądrych wyjechało, za dużo głupich się tu mądrzy. Ech, to by było... – rozpalili się Krzysztof. – Na jesieni zrobilibyśmy spotkanie Haneczki z młodzieżą! Jest taki chłopak po studiach, robi z młodymi teatr. Takie spotkanie z Hanią tyle by im dało... Zgodziłaby się na pewno. Mamy takie dobre kontakty kulturalne z młodymi władzami naszego miasta. Oni naprawdę chcą coś zrobić nie tylko dla miasta, ale i dla regionu... Dla siebie, ale wiesz, w jakim znaczeniu...

Przyjaciel z uśmiechem popatrzył na Krzysztofa.

– Nie zmieniłeś się, ciągle jest w tobie zapał...

– A ciebie namówilibyśmy na parę odczytów o amerykańskiej literaturze, będziesz miał pełne sale młodzieży! To jest pomysł!

– Jesteś taki otwarty... A zdawałoby się, że zamieszkanie tu to ucieczka, inteligencka ucieczka...

– Zależy od czego – przerwał Krzysztof. – Nie, ale to nie to i nie tak. To wybór.

– Ale skąd pomysł przeniesienia się ze stolicy? Choć jest tu bajecznie...

Krzysztof pykał z fajeczki, patrząc na przyjaciela.

– O, długo by gadać. Już jest późno. Bronek... Zostajecie u nas na dłużej. Rano pokażemy ci zdjęcia, jak tu kiedyś wyglądało, połączymy, pokażemy ci okolicę, przyrodę, bracie, w całej okazałości i zrozumiesz wszystko.

– Bo tu jest raj... – powiedziała cicho Marianna, wchodząc, i dała znak, żeby Bronek nie wstawał. Usiadła w fotelu obok. Nagle zjawił się kot i wskoczył jej na kolana. Siedzieli w milczeniu, rozkoszując się ciszą i gasnącym światłem zmierzchu.

W głębi domu odezwał się dzwonek. Słysząc było niewyraźny głos rozmowy. Na tarasie pojawiła się Kasia z komórkowym telefonem Marianny.

– Mamo, dzwoni pan Malinowski z biura podróży Voyager – powiedziała, przysyłając dłońią mikrofon. – Przysyła ci dwanaście osób od jutra, a na następny weekend...

– Daj mi słuchawkę, muszę z nim uzgodnić... – Marianna wstała, ku niezadowoleniu kota, który musiał zeskoczyć z jej kolan. Weszła do domu, aby kontynuować rozmowę, kot odprowadził ją wzrokiem, a kiedy upewnił się, że Marianna nie wraca, wskoczył na kolana Krzysztofa.

– Marianna powiedziała, że tu jest raj, i od razu pojawił się anioł z mieczem ognistym – rzekł Krzysztof z uśmiechem, wskazując na córkę stojącą na progu, jakby niezdecydowaną, czy zostać tu, czy wrócić do domu.

– ...i wygnał ją z rajy – dokończył Bronek ze śmiechem. – Usiądź z nami, Kasiu. Pewnie nie znosisz, jak ktoś mówi, że pamięta, jak się darłaś, gdy ci pudrowali pupę?

– Teraz bym się nie darła, bo są już pampersy – odpowiedziała Kasia charakterystycznym dla niej tonem lekkiej arogancji, która w istocie miała tylko ukryć wrodzoną nieśmiałość.

– Nie, ty się nie darłaś z powodu odparzonej pieluszkami pupy, ty się darłaś, bo chciałaś, aby cię pudrować zasypką najwyższej światowej marki. I to zostało ci do dziś – powiedział z uśmiechem Krzysztof i wyciągnął do niej rękę. Kasia dała się przyciągnąć i pocałowała ojca w policzek.

– A tobie do dziś został jadowny jęczyzek – powiedziała i usiadła w fotelu opuszczonym przez Mariannę.

– O, tak! – zgodził się Bronek. – Ale wiesz, po co ten jad? On znieczula, uśmierza ból, kiedy ten jest już nie do zniesienia, i zaostcza smak życia, kiedy staje się ono zbyt mdłe lub zbyt słodkie.

Kasia spoważniała i zamilkła. Po chwili powiedziała cicho do Bronka:

– Wiesz, chyba bardzo mi pomogłeś tym, co powiedziałeś. Postaram się to zapamiętać, tak jak i ten wieczór. Może ostatni taki rajski wieczór. Od jutra zacznie się tu kocioł. Trzeba wyjeżdżać...

– Nie wierzę w inne tu wieczory. Twoja matka poradzi sobie nawet z bandą skinheadów, punków i hippisów, gdyby tacy się tu zwałili. Następnego dnia będą jej jedli z ręki – zaśmiał się Bronek.

– Gotować to ona umie, wiem coś o tym! – podsumował Krzysztof i uniósł zachęcająco kieliszek koniaku.

Wypili, śmiejąc się, w nastroju pogody i harmonii.

Nagle zza górki wyłonił się mały samolot. Leciał nisko, zobaczyli sylwetkę pilota. Zatoczył koło i zniżył się jeszcze bardziej. Pilot wyciągnął rękę i upuścił coś. Na małym spadochronie wolno opadł na ziemię bukiet pięknych czerwonych róż, trafił na sam środek podwórka. Z domu wyszła Marianna z telefonem przy uchu.

– Dziękuję, panu, dziękuję! Proszę przyjść do nas jutro na śniadanie, wszystko omówimy. Do zobaczenia!

Pilot zamachał skrzydłami i lekko się wznosząc, znikł za górką.

Marianna podniosła bukiet, podeszła do gości i powiedziała do Krzysztofa:

– To lotniarz. Wrócił. Sprzedał lotnię i kupił samolot. Powiedział, że zakłada firmę przewozową i będzie woził naszych gości.

– Fantastycznie! – wykrzyknął Krzysztof z entuzjazmem.

– Powiedział mi jeszcze, że to już nie są czasy, aby bujać w obłokach i patrzeć na świat z dystansu. Trzeba mu się przyglądać z bliska i uważnie. I starać się go zmieniać. Dlatego zakłada swój mały biznes.

Konia znalazł rano w lesie Kotula. Przytroczył go do wozu i przywiózł, nie zważając, że jest dopiero pół do szóstej i cały dom śpi po wczorajszym długim wieczorze. Krzysztof obudził się zdenerwowany hałasem na podwórku, ale zobaczywszy konia, rozpromienił się. Kotula pomógł zaprowadzić uciekiniera do stajni, przywiązał go do żłobu i podrzucił siana, którego wiązkę roztropnie przywiózł ze sobą. Odmówił stanowczo przyjęcia zapłaty, Krzysztofowi udało się wcisnąć sąsiadowi flaszkę, ale nie żadnej wódki, a ich smorodinków. Kotula przyjął to z pobłażliwym rozbawieniem i powiedział, że poczęstuje wnuki, jak przyjadą na święta z Przasnysza. Krzysztof zapytał go o ich wiek.

– Siedem i dziewięć – odpowiedział stary.

Krzysztof pogroził mu palcem, udając surowość.

– No, no, panie Kotula! – powiedział.

Kotula wracał skrajem łąki, na skróty, pełną drogą. Słońce stało już dość wysoko, świeciło jasno, otwarcie i optymistycznie. Poranna rosa lśniła jak rozsypane kryształki cukru, można by nimi osłodzić wszystkie gorycze świata. Kotula patrzył zmrużonymi oczami na ten odwieczny cud poranka i zachodził w głowę: co jest w tym takiego niezwykłego, co te mieszcuchy w tym widzą. W oryginalnej wersji to brzmiało tak: „Co łune w tym widzo? Chyba nas nabierajo? Może przed jakimści kreminalem u nas się chowajo? Albo durne so i tyla. Chiba tak”.

KONIEC



OD AUTORA

Dalszego ciągu nie będzie. Teraz, po dwudziestu latach, jest już za późno, wszyscyśmy się zestarli, niektórzy odeszli na zawsze. Ale pamięć po *Siedlisku* wydaje się żyć, kiedy spotykam się z publicznością po pokazie jakiegoś mojego nowego filmu albo nowej książki, zawsze pada pytanie o tamten serial. Mimo że od premiery minęło dwanaście lat, widzowie go pamiętają, miejsca, gdzie kręciliśmy, odwiedzają pielgrzymki fanów. To mnie samego zaciekawiło, poczułem, że chciałbym się dowiedzieć więcej o naszych bohaterach, o ich myślach, o tajemnicach, o tym, czego na ekranie nie widać. Więc siadłem i napisałem.

Ponad dwadzieścia lat temu podjęliśmy decyzję przeniesienia się na stałe na wieś. Nasz dom w Warszawie wynajęliśmy firmie pachnącej kosmetykami, zapachy miejskich spalin także pożegnaliśmy bez żalu i zamieszkaliśmy w zacisznym, przepięknym zakątku Mazur na pograniczu Suwalszczyzny. To trochę inne Mazury niż te powszechnie znane, więcej tu otwartych na pofałdowane morenowo łąki przestrzeni, lasy usuwają się dyskretnie na boki, aby niebo mogło odbijać się szeroko w taflach jezior, niezanieczyszczone żadnym przemysłem, krystaliczne powietrze sownie zasila żywych: zwierzęta, rośliny i ludzi. Tych ostatnich też tu mniej niż gdzie indziej, pewnie dlatego przyglądają się sobie z większą życzliwością i ciepłością.

Poczuliśmy się tu dobrze. Oczy mojej żony, wyczerpane światłem atelier i ciemnością laboratorium fotograficznego, zaczęły odpoczywać i regenerować się, realne zagrożenie utraty wzroku zdiagnozowane przez warszawskich okulistów zaczęło się powoli wycofywać, pojawiły się nowe pasje: prowadzenie domu, zakładanie ogrodu, sadzenie krzewów i drzew, psy. A także oczekiwanie na ferie i wakacje, kiedy przyjeżdżał tu nasz wnuk i obejmował tęskniący tron w swoim królestwie, bo to było i jest przede wszystkim jego królestwo. Ale wakacje kończyły się i trzeba było wracać i podać z hardą dumą królewskie ręce do zakucia w kajdany szkoły, która na domiar złego oddalała się coraz bardziej od babcinego domu w jakichś nieokiełznanych kierunkach, od gorącej Katalonii aż po północne, lodowate wybrzeża Szkocji. I tak toczyły się losy babci i wnuka: on wychowywał się na Europejczyka, obywatela zmieniającego się gwałtownie świata, ona tęskniła za nim w

mazurskim zaścianku, wskrzeszała obumarłe tradycje rodu upartych, mazowieckich szlachetków: zaczęła zapraszać sąsiadów na herbatki, grywała w brydża z księdzem proboszczem i miejscowym rejentem, wklejała fotografie rodzinne do albumu.

Wtedy zaczęła też pisać pamiętnik dla wnuka i w cichości swego naiwnego serca marzyła o chwili, kiedy on, już dorosły, a może nawet sędziwy, znajdzie na strychu zbutwiały zeszyt i przeczyta te słowa, do niego kierowane ze świata, którego już nie będzie. Nie wytrzymała jednak ciśnienia swego sekretu i pewnego dnia pokazała mi swoje zapiski. Zabezpieczając się ironicznymi pomrukami, przeczytałem rękopis i rzuciłem od niechcienia, że to właściwie jest pomysł na jakiś film. Ona też niby obojętnie odmruknęła, że może mam rację. Parę tygodni później otrzymałem mailem wysłanym z tego samego domu (!) szkic scenariusza serialu zatytułowany *Siedlisko*, podpisany przez dwie panie: Zofię Nasierowską i wciągniętą w konspirację Wandę Majerównę. Na takie dictum naostrzyłem swoje wszystkie cenzorskie ołówki, zwłaszcza czerwony, i bardzo podejrzliwie zacząłem czytać. Z rosnącym zdumieniem, a potem z uznaniem śledziłem losy bohaterów opowieści, trochę podobne do naszych, ale jednak wzbogacone inwencją i fantazją autorek, w mojej zawodowej głowie zaczęła się, jak zwykle, projekcja filmu, bo od razu zrozumiałem, że muszę to nakręcić. Miejsca akcji miałem przecież za oknami, a postacie, przynajmniej te główne, od razu obsadziłem w wyobraźni swoimi ulubionymi aktorami. Skończywszy lekturę, łaskawie oznajmiłem, że owszem, mogę podjąć się reżyserii takiego filmu czy serialu pod jednym wszakże warunkiem: musimy trochę zaostrzyć smak tej potrawy, jest zbyt słodka na mój gust. Dla wzmocnienia swojej pozycji okazałem zaświadczenie lekarskie, że mam cukrzycę i nie mogę mieć do czynienia z taką ilością słodyczy, w jaką te dobre kobiety opisały świat. Obie autorki są świetnymi kucharkami, które wiedzą, jak szczypta soli lub ziarnko pieprzu mogą zmienić charakter dania, a w konsekwencji czasem i całe przyjęcie, są też dobrymi psychologami, więc zręcznie podsunęły mi rozwiązanie: ty napisz dialogi, tam wyżyjesz się ze swoją ironią, sarkazmem, szyderstwem i cynizmem i tak dosmaczysz ten bigos, żeby smakował i księciu, i gajowemu (aluzja do dawnego życia ziemiańskiego wchodzącego teraz w modę – straszny snobizm!). Jak bigos to bigos, trzeba go najpierw zamrozić. Tym zajęła się rutynowo telewizja, w której projekt musiał trochę poleżakować, ale niezbyt długo, bo było to w epoce, kiedy telewizja publiczna miała jeszcze poczucie misji, a szarlatani, wycwanieni producenci, nie wmówili jej, że seriale można robić taśmowo, metodą gadających głów, więc umożliwiła nam produkcję w trybie filmowym.

Powstał dziewięcioodcinkowy serial nakręcony tradycyjnie, na taśmie filmowej, a nie na niedoskonałej jeszcze wtedy elektronice. Zdjęcia realizowaliśmy w plenerach, we wnętrzach naturalnych, a jak było trzeba, i w atelier, a że robił to wielki artysta i wielki profesjonalista Witold Adamek, stały się mocną stroną serialu. Niebiańska muzyka Jerzego Matuszkiewicza, sięgająca do archaicznych tonów jakichś północnych, pełnych powagi i dostojeństwa tańców, dała filmowi magiczną aurę, a reszty dokonali aktorzy, cała ich plejada z Anną Dymną i Leonardem Pietraszakiem na czele. Udało mi się pozyskać wybitnych mistrzów do każdej, nawet epizodycznej roli. Czasem miało to nieprzewidziane konsekwencje: w roli Kotuli, miejscowego sołtysa, pijaczka i fantasty, wystąpił wspaniały artysta Marian Opania. Zagrał go cudownie, soczyście, zachwycił wszystkich, tylko nie mieszkańców pewnej wsi. Oóż nazwę naszej filmowej, fikcyjnej miejscowości „pożyczyliśmy” sobie od leżącej zupełnie gdzie indziej i nie nad żadnym jeziorem wsi Panistruga. Po prostu spodobała się nam ta niezwykła nazwa, zmyśliliśmy nawet jej genezę. Kiedy tamtejsi mieszkańcy zobaczyli naszą Panistrugę na ekranie, zupełnie im nie przeszkadzało, że w niczym nie jest podobna do prawdziwej, uderzyło ich tylko niemile, że mają sołtysa pijaczka i awanturnika, a to przecież nieprawda! „Nasz sołtys nie pije i jest wysokim, młodym chłopem, a ten w filmie, co..?!” – powiedzieli równie naiwnej dziennikarce. To mnie nauczyło, że widzowie mają skłonność doszukiwania się podobieństw lub analogii między fikcyjną rzeczywistością filmu a prawdziwym życiem, ale przestrzegam: to jest droga donikąd.

Odbyła się pierwsza emisja (2 stycznia 1999) i jednak dokonał się cud: fikcja przeistoczyła się w prawdę, publiczność pokochała stworzone postacie, uwierzyła, że pokazaliśmy ich prawdziwe życie. Dostaliśmy dziesiątki listów, jeden szczególnie nas poruszył: pisał marynarz, któremu żona wysyłała kolejne, nagrane przez siebie z emisji, odcinki na adres portów, do których w tym rejsie zawijał. Pisał, jak na nie czekał, jak je wielokrotnie oglądał i pokazywał spotykanym rodakom, jak były dla niego kawałkiem ojczyzny na drugim końcu świata.

Na Mazurach spędziliśmy wielką część naszego życia. Dla mnie, wygnańca ze Lwowa, tułacza po Krakowach, Łodziach, Warszawach, Mazury stały się nową małą ojczyzną, moim miejscem na ziemi. Dla mojej Żony chyba czymś więcej...

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Dedykacja

Rozdział 1.

Rozdział 2.

Rozdział 3.

Rozdział 4.

Rozdział 5.

Rozdział 6.

Rozdział 7.

Rozdział 8.

Rozdział 9.

Rozdział 10.

Rozdział 11.

Rozdział 12.

Rozdział 13.

Od Autora

Karta redakcyjna

Script copyright © by Wanda Majer-Pietraszak, Zofia Nasierowska-Majewska, Janusz Majewski 1999

Novel copyright © by Janusz Majewski 2011

Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2011

Redakcja: Ewa Penksyk-Kluczkowska

Korekta: Irma Iwaszko

Projekt okładki, ilustracje i opracowanie typograficzne: Anna Pol

Zdjęcia wykorzystane na okładce: © www.sxc.hu / Martin Boose (s. 1), Renata Pajchel, Zenon Żyburtowicz (s. 4)

Powieść *Siedlisko* powstała na podst i Janusza Majewskiego do serialu *Siedlisko*, emitowanego w Telewizji Polskiej od 1999 roku

ISBN 978-83-63656-43-0

Wydawnictwo Marginesy

ul. Forteczna 1a, 01-540 Warszawa

tel./fax 22 839 91 27, kom. 48 696 451 127

redakcja@marginesy.com.pl

www.marginesy.com.pl

Warszawa 2011

Plik opracował i przygotował Woblink



